

TED BELL
LEWIATAN

Przekład

KRZYSZTOF BEDNAREK MACIEJ PINTARA

Tytuł oryginału *Pirate*

Redakcja stylistyczna Eugeniusz Melech

Redakcja techniczna Andrzej Witkowski

Korekta Zofia Firek Renata Kuk

Ilustracja na okładce

Copyright © Wydawnictwo Amber

Opracowanie graficzne okładki Studio Graficzne Wydawnictwa Amber

Skład Wydawnictwo Amber

Druk

Fmidr, s r o , Český Tešm

Copyright © 2005 by Theodore A Bell

By arrangement with Peter Lampack Agency, Inc

551 Fifth Avenue, Suite 1613, New York, NY 10176-0187 USA

All rights reserved

For the Polish edition

Copyright © 2006 by Wydawnictwo Amber Sp z o o

ISBN 83-241-2576-0 978-83-241-2576-0

Warszawa 2006 Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp z o o 00-060 Warszawa, ul Królewska 27 tel

6204013,62081 62

www.wydawnictwoamber.pl

Dla Page Lee Hufty

Nieważne, czy to jest czarny kot, czy biały kot.

Jeśli potrafi łapać myszy, jest to dobry kot. Teng Siao-ping,
przewodniczący Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Chin,
grudzień 1978 roku

Z naszego punktu widzenia dominacja Zachodu od czasów odrodzenia
była błędem, który po pięciuset latach wkrótce zostanie naprawiony.
słowa wysokiego rangą funkcjonariusza Komunistycznej Partii Chin
skierowane do ambasadora Stanów Zjednoczonych, 2005 rok

Prolog

Marrakesz

Harry Brock spędził ostatnią godzinę wolności w raju, w cieniu palm,
popijając herbatę o zapachu pomarańczy. Siedział na trawie oparty o pień
drzewa i moczył obolałe nogi w chłodnej wodzie. Na powierzchni unosiły
się białe i żółte płatki kwiatów. Marokańczycy je uwielbiali.

Wsypywali je wszędzie, zwłaszcza do fontann i basenów rozsianych po
całej posiadłości. Piękne pokojówki rozrzucały je nawet na jego łóżku,
ilekroć wychodził do baru lub na spacer do hotelowego ogrodu, jak teraz.
Z głębokiego snu obudził go tego ranka daleki warkot motocykli gdzieś za
gajami pomarańczowymi. Chwilę później muezini zaczęli zwoływać
wiernych na modlitwę. Za oknami widać było wycelowane w niebo iglice
minaretów i białe kopuły meczetów.

Rzucił okiem na zegar. Spał szesnaście godzin. Upłynęła chwila, zanim
przypomniał sobie, gdzie jest.

Pobył w tej eleganckiej rezydencji był dla niego o wiele za drogi, ale co

tam — jeśli wyjdzie z tego żywy, postara się, żeby było go na to stać.

Kawior na śniadanie? Czemu nie! Szampan? Należy mu się to, do cholery, po tym, co przeszedł.

Zawsze mu się należało.

Włożył biały miękki płaszcz kąpielowy i zszedł na basen. Przepłynął sto długości, potem wybrał się na spacer przez gaje cytrusowe z drzewami uginającymi się pod ciężarem owoców. Uważał, żeby trzymać się za wysokimi murami hotelu La Mamounia. I starał się nie oglądać przez ramię co pięć sekund, choć w jego branży takie zachowanie było całkiem naturalne.

Harry Brock był szpiegiem. Wydano na niego wyrok śmierci. Nie dramatyzował zbytnio z tego powodu. Nic nadzwyczajnego. W tym rejonie życie szpiegów było tanie.

Hotel w stylu art deco, położony w sercu pięknego śródmieścia Marrakeszu, zbudowano w latach dwudziestych XX wieku. Prospekt w pokoju Brocka informował dumnie, że w czasie II wojny światowej spotykali się tutaj potajemnie Winston Churchill i Franklin Delano Roosevelt. Można było sobie wyobrazić, jak siedzą skuleni w rogu baru l'Orangerie i rozmawiają cicho przy dzbanku zimnego martini. W grudniu jest to miejsce znacznie przyjemniejsze niż Waszyngton czy Londyn. W tamtych starych dobrych czasach, w epoce Bogarta, kiedy wszystko było jeszcze czarne i białe, bar hotelowy niewątpliwie stanowił raj dla szpiegów. Istniały jeszcze wówczas jakieś zasady, a pocałunek był po prostu pocałunkiem.

W obecnej sytuacji Harry'ego Brocka nie było nic godnego pozazdroszczenia. Zbyt dużo znał różnych tajemnic. Musiał szybko

pozbyć się tego ciężaru. Facet w Waszyngtonie, dla którego teraz pracował, generał Charlie Moore, pewnie uważał, że Harry Brock już nie żyje. Harry musiał się z nim szybko zobaczyć, zanim ktoś rzeczywiście go zlikwiduje. Odkrył coś bardzo ważnego. Dowiedział się, że starzy europejscy przyjaciele Ameryki mają nowego cichego wspólnika — Chiny.

Chłopcy z Pekinu stawali na głowie, żeby przeszkodzić Harry'emu w przekazaniu tej rewelacji jego przełożonym. Chcieli go znaleźć i uciszyć, zanim podniesie alarm.

Harry dziwił się, że jeszcze oddycha. Był żywym dowodem na to, że człowieka jest dużo trudniej zabić, niż się wszystkim wydaje. Zbliżał się do czterdziestki i choć może nie grzeszył mądrością, wciąż potrafił sobie radzić. Jak dotąd.

Za dwie godziny z Marrakeszu odjeżdżał pociąg do Casablanki. Jeśli nadal będzie mu dopisywało szczęście i nikt go nie zabije, wsiądzie do tego pociągu. W piwnych, zaczerwienionych oczach Harry'ego widać było zmęczenie. Został pobity — dosłownie i w przenośni. Z wyjątkiem jego małego przyjaciela między nogami wszystko go cholernie bolało. Do listy narzekań na swój stan fizyczny mógłby dopisać działanie narkotyków, którymi go naszprycowali. Wpompowali w niego taki koktajl, że szumiał jak jakaś cholerna linia wysokiego napięcia. Nie mógł się tego pozbyć z organizmu.

Czas wejść do basenu.

Brock spędził kilka poprzednich nocy w dużo gorszych warunkach. Leżał na ziemi pod gołym niebem, odmrażał sobie jaja i słuchał pierdzenia swojego wielbłąda. Ominął dwa miasta otoczone murami, Goulmine i

Tiznit, i dotarł do pustynnego płaskowyzu u stóp pokrytych śniegiem gór Atlas.

Wykończony, przywiązał swoje cuchnące zwierzę do kępy zarośli i osunął się na skalisty grunt. Z góry widział zamglone światła i minarety Marrakeszu, a dalej marokańskie wybrzeże. Spał mocno, obudził się o wschodzie słońca i ruszył w dół.

Poprzedniego dnia o ósmej rano, po oddaniu śmierdzącego wielbłąda porządnie wyglądającemu chłopcu, stanął z resztką pieniędzy przed ladą recepcyjną. Ciemnooka piękność za komputerem posłała mu czarujący uśmiech. Harry najpierw trochę się odświeżył w męskiej toalecie obok holu hotelowego, zmywając ze swoich długich kasztanowych włosów kurz z paru kontynentów. Z zarostem i ubraniem niewiele mógł zrobić, ale poflirtował z recepcjonistką i dostał pokój z dużą marmurową wanną i balkonem z widokiem na ogrody. W łazience stała miska z płatkami róży: prawdziwy raj.

Był już tak blisko, a jednak tak cholernie daleko.

Usłyszał nad sobą hałas i spojrzał w górę. Do lądowania podchodził odrzutowiec pasażerski Air France z kolejną grupą turystów, którzy z Paryża przylecieli na weekend do ich dawnej kolonii, żeby zostawić kilka tysięcy euro w sklepach z dywanami i nargilami. Dwie godziny na ziemi, a potem wielki zabolot znów zabierze ich na pokład i odleci do domu.

Au rewir, mes amis. Pieprzone francuskie skurwiele. Kiedy sztabowcy generała Moore'a i ludzie w pokojach na siódmym piętrze w Langley usłyszą opowieść Harry'ego o tej męczącej przygodzie, nie uwierzą w to, co teraz kombinują ich dawni „sojusznicy”.

Brock też musiał zdążyć na samolot. Ale nie był to samolot rejsowy i

odlatywał z lotniska pozbawionego takich udogodnień jak pasy startowe. Żeby złapać tę małą maszynę do opylania pól, Harry musiał najpierw wsiąść do pociągu Marrakesz-Casablanca.

Międzynarodowy Port Lotniczy Brock, jak to żartobliwie określał, znajdował się na pustyni, niecałe sześćdziesiąt kilometrów na północ od Casablanki. Był wyschniętą oazą o nazwie Dasght-al Dar, w miejscu, gdzie podziemne źródło tworzyło kiedyś wadi. Teraz pozostał tylko zapomniany punkt na kilku starych mapach. Od ponad stu lat nie zaglądali tam nawet najbardziej spragnieni poganiacze wielbłądów.

Dziś o osiemnastej, o zmroku, nieoznakowany dwumiejscowy dwupłat wylądował na twardym piasku.

Będzie czekał dziesięć minut. Jeśli w tym czasie z kępy palm przy oazie nie wybiegnie ktoś, kogo pilot rozpozna, odleci sam. Harry miał tylko jedną szansę.

Takich agentów CIA jak Brock nazywano NOC. Ten rzadko słyszany skrót pochodził od słów „Not on Consular”. Oznaczał, że jeśli taki facet zostanie złapany, oficjalnie przestanie istnieć. Odejdzie w zapomnienie. Nazwisko Brock nie figurowało na żadnej liście. Gdyby Harry zadzwonił kiedyś do swojego szefa, w tym wypadku do Charliego Moore'a, przewodniczącego Komitetu Szefów Połączonych Sztabów, i powiedział, że ktoś przystawił mu pistolet do ucha, Charlie odrzekłby, że go nie zna i odłożyłby słuchawkę. NOC, operujący za liniami wroga, był najgłębiej zakonspirowanym agentem i w razie jego wpadki nikt się do niego nie przyznawał.

NOC nie mieli uroczystych pogrzebów na cmentarzu Arlington.

Brock trzykrotnie wpadł w ręce wroga. Za drugim razem złapano go w

mieście Tiencin nad rzeką Haj-ho. Uciekł wtedy z chińskiego więzienia. Uznał, że wytrzyma bicie i inne tortury najwyżej jeszcze jeden dzień, więc przelazł przez mur. Dopadli go i próbowali wykończyć, ale znów im się wymknął. Dotarł do rzeki. Stary doker miał go dostarczyć płaskodenną łodzią do francuskiego frachtowca zakotwiczonego w zatłoczonym porcie. Ale doker okazał się informatorem Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, jak każdy szczur w tym cholernym mieście. Brock musiał go zabić. Podciął skurwielowi gardło ostrym nożem bojo-

10

wym i trzymał go pod cuchnącą wodą, dopóki trzydzieści zakrwawionych srebrników nie pociągnęło go na dno.

Harry wziął płaskodenną łódź i sam popłynął w gęstej mgle do frachtowca, odpychając się drągiem od dna rzeki. Tego nie uczą w Quantico ani na Farmie, gdzie go wyszkolono. Powinni to włączyć do programu. Jeśli uda mu się wrócić do domu, będzie musiał wrzucić taką propozycję do skrzynki z sugestiami na siódmym piętrze.

Odnalazł właściwy statek bez pomocy Chińczyka. Chwycił się śliskiego łańcucha kotwicznego, odepchnął nogą łódź i wspiał się na górę. Była druga nad ranem. Znał trochę kapitana i wiedział, że o tej porze marsylczyk Laurent będzie leżał pijany do nieprzytomności na swojej koi. Brock podciągnął się na nadburcie i opadł cicho na pokład rufowy. Dotarł bez przeszkód na mostek i wśliznął się do kajuty Francuza. Laurent zasłonił bulaj kocem, zapewne chcąc rano odespać popijawę.

Wybacz, mon ami. Excusez moi, stary.

W środku było zupełnie ciemno.

I śmierdziało jak cholera. Ale Brock nie rozróżnił paskudnych zapachów w

kajucie kapitana. To był jego pierwszy błąd. Wziął z nocnego stolika dzbanek wody, chlusnął Laurentowi w twarz i przystawił mu ostrze noża poniżej zarośniętego podbródka. Facet cuchnął rybami, potem i dżinem. Powinien się wykąpać.

— Kto był u ciebie? - zapytał go Brock. Jedną ręką przyciskał mu ramię, drugą zagłębiał ostrze w miękkich fałdach luźnej skóry na jego brudnej szyi.— Sypnąłeś mnie, skurwysynu! Dlaczego? Gadaj!

— Wal się, koleś! I tak już po mnie — wycedził Laurent przez zaciśnięte pożółkłe zęby.

— Zgadza się — przytaknął Brock i utwierdził kapitana w tym przekonaniu. Ledwo wytarł krew z noża i wsunął go do nylonowej pochwy na kostce, uświadomił sobie, że spieprzył sprawę.

— Pan Brock? — odezwał się głos w ciemności. Brock pomyślał, że to może być również jego koniec. Kibel! Nie sprawdził cholernego sracza! Drzwi toalety były wcześniej zamknięte. Teraz otwarte. Zobaczył tam jaśniejszy odcień szarości i faceta stojącego przy kiblu. Chryste! Dwóch facetów!

Harry instynktownie odwrócił się bokiem, żeby stanowić mniejszy cel. Zdążył już wyciągnąć swojego małego browninga Buck Mark. Miał

11

skromne umiejętności strzeleckie, ale na szczęście ten pistolet nadrabiał jego braki. Uniósł rękę i nacisnął spust, celując w głowę faceta, gdy niespodziewany cios dłonią złamał mu nadgarstek. Jasna cholera! Broń upadła z hałasem na stalowy pokład, przeciwnik odskoczył w róg kajuty. Harry oczywiście miał jeszcze nóż, ale schowany niewygodnie w pochwie na kostce.

— Niech pan podniesie pistolet, Brock, włoży lufę do ust i trzyma ręce nad głową.

Spluwa w ustach? Cholernie pomysłowi faceci.

— Jeśli to zrobię, nacisnę spust. - Jego mózg rozprysnie się na ścianie.

Harry nie miał zamiaru wracać do Kucharza, faceta, który lubił zanurzać mu głowę w garnku z wrzątkiem. Harry zawsze nosił przy sobie kapsułkę z trucizną na takie okazje jak ta, ale nie chciał połykać tego świństwa, dopóki nie zobaczy jak to wszystko się rozegra.

— Niech się panu przyjrzę, Trygon.

Pod takim pseudonimem figurował we wszystkich dokumentach agencji.

Każdy miał dwa nazwiska - inne na akcie urodzenia, inne w kartotece — i jakiś durny kryptonim, na przykład Trygon. Cholera. Spędził w Chinach sześć miesięcy, z czego dwa w więzieniu. Teraz miał nadzieję wreszcie się stąd wynieść. Był jednak na tyle głupi, że zaufał Francuzowi.

Czy my nigdy niczego się nie nauczymy?

Usłyszał cichy trzask włącznika i rozbłysło światło pod sufitem. Buczące jarzeniówki. W kajucie byli dwaj faceci. Elegancki chiński dżentelmen w starannie wyprasowanej białej marynarce siedział na twardym drewnianym krześle. Nogawki spodni khaki miał wpuszczone w staromodne buty sznurowane do kolan, wypolerowane tak, że lśniły jak lustro.

Był wysoki, jak na Chińczyka. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, proste czarne włosy, które opadały mu na czoło, jasnożółtą cerę, szare oczy i długie rzęsy. Północny typ. Tybetański lub mandżurski. Gdzieś już widział tę twarz. Oczywiście! Na zdjęciu w kartotece w Langley. Cholera, ten gość był wręcz sławny w pewnych międzynarodowych kręgach

terrorystycznych.

Generał Sun-jat Moon. Harry dowiedział się o nim wielu różnych rzeczy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Jak każdy dobry pracownik

12

operacyjny wywiadu, zwłaszcza przydzielony do przewodniczącego Komitetu Szefów Połączonych Sztabów, Brock odrobił pracę domową. Zanim zjawił się w Chinach, zapamiętał dokładnie każdą zmarszczkę na twarzy tego człowieka. Wiedział, w których zębach ma plomby. Znał nawet jego ulubiony film: Most na rzece Kwai.

Teraz to wszystko zaczęło mu się przypominać.

Generał Moon, pięćdziesiąt sześć lat, urodził się w mieście Cilin w Mandżurii. Był wdowcem i miał dwie dorosłe córki bliźniaczki, które od najmłodszych lat szkolono na agentki. Chodziły słuchy, że obie są wysokiej rangi oficerami Te-Wu, chińskiej tajnej policji. Nie znano ich obecnych miejsc pobytu, ale uważano, że obie działają w terenie.

Moon miał duże doświadczenie jako dowódca frontowy. Zrobił karierę w wojsku. Ale co ważniejsze, był zastępcą szefa budzącego postrach Zarządu Operacji Specjalnych Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. W Pekinie znano go jako komunistycznego ekstremistę, zwolennika twardej linii.

Podlegało mu teraz ponad milion żołnierzy.

Moon był też zastępcą szefa Te-Wu. Twardziel. Harry nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jakim skurwielem musi być jego przełożony.

Dżentelmen, który zamierzał go teraz zabić, dowodził również 38.

Brygadą Pancerną, odpowiedzialną za masakrę studentów demonstrujących na placu Tian'anmen w 1989 roku.

Pracowity facet.

Zadaniem Moona było tłumienie ruchów dysydenckich w Chinach. Brock wyobrażał sobie, że jest to równie trudne jak praca w Kalifornijskiej Komisji Kontroli Jakości Rodzynek, w której działał jego ojczym, zanim przeszedł na emeryturę i osiadł w słonecznej Santa Rosa. Po prostu nie ma aż tyle złych rodzynek. Ani tylu dysydentów w Chinach. Na placu Tian'anmen wszyscy nauczyli się trzymać gęby na kłódkę. Nie zaszkodzi też zasłonić sobie oczy i zatkać uszy.

Kumpel Moona, paskudny kurdupel przypominający postać z horroru, miał łysą czaszkę otoczoną tłustymi czarnymi lokami. Opierał się o ścianę i gwizdał jakąś ładną melodię. Ten bandzior też zdążył zdobyć sobie sławę. Był zabójcą z ryszotków Hongkongu. Nazywał się Hu Su. Harry dobrze zapamiętał to nazwisko. Kiedy powtarzał je w Departamencie Stanu, próbował różnej modulacji głosu brzmiało to jak pytanie, które Abbott mógłby zadać Costello. Who's who? Kto jest kim?

Czterogwiazdkowi generałowie i cywile z Pentagonu w końcu zwrócili mu uwagę, że to nie jest śmieszne.

Nie?

Z kartoteki Hu Su wynikało, że jest konsultantem asystującym przy przesłuchaniach. Wyglądał jak orientalne wcielenie Petera Lorre'a, występującego w kiepskim musicalu z Ringling Brothers. To on złamał Harry'emu nadgarstek. Obaj celowali teraz w jego brzuch z samopowtarzalnych pistoletów sansei kaliber 45. Brock wiedział, że jest załatwiony. Miał od tego lekkie mdłości.

— Czekaliśmy cierpliwie na pańskie przybycie, Brock — powiedział Moon po angielsku z oksfordzkim akcentem. Zapalił papierosa i włożył

między wąskie wargi. Mówił dalej, nie wyjmując go z ust. —To mój współpracownik, Hu Su. Pomoże mi wypytać pana o to, co muszę wiedzieć. Jest kimś w rodzaju lekarza. A raczej pracownikiem zakładu pogrzebowego, który zajmuje się żywymi i martwymi. Nie wydaje się pan zainteresowany, Brock.

— Jestem zajęty obmyśleniem planu, jak was zabić, zasrańcy i wydostać się z tego pieprzonego statku. Pański mały kumpel gwizdże fajny kawałek. Co to jest?

— Beethoven.

— Podoba mi się.

Moon parsknął śmiechem.

— Zaciekawia mnie pan, Brock. Trudno pana aresztować. Moi ludzie mieli z panem kłopoty w Pekinie. Porozmawiajmy przez chwilę, zanim weźmie się za pana Hu Su, dobrze? Poznał pan dużo naszych tajemnic? I tak mi pan powie po zastrzykach i zabiegach skalpelem, wykonanych z wprawą przez Hu Su. Co pan właściwie wie?

— Wystarczająco dużo.

— O Tempelhof?

— Nie rozumiem.

— O Happy Dragon?

— Pierwsze słyszę.

— O Lewiatanie?

14

— O Lewiatanie? O jakim Lewiatanie? — zapytał Brock. Moon przez chwilę patrzył mu uważnie w oczy. Miał w tym wprawę.

— Zważywszy dynamiczny rozwój Chin, nie może nas pan winić za nasze

obecne działania, agencie Brock. Chiny są drugim co do wielkości konsumentem ropy na świecie. Wie pan o tym. CIA codziennie bada nasze zużycie.

— Jesteście uzależnieni od ropy, kolego. Witamy w klubie.

— Chiny mają strategiczne rezerwy tego paliwa tylko na osiemnaście dni. Ameryka na sto osiemdziesiąt. Uważamy, że ta dysproporcja jest nie do przyjęcia. Macie Arabię Saudyjską. Macie Irak. Niedługo będziecie okupowali Iran lub Sudan i nasze nowe kontrakty paliwowe z tymi krajami zostaną unieważnione.

— Życie uzależnionych jest ciężkie.

— Podczas swoich ostatnich podróży niewątpliwie przekonał się pan, że Chiny zamierzają położyć kres tej wielkiej niesprawiedliwości w Zatoce Perskiej.

— Mogę usiąść na łóżku obok zmarłego?

— Proszę bardzo. To również pańskie łóżko śmierci, Brock.

— Dzięki. Mam pytanie. Co oznaczają cyfry jeden siedem osiem dziewięć? Powtarzały się, kiedy próbowałem złamać szyfr. Utknąłem na tym.

Moon zignorował to. Czas na nową taktykę. Brock przysiadł na krawędzi koi i zwiesił ręce między nogami jak człowiek, który wie, że przegrał. A potem spojrzał na Moona zmęczonymi, przekrwionymi oczami.

— Ameryka nie wpuści was do Zatoki Perskiej, generale. Nigdy. Może mi pan wierzyć.

— Czyżby? Jest pan tego całkowicie pewien, Brock?

Harry wiedział, że w rzeczywistości Chińczycy już skierowali swoje siły do Zatoki. Ostatnio zdobył informację, że przerzucili do Sudanu ponad pół

miliona żołnierzy. Codziennie ich przybywało. Do Afryki przenikała „tajna armia”, udająca zagranicznych robotników. Miliony ludzi, którzy wykonywali nisko płatną pracę. Saudyjskie pola naftowe znajdowały się tylko trzysta mil morskich od Sudanu.

Ale Brock nie chciał się nad tym rozwodzić. Musiał się skoncentrować na ważniejszej sprawie — jak przeżyć. Musiał jakoś dostarczyć do kraju zdobyte informacje. Chińczycy nie byli głupi. Wiedzieli, że amerykański

15

satelita szpiegowski potrafi odróżnić żołnierza od sudańskiego robotnika. Skurwiele wszystko przewidzieli. Tylko Harry mógł im przeszkodzić. Ale najpierw musiał wyjść z tego cało.

W tej chwili tylko saudyjska rodzina królewska mogła pomóc zachować chwiejny światowy status quo, zapobiec kryzysowi gospodarczemu na skalę globalną. Brock wolał nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby Chińczycy wkroczyli z Sudanu do Arabii Saudyjskiej lub innego kraju nad Zatoką.

Harry zastanawiał się, co mógłby teraz powiedzieć. W końcu podjął decyzję.

— Zapomnijmy o Zatoce, generale. Co z Matką Rosją? Lub z Siostrą Kanadą? Mają mnóstwo ropy.

Moon zachichotał. Spodobała mu się ta „Siostra Kanada”. Miał poczucie humoru, Harry musiał mu to oddać. Bardzo się różnił od większości komunistycznych generałów.

— Wiemy, że Ameryka nigdy nie wpuści Chin do Zatoki — odrzekł Moon. — Ale wpuści tam naszego sojusznika, Brock.

— Czyżby? Kogo? Chyba nie ma pan na myśli Francji?

Ci Francuzi naprawdę go wkurzali. Od dziesięciu lat postępowali nielojalnie wobec Ameryki. Najpierw ich głosy w ONZ-ecie kupował za miliardy Saddam. Potem, w pierwszym okresie wojny o Kuwejt, ich dyplomaci sprzedawali Irakijczykom szczegółowe informacje o swoich spotkaniach z amerykańskimi kolegami. Amerykańscy chłopcy ginęli z powodu dwulicowości Francuzów. W Waszyngtonie nie tylko on był na nich wściekły.

Generał Moon znów parsknął śmiechem.

— Ten kowboj w Białym Domu jest zdolny do wielu rzeczy, panie Brock. Ale na pewno nie zrzuci bomby atomowej na Paryż.

Miał rację. Reportaż CNN, pokazujący zniszczoną wieżę Eiffla, nie byłby dobrze przyjęty w kraju.

— Niech pan nie będzie tego taki pewny, generale - odparł Brock.

-Prezydent jest teraz wkurzony na waszych francuskich koleżków. Ten cały skandal z „ropą za żywność” wnerwił parę osób w Waszyngtonie. Ile miliardów kosztowały Saddama francuskie głosy w ONZ-ecie?

— Wystarczy, Brock.

16

— Jeszcze nie skończyłem. Określenie Miasto Światła może nabrać całkiem nowego znaczenia, mon geneml.

— O co panu chodzi?

— O to, generale Moon, że jeśli wy i wasi francuscy koledzy nie będziecie uważali na to, co robicie, tamto miasto może rozbłysnąć jak w Święto Niepodległości czwartego lipca.

Harry niemal widział, jak w umyśle Moona zapala się termojądrowa żarówka.

— Chyba nie mówi pan poważnie?

— Nie? Niech pan nas sprawdzi, generale. Niech pan nas dalej prowokuje. Moon nie zdążył zobaczyć noża. Nigdy jeszcze nie spotkał tak szybkiego człowieka, jak ten amerykański szpieg. Poczuł tylko przeszywający ból w udzie, gdy ostrze doszło do kości. Brock chwycił swój pistolet i strzelił do Hu Su, który rzucił się w bok do drzwi. Chciał dopiero stamtąd otworzyć ogień do Amerykanina bez narażania na niebezpieczeństwo generała, najpotężniejszego człowieka w Chinach. Mały bandzior wpadł tyłem na przegrodę, z jego szyi trysnęła krew.

Brock ominął go i zniknął za drzwiami. Sekundę później Moon usłyszał plusk. Podbiegł do relingu i spojrzał w dół na powierzchnię wody.

Zobaczył koliste fale i wpakował w to miejsce cały magazynek pistoletu HuSu.

Moon uśmiechnął się i przycisnął do rany w udzie zwiniętą chusteczkę do nosa. Wrócił do Hu Su i mocno obandażował mu szyję zakrwawionym kawałkiem materiału. Przeżyje. Z tym Amerykaninem była dobra zabawa. Te-Wu meldowała, że pracuje sam. Teraz uciekał, ale go złapią, zanim opuści Chiny. Zostanie zabity i nie zdąży powiedzieć nikomu, co wie. Miasto Tiencin było już otoczone szczelnym kordonem wojska. Moon wyjął komórkę i zadzwonił do dowódcy ochrony portu. Pętla zaczęła się zaciskać, kiedy Harry Brock płynął rzeką wśród unoszących się na wodzie śmieci. Miał do pokonania trzy kilometry.

Był zaradnym facetem. Wymknął się z sieci generała. Potem przeniknął przez pilnie strzeżoną granicę mongolską do Kazachstanu. Z wartowni wybiegł żołnierz z jego przefaksowanym zdjęciem. Nacisnął spust AK-47, i Harry dał nura na tył zakrytej ciężarówki, przed którą właśnie otwarto

bramę. Facet za kierownicą najwyraźniej myślał, że strzelają do niego. Wdepnął gaz do podłogi, lawirując zygzakiem. Udało się. Wjechali do Kazachstanu na dwóch kołach.

Po małej przygodzie na wzburzonym Morzu Kaspijskim, kilku niepowodzeniach i paru sukcesach Harry dotarł w końcu do Maroka. Marzył pod palmą o powrocie do domu, gdy kelner w czerwonym fezie pochylił się, by nalać mu herbatę. Ale zamiast tego, wbił mu strzykawkę w szyję. Harry Brock znalazł się z powrotem na statku do Chin.

Rozdział 1

Lazurowe Wybrzeże

Stare miasto portowe atakował bezlitosny wiatr, który dał nieprzerwanie od morza. Od kilku dni panowała w Cannes nietypowa pogoda, zniechęcająca do wychodzenia na dwór. Lodowaty wicher gwizdał w wąskich brukowanych uliczkach między starymi domami i sklepami na wzgórzach nad zatoką. Wciskał się do kominów i w szpary okienne, trząsał drzwiami, za którymi chronili się mieszkańcy.

Wzdłuż całego Côte d'Azur, skupiska najwspanialszych chyba posiadłości na świecie, kurz i zwiędłe liście niesione zimnym wiatrem wirowały wokół -wielkich budynków Le Majestic, Le Martinez i legendarnego hotelu Carlton, stojących ramię przy ramieniu frontem do morza. W porywach wichury z północnego zachodu niepokojąco drżały drogie szyby w hotelowych oknach od strony morza.

Le mistral - tak miejscowi nazywali ten wiatr. Jeśli ktoś szedł ulicą, miał postawiony kołnierz i opuszczoną głowę. Zimno przenikało do szpiku kości.

Ale siedemdziesiąt kilometrów na zachód od tej pogodowej anomalii

ciepłe śródziemnomorskie słońce uśmiechało się do zadowolonego Anglika.

Wesołym facetem za kierownicą starego zielonego roadstera był Aleksander Hawke. Lord Hawke, jeśli chodzi o ścisłość, ale lepiej było go tak nie tytułować. Jedynie Pelham, stary służący rodziny, mógł się zwracać do niego „milordzie”. I tylko dlatego, że kiedyś, dawno temu, zagroził odejściem z tego powodu.

19

Hawke był dość przystojny, szczupły i nieprzeciętnie sprawny fizycznie. Kilka lat temu przekroczył trzydziestkę. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, kwadratową szczękę, niesforne czarne włosy i bystre niebieskie oczy. Sprawiał wrażenie zdecydowanego i stanowczego. Wygląd twardziela łagodził jego uśmiech, który potrafił być okrutny, kiedy Hawke został czymś urażony, ale zazwyczaj był szczery i wesoły.

Jego niedbały stosunek do życia przyciągał kobiety. Ponieważ Hawke był człowiekiem bogatym, jego przygody miłosne dokładnie opisywały brytyjskie bulwarówki. Ożenił się tylko raz. Małżeństwo zakończyło się tragicznie, gdy jego żona została zamordowana tuż po ślubie.

Wielu mężczyzn uważało go za dobrego kompana. Lubił współzawodnictwo, mocne trunki i przygody. Ale niewielu ludzi znało najbardziej interesujące fakty z jego życia. Nigdy nie mówił o swoim dzieciństwie. Kiedy miał siedem lat, przeżył koszmar. Nie okaleczyło go to psychicznie. Stał się dzięki temu silniejszy.

W sumie, mimo smutnych zdarzeń w przeszłości, Aleksander Hawke był wesołym facetem.

Gdyby zapytać Hawke'a, jak zarabia na życie, miałby problem z

udzieleniem szczerzej odpowiedzi. Oficjalnie prowadził duży rodzinny interes bankowo-przemysłowy, ale wymagało to niewielkiego zaangażowania z jego strony. Wybrał starannie odpowiednich ludzi do kierowania swoimi firmami i zostawił im zarządzanie.

Sam okazjonalnie wyświadczał prywatne przysługi rządowi Jej Królewskiej Mości. Kiedy potrzebne były jego specyficzne umiejętności, wykonywał też zlecenia rządu Stanów Zjednoczonych. Jego koledzy lotnicy z Królewskiej Marynarki Wojennej mówili o nim, że jest dobry na wojnie.

Nigdy nie było żadnych śladów na papierze. Po prostu wzywano go, kiedy potrzebowano kogoś, kto nie miał nic przeciwko temu, żeby ubrudzić sobie ręce i potrafił potem trzymać język za zębami. Hawke przypominał w działaniu swoich przodków, osiemnastowiecznych morskich rozbójników, którzy plądrowali statki i wybrzeża w imieniu króla. Był po prostu korsarzem XXI wieku.

Jadąc jaguarem wzdłuż francuskiego wybrzeża na wschód w kierunku Cannes, Hawke czuł się jak mały chłopiec przed Gwiazdką. Był wyjątkowo piękny, wiosenny dzień. Szeroka droga wiała się wysoko nad błękit-

20

nym Morzem Śródziemnym i Hawke pędził z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Gibraltar dawno zniknął z tyłu, Alex nie widział go już w lusterku wstecznym. Żegnaj, cholerna skała. Żegnaj, marynarko wojenna.

Hawke wolał samotność o chlebie i wodzie niż wszelkie oficjalne spotkania. Miał za sobą dwa ciężkie dni odpraw u dyrektora Wywiadu

Marynarki Wojennej w kwaterze głównej brytyjskiej Royal Navy w Gibraltarze. Ostatniego dnia wystąpił gość honorowy dyrektor CIA, Patrick „Cegła” Kelly. Przedstawił ponurą wizję kolejnego poważnego kryzysu w Zatoce Perskiej. Chińskie okręty wojenne wpłynęły na Ocean Indyjski, żeby spotkać się z francuską flotą.

Chiny i Francja? Pozornie nieprawdopodobny sojusz. Ale zagrażający stabilizacji w rejonie Zatoki. A zatem, na świecie.

Nikt w Waszyngtonie nie wiedział dokładnie, czy i kiedy odbędą się te rozreklamowane manewry morskie. Ale wszyscy oficerowie Królewskiej Marynarki Wojennej w Gibraltarze byli oburzeni. Sam pomysł doprowadzał ich do wściekłości. Hawke podejrzewał, że niektórym marzy się powtórka wielkiego zwycięstwa Nelsona pod Trafalgarem. „Migacz” Godfrey dostarczył aż nadto dużo map, faktów, liczb, zdjęć satelitarnych i niepokojących raportów, by pobudzić wyobraźnię decydentów.

Hawke wiercił się na krześle i zastanawiał, po co to wszystko. Francuzi i Chińczycy wpłynęli -wspólnie na Ocean Indyjski. O czym tu mówić?

Można wyrazić wszystko w jednym zdaniu. Większość sytuacji, z którymi komandor Hawke miał do czynienia, była właśnie taka. Jasna i prosta. Ale Królewska Marynarka Wojenna, żeby wypowiedzieć to jedno zdanie, potrzebowała czterdziestoosmiodzinnej nasiadówki w zadymionym pokoju na twardych drewnianych krzesłach.

Placówka wywiadu Brytyjskiej Marynarki Wojennej w Gibraltarze miała wyjątkowo paskudny zwyczaj dostarczania zbyt wielu zbędnych szczegółów. Tę skłonność uosabiał admirał sir Alan „Migacz” Godfrey, nadęty facet, którego nie powinno się dopuszczać w pobliże prezentacji komputerowej. Nawet przy wyświetlaniu swoich staroświeckich slajdów

nie potrafił siedzieć cicho. Kilka razy przyłapał Hawke'a na korzystaniu z prywatnego laptopa w głębi sali odpraw i wygłaszał nieprzyjemne uwagi na ten temat.

21

W końcu zmęczony Hawke uciekł stamtąd. Przekroczył w Gibraltarze granicę Hiszpanii i pojechał wzdłuż ponurego, zdewastowanego wybrzeża tego kraju. Zwiększył obroty silnika swojego C type'a i zaczął rozmyślać o wczorajszej wieczornej odprawie.

Głównym tematem byli cholerni Francuzi. Największe problemy stwarzał ich minister handlu zagranicznego, skorumpowany, antyamerykański potomek Bonapartego. Od jakiegoś czasu coraz bardziej utrudniał utrzymywanie dobrych stosunków z Francją. Jednak naprawdę niepokojącą zagadką były powiązania Francuzów z czerwonymi Chińczykami. Dyrektor CIA zawsze używał przymiotnika „czerwoni”. Na odprawie powiedział:

- Jeśli ci mandaryni w Pekinie nie są czerwoni, to nie wiem już, kto jest. Potem przedstawił dane: w ubiegłym roku budżet wojskowy Chin wzrósł czterokrotnie, do osiemdziesięciu miliardów dolarów; czerwoni kupują od Rosjan lotniskowce i okręty podwodne; budują też w pośpiechu własne, uzbrojone w pociski jądrowe; amerykański i brytyjski wywiad ustaliły, że w ostatnich miesiącach Francja i Chiny siedmiokrotnie przeprowadziły wspólne tajne ćwiczenia morskie w Cieśninie Tajwańskiej.

Cieśnina Tajwańska oddzielająca Chińską Republikę Ludową od Tajwanu, ciernia w jej boku, była niebezpiecznym miejscem. Hawke uważał, że raczej tam, a nie w Zatoce, może wybuchnąć następna wojna światowa. Ale w Admiralicji nikt nie pytał go o zdanie. Nie płacono mu za ocenę

sytuacji geopolitycznej. Zjawił się w Gibraltarze wyłącznie na prośbę Kelly'ego. Dyrektor miał dla niego nowe zadanie. Pilne.

Jak często powtarzał jego bliski przyjaciel ze Scotland Yardu, Ambrose Congreve, po prostu znów nadszedł czas maski i sztyletu. Perspektywa natychmiastowego działania w celu odbicia zakładnika szybko poprawiła mu humor. Hawke zawsze uważał potajemne uwalnianie ludzi z rąk wroga za jeden z najważniejszych celów w życiu. Uśmiech wdzięczności na twarzy uratowanego człowieka był najlepszą nagrodą.

Ten konkretny zakładnik miał wyjątkowe szczęście. Według Kelly'ego tylko dzięki szefowi placówki w Marrakeszu Amerykanie zostali zaalarmowani, że jeden z ich ludzi jest w tarapatkach. Szef placówki wysiadł ze

swojego samochodu przed hotelem La Mamounia, kiedy na tylne siedzenie czarnego sedana ładowano pijanego mężczyznę. Pijany wyglądał na Amerykanina. „Pomagali” mu dwaj Chińczycy. Szef placówki wyczuł, że coś jest nie tak. Wskoczył z powrotem do samochodu i jechał za sedanem przez cztery godziny, aż do portu w Casablance.

Uzbrojeni wartownicy przy trapie uniemożliwiali interwencję. Patrzył bezradnie, jak porywacze wciągają nieprzytomnego mężczyznę na pokład „Star of Shanghai”. Natychmiast zadzwonił do Langley. Jego podejrzenia się potwierdziły. Usłyszał, że prawdopodobnie jest to ich człowiek, który miał wrócić z Chin tydzień temu i został uznany za martwego.

Alex Hawke czuł się jak nowo narodzony. Szybka jazda czyniła cuda. Po godzinie za kierownicą uśmiechał się szeroko. Świeciło słońce, jego świeżo podrasowany C type pędził na prostym odcinku drogi Grand Corniche z prędkością dwustu dziesięciu kilometrów na godzinę. Hawke

pewnie trzymał kierownicę w pozycji za piętnaście trzecia i cieszył się, że wraca do gry.

Mignęła mu tablica miejscowości: St. Tropez. Tylko kilka godzin od celu jego podróży, starego kurortu Cannes. Jak kierowca wyścigowy zredukował bieg na dwójkę, przejechał szybko dwa zakręty w kształcie litery S i odetchnął głęboko.

W czerwcu Prowansja była zachwycająca. Przepiękna. Gdzieś bzycały pszczoły. Alex zawsze czuł pewne pokrewieństwo z nimi. Czyż nie zatrudniano ich podobnie? Pracowały cały dzień dla królowej.

W powietrzu wyczuwało się wiosnę. Nie mówiąc o zapachu gorącego oleju silnikowego Castrol, który unosił się spod długiej maski samochodu. Sama przyjemność. Uczucie czystej mocy, kiedy przy wyjściu z ciasnego zakrętu wciśnie się gaz do podłogi i usłyszy gardłowy ryk sześciocyndrowego XK o pojemności cztery i cztery dziesiąte litra. Reagował fantastycznie. Hawke przez cały dzień wsłuchiwał się uważnie w dźwięk silnika i ani razu nie usłyszał żadnego fałszywego tonu.

Wreszcie dojechał do Cannes i zameldował się w słynnym Carltonie, gdzie facet w recepcji powiedział mu, ile będzie go kosztowała jedna noc w cholernym apartamencie z widokiem na morze.

Rozdział 2

Hampstead Heath

Ambrose Congreve nałożył solidną porcję dżemu truskawkowego na ciepły tost i uniósł go do góry, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Zadowolony popatrzył z satysfakcją na dwa jajka w kieliszkach z niebieskiej porcelany Minton. W słońcu za oknami śpiewały ptaki, na kuchence gazowej gwizdał wesoło czajnik. W ten piękny poranek Ambrose z przyjemnością

jadł śniadanie w zaciszu swojego nowego domu.

Można powiedzieć, że była to pełnia szczęścia.

Legendarny kryminolog z New Scotland Yardu zdał sobie sprawę, że od wielu miesięcy czekał na takie chwile jak ta.

Kiedy przez lata drżał z zimna w swoim małym, ponurym i wilgotnym mieszkaniu w Bayswater, nawet nie śmiał marzyć o takiej zmianie otoczenia.

Do ładnego ceglanego domku w Hampstead Heath przeniósł się niedawno. W czasie II wojny światowej niemieckie bomby niemal zrównały z ziemią posiadłość. Mała willa należała do jego zmarłej ciotki Augusty. Przez pięćdziesiąt lat przywracała ona domek i ogród do pierwotnego stanu. Skończyła zaledwie kilka miesięcy przed swoją nagłą śmiercią w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat. Odeszła spokojnie we śnie. Stojąc nad jej grobem, Ambrose miał nadzieję, że każdy członek rodziny rozstanie się z tym światem w taki sposób.

Podczas otwarcia testamentu pani Bulling w ponurym biurze jej prawnika na Kensington High Street, Ambrose miał nadzieję, że jednak coś odziedziczył. Dawno temu ciotka obiecała mu komplet porcelany Minton. Udawał spokojnego i liczył na to, że nie zapomniła o nim.

Nie zapomniła.

Zaskoczyła wszystkich, zapisując domek Heart s Ease wraz z całą zawartością drogiemu bratankowi, Ambrose'owi Congreve'owi, zamiast swojemu jedynemu synowi, Henry'emu Bullingowi. W biurze prawnika zapadła cisza. Henry Bulling, niedoszły spadkobierca, z zawodu dyplomata niskiego szczebla, siedział przez chwilę zaszokowany z wytrzeszczony-

mi oczami. Rzucił Congreve'owi nieprzyjazne spojrzenie, a potem wstał niepewnie i ruszył chwiejnie do drzwi.

Prawnik, pan Reading, odkaszlnął w zaciśniętą pięść i przełożył dokumenty na blacie wielkiego biurka. Po kilku sekundach trzasnęły głośno drzwi toalety w końcu korytarza. Rozległy się przytłumione odgłosy przypominające wymioty. Prawnik wrócił szybko do czytania testamentu. Wszyscy nastawili uszu. Pani Bulling miała łaciatą kotkę imieniem Felicity, kontynuował Reading, najwyraźniej chorą. Powierza ją swojemu synowi Henry'emu wraz z pokaźną sumą tysiąca funtów.

To było na razie ostatnie z wielu rozczarowań jakie spotykały Henry'ego. Ambrose znał go od urodzenia. Od początku wyglądało na to, że los tego chłopca jest przesądzony.

Jedyny syn Augusty nie miał w życiu szczęścia. Na głowie wyrosły mu rzadkie ryże włosy. Natura nie obdarzyła go mocno zarysowaną szczęką i wystającym podbródkiem, charakterystycznymi dla większości mężczyzn z rodu Bullingów. Z trudem dawał sobie radę w różnych prywatnych szkołach, w końcu wyleciał z Cambridge za rozpustę, jak to wówczas nazywano. Przyłapano go w szafie z żoną wykładowcy w kompromitującej (i trudnej do naśladowania) pozycji.

Henry przyszedł na świat w Brugii. Jego ojcem był jeden z mężów Augusty, bezwartościowy bawidamek, jakiś belgijski szlachcic. Młody Bulling nie palił się do pracy. Żadna posada nie odpowiadała mu dłużej niż przez miesiąc. W pewnym momencie Ambrose po prostu przestał szukać mu zajęcia. Nazywał swojego leniwego kuzyna „belgijskim mokasynem”, choć uważał to za obrazę dla tych wygodnych, ręcznie robionych butów.

Były bardzo eleganckie i praktyczne. W przeciwieństwie do Henry'ego. Henry wyjechał do Paryża, gdzie przez kilka lat udawał, że studiuje na Sorbonie. Ustawiał sztalugi nad Sekwaną i malował. Spłodził szereg wielkich płócien, które Ambrose oceniał jako sceny bezmyślnej przemocy. W latach osiemdziesiątych Henry Bulling stracił znaczną część pieniędzy matki podczas krachu finansowego Lloyda. Wrócił goły do willi matki w Hampstead Heath i wprowadził się do pokoi na górnej kondygnacji domku ogrodnika. Później przeniósł się do nędznego mieszkania w mieście. Mimo to pozostał snobem. Mówił z fałszywym francuskim akcentem i nosił różowe koszule Charvet z Paryża, po sto dolarów za sztukę, na które nie wystarczała jego urzędnicza pensja w Ambasadzie Francuskiej w Knightsbridge.

Nie zajmował tam wysokiego stanowiska — pracował w dziale transportu i handlu — ale w jakimś stopniu przydawał się królowej i ojczyźnie.

Henry Bulling był szpiegiem. Zarabiał dodatkowo kilka szylingów, obserwując, co się dzieje we francuskiej placówce dyplomatycznej, składając regularnie raporty Yardowi. Ponieważ Ambrose był jego bliskim krewnym, spadło na niego cotygodniowe wysłuchiwanie plotek i oglądanie kopii bezwartościowych dokumentów, które Bulling potajemnie chował w swoim neseserze przed wyjściem na lunch. Ambrose spotykał się z kuzynem na ławce w St. James s Park. Ten niezbyt pomysłowy sposób kontaktu sprawdzał się całkiem dobrze.

W przyległej kuchni krzątała się nowa gospodyni Congreve'a, May Purvis, silna, ładna szkocka góralka. Po śniadaniu brała się do codziennych porządków, odkurzania i poprawiania poduszek. W tej chwili wykladała szuflady starannie przyciętymi kawałkami chińskiej tapety w kwiaty i

krajobrazy.

May miała zwyczaj pogwizdywać przy pracy, co podobało się Ambrose'owi. Zaczynała jakąś melodię i powtarzała ją przez godzinę. Potem zmieniała repertuar. Ambrose obserwował ją co rano i próbował sobie wyobrazić, jak wygląda życie małżeńskie. Spokój, wygoda, bezpieczeństwo. Idylla. Nieśmiały uśmiech pani Purvis, kiedy nuciła przy sprzątaniu odkurzaczem... Czasami zastanawiał się, czy gdzieś ktoś na niego czeka...

Chyba nie, bo do tej pory już by ją znalazł. W końcu przekroczył pięćdziesiątkę.

Zadowolony z życia ugryzł tost, westchnął błogo i wrócił do lektury „Timesa”. Sytuacja ekonomiczna w Europie nie wyglądała dobrze.

Niemcy i Francja odnotowały zastój gospodarczy. Co zaskakujące, Francja występowała z Unii. Po kolejnym zabójstwie politycznym panowało tam zamieszanie. W Brukseli pojawiły się oznaki paniki. I tak dalej, i tak dalej. Strona po stronie. Congreve zastanawiał się czasem, po co zawraca sobie głowę cholernymi gazetami. Codziennie złe wiadomości.

Ale poza tym, wszystko było w porządku. W każdym razie w tym małym słonecznym zakątku świata, który do niego należał. Jego stare, ponure mieszkanie w Bayswater zniknęło już we mgle zapomnienia. Zastąpiła je ta mocna ceglana budowla w georgiańskim stylu. Z imponującymi kominami na obu końcach łupkowego dachu, z pięknym półkolistym oknem nad drzwiami. To nie był duży dom, ale ładny. Congreve miał kilkaset metrów nasłonecznionego trawnika, grządki peonii i lilii, i miejsce, gdzie hodował swoje ukochane dalie. Było ich mnóstwo: Polar Beauties, Golden Leaders i jego ulubione Requiems.

Wszystko w jego życiu wydawało się całkiem nowe. Niedawny nabytek, spaniel Ranger, leżał zwinięty u stóp swojego pana, śpiąc w ciepłym słońcu. Congreve sięgnął w dół, żeby pogłaskać psa, gdy nagle Ranger spojrział w górę i warknął głośno.

— Co się tam dzieje, pani Purvis? — zapytał Congreve.

— Nie wiem.

Z holu dochodziło walenie w drzwi frontowe, ale kobieta zajęta tapetowaniem szuflad nie zwróciła na to uwagi.

— Ktoś się do nas dobija. Dzwonek nie działa?

— Zaraz sprawdzę.

— Bardzo proszę.

— Już leczę.

Ranger popędził przed nią po zużytych oliwkowym dywanie, ujadając wściekle. Congreve zajrzał w gazetę. Starał się zignorować przytłumioną rozmowę przy drzwiach i skoncentrować na artykule. Cholerni Francuzi prowadzili wspólne ćwiczenia morskie z Chińczykami. I to już po raz siódmy. Przez lata próbowali stworzyć zjednoczoną Europę, a teraz działali na własną rękę. Smutne, ale prawdziwe. Może trzeba będzie mocniej przycisnąć młodego Bullinga.

Wróciła pani Purvis.

— Przyszło dwóch panów.

— W jakiej sprawie?

— Nie wiem. Chcą mówić z panem i mówią, że to pilne.

— Chryste, nie ma od tego ucieczki? — Congreve wstał i podciągnął suwak wełnianej bluzy, którą włożył dla ochrony przed porannym chłodem. - Niech pani im powie, że zaraz przyjdę. Proszę poczęstować ich

herbatą. I proszę zawołać psa. Lepiej, żeby nie ugryzł policjanta.

— Skąd pan wie, że to policjanci?

27

— O ile pamiętam, mówiłem pani, że jestem detektywem.

-Ale...

— Mężczyźni chodzący parami to zawsze gliniarze, pani Purvis.

- Albo geje - odparła z błyskiem w niebieskich oczach.

Rozdział 3

Cannes

Tej nocy ruch na Le Croisette, szerokim nadmorskim bulwarze obsadzonym palmami, był minimalny z powodu straszliwego zimna.

Między hotelami kursowało kilka czarnych taksówek mercedesów, od czasu do czasu przed Majestikiem lub Carltonem zatrzymywało się ja-skrawoczerwone ferrari lub żółte lamborghini z arabską rejestracją, żeby wysadzić długonogą blondynkę, która właśnie przyjechała z Paryża odwiedzić „chorego wujka”.

Hawke zauważył już wcześniej, że ci wszyscy cholerni chorzy •wujkowie rzadko wychodzą ze swoich zamkniętych nor. Co tam, na Boga, robią przez cały dzień z tymi długonogimi siostrzenicami?

Tuż po dziesiątej w ten piątkowy wieczór, w eleganckiej szaro-białej sypialni apartamentu w hotelu Carlton Aleksander Hawke i świeżo poznana kobieta uprawiali seks, miotając się na ozdobnym łóżku w mocno pogniecionej pościeli. Kiedy Hawke namiętnie całował kobietę w usta, zerknął na swój zegarek do nurkowania. Żarząca się słabo niebieska tarcza potwierdzała to, co sygnalizował atomowy zegar w jego głowie, wewnętrzne urządzenie biologiczne, które jak zawsze było dokładne co do

minuty.

Czas się ruszyć.

- Du vent - wymamrotała kobieta, przerywając płynne ruchy, żeby spojrzeć na żaluzje uderzające gwałtownie w drzwi balkonowe. Szybkość wyjącego zimnego wiatru musiała dochodzić w porywach do trzydziestu węzłów.

28

— Owszem — odrzekł Hawke i pogładził ją delikatnie po policzku.

— C'est terrible, prawda?

— Mhm — mruknął Hawke, zaprzątnięty już czymś innym.

Bezwiednie wygiął się do tyłu. Z jego ust wyrwał się krzyk. Kobieta wciąż ciężko dyszała. Siedziała na nim okrakiem. Podziwiał jej figurę.

Była naga, tylko na ramionach miała czarną etolę, spiętą luźno pod szyją diamentową broszą, zapewne Van Cleef, sądząc po oprawie. Między jej pełnymi piersiami o ciemnych sutkach spływała strużka potu, na wysokim czole lśniła wilgoć.

Kobieta była uderzająco piękna. Zadziwiająco. Komandor Hawke dopiero niedawno poznał jej imię — Jet. Nie używała nazwiska, więc musiała być sławna. Gwiazda filmowa, najwyraźniej dobrze znana w Chinach. Hawke, który najbardziej lubił czarno-białe filmy kręcone na zapleczach Hollywood lub w Shepperton Studios przed i w czasie wojny, nigdy nie widział jej w żadnej roli. I nie zależało mu na tym.

Wiedział o tej kobiecie bardzo mało. Właściwie tylko to, co widział.

Ciemne oczy, czerwone usta i miękkie kontury ciała.

Poznali się tego popołudnia w Antibes. Niemiecki potentat przemysłowy Augustus von Draxis wydawał elegancki lunch (na trawie pod sosnami przy swojej jasnoniebieskiej rezydencji Villa Felix) i wspaniałomyślnie

zabrał kilkoro gości swoją smukłą motorówką z nabrzeża przy Carltonie. Podczas krótkiego rejsu z Cannes do Antibes przez wzburzone wody zatoki Hawke i ta kobieta siedzieli razem na rufie. Łodzią mocno kołysało i Hawke podziwiał nonszalancję swojej towarzyszki podróży.

— Nadawałaby się pani na marynarza — powiedział do niej. Jej mina wskazywała, że nie uznała tego za komplement. Wzdrygnęła się.

— // fait froid. — Patrzyła na jego znoszony irlandzki sweter rybacki.

Poza mundurem Royal Navy i wizytową marynarką Hawke miał niewiele ubrań. Kobieta była tylko w czarnej jedwabnej minisukience bez ramion i naszyjniku z dużych czarnych pereł tahitańskich. Hawke zauważył ich nieregularne kształty i pomyślał, że muszą być drogie. Jet nie ubrała się odpowiednio do pogody. Chciała się podobać mężczyznom.

Ściągnął przez głowę gruby wełniany sweter i wręczył jej.

— Przepraszam. Nie pomyślałem o tym.

— Właśnie — odrzekła. Udało jej się włożyć sweter prawie bez szkody dla wystylizowanej fryzury i makijażu. Hawke przyłapał się na tym, że obserwuje każdy jej ruch. Znał sporo mężczyzn zauroczonych kobietami o orientalnej urodzie. Nigdy ich nie rozumiał. Aż do tej chwili.

Popatrzyła na jego czarne włosy i bystre niebieskie oczy.

— Pan jest chyba Irlandczykiem — powiedziała, wyrywając go z zamyślenia.

— Nie. Mieszkańcem. Ojciec Anglik, matka Amerykanka.

Przez krótką chwilę jakby się nad czymś zastanawiała, ale nie skomentowała tego. Poprawiła sukienkę, odsłaniając uda i czarne podwiązki, przytrzymujące ażurowe pończochy. Te rzeczy zawsze go podniecały.

— Mieszka pani w Carltonie? — zapytał. Nie był przyzwyczajony do flirtowania i czuł się niezręcznie. Skoro jego nieudolne próby nawiązania rozmowy z tą piękną kobietą jemu samemu wydawały się żalosne, to wyobrażał sobie, jak brzmią w jej uszach.

Ale zdobyła się na półuśmiech.

— Nie. Wyszłam na brzeg po zakupy. Jestem gościem na pokładzie tamtego jachtu. Przy płynęliśmy na festiwal filmowy i zostaliśmy dłużej. Właścicielowi podoba się tutaj.

Hawke spojrzał ponad wodą na imponujący biały żaglowiec.

— Mówi pani o „Valkyrie”? — Dobrze wiedział, że tak, ale wołał udawać niezorientowanego. Niemiecki jacht był sławny. Miał dziewięćdziesiąt metrów długości, dwanaście szerokości, trzy w pełni zautomatyzowane maszty z włókna węglowego i dwa tysiące czterysta piętnaście metrów kwadratowych żagli. Zbudowała go w ścisłej tajemnicy stocznia von Draxisa w Hamburgu. Hawke słyszał, że „Valkyrie” może osiągnąć z wiatrem prędkość grubo przekraczającą dwadzieścia węzłów. Była największym prywatnym żaglowcem na świecie.

— Tak, o „Valkyrie”. Należy do barona von Draxisa. Skąd pan go zna?

— Nie znam. Ktoś wsunął mi jego zaproszenie pod drzwi.

— Ach tak. Schatzi to mój stary dobry przyjaciel. Widzę, że podoba się panu jego jacht. Może będę mogła oprowadzić pana po nim.

— Oprowadzić? Wolałbym nim pożeglować. Hawke pożerał jacht wzrokiem.

— Jest pan żeglarzem, monsieur?

— Starym wilkiem morskim z marynarki wojennej.

Kiepsko to wypadło i Hawke szybko odwrócił wzrok. „Stary wilk morski”? Nie jest jeszcze taki stary. I właściwie przestał już być oficerem marynarki wojennej. Jest raczej kontraktowym doradcą. Boże jak to śmiesznie i głupio brzmi. Natychmiast zawstydził się swoich prób oczarowania tej kobiety. Głębokie poczucie winy poraziło go tak, jakby połknął naładowany akumulator.

Przez dwa lata starał się stłumić ponure wspomnienie o bolesnej stracie: śmierci jego ukochanej żony Victorii zamordowanej na schodach kościoła kilka minut po ich ślubie. Odsuwał od siebie brutalny obraz zakrwawionej koronkowej sukni. Ale rozpacz pozostała. Czaiła się na obrzeżach jego świadomości jak głodna bestia z wyszczerzonymi kłami i gorącym oddechem. Próbował od tego uciec i mu się nie udało.

Nazywał swój koszmar „czarnym psem”.

Sześć miesięcy po zabójstwie żony lekkomyślnie odnowił na krótko pewną znajomość. Nie mógł sobie tego wybaczyć, ale się stało. Ta kobieta, dawna bliska przyjaciółka Consuelo de los Reyes, przestała się do niego odzywać. Nie odpowiadała na telefony i nie przyjmowała kwiatów. Nie winił jej za to. Po pewnym czasie dał sobie spokój i zamknął się w swoich czterech ścianach.

Tragiczny los w końcu wygrał trwającą całe życie bitwę. Kiedy Alex Hawke miał zaledwie siedem lat, był świadkiem przerażającego zabójstwa swoich ukochanych rodziców na jachcie na Karaibach. W środku nocy na pokład weszli piraci. Zgwałcili matkę i podcięli jej gardło. Ojca ukrzyżowali na drzwiach, za którymi ukrył się Alex. Wszystko widział. Siedział cicho, żeby przeżyć.

Teraz też o tym nie mówił. Z tego samego powodu.

Na prawie dwa lata po prostu zniknął z własnego życia. Zamknął swój dom w Gloucestershire i uciekł. Żeby o tym nie myśleć. Najdalej jak mógł. Do Tybetu. Na Malaje. Do Birmy. Herbata i wegeterianizm. Żadnego alkoholu. Codzienna dyscyplina. Jin-jang. Tai chi. Górską wspinaczką. Medytacje. Post. żył w ustroniu na pięknej tajskiej wyspie Samui. Nic z tego nie wyszło.

Samotny w swojej jednopokojowej chacie nad zatoką Martaban słyszał nocą „czarnego psa”. Widział go. Bestia siedziała na skraju zielonej dżungli i dyszała z odsłoniętymi różowymi dziąsłami i kłami. Uciekł do Anglii. Otworzył dom na Belgrave Square. Po powrocie do Londynu spróbował alkoholu. Rumu pana Goslinga. Wypił morze tego mocnego trunku. To też nic nie pomagało i co rano czuł się fatalnie.

Jego najlepszy przyjaciel, nadinspektor Ambrose Congreve, powiedział mu, że ten okres żałoby trwa za długo. Chyba czas zacząć się spotykać z kobietami.

Patrząc teraz na Jet w łóżku, Hawke pomyślał, że być może światowej sławy detektyw odkrył kolejną tajemnicę życia.

Hawke potrzebował kobiety. Być może właśnie tej.

Rozdział 4

Antibes

Przy jednym z różowych stolików nakrytych do lunchu pod szumiącymi sosnami Hawke doszedł do wniosku, że Jet jest dziewczyną, która chce być złapana. Kiedy miał dziewięć lat, jego dziadek, niewyczerpane źródło mądrości, powiedział mu, żeby nigdy nie gonił dziewczyny, która nie chce być złapana. Hawke nie rozumiał wtedy tej rady. Teraz tak.

Na niebo wróciło słońce, blade jak znikający księżyc. Hawke cieszył się z

tego, że tu przypląnął. Przy bouillabaisse, poisson du jour i sorbet au citron starał się być dowcipny i czarujący.

Nie było to łatwe. Czuł się jak kiepski aktor, który ciągle zapomina swojej kwestii. Brak praktyki.

Po lunchu poszli we dwoje na spacer zwirową ścieżką. Po obu stronach ciągnął się wypielegnowany ogród z szałwią, lobelią i smagliczką skalną.

Szeroka alejka prowadziła do pięknego hotelu na niskim zalesionym wzgórzu. Hotel du Cap z pewnością zasługiwał na swoją renomę.

Popołudnie upływało całkiem przyjemnie. Dziewczyna była oszłamiająca. Hawke zjadł tuzin portugaises i popił znakomite ostrygi zimnym białym winem. „Czarny pies” się nie pojawił.

32

Wkładając ostrygę do ust, Hawke zapytał Jet:

- Wiesz, kto jest najodważniejszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek żył?

-Ty.

- Nie. Ten, kto pierwszy zjadł ostrygę.

Były następne ostrygi, jeszcze więcej szampana w drodze powrotnej do Carltona, przy kolacji i w Le Petite Bar na dole, a później piękna Jet znalazła się tutaj, w jego łóżku.

- Le vent - powtórzyła teraz w ciemności sypialni w Carltonie. Hawke odgarnął jej z twarzy kruczoczarne włosy, przycięte skośnie przy policzkach.

- I co z tego?

- C'est mai, ten wiatr.

- Wiatry mają zwyczaj hulać od czasu do czasu - odrzekł Hawke. - Jak ludzie.

- Gdzie mieszkasz? — zapytała.

- W Londynie i jego okolicach. A ty?

- W Paryżu. Przy Avenue Foch.

- Eleganckie miejsce.

- To nie jest twój apartament, panie Hawke.

Zsiadła z niego, przetoczyła się w bok, zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. Jej czarne oczy błyszczały w świetle czerwonego ognika.

- Czyżby? - zapytał z rozbawieniem Hawke. - Dlaczego tak myślisz?

- Nie ma tu szczoteczki do zębów ani maszynki do golenia - odparła i wypuściła dym w kierunku sufitu. Przyjrzał się jej uważnie. Miała najczarniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widział. Hawke wierzył, że umie czytać w ludzkich oczach. Pewnie uważa tak większość ludzi. Przez cały dzień starał się coś wyczytać z oczu Jet, ale bez skutku.

- Ach, o to chodzi — powiedział.

- I o kartonik z twoim nazwiskiem na korytarzu przy drzwiach. Sam to napisałeś. To nie jest wydrukowana wizytówka, jakie recepcja daje nowym gościom.

- Przyznaję się do winy.

- Jesteś włamywaczem? Wszedłeś tutaj po rynnie jak kot?

- Nie, moja droga. Nie cierpię kotów. Poza tym do tego pięknego pałacu nigdy nie wpuściliby domowego zwierzątka.

Hawke przerzucił swoje długie nogi przez krawędź łóżka.

- Dokąd idziesz?

- Na balkon. Muszę coś sprawdzić. Dziś w nocy ma odpłynąć do Szanghaju mój stary znajomy. Chcę się upewnić, czy nie uciekł mu statek.

- Nie zatrzymuję, panie Hawke.

Nie zwracał sobie głowy wkładaniem koszuli i spodni. Narzucił tylko marynarkę i wyszedł na zewnątrz. Po drodze wziął wojskową lornetkę Zeiss Ikon w gumowej osłonie, którą powiesił wcześniej na klamce drzwi balkonowych. Uniósł ją do oczu i zobaczył wzburzone morze. Komandor Aleksander Hawke wiedział, że taka pogoda nie jest niczym niezwykłym w tym zakątku świata.

Całe Morze Śródziemne przeciska się przez ucho igielne. Tylko dwadzieścia pięć kilometrów wody oddziela Ceutę w północnej Afryce od Skały Gibraltarskiej, bezgłowego wapiennego sfinksa, przycupniętego na maleńkim półwyspie. Starożytni nazywali skały po obu stronach cieśniny Słupami Heraklesa. Za nimi znajdował się chaos — ciemny, straszny ocean, zwany przez nich Marę Tenebrosum.

Morze dziś też jest straszne. Niebo miało siny kolor, żółtawoszary na horyzoncie.

Hawke lekko się uśmiechnął. Uwielbiał złą pogodę. Na południu Francji nie brakowało słonecznych dni, ale jemu podobał się ponury nastrój tej nocy. Poza tym taka pogoda mogła zniechęcić wścibskich do wchodzenia mu w drogę. Dziś miał łatwe zadanie. Do uwolnienia zakładnika wystarczą podstawowe techniki działania, których się nie zapominało po morderczym szkoleniu w morskiej jednostce specjalnej SBS.

Ale, jak zawsze w życiu Aleksandra Hawke'a, konsekwencje porażki byłyby bardzo poważne.

Przesunął lornetkę na zachód i popatrzył na port. To, czego szukał, znalazł w gąszczu wspaniałych jachtów, kutrów rybackich i masztów żaglowców. Stała tam stara zardzewiała łajba o nazwie „Star of Shanghai”. Przyplłynęła z Casablanki i miała wyruszyć z Cannes do Adenu, a potem zawinąć do

Rangunu. Hawke dowiedział się dwa dni temu, że na jej pokładzie jest amerykański pasażer mimo woli. Facet z CIA, którego życie zależało od niego...

34

— Alex? — dobiegło z ciemnej sypialni. Jet mówiła po angielsku i francusku ze śpiewnym chińskim akcentem. Jej głos zabrzmiał w jego uszach jak dźwięk gongu.

— Przepraszam — odpowiedział przez szum wichury, obserwując przez lornetkę horyzont. - Zaraz przyjdę. Nalej sobie szampana. Wiaderko stoi przy łóżku.

Wyobraził sobie drwiący uśmiech swojego starego przyjaciela Ambrose 'a Congreve'a. Kawior, szampan, pobyt w Carltonie. A w łóżku...

Nigdy nie wzięłby astronomicznie drogiego narożnego apartamentu numer 801 (od pierwszego zadania w marynarce wojennej lubił małe pokoje z pojedynczymi łózkami i sztywną białą pościelą), gdyby nie panoramiczny widok z balkonu na ósmym piętrze. Ze swojego luksusowego punktu obserwacyjnego Hawke widział wszystkie statki wchodzące do portu i wychodzące w morze. Od dwóch dni śledził dyskretnie ruch na wodzie. Jego własny jacht, „Blackhawke”, stał na kotwicy pół mili morskiej od wejścia do portu. Wyglądał jak droga zabawka jednego z wielu nadzianych facetów, którzy przybywali do tej mekki bogaczy na Lazurowym Wybrzeżu. W rzeczywistości był małym okrętem wojennym, tak zamaskowanym w stoczni Huismana w Holandii, że przekonująco udawał jacht.

Niezwykła nazwa statku nie została wybrana przypadkowo. Hawke ochrzcił go tak ku czci swojego przodka, angielskiego pirata,

Blackhawke'a. John „Black Jack” Hawke, urodzony w Plymouth, wyruszył w morze jako chłopiec okrętowy. Służył pod rozkazami niesławnej pamięci „Calico Jacka” Rackhama. Korsarz ten był znany z tego, że lubił barwne stroje z perkalu kaliko i miał piękną żonę, piratkę Annę Bonny. Po kilku latach Calico Jacka powieszono za piractwo w Port Royal. Młody Hawke, ceniony już za odwagę i wyjątkowe szczęście, został jednogłośnie wybrany przez załogę na następcę kapitana Rackhama.

— Do kogo należy morze? — pytał.

— Do Blackhawke'a! — brzmiała zawsze chóralna odpowiedź. Z czasem, gdy Black Jack Hawke zdobył reputację, zaczął być znany pod krótszym, łatwiejszym do zapamiętania nazwiskiem Blackhawke.

Działał na Karaibach, gdzie z upoważnienia władz kolonialnych Jamajki łupił Hiszpanów. Jego załogę nazywano „braćmi wybrzeża”. Zrabowane przez nich dziesiątki milionów w złocie i towary po dziś dzień są ukryte na skalistym wybrzeżu ówczesnej Hispanioli.

Motto młodego kapitana piratów brzmiało: „Szczęście sprzyja szybkim”. I dobrze na tym wychodził. Blackhawke używał małych lekkich żaglowców nazywanych balandra. Budowano je specjalnie dla niego w jego rodzinnym Plymouth. Nie miał kłopotów z doścignięciem nawet najszybszej ofiary. Kiedy ją wypatrzył i jego okręt „Revenge” ruszał w pościg, nie miała szans.

Okrutny i bezlitosny w walce Blackhawke jako jeden z pierwszych używał Jolly Rogera, czarnej flagi pirackiej z symbolami zaczerpniętymi ze starych nagrobków w jego ojczyźnie: trupa czaszką, skrzyżowanymi piszczelami i klepsydrą, żeby pokazać ofierze, jak szybko kończy się jej czas.

Naukowcy przypisali później ogromne sukcesy Blackhawke'a jego nietypowemu jak na pirata zachowaniu. Był bardzo inteligentny, pił tylko herbatę, nigdy nie przeklinał przy kobietach i święcił każdą niedzielę. Trafił na szubienicę w londyńskim więzieniu Old Bailey za to, że uderzył zbuntowanego członka załogi wiadrem w głowę i go zabił. Blackhawke'a powieszono na brzegu Tamizy ku przestrodze dla tych, którzy chcieliby prowadzić pirackie życie.

Jego potomek nie zważał na to ostrzeżenie.

„Blackhawke” płynął cały dzień z Korsyki i dotarł na pozycję tuż po zmroku. Hawke porozmawiał z szefem swojej ochrony, Tomem Quickiem, i kazał zgasić wszystkie zbędne światła na pokładzie. Z luksusowego punktu obserwacyjnego Hawke'a na balkonie hotelu ciemna sylwetka jachtu przypominała jakąś niezamieszkaną wysepkę blisko wybrzeża.

„Star of Shanghai” zawinął do portu w Cannes poprzedniego popołudnia. Hawke nie dostrzegł na statku niczego intrygującego. Frachtowiec był teraz przycumowany do długiego, wąskiego mola na wschodnim krańcu portu. Hawke skierował lornetkę na statek, lustrując go, od dziobu do rufy. Że też ta łajba jeszcze pływa. Co oni na nią ładują? Wyglądało to jak wielkie beczki z polerowanej stali. Z dokumentacji wynikało, że są to części samochodowe dla fabryki Renault. Statek miał duże zanurze-

36

nie. Na nabrzeżu czekało więcej masywnych stalowych cylindrów. Były okryte jaskrawopomarańczowym brezentem. Niby nic podejrzanego, ale nigdy nie wiadomo.

Frachtowiec miał odpłynąć za godzinę. We francuskich portach zdarzały się opóźnienia, ale czas już ruszać.

Hawke opuścił lornetkę i zauważył nagły brak wiatru. Przestało wiać tak samo niespodziewanie, jak zaczęło czterdzieści osiem godzin temu.

Temperatura wyraźnie wzrosła i od morza nadciągała gęsta lepka mgła.

Hawke odwrócił się i wszedł z powrotem do sypialni. Jego umysł gorączkowo pracował.

— Co robisz? — zapytała z niezadowoleniem Jet. Siedziała w łóżku i bezskutecznie próbowała zasłonić kształtne piersi rogiem prześcieradła.

— Wybacz, skarbie, mam spotkanie — odrzekł Hawke. Włożył bieliznę i czarne spodnie. Otworzył szufladę i wyjął nową nylonową kaburę z pistoletem. Spędził długie dni w Ośrodku Szkoleniowym Królewskiej Marynarki Wojennej w Fort Monkton niedaleko Portsmouth, gdzie ćwiczył strzelanie w videosymulatorze. Potrafił teraz wyciągnąć broń i oddać strzał w ćwierć sekundy. Zamierzał skrócić ten czas o jedną piątą. Nie chciał w ostatnich sekundach życia liczyć dziur po pociskach w swoim ciele.

Nosił pistolet za plecami po prawej stronie. Przekonał się, że wtedy może go najszybciej wyciągnąć. Niedawno kupił lekkiego walthera TPH. Miał nadzieję, że jest tak skuteczny, jak go reklamują. Tom Quick, były snajper armii amerykańskiej i ekspert od broni, zapewniał go, że ten pistolet jest bardzo dobry do prowadzenia ognia z bliska.

— Więc jesteś kimś w rodzaju szpiega, tak? Agentem wywiadu albo kontrwywiadu?

— Raczej szpiegiem w odręcznej sprzedaży.

— To znaczy?

— Do nabycia bez recepty - odparł Hawke. Zważył w ręce pełen magazynek i wcisnął go w kolbę pistoletu.

— Nie rozumiem.

— Łatwo dostępnym. Szpiegostwo ogólne. W skali światowej. Wtykanie nosa w cudze sprawy. Nic ciekawego, możesz mi wierzyć. Równie dobrze mógłbym studiować prawo.

— A broń?

— To wyłącznie środek ostrożności. Na wypadek, gdybym spotkał konkurenta z branży szpiegostwa gospodarczego.

— Gówno prawda.

Spojrzał na nią. Ta odzywka nie pasowała do niej. Kobiety mają prawo używać takiego samego języka jak mężczyźni. Nie był hipokrytą. Ale nie podobało mu się to.

— Czyżby? Skąd wiesz, skarbie? — zapytał, sięgnął za plecy i wsunął pistolet do kabury. Potem wziął nóż.

Przywiózł go kilka lat temu z Kataru. Sztylet z długim ostrzem nazywał się Pięć Zabójcy. Hawke nosił nóż przypasany do wewnętrznej strony prawego przedramienia w urządzeniu do szybkiego wysuwania, które jego przyjaciel Stokely Jones doprowadził do perfekcji w delcie Mekongu. Nóż był w użyciu mnóstwo razy. Hawke zmienił ostatnio ostrze na piętnastocentymetrowe, z najlepszej stali Sheffield.

Aktorka zrobiła urażoną minę.

— Więc masz spotkanie, tak? O tej porze? Nie bądź śmieszny.

— Bardzo mi przykro, kochanie - powiedział Hawke i wciągnął przez głowę gruby czarny golf.— Robota na morzu. Wolny strzelec musi być zawsze do dyspozycji.

Cmoknął ją w policzek i cofnął się, zanim zdążyła uderzyć go w twarz.

Wręczył jej reklamowe zapalniczki z Casino Barriere de Cannes.

— W środku jest mój telefon biurowy w Londynie. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy. Może na kolacji w Harrys Bar...

— Jesteś największym...

Hawke położył jej palec na ustach.

— Wiem, wiem. Chamem, draniem. Mogę tylko mieć nadzieję, że mi wybaczysz. Bo widzisz, moja droga, nikt jeszcze tego nie wie, ale toczy się wojna.

— Wojna?

— Mhm - przytaknął, zamierzając się odwrócić. Złapała go za rękaw i wcisnęła mu w dłoń mały biały kartonik.

— Co to jest?

— Zaproszenie, panie Hawke. Baron wydaje jutro wieczorem małe prywatne przyjęcie na pokładzie „Valkyrie”. Żeby uczcić wodowa-

38

nie swojego najnowszej statku. Transatlantyku. Może miałbyś ochotę przyjść? Jako mój gość.

— Pod jednym warunkiem. Musisz mi obiecać, że nigdy więcej nie powiesz „gówno prawda”. To nieładnie brzmi w twoich pięknych ustach. Przeszedł szybko przez ciemny pokój i zamknął cicho za sobą ciężkie mahoniowe drzwi. Potem wyciągnął z mosiężnej ramki na korytarzu swoją odręcznie napisaną wizytówkę, wetknął ją do kieszeni i pobiegł do marmurowych schodów.

„Star of Shanghai” miał wyjść w morze o północy. Bliski przyjaciel Hawke'a, dyrektor CIA „Cegła” Kelly, poinformował go, że gdzieś w czeluściach tej starej zardzewiałej łajby jest uwięziony amerykański tajny agent. Skazaniec, który może ocalić świat.

Jego nazwisko, jak dowiedział się w Gibraltarze Hawke, brzmiało Harry Brock.

Rozdział 5

Paryż, 1970 rok

X

Śnieg sprzyja architektom - zaśmiał się pod nosem Korsykanin, kiedy wysiadał ze swojej taksówki. Spadło niemal trzydzieści centymetrów białego puchu. Teraz nawet Gare d'Austerlitz wyglądał całkiem ładnie. Krępy mężczyzna przebrnął przez plac Valhubert do wejścia na dworzec. Miał na nogach znoszone letnie półbuty, które przemoczył na wylot. Zostawił taksówkę z pracującym silnikiem. Koledzy na postoju popilnują jej, żaden problem.

Tak, w Paryżu jest dużo wspaniałych dworców kolejowych, pomyślał monsieur Emile Bonaparte w ten mroźny grudniowy wieczór, ścierając wierzchem dłoni mokry śnieg z oczu. Ale najbardziej lubił „brzydkie kaczątko”, ukryte teraz pod zasłoną zimowej bieli.

W wysokiej głównej hali z pajęczyną stalowych konstrukcji paliło się zamglone żółte światło. Nad tłumem ludzi w wilgotnych ubraniach unosiła

39

się opalizująca para. Straszny dokjak na niedzielny wieczór. Hałaśliwe gromady pasażerów odjeżdżały na południe Francji, do Hiszpanii i Portugalii, zderzały się z podróżnymi przyjeżdżającymi z tamtych kierunków.

Jak wrogie armie na polu bitwy, pomyślał i zapalił gauloise'a bez filtra.

Wcześniej, w kafejce, przeczytał długi artykuł w „Paris Soir”.

Rozkoszował się każdym słowem, przeżuwał je dokładnie z dumą, widząc

w wyobraźni opisane zdarzenia.

Tamtego historycznego dnia, drugiego grudnia 1805 roku, jego sławny przodek Napoleon ze swoją Wielką Armią pokonał wojska austriacko--rosyjskie pod małym miastem Austerlitz w południowych Morawach. To była kunsztowna zasadzka. Manerw mylący przeciwnika. Napoleon pokazał swój geniusz. Zwabił sprzymierzonych na wzgórze Prace i rzucił do walki 3. Korpus, który ich rozgromił! Owszem, dawno temu i daleko stąd, ale wciąż jest to jasny punkt we mgle historii.

Grandę Armee. Jej chwała. Ld Gloire!

Nagle rozległ się przeraźliwy gwizd i Emile podniósł wzrok. W kłębach pary wtoczyła się z łoskotem wielka zaśnieżona lokomotywa. Fala bagażowych i witających ruszyła do pociągu Nicea-Paryż. Emile wetknął papierosa w kącik ust i przyłączył się do tłumu. Zobaczył, że otwierają się drzwi wagonów drugiej klasy i poczuł przyspieszone bicie serca.

Brązowymi od nikotyny palcami włożył okulary w grubej rogowej oprawie i przyjrzał się wysiadającym pasażerom. Czy to... Nie do wiary.

Luca!

Emile Bonaparte patrzył, jak jego syn wychodzi z pociągu. Ledwo go poznawał. Urósł. Mój Boże, jest już prawie tego wzrostu co on!

- Papa! Papa! - krzyknął chłopiec. Emile wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy jego syn przepchnął się między dwiema kobietami, które szły pod prąd. Jedna z nich upuściła siatkę pełną bagietek, wrzasnęła wściekle i pogroziła chłopcu grubym palcem. Ale piętnastolatek roześmiał się wesoło i pobiegł do ojca.

Rozdzielali ich dwaj potężni mężczyźni w kolorowych sportowych kurtkach. Emile ominął ich, rozpostarł ręce i objął syna. Był zaskoczony

twardymi mięśniami na jego plecach i ramionach.

— Luca! — powiedział Emile, przytulając chłopca do piersi. — Przywiozłeś to? Chyba nie zapomniałeś?

40

— Mam je w plecaku.

Emile puścił syna, wyraźnie zakłopotanego takim przedstawieniem, i Luca wręczył mu paczkę. Przywiózł ojcu cztery brązowe butelki piwa Pietra z jego rodzinnej Korsyki, które trudno było dostać w małych sklepach w St. Germain des Pres.

— Doskonale, pewnie jesteś głodny, co? — zapytał Emile i zmierzwił gęste czarne włosy syna. — Alors. Daj mi swój bagaż. Chodźmy coś zjeść.

— Wziął zniszczony plecak chłopca i ruszyli do wyjścia. — Przygotuj się. Na dworze jest mróz jak diabli.

Brnąc przez śnieg z powrotem na postój taksówek, Emile był zadowolony, że ma ciepłą skórzaną kurtkę. Martwił się jednak, że Luca jest zimno w znoszonej wełnianej bluzie. Skinął głową swojemu przyjacielowi Marcelowi, który pilnował jego starego renaulta, i wskazał synowi samochód.

— Allons! Vite! Szybko, bo zamarzniesz!

— Cześć, Pozzo - powiedział Luca, kiedy otworzył drzwi i zobaczył z przodu psa.

Stary zaniedbany kundel miał tylko jedno oko, ale był dobrym stróżem.

Szczeknął na powitanie i chłopiec usiadł obok niego. W brudnej taksówce ojca cuchnęło potem i czarnym francuskim tytoniem, ale było ciepło.

Nawet Luca, który uważał się za prawdziwego stoika, cieszył się z tego po wędrowce przez głęboki śnieg. Emile oczyścił zaśnieżoną przednią szybę i

usiadł za kierownicą. Stary silnik niechętnie nabrał obrotów. Ruszyli.

— Maurice trzyma dla mnie stolik w Le Pin Sec — powiedział Emile, kiedy skręcił z postoju w lewo i wmanewrował renaulta w koleiny na zasypanej śniegiem Quai d'Austerlitz.-Wiem, że lubisz to miejsce.

— Nie, nie, papa. Pojedźmy do Lilas.

— Oszalałeś?

— Wiem, że tam jest drogo, ale ja zapraszam. Zarobiłem trochę pieniędzy.

— Zarobiłeś? Jak? - Emile posłał synowi przeciągłe spojrzenie. Ten mól książkowy zaczął wreszcie pracować?

Chłopiec odwrócił twarz do zamrożonej szyby.

— Piszę artykuły do gazet. Polityczne. Nie płacą dużo, ale oszczędzam.

41

— Polityczne? Kolejne poematy miłosne do Lenina i Trackiego? Ty i ta twoja Brigade Rouge... Miałem nadzieję, że już wyrosłeś z tego romantycznego zauroczenia komunizmem.

— W Corse istnieje głęboki rozłam,papa — odrzekł Luca. — Między starymi, czyli twoim pokoleniem, i młodymi, czyli moim. Brigade Rouge.

— Rozłam?

Luca tylko się uśmiechnął. Patrzył na swoje ulubione miasto.

— Bez komentarza, tak? - zapytał ojciec. Odkaszlnął, opuścił szybę i splunął za okno. — Eh hien. Nie mówmy o polityce. Ja jestem prawicowcem, ty lewicowcem. Ale i tak cię kocham. Pojedziemy do Lilas. Zapomnijmy o czerwonym zagrożeniu.

Udało mu się otworzyć jedną ręką butelkę piety i łyknął piwa w czasie jazdy.

— Merci hien. Chcesz trochę? Chłopiec wziął butelkę.

— Merci hien a tu, mon cher papa. — Napił się. Jego ciemne oczy zalśniły w poświęceniu tablicy przyrzędów. Ojciec się roześmiał. Najmłodszy syn Emile'a miał czarne włosy, długie rzęsy i śniadą cerę prawdziwego Korsykanina. Wykarmiony oliwą z oliwek. Niemal pachniał sosnowymi lasami, gdzie ukrywali się maquis. Kiedy Emile prowadził i popijał z butelki, Luca nagle zaczął się wiercić.

— Co tu jest? - Jakiś twardy przedmiot na fotelu uwierał go w udo. Luca uniósł się i wyciągnął to spod siebie. Zobaczył mały czarny pistolet samopowtarzalny. Poznał po wadze, że jest naładowany.

— Daj mi to — rozkazał Emile. Rzucił pustą butelkę za siebie na tylne siedzenie i wyciągnął rękę. Chłopiec wręczył mu pistolet.

— Jakaś robota, papa?

Emile wsunął broń do bocznej kieszeni skórzanej kurtki.

— Nic wielkiego. Jakies zagraniczne rozrabiaki robią za dużo szumu, to wszystko. Chyba jedna z nowojorskich rodzin. Znasz tych typów z mafii. Twardziele. Cwaniaki. Myślą, że mogą wejść na nasz teren i mnie zastraszyć.

— Rozumiem. — Chłopiec zerknął na Emile'a. Jego ojciec robił niebezpieczne rzeczy dla niebezpiecznych ludzi. Był egzekutorem w najstarszej i najgroźniejszej organizacji przestępczej w całej Francji, Union
42

Corse. W swojej długiej karierze wiele razy został postrzelony i dźgnięty nożem. Kiedy pływali w morzu, widać było blizny na jego ciele...

- Jak ci się podobał prom do Nicei? — zapytał Emile. — Fajny?

- (^ava — odparł Luca. - Wolę konie niż statki - dodał po angielsku.

Emile zerknął z ukosa na syna. Matka najwyraźniej pracowała nad jego

angielskim. Chłopak miał zdolności do języków. Do wszystkiego. Do filozofii, literatury... Niektórzy twierdzili, że to geniusz. Zawsze wszystkiego ciekaw. Stale z nosem w książkach. Historia, sztuka, nauka. Kiedy Luca miał siedem lat i zakochał się w mapach, nauczyciel zapytał go, co woli: historię czy geografię?

- To jedno i to samo - odrzekł chłopiec. - Geografia kształtuje historię.

Dobre! Ale gdy Emile powtórzył to później kumplom w barze, popatrzyli na niego tępo. Idioci. Wszyscy jego kompani byli idiotami. Campesinos. A teraz polityka. Jak na jego gust, chłopiec zbyt niebezpiecznie dryfował w lewo. Pisał manifesty komunistyczne. To żaden sposób zarabiania na życie. Emile pomyślał, że jeśli Luca planuje zrobić karierę polityczną, z czego zwierzył się matce, niech lepiej przyjmie bardziej umiarkowany kurs. W ten sposób, jak każdy dobry polityk, będzie mógł zwracać się tam, gdzie wieje wiatr.

- Więc jeździsz konno? - powiedział Emile. Nie chciał psuć nastroju tego spotkania. Zwolnił i skręcił w prawo w rue George Bałanchine. — To dobrze. Człowiekowi, który nie potrafi siedzieć w siodle, nie można ufać. Co słyhać u twojej kochanej matki?

- Nienawidzi cię.

Emile syknął jak gorące żelazko dotknięte mokrym palcem.

- Taka jest miłość.

Bonapartemu udało się znaleźć miejsce do zaparkowania na zaśnieżonej ulicy. Kilka minut później ojciec i syn zajęli mały stolik przy oknie w bistro Lilas. Lokal miał wąską czerwoną fasadę i tylne drzwi wychodzące na cmentarz. Dobra droga ucieczki w razie potrzeby. Emile zamówił dla obu kielbaski po lionsku i pieczonego kurczaka z korniszonami.

Brudne ściany w kolorze wanilii i duży ocynkowany kontuar barowy tworzyły przedwojenną atmosferę, którą lubili starsi paryscy taksówkarze, tacy jak Emile. Bonaparte zauważył znajome twarze, ale dziś chciał być tylko z synem, nacieszyć się nim.

Po kolacji zamówił następną butelkę doskonałego Chateaufeuf du Pape, żeby uczcić przyjazd Luki. Napełnił kieliszki i zagadnął chłopca z gauloise'em w ustach:

— Przyjemnie tu, co? Smakuje ci jedzenie i wino? Jest takie, jakie pamiętasz? Molto buono? — Jak wielu Korsykanów, często łączył francuski z włoskim.

Emile rozkoszował się wykwintnym jedzeniem, winem i widokiem przystojnego syna, który wydorósł, zarabiał i mógł zapłacić rachunek. Wziął nawet wolne. Zadzwoił, że jest chory. Oprócz prowadzenia taksówki, Emile pracował przez pięć nocy w tygodniu jako ochroniarz w Pałacu Inwalidów, masywnym domu weterana nad Sekwaną. Dwie pensje wystarczały mu na całkiem dostatnie życie w Paryżu. Co miesiąc wysyłał też pieniądze na Korsykę, żeby pomóc Flavii zadbać o Lukę.

— Alors. Jesteś już dorosły, co? Masz piętnaście lat.

— Szesnaście — poprawił Luca. — Tato... co to za człowiek? Znasz go?

— Kogo? — zapytał Emil i rozejrzał się po zatłoczonym i zadymionym bistro. W lokalu było kilka kobiet i wielu mężczyzn.

— Na zewnątrz. Przy oknie. Patrzy na mnie.

Emile odwrócił głowę. Na ulicy stał mężczyzna z nosem przyklejonym do szyby. Wyglądał jak kościotrup z czarnymi oczodołami. Uśmiechnął się do Luki, potem wypuścił kłęb dymu papierosowego, który przesłonił jego twarz. Emile zastukał w okno. Obcy spojrzął na niego, wyszczerzył zęby i

przywołał go zakrzywionym palcem.

— Jakiś wariat — powiedział Emile do syna. Odsunął krzesło i wstał. — Zostań tu. Zobaczę, czego chce ten pomyleniec.

— Bądź ostrożny — odrzekł Luca.

Patrzył, jak jego ojciec bierze swoją brązową skórzaną kurtkę z wieszaka przy drzwiach i wychodzi na śnieg. Twarz za oknem zniknęła. Luca przez jakiś czas chuchał na szybę i pisał na niej palcem skomplikowane równania matematyczne.

Po kilku minutach podszedł garçon. Gdzie podział się ojciec? Luca chciał wiedzieć, czy ma zapłacić rachunek. Co się stało?

44

Nagle za kelnerem pojawił się tamten kościotrup. Patrzył na Lukę. Szyję miał owiniętą długim czerwonym szalikiem, policzki zaróżowione od zimna, na ramionach śnieg. Mokre, kręcone blond włosy lepiły mu się do kanciastej czaszki.

— Wstawaj - rozkazał chłopcu po angielsku z amerykańskim akcentem.

— A kim pan jest, do cholery? — zapytał Luca tak głośno, żeby usłyszało go rozbawione towarzystwo przy sąsiednim stoliku.

— Dawaj ten pieprzony rachunek — wycedził kościotrup do kelnera, nie odrywając wzroku od młodego Korsykanina. Kelner odszedł i wrócił z rachunkiem. Blondyn wyciągnął z kieszeni rulon franków i wręczył mu część pieniędzy. Tamten coś wymamrotał i zniknął. Luca zerknął na salę. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

— Gdzie jest mój ojciec?

Mężczyzna pochylił się i szepnął coś do ucha chłopcu.

Luca zrobił zdziwioną minę, potem skinął głową i wyszedł za obcym na

zaśnieżoną ulicę. Nikt w lokalu nie zareagował.

Przy krawężniku stał długi czarny samochód. Luca rozpoznał, że auto nie jest francuskie, lecz angielskie. Zabytkowy rolls-royce z mosiężnymi reflektorami i pojedynczą fioletową lampą na dachu nad przednią szybą przypominał karawan. Luca dostrzegł na tylnej kanapie ciemną sylwetkę ojca między dwoma potężnymi facetami.

Kościotrup otworzył drzwi od strony kierowcy. Obok siedział trzeci mięśniak w czarnym płaszczu z postawionym kołnierzem. Luca zauważył ogoloną głowę, twarz boksera i krótko przystrzyżoną brodę. Blondyn usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i włączył światła.

Wokół sypał gęsty śnieg.

— Przepraszam, tato — powiedział Luca.

— Zamknij dziób, młody — warknął jeden z mięśniaków siedzących obok Emile'a. Mówił nowojorskim angielskim, który często słyszy się w filmach, ale rzadko w Paryżu. Dwaj faceci z tyłu mieli na sobie kolorowe sportowe kurtki. Luca przypomniał sobie, że widział ich na peronie dworcowym. Ojciec spojrzał na syna i skinął mu głową na znak, żeby wykonywał polecenia. W porządku, już się nie odezwie. Tak będzie najlepiej. Zresztą wszyscy milczeli, kiedy wielki samochód jechał zaśnieżonymi

ulicami i mostem Pont-Neuf na drugą stronę rzeki. Długie auto ledwo się mieściło w niektórych ciasnych zakrętach.

— Hej, Joe Szkielet — zagadnął wielki facet przy oknie z akcentem filmowego gangstera. — Co tam jest po prawej? — Wskazał coś za oknem.

— Jeszcze nie Joe Szkielet, szefie. Na razie Joey, synek mamy Bonanno.

— Już niedługo. Po dzisiejszej nocy będziesz miał tę ksywę jak w banku.

— Więc co mam robić? — zapytał kątem ust kościotrup za kierownicą.

— Zatrzymać się! Zaparkuj tutaj. Ale podjedź blisko. Na dworze jest kurewsko zimno. Chryste, śnieg w Paryżu? Kto to widział? Stań tu, dobra, Joey?

— Nie ma sprawy, szefie — odrzekł Joey, zjechał na prawo i zahamował. Czarny rolls zatrzymał się z poślizgiem obok masywnego dziewiętnastowiecznego działła w południowo-zachodnim narożniku brukowanego dziedzińca.

Wielki facet zaciągnął się głęboko papierosem i spojrzał na Lukę przez mgłę dymu.

— Jesteśmy na miejscu, młody. Przy grobowcu Napoleona. Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę. Słyszałem, że jest jeszcze większy niż moje pieprzone mauzoleum na Mount Olivet w Queens. A w ogóle, jak leci?

— Kim pan jest? — zapytał Luca.

— Kto? Ja? — Potężny łyсы facet wyciągnął wielką mięsistą dłoń. Na małym palcu miał masywny złoty sygnet. Chwycił rękę Luki i potrząsnął nią energicznie. — Pozdrowienia z Ganglandu w Stanach. •

Luca wyszarpnął mu swoją dłoń i wytarł o spodnie. Patrzył amerykańskiemu gangsterowi w oczy, dopóki tamten nie odwrócił wzroku. Potem zapytał lodowato:

— Co pan powiedział?

— Jestem Benny - odrzekł lysoł i skulił się pod spojrzeniem Luki. -Benny „Parasol”.

46

Rozdział 6

Cannes

Hawke wsunął zieloną kartę kredytową American Express pod kratę w okienku kasjera hotelowego i czekał, aż tamten zada krępujące pytanie, co ubyłoby z cholernego minibaru w pokoju. Hawke nie cierpiał tego momentu. To okropne, że zawsze przed wymeldowaniem się z hotelu trzeba było przypominać sobie, czy przed pójściem spać zjadło się orzeszki lub otworzyło cholerną Perrier.

Zapłacił, przeszedł przez hol i poinformował recepcję, że wyjeżdża.

Dyskretnie wręczył wąsatemu mężczyźnie za ladą zaklejoną kopertę, w której było sto euro, i powiedział, że jego gość — pewna pani — być może zostanie w apartamencie do rana.

— Mais oui, monsieur. Pas de probleme.

Hawke wyszedł z hotelu i przystanął przed wejściem. Podczas akcji za granicą zdarzało mu się być śledzonym. Nie zauważył, żeby ktoś nagle odwrócił głowę lub zasłonił się gazetą, więc ruszył w prawo podjazdem, który skręcał łagodnie w stronę ulicy. Korzystając z tego, że był mały ruch, przebiegł szybko na drugą stronę czteropasmowej jezdni przedzielonej pasem zieleni i dotarł do promenady przy plaży. Idąc le Croisette na zachód, miał w polu widzenia „Star”. Z daleka wyglądało na to, że trwają normalne przygotowania do wyjścia w morze.

Linia brzegowa z migającymi światłami pod ciemnym niebem przypominała naszyjnik. Zapowiadała się łatwa robota, ale Hawke zawsze wykorzystywał swoje umiejętności do maksimum.

Szedł szybko, ale nie aż tak, by zwracać na siebie uwagę. Zmienił wieczorowe półbuty na espadryle, w których mógł się cicho skradać. Tu tutaj, na południu Francji, były modne. Kiedy zbliżył się do obsadzonego palmami krańca przystani, włączył swoją motorolę.

— Tu Hawke — powiedział cicho do telefonu.

— Tu Quick — rozległ się głos szefa jego ochrony. — Witam pana.

— Cześć, Tommy. Jaka sytuacja? — zapytał Hawke.

- Wszystkie monitory teleobiektywów obserwacyjnych pokazują, że dobra.

Na pokładzie celu trwa normalna krzątanina przedrejsowa. Nasz radiooperator melduje o zwykłych pogawędkach w eterze. Dwa dźwigi zapełniają teraz ładownię w śródkręciu, jak pan zapewne widzi ze swojej pozycji. Wygląda mi to na ciężki sprzęt. Godzinę temu dostali od władz portowych pozwolenie na wyjście w morze. Mają odpłynąć o północy.

- W porządku.

- Niech pan rozważy jeszcze raz sprawę wsparcia. Nie chcę...

- To jest cywilny statek, Tommy. Nie okręt wojenny. Zakładnika przemycanego do Chin pilnuje jeden wartownik. Poradzę sobie.

- Z całym szacunkiem, naprawdę powinien pan... - nie ustępował Quick.

- Zajmie mi to dwadzieścia minut — przerwał mu Hawke. —

Zsynchronizujemy zegarki.

- Dobrze. Jest 23.29.57...

- Gra. Dwudziesta trzecia trzydzieści. Dwadzieścia minut od teraz.

- Tak jest. Zodiak będzie na pana czekał dokładnie o dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt z lewej burty statku przy rufie.

- Kod zodiaca?

- Chińska Pałeczka Jeden. Jest szybki, ma dwa silniki Yamaha HPDI 300.

Ale uważam, że powinien pan mieć przynajmniej minimalne wsparcie.

Gdyby pan...

Hawke znów mu przerwał.

- Tommy, gdybym nie potrafił wydostać człowieka z takiej zardzewiałej

łajby, wycofałbym się z branży. Chińska Pałeczka Jeden, odbiór* o jedenastej pięćdziesiąt. Do roboty.

- Tak jest, ale mam jeszcze jedną sprawę.

- Streszczaj się. Muszę ruszać.

- Niech pan się obejrzy na swój hotel. Na balkonie pańskiego pokoju stoi kobieta i obserwuje pana przez lornetkę. Jeden z moich ludzi ma na nią skierowany teleobiektyw. Ona jest... hm... dość skąpo ubrana.

- Wystarczy, sierżancie, przyjąłem - odrzekł Hawke. Zatrzasnął komórkę i przyspieszył kroku. Celowo zostawił lornetkę wiszącą na balustradzie. Nie zabrał też z pokoju kilku innych rzeczy, które

48

niedawno kupił. Nie mogły nikogo naprowadzić na jego trop. Ale po co Jet... Przystanął i spojrzał na Carltona. Gołym okiem dostrzegł jej ciemną sylwetkę na balkonie apartamentu. I małeńki ognik. Paliła papierosa.

Uśmiechnął się i pomachał ręką. Ognik natychmiast zgasł. Interesujące zachowanie. Smutno jej, że ją opuścił, czy jest ciekawa, dokąd poszedł? Warto to zapamiętać.

Hawke minął długi rząd łodzi do wynajęcia. Wszystkie były przycumowane rufami do brzegu. Śródziemnomorski zwyczaj. Poszedł mołem zakończonym pirsem. Po drodze spotkał nielicznych spacerowiczów, głównie zakochane pary, które korzystając z ładnej pogody, wybrały się na przechadzkę. Poza tym w porcie panował spokój. Ruch był tylko tam, gdzie stał „Star of Shanghai”. Blask lamp na szczytach dwóch wysokich dźwigów tworzył aureolę światła wokół starego statku. Na rufie trzepotała na lekkiej bryzie wypłowiała czerwona bandera Chińskiej Republiki Ludowej.

Wszystkie informacje wywiadowcze, jakie Hawke dostał w Gibraltarze od admirała „Migacza” Godfrey’a i swojego starego przyjaciela „Cegły” Kelly’ego sugerowały, że jego nocna wizyta okaże się całkowitym zaskoczeniem dla chińskiego agenta na pokładzie. Był oficerem tajnej policji Te-Wu i działał pod nazwiskiem Tsing Ping. Hawke przeczytał jego dossier dwa razy, żeby niczego nie przeoczyć. Facet miał bazę w starej dzielnicy nad rzeką Huangpu. Z dokumentacji wynikało, że jest specem od zabijania.

CIA zapewniła Hawke’a, że agent Te-Wu i chiński kapitan starego trampa nie spodziewają się żadnej reakcji Amerykanów. Uważają, że Amerykanie skreślili Brocka. Po prostu nie zdążył na transport z Maroka i tyle. To się ciągle zdarza. Poza tym Brock to NOC. Taki szpieg, złapany podczas akcji, jest uznawany za martwego. Nikt nie zadaje pytań, nikt nie udziela odpowiedzi.

Hawke wiedział, że jeśli go nie uwolni, Brocka czeka powolna śmierć podczas najbardziej wymyślnych tortur na świecie. Co ważniejsze, przełożeni Brocka w Waszyngtonie nie dowiedzą się, jakie tajemnice odkrył.

Kelly chciał go mieć żywego. Za wszelką cenę.

Hawke dał krok nad liną cumowniczą, która biegła od rufy statku do pachołka na pirsie, i skoncentrował się na widoku przed sobą.

Na rufie stało paru marynarzy. Opierali się o nadburcie, palili papierosy i patrzyli na mgłę nadciągającą od morza. Większość załogi była zajęta załadunkiem, który trwał w śródkręciu. Na dziobie czuwał samotny obserwator. Trapu pilnowali dwaj wartownicy. Obaj mieli na sobie brudne pomarańczowe sztormiaki. Jeden z nich przyglądał się uważnie

nadchodzącemu Hawke'owi. W przeciwieństwie do większości marynarzy, którzy pełnią wartę u stóp trapu, ten sprawiał wrażenie bardzo czujnego. Hawke udał, że jest pijany. Uśmiechnął się głupkowato, opuścił prawą rękę i zbliżył się chwiejnie do marynarza. Po wewnętrznej stronie prawego przedramienia miał ukryte wąskie ostrze.

- Przepraszam, kapitanie - wybełkotał do wielkiego faceta i położył mu lewą rękę na ramieniu. —To chyba nie jest HMS „Victory”, co? Łajba Nelsona? Cholera, zgubiłem mój okręt.

Wartownik wyszczerzył w drwiącym uśmiechu zaniedbane zęby i sięgnął pod sztormiak po broń.

Hawke błyskawicznie wbił mu nóż dokładnie pięć milimetrów poniżej mostka i pchnął w prawo do góry. Ostrze przeszło przez klatkę piersiową i przecięło serce. Marynarz nie zdołał wydobyć z siebie żadnego dźwięku, gdy życie gasło w jego oczach.

Zanim pierwszy wartownik skonał, Hawke odwrócił się do jego kolegi i zlikwidował go w identyczny sposób. Chwycił drugiego zabitego za kołnierz pomarańczowej kurtki i opuścił cicho na beton. Szybko włożył jego sztormiak i postawił kołnierz, żeby zasłonić twarz. Z trudem tłumił odrazę do samego siebie, którą zawsze czuł w czasie takich brutalnych akcji. Nienawidził zabijania, choć w jego branży było koniecznością. Szczycił się tym, że robi to dobrze, ale była to słaba pociecha.

Mgła od morza zasnuwała port i otaczała stary frachtowiec, gdy Alex Hawke wspinał się po śliskim trapie. Oprócz ruchu na śródokręciu wszędzie panował spokój. Hawke wszedł na pokład, przystanął i spojrzał w górę na słabo oświetlony mostek. Za brudną pożółkłą szybą sterowni przesuwwały się ciemne sylwetki. Co najmniej dwie. Tam zacnie

poszukiwania Harry'ego Brocka. Zerknął na zegarek. Minęły dwie minuty, zgodnie z planem.

Na lewo zobaczył strome metalowe stopnie przypominające drabinę.

Wbiegł po nich na górę, potem wyżej po następnych i znalazł się na

50

prawym skrzydle mostka. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Pod stopami czuł słabe wibracje silników. Słyszał ich cichy odgłos. Ze sterowni dochodziły przytłumione rozmowy i śmiechy. Drzwi były lekko uchylone do środka. Kopnął je nogą i z waltherem w wyprostowanej prawej ręce wkroczył do gorącego, śmierdzącego "wnętrza. Miny dwóch Chińczyków potwierdziły informacje Cegły. Byli zaskoczeni. I coś ukrywali.

— Dobry wieczór panom — powiedział Hawke i zatrzasnął kopniakiem metalowe drzwi. — Ładna noc, prawda?

— Że jak? — zapytał krępy typ w brudnym kombinezonie i wystąpił przed gościem w skórzanej kurtce, który łapczywie pożerał kluski z kartonu.

Mięśniak szedł w kierunku Hawke'a, zasłaniając swojego kapitana.

— Zły pomysł — ostrzegł Hawke. Pistolet trzymał teraz w lewej ręce, w prawej miał zakrwawiony długi sztylet. Facet stanął dopiero wtedy, gdy Hawke machnął mu ostrzem przed nosem. Nie zamierzał zabijać tych ludzi, przynajmniej dopóki się nie dowie, gdzie i w jakim stanie jest ich więzień. Potem pozbędzie się ich bez litości. — Szukam pańskiego pasażera, kapitanie — zwrócił się do człowieka w skórzanej kurtce i przekrzywionej starej kapitańskiej czapce nad czarnymi krzaczastymi brwiami. — Tego, którego porwano wczoraj w Maroku. Gdzie go mogę znaleźć?

Chiński kapitan przestał jeść kluski, ostrożnie postawił karton z

pałeczkami na stołku i spojrzął na niego. Hawke dostrzegł coś takiego w jego oczach, że instynktownie padł na podłogę. Pociski z samopowtarzalnego pistoletu z tłumikiem podziurawiły przegrodę tuż nad jego głową. Hawke przetoczył się w lewo i strzelił z walthera. Kapitan dostał w udo i wpadł plecami na koło sterowe.

Nie było czasu na świętowanie zwycięstwa Hawke'a. Poczul na karku twarde palce, a na skroni dotyk zimnej stali. Ucisk narastał. Wypuścił broń z ręki.

— Ja Tsing Ping — szepnął mu do ucha dziwnie melodyjny głos. — Ty trup.

— To wszystko jest trochę bardziej skomplikowane, niż sądziłem — odrzekł Hawke, odwrócił się ostrożnie i uśmiechnął do Chińczyka. Tsing Ping miał oczy jak małe węgle. Odciągnął suwadło swojego pistoletu.

— Wyluzuj, stary — powiedział spokojnie Hawke i podkurczył jedną nogę. — Wstanę i...

Nie dokończył zdania. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt metalu i cały statek zatrzęsł się gwałtownie od potężnego uderzenia tuż poniżej sterowni.

Hawke, który właśnie próbował się podnieść, został rzucony na przegrodę.

Tsing Ping i wszyscy na mostku poszybowali przez sterownię i wylądowali, koziołkując, na podłodze. Hawke usłyszał krzyki na pirsie, potem strzały, serie z broni automatycznej. Udało mu się wydobyć swojego walthera spod stosu dokumentów, map nawigacyjnych i szkła.

Zerwał się na nogi i wypadł na skrzydło mostka. Oparł się o reling i zobaczył, że marynarze przy nadburciu na rufie prowadzą ogień do jednego z dwóch dźwigów portowych. Po chwili zrozumiał, dlaczego. W kabinie żurawia siedział jakiś szaleniec. Ramię dźwigu obracało się w

kierunku frachtowca. Na naprężonej linie wisiała ciężka paleta. Operator zamierzał po raz drugi walnąć nią w statek.

Hawke zorientował się po jej trajektorii, że teraz trafi w sterownię. Miał najwyżej trzy sekundy na ucieczkę. Odwrócił się i skoczył w otwór schodów. Wylądował twardo na pokładzie i pobiegł na rufę.

Nie obejrzał się, gdy usłyszał za sobą uderzenie metalu o metal i brzęk tłuczonego szkła. Paleta roztrzaskała cztery okna sterowni, rozległy się wrzaski miażdżonych ludzi.

Dotarł do nadburcia na rufie. Na brzegu wyły syreny i błyskały niebieskie światła samochodów pędzących do portu ze wszystkich stron. Les flics spieszyli na ratunek. Cała załoga starej łajby pobiegła na dziób, żeby zobaczyć, co się dzieje. Hawke spojrzął na zegarek. Do spotkania z zodiakiem zostało sześć minut. W skorodowanej przegrodzie za jego plecami były zardzewiałe drzwi. Otwarte. A za nimi stopnie w dół. Brock musiał być gdzieś pod pokładem. Pilnowany? Na pewno. Wyglądało na to, że spodziewali się tu intruza.

Dlaczego wyobrażał sobie, że to będzie łatwe?

Kiedy zbiegał w dół po stromych metalowych schodach, miał na to tylko jedną odpowiedź.

Zrobił się zbyt wygodny. Leniwy. Arogancki.

Rozdział 7

Paryż, 1970 rok

W pałacu Inwalidów było ciemno. W wielkim kompleksie budynków mieścił się szpital dla weteranów i muzeum wojska. A w samym środku znajdował się kościół z kryptą pod kopułą, gdzie pochowano cesarza.

Kościołup Joe „Szkieleł” zmusił ojca Luki do otwarcia swoim kluczem

drzwi dla ochrony z tyłu Musee de UArmee.

Weszli do muzeum na końcu długiej ciemnej allee. Nie było tu światła, ale właśnie przestał padać śnieg i zza chmur wypłynął jasny księżyc. Przez wysokie okna przenikała blada poświata.

— Rusz dupę, Joe — powiedział Benny do swojego cyngla. — Patrzy na nas historia.

— Dobra, dobra — odrzekł Joe „Szkielet”, wbił lufę pistoletu w plecy ojca Luki i popchnął go naprzód. Dwaj milczący faceci zamykali tyły.

Wszędzie widać było pamiątki po Wielkiej Armii. Mundury, muszkiety, armaty, szable. Kawalerzyści na koniach. Marzenia Luki. La Gloire. Jego wspaniała, świetlana przyszłość, jeśli przeżyje tę noc. Poczul przyspieszone bicie serca.

Ich kroki na marmurowej podłodze dudniły głuchym echem, gdy szli przez kolejne sale muzeum w kierunku kościoła z kryptą. Luca starał się nie okazywać żadnych emocji. Byłoby niedobrze, gdyby gangsterzy coś zauważyli.

Jego ojciec szedł przed nimi ze spuszczoną głową jak skazaniec na szubienicę. Pies Pozzo dreptał obok swojego pana. Joe „Szkielet” trzymał broń w wyciągniętej ręce. Celował w tył głowy Emile'a. Luca nigdy jeszcze nie widział ojca takiego smutnego i przegranego. Ku jego zaskoczeniu, Emile zaczął nagle śpiewać. Najpierw cicho, potem na całe gardło. Hymn państwowy Francji, Marsylianę.

I naprzód marsz, Ojczyzny dzieci,

Bo nadszedł chwały naszej dzień...

Do broni, bracia dziś!

Zewrzyjmy szyki wraz!

/ marsz, i marsz!

By ziemię krwią

napoić, przyszedł czas!

Luca tak współczuł ojcu, że ledwo mógł to znieść. Wreszcie dotarli do szerokiego korytarza na końcu długiego holu. Kościół. Wnętrze wielkiej okrągłej krypty pod kopułą oświetlał księżyc. Wokół biegła biała marmurowa galeria z balustradą do pasa. Z góry sączyła się bladoniebieska poświata księżycy. Padała na sarkofag wyrastający z podłogi w dole.

— Jezu Chryste! — szepnął Joe „Szkielet”. — Spójrzcie na to.

Wziął Lukę za ramię i pociągnął w kierunku balustrady. Luca zamknął oczy i położył dłonie na chłodnym marmurze. Oddychał głęboko. A potem kiedy był już gotowy, uniósł powieki. Miejsce wiecznego ostatniego spoczynku jego sławnego przodka!

Grobowiec jego ukochanego cesarza!

W środku pięknego sarkofagu leżały szczątki Napoleona Bonapartego.

Luce waliło serce, gdy patrzył w dół. Na chwilę niemal zapomniał o ojcu.

Wielki kamienny grobowiec cesarza w kształcie zatrzymanej fali stał na wysokim marmurowym cokole pod kopułą zawieszoną sześćdziesiąt metrów powyżej. Choć w krypcie panował chłód, Luce zrobiło się gorąco z podekscytowania. Czuł obecność swojego przodka. Podniecającą i groźną, jakby Napoleon żył i czaił się tutaj.

Z mroku pod szczytem kopuły biegła w dół gruba lina. Wisiała dokładnie nad sarkofagiem. Jeden z gangsterów sięgnął po nią przez balustradę długim zakrzywionym kijem i przyciągnął ją wolno do Emile'a. Luca

nabrał do płuc zimnego, wilgotnego powietrza. Chcą powiesić jego ojca? Serce zaczęło mu walić jeszcze szybciej, wyszło mu w ustach, ale wciąż nie okazywał żadnych emocji.

— Luca! — usłyszał krzyk ojca. — Uciekaj! Szybko!

— Nie bój się, tato, już do ciebie idę — odrzekł. Kiedy ruszył wolno wzdłuż kolistej balustrady, chmura przesłoniła księżyc i w krypcie zapadła ciemność.

Luca podszedł z błyszczącymi oczami do miejsca, gdzie Benny i jego ludzie otaczali ciasnym kręgiem Emile'a. Zbliżył się do ojca, popatrzył mu głęboko w oczy i odwrócił się do mężczyzny w czarnym płaszczu.

54

— Monsieur Benny — powiedział ledwo słyszalnym głosem — czy mógłby pan poprosić monsieur Joe, żeby dał mi swój pistolet? Ojciec patrzył na niego zdezorientowany. Luca pochylił się i pocałował go w policzek.

— Co jest? O co chodzi? — Emile wytrzeszczył oczy i spróbował się wyrwać dwóm trzymającym go mocno gangsterom. Z trudem łapał powietrze. - Luca! - krzyknął, kiedy Kościotrup wręczył chłopcu broń.

-Luca, co ty robisz? Jestem lojalnym żołnierzem Corse! Nie...

— Jesteś lojalny wobec Corse, tato — przyznał niemal szeptem Luca — ale zabiłeś brata z Brigade Rouge.

Uniósł pistolet i wycelował ojcu między oczy.

— Luca, nie! Posłuchaj mnie. Nie wiesz, co robisz. Luca zwiększył nacisk na spust.

— Odłóż broń, synu. Wysłuchaj swojego ojca. Cokolwiek mówią ci szaleńcy z twojej Brigade Rouge, to nieprawda. Popełniłem kilka błędów,

ale nie... to. Nie rób tego, Luca. Kocham cię.

Chłopiec nie potrafił strzelić. Opuścił wolno lufę, nie odrywając wzroku od twarzy ojca, który patrzył na niego błagalnie.

— Synu! Co...

— Brigade Rouge nie przebacza zdrajcom — odparł bezdusznie Luca.

— Zaczekaj! Nie pozwól mnie... Pistolet powędrował do góry.

— Luca! Na litość boską! Nie możesz...

Luca pociągnął za spust.

Lufa błysnęła ogniem i w wielkiej krypcie pod kopułą zabrzmiał huk wystrzału. Ojciec uderzył plecami w balustradę, z ust pociekła mu krew i osunął się na kolana. Luca spojrział w dół i wypuścił broń z ręki. Upadła z hałasem na marmurową podłogę. Ojciec leżał na zimnym kamieniu i z trudem oddychał. Rosnąca plama na jego piersi miała w słabym świetle czarną barwę. Krew ciekła mu z ust. Luca cofnął się i dwaj gangsterzy zabrali się do pracy. Zrobili pętlę z grubej liny i założyli Emile'owi na szyję.

— Masz jaja, młody — powiedział Joe „Szkielet”, patrząc na umierającego człowieka. — Muszę to przyznać.

Lewa noga Emile'a Bonapartego wciąż drgała konwulsyjnie. Oddychał płytko, urywanie. Luca przyklęknął obok ojca, uniósł jego ciepłą jeszcze rękę i przycisnął do swojego policzka. Starał się za wszelką cenę zmusić do płaczu. To był jedyny egzamin, którego nie zdał tej historycznej nocy. Nie potrafił płakać na zawołanie.

— Amvederd, papa.

Z ust Emile'a znów buchnęła ciepła, gęsta krew i zalała dłonie Luki. To musiało się tak odbyć. Właśnie w tym miejscu, w ten sposób. Przypiął ojcu

do klapy czerwony kwiatek i wstał.

— Zróbcie to wreszcie — warknął do Kościotrupa. — Zakończcie tę cholerną sprawę. Powieście go.

Dwaj potężni faceci, wyglądający jak bracia, których Luca pamiętał z peronu dworca kolejowego, schylili się i podnieśli ciało jego ojca.

Młodszy za kostki, starszy za nadgarstki. Zaczęli nim huśtać tam i z powrotem. Coraz mocniej. Ze śmiertelnej rany Emile'a wypływała krew.

Luca patrzył w milczeniu, jak ciało jego ojca szybuje w powietrzu.

Podszedł do balustrady i spojrział w dół. Lina naprężyła się i przejęła cały ciężar konającego człowieka.

Emile Bonaparte zawisnął z szarpnięciem na końcu liny. Kołysał się lekko kilka metrów nad sarkofagiem Napoleona. Chmura na niebie odpłynęła i kryptę znów zalała niebieska poświata księżyca. Dwaj martwi

Bonapartowie, jeden grób. Czerwony kwiatek przypięty do klapy zdrajcy.

Wszystko pomyślane tak, by przekazać wiadomość tym ludziom w rządzie, którzy mieli powody obawiać się Brigade Rouge. I jednocześnie wezwanie do broni dla konspiratorów, towarzyszy Luki, by zjednoczyli się w walce i obalili stare przywództwo Corse.

— Chciałbym zobaczyć miny gliniarzy, jak tu wejdą - odezwał się Joe „Szkielet”, patrząc na miejsce zbrodni.— Ten cały syf wygląda cholernie dramatycznie!

Luca poczuł na ramieniu wielką dłoń Benny'ego „Parasola”.

— Masz forszę, młody? Wiem, że ty go rąbnałeś, ale mamy wydatki. Luca wręczył mu kopertę z dziesięcioma tysiącami dolarów. Taką cenę wyznaczyła Brigade Rouge za głowę jego ojca. Gangster schował pieniądze do kieszeni.

— Nigdy bym w to nie uwierzył, młody. Powiedziałem tym twoim Korsykanom z Brigade Rouge, że jesteś jeszcze za zielony. Że za wcześnie dla ciebie na taką robotę. Ale ty...

56

— Jestem zdolny absolutnie do wszystkiego — odparł lodowato Luca. — Jestem synem Napoleona.

W głębi serca, jeśli w ogóle je miał, naprawdę w to wierzył.

— Załatwiłeś sprawę jak ostry twardziel — powiedział Benny. — Jeszcze nie widziałem czegoś takiego.

Ze ściśniętego gardła mężczyzny wiszącego w świetle księżyca wydobyło się śmiertelne rżenie.

— Coraz większy syf- odezwał się Joe „Szkielet” i przetarł knykciami zapadłe oczy.

— To dopiero początek — odparł Luca Bonaparte i odszedł w mrok.

Rozdział 8

Hampstead Heath

Kilka minut po tym, jak pani Purvis wpuściła dwóch policjantów, -Ambrose siedział wygodnie w starym skórzanym fotelu za biurkiem z drewna orzechowego w swoim gabinecie pełnym książek. Pod oknem z południowej słonecznej strony stały jego sztalugi z akwarelami rozłożonymi na blacie. Niski kamienny kominek był wymieciony do czysta o tej porze roku. Z pierwszym jesiennym chłodem będą w nim trzaskały wesoło sosnowe szczapy.

Ten pokój Ambrose lubił najbardziej. Trzymał tu swoje skarby, a wśród nich nie tylko kolekcję książek Buchana, Amblera, Dorothy L. Sayers, Zane'a Greya i Reksa Stouta, lecz również pierwsze wydanie Przygód

Sherlocka Holmesa Conan Doyle'a. Na biurku leżał rzadki egzemplarz "Psa Baskerville"ów w skórzanej oprawie. Ambrose niecierpliwie bębnił palcami w okładkę.

Niech to szlag. Nie był w towarzyskim nastroju.

Dwaj młodzi mężczyźni (ku jego zaskoczeniu okazało się, że są agentami MI-5, a nie lokalnymi gliniarzami, jak sądził) przysunęli sobie krzesła do biurka i szybko przeszli do rzeczy. Ambrose dopiero niedawno odszedł

57

na emeryturę jako człowiek numer jeden w New Scotland Yardzie, więc mogli sobie darować formalności.

Stwierdził z przyjemnością, iż mimo tego, że już od kilku lat wyłącznie pomaga swojemu bliskiemu przyjacielowi Aleksandrowi Hawke'owi w tajnych operacjach za granicą, nadal cieszy się autorytetem w budynku Thames House, głównej kwaterze MI-5, i w brytyjskim środowisku policyjnym. Przynajmniej tak sugerował wyraz szacunku na twarzy młodego faceta, siedzącego na wprost niego.

Agent H.H. Davies podziwiał Ambrose'a jak stary eksponat w Muzeum Legend Zbrodni przy ScotlandYardzie.

— Pamiętam sprawę Georgi Markowa, panie nadinspektorze — powiedział Davies, kręcąc z podziwem głową. — Tego bułgarskiego dysydenta, którego załatwiło KGB, kiedy czekał na autobus. Kapsułki z rycyną w szpicu parasola. Nikt wtedy nawet nie słyszał o czymś takim, a jednak pan...

Ambrose się uśmiechnął.

— Nie mogę przypisać sobie zasługi... Z drugiego krzesła dobiegł głośny kaszel.

— Więc zna pan tego Henry'ego Bullinga, nadinspektorze? — wtrącił się starszy agent, George Winfrey, i zmiażdżył Daviesa wzrokiem. — To chyba pański siostrzeniec.

— Trzymajmy się faktów, Winfrey. To nie jest mój siostrzeniec, lecz kuzyn.

— I pan go prowadził? Dla Yardu? Badał pan powiązania Chińczyków? Wiem, że to teraz dla was priorytet.

— Powiązania Chińczyków? Z Francuzami? Nie wiem, o czym pan mówi. Jestem detektywem, nie szpiegiem.

— Ale prowadził go pan, prawda?

— W pewnym stopniu. Przekazywał mi głównie plotki. Moim zdaniem Francja to drugie Włochy, tylko jeszcze większy tam zamęt. Ale mamy ich na oku. Ostatnio zwłaszcza tego Bonapartego. Stanowi poważny problem. Trzeba mu się uważnie przyglądać. Ale powiedzcie mi, panowie, jaki macie dla mnie cynk? Henry znalazł się w tarapatach?

— Cynk? - zapytał Davies i pochylił się do przodu jakby oczekiwał od mistrza wykładu na temat języka szpiegowskiego.

— To amerykańizm zaczerpnięty z Hemingwaya. Używa go lord Hawke, który pożera jego książki. Chodzi mi o to, co się dzieje z Bullingiem.

58

— Zniknął. Przepadł bez śladu. Francuzi w ambasadzie są wkurzeni. W jego dziale brakuje pewnych dokumentów.

— Więc działa na własną rękę — powiedział Ambrose, ubił w swojej ulubionej fajce tytoń Petersons Irish i zapalił. - Zapewniam was, że Yard nie ma z tym nic wspólnego.

— Nie kontaktował się z panem?

— Nie.

— Nie dostał polecenia, żeby zdobyć dokumenty dotyczące Chin?

— Już mówiłem.

— Czy pański kuzyn ma powód, żeby panu źle życzyć, nadinspektorze?

Ambrose podniósł nagle wzrok znad swojego sygnetu, który uważnie oglądał.

— Dlaczego pan pyta?

— Przeszukaliśmy jego mieszkanie. Na Milk Street. W południowo--wschodnim Londynie. Znaleźliśmy broń. Niedawno kupioną. Tani karabin z lunetą o dziesięciokrotnym powiększeniu. Zawinięty w brezent i schowany pod luźną klepką podłogową.

— Pod luźną klepką podłogową. Bardzo oryginalne.

— I te zdjęcia, panie nadinspektorze.

Davies położył na biurku kopertę. Ambrose wyjął z niej sześć błyszczących fotografii o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Były czarno-białe, o grubym ziarnie. Ktoś zrobił je aparatem z teleobiektywem przy sześciu różnych okazjach. Najwyraźniej ukrywał się głęboko w lesie w Hampstead Heath. Wszystkie przedstawiały Congreve'a na spacerze ze swoim nowym psem Rangerem tuż przed zachodem słońca.

— Coś jeszcze? — zapytał Ambrose i bez komentarza zwrócił Daviesowi kopertę.

— Owszem, inspektorze — odrzekł agent Winfrey i wyjął ze skózanego nesesera plik dokumentów. Uniósł jeden do góry. — Pański kuzyn opuścił swoje mieszkanie w pośpiechu. Całkiem możliwe, że został porwany. Świadczą o tym ślady walki. Te papiery znaleźliśmy w jego szafie

ubraniowej. To rozprawy polityczne. Prochińskie, profrancuskie i antyamerykańskie. Ustaliliśmy, nie bez trudności, że ich autorem jest francuski minister handlu zagranicznego. Ten sam facet, o którym pan przed chwilą wspomniał. Bonaparte. Sekcja przekładów zabrała się dziś rano do tłumaczenia tego fragmentu.

— Niech pan mi to da - powiedział Ambrose. - Znam francuski. -W młodości studiował języki obce w Christ College w Cambridge, ale rzucił to i -wstąpił do Policji Metropolitalnej. Rzadko żałował tej decyzji, gdy potem zdobywał swoją legendarną pozycję wYardzie. Nigdy nie lubił przyglądać się żadnym rzeczom z daleka. Musiał wziąć je do ręki, powąchać, spróbować jak smakuja.

Przez chwilę uważnie czytał antyamerykański pamflet, potem wsunął dokument do swojego notesu w czerwonej skórzanej oprawie. Jakieś OMOCO opublikowało to w imieniu radykalnego francuskiego ugrupowania Brigade Rouge. OMOCO. Coś mu to mówiło. Oman... Nieważne, przypomni sobie.

— To wszystko? — zapytał z uśmiechem. Do pokoju wśliznęła się dyskretnie pani Purvis i zaczęła zbierać puste filiżanki i spodeczki. Ambrose był jej wdzięczny za ciche, taktowne zachowanie. Stanowiła uosobienie dobrych manier.

— Z całym szacunkiem, inspektorze — odezwał się Winfrey — ten dokument, który pan wziął, jest dowodem w sprawie zaginięcia osoby.

— Wiem o tym, agencie Winfrey. Z ważnych powodów chciałbym go pokazać mojemu przyjacielowi Aleksowi Hawke'owi. Chętnie to pokwituję, jeśli pan sobie życzy. Zanim wyjdziecie, chciałbym jeszcze o coś zapytać.

— Niech pan strzela — odrzekł Davies, a Winfrey spojrział na niego.

— Co to za Brigade Rouge? - zapytał Congreve. - Nigdy się z tym nie spotkałem.

— Odłam starej korsykańskiej organizacji przestępczej Union Corse. Fanatycy. Ultralewicowe ugrupowanie paramilitarne. Dawni szeregowi członkowie Union Corse, typy z Legii Cudzoziemskiej i trochę byłych agentów Deuxieme Bureau, francuskiego wywiadu wojskowego. Brigade Rouge istnieje od lat, ale dopiero od niedawna robi szum. Jest podobno odpowiedzialna za ostatnie zabójstwa polityczne we Francji. Na razie nie możemy tego udowodnić, ale pracujemy nad tym. Henry Bulling nigdy o niej nie wspominał?

60

- Nie. Winfrey wstał.

- Gdyby skontaktował się z panem, proszę od razu dać nam znać, dobrze?

- Jeśli nie skontaktuje się ze mną przez pocisk wystrzelony w moje serce, na pewno to zrobię.

- Jeszcze jedno. Pewnie nie muszę tego mówić, ale dopóki nie znajdziemy pańskiego kuzyna, proszę na siebie uważać. Chętnie przydzieliłbym panu ochronę. Kilku ludzi, żeby czuwali na zewnątrz. Oczywiście dyskretnie.

- Dziękuję za troskę, ale to nie będzie potrzebne. Mam tu Rangera. Jest pierwszą linią obrony w moim domowym systemie bezpieczeństwa. — Pies warknął groźnie, jakby zrozumiał.

Davies podniósł się z krzesła i wyciągnął rękę.

- To był wielki zaszczyt poznać pana, człowieka legendę.

Ambrose wziął do ręki swoją ukochaną powieść Conan Doyle'a. Właśnie miał ją otworzyć, gdy nagle obok jego ucha bzyknął wściekły szerszeń i na

środku okładki cennej książki pojawiła się okrągła osmalona dziura.

W tym samym momencie Congreve zobaczył, że pani Purvis osuwa się na dywan. Taca z serwisem do herbaty wypadła jej z rąk. Tuż pod wykrochmalonym białym kołnierzykiem gospodyni rosła szybko czerwona plama. Kobieta jęknęła i zamilkła.

- Pani Purvis! - krzyknął Congreve i zerwał się z miejsca, przewracając fotel.

Rozdział 9

Cannes

Hawke pobiegł szybko pustym korytarzem. Oświetlało go tylko kilka gołych żarówek wiszących na luźnych przewodach pod sufitem.

Po obu stronach były otwarte drzwi małych dwu- i trzyosobowych kajut z piętrowymi kojami. Nigdzie żywej duszy. Na końcu korytarza duży wąż w przegrodzie prowadził do kuchni okrętowej. Hawke wszedł do środka. Poczul smród kapusty i zjełczalego tłuszczu. Już miał się odwrócić i wycofać, gdy dostrzegł wąską smugę żółtego światła między dwiema wysokimi szafkami pełnymi zardzewiałych puszek z dawno przeterminowaną żywnością.

Szarpnął półki i zrobił unik przed lawiną spadających konserw, bez wątpienia chińskich smakołyków. Jedna z szafek dała się łatwo odsunąć i odsłoniła pomieszczenie niewiele większe od schowka na szczotki, najwyżej metr osiemdziesiąt na metr dwadzieścia. Na metalowej pryczy leżał blady, wychudzony mężczyzna. Wyglądał tak, jakby od chwili uwięzienia nie jadł i nie spał. Na piersi, tuż pod brodą, miał blaszany talerz z zaschniętymi wymiocinami. Pod łóżkiem stało wiadro z cuchnącą breją. Na widok Hawke'a mężczyzna podniósł się do pozycji siedzącej. Na

podłogę zsunął się kawałek cienkiego koca, odsłaniając jego nogi. Były poranione i przymocowane do pryczy grubymi parcianymi pasami.

Więzień uśmiechnął się słabo do Hawke'a.

- Z której części Chin pan pochodzi? - zagadnął, przeciągając słowa.

— Wyglądam na Chińczyka? — zapytał Alex i zaczął przecinać nożem pasy kępujące nogi mężczyzny.

- Kiepsko widzę. Więc skąd pan jest?

— Ze starej skalistej wysepki po drugiej stronie kanału La Manche.

- Tak myślałem. Angol. Jestem Harry Brock. Z L.A.

- Z Miasta Aniołów. Nigdy tam nie byłem. Torturowali pana, Brock?

-zapytał Hawke, oglądając opuchnięte stopy i kostki Amerykanina.

— Doktor. Scholl poradzi sobie z tym — zaśmiał się słabo Harry Brock. - Nie wiem. Niewiele pamiętam z ostatnich kilku dni.

— Pewnie dawali panu narkotyki, panie Brock. Ma pan jakieś złamania? Może pan chodzić?

- Chyba tak. Mamy jakąś szansę wydostać się stąd? - spytał Brock. W jego rozszerzonych niebieskich oczach widać było wyraźnie obawę, że może się to nie udać.

— Taki jest plan — odrzekł Hawke i przeciął do końca więzy. — Niech pan wstaje, panie Brock. Wynośmy się z tej łajby, zanim zatonię.

62

- Słuszna propozycja — stwierdził Amerykanin. Z pomocą Hawke'a przełożył powoli nogi poza krawędź pryczy i stanął na podłodze. Zachwiał się i Hawke go podtrzymał.

- Nie będzie pan miał ze mnie wielkiego pożytku w walce. Skurwiele chyba połamali mi nadgarstki. Jeden na pewno.

- Idziemy prosto na rufę - zarządził Hawke. - Najszybciej jak pan może. Potem skaczemy za burtę. Na dole jest mój człowiek z zodiaku. Czeka na nas. Ruszamy. Da pan radę?

Ledwo skończył mówić, usłyszał za sobą znajomy cienki głos. Odwrócił się błyskawicznie i wyrzucił przed siebie prawą rękę. Pięść Zabójcy poszybowała do celu. Tsing Ping odchylił głowę dwa centymetry w lewo i nóż Hawke'a utkwiał w drewnianej szafce. Rękojeść wibrowała tuż obok ucha Chińczyka.

- Nożownik? - zapytał Tsing Ping swoim niepokojąco dziecięcym głosem. —To dobrze. Bo ja też.

Wyciągnął z fałdów swojej czarnej piżamy paskudnie wyglądający sztylet z ostrzem o węzowym kształcie i machnął nim przed twarzą Hawke'a. Alex wciąż podtrzymywał Amerykanina. Sięgał do prawego biodra po walthera, kiedy rozległ się groźny świst. Nóż Chińczyka był może dwa centymetry od serca Hawke'a, gdy nagle uderzył z metalicznym dźwiękiem w coś twardego. Alex spojrział w dół i zobaczył wygięty blaszany talerz, który uratował mu życie. Harry Brock jeszcze trzymał go w dłoni. Sztylet Tsing Pinga, nie czyniąc nikomu krzywdy, upadł na pokład.

- Dzięki — powiedział Hawke do Amerykanina.

- Nie ma za co — odparł Brock.

Obaj spojrzeli w górę i ujrzeli niezwykle widok.

Chińczyk miotał się wściekle dobry metr nad pokładem. Obie ręce miał uniesione nad głowę. Wisiał w zaciśniętej dłoni czarnego olbrzyma, który stał w drzwiach i przyglądał się Tsing Pingowi z wyraźnym zaciekawieniem. Trwał w bezruchu niczym czarny marmurowy posąg.

- Hej, mały! Posłuchaj!- zwrócił się w końcu do Chińczyka. -Dlaczego się nie myjesz?

- Stokely! - wykrzyknął Hawke. Nie posiadał się z radości. Nie widział swojego starego przyjaciela od ponad roku. — Co tu robisz, na Boga?

— Wygląda na to, że znów ratuję ci tyłek. A skoro o tym mowa, czas stąd spływać. Za jakąś minutę eksploduje tu parę moich min.

— Jakich min? - zdziwił się Hawke.

— Magnetycznych. Przyczepianych do kadłuba. Ta stara łajba pójdzie na dno, szefie. Co mam zrobić z tym kurduplem? Hej, ty! Przestań!

Tsing Ping wydawał z siebie przerażające gardłowe dźwięki, machał nogami, próbując kopnąć w krocze swojego prześladowcę. Stoke

zakończył to trzema szybkimi krótkimi ruchami ręki. Dwa razy walnął Chińczykiem w przegrodę, potem upuścił go na pokład jak worek kartofli.

Tsing Ping znieruchomiał.

Stoke popatrzył na niego.

— Paskudny kurdupel. Kto to jest?

— Mam nadzieję, że trup — odrzekł Amerykanin i spojrzał błagalnie na Hawke'a. -A jeśli jeszcze nim nie jest, to powiniinien nim być. Niech ktoś go zastrzeli, na litość boską.

Hawke schował pistolet do kabury. W jego żyłach płynęła piracka krew, ale nie był bezlitosnym mordercą.

— Niedługo i tak będzie martwy — zapewnił Stoke, patrząc na Aleksa ze zrozumieniem w piwnych oczach. On też nie chciał zabijać Chińczyka.

— Dlaczego? - zapytał Brock.

— Jak ten cały złom pójdzie na dno, powiedzmy za... — Stoke spojrzał na swój zegarek do nurkowania — trzy minuty od teraz, facet utonie. Ocknie

się na tamtym świecie.

— Chodźmy - powiedział Hawke i z pomocą Stokely'ego szybko poprowadził Amerykanina w kierunku rufy.

— Ładnie z twojej strony, że się tu zjawiłeś — zwrócił się do przyjaciela.

— Nie miałem nic do roboty na jachcie — odparł Stokely. — Nie byłem potrzebny na mostku.

— Skąd się w ogóle wzięłeś na „Blackhawke'u”?

— Wszedłem na pokład na Korsyce. Załatwiałem tam pewną sprawę i zobaczyłem go w porcie. Tom Quick powiedział, że płynie tutaj po ciebie. Nie widziałem powodu, żeby nie skorzystać z zaproszenia.

— A dziś?

— Podobno potrzebowałeś wsparcia.

64

- Dlaczego nikt mnie nie słucha, do cholery?

— Bo jesteś szefem.

Na rufie nie zastali żywej duszy. Statek spowijała gęsta mgła, pokład był śliski. Hawke wychylił się za burtę i zobaczył dużego czarnego zodiaca. Czekał w umówionym miejscu. Silniki zaburtowe pracowały na jałowym biegu. Od czarnej oleistej wody dzieliło ich sześć metrów.

- Ja pierwszy - zwrócił się Hawke do Amerykanina i wspiał na nad-burcie.

— Później pan, potem on. Niech pan obserwuje, gdzie wyląduję i zrobi to samo. Stoke, podsadzisz go. Ja pomogę mu wejść do łodzi. Aha, Brock...

- Tak?

— Niech pan się stara wylądować na tyłku. Odciaży pan poranione nogi. Hawke skoczył i wynurzył się metr od zodiaca. Tom Quick zostawił koło sterowe i pomógł mu wejść na pokład. Niepokoiła go ta operacja i

postanowił przypląć osobiście. Zabrał ze sobą Stokely'ego. Wiedział, że szef uzna to później za przesadę.

— Skaczcie! — krzyknął Hawke w górę do dwóch mężczyzn czekających na rufie statku.

Stokely pomógł Amerykaninowi wydostać się za burzę. Brock opadł niezgrabnie, ale wylądował na pośladkach. Hawke chwycił go i bez trudu wyciągnął na powierzchnię. Nagle wodę wokół nich podziurawiły pociski. Hawke podniósł wzrok i zobaczył mężczyznę z kałasznikowem. Strzelec stał na górnym pokładzie, nad głową Stokely'ego.

To był Tsing Ping.

Hawke natychmiast sobie wyobraził, co się za moment stanie. Stoke spojrzył w górę, żeby zobaczyć, kto ich ostrzeliwuje, a Chińczyk skieruje lufę automatu w dół i wpackuje w niego serię. Za pół sekundy głowa Stoke'a rozprysnie się na krwawą miazgę. Żadnych szans na przeżycie przy strzale z tej odległości. Nanosekundę przed upływem tego czasu Hawke błyskawicznie wyszarpnął walthera z kabury na biodrze i trzykrotnie nacisnął spust. Trafił Tsing Pinga w serce.

Chińczyk zdążył jeszcze strzelić w powietrze, pochylił się do przodu i wypadł za reling. Po chwili zniknął pod powierzchnią czarnej wody. 65
Stoke nigdy nie lubił długiej żałoby.

- Dobra robota! - zawołał wesoło i zasalutował energicznie. Potem odwrócił się plecami do nadburcia i wykonał pokazowy skok komandosów Navy SEAL. Wylądował w wodzie z minimalnym pluskiem, jak na swoją masę.

Hawke przekalkulował w myślach, ile czasu zajęło mu wyciągnięcie broni i oddanie strzału. Uśmiechnął się w duchu. Całkiem nieźle.

Minutę później wszyscy trzej znaleźli się w zodiacu. Tom Quick pchnął przepustnice do przodu. Rozległ się ryk dwóch trzystukonnych silników Yamahy duża łódź pneumatyczna wystartowała przed siebie i po dwóch sekundach zniknęła we mgle. Z dziobu statku, który opuścili, prowadzono jeszcze sporadyczny ogień; Hawke widział słabe błyski z luf. Za dziesięć minut dostarczy Brocka na pokład „Blackhawke'a”.

- Tommy, połącz się przez radio z naszymi ludźmi — polecił. — Powiedz im, że zakładnik został uwolniony. Jest odwodniony, niedożywiony i prawdopodobnie ma połamane nadgarstki. Nie ma innych ofiar. Niech izba chorych przygotuje się do przyjęcia pacjenta. I niech ktoś zawiadomi Langley, że Harry Brock żyje.

Hawke wyjął ze schowka na rufie nylonowy koc i otulił nim Amerykanina. Potem przytrzymał Brockowi głowę i pomógł mu napić się wody z rezerwowej porcji, którą znalazł w schowku. Dwie sekundy później usłyszał przytłumione podwodne wybuchy min magnetycznych, które Stokely przymocował do kadłuba „Star of Shanghai”.

- Miałeś jakiś szczególny powód, żeby zatopić ten statek, Stoke? - zapytał, kiedy starym frachtowcem wstrząsnęły wtórne eksplozje i ze śródokręcia buchnęły pod niebo płomienie i czarny gęsty dym.

- Nie podobał mi się jego ładunek. Był tam francuski reaktor jądrowy dla Korei Północnej. Zastrane zabójady. Po cholere sprzedają taki towar żółtkom, którzy mają już co najmniej cztery bomby atomowe? Świat nie jest dla tych palantów wystarczająco niebezpieczny?

- To ty siedziałeś w kabinie tamtego dźwigu? — spytał Hawke. Postanowił odłożyć na później sprawę ładunku statku. Informacje Wywiadu Królewskiej Marynarki Wojennej o częściach samochodowych dla fabryki

Renault były najwyraźniej błędne.

66

— Zgadza się. Nie jestem zbyt dobry w obsłudze ciężkiego sprzętu, jak pewnie zauważyłeś. Zobaczyłem, że znajdujesz się w kiepskiej sytuacji. Ruchome cienie w sterowni, strzały. Więc wpadłem na pomysł, jak odwrócić ich uwagę.

Hawke roześmiał się głośno.

- Szefie?

Ton głosu Quicka sprawił, że Hawke natychmiast znalazł się przy konsoli.

— Co jest, Tommy?

— To — odrzekł Quick i wycelował -wskazujący palec prawej ręki w zielonkawy ruchomy punkt na ekranie radaru.

Duży kolorowy wyświetlacz Navstar pokazywał ich pozycję w stosunku do macierzystego statku. Według GPS-u oddalili się ćwierć mili morskiej od wejścia do portu i znajdowali się pół mili od miejsca, gdzie stał na kotwicy „Blackhawke”. A do nich zbliżała się szybko jakaś jednostka pływająca. Nagle mgłą rozcięły nadlatujące pociski smugowe.

Jeden z nich trafił Quicka w prawe ramię, obrócił nim i odrzucił go do tyłu na konsolę. Tom osunął się na pokład. Hawke chwycił jedną ręką koło sterowe, przyklęknął obok niego i przyłożył wolną dłoń do jego krwawiącej rany. Nie odrywając wzroku od jasnego ekranu, poszukał palcami otworu wlotowego.

- Przyciśnij tutaj pięść - polecił Quickowi i poprowadził jego rękę do rany.

— Tu. Mocniej. To powinno wystarczyć, dopóki nie zajmą się tobą w izbie chorych.

- Nic mi nie jest, szefie. To tylko draśnięcie. Przejął pan ster?

- Tak, trzymaj się. Spróbuję zgubić tych skurwieli we mgle.

Hawke pchnął obie przepustnice do oporu i skręcił ostro na sterburkę. Duża sztywnokadłubowa łódź pneumatyczna wyskoczyła w powietrze na grzbiecie fali.

— Stoke, czuwasz nad naszym pasażerem?

— Pilnuję go! — odkrzyknął Stoke przez ryk silników. — Gaz do dechy!

- Boże! - zawołał po chwili Hawke, gdy zobaczył na kolorowym wyświetlaczu, jak szybko maleje odległość między nimi i ścigającym ich przeciwnikiem.- Co to jest, Tommy? Szalupa ze „Star of Shanghai”? Quick podniósł się z trudem.

67

— Wątpię, szefie. Za duże. To musi być... Niech to szlag!

— Co?

— Siedzą nam na ogonie! Atakują nas!

— Kto to, do cholery...

Hawke obrócił mocno kołem sterowym, wykonał ciasny zwrot w lewo i natychmiast odbił w prawo. Zygzakował gwałtownie, żeby uniknąć ognia przeciwnika. Systemy pokładowe zodiaca zaczęły emitować ciągły sygnał ostrzegawczy, na konsoli rozblęskło wiele pulsujących lampek.

Hawke włączył mikrofon radia.

— „Blackhawke”, „Blackhawke”, tu Chińska Pałeczka. Jesteśmy atakowani. Powtarzam, jesteśmy atakowani. Robimy uniki. Słyszysz mnie?

— Szefie — odpowiedział z „Blackhawke'a" oficer kierowania ogniem — oni chyba... Tak, odpalają pocisk raketowy! Wynoście się stamtąd!

— Już odpalili! — powiedział Hawke. Nie mógł uwierzyć w to, co się

dzieje. Przecież znajdowali się przy południowym wybrzeżu Francji!

Znów szarpnął kołem sterowym w prawo.

— Może pan go zgubić, szefie? — zapytał Quick ze wzrokiem utkwionym w ekranie. On też nie wierzył własnym oczom. Uciskał ranę na ramieniu i zataczał się przy każdym skoku łodzi na falach.

— Nie wiem. To zależy, czy jest naprowadzany ciepłem, czy radarem. Do diabła z tym. „Blackhawke"! Odezwij się!

— Jestem, szefie - rozległ się spokojny głos załoganta na stanowisku kierowania ogniem. - Ta rakieta nie ma aktywnego radaru, jest naprowadzana ciepłem. Mamy przeciwnika na celowniku. Nie odpowiada na ustne ostrzeżenia.

— Kto to jest, do cholery?! - zawołał Hawke i wykonał kolejny ciasny skręt w prawo.

— Nie chce się zidentyfikować. Rozpoznanie wizualne jest niemożliwe w tej mgle.

— Czy nasze silniki są na tyle gorące, że mogą ściągnąć na nas ten pocisk?

— Chyba tak. Musi już być blisko. Mocno w lewo! Hawke obejrzał się na Stokely'ego i uratowanego Amerykanina skulonych na rufie zodiaca.

Musiał dostarczyć Harry'ego Brocka w bezpiecz-

68

ne miejsce. Za wszelką cenę. Skręcił tak ostro, że burta łodzi uniosła się w górę. (

Pocisk przemknął niecałe trzy metry za rufą.

— „Blackhawke", zatopić przeciwnika.

— Tak jest.

— To się w pale nie mieści! — krzyknął Stokely. — Nikt nie strzela raketami do małego pontonu!

Zodiac podskoczył na wielkiej fali wywołanej eksplozją na pokładzie atakującej jednostki. Gęsta szara mgła wokół nich przybrała pomarańczową barwę. Podmuch omal nie zmiotł ich za burzę.

Ci, którzy na nich polowali, przestali istnieć.

Pędzący po powierzchni morza pocisk Boeing Harpoon AGM 84-E, który odpalono z „Blackhawke'a”, miał w głowicy bojowej prawie trzysta kilogramów materiału wybuchowego destex i precyzyjnie trafił w cel. Siedmiu ludzi wrogiej jednostki pływającej zginęło w eksplozji, dwaj utonęli, jeden zmarł kilka godzin później w szpitalu w Cannes z powodu ciężkich oparzeń. Wrak płonął przez dwadzieścia minut, potem przechylił się i poszedł na dno.

Ci, którzy następnego dnia czytali poranną prasę, niewątpliwie mogli dojść do wniosku, że sytuacja na świecie znów się pogorszyła.

W pobliżu Cannes zatonął kuter patrolowy francuskiej marynarki wojennej — typ P40, numer 491 — o nazwie „UAudacieuse”. Jak oznajmił francuski minister handlu zagranicznego, Luca Bonaparte, kuter rutynowo patrolował okolice portu w Cannes, kiedy bez przyczyny został zaatakowany i zatopiony z całą załogą przez brytyjski prywatny jacht motorowy.

Gdyby ktoś zainteresował się bliżej krzykliwymi nagłówkami we francuskich gazetach lub wiadomościami podawanymi w kółko przez państwowe France Inter Radio i telewizję France 2, uznałby, że Francja i Anglia są o krok od wojny z powodu tego incydentu.

A w samym środku tej nowej międzynarodowej burzy znalazł się brytyjski

biznesmen o nazwisku Aleksander Hawke.

Rozdział 10

Londyn

Ambrose Congreve stał w strugach zimnego deszczu na mokrym, lśniącym chodniku. Na Lambeth Palace Road, przy południowym wejściu do St. Thomas's Hospital, panował duży ruch. Czekał na inspektora Rossa Sutherlanda, który spóźniał się już dziesięć minut. Ambrose spędził ostatnie cztery godziny przy szpitalnym łóżku pogrążonej w śpiączce pani Purvis i nie był w najlepszym nastroju. Już miał zejść na jezdnię i zatrzymać taksówkę, gdy zza rogu wypadł z dużą szybkością ciemnozielony mini cooper i zahamował z poślizgiem przy krawężniku. Sutherland startował w weekendy w wyścigach klubowych na torach w Goodwood i Aintree i na drzwiach auta widniał jeszcze wielki numer 8. Congreve nigdy nie marzył o tym, żeby mieć samochód, ale w tej chwili pomyślał, że granatowy bentley saloon, przedwojenny, ze składanymi stolikami z drewna orzechowego z tyłu, wyglądałby pięknie, zaparkowany na żwirowym podjeździe przed Heart's Ease. Mógłby jeździć w soboty do Sunningdale, a w niedziele do Henley. Zabierałby koszyk piknikowy, butelkę dobrego schłodzonego piwa...

Drzwi samochodu od strony pasażera otworzyły się gwałtownie. Congreve schylił się, skulił i jakimś cudem zmieścił swoją wielką postać w ciasnej jeżdżącej trumnie. Gorzej było z parasolem. Nie chciał się złożyć. Ustąpił dopiero po kilku próbach i odpowiednich perswazjach właściciela.

Ambrose w końcu zatrzasnął drzwi, ustawił twardy sportowy fotel na tyle wygodnie, na ile się dało, i spojrzał na Rossa Sutherlanda siedzącego za kierownicą.

- Przez cierpienie do sukcesu - powiedział z krzywym uśmiechem i zapiął pas. Dawno się przekonał, że narzekanie na ukochany samochód Sutherlanda to strata czasu. Ross wymruczał jakieś przeprosiny, włączył ze zgrzytem jedynkę, wystartował z niesamowitym przyspieszeniem i wepchnął się ze swoją diabelską maszyną w niewidoczną lukę w gęstym ruchu na Lambeth Road. Congreve przeczesał palcami wilgotne kasz-

70
tanowe włosy, odetchnął z ulgą, że już nie moknie na deszczu i wyjął z wewnętrznej kieszeni tweedowej marynarki fajkę z drewna wrzośca. Sutherland zerknął na niego kątem oka.

— Przepraszam za spóźnienie, szefie. W Yardzie jest taki kocioł, że nie mogłem się wyrwać.

— Spóźniłeś się? - zapytał beznamiętnym tonem Congreve i zaczął nabijać fajkę tytoniem Peterson's Irish. — Nie zauważyłem. Myślałem, że to ja przyszedłem za wcześnie.

— Ach tak — odrzekł Sutherland i wrzucił kolejny bieg. — A co z panią Purvis?

— Podobno nic jej nie będzie, dzięki Bogu.

— Co powiedzieli lekarze?

— Pocisk o włos minął serce.

— O rany.

— Lewą komorę. Miała wyjątkowe szczęście.

— Bardzo panu współczuję, szefie. Wiem, jak pan ją lubi. Ktokolwiek to zrobił...

— Dranie.

— Liczba mnoga?

— Mogę się mylić.

Sutherland wolał to przemilczeć. Congreve zawsze miał rację. Po dziesięciu minutach jazdy przez zatłoczony południowo-wschodni Londyn wydostali się na Albert Embankment i skierowali na południe. Wysokie chmury tworzyły purpurowo-szarą linię nad pasem pomarańczowego nieba. Słońce chowało się za horyzontem i oświetlało Tamizę czerwonym blaskiem. W stronę Greenwich płynęła z prądem rzeki długa czarna barka. W końcu Congreve powiedział:

— Następny skręt. Tak, tutaj. W Moreton Street. Pojedziemy na skróty.

Kilka minut później zatrzymali się na Milk Street przed domem numer 12, gdzie mieszkał Henry Bulling. Na ulicy pełno było wielkich kałuż.

Przestało lać, ale nadal padał zimny dokuczliwy deszcz. Budynek udawał styl Tudorów. Był wciśnięty między brzydkie nowoczesne bungalowy i piętrowe klocki z cegły. Ambrose miał podświadomie nadzieję, że rezydencja Bullinga zaskoczy go przyjemną, wesołą fasadą. Nic z tego.

71

Wciąż czuł się winny, że mu się poszczęściło i odziedziczył posiadłość ciotki Augusty.

— Masz klucz? — zapytał Sutherlanda, kiedy wspięli się po drewnianych schodach. Przed drzwiami leżały mokre egzemplarze „Timesa” i „Daily Mirror”. Congreve zauważył, że najnowsze pochodzą sprzed pięciu dni. Kto odwołał dostawę prasy?

- Tak, szefie, jest tutaj - odrzekł Sutherland. Postawił na złuszczonej podłodze swoją torbę z zestawem dochodzeniowym i wyjął z kieszeni kopertę oznaczoną jako dowód rzeczowy. Gdyby nie akcent szkockiego górala, Sutherland mógłby uchodzić za Amerykanina. Służył kiedyś w

lotnictwie Królewskiej Marynarki Wojennej i podczas I wojny w Zatoce był skrzydłowym Hawke'a. Strzygł się na rekruta i miał wygląd pogodnego, energicznego faceta, co zwykle kojarzy się ludziom z kuzynami Anglików zza oceanu. Był doskonałym gliniarzem i wspólnie z Congreve'em odniósł kilka znaczących sukcesów. Ostatnio udało im się zidentyfikować zabójcę żony Aleksa Hawke'a, Victorii Sweet. Brutalne morderstwo, groteskowy akt zemsty, dokonany na schodach kaplicy. Ambrose i Ross ustalili tożsamość sprawcy, ale to Sutherland i Stokely Jones postawili go w trybie przyspieszonym przed obliczem sprawiedliwości na jednej z wysp Florida Keys.

Congreve i jego kolega urzędowali w biurach Scotland Yardu na Victoria Street, ale Yard często przydzielał obu do pomocy Hawke'owi, który ciągle wpadał w tarapaty.

Ambrose i stary służący rodziny Hawke'ów, Pelham Gremdlle, wychowywali Aleksa po śmierci jego rodziców, zamordowanych przez narkotykowych piratów na Karaibach. Chłopiec miał zaledwie siedem lat, kiedy zginęli na jego oczach. Congreve nigdy by się do tego nie przyznał, nawet przed samym sobą, ale od chwili poznania młodego Aleksa darzył go niemal ojcowskim uczuciem.

Ross wsunął klucz do zamka i pchnął zniszczone dębowe drzwi. Zanim przekroczył próg, obejrzał się przez ramię. Na cichej ulicy kładły się długie cienie purpurowego zmierzchu. Jedyńm dźwiękiem był śpiew szpaków. Przed kilkoma domami rosły karłowate buki. Jeśli w sąsiedztwie mieszkali jacyś ludzie, to wszyscy siedzieli w ciepłe elektrycznych kominków przy kolacji lub telewizji.

— Chyba nie pokwitowałeś tego klucza? — zapytał Congreve. Włączył silną latarkę, oświetlił mroczny hol i wszedł do środka.

— Bez obaw, szefie. Po prostu pożyczyłem go sobie z depozytu dowodów rzeczowych.

— Dobrze zrobiłeś — mruknął z aprobatą Ambrose. W takich sytuacjach zawsze wolał trzymać Yard na dystans.

Pociągnął nosem i poczuł mnóstwo zapachów. Przede wszystkim papierosów (Henry palił bez umiaru). Starego brudnego dywanu, który rzadko — jeśli w ogóle — był czyszczony. Zakurzonych mebli i zasłon. Gotowanej wołowiny, kapusty i brukselki. Kiedyś musiał tu być kot, może nawet kilka. I zapewne kanarek, sądząc po woni wilgotnych nasion. Nic niezwykłego. Żadnego zapachu krwi, gazów, trujących chemikaliów. Ale czuły nos Ambrose'a wyłapał lekką woń drogich perfum. Dziwne. Kobieta? O wyrafinowanym guście. Taka, którą stać na les parfums Chanel. Nowy rodzaj. Nie jego ulubione No.5. Nie. To Allure. Otóż to. Więc raczej młoda. Modna i dobrze sytuowana. U Henry'ego? Musiała pomylić adres.

Sutherland zapalił latarkę i skierował w górę na wąskie schody. Ambrose patrzył, jak snop światła przesuwają się na piętro. Kwiecisty dywan na stopniach był zużyty i poplamiony. Wydzielał nieprzyjemny odór starości i brudu.

Na czterech ścianach małego holu pokrytych dębową boazerią wisiały paskudne wiktoriańskie kinkiety. Ambrose przesunął trzy mosiężne dźwigienki na panelu włączników. Bez skutku. Właściciel domu odciął dopływ prądu. Pewnie również gazu. Może gdy dowiedział się od agenta MI-5, prowadzącego śledztwo w sprawie zniknięcia Bullinga, że jego

lokator raczej nie wróci do mieszkania w dającej się przewidzieć przyszłości.

Congreve poświęcił latarką w prawo.

— Ładny salonik — stwierdził. Sutherland poznał po wesołym tonie głosu nadinspektora, że ten stary pies myśliwski już złapał trop. - Zaczynij stąd, Ross. To będzie dla ciebie dobra okazja do poznania gotyckiego zdobnictwa. Ja popracuję w kuchni, tam z tyłu. Potem zajmiemy się górą, a na końcu buduarem. Udanych łowów. Bonne chance!

73

Inspektor Sutherland uśmiechnął się, kiedy Congreve z ironią wymówił te francuskie słowa. Krążyły różne plotki. Cholerne zabójady coś kombinowały. Nic dobrego. Ross zaczął oględziny ponurego pokoju dziennego. Dobrze wiedział, że wiele razy byli już tu ludzie z MI-5. Wszystko dokładnie przeszukali. Zabrali każdą mikroskopijną cząsteczkę, jaką dostrzegli. Użyli ultrafioletu i luminolu, żeby sprawdzić, czy na meblach i ścianach nie ma śladów krwi. Zrobili, co w ludzkiej mocy, żeby cokolwiek znaleźć. Uśmiechnął się. Właśnie w takich momentach wkraczał zwykle Ambrose Congreve. Był wyjątkowo utalentowanym detektywem.

Ross czekał na dobrze mu znany okrzyk triumfu swojego szefa. Wiedział, że to tylko kwestia czasu.

- Aha! - zawołał z kuchni Congreve.

Sutherland kontynuował poszukiwania. Odwracał poduszki, obmacywał je delikatnie, podnosił pesetą różne drobiny i włókna, które wkładał do przezroczystej foliowej torebki. Niech Congreve nacieszy się własnym odkryciem. Mieli swoje zwyczaje, które wypracowali przez lata

wspólnych dochodzeń.

Po dziesięciu minutach usłyszał głos Congreve'a:

- Sutherland, pozwól tu do mnie.

Zastał nadinspektora siedzącego przy kuchennym stole. Na blacie stały dwa kubki herbaty, obok leżała srebrzysta foliowa torebka z plastikowym suwakiem. Ambrose bębnił po niej palcami i patrzył w zamyśleniu na przedwojenną lodówkę przy ścianie pod wysokimi oknami, po których spływał deszcz.

Sutherland usiadł na krześle naprzeciwko szefa i uniósł do ust kubek. Herbata była letnia, tak jak się spodziewał. Congreve przyrządził ją z resztek ciepłej wody, która pozostała w rurach. Ale Ross chętnie wypił. Odstawił kubek na stół i spojrzał na szefa. Nadinspektor nie odrywał wzroku od pięćdziesięcioletniej lodówki.

- Co pan ma, szefie? — zapytał Sutherland.

Congreve odwrócił się i popatrzył na niego niebieskimi oczami dziecka.

- Enigmę — odrzekł i podkreślił dwoma palcami koniuszek nawoskowanych wąsów.

- Kolejną. Jedną z wielu.

74

— Nie mówię o zagadce, tylko o niemieckiej maszynie szyfrującej / czasów II wojny światowej. O Enigmie, którą twoi koledzy z Królewskiej Marynarki Wojennej znaleźli na pokładzie tonącego U-Bootu, zanim poszedł na dno. O Enigmie, która uratowała Anglię. Wiesz, jak rozpracowano tę piekielną maszynę?

— Zrobili to geniusze od rozwiązywania krzyżówek, tak? Spece od czytania w ludzkich umysłach? Coś w tym rodzaju, prawda? O ile

pamiętam, wszystkich zebrano w Bletchley Park, gdzie próbowali złamać kod. I nam się udało.

— To nie był kod, Sutherland. Kody zastępują całe słowa. Enigma zastępowała poszczególne litery. Była maszyną szyfrującą.

— Przepraszam.

— I nie rozpracowali jej Brytyjczycy jak chętnie piszą autorzy tanich powieści, tylko polscy matematycy. Na początku lat dwudziestych w Polsce zaczęto przechwytywać niemieckie depesze szyfrowane Enigmą. Polacy odkryli, że problem ze znalezieniem klucza do odczytywania wysyłanych wiadomości można rozwiązać metodą matematyczną. Wykorzystali błąd niemieckich kryptologów, powtarzających klucz na początku każdej depeszy i...

— Fascynująca sprawa, ale...

— Właśnie zastanawiałem się nad tym, dlaczego od tylu lat zawsze udaje mi się jakoś pomóc Aleksowi Hawke'owi. Być może dlatego, że się wzajemnie uzupełniamy. Ja nie cierpię matematyki. Lubię logikę, ale nie liczby. Natomiast Alex jest całkiem dobry w matematyce. Podniebna nawigacja tego wymaga.

— Szefie...

— Interesują mnie ludzkie tajemnice, Sutherland. Takie jak ta na podłodze przy lodówce. Kałuża wody. Lodówka zaczęła się rozmrażać wczesnym rankiem. Zatem do tego czasu był jeszcze prąd. Wyłączono go rano. Dlatego faceci z MI-5 przeoczyli tę małą torebkę ze srebrzystej folii. Kto wyciągnął wtyczkę jakieś sześć i pół godziny temu? Dlaczego?

— Znalazł pan tę torebkę w lodówce?

— Tak. W samym środku rozmrożonej jagnięciny. Pod galaretowatą breją z

francuskiego bulionu pomidorowego. Spryciarz z tego Henry'ego, muszę mu to przyznać.

— Dobra robota, szefie! Zobaczmy, co to jest.

— Wszystko w swoim czasie. Henry Bulling prowadzi potrójne życie. Jak chyba wielu mężczyzn.

— Potrójne?

— Tak. Życie publiczne jest fasadą. Maską, którą co dzień rano wkłada przed lustrem przy goleniu, zanim powlecze się do swojego ponurego kąta w ambasadzie. Chimera. A życie prywatne? Można się o nim wiele dowiedzieć, patrząc na przedmioty w tym domu. Na przykład na te krzesła. Ten człowiek ma mroczną, gotycką naturę, nie sądzisz, Sutherland?

— Istotnie, szefie.

— I wreszcie trzecie życie.

— Tak?

— Tajne.

— Ma pan na myśli tę torebkę?

— Tak. Otwórz ją.

Sutherland wziął opakowanie w dwa palce i odciągnął plastikowy suwak.

— Są tu dwie płyty DVD, szefie. Nieoznakowane.

— Mam nadzieję, że wzięłeś ze sobą laptop?

— Jest w torbie. Zaraz przyniosę.

Ambrose sączył herbatę i myślał o zagadce, jaką stanowił Henry Bulling.

Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy, co jest na płytach. Nie spodziewał się rewelacji.

— Jestem, szefie. Możemy to obejrzeć.

Ross wsunął pierwszą płytę do małego laptopa Sony. Congreve usłyszał cichy dźwięk obracającego się dysku. Gdy ekran ożył, pochyłili się do przodu.

— To tylko jakaś wielka rafineria ropy, szefie — powiedział zawiedziony Sutherland. Miał nadzieję, że będzie to coś sprośnego, bardziej intrygującego.

— Idźmy dalej - odrzekł Ambrose.

— Ta sama rafineria pod innym kątem.

— Niesławnej pamięci francuska rafineria, inspektorze - uściślił Congreve.

— Możesz powiększyć ten kawałek? Tablicę nad ciężarówką.

Sutherland zaznaczył kursorem miejsce wskazane przez Congreve'a i zrobił zbliżenie.

76

- No tak - powiedział Ambrose. -Ta sprawa mogła trochę przerosnąć naszego Henry'ego. Ciekawe. Klikaj dalej.

- Nie rozumiem, szefie.

- Ropa to teraz bardzo gorący temat, Sutherland. To jest rafineria w Leunie w dawnych Niemczech Wschodnich. Zbudowali ją Francuzi i Niemcy. Zarządza nią Elf Aquitaine, największa francuska korporacja. W rzeczywistości należy do francuskiego rządu. Kilka lat temu Leuna znajdowała się w centrum wielkiej afery z udziałem francuskiego ministra handlu zagranicznego. Osławionego monsieur Bonapartego.

- Pamiętam. Dziury w budżecie. Łapówki dla krajów afrykańskich. -W głosie Sutherlanda brzmiało podniecenie. Wyświetlił następne zdjęcia. Pokazywały rurociągi i tankowce.

- Otóż to. Głośny romans Bonapartego z jego niemieckim

odpowiednikiem.

- Niemieckim potentatem stoczniowym. Dawał afrykańskim politykom pieniądze za każdą wydobytą baryłkę.

- Tak, oto nasi starzy przyjaciele, Francuzi i Niemcy. Sutherland spojrzął na swojego szefa.

- Nowa Europa.

- Nie zapominaj o Irakijczykach - odrzekł Ambrose. - Miliardy przechodziły nielegalnie z rąk do rąk. Ropa za broń. Tajne transakcje. Francuzi dostawali ropę. I pieniądze, oczywiście. Irak dostawał francuskie myśliwce Mirage, technologie i reaktory jądrowe objęte embargiem. To był największy skandal w historii Francji od czasów wojny. Jak myślisz, co znaczą zdjęcia francuskich rafinerii w lodówce naszego Henry'ego? Sutherland wyświetlił następne zdjęcie.

- Boże!

- Co?

- Niech pan na to spojrzy, szefie. Jaki wielki tankowiec. Jeszcze nie widziałem czegoś takiego.

- Wygląda na to, że właśnie wychodzi z cieśniny Ormuz. Jaką ma nazwę na kadłubie? Możesz ją odczytać? Zrób powiększenie.

- „Happy Dragon”, szefie. Bardziej chińska niż francuska. Ten olbrzym nie zostawia za sobą żadnego dymu. Nie widać, żeby miał komin.

- Napęd atomowy? Interesujące. Zobaczmy, co jest na drugiej płycie.

77

Ross wyjął pierwszą płytę i włożył drugą. Tym razem nie rozczarował się. Obraz był sprośny, intrygujący.

— Wielkie nieba — powiedział Ambrose, patrząc na ekran. — Henry, ty

świntuchu, to tak się zabawiasz?

Sutherland przyjrzał się kolorowemu amatorskiemu zdjęciu. Przedstawiało jakiś bal maskowy. Bardzo elegancki, sądząc po okazałym wnętrzu i obecności kilku znanych osób. Na pierwszym planie był chudy, ryży facet, całkiem nagi. Kuzyn Henry we własnej osobie. Na szyi miał coś w rodzaju skórzanej obroży nabijanej ćwiekami. Podobnie jak wielu innych przebierańców.

Drugi koniec smyczy trzymała wyjątkowo piękna kobieta o orientalnej urodzie, uśmiechnięta, tleniona blondynka w samych szpilkach i czarnym skórzanym staniku. Sutherland wyświetlił kolejne zdjęcia. Na każdym była ta sama uśmiechnięta kobieta.

— Bardzo atrakcyjna — stwierdził Sutherland. Ambrose przysunął się bliżej do monitora.

— To Bianca Moon. Nie należy mylić jej z jej siostrą bliźniaczką, Jet. Znajomość z Biancą zaszkodziła pewnemu ważniakowi z Whitehallu. Jednemu z najbliższych doradców Jej Królewskiej Mości. Zakochał się w Biance. To córka wysokiego rangą oficera Chińskiej Armii Ludowo--Wyzwoleńczej. Szpieg. Pracowała dla chińskiej tajnej policji Te-Wu. Gazety nazywały ją Porcelanową Lalką. Zawsze byłem ciekaw, co się z nią stało.

— Co ona, u diabła, robi w towarzystwie pańskiego kuzyna Henry'ego Bullinga?

— To chyba oczywiste — odrzekł Ambrose z wesołym błyskiem w niebieskich oczach. Ale nie było mu do śmiechu. Nie podobało mu się to, co łączyło Henry'ego z piękną Chinką.

— Niezłe, co? — zapytał Sutherland.

— Owszem. Wygląda na to, że w końcu mamy jakiś trop. Widzisz dolną część dużego portretu w górnym prawym rogu zdjęcia? Widać głównie pozłocaną ramę, ale można dostrzec rąbek niebieskiej sukni i stopę w pantofelku.

Sutherland pochylił się do przodu.

— Tutaj, tak?

78

— Mhm. To słynny portret namalowany przez Johna Singera Sargenta. Przedstawia znaną piękność tamtych czasów, lady Cecily Mars. Wciąż wisi w Great Halli w Brixden House. Zdaje się, że mieszka tam teraz prawnuczka lady Mars, Diana.

— Tak, słyszałem. To na zachód od Heathrow, prawda? O ile się nie mylę, jedna z najświetniejszych wiejskich posiadłości w Anglii.

— Zgadza się. Zawdzięcza swoją sławę szalonym nocom i orgiom. Takie chodzą słuchy. Obecnej lady Mars jakimś cudem udaje się ukryć prawdę przed dziennikarzami. Podobno jest to niezwykła kobieta.

Sutherland popatrzył na następne zdjęcie z prywatnej kolekcji Henry'ego Bullinga.

— Niech pan spojrzy na to, szefie.

— Co to takiego?

— Co oni robią z tą łyżeczką do kawy?

— Wielkie nieba!

Rozdział 11

Cannes

Zabierzcie tego człowieka do izby chorych — powiedział Hawke do młodego marynarza, przechodząc z rozchybotanego zodiaca na pływający

pomost wysunięty z hangaru rufowego „Blackhawke'a”.- Ma nieregularne tętno, jest niedożywiony i odwodniony. Sprawdźcie, czy ma jakieś złamania. Obejrzyjcie zwłaszcza lewy nadgarstek.

Stokely Jones stał na kołyszącym się lekko pokładzie i trzymał w ramionach Harry'ego Brocka. Amerykanin był nieprzytomny, jego głowa spoczywała bezwładnie na szerokiej piersi Stoke'a, ogromnego jak szafa. — Wreszcie zasnął — szepnął Stokely i położył ostrożnie Brocka na czekających noszach. — W tamtym kurorcie pewnie nie pozwalali mu się zdrzemnąć i trzymali go na diecie. Kiełki i liście lucerny. W takich warunkach człowiek musi schudnąć, nie ma cudów.

79

Hawke spojrzał na Stoke'a i pokręcił głową. Już nie pamiętał, ile razy ten były komandos Navy SEAL, a potem nowojorski gliniarz, wyciągał go z tarapatów. Zaczęło się od bardzo podejrzanego pożaru magazynu w Brooklynie. Detektyw nowojorskiej policji, sierżant Stokely Jones junior, zniósł wtedy nieprzytomnego Aleksa Hawke'a po sześciu kondygnacjach płonących schodów. Hawke został porwany. Kiedy odmówił zapłacenia za siebie okupu, kolumbijscy porywacze związali go i zostawili na pewną śmierć na ostatnim piętrze opuszczonego magazynu.

- Bez obaw, szefie, zajmiemy się nim jak trzeba - odrzekł jeden z dwóch młodych australijskich sanitariuszy. — Pani doktor już czeka, zgodnie z rozkazem. A co z panem? Ma pan paskudne skaleczenie pod lewym okiem.

Hawke dotknął twarzy wierzchem dłoni. Zaskoczył go widok krwi na ręce. Nawet nie wiedział o tym, że został ranny.

- Poproś radiooperatora, żeby mnie połączył z Langley — zwrócił się do

najbliższego załoganta. - Bezpośrednio z dyrektorem. Na bezpiecznej linii. Za dziesięć minut. A teraz idę do siebie.

- Tak jest — odpowiedział marynarz i pobiegł do kabiny telekomunikacyjnej.

Hawke spojrzał na Quicka, który właśnie wciągał zodiaca na pokład.

- Dobra robota, Tommy. Gdyby wcześniej ktoś mi powiedział, że potrafisz prześcignąć pontonem pocisk rakietowy Harpoon, poradziłbym mu, żeby poszedł do psychiatry.

- Dzięki, szefie. Sześćset koni mechanicznych czyni czasem cuda.

Przepraszam za niespodziewanego gościa, pana Jonesa. Ale wydawało mi się, że to dobry pomysł, żeby go zabrać ze sobą.

- Dzięki, Tom. Stoke zawsze się przy daje. Więc jak myślisz, kto do nas strzelał?

- Sądząc po użytej broni, wojsko, szefie.

- W porządku. Miejmy nadzieję, że terroryści jeszcze nie zdobyli kierowanych pocisków odpalanych z morza. Ale czyje wojsko, sierżancie?

- Dobre pytanie, szefie.

Dziesięć minut później Hawke był w swojej kajucie. Zdjął ubranie, wziął gorący prysznic i wyciągnął się na koi. Po chwili dostał połączenie

80

z dyrektorem CIA, swoim starym kumplem z czasów operacji „Pustynna Burza”, byłym ambasadorem w Wielkiej Brytanii, Patrickiem „Cegłą” Kellym. Pat pochodził z Wirginii. Był wysoki, miał łagodny głos, a za staromodnymi południowymi manierami krył się wybitny intelekt.

— Cześć, Pat - powiedział Hawke. - Wspaniała noc na incydenty międzynarodowe.

— Słyszałem. Są ofiary?

— Po naszej stronie nie ma. Ale możesz wykreślić „Star of Shanghai” z rejestru Lloyd’a.

— Wycofany ze służby?

— I zezłomowany na dnie portu w Cannes.

— Musiałeś go zatopić?

— Tak wyszło.

— A Brock?

— Na szczęście najpierw go uwolniliśmy — zachichotał Hawke. — Jest w naszej izbie chorych. Niestety w niezbyt dobrej formie.

— Bardzo z nim źle?

— Jego życiu nic nie zagraża. Chińczycy znajdują się na torturach. Najlepsze zostawili na później, żeby pobawić się z nim w którymś więzieniu w Szanghaju. Ale naszprycowali go jakimś paskudztwem.

— Jezu! Zaraz zadzwonię do Jenny i jego dzieciaków i powiem im, że wszystko będzie dobrze. Może się poruszać? Wysyłam po niego helikopter.

— Co jest grane, do cholery? Kiedy Stokely i ja wydostaliśmy Brocka z tej chińskiej łajby, ktoś nas ścigał i odpalił pocisk raketowy. Tuż za wyjściem z portu.

Zapadła cisza. Kelly przetrawiał słowa Hawke’a.

— No tak, strzelali do was, ale pocisk woda-woda? Jesteś tego absolutnie pewien?

— Oczywiście.

— I co stało się potem?

— Uciekliśmy. Na nasze szczęście była to rakietka naprowadzana ciepłem,

a nasze silniki nie emitowały go zbyt wiele. „Blackhawke” odpowiedział ogniem. Zatopił tamtych, zanim zdążyli odpalić następny pocisk.

— Zatopiliście dwie jednostki?

— Zgadza się. Jedną w porcie, drugą na morzu. 81

— Chryste!

— Właśnie dlatego wspomniałem o incydencie międzynarodowym.

— Wiesz, kto was zaatakował?

— Nie.

— Domyślam się, że Francuska Marynarka Wojenna.

— Francuzi? Co jest grane?

— Wojny napoleońskie pod wodzą nowego Bonapartego. Opowiem ci wszystko, jak wrócisz do Londynu.

— Ja? Myślałem, że chcesz Brocka.

— Was obu.

— W moich planach podróży nie ma Londynu. Jutro wieczorem mam randkę.

— Przełożysz ją. Znasz lotniskowiec „Big John”, prawda?

— USS „Kennedy”? Jasne. Kiedyś wylądowałem na nim moim hydroplanem. Z pewnym trudem. Nie przepadają tam za mną.

— Tak to jest, kiedy pilot Brytyjskiej Marynarki Wojennej próbuje wylądować jednosilnikowym hydroplanem na amerykańskim lotniskowcu. Jesteś legendą na tym okręcie. W każdym razie to nasza jedyna jednostka na Morzu Śródziemnym, która znajduje się wystarczająco blisko ciebie. Wyślę na „Blackhawke'a” helikopter Sea King. Zabierze was obu na „Big Johna”. Po wylądowaniu na pokładzie „Kennedy'ego”, odleciecie pierwszym samolotem do Londynu.

— Mam fart. Nie cierpię Riwiery w czerwcu.

— Wydam polecenie, żeby gulfstream ewakuacji medycznej już grzał silniki na pokładzie startowym „Big Johna”. Lot z „Kennedy'ego” do Londynu potrwa cztery godziny. Prześpij się teraz trochę. Z Brockiem pogadamy tutaj, w Waszyngtonie, w szpitalu Waltera Reeda. Przed i po badaniu jego mózgu. Co opowiada?

— Niewiele. Wciąż traci i odzyskuje przytomność.

— Ktoś powinien notować każde jego słowo. To by nam bardzo pomogło, Alex. Będziemy szukali niezgodności.

— Dlaczego?

— Chińczycy są teraz mistrzami w stosowaniu autosugestii i implantów czaszkowych. Nasi specjaliści od uwalniania zakładników ciągle mają do czynienia ze schizofrenikami. Nie wiadomo już, czy przemawia do

82

ciebie twój człowiek, czy mikrochip w jego mózgu. Trudno się zorientować, kto jest kim po spotkaniu z Chińczykami.

— Wiem, o co chodzi. To już nie jest science fiction. W porządku, Pat. Widzimy się w Londynie. Wybierzemy się do Hawkesmoor na dzień lub dwa. Postrzelamy sobie.

— Dobra. Posłuchaj, Sokole Oko. Twój nowy kumpel Brock jest dla nas bardzo ważny. Dowiesz się, jak bardzo, kiedy się zobaczymy.

Przed pójściem spać Hawke spotkał się ze Stokiem w małym barze na rufie, żeby wypić drinka. Stali na górnym pokładzie pod rozgwieżdżonym niebem. To była pierwsza pogodna noc od ponad tygodnia. Mistral się skończył, zniknął tak nagle, jak się pojawił.

— Jeszcze raz dziękuję, Stoke — powiedział Hawke i uniósł swoją

brandy.

— De nada - odrzekł Stokely.

— Człowiek raczej się nie spodziewa, że będzie do niego strzelać Francuska Marynarka Wojenna.

— Na pewno nie. Po Normandii i innych tego rodzaju faktach historycznych? Plaża Omaha, Saint-Mere-Eglise... Odległe, zamglone wspomnienia z przeszłości. Naprawdę myślisz, szefie, że to oni do nas strzelali? Francuska Marynarka Wojenna?

— Tak uważa Cegła. A on się zna na rzeczy.

— Francja może nie jest ideałem sojusznika, ale strzelanie do nas przenosi grę na całkiem inny poziom.

Hawke skinął głową, pociągnął łyk brandy i popatrzył na spadającą gwiazdę.

— Czy niebo nie wydaje ci się dziwne, Stoke? — zapytał.

— Nie. Wygląda normalnie.

— Czyżby? Spójrz na gwiazdozbiór Oriona. Widzisz, jak zmienił położenie? Widzisz to? Jakby nasza planeta odchyliła się o kilka stopni od swojej osi. Chryste! Zaczynam wierzyć, że to prawda.

— A poza tym nic ci nie jest?

— Chyba coś ze mną nie tak.

— Chcesz, żebym był pod ręką? Żebym poleciał z tobą do Londynu na spotkanie z dyrektorem? Nie mam żadnych planów poza wyprawą do Miami, żeby zobaczyć się z następną panią Stokely Jones.

s ł

- Piękną Fanchą z Zielonego Przylądka?

- Dziewczyna naprawdę ma szansę na ten tytuł, szefie. Hawke skinął

głową.

- Uważam, że wszyscy powinniśmy być w bliskim kontakcie. Ty, ja, Sutherland i Ambrose. Coś mi mówi, że czeka nas długa i niebezpieczna podróż, Stoke. Masz. To twoje pierwsze zadanie.

- Każda niebezpieczna podróż zaczyna się od pierwszego kroku - odrzekł Stokely i popatrzył na małą kopertę.

- To zaproszenie na jutrzejsze wieczorne przyjęcie. Na pokładzie bardzo eleganckiego jachtu. Jest przycumowany przy Hotel du Cap. Chciałbym, żebyś się tam wybrał. Spróbuj się czegoś dowiedzieć o chińskiej gwiazdce filmowej imieniem Jet. Mieszka na tym jachcie. Słyszałeś o niej?

- Nie. Raczej nie oglądam chińskich filmów.

- Jest w bliskich stosunkach z facetem o nazwisku von Draxis. To Niemiec, właściciel „Valkyrie”. Przemysłowiec. Potentat stoczniowy. Jest też właścicielem wielu gazet i stacji telewizyjnych w Europie Wschodniej. Kilka lat temu czytałem o nim raport wywiadu. Podlizywał się wtedy Saddamowi. Dostawał ropę za przysługi polityczne. Uważam, że nie jest czysty. Możliwe, że ona też nie.

- Dlaczego tak myślisz?

- Byłem z nią tuż przed wyprawą na pokład „Star of Shanghai”. Mogła ich ostrzec... Wyglądało na to, że się mnie spodziewają. Tak czy inaczej, sprawdź to. Rozejrzyj się dobrze. Bądź towarzyski i postaraj się zdobyć jakieś informacje.

- Chodzi ci o to, żebym się wtopił w tłum na tym jachcie.

- Właśnie, Stoke - przytaknął Hawke. - Wtop się w tłum. Zniknij wśród gości. Rozpłyń się...

Popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Jedynym miejscem na świecie, gdzie Stokely Jones mógłby się wtopić w tłum, byłaby szatnia zapaśników.

Stoke miał ponad dwa metry wzrostu i prawie sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi bez grama tłuszczu. Zaczął życie na ulicy jako mięśniak do wynajęcia i diler prochów. Mądry stary sędzia dał mu wybór: marynarka wojenna albo odsiadka na Riker s Island. Stoke przeszedł przesko-

84

lenie w bazie SEAL w Coronado i w 1968 roku wylądował jako „szczur rzeczny” w delcie Mekongu. Po powrocie do domu załąpał się do drużyny New York Jets. W swoim pierwszym meczu odniósł kontuzję i przesiedział rok na ławce rezerwowych. Potem wstąpił do nowojorskiej policji.

— Zabawa w szpiega — powiedział Stoke. — To lubię, szefie. Ale jeszcze ci nie mówiłem, co się przytrafiło Ambrose'owi.

— Co takiego?

— Ktoś próbował go sprzątnąć.

— Kto?

— Nie wiadomo. Ale traktuje to jako sprawę osobistą. » Hawke się rozeźmiał.

— Ja też tak bym to traktował.

— Chodzi mi o to, że sam prowadzi śledztwo.

— Właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Rozdział 12

Hongkong

Najbardziej lubił noc. Przez małe okno napływały portowe zapachy: słonej wody, planktonu, paliwa, różnych gnijących organizmów morskich,

odpadków i wiele innych. Zamknął małe czarne oczy osadzone głęboko nad wąskim, ostrym nosem i wchłaniał tę szczególną woń wilgotnymi nozdrzami. Wydawało mu się, że minęła wieczność, zanim znów uniósł powieki.

Zrobił głęboki wdech nosem, potem wydech ustami, otwartymi szeroko niczym czeluść grobu. Jak to się mówi? Wpuść świeże powietrze, wypuść zużyte.

Nazywał się Hu Su. Miał prawie sześćdziesiąt lat i był z zawodu pomocnikiem patologa. Taką osobę (zwykle mężczyznę, rzadko kobietę) tradycyjnie określa się słowem „diener”, które w języku niemieckim oznacza służącego, sługę lub lokaja. Hu Su traktował to jako żart, bo nie był nikim takim. W młodości mieszkał z rodzicami w Ameryce i przez kilka lat asystował przy sekcjach zwłok w Tempe w Arizonie.

Diener pcha wózki i splukuje węzłem stoły. Rozpina suwaki worków z ciałami i zszywa otwarte zwłoki. Poznaje ich sekrety. Tajemnice śmierci. Hu Su uwielbiał te sekrety. Miał to we krwi.

W Tempe, kiedy szeryf i jego ludzie odkryli tajemnice młodego dienera i ścigali Hu Su, nazywali go po prostu Chińczykiem. Hu Su przeżył trudne chwile, uciekając i ukrywając się w Arizonie. Tutaj, w swojej ojczyźnie, znów był niewidoczny.

Stał teraz przy małej umywalce wypełnionej gorącymi mydlinami. Patrzył w zaparowane lustro i widział odbicie doskonałego piękna. Widok swojej cudownej twarzy przyprawiał go o przyjemny dreszcz, który czuł w krótkim i nieco zdeformowanym kręgosłupie.

— Taaak — wycedził przez małe, równe i ostre zęby. — Jestem pięknym dienerem.

Widok rzeczywiście był niezwykły. Jego ciało, od szyi w dół, pokrywały skomplikowane, splatające się tatuaże. Na piersi, pod czarnym taoistycznym krzyżem, rozpościerał się żółto-szkarłatno-szmaragdowy dwugłowy chiński smok. Dwa pomarańczowe języki ognia z jego paszcz otaczały małego, zniekształconego penisa Hu Su. Mimo deformacji tego narządu - lub może właśnie dlatego - Hu Su miał różnorodne, stale niezaspokojone apetyty seksualne. Natura obdarzyła go wyjątkowo czułym zmysłem dotyku, smaku, słuchu i wzroku.

Wyszczrzył w uśmiechu zęby i wymamrotał słowa zadowolenia. Idealnie białe protezy dentystyczne wyglądały doskonale.

Co do zarostu, nosił czarną kozią bródkę, a jego tonsurę okalały czarne loki. Normalnie zaplatał je w warkoczyki i przypinał do nich siedem srebrnych czaszek, które dźwięczały cicho przy każdym ruchu głową. Teraz zgolił bródkę i naciągnął na włosy lateksową myckę. Warkoczyki zniknęły.

Dzisiejszej nocy perfekcyjnie wyrzeźbione czaszki spoczywały w jedwabnej sakiewce ukrytej na jego ciele. Ich cichy brzęk był ostatnim dźwiękiem, jaki słyszały niezliczone ofiary. Hu Su uśmiechnął się, przebierając wśród żywych wspomnień w swoim banku pamięci dienera.

86

Przesunął dłonią po kościstej czaszce śliskiej od potu i zwilżył językiem wąskie suche wargi. Musi się pospieszyć. Byłoby niedobrze, gdyby się spóźnił na spotkanie z generałem Mooneni. A ma jeszcze dużo do zrobienia, zanim będzie mógł opuścić swoją barękę.

Na drewnianym stoliku obok kredensu stała czerwona skórzana torba. Ukrywała sekrety niezwykłego życia Hu. Sięgnął do środka.

Wyjął ostrożnie gumowe protezy, słoiczki i tuby z kremem, makijażem i pudrem i zaczął się przeistaczać. Lubił śpiewać przy pracy. To, czego się nauczył w dzieciństwie w Arizonie. Piosenkę Siedmiu Krasnoludków z filmu Królewna Śnieżka. Jedną z wielu jego umiejętności było naśladowanie cudzych głosów. W pływającym domu zabrzmiało sentymentalne solo Erica Claptona: „Nakłada makijaż i czesze długie czarne włosy...”

Dwadzieścia minut później pomarszczony zabójca przestał istnieć. Zastąpiła go drobna kobieta z wyższych sfer Szanghaju. Nazywała się madame Li i miała na to wszystkie dokumenty. Postarzały i zgarbiony, ubrany w czarną jedwabną sukienkę z perłowymi guzikami, Hu Su pochylił się do przodu i przyjrzał uważnie swojemu odbiciu w lustrze. Miał róż na policzkach, długie rzęsy, pięknie nałożoną mascarę i starannie umalowane usta. Artystyczna robota. Włosy czarnej peruki były ściągnięte do tyłu i upięte w ciasny kok, który trzymała szylkretowa szpilka.

Do Paryża, moja droga!

Zawiesił na ramieniu starą damską torebkę od Louisa Yuittona. Był w niej fałszywy paszport i pięćdziesiąt tysięcy euro w gotówce. W drugim pokoju wybijał godziny stary zegar okrętowy. Osiem uderzeń. Czas iść. Do spotkania z generałem Moonem została godzina. Ale Hu musiał się najpierw pożegnać z samotną istotą, która czekała cierpliwie w ciemnym, cuchnącym pomieszczeniu pod jego stopami.

Otworzył ukryty właz w kuchni barki i przez chwilę rozkoszował się atmosferą strachu doskonale wyczuwalną tam na dole, w jego studiu. Wszedł ostrożnie (był na wysokich obcasach) na drewnianą drabinę i zaczął schodzić. W połowie drogi usłyszał stłumiony okrzyk nadziei

biednej Marge. Babcia już idzie, Margie! Spodziewał się, że będzie zdezorientowana i napawał się tym. Czy Marge naprawdę uwierzy, że ta elegancka staruszka przysłała ją uratować? Niewątpliwie tak!

87

Stara dwupoziomowa barka mieszkalna Hu Su nie różniła się zewnętrznie od tysięcy innych w zatłoczonym hongkońskim porcie Victoria. W jej żęzie mieściło się sanktuarium Hujego miejsce pracy. Tworzył tu w samotności swoje dzieła. Nocami, przy świecach, nadawał im nowe kształty. Używał skalpeli, noży do chleba, sekatorów i starej, hałaśliwej piły spalinowej.

Na dole panowały ciemności. Wypaliły się wszystkie świece z wyjątkiem dwóch. Mimo to w ich blasku było tu pięknie. Wzdłuż ścian stały duże i małe słoje z formaliną, gdzie spoczywały narządy, kawałki tkanki i starannie usunięte części ciała. Ściek w podłodze prowadził do zbiornika poniżej, połączonego z młynkiem jakich używa się na kutrach rybackich do mielenia rybich wnętrzności. Potem krwawa masa trafiała za burtę.

Na środku pomieszczenia do sekcji zwłok stał stół, najnowszy model używany w kostnicach. Miał dwa poziomy. Na górnym blacie z perforowanego arkusza stalowej blachy leżała teraz Marge. Otwory służyły do odprowadzania krwi i płynów ustrojowych na dolny blat, skąd usuwał je stały przepływ wody.

Marge Goodwin. Hu uważał, że to głupie nazwisko, nawet dla nieatrakcyjnej, grubej Amerykanki. Była żoną skorumpowanego członka zarządu Bank of China. Generał Moon zażądał od niego miliona dolarów za jej uwolnienie. Termin minął. Bankowiec się nie odezwał.

Prawdopodobnie zawiadomił policję. Bez sensu, gdyż nowy komendant,

podobnie jak wielu innych ludzi w nowym Hongkongu, siedział w kieszeni Moona.

Moon wydał na Marge Goodwin wyrok śmierci.

Polecenie przekazał swojemu najbardziej zaufanemu zabójcy przez adiutanta, majora Tanga. Informacja jak zawsze została zaszyfrowana. I jak zawsze dostarczył ją anonimowy rybak w sampanie.

W porcie były tysiące takich niepozornych mężczyzn i kobiet mieszkających na sampanach. Wiele z tych osób figurowało na tajnej liście płac generała Moona. Żeby umocnić swoją pozycję w Hongkongu, Moon ostatnio wyposażył tę prywatną armię w broń automatyczną i granatniki. Stanowili potężną zamaskowaną siłę.

Kiedy Hu rozszyfrował w swoim studio otrzymaną wiadomość, dowiedział się, że dostał nowy, bardzo ekscytujący przydział. Do Paryża. Tres Mc, n'est-ce pas? Tak się ucieszył, że zapisał ten fakt w jednym ze swoich

czarnych skórzanych notesów. Często używał sylabicznej poezji haiku, jednej z japońskich sztuk, które podziwiał.

Był umówiony w Złotym Smoku punktualnie o dziewiątej wieczorem.

Cicha kolacja z adiutantem generała, majorem Tonym Tangiem. Dzięki zachodniemu imieniu i elegancji, Tang błyszczał w kręgach towarzyskich Hongkongu. Na tym spotkaniu miał wprowadzić Hu w całą sprawę.

Hu przeczytał w wiadomości od Moona, że zarezerwowano mu miejsce pierwszej klasy w wieczornym samolocie British Airways do Paryża, gdzie w hotelu George Y czeka na niego luksusowy apartament. Tam są najpiękniejsze kwiaty, wspaniałe kompozycje. Trzeba będzie zapytać, kto je robi. Postawić drinka chłopcu hotelowemu, a potem... kto wie?

Ale przed wyjazdem musiał, oczywiście, posprzątać swoje gniazdo.

Skrócić męki żalosnej ofiary. Uwielbiał to zajęcie.

Gościł ją od czterdziestu ośmiu godzin. Była prawie gotowa. Teraz tylko kilka ostatnich poprawek tu i tam, i voila, można wkładać do piekarnika!

Rany, ależ ona hałasowała! Zmęczyła go tym, przestał jej słuchać.

Zatrzymał się na dolnym szczeblu drabiny, spojrzął na Marge i zakończył swój śpiew dramatycznym tremolo: „Słowo daję, kochanie, wyglądasz cudownie w tę nooc...”

Wrzasnęła. Nic dziwnego. Siedemdziesięcioletnia staruszka o głosie Erica Claptona? Wystarczy, żeby zwariować.

Zszedł z dolnego szczebla drabiny i odwrócił się do Marge. W centrum medycznym uniwersytetu w Tempe nauczył się, że opłaca się być metodycznym, dobrze zorganizowanym. Wszystko w swoim czasie.

Zdjął z wieszaka na ścianie przy stole zielony kitel chirurga i plastikowy fartuch. Ubrał się, wciągnął lateksowe rękawiczki. Na damskie pantofle nałożył papierowe ochraniacze. Patrzył przez chwilę, jak kobieta ciska się, i pokręcił głową. Od razu poznała po spojrzeniu staruszki, że nie jest to jej wybawczyni.

— Do góry, moja droga. — Wsunął ramię pod plecy Marge i dźwignął górną część jej ciała. Wolną ręką ustawił między jej łopatkami czarny gumowy blok. Głowa kobiety opadła do tyłu, szyja się wyprężyła.

Kilka razy przesunął krawędzią delikatnego ostrza po małej osełce, tam i z powrotem.

Tak, moja droga. Ten język trzeba będzie niestety wyciąć. — Ciii... — powiedział i uniósł skalpel.

Rozdział 13

Gloucestershire

Sutherland pędził szosą, zwolnił minimalnie przed skretem i przemknął przez główną bramę. Przez chwilę studiowali drogowskazy, potem pojechali w ślimaczym tempie krętą szeroką aleją, która prowadziła do Brixden House.

Trasa wiła się wśród setek hektarów ogrodów i parków. Tu i tam stały klasycystyczne posągi, niektóre w bardzo lubieżnych pozach, gdzie indziej świątynia nad stawem. W promieniach czerwcowego słońca trawniki, jeziora i rabaty kwiatowe wyglądały niezwykle malowniczo.

Jak na gust Congreve'a wszystkiego było trochę za dużo, ale spodziewał się, że nie będzie zachwycony tym miejscem. Brixden Set, jak nazywano posiadłość, nie miała dobrej reputacji. Seanse spirytystyczne, bale maskowe, orgie. Spojrzał na Sutherlanda, który wydawał się podniecony wizytą tutaj. Orgie. Właśnie.

- Zanim dojedziemy na miejsce, trzeba będzie ze dwa razy tankować benzynę — powiedział Ambrose, nabijając fajkę tytoniem.

- Imponująco wielki teren — zgodził się Sutherland.

- Dzieło drugiego księcia Buckingham - odrzekł Congreve ze stłumionym westchnieniem dezaprobaty. — Kanalii i rozpustnika. Uniknął kuli w pojedynku z mężem swojej kochanki, ale krótko potem zmarł na zapalenie płuc, którego się nabawił podczas polowania na lisy, co było jego drugą pasją po kobietach.

Jednak mijane gaje brzoskwiniowe i ogrody kojarzyły się Congreve'owi z inną epoką. Wyrastały wśród nich rozległe cieplarnie z nektarynkami, ananasami, orchideami, rzadkimi fuksjami i begoniami, kliwiami, z nieskończoną ilością odmian cyklamenów. Kiedy wreszcie dostrzegł swoje

ukochane dalie, jego krytyczny stosunek do Brixden House trochę złagodniał.

Uważał, że żaden miłośnik dalii nie może być całkiem zły.

W końcu zobaczyli rezydencję w klasycystycznym włoskim stylu. Zrobiła na nich wrażenie. Nawet Ambrose musiał przyznać, że jest piękna.

Pochodziła z połowy XVII "wieku. Początkowo był to domek myśliwski, który potem wielokrotnie przebudowywano. Obecna wiejska rezydencja z epoki edwardiańskiej wznosiła się na kredowym urwisku z widokiem na pagórkowaty krajobraz Berkshire i górowała nad malowniczym zakolem Tamizy, podczas gdy duży domek gościnny o nazwie Spring Cottage stał na brzegu rzeki.

Sutherland okrążył wspaniałą fontannę i dojechał szeroką żwirową alejką do parkingu. Zatrzymał swojego mini w cieniu między nowiutkim zielonym bentleyem continentalem i wielkim Aston Martinem Lagondą z 1980 roku. Ambrose nie mógł się powstrzymać i zajrzał do bentleya. Chęć posiadania samochodu opanowała go bez reszty i przyłapał się na tym, że podziwia luksusowe wnętrze i wyobraża siebie za kierownicą. Teraz wiedział, jak musi się czuć nałogowiec, kiedy zapali opium lub powącha klej.

Wyprostował się i zapiał tweedową marynarkę.

— Chodźmy, Sutherland, szkoda czasu.

Na spotkanie z lady Mars włożył trzyczęściowy garnitur w czarno--białą pepitkę i swoje ulubione brązowe mokasyny z cielecej skóry, model Derby z dwiema klamerkami i podeszwą w kształcie klepsydry, zrobione na zamówienie u Johna Lobba. Buty w sam raz dla właściciela bentleya.

Spodziewano się ich i zaprowadzono od razu do Great Hali, żeby zaczekali na jej lordowską mość. Sutherland podszedł do słynnego portretu prababki lady Diany Mars pędzla Singera Sargenta. Obraz wisiał na lewo od kominka. Ambrose obejrzał jedną z dwóch pięknych hiszpańskich zbroi, które stały u stóp wielkich schodów. W dzisiejszych czasach nieczęsto widzi się zbroje. W połowie XX wieku stały się tak pospolite, że przestano je eksponować. Congreve zauważył misternie wykonany napierśnik i pomyślał, że być może takie rzeczy zasługują na powrót do łask.

— Nadinspektor Congreve, jak się domyślam — usłyszał za sobą głos. — Bardzo się cieszę, że mogę pana gościć w Brixden House.

91

Ambrose się odwrócił.

— Lady Mars, jestem... - Słowa uwięzły mu w gardle. Poczł się oszołomiony idealnym pięknem tej kobiety.

— Jest pan sławny, nadinspektorze -> powiedziała lady Mars, widząc jego zmieszanie. — Czytałam o panu dziś rano. Gazety nazywają pana Demonem Podstępu. Międzynarodowym Mistrzem Tajemnicy. No, no. Chyba powinnam uważać na każde słowo.

Nadinspektor zaczął się pocić.

— Ależ skąd, lady Mars... Nic podobnego... Te wszystkie sprawy kryminalne, którymi się zajmuję, wymagają po prostu logicznego myślenia i... i...

—Tak?

Sutherland zorientował się, że jego kolega nie jest w stanie prowadzić dalej rozmowy i przyszedł mu z pomocą. Podszedł szybko i się przedstawił:

— Detektyw inspektor Ross Sutherland ze ScotlandYardu.

— Bardzo mi miło, inspektorze. Jeszcze jeden przystojny policjant. Cieszę się, że mogę pana poznać. Diana Mars. Napiją się panowie herbaty? A może czegoś zimnego? Przejechaliście kawał drogi, a jest strasznie gorąco. Zapraszam do biblioteki.

Sutherland spojrział na Congreve'a, który sprawiał wrażenie niezdolnego do udzielenia odpowiedzi na najprostsze pytanie. Wyręczył go.

— Chętnie skorzystamy, bardzo dziękujemy.

— W takim razie proszę za mną — powiedziała lady Mars. Zdawała się płynąć po lśniącem parkiecie i po chwili zniknęła za podwójnymi drzwiami.

Sutherland znów spojrział na Congreve'a. Nadinspektor ani drgnął, jakby wrósł w ziemię.

— Mam przynieść z samochodu defibrylator, szefie?

— A co się stało?

— Nic panu nie jest?

— Nie. W czym problem?

— Lady Mars zaprasza nas na herbatę. Do biblioteki. Tam.

— O co ci chodzi, Sutherland?

— Czeka tam na nas, szefie.

— Ach tak. Więc chodźmy.

92

- Jesteście, panowie! -wykrzyknęła lady Mars, gdy weszli.-Myślałam, że was wystraszyłam. Usiądźcie i napijcie się herbaty. Oakshott ma też dla nas pyszne ciastka.

- Tak jest, madame - odrzekł Oakshott. Był wysokim, chudym blondynem

z kręconymi włosami. Kiedy skłonił się lekko, kołnierzyk wykrochmalonej koszuli podszedł mu aż pod brodę.

Detektywi usiedli na miękkiej kanapie pokrytej brokatem i lady Mars naląła im herbaty. Najpierw Ambrose'owi, potem Sutherlandowi. Congreve uniósł filiżankę do ust, starając się ze wszystkich sił opanować drżenie ręki. Z trudem wypił mały łyk.

- Zauważyłem, że lubi pani dalie, lady Astor - zagadnął.

- Lady Astor? — zapytała z uprzejmym uśmiechem, choć pomyłono ją z osobą nieżyjącą od blisko czterdziestu lat.

- Przepraszam, chciałem powiedzieć lady Mars. Przejęzyczyłem się. Jest mi trochę za gorąco. Proszę wybaczyć, ale...

- Rzeczywiście jest tu duszno - odrzekła. - Cóż za niedopatrzenie z mojej strony. Oakshott, mógłbyś podkreślić klimatyzację? Panu nadinspektorowi brakuje powietrza.

- Oczywiście, jaśnie pani — odpowiedział lokaj, skłonił się lekko, poprawił okulary w grubej czarnej oprawce i wyszedł cicho z pokoju pełnego książek.

Diana Mars spojrzała znad filiżanki na Congreve'a dużymi niebieskimi oczami.

- Chyba mówił pan coś o daliach, nadinspektorze. Ambrose przełknął łyk gorącej herbaty.

- Doprawdy? - Wydawał się niezdolny do prowadzenia konwersacji.

- Tak — potwierdził Sutherland lodowatym tonem.

- Może ma pan ochotę na ekierkę, nadinspektorze? - zapytała lady Mars.

- Proszę?

- Pytałam, czy ma pan ochotę na ekierkę.

- A tak. Przepraszam. Słuchałem pani głosu, nie tego, co pani mówi. i
Sutherland odkaszlnął dyskretnie w zaciśniętą pięść, potem sięgnął do
wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął kopertę.

- Nie chcemy zabierać pani zbyt wiele czasu, lady Mars. Jak wspomniałem
rano przez telefon, interesuje nas człowiek, którego podejrzewamy o próbę
zabójstwa.

- Jak mogę pomóc, inspektorze?

- Chciałbym, żeby spojrzała pani na to zdjęcie — odrzekł Sutherland i
wręczył jej błyszczącą fotografię o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia
pięć centymetrów.

Przyjrzała się jej.

- Rozpoznaje pani kogoś?

- Oczywiście. To zdjęcie zrobiono tutaj, w Brixden House. W ostatniego
sylwestra. W Great Hali. Widzi pan? Tu wisi portret mojej prababci.

- Zgadza się! - wtrącił się Ambrose. - Obraz Sargenta. Sutherland zerknął
na Congreve'a, który najwyraźniej starał się wziąć w garść, a potem
zwrócił się do lady Mars:

- Czy te wszystkie osoby to pani przyjaciele?

- Ależ nie! Co roku otwieram po prostu drzwi i czekam na gości. Robię tak
od śmierci mojego męża. Zmarł w sylwestra. W pierwszej minucie nowego
tysiąclecia. Udławił się kawałkiem szynki. Biedny Nigel.

- Moje kondolencje, lady Mars - powiedział Sutherland. Congreve w
końcu włączył się do sprawy.

- Zatem jest pani wdową, jak rozumiem.

- Doskonała dedukcja, nadinspektorze - odrzekła Diana Mars z ciepłym
uśmiechem. - Owszem, jestem wdową.

- Chodzą słuchy, że zamierza pani sprzedać Brixden House - powiedział Congreve, przykładając do czoła wilgotną chusteczkę do nosa. - Podobno ma tu być hotel.

- Tutaj zawsze był hotel.

- Wracając do zdjęcia, lady Mars - ciągnął Sutherland - chciałbym panią zapytać o tego dżentelmena z rudymi włosami.

- Tak?

- Jest nagi.

- Na to wygląda. Muszę coś wyjaśnić. Równy z wybiciem północy wycofuję się do siebie. Żeby być sama ze swoimi wspomnieniami. A zabawa trwa dalej, do świtu. Zwykle sprowadzam muzyków ze Stanów.

94

W zeszłym roku był Jimmy Buffett. Po prostu rewelacja. O piątej rano jest śniadanie. Nie interesuje mnie, co się dzieje w domu po godzinie duchów. Zależy mi tylko na tym, żeby wszyscy obudzili się rano z ciężkimi głowami i pamiętali, jak dobrze się bawili na cześć Nigela.

— Wspaniale — stwierdził Ambrose

— Owszem — przytaknęła. — Jeśli o mnie chodzi, to nie piję. Między innymi dlatego, że chcę zachować pełną świadomość, kiedy się dobrze bawię. — Popatrzyła na obu mężczyzn płonąącym wzrokiem.

— Piłeś, nie jedź - odparł Congreve. - Nie wbijaj nawet piłki do dołka!

— Dobre porównanie. Rozumiem, że gra pan w golfa, nadinspektorze? Ja też.

Sutherland zmiażdżył Congreve'a wzrokiem.

— Jeszcze nie skończyliśmy z fotografią.

— Tak, tak. Poznaje pani kogoś, lady Mars? — zapytał Ambrose i pochylił

się do przodu z dłońmi na kolanach. Sutherland odetchnął z ulgą. Jego szef wreszcie doszedł do siebie.

— Tę kobietę tutaj — odrzekła.

— Którą? - spytał Congreve.

— Tę. Nazywa się Bianca Moon. Była tu kilka razy. Kiedyś z siostrą bliźniaczką, Jet. Ale nigdy na lunchu ani na kolacji.

— Dlaczego, jeśli wolno spytać? - zainteresował się Sutherland.

— Bo nie możemy przy niej swobodnie rozmawiać. Uważamy, że jest szpiegiem.

— Oczywiście, że jest — przytaknął Congreve. Jego wcześniejsze zakłopotanie nagle zniknęło. - Pytanie brzmi, dlaczego tak ją interesuje pewien angielski pracownik ambasady francuskiej?

— Zdaje się, że Chińczycy i Francuzi są ostatnio w bliskich stosunkach — zauważyła Diana Mars. — Chodzi o duży interes. O ropę. Ale oczywiście wiedzieliście o tym, prawda? Wszyscy wiedzą.

— Naturalnie, że wiedzieliśmy — odrzekł Congreve z wyrazem absolutnej szczerości w swoich niewinnych oczach dziecka.

— Wiedzieliśmy? — wypalił Sutherland, zanim zdążył się powstrzymać.

95

Rozdział 14

Hongkong

Madame Li zjawiała się w Złotym Smoku punktualnie o dziewiątej wieczorem. Do pływającego pałacu dostała się taksówką wodną. Była w białych rękawiczkach i bardzo uważała, żeby nie ubrudzić pięknego różowego kostiumu i toczka na czubku głowy. Wcześniej dokładnie obejrzała się przed wysokim lustrem. Doskonale. W sam raz do spacerów

po bulwarach Miasta Światła.

Pozbycie się Marge zajęło mu trochę więcej czasu, niż przewidywał, ale zdążył na umówioną godzinę.

Ruchliwy port i niebo nad nim wypełniały kolorowe światła. Było tak jasno, że w drodze mógł czytać „South China Morning Post” (dobry rekwizyt na wieczorny lot do Paryża), gdy taksówka wodna lawirowała w gąszczu sampanów i mijających się promów.

Złoty Smok nie był największą pływającą restauracją w Hongkongu.

Palnę pierwszeństwa dzierżyła Jumbo Kingdom, bardzo popularna wśród turystów. Ale Smok był dużo bardziej interesujący. Miał cztery poziomy powyżej linii wodnej, dwa poniżej i ponad dziewięćdziesiąt metrów długości. Zaprojektowano go w stylu chińskiego pałacu cesarskiego i ozdobiono złożonymi smokami i bóstwami. Nawet goście stołujący się tutaj od lat nie podejrzewali, że Złoty Smok to kwatera główna Te-Wu, najstarszej i najbrutalniejszej na świecie tajnej policji.

— Dobry wieczór — powiedział jeden z wielu młodych, przystojnych kierowników sali i wyszedł zza czarnego pulpitu recepcyjnego. — Mam na imię Wu. Witam w Złotym Smoku.

Hu Su był zachwycony, że jego nowa osobowość wzbudza szacunek wśród personelu. Wszyscy młodzi ludzie nosili doskonale skrojone wieczorowe garnitury i czarne jedwabne koszule. Wu skłonił się z wrodzoną elegancją i zapytał z uśmiechem po angielsku:

— Czym mogę służyć, madame?

Hu Su dobrze wiedział, że generał ma obsesję na punkcie tego, żeby otaczało go piękno. Dotyczyło to również ludzi. Wszyscy jego pod-

władni, od sztabowców do pracowników Smoka, wyglądali doskonale. Wyjątkiem mogli być ci, których ceniono za wyjątkowe umiejętności. Wytatuowany geniusz z dziwną fryzurą, ktoś taki jak Hu Su, był tolerowany. I odpowiednio wynagradzany.

— Dobry wieczór — odrzekła madame Li. — Jestem tu umówiona. Oczekuje mnie major Tang.

— Ach tak — szepnął piękny chłopiec z ledwo dostrzegalnym błyskiem w oczach i jeszcze większym szacunkiem. Podniósł słuchawkę jednego ze staromodnych telefonów z masy perłowej i powiedział coś do niej cicho.

— Major czeka na panią w barze Typhoon Shelter na górze — rzekł po chwili. - Zechce pani łaskawie wpisać się do rejestru gości?

Hu Su wpisał się i ruszył za chłopcem. Poszli krótkim, lśniącym i pachnącym korytarzem z drewna tekowego, odgrodzonym linką. Na końcu była mała prywatna winda z pięknie rzeźbionymi drzwiami z brązu. Sceny przedstawiały bez wątpienia życie górskiej wioski, gdzie urodził się generał Moon i spędził szczęśliwe dzieciństwo. Każda rzeźba, każdy obraz, każde dzieło sztuki ukazywało jakiś aspekt jego chlubnej przeszłości.

Wu wcisnął przycisk i założył do tyłu dłoń w białych rękawiczkach. Hu Su uznał, że chłopiec jest za ładny. Dla własnego dobra powinien mieć jakąś drobną wadę fizyczną, żeby nabrać charakteru. Mogę to załatwić, pomyślał, gdy rozsunęły się drzwi.

— Proszę, madame — powiedział z ukłonem Wu i wskazał ręką windę. - Dojedzie pani prosto do baru Typhoon. Mam nadzieję, że spędzi pani u nas miły wieczór.

— O, na pewno — odrzekł Hu Su z dreszczem podniecenia.

— I mam nadzieję, że znów będę mógł pani służyć.

— Och, z pewnością, moje dziecko, z pewnością. Kiedy Hu Su został sam w windzie, odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem.

Bar Typhoon Shelter mieścił się na jednym z górnych pokładów, tuż poniżej prywatnego biura generała Moona. Nocna panorama portu była zachwycająca, jedzenie i martini doskonałe. Hu Su dobrze znał majora Tony'ego Tanga i wiedział, że przyjemnie spędzi czas w jego towarzystwie. 97

Major był najbardziej czarującym człowiekiem w sztabie generała Moona. I jednym z najbliższych sojuszników Hu.

Hu Su spotykał się z majorem w Dragonie wiele razy w różnych przebraniach. Główny pokład zajmowała restauracja Dragon Court na pięćset osób. Miała wystrój w stylu dynastii Ming. Jeśli komuś udało się zrobić rezerwację, mógł zamówić doskonałe dania kantońskie, między innymi płetwę białego rekina, zupę z owoców morza i pędy bambusa. Ale Hu Su najbardziej lubił specjalność szefa kuchni, Gonga Li — homara podawanego w całości. Parujący, jaskrawoczerwony skorupiak był serwowany w pozycji siedzącej na połączonym wiklinowym krześle. W akwariach restauracji pływały żywe rekiny i ponad sześćdziesiąt gatunków innych stworzeń morskich. Świeżość i higienę zapewniał system sterylizacji wody promieniami ultrafioletowymi. Nie oszczędzano na niczym. Nie lekceważono żadnego szczegółu. Pilnował tego sam generał Moon. Dlaczego kwatera policji nie miałyby przynosić zysków? Według przewodników turystycznych i w opinii tysięcy ludzi, którzy przewijali się tutaj co roku, Złoty Smok był wspaniałym pałacem. Ale do wielu pomieszczeń nie wpuszczano gości. Oficjalnie w jadalniach i salach

bankietowych na górnych poziomach stale brakowało wolnych miejsc. W rzeczywistości mieściły się tam nowoczesne ośrodki telekomunikacyjne Te-Wu, czynne całą dobę. Jeden z pokładów zajmowało mieszkanie generała.

Złoty Smok był pomysłem Sun-jat Moona.

Powstał w stoczni MV Tiencin nad rzeką Haj-ho i kosztował miliony dolarów. Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza rozpoczęła jego budowę trzy lata przed powrotem Hongkongu do Chin. Inżynierowie twierdzili, że realizacja takiego projektu potrwa co najmniej pięć lat. Moon dał im trzy. Robotników zobowiązano pod karą śmierci do zachowania tajemnicy. Prace prowadzono potajemnie. Brytyjskie władze Hongkongu wiedziały tylko tyle, że bardzo bogaty chiński biznesmen buduje wspaniałą pływającą restaurację. Były poinformowane, że w pewnym momencie z jakiegoś miejsca na wybrzeżu Chin zostanie przyholowana wielka barka i zacumowana w porcie Hongkong. I że zbiegnie się to z przekazaniem Hongkongu Chinom.

98

W tym historycznym dniu zamaskowany Złoty Smok pojawi się w porcie Koulun. Przyciągnęły go poprzedniej nocy trzy holowniki. Dziwnym trafem policja portowa nic nie widziała, a łodzie patrolowe gdzieś zniknęły. Macki potężnej Te-Wu już oplatały wielkie miasto.

Następnego ranka lśniącego w słońcu Smoka otoczyły sampany i prywatne jachty. Na cześć jego niespodziewanego przybycia wyły syreny. Statki pożarnicze polewały strumieniami wody dachy pływającej restauracji. Po zmroku z pobliskich barek wystrzeliły fajerwerki.

Magiczne królestwo generała Sun-jat Moona zostało oficjalnie otwarte dla

publiczności. A nieoficjalnie otwarto dla przywódców w Pekinie nowy tajny ośrodek władzy w Hongkongu.

Budząca postrach Te-Wu miała tu wreszcie swoje gniazdo.

— Witam w barze Typhoon Shelter — powiedział inny ładny chłopiec, kiedy za rozsuniętymi drzwiami windy ukazała się nocna panorama Hongkongu.

— Oczekuje mnie major Tang.

— Tak jest. Tędy proszę, madame.

Rozdział 15

Cotswolds

Alex odziedziczył Hawkesmoor, kiedy zmarł jego dziewięćdziesięciodziesięcioletni dziadek. Stara rezydencja Cotswolds z niezliczonymi kominami i rozległą koryncką loggią od południa, zaprojektowaną przez Roberta Adama, stała wśród zielonych pagórków w sercu Gloucestershire. Miejsce wydawało się zbyt idylliczne do słuchania przerażającej historii, którą właśnie opowiadał Hawke'owi dyrektor CIA. „Cegła” Kelly przyleciał czarnym nieoznakowanym helikopterem Bell Jet Ranger. Maszyna wylądowała na szerokim trawniku otoczonym jeziorkami, strumykami i temples de l'amour.

Minęły dwa dni, odkąd Hawke uratował na południu Francji Harry'ego Brocka. Golił się w łazience na górze, gdy usłyszał hałas śmigłowca. Wyjrzał przez okno i się uśmiechnął. Pilot posadził helikopter na trawie. Hawke ubrał się szybko i zbiegł na dół przywitać starego przyjaciela.

O szóstej wieczorem Alex i „Cegła” Kelly siedzieli w bibliotece, gdzie unosił się mocny zapach starej skóry, tytoniu i wosku do mebli. Za wysokimi oknami stały wiekowe drzewa. Ich ciemne sylwetki odcinały się

na tle bladożółtego nieba. O zmierzchu robiło się chłodno i wilgotno, więc Pelham napalił w kominku. Hawke swoim zwyczajem sączył czysty rum Goslings, a Kelly whisky z wodą.

Niedawno wrócili z długiego popołudniowego spaceru. Janowce i jeżyny na zboczach wzgórz były jeszcze wilgotne po porannym deszczu. Wzięli ze sobą strzelby, ale ptaki nie latały.

Kelly usadowił się głębiej na jasnoróżowej adamaszkowej kanapie obok kominka.

— Co jeszcze możesz mi powiedzieć, Alex?

— Mnóstwo — odrzekł Hawke. — Ale najpierw opowiedz mi więcej o tym nowym francuskim ministrze handlu zagranicznego, Bonapartem. Z każdym rokiem coraz bardziej przypomina Hitlera.

Hawke jak wszyscy, od dawna czytał w gazetach i magazynach ilustrowanych o cudownej drodze Luki Bonapartego do władzy. O jego płomiennych przemówieniach, wizji „Nowej Francji”, wizytach u Castro i Chaveza w Wenezueli, rzekomych powiązaniach z Pekinem. Teraz jednak był ciekaw, co sądzi o tym dyrektor.

Kelly, szczupły rudowłosy dżentelmen z Wirginii, założył dłonie za głowę i wyciągnął długie nogi w kierunku ognia.

— Luca Bonaparte — powiedział z westchnieniem — to cholerna bomba zegarowa. Całkiem trafnie porównałeś go do Hitlera. W ciągu ostatnich kilku lat zrobił zawrotną karierę polityczną. Nosi sławne nazwisko. Jest przystojny i charyzmatyczny. Ale ma również dużą pomoc z zewnątrz. Nasze podejrzenia się potwierdziły. Według Harry'ego Brocka wspierają go Chińczycy.

— Krążą pogłoski o zabójstwach.

— To nie pogłoski. Brock twierdzi, że chińscy agenci zabili co najmniej dwóch ministrów, którzy blokowali Bonapartemu drogę na sam szczyt. Na razie nie możemy tego udowodnić, ale to tylko kwestia czasu. Francuzi i Chińczycy pokochali się ze sobą. To teraz temat dnia.

100

— Trudno mi w to uwierzyć.

— Wylądowałeś w samym środku wydarzeń, kiedy porwałeś Brocka. Chińczycy wkrótce zaczną na ciebie polować. Bonaparte już to robi.

— Co będą z tego mieli Chińczycy?

— Ropę. Uważamy, że Francja chce samodzielnie zrobić coś w Zatoce Perskiej. Chiny ją poprą. Jeśli sojusz wypali, Bonaparte będzie rządził Francją w sposób korzystny dla Chin. Tak to widzi prezydent McAtee i większość ludzi w Waszyngtonie.

— Chińczycy dostaną przyczółek w Zatoce, a Francuzi władcę, który jest w prostej linii potomkiem ich sławnego cesarza.

— Otóż to. Nazwisko Bonaparte działa na Francuzów. Mają dosyć tego, że są na politycznym marginesie. Druga połowa XX wieku nie była dla nich pomyślna. Nie chcą być dłużej „starą Europą”, jak nazywa ich teraz prasa. Dlatego głosowali przeciwko przyjęciu konstytucji Unii Europejskiej.

— Więc nowa Francja jest w rzeczywistości starą Francją.

— Oczywiście. Bonaparte w pełni wykorzystuje obecną tęsknotę swoich rodaków za dawną potęgą. Jego przemówienia porywają ludzi. Czasami graniczy to z histerią. Nawet anden noblesse wydaje się nim zauroczona. Arystokraci, rolnicy, studenci. Wygląda na to, że cały kraj widzi w nim męża opatrznościowego.

— Tylko mi nie mów, że w dodatku ma rozum.

— To błyskotliwy polityk. Wielki znawca historii światowej wojskowości. Lubi rozwiązywać zadania szachowe. Nie wahałbym się nazwać go geniuszem, Alex. Ale równocześnie uważam, że to szaleniec.

Hawke przyjrzał się w milczeniu fotografii, którą wręczył mu Cegła.

Mężczyzna na zdjęciu był dość przystojny. Miał takie same ciemne oczy jak Napoleon. Wydawało się, że ich spojrzenie może przepalić na wylot papier. Niebezpieczny przeciwnik.

— On też jest niski? — zapytał Hawke i upuścił fotografię na dywan, jakby parzyła go w palce.

— Nie, ale tak się zachowuje. Hawke uśmiechnął się szeroko.

— Kompleks Napoleona. Nie wiedziałem, że cesarz miał dzieci.

— Nie z Józefiną. Ta para nie mogła mieć dzieci. Napoleon stronił od małżeńskiego łoża. Kiedy jego kochanka, księżna austriacka Maria Ludwika, zaszła z nim w ciążę, rzucił Józefinę i ożenił się z nią.

101

— I urodziła mu potomka?

— Owszem. Syna. Tak jak chciał. Napoleona II, Franciszka Józefa Karola. Następcę tronu francuskiego imperium, tytularnego króla Rzymu.

— Odrobiłeś pracę domową. Teraz sobie przypominam, że Napoleon miał dziecko z drugą żoną. Ale myślałem, że chłopiec młodo zmarł.

— W wieku dwudziestu jeden lat, na suchoty. - Cegła napił się whisky. | ' Przemarzył do kości, ale teraz zimno stopniowo ustępowało.

— W wieku dwudziestu jeden lat - powtórzył Hawke. - Więc Napoleon II mógł mieć własne dzieci.

— Miał. Choć nigdy się nie ożenił. Wolał towarzystwo dam, które kręciły się pod arkadami w pobliżu Ecole Militaire. Jedynymi znanymi kobietami

w jego życiu były kurtyzany i prostytutki. Jedna z nich mogła urodzić mu syna i dostać pieniądze za milczenie.

— Co o tym wszystkim myślisz, Pat? Czy ten facet dotrze na sam szczyt?

— Możliwe. Jest gwiazdą. Francuzi go uwielbiają, dzieci w szkołach śpiewają o nim piosenki, rząd w Paryżu boi się go. I słusznie. Prezydent Bocquet i premier Honfleur powtórnie wygrali wybory, ale minimalną większością głosów. Już go atakują.

— Jak?

— Oni, ich zwolennicy w Pałacu Elizejskim i główne media francuskie twierdzą, że złoty chłopiec, Luca Bonaparte, to oszust. Co gorsza, Korsykanin. Sacrebleu! Niebezpieczny. Niepewny. Jest dla nich zagrożeniem, może pozbawić ich władzy. Prawicowa prasa nazywa go „falszywym Napoleonem”.

— Prawica go nie lubi, bo jest komunistą w stylu Mao - powiedział Hawke. — A lewica ma mu za złe, że nie trzyma się zasad. Muszę wiedzieć, po czyjej jestem stronie w tej cholерnej walce.

Kelly się uśmiechnął.

— Po mojej .W każdym razie Bonaparte jest prawdziwym Korsykaninem i wszyscy w Langley, którzy się nim zajmują, są zdania, że prawdopodobnie autentycznym potomkiem Napoleona. Brakuje tylko potwierdzenia w postaci DNA.

— O ile cię znam, dokopałeś się do jakichś brudnych spraw tego faceta.

102

— Owszem. I jeśli uda nam się cokolwiek udowodnić, prześlemy to Honfleurowi i Bocquetowi. Niech oni zrobią resztę. Sprawdzamy między innymi informację, za którą Brock zapłacił w Chinach masę forsy, kiedy

tropił generała Moona. Podobno młody Luca Bonaparte był na Korsyce zabójcą na usługach Brigade Rouge, lewego skrzydła Union Corse. Kiedy miał piętnaście lat, zabił swojego ojca. Zastrzelił go przy grobowcu Napoleona, potem powiesił pod kopułą krypty i zostawił dyndającego na linie nad sarkofagiem.

— Boże! Dlaczego?

— Nie wiadomo. Podobno jego ojciec komuś podpadł. Jedna z teorii jest taka, że był za bardzo prawicowy, jak na lewicowe przekonania syna. Inna mówi, że stary zabił amerykańskiego kapo z Brooklynu. W tamtych czasach członkowie mafii i Corse jadali przy jednym stole. Ojciec Luki przekroczył pewną granicę i chłopak go zlikwidował.

— Brzmi to tak, jakby nie mógł się zdecydować, czy jest Napoleonem, czy Stalinem.

— Coś w tym rodzaju. Luca Bonaparte nigdy by się do tego nie przyznał publicznie, ale nie jest umiarkowanym lewicowym politykiem francuskim, jakich znamy. To komunista w starym stalinowskim stylu i na dokładkę maoista. Jeśli dojdzie do władzy, będzie niedobrze. Podejrzewamy, że ten psychotyczny Francuz dąży do panowania nad światem i usunie każdego, kto stanie mu na drodze.

Hawke spojrzał na Kelly'ego.

— Kiedy słyszę w jednym zdaniu „Francuz” i „panowanie nad światem”, wtedy wiem, że świat mnie wyprzedził.

— To nie jest śmieszne, Alex. I wcale nie takie naciągane. Zastanów się.

Wiemy już na pewno, że Bonapartego wspierają ludzie z Pekinu.

Chińczycy mają jeden z największych arsenałów jądrowych na świecie.

Nie łudźmy się, że go nie użyją, jeśli znajdą się na krawędzi.

— Dlaczego, do cholery, mieliby się znaleźć na krawędzi?

— Z powodu ropy. Zrobią wszystko, żeby ją zdobyć.

— Zaryzykują unicestwienie?

— W konfrontacji nuklearnej mogą stracić tyle ludzi, ile mieszka w całych Stanach Zjednoczonych i jeszcze zostanie im miliard żołnierzy. Mają przewagę liczebną, są najpotężniejszą dyktaturą komunistyczną na
103

świecie i największym zagrożeniem dla nas w tym stuleciu. Teraz zyskali sojusznika w sercu starej Europy, który chce wejść do gry.

— Chryste, znów balansujemy nad przepaścią? Jak zapobiec temu wszystkiemu? Możemy o tym porozmawiać przy jedzeniu, Pat? Umieram z głodu, a Pelham chyba już przygotował kolację.

— Jeszcze tylko jedno. Uważamy, że nasz facet to zabójca, być może psychopata. Na Korsyce jest pochowanych wiele ofiar tego chłopaka, podobno nawet członków jego rodziny. I bez wątpienia również w różnych zakątkach Francji, gdzie jego kariera polityczna była podejrzanie szybka.

— Możecie mu coś udowodnić?

— Jeszcze nie. Ma czystą kartotekę. Nikt nigdy nie próbował go oskarżyć o zabójstwo ojca. Do dziś w archiwach żandarmerii sprawa ta figuruje jako niewyjaśniona. Uważają, że prawdopodobnie była to egzekucja wykonana przez amerykańską mafię.

— Piętnastoletni ojcobójca! Wstrząsające!

— Owszem. Jeśli rzeczywiście on nacisnął spust. W tamtych czasach niektóre nowojorskie rodziny mafijne miały korzenie w Union Corse. Na moim biurku leżą dotyczące tego akta FBI grubości trzech centymetrów. Być może Luca uzgodnił z mafią zabójstwo swojego starego. Od bardzo

dawna marzył o zdobyciu władzy.

— W ten sposób moglibyście go przygwoździć. Legalnie.

— Wiem, rozmawialiśmy o tym. Ale w tej chwili wszystko to są tylko pogłoski i domysły. Za mało dla Langley, żeby go ścigać. Chociaż według źródła Brocka może gdzieś jeszcze żyć paru naocznych świadków.

Chciałbym, żebyś włączył do tego nadinspektora Congreve'a, Alex. Tu są akta. To bardzo stara sprawa i tylko Ambrose Congreve ma jakąś szansę udowodnić Bonapartemu zabójstwo ojca.

Hawke wziął ciężką teczkę i położył na stoliku obok swojego fotela.

Potem spojrzał na Kelly'ego.

— Trzeba przekazać dowód tej zbrodni jego politycznym przeciwnikom we Francji, tak? Niech oni go załatwią. A Stany Zjednoczone będą miały czyste ręce.

— Taki jest plan.

— Ambrose będzie zachwycony. Zadzwońię do niego jeszcze dziś.

Ostatnio spędza zbyt wiele czasu wśród swoich dalii.- Hawke wstał

104

i oparł rękę na obramowaniu kominka. To był długi dzień i burczało mu w brzuchu. Następny rum nie wchodził w rachubę.-Wydaje się oczywiste, że to Bonaparte jest sprawcą coraz większych kłopotów z Francuzami. Od dawna są z nimi problemy. Najpierw popierali Saddama, teraz prawo Hezbollahu do zbierania funduszy w Europie. Ale ich ostatni numer nie mieści się w głowie. Teraz to dla mnie sprawa osobista. Jak można strzelać do bezbronnych Anglików na pełnym morzu? To robota Honfieura i prezydenta Bocqueta czy Bonapartego?

— Wojskowi szybko przechodzą na jego stronę. Widzą w nim dawno

oczekiwanego zbawcę Francji. Bocquet jeszcze siedzi na tronie. A Honfleur jest jego wiernym pieskiem. Ale wysłał do ciebie chiński pluton egzekucyjny Bonapartego. Zatopiłeś kuter patrolowy Francuskiej Marynarki Wojennej, stary. I nie przyznają się do tego, że pierwsi otworzyli do ciebie ogień. Dziś rano osobiście rozmawiałem przez telefon z tą kanalią, prezydentem Guy Bocquetem. Są żądni krwi.

— Jak będą się przy tym upierali, faktycznie poleje się krew.

— Jest sugestia, żebyś okazał skrucę.

— Czyja sugestia? Bo na pewno nie mojego rządu.

— Ani mojego. Twojej starej przyjaciółki, pani sekretarz stanu — odrzekł Kelly. — Madame Consueli de los Reyes.

— Conch? Bzdura. Nie wierzę.

— Jest na ciebie wściekła jak cholera. Co właściwie zaszło między wami? Przez jakiś czas myślałem, że się pobierzecie.

— Nie chcę o tym rozmawiać.

— Conch powiedziała wczoraj na posiedzeniu gabinetu, że ma już tyle kłopotów z sojuszem irańsko-syryjskim, pociskami dalekiego zasięgu i Kim II Dżongiem, że nie życzy sobie, żebyś do listy jej problemów dopisywał jeszcze Francję.

— Ja? Cegła, do cholery, wykonywałem zadanie dla ciebie. Ktoś mnie ostrzelał. Odpowiedziałem ogniem. Mam gdzieś waszą listę.

— Spokojnie, stary. To nie jest moja lista problemów i na pewno nie mój punkt widzenia. Powiedziałem jej dokładnie to samo. Przeprowadzałeś zatwierdzoną operację dla Stanów Zjednoczonych i działałeś w usprawiedliwionej obronie własnej. Incydent w Cannes to po prostu cisza przed burzą.

— To znaczy?

105

- Conch próbuje teraz przekonać Francuzów i Niemców, żeby przestali sprzedawać Iranowi i Syrii broń i technologie podwójnego zastosowania. A więc Francja i tak już zajmuje wysokie miejsce na jej liście. Tylko Conch jeszcze nie wie, jak wysokie. Ciche poparcie Francji dla terroryzmu jest oburzające i prezydent McAtee, mimo zapowiedzi poprawy stosunków, nie zamierza tego tolerować. Dodaj do tego dążenie | Bonapartego do władzy i...

W pokoju pełnym ruchomych cieni pojawił się bezszelestnie Pelham.

— Podano kolację, milordzie.

Rozdział 16

Hongkong

Madame Li, jak się domyślam - powiedział major Tony Tang i wstał.

Wysoki, władczy i elegancki, pełnił publicznie rolę ładnej przykrywki brzydkich tajemnic generała Moona w Hongkongu. W Arizonie nazywano go facetem od public relations, ale stanowczo go nie doceniano. Był drugim pod względem znaczenia człowiekiem w Hongkongu. Często wyjeżdżał za granicę i załatwiał delikatne sprawy.

- Zgadza się, ty niesforny chłopcze - przytaknął Hu Su i delikatnie uścisnął wyciągniętą dłoń Tanga. — Ale proszę mi zdradzić, majorze, skąd pan zna moje nowe nazwisko?

- Wu zadzwonił do mnie z recepcji. A sekcja dokumentów na górze właśnie przygotowuje dla pani papiery na podróż, bilety i nowy paszport. Wykorzystają zdjęcie, które Wu zrobił pani przed chwilą aparatem cyfrowym. No i wpisała się pani do rejestru gości.

- Mam nadzieję, że zdjęcie dobrze wyszło.

- Niech pani sama zobaczy - odrzekł Tang i odwrócił mały laptop, żeby Hu Su mógł się przyjrzeć swojej podobiznie na monitorze. Major wcisnął klawisz i na ekranie z powrotem pojawił się przekaz na żywo z centrum telekomunikacyjnego. Tang zamknął laptop i odsunął na bok.

106

— Znakomita fotografia — powiedział Hu Su i popatrzył ciepło na majora. Mimo skłonności do okrucieństwa (a może właśnie dlatego) Tony Tang był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Wzbudzał sympatię "wszędzie, gdzie się pojawił. O rany! Hu Su nie mógł się powstrzymać od chichotu, że tak łatwo wcielił się w nową rolę. — Powinnam była wiedzieć, że pański personel jest doskonale wyszkolony.

Obu bawiła ta gra, ten mały flirt. Przed nowym zadaniem przebrania dla Hu często wybierał sam major. Ostatnio Hu Su występował w roli tęgiego geologa w okularach, który szukał w Omanie złóż ropy. Przedtem był hongkońskim finansistą w średnim wieku, oceniającym na Wall Street potencjał amerykańskiego rynku.

Tego wieczoru major nie włożył munduru. Miał doskonale skrojony granatowy garnitur, białą koszulę i jedwabny krawat. Był wyższy niż przeciętny oficer Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej i dużo przystojniejszy. Miał mocno zarysowany podbródek i wydatne kości policzkowe. Ładna z nas para, pomyślał z uśmiechem Hu Su. Może następnym razem będziemy matką i synem? W Tajlandii lub na wyspie Kauai.

— Proszę usiąść tutaj, madame. Stąd jest najlepszy widok — powiedział major. Miał nienaganne maniery i mówił bezbłędnie po angielsku. Często

rozmawiali w tym języku i próbowali sobie wzajemnie zaimponować znajomością najnowszych amerykańizmów. Przeznaczeniem Chin była dominacja; należało znać język wroga.

Tang odsunął krzesło. Hu Su usiadł i czekał, aż major przysunie go do stołu. Uśmiechnął się. Stworzenie postaci madame Li kosztowało go wiele trudu. Ale się opłacało. Może ta kobieta powinna się tutaj pojawiać częściej?

Spojrzał na Tanga z kokieteryjnym uśmiechem.

— A więc Paryż.

— Tak. Zazdroszczę pani.

Hu przez cały wieczór czuł przyjemny dreszcz emocji. W Paryżu czekał na niego apartament w George V i masa pieniędzy do wydania w sklepach na rue du Faubourg Saint-Honore, kiedy nie będzie pracował. I tajemnicze skarby, stare narzędzia chirurgiczne w zakurzonych antykwariatach w bocznych uliczkach St. Germain des Pres. Miał nadzieję, że zdąży tam zajrzeć.

Kolekcjonowanie tych piekielnie drogich rzeczy z odległych zakątków świata było z pewnością ekstrawagancją, ale też jedyną prawdziwą rozpustą Hu Su.

Za szklanymi ścianami baru Typhoon Shelter rozciągała się 'wspaniała nocna panorama Hongkongu. Kelner przyniósł menu.

— Poproszę martini z wódką — zwrócił się do niego Hu Su. —

Francuską, nie rosyjską. Grey Goose. I homara. A co dla pana, majorze?

— To samo — odrzekł Tang.

Kelner skłonił się nisko i odszedł. Dwaj mężczyźni przy stoliku popatrzyli na siebie z rozbawieniem. Tang widział Hu w wielu wcieleniach, ale po

raz pierwszy pod postacią madame Li. Był zachwycony i wyraźnie się odprężył. Hu wiedział, że generał będzie zadowolony z jego raportu. Tego wieczoru do baru wpuszczono bardzo niewielu gości i wszyscy siedzieli daleko od narożnego stolika majora.

— Muszę przeprosić w imieniu generała — odezwał się Tang, gdy podano im drinki. — Nie przyłączy się dziś do nas.

— Wielka szkoda — powiedział Hu. — Mam nadzieję, że nie jest chory?

— Nie, jest zajęty. Problemy rodzinne.

— Córki? Myślałam, że panuje nad sytuacją. Major uśmiechnął się smutno i pokiwał głową.

— Tak, znów te straszne bliźniaczki.

— Diabelskie nasienia - zagadała madame Li jak stara kwoka. - Kiedy nie skaczą sobie do gardeł, dręczą innych. Która tym razem przysparza mu kłopotów? Jet czy Bianca?

— Niestety obie. Dają mu mocno w kość.

— Bianca mimo wszystko jest doskonałym, lojalnym oficerem Te-Wu. Prawdziwa zmora to Jet, majorze. Moim zdaniem ta dziewczyna jest stracona. Wpadka w Amsterdamie aż nadto dobrze o tym świadczy, przestała być lojalna wobec partii. Powinna zostać usunięta z Te-Wu. Kiedy Hu wyrzucił to z siebie, rozparł się wygodnie i łyknął zimnej wódki. Bardzo niewielu ludzi z najbliższego otoczenia generała Moona mogło mówić takie rzeczy o jego córkach bez obawy o własne życie.

— Zobaczmy, co będzie dalej — mruknął major.

— Ktoś musi ustawić Jet. To się chyba nazywa interwencja kulturowa. Rozumiem, że dotychczasowe próby zawiodły?

Major Tang sprawiał takie wrażenie, jakby przygniatał go ciężar biura generała usytuowanego powyżej. Kłopoty Moona były jego kłopotami. A sukcesy Chin w najbliższym czasie wydawały się problematyczne nawet bez dwóch sióstr, które się nie znosiły i rywalizowały ze sobą o względy ojca.

— Ma pani ma myśli von Draxisa? Owszem, nasz niemiecki przyjaciel twierdził, że ma Jet pod kontrolą. Ale teraz... Kilka godzin temu przyszła bardzo zła wiadomość.

— Co się stało?

— Transport z południa Francji został udaremniony. Ktoś z naszych ludzi zaniedbał sprawy bezpieczeństwa, kiedy ładunek był w porcie. Nie znamy jeszcze wszystkich faktów, ale Jet bardzo nas rozczarowała.

— To znaczy?

— Miała wyeliminować brytyjskiego agenta w Cannes. Z niewiadomych przyczyn nie zrobiła tego.

— W pewnym momencie, majorze, generał będzie musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Bianca jest w szponach własnych demonów. Ale jej kwalifikacje i lojalność wobec ojca i partii nie podlegają dyskusji. Tymczasem Jet znów zawiodła.

— Generał nie przyjmie tego do wiadomości, ale tak to wygląda. Jet już przesiąkła Zachodem. Chodzi własnymi drogami.

— Więc jest dla nas bardzo niebezpieczna, majorze.

— Owszem.

— Proszę mi dać znać, kiedy trzeba będzie zadziałać. Major Tang skinął głową.

— Generał jest teraz na górze w swoim gabinecie. Rozmawia z Pekinem.

Wyjaśnia przywódcom partii, co poszło źle w Cannes. Nie lubi się tłumaczyć za podwładnych. Zwłaszcza kiedy chodzi o...

— Jego córki, wiem. Ten udaremniony transport to był amerykański towar, którym zajmował się Tsing Ping? Transfer z Maroka?

— Niestety tak. Bardzo ważny ładunek, jak pani dobrze wie. Ale takie rzeczy się zdarzają. Z pani pomocą naprawimy szkodę.

— Rozumiem, że towar w tranzycie został przedwcześnie wyładowany?

— Tak. Już zidentyfikowaliśmy człowieka odpowiedzialnego za straty. To ten cholerny Anglik, którego Jet wypuściła z rąk. Zajmiemy się nim, kiedy tylko pani misja w Paryżu zakończy się powodzeniem. Tutaj są jego zdjęcia i dossier.

Tang położył na stoliku niebieską kopertę z czerwonym nadrukiem PIRAT. Hu Su wyjął zdjęcia.

— Pirat?

— To lord Aleksander Hawke. Generał Moon osobiście nadał mu ten przydomek. Hawke już kilka razy sprawiał nam kłopoty.

— Tak, przypominam sobie to nazwisko. Parę lat temu pokrzyżował nam plany na Kubie, prawda? Przeszkodził w zamachu stanu, o ile się nie mylę.

— Zgadza się. Jest potomkiem sławnego angielskiego pirata

Blackhawke'a, który w XVIII wieku siał postrachu na Morzu Karaibskim, jeśli wierzyć naszym badaczom i Google. Trzy wieki nie wystarczyły, by w żyłach tego rodu przestała płynąć piracka krew.

— Przystojny — stwierdził Hu Su, obracając w palcach zdjęcie. — Przypuszczam, że będę musiała go zabić.

— W odpowiednim czasie ktoś to na pewno zrobi.

— Niech pan mi opowie o Bianca. Wciąż ma problemy w Londynie?

— Tak. Mimo powszechnie znanego upodobania do orgii seksualnych i narkotyków była w przeszłości doskonałą agentką. Jak pani wie, w przeciwieństwie do swojej siostry potrafi być bardzo skuteczna. Niestety teraz wygląda na to, że opium zwycięża. Nasz francuski kontakt w Londynie został zdemaskowany.

— Co się stało?

— Jak pani dobrze wie, prowadziliśmy tam bardzo udaną operację. Ale niedawno odkryliśmy, że szpieg, którego Bianca ulokowała zeszłej zimy w ambasadzie, był podwójnym agentem. Ten mężczyzna, Bulling, pracował dla niej i dla Scotland Yardu. Co tydzień spotykał się w Regent's Park z człowiekiem o nazwisku Congreve. To emerytowany nadinspektor Yardu, obecnie niezależny współpracownik MI-6 i tego Hawke'a, o którym rozmawialiśmy wcześniej. W kopercie są również jego zdjęcia.

— Co zamierzacie zrobić?

— Na razie daliśmy Biance czas na uporządkowanie tego bałaganu. Ale generał traci do niej cierpliwość.

110

— Dlaczego Bianca po prostu nie wyeliminuje Bullinga i Congreve'a? Major uśmiechnął się smutno.

— Jest związana z Bullingiem. Nie uczuciowo. Seksualnie. Wyznała mi to przy kolacji, kiedy ostatni raz była w Hongkongu. Ten człowiek jest hermafrodytą. Ma doskonale rozwinięte męskie i żeńskie narządy płciowe, ale te pierwsze dominują... Tak to wygląda.

— Słucham, słucham!

— W każdym razie jest to perwersyjne fizyczne uzależnienie od tego mężczyzny, podsycane narkotykami. Biję ją, a ona do niego wraca. Błaga

ojca, żeby dał jej więcej czasu. Kazała nawet Bullingowi zlikwidować Congreve'a w nadziei, że jej kochanek się zrehabilituje. Raz zawiódł. Gdyby mu się to udało...

Kelner przyniósł następne drinki. Madame Li łyknęła zimnego martini. Było doskonałe.

— Rozumiem, że jej czas się kończy, majorze.

— Tak. Generał jest bardzo rozczarowany obiema córkami. Jego frustracja osiągnęła punkt wrzenia. Ale zmieńmy temat. Przejdźmy do przyjemniejszych spraw. Porozmawiajmy o Paryżu. Tutaj są informacje przygotowane dla pani przez sztab generała. Na miejscu dostanie pani bardziej szczegółowe instrukcje od samego ministra Bonapartego.

— lx Roi! Nareszcie poznam tę żywą legendę. Major Tang się roześmiał.

— Zasiądzie na tronie tylko wówczas, jeśli pani się powiedzie w Paryżu, madame Li. Najpierw musi pani wykonać swoje zadanie.

— Proszę mi zdradzić, jakie. Niech pan nie każe mi czekać, aż to przeczytam.

— Musi pani zlikwidować premiera i prezydenta Francji, Honfleura i Bocaqueta. Zostało to zaaprobowane na najwyższym szczeblu.

— Jestem zaszczycona.

— Trzeba dać światu nowego Bonapartego. Komu innemu moglibyśmy to powierzyć?

— Uwielbiani moją pracę.

— Generał Moon będzie zachwycony, kiedy to usłyszy - odrzekł major i odłożył chińskie pałeczki. Na jego przystojnej twarzy pojawił się wyraz powagi. Popatrzył na zabójcę czarnymi błyszczącymi oczami.- Bo bez Francji, a właściwie bez Bonapartego, wielki plan generała, żeby zapewnić

naszemu krajowi bezpieczną przyszłość, się nie powiedzie. A wtedy Pekin zażąda głowy Moona. I chyba nie muszę dodawać, że naszych też.

- „Lewiatan” się uda, majorze. Nie może nie wypalić.

— Niech pan tego dopilnuje, pułkowniku. Po kolacji zabiorę pana do generała Moona. Przekona pana, że sukces pańskiej misji to absolutna konieczność.

Rozdział 17

Garniesz

Stokely Jones pierwszy raz w życiu widział tylu bogatych nabuzowanych białasów, stłoczonych na tak małej przestrzeni. W dodatku na wodzie.

Jacht musiał, oczywiście, kosztować minimum pięćdziesiąt baniek, ale to przecież południe Francji! La dolce vita.

Nie natknął się jeszcze na właściciela tej łajby, niemieckiego barona czy księcia, z powodu którego Hawke go tu wysłał, ale spróbował zakąsek (roladek z szynki wieprzowej i sushi o wyglądzie małych kompozycji kwiatowych) i w końcu udało mu się dostać coś do picia od jednej z czarujących dziewczyn w kusych marynarskich strojach, z których żadna nie znała ani słowa po angielsku.

Obok niego stała mocno opalona para. Oboje sączyli różowego szampana. Mnóstwo krzykliwej złotej biżuterii. Stoke widział wokół wiele kobiet bez staników, ale ta prawie wcale nie zasłaniała biustu. Było na co popatrzeć.

Uznał, że nieuprzejmie jest milczeć, więc zagadnął faceta:

— Cześć, jak leci? Kawał łodzi, co? Jak myślisz, ile trzeba dać za takie coś?

— Mais oui- odrzekł facet- c'est formidable, k „Valkyrie”. Pan jest Américain, n'est-ce pas?

— Zgadza się. Ameri-can. Podoba mi się ten akcent na ostatnią sylabę. Ameri-can! Powinniśmy spróbować tak mówić. Jesteście Francuzami, jeśli się nie mylę?

112

— Mais certainement, monsieur — odparł Francuz takim tonem, jakby to było oczywiste. Najwyraźniej nie mieściło mu się w głowie, jak ktoś może być taki głupi, żeby zadać to pytanie. — Mam na imię Marcel.

— Stokely Jones, miło mi. W takim razie, Marcel, pozwól, że cię o coś zapytam. Dlaczego, do cholery, wszyscy w Europie nazywają to, co teraz piję, coke light, zamiast diet coke, jak my w USA? Domyślasz się? Może to posunięcie marketingowe? Jestem po prostu ciekaw. Długo się nad tym zastanawiałem. O mało nie umarłem z pragnienia.

— Pardon, monsieur? Nie rozumiem.

— Nie? Chodzi mi o to, że nie można się w tym połapać. Weźmy na przykład bud light...

— Uch — odezwała się kobieta i odwróciła twarzą do zachodzącego słońca. Przeświecało przez jej przezroczystą białą bluzkę, ale Stoke wolał się na to nie gapić, bo Francuz nie spuszczał z niego oczu. Chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział co. Jakby jego usta straciły kontakt z mózgiem. Mąż, pomyślał Stoke. Zdecydowanie mąż. Trudno.

Marcel prawie wyczerpał swój skromny repertuar tematów do rozmowy. Sięgnął po ostatni.

— Mieszka pan w Hotel du Cap, monsieur Jones?

— Ja? Skąd. Ceny są daleko poza moim zasięgiem. Nie lubię rzucać się w oczy, więc wybrałem Plage Publique. Para wymieniła spojrzenia.

— Plażę publiczną?

— Słyszeliście o niej, tak? Wspaniały widok na morze. I tanio.

— Wyobrażam sobie, monsieur - odrzekł facet. - Uch. Stoke domyślił się, że „uch” to ważne słowo we Francji.

— Nie będę was dłużej zatrzymywał — powiedział. Odchodząc, obejrzał się przez ramię.— Marcel, wiesz, jakie francuskie słowo najbardziej lubię? Sang-froid. Uwielbiam je wymawiać. Mrozi krew w żyłach. Miło się z tobą gawędziło. Trzymaj cię się.

Stoke ruszył w stronę prawej burty. Po drodze przystanął i przez chwilę podziwiał kokpit. Elektronika, przyrządy nawigacyjne, bajery. Duży płaski monitor przed każdym kołem sterowym. Kolorowy wyświetlacz GPS, odbiornik przekazów z satelity meteorologicznego, ekrany radarów.

Podwodna kamera ukazująca dno pod kilem. Stoke ^

przyglądał się temu przez moment i zastanawiał, po co im to. Dla bezpieczeństwa? Może prowadzą badania podwodne? Poszukiwacze skarbów? Możliwe.

Zauważył parę, z którą wcześniej gawędził. Rozmawiali z niskim, ugrzecznionym facetem w białej marynarce z mosiężnymi guzikami i naramiennikami. Wyglądał jak operetkowy' admirał. Towarzyszyły mu dwa blondasy, teutońskie typy, mięśniaki w czarnych obcisłych T-shirtach i szortach. Marcel i jego partnerka patrzyli na Stoke'a. Nietrudno było zgadnąć, o kim mówią.

Mały admirał kiwał głową. Na różowej twarzy miał wyraz powagi' i niepokoju. W końcu ruszył przez tłum w kierunku Stoke'a. Dwaj mięśniacy szli tuż za nim.

— Mogę w czymś pomóc, monsieur? — zapytał niezbyt przyjaznym tonem, kiedy podszedł blisko do Stoke'a. Musiał zadrzeć głowę, żeby na

niego spojrzeć.

— Mnie? W czym?

Stoke wydawał się zbity z tropu.

— Ma pan wszystko, czego pan potrzebuje? — Choć powiedział to całkiem jasno po angielsku, jego słowa niewątpliwie znaczyły: „Chyba pomyliłeś przyjęcia, koleś”.

— Czy mam wszystko, czego potrzebuję? — powtórzył z uśmiechem Stoke i w międzynarodowym geście przyjaźni położył wielką dłoń na ramieniu małego faceta. - Dobre pytanie, a odpowiedź brzmi „nie”. Mogę o coś spytać?

— Oczywiście.

— Co robią wszyscy czarni?

— Słucham?

— Czarni. Bracia. Murzyni. Gdzie ich mogę znaleźć? Mały facet zaczął się nadymać jak rosnące ciasto.

— Przepraszam, ale nie rozumiem.

— Nie szkodzi - odrzekł Stoke i poklepał faceta po plecach. Starał się to zrobić delikatnie, ale wydało mu się, że usłyszał trzask kości. - Nazywam się Stokelyjones junior. Może słyszałeś o mojej rodzinie, Jonesach ze Sto Trzydziestej Ósmej Zachodniej w Nowym Jorku? Mówi ci to coś? Nie? Wszyscy zawsze starają się z nami trzymać.

- Pan wybaczy, monsieur, ale...

— Trafiłem na •właściwy jacht? Może źle to przeczytałem — powiedział Stoke i wyjął z kieszeni na piersi zaproszenie, które dał mu Alex. — Jest po francusku, więc mogłem coś pomylić. Spójrz na to.

Facet wytrzeszczył oczy.

— Lord Aleksander Hawke? To pan, monsieur? — zapytał, wodząc wzrokiem od napisanego odręcznie nazwiska do twarzy Stoke'a i z powrotem.

- Ależ skąd! - roześmiał się Stoke i walnął faceta w ramię z taką siłą, że omal nie wbił go w pokład. — Dobrze sobie. Czy Alex Hawke to ja. Muszę mu to powtórzyć.

- W takim razie...

— Pracuję dla niego. Nie mógł dziś przyjść, więc dał mi swoje zaproszenie. Tam jest jego jacht. Widzisz? Ten duży, czarny, cały oświetlony. Zasłania horyzont. Nazywa się „Blackhawke”. Jesteśmy niemalże sąsiadami.

— Jest pan gościem lorda Hawke'a — rozpromienił się facet.

— Owszem — przyznał Stoke. — Ale na tym jachcie jestem twoim gościem. Rozumiesz?

- No...

- Posłuchaj, admirale. Nic się nie stało. Nie czuję się urażony. Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Mam grubszą skórę niż nowojorska książka telefoniczna. Yellow Pages. Jedno pytanie, dobra? Gdzie jest gospodarz? Bo to chyba nie ty?

- Oczywiście, że nie, monsieur. Jestem tu zastępcą szefa stewardów. Mam na imię Bruno. Właściciel „Valkyrie”, baron von Draxis, jest na dziobie z naszymi gośćmi. W tej chwili wznosi toast powitalny i odsłania obraz olejny swojego najnowszej transatlantyku. Największego na świecie. Ten statek będzie zwodowany za kilka tygodni w Hawrze.

— Naprawdę? Chciałbym zdążyć na ten toast. Uwielbiam niemiecką gościnność. Ale posłuchaj, Bruno. Zrób mi przysługę. Ja też jestem kimś w

rodzaju marynarza. Navy SEAL, kapujesz? Mógłbyś mnie oprowadzić po tym jachcie?

Stoke dyskretnie wsunął banknot do górnej kieszeni marynarki faceta, za wystającą stamtąd chusteczkę w grochy. Bruno zerknął w dół i zobaczył, że to pięćset euro. Rozejrzał się i wepchnął banknot głębiej do kieszeni.

— Z przyjemnością, monsieur. Zaczniemy stąd, od rufy?

— Jasne. Kim są twoi dwaj przyjaciele? - zapytał Stoke. Uśmiechnął się do potężnie zbudowanych bliźniaków i wyciągnął rękę do tego z lewej.

— Guten Abend — powiedział Niemiec. Miał głos jak Barry White.

— Gdzie się podziały moje dobre maniery? Cholera! Nawet się nie przywitałem. Jak leci? Nazywam się Stokely Jones junior. A ty?

— Arnold - odrzekł mięśniak, próbując zmiażdżyć w uścisku dłoń Stoke'a. Jones bez trudu zdołał oswobodzić rękę i podał ją drugiemu blondasowi.

— Stokely Jones, miło mi cię poznać.

— Arnold — przedstawił się drugi mięśniak.

— Ty też jesteś Arnold? Można się pogubić.

— Są odpowiedzialni za bezpieczeństwo barona — wyjaśnił Bruno. — Arnold i...

— Posłuchaj, admirale. Powiedz swoim Arnoldom, że dołączysz do nich później, dobra? Zaczniemy zwiedzanie od tego końca jachtu. Prowadź, Bruno - polecił Stoke. - Idę za tobą.

— Proszę bardzo, panie Jones.

— AufWiedersehen — zwrócił się Stoke do dwóch Arnoldów i pomachał do nich na pożegnanie. Miał przeczucie, że jeszcze ich zobaczy.

Bruno szedł przodem, szczyrzył zęby w uśmiechu i opisywał Stokely'emu

wszystko, co widzieli po drodze. Najpierw pokazał mu duży, otwierany hydraulicznie przedział rufowy z flotą srebrzystych skuterów wodnych i dwiema motorówkami Riva. Potem palarnię z orzechową boazerią, pokój do gry w karty i salonik. Wnętrza projektował oczywiście sławny Luigi di Luigi z Mediolanu. Wszędzie pełno antyków. Pościel, ręczniki i inne bajery. Wszystkie luksusy jakie można zobaczyć w magazynach ilustrowanych.

Pomieszczenia pod pokładem nie zrobiły na Stoke'u wielkiego wrażenia. Wszystkie jachty, bez względu na to, ile forsy w nie wpakujesz, wyglądają w środku podobnie. Długie korytarze z zamkniętymi kabinami po obu stronach. Kuchnia pełna uśmiechniętych włoskich kucharzy i kelnerów,

116

zawsze zadowolonych, kiedy mają gości. Ogromna lśniąca maszynownia, gdzie główny mechanik i jego koledzy opowiedzieli szczegółowo o dwóch masywnych dieslach. Stoke stwierdził, że to najpiękniejsze pomieszczenie na jachcie. Ale teraz nie miał czasu, żeby tu dłużej zostać.

Ścisnął delikatnie ramię admirała i zapytał konspiracyjnym szeptem:

— A gdzie baron kima?

— W swojej kajucie, która zajmuje całą szerokość kadłuba. Na końcu tego korytarza. Ale niestety nie można tam teraz wejść.

— Naprawdę? Dlaczego? — Stoke szedł naprzód, dopóki nie dotarli do szerokich podwójnych drzwi.

— Chyba pan rozumie, że...

— Człowiek musi mieć trochę prywatności, jasne. Rozumiem to. A co jest pod nami? Na dole macie tyle miejsca, że zmieściłyby się tam cztery nowojorskie autobusy, może nawet pięć.

— To tylko zęza, nic ciekawego. Magazyny, zbiorniki paliwa. Dużo pływamy, więc musimy mieć spory zapas ropy. Zapewniam, że to nic interesującego.

— Jestem tego ciekaw. Jak się tam można dostać? Nie zauważyłem schodów ani windy.

— Naprawdę nie ma tam nic interesującego.

— Dobra, może innym razem. Było super. Ekstra. Muszę już lecieć, ale chciałbym cię poprosić o przysługę. - Stoke sięgnął do portfela. Facet natychmiast się wyprostował.

— Oczywiście, w czym mogę pomóc?

— Cholernie mi zależy, żeby zobaczyć sypialnię barona — powiedział Stoke i wcisnął w czekającą dłoń tysiąc euro. — Przerabiam kajuty na jachcie jednego z moich klientów. Szukam pomysłów na nowy wystrój, rozumiesz. Nie musisz tu tkwić, po prostu otwórz mi drzwi i wracaj do gości, dobra?

— No...

— Bez obaw, Bruno, to zostanie między nami, stary. Jak ktoś mnie nakryje, powiem, że szukałem kibla i zabłądziłem.

— Jest pan dekoratorem wnętrz?

— Bardziej projektantem. Może słyszałeś o mojej firmie, Jones i Jones z Nowego Jorku? Podobają mi się te białe skórzane fotele. Dobrze wyglądają.

117

— To nie jest zwykła skóra, tylko moszna wieloryba — wyjaśnił Bruno.

— Moszna wieloryba? - wykrzyknął Stoke. - Właśnie czegoś takiego szukam!

— Właściciel zastanawia się, czy nie zmienić koloru ścian tego korytarza na morski. Co pan o tym myśli?

— Zły pomysł.

— Naprawdę? Skąd pan wie, skoro pan tego nie widział?

— Doświadczenie zawodowe, Bruno. Nie muszę puszczać pawia na dywan, żeby wiedzieć, że będzie kiepsko wyglądał.

— Widzę, że ma pan dobry gust, monsieur Jones. Tylko niech pan nie zabawi tam zbyt długo. Najwyżej pięć minut.

— Maks — obiecał Stoke. — Jestem szybki.

Mały facet wsunął kartę magnetyczną do czytnika i grube mahoniowe drzwi uchyliły się z sykiem. Dźwiękoszczelne.

— Merci beaucoup, współniku — szepnął przez ramię, pchnął drzwi i zamknął je za sobą.

W środku panował półmrok, ale Stoke dostrzegł piękną boazerię i płytki pod nogami. Sprawiały wrażenie skórzanych. Podłoga ze skóry! To jest coś! Wszystkie bulaje były zasłonięte. Słabe światło dawały tylko lampy ukryte w suficie i szafkach z książkami. Pod przeciwległą ścianą rysował się ciemny kształt wielkiego prostokątnego łóża. Otaczał je połyskliwy, prześwitujący parawan. Na zmiętej pościeli leżała kobieta w czerni.

Płakała cicho w poduszkę.

Stoke podszedł bliżej.

— Hej, co się stało?

— Kim jesteś? — wycodziła gniewnie. — Wynoś się, bo kogoś zawołam! Stoke podniósł rękę i się cofnął.

— Spokojnie. Zgubiłem się podczas zwiedzania jachtu i...

Sięgnął do parawanu, żeby go odsunąć i natrafił palcami na zimny metal.

Z trzech stron łóżka znajdowały się pionowe pręty grubości ołówka, oddalone od siebie o jakieś trzy centymetry. Znikały w suficie i tworzyły klatkę. Wyglądało na to, że są z nierdzewnej stali.

Uwięziona kobieta była mocno poraniona. To, co Stoke wziął za ciemne ubranie, okazało się zakrwawionym prześcieradłem owiniętym wokół jej ciała.

118

— Zabiorę cię stąd — powiedział i wcisnął palce między dwa pręty, żeby się upewnić, z czego są zrobione. Stał, zgadza się. — Jesteś poraniona, zamknięta w klatce. Potrzebujesz pomocy lekarza.

— Kim ty jesteś, do cholery? — zapytała nieprzyjaznym tonem. Miała ochrypły głos narkomanki.

— Nazywam się Stokely Jones. Jestem przyjacielem Aleksa Hawke'a.

— Aleksandra Hawke'a?

— Zgadza się. A ty jak się nazywasz?

— Jet.

— Jet? Ta klatka to twoje więzienie czy ochrona przed innymi?

— Jedno i drugie.

— W porządku, Jet. To trochę dziwne, ale niech będzie. Jakie magiczne słowo otwiera twoją celę? Wyglądasz na dziewczynę, która tęskni za wolnością.

— Podejdź tutaj. Bliżej. Do światła. Chcę cię zobaczyć.

— Proszę bardzo.

— Boże, ale jesteś wielki.

— Dość duży.

— Jeszcze nie widziałam takiego wielkiego faceta.

— Jak mam cię stąd wydostać?

— Tam przy telewizorze leży pilot. Obok tego srebrnego wiaderka do lodu.

— Pilot? — Stoke pokręcił głową. Wziął srebrzystego pilota i wcisnął kilka przycisków. Przy trzeciej próbie stalowa klatka uniosła się i zniknęła cicho w suficie. Stoke schował pilota do kieszeni marynarki.

Ci nadziani goście mają pomysły.

Rozdział 18

Paryż

Boeing 747 z madame Li na pokładzie w drodze z Hongkongu do Paryża nie musiał walczyć z przeciwnym wiatrem i wylądował na

119

lotnisku imienia Charles'a de Gaulle'a dwadzieścia minut przed czasem. Podróż samolotem British Airways była cudowna. Od czasu ostatniego lotu Hu Su zmodernizowano pierwszą klasę. Miał swoje ulubione miejsce 4-D, przy oknie.

Kiedy skończył kolację i chciał się przespać, nacisnął przycisk i między nim a sąsiednim fotelem wyrosło drewniane przepierzenie. Jego fotel rozłożył się do pozycji poziomej. Hu Su skulił się pod miękkim przykryciem i spał jak aniołek.

No, może niezupełnie jak aniołek, pomyślał i zachichotał cicho.

Przeszedł szybko przez cło. Miał paszport dyplomatyczny i tylko jedną walizeczkę z przyborami do makijażu, peniuarem i bielizną. Z samego rana wybierał się do swojego ulubionego salonu Chanel niedaleko placu Yendôme, żeby zaopatrzyć się w stroje na pobyt w Paryżu i Londynie.

Miał na oku ładny tweedowy kostium, który widział w nowym „Vogue'u”

w samolocie. Zawsze kupował gotowe rzeczy. Dzwonił wcześniej i podawał swoje rozmiary. Korzystanie z przymierzalni w paryskich sklepach stwarzało problemy. Musiał zabić niejedną sprzedawczynię, która władowała się do środka w nieodpowiednim momencie. Nieprzyjemna sprawa.

Tak, tweedowy kostium, być może czarny. Będzie pasował do białego kapelusza i pereł.

Był sobotni poranek, pogodny i chłodny, gdy Hu Su wyszedł z terminalu pierwszego. Dobrze zrobił, że wziął ze sobą etolę z norek. Otulił nią ramiona. Stał przez dłuższą chwilę przy krawężniku i patrzył w lewo i w prawo. Bogata kobieta szukająca swojego kierowcy.

Po niecałych dwóch minutach zatrzymała się przed nim niemiecka limuzyna maybach, długa i czarna jak karawan. Na przednich błotnikach, tuż nad reflektorami, miała umieszczone dwie małe flagi. Jedna była francuska, druga jakiegoś państewka na Bliskim Wschodzie. Hu nie pamiętał, jakiego.

Otworzyły się pancerne drzwi i gruby głos powiedział ze środka:

— Wsiadamy.

Wsiadamy? To tyle, jeśli chodzi o dyplomatyczną kurtuazję i politesse.

Madame Li przyleciała w końcu z Pekinu w misji handlowej. Jest tutaj na polecenie chińskiego politbiura. Historyczne spotkania z francuski-

120

mi przywódcami, które odbędzie w ciągu najbliższych dwóch dni, mają wielkie międzynarodowe znaczenie, czyż nie? Jej misja w Paryżu może na zawsze zmienić oblicze Europy. Jest świadoma swojego miejsca w historii. A ktoś — mniejsza o to, kto — mówi do niego „wsiadamy”. Po chińsku z

francuskim akcentem.

— Nie tak należy się zwracać do damy, towarzyszu — pouczyła madame Li, kiedy znalazła się w mrocznej czeluści z tyłu samochodu. Zastała tam dwóch mężczyzn i usiadła na jednym z foteli zwróconych tyłem do kierunku jazdy. Nie ulegało wątpliwości, który z pasażerów to Bonaparte; podobny do swojego sławnego przodka, tyle że wyższy i szczuplejszy. Oliwkowa cera, zamyślona mina. Drugi facet był muskularny i sprawiał wrażenie bardzo silnego. Początkowo wydawał się łysy, ale potem Hu dostrzegł na jego czaszce ryży meszek.

Musiał to być von Draxis. Niemiec, któremu generał Moon powierzył zadanie poskromienia swojej szalonej córki Jet. Sądząc po wyglądzie, potrafiłby poskromić wszystko z wyjątkiem stada szarżujących nosorożców.

— Jedziemy - powiedział Francuz do kierowcy, ignorując madame Li. Wielka limuzyna ruszyła, przyspieszyła gładko i niemal natychmiast osiągnęła prędkość grubo ponad sto kilometrów na godzinę. Jechali w niewielkim porannym ruchu w kierunku Paryża.

Francuz wcisnął przycisk na konsoli i za głową kierowcy wysunęła się do góry szara tapicerowana przegroda. Potem sięgnął do innego panelu z przyciskami, ustawił oparcie swojego fotela pod wygodniejszym kątem i zmniejszył oświetlenie wnętrza, ograniczając je do ciepłej pomarańczowej poświaty. Płaski telewizor z wyłączonym dźwiękiem, zamontowany na jego podłokietniku, był nastawiony na lokalne wiadomości. Jakiś konwój na ekranie kierował się autostradą A-1 z lotniska Charles'a de Gaulle'a do Paryża. Wśród mnóstwa błyskających niebieskich świateł jechał czarny maybach, identyczny jak ten, którym podróżowała teraz madame Li.

— Nazywam się Luca Bonaparte, madame — powiedział Francuz i wyciągnął sztywno rękę. -Ten piękny maybach należy do mojego przyjaciela, obecnego tutaj barona von Draxisa. Był na tyle uprzejmy, że udostępnił

121

nam swój wspaniały pojazd do dzisiejszej operacji. Nalegał, żeby panią zabrać, gdyż słyszał o pani wiele interesujących rzeczy.

— Jestem bardzo interesującą osobą. I nie potrzebuję niczyjej aprobaty. Mam tu wykonać określone zadanie i zamierzam to zrobić.

— Tak, tak, oczywiście. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Baron jest wielkim przyjacielem naszej wspólnej sprawy. Zatem czeka panią dużo pracy w Paryżu. Jest pani w pełni przygotowana?

Madame Li nie odpowiedziała. Oparła się wygodnie i popatrzyła w milczeniu na dwóch mężczyzn.

Bonaparte wyglądał tak, jak go opisał major Tang. Był na tyle przystojny, że mógłby zostać francuskim gwiazdorem filmowym. Jego ciemne oczy zdradzały inteligencję. Mówił płynnie po chińsku. Niemiec był potężny, jajogłowy, ale nosił piękny szary kaszmirowy golf pod czarną kurtką z miękkiej cielęcej skóry. Bogaty. Nawet bardzo. Podobno zarabiał fortunę, budując supertankowce dla Francji.

Madame Li skrzyżowała nogi i się uśmiechnęła.

— Tak, miałam przyjemny lot, dziękuję, że pan o to spytał. Obsługa była bardzo sympatyczna, jedzenie pyszne, choć nie podobał mi się film, coś poprawnego politycznie o Rwandzie.

— Pani sarkazm jest nie na miejscu. Proszę uważać na swoje zachowanie.

— Pozwolę sobie coś wyjaśnić, towarzyszu Bonaparte — odparł Hu Su bezbłędnym francuskim. - Należę do sztabu najbliższych współpracowników generała Sun-jat Moona, ważnej osoby w Chińskiej Republice Ludowej. Mam stopień pułkownika Chińskiej Armii Ludowo--Wyzwoleńczej. Jestem tu na rozkaz mojego przełożonego. I tylko dlatego, że generał jest osobiście zaangażowany w aktualne sprawy waszego kraju. Tak się składa, że w tym historycznym momencie jego dążenia zbiegają się z waszymi. Ten sojusz jest w tej chwili wygodny. Ale nie zawsze musi tak być. Radzę o tym pamiętać.

— Skończyła pani ten geopolityczny wykład, pani pułkownik?

— Nie. Nie lubię niespodzianek. To wy mieliście się ze mną spotkać, nie on. Wiem, dlaczego on tu jest. Oceniacie mnie we dwóch, żeby zdecydować, czy nadaję się do tego zadania. Nie przyjmuję rozkazów od was, od niego ani od nikogo innego. Oczekuję, że będę traktowana

122

z szacunkiem i kurtuazją. Odpowiednio do mojego stopnia wojskowego i stosunków między naszymi krajami.

Zapadło milczenie. Francuski minister przetrwał to, co usłyszał.

Bonaparte poprosił Chińczyków o przysłanie wysoko wykwalifikowanego zabójcy. Najlepszego, jakiego mają. Najwyraźniej dostał więcej niż chciał. Spojrzał na von Draxisa, uśmiechnął się i uniósł bezradnie ręce w geście „co mogę zrobić?”.

- Bardzo przepraszam, towarzyszo pułkownik — odezwał się uprzejmie.

— Proszę mi wybaczyć.

- Tak jest dużo lepiej. Mówcie nadal tym tonem, a nasza współpraca ułoży się doskonale. A teraz, do rzeczy. Kiedy dokładnie przeprowadzimy tę

operację?

- Już się zaczęła. Proszę wcisnąć tamten przycisk po prawej stronie; z podłokietnika wysunie się mały monitor. Dobrze. W wiadomościach pokazują konwój, który jest kilka kilometrów przed nami. Widać tam pojazd podobny do naszego, prawda? W tamtym samochodzie jest sułtan Omanu. Właśnie przyleciał z wizytą państwową. Jutro rano mam go osobiście odznaczyć Legią Honorową.

- Po co mi to mówicie?

- Jak wiecie, w takich sytuacjach zawsze wysyłamy na trasę przejazdu jeden lub dwa identyczne pojazdy, żeby nasz gość nie padł ofiarą ewentualnego zamachu terrorystycznego.

- To oczywiste — odrzekła madame Li. — Standardowa procedura.

- Dziś rano, po konferencji prasowej w Pałacu Elizejskim, nastąpił przeciek. Rzecznik securite ujawnił płatnemu informatorowi zmianę w programie wizyty, dokonaną w ostatniej chwili. Zdradził mu, że to ja, a nie premier Honfleur, powitam sułtana na lotnisku.

- Ist gut ja? Media nie śledzą naszego samochodu, tylko tamten z sułtanem. Jest w telewizji - wtrącił się von Draxis. Mówił z gardłowym niemieckim akcentem.

- Skojarzyłam to sobie, baronie — odparła madame Li. Hu nie potrafił ukryć irytacji z powodu protekcyjnego tonu Niemca. — Ale o co chodzi?

- Chcemy, żeby helikoptery reporterów leciały za tamtym samochodem — wyjaśnił spokojnie Bonaparte. — Zaraz zobaczycie, dlaczego.

123

- Das ist sehr gut — powiedział von Draxis, rozbawiony niecierpliwością

tej kobiety. Otworzył aluminiowy neseser, który trzymał na kolanach. W środku, na czarnej piance, leżał lekki granatnik i dwa pociski. Niemiec szybko złożył i załadował broń. Jego twarz wykrzywił szeroki uśmiech.

- Schatzi lubi takie zabawki — skomentował to z rozbawieniem Bonaparte.

- Powinniście zobaczyć moje - uśmiechnęła się skromnie madame Li. Zaczynała się całkiem niezła zabawa.

- Proszę zapiąć pas - polecił Bonaparte. -Widzę, że się zbliżamy.

Podniósł słuchawkę interkomu i powiedział kilka słów do kierowcy. Duża limuzyna zwolniła znacznie przed wiaduktem nad autostradą A-1, prowadzącą do Paryża.

- Są — odezwał się von Draxis.

Sekundę później obok nich pojawił się jakiś samochód. Jechał z dużą szybkością. Przyhamował gwałtownie, żeby dostosować prędkość do maybacha. Na tylnym siedzeniu citroena sedana widać było zamaskowanego strzelca. Kiedy odległość między autami zmalała do dwóch metrów, brodaty mężczyzna opuścił przyciemnioną szybę i wycelował w maybacha lufę ciężkiej broni automatycznej.

Hu chciał instynktownie dać nura na podłogę, ale pas bezpieczeństwa i mięsista dłoń Niemca na ramieniu przygwoździły go do siedzenia. Z sedana dobiegł przytłumiony terkot i w drzwi uderzyły z hałasem pociski dużego kalibru. Zatrzymała je pancerna płyta wewnątrz. Hu zobaczył, że zamachowiec w czarnej kominiarce celuje teraz w szybę koło jego głowy.

- Spieprzajmy stąd, kurwa! - wrzasnęła madame Li. Luca spojrział na nią zaszokowany. Dystynkcja i ton arystokratki zniknęły. Mówiła teraz głosem starszego mężczyzny, oszalałego ze strachu o własne życie.

- Schatzi, mógłbyś? - zapytał Bonaparte i otworzył przyciskiem wielki szyberdach limuzyny. Wnętrze samochodu zalało słońce i usłyszeli strzały z innej broni automatycznej w bardzo małej odległości. Drugi zamachowiec prowadził ogień do kierowcy maybacha.

Mimo swojej masy von Draxis był przerażająco szybki. Zerwał się z miejsca z krótkim granatnikiem w rękach. W tym samym momencie

124

pierwszy strzelec znów nacisnął spust. Pociski trafiły w szybę obok twarzy madame Li. Na grubym szkle pojawiła się gęsta pajęczyna pęknięć. Hu zamknął oczy i czekał na następną serię. Strzały umilkły, jakby zamachowiec nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Prowadził ogień z odległości niecałych dwóch metrów!

— Teraz, Schatzi — powiedział Luca Bonaparte.

Niemiec stał na szeroko rozstawionych nogach, żeby nie stracić równowagi. Był taki wysoki, że dach maybacha sięgał mu do piersi. Uniósł broń i strzelił. Francuz opuścił roztrzaskaną szybę, żeby mogli zobaczyć, co się stanie.

Nad głową Hu rozległ się głośny szum, potem huk eksplozji. Wnętrze citroena rozświetlił błysk ognia. Wybuch oderwał dach sedana, z wnętrza wydobywał się gęsty czarny dym. Samochód wymknął się spod kontroli. Kiedy maybach przyspieszył, Hu zobaczył, jak wypalony wrak uderza czołowo w podporę wiaduktu. Ekspłodował zbiornik paliwa, pod niebo wystrzeliły płomienie i uniósł się dym. Wokół maybacha pojawiła się nagle eskorta motocyklowa. Limuzyna oddaliła się szybko od miejsca wypadku i po chwili osiągnęła prędkość stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, kierując się autostradą A-1 do centrum Paryża.

Hu oparł się wygodnie i zamknął oczy. Wydajny system przewietrzania szybko usuwał z wnętrza maybacha ostry zapach kordytu. Hu czekał na wyjaśnienia. Układał w myślach treść zaszyfrowanej wiadomości, którą zamierzał wysłać do Złotego Smoka, jak tylko znajdzie się w swoim luksusowym apartamencie hotelowym.

Przez następne czterdzieści osiem godzin miał -współpracować z człowiekiem, który nie znał strachu ani żadnych hamulców. Generał Moon miał rację. Luca Bonaparte był dokładnie takim człowiekiem, jakiego Pekin od dawna szukał.

— Więc to już załatwione — powiedział Bonaparte, skinął z uznaniem głową do Niemca i znów rozłożył swoje siedzenie. Wyjął ze skrytki cygaro i zapalił je piękną złotą zapalniczką. Była na niej wygrawerowana ozdobna litera B otoczona wieńcem oliwnym.

Mania wielkości? Ten współczesny Bonaparte żył chyba nie tylko złudzeniami.

Francuz wypuścił kłęb gryzącego dymu.

— Przepraszam, zapomniałem o dobrych manierach. Cygaro, madame Li? Schatzi nie uznaje tytoniu.

— Nie, dziękuję.

— To Yegas Robaina. Prezent od mojego amigo, Fidela. Dostałem je podczas mojej ostatniej wizyty na jego rajskiej wyspie. Męska rzecz.

— Jest pan szalenie zabawny, monsieur Bonaparte - stwierdził Hu z wymuszonym uśmiechem. Zdemaskował się w chwili zagrożenia i tamten teraz wiedział, że madame to monsieur.

— Przepraszam, jeśli panią przestraszyliśmy — powiedział Bonaparte — ale naprawdę nie było czasu na wyjaśnienia.

— Teraz chyba mamy kilka minut?

— Tak, zaraz wszystko wytłumaczę. W tamtym Citroënie był Philippe Honfleur, najmłodszy syn naszego obecnego premiera. Stał się mimo swojej woli gościem pewnych typów z małego prawicowego ugrupowania paramilitarnego. Wynająłem ich, żeby zaatakowali ten samochód. Rzecz jasna nie wiedzieli, że odpowiem ogniem. Ten oburzający zamach terrorystyczny, dokonany przez syna premiera i jego "wspólników, zostanie uznany za brutalną próbę przeszkodzenia mi w negocjacjach z sułtanem Omanu. Głównym tematem wieczornych wiadomości będzie zamach na mnie i naszego gościa.

— Spryciarz - zachichotał Hu. Szczerze podziwiał Bonapartego. Von Draxis skrupulatnie układał granatnik w aluminiowym neseserze. Uśmiechnął się szeroko.

— Za kilka godzin lekarze policyjni zidentyfikują zwęglone zwłoki syna premiera i prasa oszaleje.

— Jestem pod wrażeniem — wyznał szczerze Hu. Plan był doskonały, a Niemiec zaimponował mu odwagą i sprytem. — Zobaczymy się jeszcze, drogi baronie?

— Na razie nie mam tu nic więcej do roboty, Frau Li — odrzekł von Draxis. — Mój samolot już grzeje silniki na Le Bourget. Muszę wracać na mój ukochany jacht „Valkyrie”. Rozstajemy się. Żałuję tylko, że nie będzie mnie dziś wieczorem na uroczystości w Chateau Belmaison.

— Na uroczystości?

— Mais oui, madame — przytaknął Luca. — Zaprosiłem sułtana Omanu do Paryża. Jutro rano Jego Ekscelencja dostanie w Pałacu Elizejskim

Legię Honorową. To 'wielki zaszczyt. Dziś wieczorem wydaję przyjęcie, żeby to uczcić. Un bal masque w mojej wiejskiej posiadłości. Jest pani zaproszona na ten bal maskowy, madame Li.

— Z przyjemnością skorzystam z zaproszenia. Będzie nam pana brakowało, baronie - powiedziała Li i wyciągnęła rękę do Niemca.

Von Draxis ujął jej dłoń i uśmiechnął się z wyrazem wielkiej życzliwości w niebieskich oczach.

— Dziś zaczęliśmy tworzyć nowy świat, Frau Li. Ten dzień przejdzie do historii.

— Otóż to — potwierdził z zadowoleniem Bonaparte i wypuścił kłęb dymu. - Kto wie, jakiego odwetu na obecnym rządzie możemy się spodziewać? Do czego się posuną obłąkani ekstremiści, którzy są moimi zwolennikami, by zemścić się za próbę zamachu na moje życie? Możemy być nawet świadkami kolejnego zabójstwa politycznego.

— Albo dwóch — zachichotał baron. Samochód zatrzymał się przed hangarem na Le Bourget i Niemiec wysiadł. Kierowca zamknął drzwi, wrócił na swoje miejsce i maybach odjechał. Luca Bonaparte rozłożył swój fotel i wypuścił wielki kłęb dymu z kubańskiego cygara.

— Bienvenue a Paris, madame Li - powiedział.

Rozdział 19

Hampstead Heath

Wyobraźnię Congreve'a bez reszty zaprzętałi Baskerville'owie. Gnał przez Grimpen Moor na północy Anglii, gdy zadzwonił telefon. Był tak pochłonięty lekturą swojej ukochanej mocno zużytej książki o przygodach Sherlocka Holmesa, że w pierwszej chwili pomyślał, iż ten dźwięk jest związany z akcją powieści. Spojrzał w górę na mosiężny chronometr

okrętowy, zamontowany na ścianie biblioteki nad jego fotelem. W ciszy jego sanktuarium zegar z trzaskiem i terkotaniem wybił północ. Sięgnął do telefonu.

127

- Halo - powiedział do słuchawki i czekał na jakąś złą wiadomość, pędzącą nieubłaganie po drucie w jego kierunku.

- Czy to Ambrose Congreve?

- Tak mi się zdaje. A kto mówi?

- Diana Mars. Bardzo przepraszam, że dzwonię o tej porze, ale nie mogłam dłużej czekać.

- Coś pani grozi, lady Mars?

- Mów mi Diana, Ambrose. Nie, nic mi nie grozi, ale boję się, że coś może grozić tobie.

- W takim razie nie ma powodu do obaw. Jestem przyzwyczajony do niebezpieczeństw. To część mojego zawodu.

- Ambrose, wysłuchaj mnie. Uważam, że coś może poważnie zagrażać twojemu życiu. Ale wolałabym nie rozmawiać o tym przez telefon.

- Mogę przyjechać do Brixden House. O tej porze zajmie mi to tylko jakieś...

- Nie, nie. Nie chcę się z tobą spotykać w tym domu. Wytlumaczę ci to, kiedy się zobaczymy. Przyjechałabym do ciebie, ale coś się stało z bentleyem. To jedyny samochód, do którego mam kluczyki, a nie chcę budzić mojego szofera.

- Więc co? Umówimy się w jakimś pubie w połowie drogi? Nie, to na nic. Za późno.

- Tak, wszystko jest już nieczynne. Ale wiem, co zrobimy. Spotkamy się w

Spring Cottage. Jest zamknięty, ale oczywiście mam klucz. Znasz to miejsce? Mój letni domek?

- Ten w stylu Tudorów, nad brzegiem rzeki poniżej rezydencji?

- Zgadza się. Możesz tam być za pół godziny?

- O wpół do pierwszej? Dobrze. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę i wstał. Powodowany jakimś nagłym impulsem schylił się, żeby dotknąć palców nóg. Nie robił tego od lat, ale czuł taki przypływ energii, że chciał spróbować. Niech to szlag! Nie udało się. Nie mógł dosięgnąć stóp, bo przeszkadzał mu cholerny brzuch. Ale przydało się trochę ruchu. Dla lepszego krążenia krwi przed wejściem do akcji.

Przystanął w drzwiach i pokręcił głową. W duchu śmiał się z siebie. Wciąż żwawy błędny rycerz znów staje w szranki.

128

W sypialni zdjął granatową jedwabną piżamę. Jak się ubrać na potajemną schadzkę o północy w pustym domu? Myśląc o swoich twee-dowych marynarkach, zauważył przez okno, że u pani Purvis jeszcze pali się światło. Po powrocie ze szpitala została ulokowana w mieszkaniu nad domkiem ogrodnika. Uznano, że będzie jej tam znacznie wygodniej niż w małym pokoju na trzecim piętrze Hearts Ease Cottage, który poprzednio zajmowała.

Pani Purvis pewnie nie może spać. Lekarz uprzedzał, że będzie się źle czuła jeszcze co najmniej miesiąc. Pocisk rozerwał mięsień w ścianie klatki piersiowej i rana wolno się goiła. Biedna kobieta. Ambrose przedtem nie zdawał sobie sprawy, ile dla niego znaczy jej obecność.

Wybrał dżokejską koszulę, którą bardzo lubił, kurtkę do konnej jazdy i stare flanelowe spodnie. Potem z przyjemnością włożył nowiutkie buty

kupione u J.P. Todda. Były jaskrawoczerwone i Ambrose uważał, że wyglądają bardzo elegancko. Nie wiadomo dlaczego Sutherland nazwał je „damskimi kapciami”.

Zgasił górne światło w sypialni i nocną lampę przy łóżku i skierował się do tylnych schodów. Na końcu krótkiego korytarza było pomieszczenie, gdzie do niedawna rzadko zaglądał. Ostatnio odkrył, że to zaczarowana komnata, pełna magii i cudów. Położył rękę na klamce.

Aż mu serce mocniej zabiło, gdy wszedł do swojego garażu i sięgnął do włącznika światła.

Pstryk.

Blask światła odbitego od długiej, wypolerowanej maski zaparł mu dech.

Samochódjego samochód, morgan plus drophead z 1962 roku, miał czterdzieści trzy lata, ale przeszedł gruntowną renowację nadwozia i wszystkich mechanizmów, drewnianej ramy i szprychowych kół. Na karoserii lśnił nowy jaskrawożółty lakier - rzadko widywany na morganach - a na błotnikach ciemnozielony. Gdyby Ambrose był zmuszony opisać jednym słowem, jak jest pomalowane jego auto, powiedziałby, że elegancko. Właśnie tak pomyślał, kiedy otworzył drzwi i usiadł za drewnianą kierownicą.

Kupił swoją dwumiejscową maszynę przez Internet (właściwie wszystko zrobił jego kumpel w Crown and Anchor na komputerze w biurze pubu) za dużo mniej niż dwadzieścia tysięcy funtów. To tak, jakby po prostu ukradł ten klejnot. 129

Siedział przez chwilę i wdychał woń samochodu Skórzanych foteli, smarów, wosku na błotnikach i świeżych trocin, które rozsypał na podłodze Cały garaż wypełniały cudowne zapachy różnych części starej

maszyny Były odurzające Jak mógł bez tego żyć?

Ten czarodziejski wehikuł (zgoda, nieco staromodny) wydawał mu się prywatną rakieta zdolną przewieźć go na Księżyc. Ambrose czuł się wolny, mógł samodzielnie podróżować, nie był już zdany na Rossa Sutherlanda i jego diabelską miniaturową wyścigówkę I oto teraz wyrusza na nocną randkę z piękną kobietą .. Zaraz .. Lepiej powiedzieć pani Purvis, że wyjeżdża, żeby nie pomyślała, że kradną mu nowy samochód.

Na ścianie garażu zainstalował telefon -w przewidywaniu, że będzie tu spędzał dużo czasu, dłubiąc w silniku żeby zadzwonić, musiał wysiąść z morgana Już się przekonał, że dużo łatwiej to zrobić z opuszczonym dachem, więc w ogóle go nie podnosił Postanowił, że nie będzie jeździł dalej niż kilometr od domu, jeśli poczuje choćby zapach deszczu.

— Halo' — odezwał się głos na drugim końcu linii.

— Tu Congreve, na pewno mnie pani poznała, pani Purvis Bardzo przepraszam, że dzwonię o tej porze. Zobaczyłem u pani światło.

Chciałem tylko powiedzieć, że wyjeżdżam moim nowym samochodem.

Na wycieczkę po okolicy. Nie chciałem, żeby się pani niepotrzebnie martwiła.

— Nie ma o czym mówić Zobaczyłam światło w garażu i domyśliłam się, że pan wyjeżdża Właśnie szydełkuje. Bardzo lubię to zajęcie. Muszę uprzedzić, że na Gwiazdkę czeka pana duża niespodzianka

— To wspaniale. W takim razie jadę, pani Purvis.

Wsiadł z powrotem do samochodu i wcisnął przycisk rozrusznika. Silnik morgana ożył z rykiem (choć może „ryk” to za mocne słowo). Ambrose wrzucił wsteczny bieg i wyjechał ostrożnie z garażu. Przekonał się ostatnio, że cofanie to cholernie trudna sztuka Wszystko jest odwrotnie niż

przy jeździe do przodu. Niby to logiczne, ale jednak Manewr wymaga wprawy, ale opanuje to Przypuszczał, że wgnieciony tylny lewy błotnik i rozbite światło stopu da się łatwo naprawić

Pół godziny później znalazł drogę do trasy A404 prowadzącej do Marlow Pojechał dalej i po pięciu minutach minął bramę Bnxden House Światło księżycy nadawało rzymskim sarkofagom w ogrodach niebieską

130

barwę. Gaje i łąki zdawały się ciągnąć bez końca Wreszcie dotarł do wąskiej alei, która biegła na wschód wzdłuż srebrzystej Tamizy Najpierw zobaczył między -wierzchołkami drzew jeden z wysokich kominów Nad szczytem łupkowego dachu unosił się dym. Najwyraźniej lady Mars już przyjechała do Spring Cottage i rozpałała ogień

Skręcił w prawo na mały parking przy budowli w stylu Tudorów Domek stał na gęsto zalesionym terenie w zakolu rzeki W oknach z boku było ciemno, ale za półkolistą szybą nad frontowym wejściem Ambrose dostrzegł pomarańczowy blask. Nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły. Pchnął je i zobaczył na ścianach ruchome cienie Tylko ogień oświetlał -wnętrze domu Przez zaduch dawno niewietrzonych pomieszczeń przebijał zapach dymu.

- Halo? To ty, Diana? - zawołał od progu biblioteki. Przyszło mu do głowy, że może tu być ktoś inny. Jeszcze się nie dowiedział, kto próbował go zabić. Czasami łapał się na tym, że myśli jak autor kryminałów. Ten pusty dom nad rzeką byłby doskonałą pułapką na nieświadomą niczego ofiarę Nikt nie wiedział, że tu jest. Po zabójstwie wystarczyłoby obciążyć zwłoki kamieniami i wrzucić do Tamizy płynącej za oknami.

- O, Ambrose! Tak się cieszę, że dotarłeś tu bezpiecznie. Usiądź przy

kominku.

Lady Mars drżał głos.

Na wprost paleniska stały dwa skórzane fotele klubowe. Siedziała w jednym z nich. W blasku ognia jej kasztanowe włosy miały czerwonawozłocistą barwę. Pochylona, poprawiała pogrzebaczem żar. Na niskiej otomanie stała kryształowa karafka z bursztynowym płynem i dwa kieliszki. Ambrose usiadł. W obecności Diany znów nie mógł wydobyć z siebie głosu.

— No więc jestem — wykrztusił

— Opowiem ci wszystko, mój drogi, a potem napijemy się czegoś tylko dla dorosłych. Zgoda?

— Tak — odrzekł. Mój drogi'

- Dziś wieczorem przyszedł do mnie mój główny ogrodnik Nazywa się Jeremy Pordage Pracował jeszcze u mojego ojca. Ma osiemdziesiąt trzy lata. Znam go od zawsze Powierzyłabym mu swoje życie

131

— Rozumiem.

— Jeremy i jego żona byli w ostatnią niedzielę na mszy w St. John s. To mała kaplica w wiosce Upper Slaughter. Znasz to miejsce? To ten kościół, gdzie zeszłego lata popełniono straszne morderstwo. Pamiętasz?

— Byłem na tamtym ślubie jako družba Aleksa Hawke'a.

— Och, to musiało być dla ciebie okropne, Ambrose! Biedny człowiek ten Hawke. Złapano tego szaleńca, który zabił jego piękną żonę?

— Tak. Udało nam się go znaleźć.

— Powinni go powiesić, jeśli jeszcze tego nie zrobili. W każdym razie Jeremy i Alma postanowili pójść po kościele na lunch do Castle Combe.

Na polnej ścieżce Alma skrzyła nogę w kostce. U stóp wzgórza napotkali mały pub. Nie sposób tam trafić, jeśli się o nim nie wie.

— Jak się nazywa ten pub?

— The Feathers.

— Znam go.

— Właściciel zaprowadził ich do łoży i przyniósł herbatę. Almie nic się właściwie nie stało, ale musiała dać odpocząć nodze. Ledwo usiedli, usłyszeli, jak właściciel wita następnych gości, których posadził w sąsiedniej łoży. Drewniane przegrody są tak wysokie, że goście nie widzą się wzajemnie.

— Rozumiem, że mimo woli podsłuchali rozmowę.

— Tak. Mężczyzny i kobiety. Jeremy natychmiast rozpoznał męski głos. To był mój główny lokaj, Oakshott. Rozmowa, którą podsłuchał Jeremy, dotyczyła ciebie. Oakshott zaczął od tego, że opowiedział tej kobiecie o twojej wizycie w Brixden House. Bardzo ją to zainteresowało. Chciała wiedzieć wszystko, co podsłuchał w czasie twojej wizyty. A usłyszał mnóstwo, Ambrose. On chyba słyszy przez ściany. Opowiedział jej wszystko o zdjęciu, które mi pokazałeś. O tym z zabawy sylwestrowej. Z rudym mężczyzną.

— Dobrze, że do mnie zadzwoniłaś, Diana. Mów dalej.

— Kobieta sprawiała wrażenie mocno rozczarowanej, że nic się nie dzieje od czasu nieudanego zamachu na twoje życie dziesięć dni temu. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że ktoś próbował cię zabić? Jesteś w niebezpieczeństwie, mój drogi!

— Nie po raz pierwszy ktoś uznał, że świat byłby lepszy bez Ambrose'a Congreve'a. Padły jakieś nazwiska?

— Henry'ego Bullinga. Pamiętam mgliście, że poznałam go w Brixden House. Jest na tamtym zdjęciu, które mi pokazałeś, prawda? Ambrose przytaknął.

— Ktoś pragnie twojej śmierci, mój drogi. Bulling albo ona. Nie wiem. Ale chcą cię zabić i najwyraźniej nie żartują.

Wzruszyła go troska w oczach Diany. Wyciągnął rękę i poklepał jej dłoń, która drżała jak biały motyl nad fałdami jej spódnicy.

— Kto tak naprawdę chce, żebym wachał kwiatki od spodu? Chyba nie twój przystojny lokaj Oakshott? Jak dotąd z mojego powodu nie spadł mu włos z jego blond głowy.

— Posłuchaj. Oto, co zrozumiał Jeremy. Henry Bulling był szpiegiem w ambasadzie francuskiej. Pracował dla chińskiego rządu. Przekazywał informacje. O ropie, o tankowcach, o nowych francuskich rafineriach w budowie i tak dalej. Czy to ma sens?

— Jak najbardziej. Choć można się dziwić, dlaczego Chińczyków tak interesuje francuska ropa, skoro Francuzi nie mają własnych złóż. Całą ropę importują z krajów nad Zatoką Perską. W każdym razie tak było do czasu wojny z Irakiem.

— Nie miałam pojęcia. Ale chińska tajna policja, która prowadziła Henry'ego, odkryła, że spotykał się potajemnie z brytyjskim wywiadem. W St. James's Park. Że był podwójnym agentem. Porwali go z jego mieszkania i jakoś wyciągnęli z niego prawdę. Henry podał im twoje nazwisko.

— Teraz to wszystko zaczyna mieć sens. Te-Wu mogła wydać na mnie wyrok śmierci — powiedział Ambrose. — Byłby to sygnał dla MI-6, żeby pilnowali własnych spraw.

— Ambrose, jak możesz mówić o tym tak spokojnie? Ta kobieta najwyraźniej kierowała porwaniem Bullinga i przesłuchaniem. Dała mu wybór: albo ona zabije jego, albo on ciebie.

— Chybił, prawda? — Ambrose poczuł nagły przypływ współczucia dla pani Purvis. Pocisk, który o włos minął jej serce, był przeznaczony dla niego.

— Tak, dzięki Bogu. Ale boję się, że następny zamach może się udać.

— Bardzo miło z twojej strony, że zadzwoniłaś, Diana. Mądrze się zachowałaś. Pozwól, że naleję ci teraz brandy. Chyba nam obojgu dobrze to zrobi.

— Muszę mieć jasny umysł. Ten rudy mężczyzna to twój kuzyn?

— Tak. Przyłapany na szpiegowaniu Francuzów przez Chińczyków. Na pewno ma coś do ukrycia.

— Właśnie. Jeśli nie żyje, to ta kobieta sama cię zabije. Jeremy'emu udało się ją zobaczyć, kiedy wychodzili. To była Chinka. Ta z fotografii. Szpieg.

— Domyślam się. Hawke i ja mieliśmy małe starcie z Chińczykami kilka lat temu. Paskudna sprawa. Zginęło mnóstwo ludzi. Hawke i ja trafiliśmy na czarną listę w Pekinie. Tak twierdzi MI-6. Ponieważ ostatnio psuje Chińczykom szyki, podejrzewam, że mandaryni znów chcą się do mnie dobrać.

— Znów?

— Poprzednie próby się nie powiodły. Myślałem, że już o mnie zapomnieli. Całkiem możliwe, że mój drogi kuzyn Henry żyje, napuścił na mnie tę kobietę z czystej niechęci do mnie i sam jest sprawcą tego wszystkiego. Uważa, że ukradłem mu spadek.

— Twój piękny domek?

— Tak. Heart's Ease. Sprawdzimy, czy to pasuje. Przed chwilą powiedziałaś, że chińska tajna policja „prowadziła” Henry'ego. To język szpiegów. Lubisz thrillery szpiegowskie?

— No cóż...

Za oknem rozległ się głuchy odgłos, jakby coś ciężkiego upadło na różany kłęb. Lady Mars zerwała się z miejsca.

— Ambrose! Ktoś nas podsłuchiwał!

— Na ziemię! Już! - rozkazał Ambrose. Ruszył do okna i wyciągnął broń. Szyba rozprysła się do wewnątrz i pocisk utkwiał w ścianie centymetry od jego głowy. Congreve zobaczył cień oddalający się szybko od okna.

Uniósł pistolet i strzelił. Raz, drugi, trzeci.

Rozdział 20

Hawkesmoor

Dzień dobry, Pelham! — zawołał Ambrose, wchodząc do kuchni. Jaskrawożółty szalik wokół jego szyi powiewał jak proporzec w dniu otwarcia sezonu krykietowego. — Gdzie jesteś?

— Jest w magazynie zastawy stołowej, panie nadinspektorze — poinformowała ładna młoda kobieta w białym czepku, która siedziała przy kontuarze i przebierała brukselkę. Promień słońca padał prosto na białą miskę z zielonym warzywem. Na widok takiej sceny Yermeer i jemu podobni z pewnością chwyciliby za pędzle.

— Znajdzie mnie pan tutaj — dobiegł z magazynu charakterystyczny, wysoki głos Pelhama.

— Aha! — powiedział Ambrose i skierował się w tamtą stronę, kiwając wokół głową i rozdając uśmiechy. - Witam wszystkich! Piękny dzień, prawda?

Congreve obudził się w doskonałym humorze. Po pierwsze, nadal żył. Być może powodem zadowolenia był też nowy wspaniały samochód lub pościg za zabójcami przez tereny Brixden House w świetle księżyca. Albo pocałunek, który Diana złożyła na jego policzku, kiedy się żegnali. W każdym razie, życie wydawało się pełne słońca i nadziei.

— Dzień dobry panu! — odpowiedział wesołym chórem personel kuchenny. Ten entuzjazm u progu nowego dnia był jedną z przyczyn, dla których Ambrose tak lubił niezapowiedziane poranne wizyty w Hawkesmoor. W takie słoneczne poranki jak ten zawsze panowała tu radosna krzątanina. W kuchniach, w ogrodach, w stajniach, w całym domu. Wszędzie ktoś coś polerował, odkurzał książki, poprawiał poduszki, czyścił szkło na wysoki połysk.

Kiedy Ambrose szedł przez tętniącą życiem kuchnię, zdał sobie sprawę, że znów jest to szczęśliwy dom. Przedwczesna śmierć Vicky, młodej żony Aleksa Hawke'a, okryła żałobą Hawkesmoor. Wszyscy ją tu bardzo lubili. Czekali niecierpliwie na przyjazd nowej pani Hawkesmoor, pierwszej lady Hawke od czasu, gdy matka Aleksa zginęła z rąk piratów na Karaibach w latach siedemdziesiątych.

Ambrose pomyślał teraz, że całe życie Aleksa Hawke'a to jedna długa piracka historia.

Przerażające zabójstwo Victorii Sweet na schodach kościoła St. John's zaszokowało i przygnębiło wszystkich pod tym dachem. Wiele osób w całej Anglii wciąż mówiło ze smutkiem o tej bolesnej stracie. Alex i Vicky byli piękną, bardzo popularną parą. Wzbudzali zachwyt. Zdawała się ich otaczać atmosfera nieprzemijania. Wszystko zniknęło w jednej chwili. Po powrocie Hawke'a z pogrzebu Vicky w Luizjanie ten dom, kiedyś pełen

życia i radości, znów stał się ponury.

Po tygodniach żałoby Alex opuścił Hawkesmoor na dobre. Przysiągł, że nigdy nie wróci do tego smutnego miejsca. Ale teraz, w ten pogodny czerwcowy poranek, wydawało się, że słońce znów wyszło zza chmur. Być może tak było.

— A, tu jesteś, Pelham! — powiedział Ambrose i wkroczył energicznie do magazynu w swoim sztywnym słomkowym kapeluszu.

— Dzień dobry, panie Congreve — odrzekł osiemdziesięcioletni służący i przyjrzał się uważnie nadinspektorowi. Jego zdaniem detektyw czasami poruszał się zbyt gwałtownie. — Właśnie idę z tacą na górę do jego lordowskiej mości. Może pan się do mnie przyłączyć, jeśli pan chce. Congreve zmarszczył brwi.

— Śniadanie do łóżka?

— Nie. Jego lordowska mość zszedł na śniadanie o szóstej. Zjadł je przy przeglądaniu papierów w towarzystwie pewnego dżentelmena z CIA, naszego gościa, który potem odleciał helikopterem.

— Ach tak. Więc co to jest? - zapytał Ambrose, patrząc na srebrną tacę, którą przygotowywał Pelham.

— Cytryna- parsknął szef służby domowej. Dawno się przyzwyczał do tego, że Congreve węszy w kuchni, podnosi pokrywki garnków i próbuje zup. Obaj połączyli siły, by wychować małego Hawke'a, gdy stracił rodziców i dziadka, kiedy nie miał jeszcze dwunastu lat. Zawsze prześcigali się w opiece nad Alekssem.

— Widzę, Pelham, ale po co?

— Do jedzenia. To teraz jego codzienna poranna przekąska.

- Zjada całą cytrynę? Po co, na Boga?

- Nowa dieta. Chyba nazywa się „holistyczna”. Stara się oczyścić organizm. Będzie pan musiał zapytać o szczegóły jego lordowską mość. Ja się na tym nie znam.

- Zostaw to, mój drogi Pelhamie. Oszczędzaj nogi. Sam mu zaniosę tę królewską ucztę.

- Znajdzie go pan w zbrojowni, nadinspektorze. Jest tam od rana, kiedy odleciał jego amerykański przyjaciel, pan Kelly.

- Naprawdę? Co on tam robi, do diabła?

- Czyści broń. Mówi, że wyruszamy na wojnę.

- Na wojnę? Z kim?

- Chyba wspomniał o Francji.

- O Francji?

- Tak.

- Rany boskie!

Ambrose wspiął się po wydeptanych na gładko kamiennych stopniach tylnych schodów, które prowadziły na górę. Na trzecim piętrze zatrzymał się przed rzeźbionymi dębowymi drzwiami, żeby złapać oddech. Scena przedstawiała walkę dwóch zwierząt - szkockiego jednorożca i angielskiego lwa. Drzwi były lekko uchylone, więc pchnął je tacą. Hawke stał tyłem do wejścia przy oknie w głębi zbrojowni. Polerował lufę zabytkowego pistoletu. Na ramieniu miał swoją ukochaną papugę, Snaipera.

Ściany wielkiej sali, od podłogi do sufitu, obwieszane były starą bronią. Tuż pod dekoracyjnymi gzymsami ciągnęły się długie rzędy jelenich rogów. Przestrzeń poniżej zajmowały miecze, piki, pistolety i karabiny — około tysiąca sztuk broni z okresu od XV do XIX wieku.

Congreve wiedział, że poza biblioteką zbrojownia jest najbardziej ulubionym miejscem Aleksa w całym domu. Ciężkie aksamitne zasłony były rozsunięte i przez wysokie witrażowe okna wpadało słońce. Na przeciwległej ścianie wisiała kolekcja osiemnastowiecznych pirackich flag, łącznie z ponurą Jolly Roger, pod którą pływał przodek Hawke'a, sam Blackhawke.

-Witaj, Alex - powiedział Congreve i wszedł z tacą do sali.-Zobaczyłem na murach obronnych twoją czarną flagę i domyśliłem

137

się, że jesteś w domu. „Szczęście sprzyja szybkim”. Wspaniałe hasło Blackhawke'a.

Alex odwrócił się do niego i uśmiechnął.

— I jakie prawdziwe, Ambrose! Szybki okręt i szczęśliwa gwiazda, która go prowadzi, to klucz do zwycięstwa. Jak myślisz, skąd mam taką masę brudnej forsy? Z piractwa, oczywiście! Nie oszczędzajcie nikogo, chłopcy!

— Przerwałem ci jakiś... rytuał?

— Nie, nie, skądże. Wchodź!

— Gdzie się ukrywałeś, Alex?

— Właśnie wróciłem z la belle France. Wczoraj rano. Nie zadzwoniłem do ciebie, bo miałem tu gościa, „Cegłę” Kelly'ego, i... Co to jest?

— Twoja cytryna.

— A tak. Postaw ją tam, jeśli możesz. Nie mam dziś na nią ochoty.

— Dlaczego z tylu owoców wybrałeś akurat cytrynę? - zapytał Ambrose i postawił tacę wśród szesnastowiecznych karabinów i pistoletów skałkowych.

Hawke zignorował pytanie i wziął jeden z karabinów.

— Ładna broń, prawda, Ambrose?

— Piękna. Co to jest?

— Ruzznica odtylcowa, wyprodukowana w Augsburgu lub Norymberdze w 1540 roku. Należała do pruskiego pułkownika Andreasa Teuffela von Gundersdorfa. Muszę przyznać, że to wspaniały okaz.

— Alex, opowiedz mi o wojnie. I o Francji. Ale najpierw o cytrynach.

— Zacznę od nich — odrzekł Hawke, wziął z tacy cytrynę i zanurzył w misce z białym proszkiem. - Jest w nich mnóstwo bioflawonoidów, nie mówiąc o witaminie C. To naturalny słodzik, którego Japończycy używają od wieków. Nazywa się Stevia rebaudiana. Powoduje obniżenie poziomu cukru we krwi. U normalnych ludzi, nie u diabetyków. Spróbuj.

— Dziękuję bardzo, staram się unikać cytryn. Ale nie będę cię powstrzymywał.

Bioflawonoidy? Japoński słodzik? Do czego to doszło? Alex ugryzł cytrynę i się skrzywił.

— Może daruję to sobie. Podejdź bliżej do okna, konstablu. Muszę ci coś pokazać, zanim weźmiemy się do ratowania świata przed czerwonym zagrożeniem.

— Co?

— Spójrz w dół na dziedziniec — powiedział Hawke i zaczął karmić cytryną papugę, która pożarłaby nawet rozżarzony do czerwoności pluton, gdyby dano jej coś takiego. — Właśnie zauważyłem coś dziwnego.

Widzisz to? — wskazał nowego stalowego rumaka Ambrose'a.

— Widzę.

— To morgan - wyjaśnił Hawke. - Dość stary. Model Plus Four. Z drewnianą ramą. Muszę przyznać, że robi duże wrażenie. Kapitalnie

pomalowany. Ciekawe, jaki szczęściarz nim przyjechał. Pelham nikogo nie anonsował.

— To mój samochód — odrzekł Congreve, starając się ukryć zadowolenie.

— Twój? Nie wygłupiaj się, Ambrose! Nawet nie umiesz prowadzić. Nie cierpisz pojazdów mechanicznych. Nie wykazujesz najmniejszego zainteresowania...

Congreve wyjął z kieszeni spodni kluczyki i pomachał nimi przed oczami Hawke'a. Zalśniły w słońcu.

— Przejedziemy się?

— To naprawdę twoja maszyna?

— Tak. Przyjechałem nią tutaj zaledwie kilka minut temu.

— Boże, on mówi poważnie!

— Co powiesz na przejażdżkę do Cock & Cork, żeby uczcić to piwem?

— Zachęcająca propozycja, ale na razie musimy porozmawiać o poważniejszych sprawach, konstablu. Usiądźmy tam przy kominku. Kiedy usadowili się wygodnie, Hawke zaczął opowiadać.

— Kelly wychwalał cię wczoraj przy kolacji. Dał mi coś dla ciebie. Akta starej sprawy. Leżą na moim biurku w bibliotece. Chodzi o dziwne zabójstwo w Paryżu trzydzieści pięć lat temu. Gdyby udało ci się to rozgryźć, moglibyśmy zaoszczędzić światu mnóstwa kłopotów.

— Chętnie dopisałbym taki sukces do swego konta, ale próbuję teraz rozwiązać inną zagadkę, związaną z zamachami na mnie.

— Tylko mi nie mów, że był następny. To poważna sprawa.

— Bardzo poważna. To się wydarzyło dziś w nocy. W Spring Cottage lady Mars. Strzelałem do drania przez okno. Niestety, tylko go zraniłem. Na różach pod oknem było trochę krwi. Jest tam teraz ekipa dochodzeniowa.

Obiecali, że do wieczoru złożą mi raport. Sprawca uciekł przez las

139

do samochodu. Usłyszałem silnik, pobiegłem do mojego auta i ruszyłem w pościg. Prawie udało mi się go dogonić. Ten morgan jest przygotowany do wyścigów. Ma sportowy wałek rozrządu, czy coś takiego.

— Ktoś koniecznie chce cię zabić, Ambrose. Musimy z tym skończyć.

Orientujesz się, kto to może być?

— Myślałem, że mój kuzyn Bulling. I tak może być. Ale jest w to również zamieszana chińska agentka. Obawiam się, że powodem mogą być dawne dzieje. W takim wypadku, polują też na ciebie.

— Mówisz o zeszłorocznej wyprawie rzeką Jangcy do Przełomu Trzech Wąwozów? Mieliśmy szczęście, że wróciliśmy stamtąd żywi.

— W każdym razie ta kobieta, Bianca, najwyraźniej mnie nie lubi.

— Jak mogłeś jej podpaść?

— Podpaść? Mówisz jak tajniak z film noir. Niewątpliwie pamiętasz mojego drogiego kuzyna Henry'ego Bullinga. Pracował w ambasadzie francuskiej w Londynie.

— Facet, który zawsze próbował się wywyższać?

— Właśnie.

— Był wkurzony z powodu testamentu twojej ciotki, tak?

— Mhm. Na mnie. Za to, że odziedziczyłem Heart's Ease. Na początku myślałem, że Henry jest aż tak wkurzony z powodu tego domu, że chce mnie zakatrupić. W toku śledztwa Sutherland i ja odkryliśmy jednak, że jest to trochę bardziej skomplikowane. Na horyzoncie pojawiła się kobieta, Bianca Moon. Chińska agentka. Utrzymuje intymne stosunki z moim kuzynem. Odkryła, że Henry i ja spotykaliśmy się na lunchach w parku.

Jak dobrze wiesz, Henry'ego prowadził Yard. Teraz się okazuje, że również Chińczycy.

— Więc Henry jest podwójnym agentem? Chińczycy próbują nas ostrzec, że mamy się wycofać?

— Henry był podwójnym agentem. Może już nie żyć. Panna Moon nie była zadowolona, kiedy Henry wysłał do szpitala moją gospodynię, panią Purvis, zamiast mnie.

— Postrzelił panią Purvis? Nie wiedziałem. Została ciężko ranna?

— Wraca do zdrowia.

— Całe szczęście. Może to nasz Henry ukrywał się wśród róż w Spring Cottage? To w jego stylu.

140

- Też tak pomyślałem. Tylko pani Purvis wiedziała, że wyjeżdżam z domu o północy. Henry mógł zaparkować na ulicy i śledzić mnie, ale wydaje się to mało prawdopodobne. Jechałem szybko i cały czas patrzyłem w lusterko wsteczne. Nikogo nie widziałem.

- Jest jeszcze jedna osoba, która wiedziała, gdzie będziesz ostatniej nocy. Ta, która cię zaprosiła na spotkanie.

- Lady Mars.

- Ty to powiedziałaś, nie ja. Wiadomo powszechnie, że Brbden House był w różnych okresach historii siedliskiem szpiegów.

- Nie bądź śmieszny. Diana nie ma z tym wszystkim nic •wspólnego. Jest urocza.

- Tokijska Róża też była.

- Przestań. Mówisz bez sensu.

- Posłuchaj, konstablu. Ty i twój kuzyn Henry mogliście się natknąć na coś

o wiele groźniejszego, niż się spodziewaliście. Na coś, za co warto zabić was obu. Mówię o płycie kompaktowej, którą znalazłeś w lodówce Henry'ego. Z francuskimi rafineriami ropy i tankowcami.

- Tak, to wszystko wiąże się jakoś z ropą, Alex. Ta cała cholerna sprawa.

— Uważam, że następna wojna światowa będzie się toczyła o ropę. I ktoś najwyraźniej chce, żebyśmy obaj byli pierwszymi ofiarami tego konfliktu. Powiedz, czego się dowiedziałeś.

— Na płytach kompaktowych w mieszkaniu Henry'ego były zdjęcia francuskich rafinerii i rurociągów. Supertankowców w cieśninie Ormuz. Henry przekazywał Bianca Moon informacje o bieżącej produkcji ropy w Leunie i transporcie francuskimi tankowcami. Ona dobrze zna ten temat, bo pracowała w Elf Aquitaine.

— Pamiętam ten skandal — powiedział Hawke. — Wiedziałem, że skądś znam to imię. Bianca. Była kochanką poprzedniego ministra handlu zagranicznego Francji, który miał z tego powodu kłopoty, zgadza się?

— Owszem. Była gejszą Honfleura. Zniknęła z milionami. Okazuje się, że teraz wróciła do gry.

— Podobnie jak monsieur Honfleur. Wygląda na to, że się zrehabilitował. Jest nowym premierem. Powrót na scenę godny uwagi, nawet we Francji.

141

— W drodze tutaj słuchałem radia - powiedział Ambrose. -W wiadomościach BBC mówili, że wczoraj zginął syn Honfleura, Philippe. Został zabity w czasie ataku terrorystycznego na obecnego ministra handlu zagranicznego Francji, faceta o starym, dobrze znanym nazwisku Bonaparte.

Hawke odwrócił się twarzą do okna.

— Francuzi zabijają Francuzów, konstablu. Kolejna rewolucja francuska. Kolejny Bonaparte.

— Jeszcze gorzej. Smok i żaba — odrzekł Congreve. Hawke pokręcił ze smutkiem głową.

— Chiny i Francja. „Nie ma miejsca we wspólnej dwojga serc przestrzeni dla barier, przeszkód”.

— To piękny sonet Szekspira, Alex, ale coś mi mówi, że zamierzasz stanąć na przeszkodzie tej miłości, za wszelką cenę zepsuć im miesiąc miodowy.

Rozdział 21

Cannesf

' Zostaw tę dziewczynę - usłyszał za sobą Stoke. Niemiecki akcent. Głos },

^ pułkownika Klinka ze starego serialu telewizyjnego Hogan's Heroes. |

Stoke trzymał Jet w ramionach. Właśnie podniósł ją z łóżka. Owinał ją * prześcieradłem, bo była prawie naga; miała na sobie tylko czarne

koronkowe majteczki. Na jej ciele widniały sińce i skaleczenia, ale krew już zakrzepła. W lustrzanej ścianie za łóżkiem z klatką zobaczył odbicie

tylko jednego faceta, wielkiego, uśmiechniętego lekko blondyna w białej marynarce. Gość wyglądał na bogatego typa. I zamknął za sobą drzwi.

— Cześć, baronie — powiedział Stoke do lustrzanego odbicia. — Jak leci?

— Połóż ją.

Niemiec trzymał mały czarny pistolet samopowtarzalny. Austriacki walther. Celował w szerokie plecy Stoke'a. Trudno chybić z takiej odleg-

142

łości. To tak jakby nie trafić w stodołę. Stoke też miał broń, ale gdyby po nią sięgnął, Jet znalazłaby się na linii ognia.

— Jest ranna — odrzekł. Nie odwrócił się i obserwował faceta w lustrze.

— Potrzebuje pomocy lekarskiej. W tym pływającym pałacu jest chyba izba chorych, szefie?

— Schweinehund! — Mimo słabego światła Stoke zobaczył, że Niemiec spurpurowiał na twarzy. — Powtarzam: połóż ją. To prywatna sprawa.

— Co jeszcze powiesz? Nikt nie wygłasza bardziej porywających przemówień niż wy, stuknięci naziści, kiedy jesteście napaleni. Ja ci to mówię, człowieku.

— Powiedziałem, żebyś ją zostawił!

— Zadałem ci pytanie. Jest tu lekarz, czy nie? Jeśli nie, zabieram ją stąd. Ma głębokie skaleczenia.

— Ona jest gościem na tym jachcie. Znalazła się tutaj z własnej woli. Połóż ją, do cholery.

— Ważniak we własnej osobie. Przepraszam, przegapiłem mowę powitalną. Założę się, że goście żądali krwi.

— Kim ty jesteś? Co robisz na moim jachcie?

— Ja? Jestem dekoratorem wnętrz. Z Orlando. Rozglądałem się. Szukałem nowych pomysłów. Ale gówniane to wszystko. Znalazłem tę ranną damę. Ty jej to zrobiłeś?

— Połóż ją na łóżku i się odwróć.

— Chcę wiedzieć, czy ty jej to zrobiłeś.

— Nie twój interes. Powiedziałem, że to prywatna sprawa. Zawiodłem się na niej. Została ukarana.

— Ukarana? Tak to nazywasz? Ukarana?

— Stawiała opór, więc trochę oberwała. Nic poważnego. Zapytaj ją.

— Chciałeś ją zostawić w tej cholernej klatce, żeby się wykrwawiła na śmierć?

— Masz pięć sekund. Jeśli nie zrobisz tego, co mówię, przestrzelę ci kolana. Pociski roztrzaskają ci rzepki i rozerwą ścięgna. Już nigdy nie będziesz mógł chodzić. Raz...

— Rób, co mówi — odezwała się Jet. — On strzeli.

— Hej...

— Dwa...

143

— Człowieku, utrudniasz tylko sprawę.

— Trzy...

— Niech to szlag - powiedział Stoke. -Wy, Niemcy, jesteście strasznie uparci.

Nagle dał nura w poprzek łóżka, trzymając Jet w ramionach. Rozległy się dwa strzały, ale pociski utkwily w grubym materacu. Stoke wylądował z Jet na podłodze po drugiej stronie łóżka. Odepchnął ją lewą ręką, prawą wyciągnął broń. Sig sauer P220 był ukryty w nylonowej kaburze tuż nad jego lewą kostką. Pistolet wykonany częściowo ze stopu aluminium mało ważył, amunicja black talon zapewniała mu dużą skuteczność.

Stoke ocenił, że ma dwie, trzy sekundy, zanim facet okrąży łóżko.

— Leż i się nie ruszaj - polecił Jet.

Odbił się jedną nogą od łóżka i wyskoczył do góry jak z trampoliny.

Nacisnął spust, kiedy szybował w powietrzu. Trafił Niemca w ramię. Siła pocisku obróciła barona w miejscu. Stoke zderzył się ze ścianą, odbił się od niej stopą i wykonał półobrót. Spadł na Niemca i uderzył go dłonią pod kolanami. Jedno pękło z głośnym trzaskiem i baron runął z krzykiem na podłogę.

Von Draxis wił się na plecach i jęczał z bólu. Wciąż trzymał pistolet; i

celował z niego. Stoke chwycił broń barona, obrócił gwałtownie i złamał mu palec tkwiący w kabłąku spustu. Znana z książek sztuczka, ale Niemiec się jej nie spodziewał. Zawył z bólu. Stoke przykucnął obok niego i poklepał go na pocieszenie po głowie.

— Widzisz? Myślisz, że jesteś twardzielem, a jesteś po prostu przeciętniakiem, chłopie.

Wyjął Niemcowi pistolet z ręki i uwolnił jego złamany palec wskazujący. Wiedział, że to musiało zabolec. Schował broń do kieszeni, wstał i podszedł do Jet leżącej przy łóżku.

— Możesz już otworzyć oczy — powiedział i schylił się, żeby ją podnieść.

— Koniec fajerwerków.

— Nie wypuszczą cię z tego jachtu — odparła.

— Czyżby? Zobaczymy.

— Dokąd chcesz mnie zabrać?

— Za... około cztery minuty przypłynie po mnie motorówka. Na pokładzie „Blackhawke'a” mamy doskonałą lekarkę. Dunkę, którą Alex

144

zaangażował ze względu na jej kwalifikacje. Byłą Miss Danii. Zajmie się tobą. Potem zdecydujesz, co dalej. Pasuje? Co o tym myślisz?

— Myślę, że jesteś stuknięty.

— Prawdopodobnie. Porywam i zabieram do domu obce kobiety. Prawie się nie znamy.

— Chodźmy.

— Dobry pomysł. Hej, baronie! AufWiedersehen. Dowiem się jutro, co u ciebie słychać. Dzięki za imprezę. Było naprawdę super.

Stoke ruszył do drzwi i dał krok nad Niemcem wijącym się na podłodze.

Czuł, że facet myśli o złapaniu go za nogę albo o innym głupim numerze. Ale widząc stopę Stoke'a tuż obok swojej głowy, baron najwyraźniej zrozumiał, że to kiepski pomysł.

Stoke miał lepszy. Chwycił Niemca za rękę i zaciągnął po skórzanej podłodze do łóżka.

— Do góry, mein Hen — powiedział, podniósł faceta i cisnął na środek materaca. Potem wyjął z kieszeni pilota i opuścił klatkę. Po chwili namysłu rzucił pilota na podłogę i rozdeptał. Baron dostał szału. Zaczął wrzeszczeć i walić zdrową ręką w prety, ale Stoke to zignorował.

— Zamknij się, Schatzi - rozkazała Jet. O dziwo, zamilkł.

— Podoba mi się twoje imię — zwrócił się do niej Stoke, kiedy wyniósł ją na korytarz i zamknął za sobą drzwi kajuty. -A jakie masz nazwisko?

— Moon — odrzekła. — Ale go nie używam.

— Jet Moon. Super. Czym się zajmujesz?

— Jestem aktorką.

— Naprawdę? W życiu też?

— A czy nie gram teraz?

— Chyba niedługo się dowiemy.

— Pracujesz dla Aleksa Hawke'a?

— Można tak powiedzieć.

— Co dla niego robisz?

— Rozwalam różne rzeczy. Zabijam ludzi.

— Mój Boże! Nie do wiary!

— Co?

— Zamieniłam jednego niebezpiecznego szaleńca na drugiego.

Rozdział 22

Chateau Belmansion

Historyczny bal masque Luki odbywał się w domu przesiąkniętym historią. Zimą 1798 roku Napoleon, który wtedy jeszcze nie podbił świata, potrzebował dla siebie podmiejskiej siedziby. Wpadła mu w oko ładna wiejska rezydencja na obrzeżach Paryża. Nazywała się Chateau Belmansion. Dom był mocno zaniedbany, ale Napoleona to nie zniechęciło. Jednak się wahał. Jego gwiazda wschodziła, lecz uważał, że po prostu nie stać go na tę posiadłość.

Józefina była innego zdania. W wyjątkowo zimnym kwietniu 1799 roku, kiedy nowy pierwszy konsul Francji na czele swojej armii zabijał Arabów i zdobywał Egipt, madame Bonaparte zadłużyła się na trzysta tysięcy franków i kupiła rezydencję. Wiedząc, że mąż będzie na nią zły, zaczęła od razu urządzać dom tanim kosztem, w stylu, który miał mu się spodobać. Napoleon czcił Cezara, więc wybrała połączenie neoklasycyzmu z militariami. Wynajęła znanych architektów i projektantów, Perciera i Fontaine'a. Razem stworzyli piękne Belmansion w rzymskim stylu. Rezydencja wyglądała wspaniale i natychmiast w całej Europie zaczęły powstawać podobne.

W całym domu użyto czerwieni, koloru cesarstwa rzymskiego. Ściany biblioteki pokryto tkaniną tej barwy. Czarno-złote balustrady ozdobiono głowami lwów, nad drzwiami umieszczono orły. Pod sufitem upięto dekorację w kształcie namiotu. Napoleon był zachwycony, Luca też. Ale siedemnastowieczna rezydencja miała wielu właścicieli, zanim nabył ją współczesny Bonaparte.

Po zesłaniu Napoleona na odległą Wyspę Świętej Heleny, gdzie zmarł, Belmansion stała się historycznym miejscem, otwartym dla publiczności.

Przez jej pokoje przeszły miliony zwiedzających, wśród nich Francuzi, którzy tęsknili za wielkością, marzyli o La Gloire.

Dla posiadłości nadszedł w końcu ciężki okres. Przez lata stała pusta, pogrążona w mroku, zapomniana. Pewnego popołudnia, podczas konnej wyprawy na spotkanie z kochanką, rezydencję dostrzegł między drzewami Luca. Kiedy poznał jej historię, złożył ofertę kupna za gotówkę, bez oglądania domu. Została przyjęta. Gdy rozeszła się wieść, że słynną Belmaison nabył za dużą sumę obecny minister handlu zagranicznego Francji, prawowity spadkobierca i samozwańczy następca Napoleona, rozległ się alarm. Jego echo nadal brzmiało w długich korytarzach Pałacu Elizejskiego.

Wielu członków rządu wciąż uważało tego korsykańskiego karierowicza za poważne zagrożenie dla status quo. Ale paryżanie z podnieceniem i niecierpliwością oczekiwali zmian społecznych i politycznych. Po stolicy krążyły plotki. Nowy Bonaparte dąży do władzy. Czy wkrótce wrócą dni chwały?

Bal masque był pierwszym znaczącym przyjęciem w nowej rezydencji Luki. Ozdobne zaproszenia na uroczystość z okazji odznaczenia sułtana Omanu Legią Honorową otrzymało ponad dwieście pięćdziesiąt osób. Obowiązywały stroje z okresu cesarstwa. Na wystawną kolację przygotowano potrawy z początku XIX wieku. Orkiestra miała grać walca, kadryla i menueta.

Dopóki nie zrobiło mu się za gorąco, Luca nosił kostium będący repliką stroju koronacyjnego Napoleona, łącznie z imitacją gronostajowej peleryny. Madame Li, biegła w sztuce maskowania, przyszła w sukni balowej, udając cesarzową Józefinę. Sułtan Omanu zjawił się w przebraniu

kapitana berberyjskich piratów. Każdy z tych trzech kostiumów w jakimś sensie świadczył o osobowości właściciela.

Krótko po dziewiątej Luca wymknął się na godzinę. Poszedł szybko do swojego gabinetu, żeby na bezpiecznej linii odebrać telefon, którego oczekiwał. Dzwonił Pekin. Luca ponad dwadzieścia minut rozmawiał przyciszonym głosem z sekretarzem generalnym Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Chin. Kiedy kończył, wszedł jego zaufany adiutant, kapitan Chamouton. Oficer usłyszał ostatnie zdanie, które wypowiedział przyszły przywódca Francji, zanim odłożył słuchawkę: — Wszystko zostanie wykonane dokładnie według waszego polecenia. Dało to początek pogłoskom o zakulisowej władzy.

Gdy wybiła dziesiąta, na parkiet taneczny wkroczył oddział dragonów w hełmach. Dźwięki walca umilkły. Wśród podnieconych chichotów kapitan odczytał głośno:

- Cesarz życzy sobie odbyć naradę z kapitanem berberyjskich piratów w najbliższym dogodnym dla niego czasie.

Sułtan Omanu, gość honorowy, przebrany za berberyjskiego korsarza, wybuchnął śmiechem i skłonił się swojej partnerce. Schował do pochwy bułat i zdjął turban ozdobiony klejnotami. Dragoni uformowali szyk wokół niego i wyprowadzili go z sali. Zachwycone damy zerkały zza swoich wachlarzy z pawich piór na przystojnego arabskiego pirata.

Luca czekał niecierpliwie na sułtana. Siedział w czerwonej bibliotece przy biurku swojego ukochanego cesarza i bawił się małą złotą tabakierką, której kiedyś użyto w tym pokoju do nieudanej próby otrucia Napoleona. Przypominała mu, że musi być bardzo czujny. Czasy są niebezpieczne, a on zamierzał podjąć niebezpieczną grę. Ale przetrwa i poprowadzi swój

naród do chwały. To się zacznie dziś. Tej nocy.

- Wasza Wysokość chciał mnie widzieć? - zapytał sułtan. Trochę przesadził. Czas na te bzdury był na parkiecie, nie w bibliotece Napoleona. Najwyraźniej za dużo wypił.

- Uważaj na swoje maniery i zdejmij kapelusz, kapitanie - odrzekł Luca z lekkim uśmiechem. — Jesteś w moim domu. Siadaj. Chwiejesz się na nogach.

- Poczestowałbym się odrobiną tej brandy, jeśli można - zwrócił się sułtan do Chamoutona. Luca skinął głową na znak zgody. Kapitan nalał. Trzęsła mu się ręka. Nie był już młody. Tęsknił za łóżkiem.

Arab uniósł kieliszek w kierunku Bonapartego.

- A votre sante. Pańskie zdrowie, mój nowy przyjacielu. Luca wziął cygaro.

- Wszystko wisi na włosku.

Sułtanowi nie spodobało się to, co usłyszał. Był jeszcze na tyle trzeźwy, że wyczuł groźbę w głosie swojego gospodarza.

- Jest jakiś problem? - zapytał.

- Pojawiła się pewna okazja — odparł Luca i wstał. Górował nad Arabem jak wieża.

- To słowo zawsze brzmi niepokojąco w ustach dyplomatów, mój drogi przyjacielu - powiedział sułtan. Luca się uśmiechnął.

— Obawiałem się, że trochę pan przesadził z alkoholem. Ale widzę, że nie zmącił panu umysłu. Okazja przeraża tylko słabych. Niech pan spróbuje dostrzec korzyści w tym, co zaproponuję.

— Proszę mówić, proszę mówić — odrzekł Arab, dopił brandy i wskazał Charnoutonowi wzrokiem, żeby mu dolał. — Nie jestem głupi. Domyślam

się, że zaprosił mnie pan do Paryża nie tylko po to, żeby zawiesić mi na szyi kolejną błyskotkę.

— Jutro rano, punktualnie o dziesiątej, odbędzie się ceremonia odznaczenia pana Legią Honorową, Wasza Ekscelencjo. Natychmiast po tej uroczystości wystąpimy obaj na konferencji prasowej. Będą obecne wszystkie media. Dowiedzą się, że prosi pan Francję o przyście z pomocą pańskiemu narodowi w czasie wielkiego zamętu w pańskim kraju...

— Zamętu? Nie ma żadnego...

— Niech pan mi pozwoli dokończyć. Zamętu, którego sprawcami są członkowie pewnego ekstremistycznego ugrupowania. Przenikają na północ przez granicę z Jemenem. Sieją niepokój i niezgodę wśród pańskich rodaków. Obcokrajowcy chcą obalić pański rząd. A ponieważ pański rząd to pan i tylko pan, potężny sułtan, podejmuje te działania, by chronić swoją suwerenność.

— Jakie działania? — przestraszył się sułtan i spurpurowiał pod jedwabnym turbanem.

— Bardzo mądre i sensowne. Zjawia się pan we Francji i prosi mnie o pomoc. O ochronę. O wysłanie francuskich żołnierzy do stolicy pańskiego kraju. I oczywiście na pola naftowe. Musimy za wszelką cenę zapewnić nieprzerwaną produkcję ropy.

— To jakieś szaleństwo! Nie wezmę w tym udziału! — Sułtan zerwał się z miejsca i zatoczył do tyłu, ale Chamouton w porę go przytrzymał.

— Obawiam się, że nie ma pan wyboru, ekscelencjo. Poznał pan już moją drogą towarzyszkę, madame Li?

— Kogo? - zapytał Arab, łapiąc gwałtownie oddech. Chamouton przyciskał mu z tyłu do czaszki lufę rewolweru.

Z półmroku za biurkiem Napoleona wyłoniła się drobna kobieta o orientalnych rysach. Ciągnęła za sobą długi złocisty tren.

— Bonsoir, messieurs — powiedziała śpiewnie.

— Jest panu lepiej znana jako cesarzowa Józefina, ekscelencjo.

149

— Madame Li? — spytał sułtan. — Kto...

Madame Li, wciąż w sukni balowej i biżuterii Józefiny, przeszła szybko! przez pokój i stanęła przed przerażonym Arabem. Sułtan całkiem zdębiał,! gdy kobieta ściągnęła perukę ozdobioną klejnotami i uśmiechnęła się do niego. Madame Li była bez wątpienia mężczyzną. Smoki wytatuowane na jego łysej czaszce wywołały wyraz grozy w oczach Araba.

— Madame Li — przedstawił się Hu Su i otworzył małą wieczorową torebkę damską ozdobioną cekinami, z którą przyszedł na bal. Wyjął z niej skalpel. Sułtan szarpnął się, ale Chamouton trzymał go mocno.

— Ma pan dwa wyjścia, ekscelencjo - powiedział Luca i przysiadł z cygarem na krawędzi biurka. Najwyraźniej bawił go rozgrywający się dramat. - Pierwsze jest takie, że skorzysta pan z okazji, którą panu daję. Zaprosi pan nasze wojska lądowe i marynarkę wojenną do Omanu. Drugie...

— Z jakiej okazji?! - krzyknął arabski władca.

— Zapewnienia długiego życia w zdrowiu i szczęściu sobie i swojej rodzinie - odrzekł z uśmiechem Luca. - Dla pana nic się nie zmieni. Zupełnie nic. Nadal będzie pan miał swoje pałace, flotę rolls-royce'ów, odrzutowce i jachty.

— Ale ilekroć wyjrzę przez okna mojego pałacu w Maskacie, zobaczę francuskie mundury.

— Oczywiście.

— A co z ropą?

— Mamy na wschodzie bardzo spragnionego klienta, potężny sułtanie. W niezbyt odległej przyszłości będę bogatszy od pana.

— Chińczyków.

— Niech pan myśli, co pan chce.

— A jeśli po prostu ujawnię ten skandal? -Arab wziął się w garść, całkiem wytrzeźwiało. — Wystąpię przed kamerami i powiem, kim pan jest?

Kłamcą! Złodziejem! Niebezpiecznym...

— Wziąłem to pod uwagę. Jest pan starym człowiekiem. Własne życie zapewne niewiele dla pana znaczy. —W głosie Luki brzmiała chłodna ironia.—Ale co z rodziną? Przyjaciółmi?

— O czym pan mówi? Klnę się na AUaha, że jeśli pan ich skrzywdzi...

— To co? Co pan może zrobić, mój drogi sułtanie? Niech pan przez chwilę posłucha. Potem podejmie pan decyzję.

— Niech pan powie temu człowiekowi, żeby mnie puścił. A tej dziwacznej kreaturze, żeby schowała nóż. Wtedy posłucham.

— Dobrze — zgodził się Bonaparte i skinał głową Chamoutonowi i Hu Su. Obaj się cofnęli. — Ma pan u siebie muzeum narodowe, mój drogi przyjacielu. Dawną twierdzę o historycznym znaczeniu. Na wyspie Masira. Zgadza się?

— Fort Mahoud - przytaknął sułtan drżącym głosem. - Była tam kiedyś kwatera główna feldmarszałka Erwina Rommla.

— Otóż to. Teraz jest tam cała pańska rodzina, ekscelencjo. Żony. Dzieci. Wnuki. Część personelu pałacowego z Maskatu. Od chwili pańskiego odlotu z Omanu są pod moją ochroną. Bez obaw. Moi ludzie w Omanie

obronią pańską ukochaną rodzinę przed terrorystami, którzy jej zagrażają. — Ale -w moim kraju nie ma terrorystów — odrzekł sułtan. Stracił całą pewność siebie. — Moi rodacy żyją w zgodzie ze światem. Bonaparte uśmiechnął się do niego jak do dziecka.

— Nikt nie żyje w zgodzie ze światem, Wasza Wysokość. Chyba słyszał pan o rosnącym zagrożeniu ze strony prawicowej chrześcijańskiej milicji spoza stolicy? O jemeńskich siłach nadciągających z południa? Tak, Sułtanat Omanu jest w poważnym niebezpieczeństwie.

— Mój Boże - powiedział sułtan i opuścił głowę. Był głupi. Pycha przytępiła mu instynkt. Dał się oszukać temu człowiekowi. Zaślepiła go perspektywa odznaczenia Legią Honorową. Publicznie bagatelizował ten order, ale od dawna chciał go dostać.

— W tej chwili pan też jest pod moją ochroną - ciągnął z uśmiechem Luca Bonaparte. — Na razie. Natychmiast po pańskim przemówieniu i konferencji prasowej zostanie pan potajemnie przerzucony samolotem do Omanu, żeby dołączyć do rodziny.

— Jako więzień w twierdzy na wyspie.

— Tylko czasowo, zapewniam pana. Kiedy eksport omańskiej ropy zmieni kierunek, ograniczenia nałożone na pana i pańską rodzinę będą znacznie złagodzone.

— Chciałbym usiąść. I może napiłbym się jeszcze brandy.

151

- Proszę bardzo. Należę panu, ekscelencjo — odrzekł Luca i usiadł naprzeciwko swojego nowo nawróconego sojusznika. — Porozmawiajmy teraz o tym, jak skorzystać z okazji. Być może zna pan pewien cytat z Juliusza Cezara Szekspira, jeden z moich ulubionych. Zaczyna się tak: „W

zabiegach ludzkich jest przyływ i odpływ.

Sułtan wpatrzył się w bursztynowy płyn na dnie swojego kieliszka.

Błyszczą mu oczy. Myślał o swojej ukochanej rodzinie. Wszyscy jego bliscy byli teraz zakładnikami tego szaleńca. Podniósł wzrok na Bonapartego.

- „Pora przyływu stosownie schwytna wiedzie do szczęścia, które ona opuszcza...”

- „Ten podróż życia — mówił dalej Bonaparte — po mieliznach z biedd musi odbywać...”

- „Trzeba nam z fali przyjaznej korzystać, inaczej okręt nasz zatonie”* — dokończył Arab.

- Brawo! - pochwalił Luca. - Od jutra trzeba iść z prądem, mój przy-] jacielu! Świat zmienia się na naszych oczach! Czas chwycić falę i płynąć ku szczęściu! Proponuję, żeby poszedł pan teraz na górę i trochę się przespał. Ja wrócę do gości. Powiem im, że był pan zmęczony. Jutro rano, z nowym świecidełkiem na szyi, poinformuje pan świat o swojej mądrej decyzji z Salonu Napoleona w Pałacu Elizejskim. Rozumiemy się?

- Niestety.

- Doskonale! Została jeszcze jedna sprawa. Bardzo ważna.

- O co jeszcze chodzi, na litość boską?

- Wystąpi pan przed kamerami o dziesiątej dwadzieścia. Chcę, żeby potem zaprosił pan premiera Honfleura na spacer. Powie mu pan, że chodzi o rozmowę w cztery oczy, że to bardzo ważne. Niech pan nie pozwoli, żeby odmówił. Zabierze go pan na przechadzkę prywatną drogą na północ od Pałacu Elizejskiego. Jest zamknięta dla ruchu. Znają pan?

- Tak. Byłem tam już z nim na spacerze.

- Zrzuci pan przynętę. Wyzna mu pan, że ma pan do mnie pewne zastrzeżenia. To wystarczy. Złapie się na to. Rozumie pan?

- Tak.

152

— Dokładnie po dwudziestu krokach musi pan znaleźć jakiś pretekst, żeby się od niego oddalić. Pańską uwagę przykuje jakaś rabata kwiatowa.

Przeprosi go pan i szybko odejdzie na bok. Ktoś będzie was obserwował.

— Tym kimś będę ja — odezwał się w półmroku Hu Su ze swojego krzesła.

Rozdział 23

Hawkesmoor

Zegar na obramowaniu kominka wybił jedenastą. Hawke podniósł wzrok znad książki. W szyby wysokich okien naprzeciwko jego fotela bębnił deszcz. W oddali przetaczał się grzmot. Hawke spędzał w domu niedzielną noc. Wszystko było w porządku. Dwa razy sięgał do telefonu i zaczynał wybierać numer Ambrose'a, potem odkładał słuchawkę. Mówił sobie, że niepotrzebnie martwi się o niego. Congreve sypia teraz z pistoletem pod poduszką.

Hawke położył się z książką o dziesiątej. Postanowił odrobić pracę domową. Duży, gruby tom nosił tytuł Chiny. Współczesną historię polityczną tego kraju napisał jakiś Chan. Sądząc po kilku pierwszych rozdziałach, niespokrewniony z Charliem. Hawke zdrzemnął się kwadrans, ale z jakiegoś powodu nie mógł zasnąć na dobre. Zszedł na dół do biblioteki, żeby wziąć coś innego do czytania. Wybrał jedną z ulubionych powieści swojego dzieciństwa, Riddle of the Sands, napisaną w 1903 roku przez Erskine'a Childersa. Opowiadała o żeglarskich wakacjach dwóch

młodych Anglików w Niemczech.

— Przepraszam, że przeszkadzam, milordzie — powiedział nagle od progu Pelham - ale ktoś chce się z panem zobaczyć.

— Ze mną? Nie słyszałem pukania do drzwi.

Jest niedziela, noc. Leje deszcz. Kto się włóczy w taką pogodę?

— Nie podeszła do drzwi. Zastukała w okno spiżarni. Hawke odłożył książkę. Ona?

153

- Pelham, lyknałeś sobie trochę sherry?

Główny lokaj nie zniżył się do odpowiedzi na takie pytanie.

- Mówi, że to pilne, wasza lordowska mość. Wydaje się przygnębiona.

Wpuściłem ją do kuchni. Zepsuł jej się samochód, a ona gdzieś się spieszy. Dałem jej filiżankę herbaty.

- Dobra, stary, powiedz jej, że zaraz przyjdę. Jak widzisz jestem w piżamie.

Skoczę na górę i włożę coś na siebie. Dziwne. Zastukała w okno?

- Owszem.

- Pelham...

-Tak?

- Jak wygląda ta tajemnicza kobieta?

- Jest całkiem ładna, milordzie. Przemokła do suchej nitki. Ma egzotyczną urodę. Orientalną. Bardzo przypomina gwiazdę filmową, którą widziałem ostatniej niedzieli w Bexleyheath Cineworld.

- To jet.

- Słucham?

- Tak ma na imię. Zaraz będę na dole. Możesz ją tu przyprowadzić, do kominka. Poczęstuj ją brandy.

- Tak jest.

Hawke wbiegł po schodach na górę. Ta kobieta śniła mu się po nocach, odkąd wrócił do Anglii z Lazurowego Wybrzeża. W niektórych snach była dobrą dziewczyną, w innych złą. Przypuszczał, że prawda leży gdzieś pośrodku. Dał jej swój telefon biurowy, ale nie zadzwoniła. Myślał, że to koniec znajomości. Najwyraźniej nie. Jakoś go znalazła. Musiała mieć '•, jakąś ważną sprawę, skoro wybrała się tutaj w środku nocy. Zepsuł jej się samochód? Mogła wymyślić coś lepszego.

Ale miał raczej dobre wspomnienia.

Pięć minut później schodził na dół w wytartych dżinsach i czarnym swetrze z rękawami podciągniętymi do łokci.

- Jet - zawołał w połowie schodów. - Już do ciebie idę. Musiałem tylko porozmawiać z kimś w kuchni.

Żadnej odpowiedzi z biblioteki. Drzwi były ledwo uchylone. Ale poczuł zapach gauloise'a i już wiedział, że to ona na niego czeka. Fascynujące. Przeszedł przez hol i skierował się do magazynu zastawy stołowej, gdzie powinien kończyć pracę Pelham.

154

- Pelham, co ci powiedziała?

- Podziękowała mi bardzo uprzejmie za brandy, ale powiedziała, że wolałaby whisky.

- To wszystko?

- Niestety tak. Jak już wspomniałem, wygląda na zdenerwowaną. Może mógłby pan ją odwiedzić na miejsce?

- Nie napomknęła, o co chodzi?

- Nie.

- Trudno. Wejdę na ring bezbronny.

- Jak pan sobie życzy.

- Dobranoc, stary. Idź do siebie i się kładź. Miłych snów. Nie martw się o mnie. Ta dama i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Możemy przesiedzieć pół nocy, rozpamiętując wspólne przygody.

Pelham patrzył przez chwilę na Aleksa. Jak zwykle miał nieprzeniknioną minę. W końcu odszedł.

- Dobranoc, milordzie — odrzekł przez ramię, wchodząc po schodach.

- Śpij dobrze.

Hawke odwrócił się i przeszedł po czarno-białej marmurowej podłodze jadalni do biblioteki. Otworzył drzwi i zobaczył z profilu Jet. Wpatrywała się w ogień. Siedziała na brzegu wielkiej kanapy z jasnoniebieskim obiciem.

Wyglądała tak pięknie, jak ją zapamiętał. Wilgotne włosy zaczesana do tyłu. Ufarbowała się na platynową blondynkę. Była w obcisłych żółtych spodniach i turkusowym topie. Na nagich białych ramionach miała czarny jedwabny szal. Nie była odpowiednio ubrana na tę pogodę, ale taki miała styl.

- Cześć — powitał ją Hawke. — Widzę, że dostałaś drinka.

- Owszem.

W taką noc jak ta można by oczekiwać większej wdzięczności.

- Nie wydajesz się zadowolona z tego, że mnie widzisz. Szkoda, skoro przejechałaś taki kawał drogi. Przepraszam za Cannes.

Starał się zachowywać swobodnie, ale czuł niepokój. Nagle nabrał podejrzeń. Po co tu przyjechała? Może wówczas należało ją zawczasu uprzedzić, że nie będzie mógł spędzić z nią całej nocy w Carltonie? Quick

widział, jak go obserwowwała z balkonu. Może... O cholera! Gdyby palił, wziąłby teraz papierosa. Albo nabił fajkę. Żeby zrobić coś z rękami.

— Przepraszasz? — zapytała apatycznie. — Za co?

— Za to, że tak nagle wyszedłem. Przyjrzała mu się uważnie.

— Że wyszedłeś? W Cannes? Przecież miałeś zadanie do wykonania.

— Właśnie. Cieszę się, że to rozumiesz. Kiedy zobaczyłem cię na balkonie mojego pokoju, pomyślałem, że... Chyba zrobię sobie drinka. Martini będzie w sam raz.

Hawke podszedł do stolika z alkoholami i odkorkował karafkę z wódką. Nalał jej i wrzucił kostki lodu. Zwykle pijał rum, ale teraz miał ochotę na martini.

— Nie jesteś zaskoczony moją wizytą? - zapytała i sięgnęła do torebki. Jej włosy lśniły w blasku ognia.

— Właściwie jestem.

— Nie spodziewałam się, że ktoś mnie tu wpuści. Chciałam cię wywabić na dwór. Przypuszczałam, że wezwiesz policję. Nie jesteś taki sprytny, jak mi dawano do zrozumienia.

— Nie wpuścić cię tutaj? Zostawić kobietę na deszczu w taką noc? Nie jestem bez serca. Dlaczego tu przyjechałaś?

— Pomyślałam, że tak będzie najprościej. Lubię bezpośredni kontakt. Chciałam ci oszczędzić kłopotu szukania mnie.

— Pochlebiasz sobie. Nie szukałem cię. Roześmiała się.

— Nie bądź śmieszny. Wysłałeś moim tropem pół ScotlandYardu.

— Co? Za kogo ty mnie uważasz?

— Przysłał mnie mój ojciec, lordzie Hawke. Chciał, żebym dała ci to.

Hawke był tak oszołomiony widokiem pistoletu z tłumikiem, że omal go nie trafiła. Kiedy stał przez moment jak sparaliżowany, zdążyła strzelić dwa razy. Ze ściany nad jego głową posypały się drzazgi boazerii i tynk. Rzucił się w bok i wylądował na podłodze. Poderwał się i dał nura za niebieską kanapę. Tylko tam mógł się ukryć.

Kobieta odwróciła się, żeby znów w niego wycelować, ale tłumik zaplątał się w jej szal. Zaczęła gwałtownie szarpać pistolet.

Hawke wstał i obszedł kanapę.

— O co właściwie chodzi? — zapytał.

— O Harry'ego Brocka. Chyba go pamiętasz.

— Oszalałaś? Odłóż tę cholerną broń.

— Myślisz, że możecie wchodzić w drogę mojemu ojcu, Hawke? Wy, pieprzeni Angole i Jankesi? — Cofała się za stojące między nimi biurko, żeby zyskać cenne sekundy.

— Twojemu ojcu? A co on ma z tym wspólnego, do cholery?

— Przekroczyłeś Jangcy o jeden raz za dużo.

— Teraz rozumiem.

Hawke chwycił pozłacane krzesło, uniósł je nad głowę i natarł na nią.

— Rzuć broń — rozkazał, ale w tym momencie oswobodziła pistolet i wycelowała mu w twarz. Walnął ją krzesłem w głowę, zobaczył błysk z lufy i poczuł piekący ból w skroni. Złapał kobietę za ramiona, ale się wyrwała. Była cholernie silna. Zdołał ją chwycić za nadgarstek i wygiął jej rękę tak, że broń celowała w bok. Kobieta plunęła na niego i wypowiedziała coś po chińsku. Kopnął ją w dłoń i pistolet poszybował w powietrzu.

Rozchyliła wargi, odsłaniając zaciśnięte zęby, i wydała z siebie okrzyk

bezsilnej wściekłości.

— Puszczę cię, ale obiecaj, że będziesz grzeczną dziewczynką. Bolała go głowa, do oka spływała mu ciepła lepka ciecz o czerwonej barwie. Chwiał się na nogach, ale nie zamierzał jeszcze umierać.

— Wynoś się — powiedział i uniósł rękę do rany, żeby zatamować krwawienie. - Jesteś stuknięta! Wynocha z mojego domu. Schylił się, podniósł jej pistolet i schował do kieszeni. Stali w milczeniu i ciężko dyszeli. Hawke miał zawroty głowy.

— Kazałem ci wyjść — odezwał się. Nagle poczuł, że musi się szybko położyć. Nie mógł tego zrobić, dopóki w domu była Jet. Obawiał się, że jeśli zemdleje, ta wariatka go zabije.— Posłuchaj. Nie zamierzam wzywać policji. Przepraszam za Cannes. Tamtej nocy trochę się spieszyłem. Przykro mi. Mogłem się zachować bardziej elegancko. Proszę cię, idź już. Spojrzała na niego.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz — odrzekła i ruszyła do drzwi. — To ty jesteś stuknięty.

157

— Mylisz mnie z kimś, lordzie Hawke. Z moją siostrą, Jet.

— Ale...

— Nie pozbędziesz się mnie. Moja siostra jest za miękka, więc ojciec • wysłał tu swoją drugą córkę. Bezlitosną.

Ledwo słyszał ostatnie słowa. Przed oczami miał czerwoną mgłę. Po kilku sekundach usłyszał stłumione trzaśnięcie drzwi frontowych. Nie było odgłosu samochodu. Albo przysła z miasta pieszo, albo ktoś czekał na nią na końcu podjazdu.

— Zapomniałaś płaszcz — powiedział Hawke do pustego pokoju.]

Potem upadł na niebieską kanapę i zemdłał.

Hawke odzyskał przytomność przed świtem. Za wysokimi oknami było jeszcze ciemno. W bibliotece wciąż paliły się jasne żarówki w kinkietach. Zdołał wstać i dojść chwiejnie do biurka. Opadł na krzesło; to, które ocalało. Pamiętał jak przez mgłę co się stało, zanim zemdłał. Sięgnął po telefon i wcisnął szybkie wybieranie numeru.

Kiedy czekał, aż zgłosi się Quick, zauważył na swoim swetrze zakrzepłą krew. Była też na dżinsach i mokasynach. Ile krwi jest w ludzkim ciele? Chyba pięć litrów. Nie stracił aż tyle.

— Quick - odezwał się głos.

— To ja, Tommy — powiedział Alex.

— Witam, szefie. Co u pana?

— Jestem zalany krwią, ale żyję. Stokely jeszcze jest na pokładzie?

— Tak, ale już się położył.

— Przełącz mnie do jego kajuty.

— Już się robi. Niech pan na siebie uważa, szefie.

Stoke, niech go Bóg błogosławi, odebrał po pierwszym sygnale.

— Cześć, szefie.

— Słuchaj uważnie, Stoke. Mówiłeś, że na jachcie von Draxisa poznałeś Jet.

— Zgadza się.

— Była ranna. Zabrałeś ją na „Blackhawke'a" i umieściłeś w izbie chorych.

— Tak.

— Dowiedziałeś się czegoś od von Draxisa?

— Tylko tego, że chce mojej śmierci.

- Kiedy Jet zeszła na ląd? Poleciała do Nicei?
- Ona nie zeszła na ląd.
- Nie?
- Nie, szefie.
- I nie poleciała do Londynu.
- Na pewno nie.
- Gdzie teraz jest?
- Chyba w swojej kajucie. Nie wychodzi stamtąd od dwóch dni, odkąd pani doktor wypuściła ją z izby chorych.
- I w tej chwili jest u siebie? Na pokładzie „Blackhawke'a”?
- Tak jak powiedziałem. Co z tobą, szefie?
- Kiedy ostatni raz ją widziałeś?
- Nie pamiętam. Chyba około dziesiątej, może jedenastej. W drodze tutaj zjrzałem do niej, żeby jej życzyć dobrej nocy.
- I była w łóżku?
- Leżała z książką. Chcesz znać tytuł?
- Spójrz na zegarek, Stoke.
- Dobra. Patrzę...
- Zapamiętaj ten moment. Możesz wszystkim powiedzieć, że dokładnie o tej porze Alex Hawke stracił rozum.

Rozdział 24

Paryż

Następnego dnia rano madame Li wyszła zgrabnym krokiem przed hotel George Y, uśmiechając się do portierów w purpurowych uniformach. Cieszyła się już reputacją gościa, który daje duże napiwki, więc wszędzie, gdzie się pojawiła, kłaniano jej się i zabiegano o jej względy. Była w

czarnym kostiumie Chanel, w ręce trzymała parasolkę zrobioną na
159

zamówienie. Na głowie miała czarny jedwabny kapelusz z szerokim rondem i woalką, na ramieniu nową jasnoczerwoną torebkę Kelly. W sklepie powiedziano jej, że to największa, jakie są w sprzedaży, i na pewno zmieści się w niej wszystko, co będzie madame niezbędne.

Faktycznie. Ale jakież to było ciężkie! Współczesne życie stało się takie skomplikowane. Przybory, bez których nie można się teraz obejść, ważyły prawie cztery i pół kilograma!

Drobna chińska delegatka doszła do rue du Faubourg Saint-Honore.

Madame Li mijiała szybko eleganckie salony mody i sklepy jubilerskie. Po drugiej stronie ulicy były kolorowe wystawy Christiana Lacroix, a dalej ultranowoczesne sklepy Yves St. Laurenta, Valentina i... Nieważne. To nie czas na zakupy. Jest kobietą, która ma zadanie do wykonania.

Na rue du Faubourg Saint-Honore pod numerem 76 mieścił się paryski oddział Sotheby's. Bastion elegancji i stylu starego świata. Dom aukcyjny dla królów. I dla niejednej starej królowej, takiej jak ona. Zatrzymała się na chwilę i spojrzała w górę na fasadę budynku, a potem na gmach po drugiej stronie wąskiej ulicy. Uśmiechnęła się. Robiła rozpoznanie w terenie. Dokładnie naprzeciwko Sotheby's było główne wejście do Pałacu Elizejskiego, siedziby rządu francuskiego.

Madame Li nie zaskoczył ożywiony ruch przy wjeździe. Za -wielką czarną żelazną bramą rozciągał się rozległy brukowany dziedziniec. Stały tam czarne limuzyny rządowe, wiele innych samochodów służbowych parkowało na zewnątrz w oczekiwaniu na pasażerów. Wszędzie kręciła się ochrona pałacu i policja. Funkcjonariusze sprawdzali dowody tożsamości i

pojazdy. Używali psów do wykrywania materiałów wybuchowych. Przy krawężniku stały wozy telewizyjne France 2, CNN i Fox News. W pałacu trwała konferencja prasowa. Na jej temat krążyły różne plotki.

Sułtan Omanu miał zaszokować świat dokładnie za dwadzieścia sześć minut. Tuż po otrzymaniu prestiżowej Legii Honorowej zamierzał oznajmić, że zaprasza wojska francuskie do stolicy swojego kraju, Maskatu, by stłumiły powstanie przeciwko jego rządowi, wspierane przez Ludowo--Demokratyczną Republikę Jemenu. Następnie premier Honfleur miał oświadczyć, iż Francja jest dumna, że może przyjść z pomocą swojemu staremu, bardzo cenionemu przyjacielowi.

Madame Li zerknęła na zegarek. Prawie dziesiąta. Sułtan pewnie już idzie w kierunku podium. Li przekroczyła próg siedziby Sotheby's i podeszła wolno do recepcji. Byli tam dwaj czy trzej pracownicy. Wybrała tego, który wydawał się najbardziej gorliwy. Atrakcyjny chłopiec, bardzo dobrze ubrany, rozkładał katalogi przed zbliżającą się licytacją. Madame Li "wzięła wczoraj jeden.

— Czym mogę służyć, madame? — zapytał recepcjonista, gdy Li położyła małe dłonie w rękawiczkach na szklanym kontuarze.

— Interesuje mnie zakup kilku rzeczy — odrzekła Li z lekkim uśmiechem.
- Zanim trafią na dzisiejszą licytację.

— Mais oui, mais oui. Co konkretnie panią interesuje, madame?

— Kolekcja Marii Callas.

— Callas! Co za głos, co za cudowna kobieta! Jej Rigoletto nie ma sobie równych. Wie pani, że zmarła tutaj, w Paryżu, w 1977 roku? Onasis, ten Grek, złamał jej serce, kiedy się ożenił z panią Kennedy. Rozumiem, że widziała pani nasz piękny katalog? Wspaniała biżuteria.

— Owszem.

— Które przedmioty chciałaby pani kupić?

— Wszystkie. *

— Wszystkie? - Chłopiec, Louis Jourdan, starał się ukryć zaskoczenie.

-Całą kolekcję?

—Tak.

— Rozumiem. W takim razie, pozwoli pani, że zadzwonię na górę do naszego dyrektora, monsieur Huberta Vedrine'a. Zechciałaby pani na chwilę usiąść? Monsieur Yedrine na pewno zaraz zejdzie.- Chłopcu drżała ręka, gdy podnosił słuchawkę telefonu.

— Doskonale — odparła madame Li i odwróciła się do okna, nucąc kilka taktów z Gigi. Tak dobrze naśladowała głos Maurice'a Chevaliera, że wprowadziło to w osłupienie nawet apatycznego windziarza w GeorgeY

— Pani nazwisko, s'ii vous plait? — odezwał się chłopiec.

— Madame Li.

— Z chińskiej delegacji? Przyjechała pani na popołudniową konferencję na temat Bliskiego Wschodu? - Skinął dyskretnie głową w kierunku Pałacu Elizejskiego po drugiej stronie ulicy.

— Mais oui, monsieur. Sprytny chłopiec! Jak pan zgadł? 161

Dziesięć minut później madame Li w towarzystwie dyrektora Sotheby s wjechała na trzecie piętro prywatną windą usytuowaną za recepcją i usiadła naprzeciwko Francuza po drugiej stronie jego pięknego biurka z okresu Dyktoriatu Podobnie jak Li, monsieurVedne był drobny i elegancko ubrany — biała koszula, dobrze dobrany krawat i trzyczęściowy granatowy garnitur Francuz miał cienki wąsik i łagodne zielone oczy pod grubymi powiekami. Ich kolana niemal się stykały pod biurkiem i od czasu

do czasu madame Li czuła delikatny nacisk na prawą nogę Dyrektor wyraźnie ją podrywał Mężczyźni to prawdziwe zwierzęta Yedne zamknął nawet drzwi na klucz.

Obok jego prawej ręki stał stos płaskich szuflad ze wspaniałą biżuterią. Francuz wyjmował ostrożnie klejnoty i kładł na czarnej poduszce przed Li, oświetlonej jasną lampą halogenową Madame Li oglądała uważnie bransoletę z rubinami i diamentami.

— Jej ulubiona - powiedział Hubert - Callas miała dobry gust.

— I gruby portfel, dopóki nie pojawiła się Jackie. Ile to kosztuje, Hubert?

Madame Li była ubawiona prośbą dyrektora, żeby mówić mu po imieniu

— Wyceniłbym to na sto tysięcy dolarów. Klipsy z rubinami i diamentami, wykonane przez Cartiera, należały kiedyś do księżnej Windsoru i .. Li spojrzała na zegarek

— Biorę to.

— Co?

— Wszystko. Po cenie przedaukcyjnej

— Parfaitement, madame!

— Przyjmiesz czek? - zapytała Li i schyliła się po torebkę przy swoich stopach.

— Oczywiście. Zadzwoń tylko do pani banku, madame, żeby uzyskać potwierdzenie stanu konta A potem będziemy mogli to uczcić.

Zamiast torebki, Li wzięła parasolkę. Wciąż ukryta za biurkiem, ściągnęła szybko z ostrego szpica plastikowy ochraniacz Widziała Huberta od pasa w dół Dyrektor miał rozchylone kolana. Jego małe stopy w lśniących półbutach podrygiwały z podniecenia, że za chwilę sprzeda całą kolekcję Marii Callas.

Li wbiła mu parasolkę głęboko w pachwinę. Stalowy szpic z trucizną dotarł do tętnicy Dawka była dziesięciokrotnie silniejsza niż ta, której użyto do zamachu na życie lidera ukraińskiej opozycji, Jewczenki, jesienią 2004 roku. Wspólny eksperyment Te-Wu i ukraińskiej tajnej policji się nie powiódł. Jewczenko przeżył. Biedny Hubert nie miał szans

Osunął się na krzesło i wypuścił głośno powietrze Li okrążyła szybko biurko i zasłoniła mu dłonią usta. Patrzyła na sekundnik swojego nowego zegarka i czekała, aż zadziała trucizna. Przy tak niespodziewanym i brutalnym ataku ofiary rzadko hałasują. Gdy Hubert zwiotczał, madame Li wróciła prędko do swojej torebki

Wyjęła i szybko złożyła karabin. Zrobiła to z wielką przyjemnością. Matowoczarny austriacki Steyr Scout Tactical kaliber 7,62 mm miał lekką polimerową kolbę i zasięg do czterystu pięćdziesięciu metrów. Był wyposażony w lunetę o zaledwie dwuipółkrotnym powiększeniu, ale nadawał się doskonale do szybkiego likwidowania celów z małej i średniej odległości. Idealna zabawka na tę okazję Wybrana starannie przez fachowców.

Madame Li upewniła się, czy Hubert jest martwy i podeszła do staromodnego, przesuwanego do góry okna Zauważyła wcześniej, że na parapecie leży książka. Służyła najwyraźniej do podpierania okna, kiedy Hubertowi było za gorąco. Teraz jego ciało szybko traciło ciepło, ale madame Li zamierzała stąd zniknąć na długo przed tym, zanim zwłoki ostygną. Staranny plan ucieczki zakładał zniszczenie windy. Służbowa klatka schodowa prowadziła do drzwi, które wychodziły na zaułek za budynkiem. Wybuch przygotowanej wcześniej bomby miał wywołać zamieszanie, które umożliwi madame Li dotarcie do pobliskich sklepów,

zanim ktokolwiek dostanie się na trzecie piętro.

Madame Li podniosła okno metr nad parapetem. Pozostało w tej pozycji.

Prywatna droga wzdłuż pałacu była pusta. U jej wylotu, na rue du Faubourg Saint-Honore, stał kordon umundurowanych policjantów.

Koniec ulicy, biegnącej w kierunku Pól Elizejskich, niknął wśród drzew pałacowych ogrodów. Kiedy niedawno Luca Bonaparte kupował jakąś błyskotkę dla swojej obecnej kochanki, stał w tym samym oknie i widział królową Elżbietę na spacerze z jej spanielami. Bez żadnej ochrony. To mu podsunęło bardzo dobry pomysł.

Madame Li wyjęła ze swojej czerwonej torebki telefon komórkowy i włączyła go.

O dziesiątej trzydzieści w bocznych drzwiach pałacu pojawili się dwaj mężczyźni. Jeden był wielki i jowialny, drugi przygarbiony i niespokojny. Przystanęli, pozdrawiając policjantów i tłumek gapiów. Nawet bez lunety madame Li widziała, że sułtan Omanu ma przerażoną minę. Francuski premier wyglądał na pewnego siebie. Wysoki, szczupły Honfleur górował nad szejkiem jak wieża. Położył lewą rękę na ramieniu Araba i skierował go w pustą ulicę.

Półowa policjantów nie spuszczała ich z oka. Pozostali obserwowali uważnie prywatną drogę. Od czasu do czasu podnosili wzrok na budynki naprzeciwko. Madame Li trzymała się w takiej odległości od okna, żeby jej nie zobaczyli. Ze swojego punktu obserwacyjnego widziała ciężarówkę z lodami. Toczyła się wolno ulicą przy dźwiękach kuranta. Zatrzymała się dokładnie pod oknem dyrektora. Kierowca wysiadł i zniknął w dumie.

Nadszedł czas.

Madame Li wybrała numer, który wprowadził do telefonu Bonaparte.

Jeden siedem osiem dziewięć. Zanim wcisnęła zielony przycisk „Send”, zrozumiała nagle znaczenie liczby tysiąc siedemset osiemdziesiąt dziewięć. Oczywiście! Rok wybuchu rewolucji francuskiej. Uśmiechnęła się i wysłała sygnał.

— Bum — powiedziała cicho i najbliższą okolicą zatrzęsa eksplozja.

W siedzibie Sotheby's zadrżały ściany. Na parterze wypadły szyby.

Wszyscy w recepcji prawdopodobnie zginęli. Madame Li uniosła karabin i podeszła do okna. Na ulicy w dole panował chaos. Z pogiętego, osmalonego wraka ciężarówki z lodami buchały płomienie i gęsty czarny dym. Na górę docierał swąd płonącego paliwa, plastiku i inne, jeszcze bardziej nieprzyjemne zapachy. Gapie i policjanci leżeli na ziemi, ranni lub martwi. Ale madame Li przyciskała prawe oko do gumowego okularu lunety i patrzyła tylko na Honfleura.

Premier stał nieruchomo jak posąg. Na twarzy miał wyraz paniki. Sułtan zapewne wyczuł, co się dzieje, bo dał nura na chodnik.

Madame Li ściągnęła spust karabinu. Pocisk niemalże urwał Honfleurowi głowę. Rozpoczął się okres, który część francuskich historyków nazwie później Drugim Terrorem.

Rozdział 25

Hampstead Heath

May Purvis wyszła do ogrodu. - Pewien dżentelmen chce z panem rozmawiać - oznajmiła.

Był wczesny poranek po zamachu na życie Hawke'a. Ambrose siedział na dworze w jasnym słońcu. Malował obraz, jabłoń na tle okna kuchennego. Drzewo teraz nie kwitło, ale Ambrose dodawał mu białe i różowe kwiaty. Jego artystyczna filozofia była prosta: przedstawiaj rzeczy tak jak powinny

wyglądać.

To nie jest rzeczywistość, ale w sztuce ważne jest to, co uważamy za rzeczywistość. Nie należy pozwolić, żeby rzeczywistość przeszkodziła w stworzeniu dobrego obrazu. Albo dobrej powieści.

Podobnie jak jego bohater Winston Churchill, Ambrose Congreve podczas malowania zapominał o wszelkich ziemskich troskach. Wpadał w trans. Dlatego nie usłyszał dzwonka przy drzwiach frontowych.

— Kto to taki, pani Purvis? - zapytał, starając się ukryć irytację na intruza. Jego gospodyni wkładała do kosza jabłka na napój chłodzący, który podawała mu do puddingu. Ta prosta czynność go inspirowała.

Miał natchnienie i żaden gość nie był teraz mile widziany. Nie spodziewał się nikogo tak wcześnie w niedzielę. O tej porze cywilizowani ludzie nie składają niezapowiedzianych wizyt. Tak się po prostu nie robi. To nie...

— Jego lordowska mość lord Hawke.

— Ach tak! - Alex to co innego. Ambrose chciał jak najszybciej pochwalić mu się swoimi nowymi odkryciami. - Mogłaby go pani przyprowadzić do ogrodu? Proszę zapytać, czy napije się herbaty. A może kawy.

— Ale on jest...

— Niech mu pani zaproponuje jajka. Albo lepiej cytrynę.

— Cytrynę?

— On jada cytryny.

— Lord Hawke czeka przy telefonie!

— Boże! Dlaczego pani od razu tego nie powiedziała?

165

Pani Purvis pokręciła głową i wróciła do kuchni. Ambrose, pomrukując, okrążył narożnik domu i wszedł z różanego ogrodu do swojego gabinetu.

Chwycił fajkę, opadł na zniszczony skórzany fotel i podniósł słuchawkę.

- Cześć, Alex - odezwał się do telefonu.

- Witaj, Ambrose. Co masz na lunch?

- Maluję.

- Zostaw to. Musimy się spotkać. O pierwszej w Harry's.

- Sądząc po głosie, jesteś zestresowany.

- W nocy ktoś próbował mnie zabić. Na szczęście żyję. Opowiem ci przy spaghetti. Wrócił Kelly. Chce się z nami zobaczyć. To pilne.

- Z nami?

- Głównie z tobą. Przeczytałeś akta Paris Deuxieme, które ci dałem?

- Tak.

- I co ci podpowiada twoja żelazna logika i nadprzyrodzona moc dedukcji?

- Tam się roi od sprzeczności. Brakuje stron. Usunięto fragmenty tekstu.

Wiele jest spraw niewyjaśnionych. Chyba powinienem przyjechać do miasta.

- Doskonale. Do zobaczenia o pierwszej.

- Zaczekaj! Kto próbował cię zabić? Nie zostawiaj mnie w niewiedzy aż do...

- A tout a l'heure, mon ami — odrzekł Hawke i się wyłączył.

Harrys Bar jest jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic Londynu. To prywatny klub bez nazwy na drzwiach. Dżentelmen w czarnym krawacie poprowadził Congreve'a do cichego stolika na końcu frontowej sali. Na bladożółtych ścianach wisiały oprawione karykatury ze starych roczników magazynu „The New Yorker”. Wyglądało to dziwnie, ale tworzyło wesołą, przytulną atmosferę. Congreve zobaczył z daleka Aleksa i Kelly'ego pograżonych w rozmowie. Był pewien, że Kelly zarezerwował również

sąsiednie stoliki i jeśli ktoś je zajmie, będą to uzbrojeni amerykańscy agenci rządowi.

- Ambrose! - powitał go Kelly. Wstał i uścisnął mu dłoń. - Właśnie rozmawialiśmy o tobie.

166

Pod spokojnym zachowaniem i eleganckimi, nieco staroświeckimi manierami wysokiego szczupłego mężczyzny kryła się twarda stal, ale Ambrose wiedział, że „Cegła” Kelly nigdy by się z tym nie zdradził.

— Cześć, Cegła — odrzekł Ambrose. — Przed chwilą usłyszałem w radiu o zabójstwie premiera Francji, Honfleura. Zginął kolejny członek francuskiego rządu. Mówią o tym we wszystkich wiadomościach.

— Tak, robi się bardzo niebezpiecznie. Świat jest zaszokowany. Ta sytuacja może łatwo doprowadzić do wojny. W każdym razie cieszę się, że przyszedłeś. Porozmawiamy o tym przy lunchu. Możesz być bardzo pomocny w tej sprawie, Ambrose.

— Witaj, konstablu Congreve — powiedział z uśmiechem Hawke i uścisnął mu dłoń. — Jak się dziś spisywała na drogach twoja ukochana Cytrynowa Podróżniczka?

— Cytrynowa Podróżniczka?

— Twój nowy samochód.

— Dobrze wiesz, Alex, że nazwałem go Żółte Niebezpieczeństwo.

Spisywał się doskonale. Wspaniała maszyna. Co ci się stało w głowę?

Kierownik sali odsunął wolne krzesło i Congreve usiadł. Hawke z obandażowaną głową wyglądał jak pirat. Brakowało mu tylko przepaski na oku.

— Właśnie mówiłem Cegle, że to niesamowite — powiedział Hawke. —

Chciała mnie sprzątnąć moja znajoma. Trafiła mnie w skroń. Rana jest powierzchowna, ale ścięło mnie z nóg. Lekarz powiedział, że będę miał ładną bliznę. Ta cholerna kobieta dostała się podstępem do mojego domu. Omal mnie nie załatwiła.

— Spudłowała — wyjaśnił Congreve'owi Kelly. — Próbuję się dowiedzieć, dlaczego.

— Bo zaatakowałem pierwszy. Walnąłem ją krzesłem, ale zdążyła strzelić. A potem uciekła, zanim zdążyłem wezwać policję. — Niezupełnie tak było; odebrał jej pistolet i ją wyrzucił. Nie mógł sobie przypomnieć, czy zadzwonił na posterunek. Na pewno zamierzał to zrobić. Nie chciał wyjść na mięczaka w tym towarzystwie.

— Uderzyłeś kobietę krzesłem? - zapytał Ambrose.

— Owszem — przytaknął Hawke. — I jestem z tego dumny.

— To twoja dawna miłość? — spytał Cegła. — Nachodzi cię?

167

— Na razie uważam ją po prostu za wariatkę. Nawiasem mówiąc, konstablu, to Chinka. Obaj jesteście na celownikach pań z Dalekiego Wschodu.

— Czy ten zbieg okoliczności nie daje ci do myślenia, Alex? - zapytał Ambrose. Wypił łyk wody i otworzył menu. Umierał z głodu.

— Owszem — przyznał Hawke. — Uważasz, że to nie przypadek?

— Wątpię. Może to siostry? Bliźniaczki?

— Siostry? To jest myśl. Chyba coś sobie przypominam... Nieważne. Diabelskie bliźniaczki. Jedna próbuje zabić ciebie, druga mnie. Bądź ostrożny, Alex. Mam złe przeczucia. Uważam, że wszyscy cierpimy z powodu chińskiego syndromu.

— Właśnie o tym rozmawialiśmy z Cegłą — odrzekł Hawke. — Na pewno zainteresuje cię jego opinia o naszych tajemniczych chińskich przyjaciółach.

— Chętnie posłucham — odpowiedział Congreve. — Jak tylko zamówimy coś do picia.

Kelly przywołał jednego z czekających kelnerów i zamówili drinki.

Ambrose bardzo dyskretnie poprosił o krwawą mary. Bez selera, oliwek i innych dodatków, żeby się nie zdradzić, że to wódka. Nie obchodziło go, że cały świat przestał pić przy lunchu. Nie musiał naśladować innych.

Ambrose Congreve dawno temu postanowił trzymać się swoich zwyczajów.

Kelly złączył końce palców, popatrzył na swoich towarzyszy bystrymi niebieskimi oczami i zaczął mówić.

— Pozwólcie, że wam opowiem, co się dzieje na naszym małym globie. Muszę ze smutkiem stwierdzić, że sytuacja szybko się pogarsza. Pozycja Ameryki jest poważnie zagrożona. Chiny, pod osłoną nowego francuskiego reżimu, zamierzają pozbawić Stany Zjednoczone najcenniejszego surowca. To może nas łatwo doprowadzić...

— Do wojny? — zapytał Congreve. Kelly ponuro przytaknął.

— Jeśli nie wykazemy się dużym sprytem, na pewno może do tego dojść.

— Zaczniemy od Francji - zaproponował Hawke. - Oprócz wiadomości o ostatnim zabójstwie politycznym, słyszałem dziś rano w telewizji, że Francja rozważa wysłanie dużych sił wojskowych do Omanu. Na zapro-

168

szenie sułtana, który, nawiasem mówiąc, zapadł się pod ziemię natychmiast po tym oświadczeniu.

— Co?! — odezwał się Ambrose. — To mi wygląda na inwazję.

— Nie można mówić o inwazji, kiedy jakiś kraj zaprasza cię do siebie — odparł Kelly. — Ale ja tego nie kupuję. Prezydent też nie. Uważam, że ten szaleniec Bonaparte przystawił sułtanowi pistolet do głowy. Oczywiście nie mogę tego udowodnić. I to jest zadanie dla was obu.

— Ci cholerni Francuzi chyba już całkiem stracili rozum — powiedział Ambrose. — To skandal!

Kelly patrzył na niego przez dłuższą chwilę z łagodnym wyrazem w oczach.

— Stosunki amerykańsko-francuskie od dawna są skomplikowane — odrzekł dyplomatycznie, zniżając głos. — Sekretarz stanu porównuje to do dwustu lat wizyt w poradni małżeńskiej.

— Nic z tego nie wychodzi — zauważył Hawke. — Lepiej wezwać Raoula Feldera.

— Kogo? - zapytał Ambrose.

— Słynnego amerykańskiego adwokata od rozwodów — wyjaśnił Hawke, uśmiechając się do Kelly'ego.

— Wszystko w swoim czasie, Alex — powiedział Kelly. — Bonaparte ukrył sułtana i jego rodzinę. Musimy go znaleźć i wyciągnąć z niego prawdę. Rozwiązać tę zagadkę przed francuską inwazją. Uratować ich przed nimi samymi, jeśli zdołamy.

— Chcesz, żebym ustalił, gdzie jest sułtan?

— Właśnie. Uważamy, że Bonaparte gdzieś go uwięził. W jakimś odludnym miejscu. Musisz do niego dotrzeć i dowiedzieć się prawdy. Ameryka ma teraz pełne ręce roboty w Zatoce. Z Iranem, Irakiem i Syrią. Nie możemy się angażować w tę sprawę, więc nie będziesz mógł...

— Znam zasady. Kelly skinął głową.

— Wiecie o katastrofie naszego okrętu podwodnego? Hawke nagle spoważniał.

— Co się stało?

— Wczoraj wieczorem u wybrzeży SriLanki zatonął USS „Jimmy Carter”. Jeden z naszych bojowych okrętów podwodnych klasy Seawolf.

169

Najlepiej uzbrojona jednostka, jaką kiedykolwiek zbudowano. Nasz najnowszy okręt szpiegowski do operacji specjalnych. Był platformą testową dla zupełnie nowej techniki szpiegowskiej. Mógł się podłączać do podmorskich kabli telekomunikacyjnych i podsłuchiwać rozmowy.

— I co...? - zapytał Hawke.

— Poszedł na dno z całą załogą.

— Boże! — powiedział Congreve. — Wypadek?

— Jeszcze nie wiemy. Odebraliśmy kilka zniekształconych transmisji, a potem straciliśmy z nim kontakt radiowy i sonarowy. Ale tuż przed zniknięciem był tropiony przez Agostę-B, francuski okręt podwodny nowej generacji, który Francja próbuje sprzedać Pakistanowi.

— Więc co tam się działo? - spytał Alex.

— Typowa zabawa w kotka i myszkę. To się ciągle zdarza. Nie użyto broni. I trzeba zaznaczyć, że Francuzi pomagali przy poszukiwaniach. Możliwe, że to był tragiczny wypadek. Ale sytuacja jest napięta.

Kelner podał drinki i Kelly na chwilę zamilkł. Congreve wypił łyk koktajlu i uniósł szklanę.

— Biedne chłopaki. Współczuję ich matkom. Muszę powiedzieć, że zdumiewa mnie tupet tych cholernych Francuzów. Ciskają się jak super-

mocarstwo, ostrzelali Aleksa... Ktoś powinien im zdrowo dołożyć.

— Zgłaszam się na ochotnika — powiedział Hawke bez uśmiechu.

— Masz to już załatwione, Alex - odrzekł Kelly- Na dobry początek znajdź sułtana i wydobądź z niego prawdę. — Urwał na chwilę. Patrzył na nich, zbierając myśli. — Trafiłeś w sedno, Ambrose. Trzeba potrząsnąć Francją, żeby się ocknęła. I to szybko. Ale nie możemy im dołożyć, jak to określiłeś, bez narażania całego świata na niebezpieczeństwo.

— Dlaczego? — zapytał Congreve.

— To bardzo proste. Odpowiem ci jednym słowem: Chiny.

— Zastanawiałem się nad tym - wtrącił się Hawke.

— Mów — zachęcił go gestem Kelly.

— Francuzi wystąpili z UE, bo mieli dosyć tego, że zalicza się ich do starej Europy. Przez dziesiątki lat przeżywali psychiczne tortury z powodu swojej politycznej impotencji, więc teraz wykorzystują Chińczyków do odzyskania utraconej pozycji. Potrzebują wsparcia potęgi nuklearnej i ekonomicznej. To tyle. Przynajmniej ja tak to widzę.

170

Kelly skinął głową.

— Owszem. Pięćdziesięcioletni okres dominacji Amerykanów i Rosjan był wyjątkowo trudny dla Francuzów. Ale obecne stosunki francusko-chińskie są bardziej skomplikowane. Obie strony są sobie potrzebne, Alex. Ale to Chiny siedzą za kierownicą. Chiny są w natarciu i wykorzystują Francję do wspierania swoich globalnych interesów.

— To proste — odezwał się Congreve. — Chiny chcą ropy, a Francja chce być potęgą.

— Zgadza się, Ambrose — przytaknął Kelly. — I jeśli osiągną cel,

Ameryka będzie musiała prowadzić wojnę w obronie swoich żywotnych interesów w Zatoce.

— Francja jedzie na tygrysie — zauważył Hawke. — A tygrysy gryzą.

— Owszem, choć Francja może być nieświadomym pionkiem w tej grze.

Chiny mogą ją poświęcić przy pierwszej okazji. Ale na razie, jak powiedziałaś, Alex, Francja ma dosyć siedzenia na ławce rezerwowych. Widzi swoje miejsce w blasku reflektorów.

— A Chiny wolą pozostać w cieniu — dodał Hawke.

— Właśnie. W Paryżu toczy się teraz zażarta walka o władzę. Dwa dni temu dokonano zamachu na Bonapartego, wczoraj zginął z rąk nieznanego sprawcy premier Francji. Uważam, że trop prowadzi do Pekinu. Do Zakazanego Miasta. Że za tym wszystkim stoją przywódcy Komunistycznej Partii Chin. I najpotężniejszy człowiek w Hongkongu, generał Sun-jat Moon.

Congreve był zaskoczony.

— Honfleura zlikwidowała KPCh? Dlaczego, na Boga?

— Żeby utorować drogę na szczyt swojemu enfant terrible, Bonapartemu.

— Znasz szczegóły? - zapytał Hawke.

— Na razie nie możemy niczego udowodnić — zastrzegł Kelly. — Ale uważamy, że chińska agentka, pracująca dla Moona, zabiła dyrektora Sotheby's w jego gabinecie z widokiem na Pałac Elizejski. Potem zastrzeliła Honfleura przez okno z karabinu snajperskiego. Sułtan Omanu szczęśliwie nie ucierpiał podczas zamachu.

— To była kobieta?

171

— Tak. Miała chiński paszport dyplomatyczny. Wymknęła się w

zamieszaniu.

Hawke spojrzał na Congreve'a.

— Cholera! Wygląda na to, że roi się u nas od chińskich zabójczyń. Cegła, masz jakiegoś świadka, który mógłby ją zidentyfikować?

— Tak. Jeden recepcjonista z paryskiego oddziału Sotheby's przeżył eksplozję bomby, która wybuchła na ulicy kilka sekund przed zamachem na Honfleura. Podał nam szczegółowy rysopis tej Chinki. Po siedemdziesiątce, dobrze ubrana. Miała na sobie francuską kreację i kupowała bardzo drogą biżuterię. Dyrektor zaprosił ją na górę do swojego gabinetu. Zabiła go tam jakimś ostrym zatrutym narzędziem. Cios w pachwinę.

Congreve się skrzywił.

- Pięknie. Nie miała przypadkiem parasolki?

— Owszem — odrzekł z uśmiechem Kelly. Hawke poklepał Ambrose'a po ramieniu.

- Broń masowej dedukcji. Congreve sięgnął po drinka.

- Jesteś zbyt uprzejmy. Hawke potarł podbródek.

- Gdzie był Luca Bonaparte w czasie tej jatki?

— Masz na myśli nowego premiera Francji? Siedział w swoim gabinecie w Pałacu Elizejskim, gdzie zorganizował konferencję prasową. Mówił o rychłym wkroczeniu Francuzów do Omanu.

— Pewnie prasa francuska jest na niego wściekła? — zapytał z krzywym uśmiechem Congreve.

- Żartujesz? Jest w ekstazie. W „Paris Soir” pojawił się nagłówek: „Francja maszeruje!” Jako inwazję postrzega to reszta świata. Francuzi twierdzą, że zostali zaproszeni przez sułtana. Żeby stłumić powstanie radykałów. Moi

ludzie uważają, że Bonaparte przycisnął sułtana. Zagroził fizycznie jemu lub jego rodzinie, albo użył szantażu. Tylko tak mogło do tego dojść.

— Znajdę go — zapewnił Hawke.

- Liczę na to. Ale tym razem będziesz działał całkowicie nieoficjalnie.

Jako NOC. Jak powiedziałem, Stany Zjednoczone nie mogą teraz otwarcie wtrącać się do spraw Francuzów czy Arabów.

172

— NOC? - zapytał Ambrose.

— „Not on Consular” — wyjaśnił mu Hawke. — Żadnych śladów w jakichkolwiek dokumentach. Co oznacza, że jeśli mnie złapią, nie będziesz musiał zawracać sobie głowy moim pogrzebem.

— Ach tak.

— Od reelekcji prezydenta — ciągnął Kelly — administracja trzyma wszystko w tajemnicy przed naszymi europejskimi sojusznikami. Mamy nadzieję załatwić to po cichu.

— Ale ja mogę działać - powiedział Hawke.

— Ty na pewno możesz. W końcu jesteś Brytyjczykiem, stary. Wy i Francuzi psujecie sobie krew od trzystu czy czterystu lat. Załatw to tak, żebyś był zadowolony.

— Ja też uwielbiam takie akcje — wyznał Ambrose. — Jestem do tego stworzony. Kelly się uśmiechnął.

— Znajdzie się i dla ciebie praca, nadinspektorze. Bonaparte jest z pozoru nie do ugryzienia. Uchodzi za zbawiciela Francji. Ma rozum, urok i charyzmę Napoleona. Ale nie jest czysty. Uważam, że Luca Bonaparte wymusił na Omanie zgodę na inwazję. Chiny potrzebują ropy, a ropa to pieniądze. Wielkie pieniądze. Bonaparte wszystkich zna. Był w końcu

ministrem handlu zagranicznego. Poza tym krążą plotki, że zamordował własnego ojca, kiedy miał piętnaście lat. Badamy obie te sprawy. Jeśli dopisze nam szczęście, będziemy mieli szansę wykończyć go bez jednego strzału.

— Macie jakiś nowy dowód w sprawie tego zabójstwa? — zapytał Ambrose.

— Jeszcze nie. Czytałeś akta. To morderstwo popełniono ponad trzydzieści lat temu. W rejestrach Paris Deuxieme wciąż figuruje jako niewy-jaśnione. Wydaje się prawdopodobne, że Luca w młodości wykonywał na Korsyce wyroki śmierci dla Union Corse. Podejrzewamy, że sprawdził się jako cyngiel, kiedy na zlecenie zabił swojego ojca. I że była w to zamieszana amerykańska mafia, która wtedy walczyła z Union Corse.

— Chyba rozumiem, do czego zmierzasz. Jeśli zdołacie to udowodnić, może uda wam się załatwić go szybko i bez zbytej międzynarodowej wrzawy — odrzekł Ambrose. — Ludzie niełatwo wybaczą ojcobójstwo.

— Taki jest pomysł. Właśnie odkryliśmy pewne stare dokumenty francuskiej Surete. W zabójstwo byli najwyraźniej zamieszani dwaj amerykańscy gangsterzy. Mój człowiek w Nowym Jorku uważa, że zidentyfikował dwóch ewentualnych podejrzanych. Obaj są już starzy, ale jeszcze żyją. Możliwe, że mieszkają w Nowym Jorku.

Congreve zatarł ręce.

— Kiedy zaczynam? Nic tak nie uwalnia człowieka od kłopotów na własnym podwórku jak międzynarodowa intryga.

— Jutro w południe odleciś wojskowym transportowcem z bazy RAF-u w Uxbridge. Wylądujesz w Nowym Jorku w porze kolacji. Pasuje?

— Oczywiście.

— Cieszę się. Teraz ty, Alex. Kiedy możesz być gotowy do podróży?

— Z samego rana.

— Doskonale. Jutro o trzynastej mam na pokładzie USS „Lincoln” odprawę w związku z alarmową sytuacją w rejonie Zatoki. Chciałbym, żebyś tam był. Operacja jest jeszcze w fazie planowania w Langley. Brock wpadł na pewien pomysł. Bardzo dobry.

— Polecimy razem na „Lincolna”?

— Nie, ja polecę wcześniej. Dla ciebie załatwiłem nowy samolot Połączonych Sił Uderzeniowych, który wymaga gruntownego sprawdzenia. Mówię o F-35, Alex.

— Co?!

— Nie przesłyszałeś się, Sokole Oko - odparł z uśmiechem Kelly. Wiedział, że Hawke pali się do tego, żeby znów być w powietrzu. Przyjaciel Kelly'ego w brytyjskim Ministerstwie Obrony powiedział mu tygodnie temu, że koncern Lockheed-Martin potrzebuje kilku pilotów myśliwskich z doświadczeniem bojowym na harrierach do przetestowania nowego samolotu, który ma zastąpić sea harriera FA2, używanego w Królewskiej Marynarce Wojennej.

Alex się rozpromienił.

— F-35? Nigdy o nim nie słyszałem.

— Nic dziwnego. Tak się składa, że czeka na ciebie prototyp nowego amerykańsko-brytyjskiego myśliwca. Został zbudowany w Stanach w zakładach Lockheed-Martin. To obecnie najnowocześniejszy jedno-miejscowy samolot ponaddzwiękowy. Cud techniki krótkiego startu

i pionowego lądowania. Może się całkowicie zatrzymać w powietrzu. Jest twój na czas tej operacji, pod warunkiem, że go nie rozwalisz. Będiesz mógł przeciwżyć nocne loty. Może nawet postrzelać, jeśli dopisze ci szczęście.

— Postrzelać?

- Po przekazaniu swoich wrażeń inżynierom z firmy Pratt & Whitney polecisz F-35 do rejonu Zatoki Perskiej. Zaczynamy tam operację „Czyste Niebo”, wprowadzamy zakaz lotów nad północnym Omanem. Dowiesz się wszystkiego na „Lincolnie”. I usłyszysz, jakie mam plany wobec ciebie i Brocka.

— Brocka? A co on ma z tym wspólnego?

- Pomoże ci wytropić sułtana. Zamówmy coś do jedzenia.

Przy słynnym spaghetti Harry'ego Hawke potrafił myśleć tylko o tym, że marynarka wojenna (zapewne pod lekkim naciskiem jego przyjaciela Cegły) zamierza znów posadzić go w siodle. I to nie w byle jakim samolocie bojowym, który pilotował podczas wojny w Zatoce, lecz w prototypowym jednomiejscowym myśliwcu ponadźwiękowym.

Boże, taką maszyną człowiek może polecieć prosto do nieba!

Rozdział 26

Na pokładzie „Blackhawke'a”

Pani doktor mówi, że możesz wracać do domu — zawołał Stoke do Jet. Stała na niższym pokładzie oparta o reling i paliła papierosa. Stoke obserwował ją z góry. Patrzyła na gigantyczny niemiecki jacht „Valkyrie”. Wciąż był zakotwiczony w odległości około połowy mili morskiej. Stoke zastanawiał się, o czym myśli ta dziewczyna, sprawiająca wrażenie, że nawet go nie słyszy.

Wyszedł ze swojej kajuty na pokład, żeby odprawić poranny rytuał: ćwiczenia jogi, tai chi i rozgrzewkę komandosów SEAL. Miał na sobie swój zwykły strój — czarną piżamę z Wietnamu i T-shirt ze Szkoły Snajperów Armii Stanów Zjednoczonych, który dostał kilka lat temu na Kubie od sierżanta. Na koszulce był napis: MOŻESZ BIEGAĆ, ALE WÓWCZAS UMRZESZ ZMĘCZONY. Uwielbiał ją.

Rozstawił bosc stopy na szerokość ramion, wciągnął głęboko do płuc morskie powietrze, złożył razem dłonie przed twarzą i dziewięć razy pokłonił się słońcu. Dobrze się poczuł po dużej dawce jodu. Bonjour, świecie! Przemów do mnie! Skaliste zielone wybrzeże Cap d'Antibes iskrzyło się w słońcu w ten pogodny poranek, krążyły ptaki, widać było duże białe wille i piaszczyste plaże poniżej gęstych nadmorskich lasów. Na wodzie roiło się od zakotwiczonych jachtów.

Stoke wytarł ręcznikiem twarz i tors, potem zbiegł po spiralnych schodach z mahoni i stali. Podszedł do relingu, ale trzymał się z daleka od Jet. Po intensywnych ćwiczeniach spocił się i pewnie niezbyt ładnie pachniał.

— Cześć — przywitał ją.

— Cześć — odrzekła, nie odrywając wzroku od morza.

— Lekarka mówi, że nic ci nie jest.

— Bardzo się cieszę.

— Widzę, że mamy dziś dobry humor.

Jet była w czarno-złocistej jedwabnej szacie, która należała kiedyś do Vicky. Alex kupił to dla niej gdzieś w Indiach lub Birmie. Stoke'owi nie bardzo podobało się to, że teraz ten strój nosi Jet, ale wolał nie poruszać tego tematu. Musiał porozmawiać z Jet o przyszłości.

— Jeśli chcesz wrócić do domu, droga wolna — zaczął. — Ale możesz tu

zostać. Nie ma sprawy.

Stoke na pewno wolałby zostać na pokładzie •wielkiego jachtu na Riwierze. Miękką koją, smaczne jedzenie, piękna pogoda, złociste refleksy porannego słońca na wodzie, w górze białe mewy. Szkoda wyjeżdżać.

Ale około szóstej rano z lotniskowca „Lincoln” zatelefonował Hawke.

Zrelacjonował Stoke'owi odprawę zorganizowaną na okręcie przez CIA.

Chciał wiedzieć wszystko o Jet. Jak się czuje. Co Stoke myśli o niej i jej niemieckim przyjacielu, von Draxisie. Jedno pytanie prowadziło do

następnego i Stoke nagle zdał sobie sprawę, że ma zupełnie nowe zadanie

- szef wysyła go do Niemiec. Wyglądało na to, że uratowany przez nich facet z CIA, Harry Brock, powiedział wiele ciekawych rzeczy.

Między innymi o pewnej francusko-niemiecko-chińskiej operacji.

Opracowano ją w Niemczech i nazwano „Lewiatan”. Szef powiedział, że ważną rolę odgrywa w niej von Draxis. Hawke chciał, żeby Stoke przyjrzał się bliżej baronowi. Powęszył i pogrzebał wokół niego.

Po tym, co ten facet zrobił Jet, po uwięzieniu jej w klatce, Stoke jakoś bardzo go nie lubił. Nie miał nic przeciwko temu, żeby się z nim zabawić

Ostatni raz Stokely naprawdę dobrze się bawił na Florida Keys. Było to

kilka lat temu, kiedy on i Ross Sutherland ścigali tamtego kubańskiego chłopaka, Nożycorękiego, i jego łódź „Cigarette” wzdłuż Wybrzeża

Moskitów na południu Florydy. „Upał i komary”, jak mówili komandosi

SEAL o tamtej części Keys. Tam właśnie uciekał zabójca Vicky, kiedy go dopadli i uziemili na dobre.

- Przemyśl to - ciągnął Stoke. -Wybieram się do Niemiec. Po drodze mogę cię gdzieś podrzucić. Byle nie na tamten jacht. Jest dla ciebie

zdecydowanie niezdrowy.

Jet odpaliła następnego papierosa od poprzedniego. To był już trzeci, odkąd Stoke ją obserwował.

Zastanowiła się.

- Czy Schatzi jeszcze tam jest?

- Skądże! Już dawno zniknął. Odleciał w nocy swoim wielkim helikopterem w kolorze nazistowskiej czerni. Wrócił do berlińskiego Flughafen.

Jet już przestała się dziwić, że Stoke tyle wie o Schatzim i o tym, co się dzieje na pokładzie wielkiego niemieckiego jachtu. Opowiedział jej trochę o szpiegowskich możliwościach „Blackhawke'a”. Nie wspomniał jednak o systemie obronnym Aegis, holowanej antenie sonarowej ani o innych urządzeniach. Wyjaśnił tylko, w jaki sposób centrum telekomunikacyjne może podsłuchiwać rozmowy radiowe i telefoniczne w promieniu około dwudziestu mil morskich. Mogło też lokalizować obiekty metodą triangulacji, choć pomiął to milczeniem.

- Więc mogłabym zabrać swoje rzeczy.

- Chyba tak - odrzekł Stoke. - Co tam zostawiłaś?

- Bizuterię i trochę garderoby. To, co jest mi potrzebne.

- I pewnie palnik acetylenowy, żeby łatwiej ci było wstawać z łóżka.

177

— Cholernie śmieszne — odparła i zakrztusiła się dymem.

— Gdzie mieszkasz na stałe, Jet?

— W Paryżu.

— A baron? Gdzie głównie spędza czas stary dobry Schatzi, poskramiacz lwów?

— Nie u mnie, jeśli o to ci chodzi.

— Nie jesteś aż tak stuknięta.

— Skąd wiesz?

— Wierzę w ciebie. Więc gdzie on mieszka- jet? Muszę wiedzieć.

— Ma domy w całych Niemczech. Jeden duży w Berlinie. Friedrichstrasse 7. Ma też tajną górską kwaterę w Bad Reichenhall. Zamek w Bawarii.

— To już coś. Dzięki.

— Zamierzasz go zabić? Wysadzić w powietrze?

— Jak mógłbym to zrobić? Przecież jesteś zakochana w tym facecie. Roześmiała się cierpko.

— Zakochana? Byłam młoda. Egzotyczna. Chińska dziewczyna w Berlinie, próbująca dostać się do filmu. Zainteresował się mną. Właśnie zaczęłam pracować dla chińskiej tajnej policji. On był wtedy producentem filmowym. Odnosił sukcesy. Dał mi rolę.

— To się ciągle zdarza.

— Uciekłam od mojej stukniętej rodziny.

— Masz siostrę, Jet?

— Dziwne pytanie, panie Jones, nie uważa pan?

— Odpowiedz.

— Mam siostrę bliźniaczkę o imieniu Bianca. Nie trzymamy się blisko. Dlaczego pytasz?

— Z ciekawości.

— Ona nadal pracuje dla mojego ojca. Jest agentką Te-Wu. Nie mam pojęcia, gdzie teraz przebywa. Opowiedz mi o Hawke'u.

— Co chcesz wiedzieć?

— Jaki to człowiek?

— Ma silny charakter.

Jet dopaliła papierosa niemal do koniuszków palców. Wyrzuciła go za burłę, wetknęła do ust następnego i znów zapaliła.

178

— Lubię Hawke'a - powiedziała. - Na zewnątrz jest twardy, wewnątrz miękki.

Stoke spojrział na nią.

— Dobra, Jet, teraz ty mi opowiedz o von Draxisie. Dlaczego cię pobił? Czy miało to coś wspólnego z Alekssem?

— Wracam na „Valkyrie”.

— Tak podejrzewałem. Istnieje nawet określenie na taką sytuację jak twoja. „Syndrom sponiewieranej gwiazdy filmowej”.

— Nie rozumiesz. Chcę tylko wziąć swoje rzeczy.

— Dobry pomysł. Sierżant wyśle tam z tobą kogoś, jak będziesz gotowa.

— Dzięki.

— Nie ma za co. Jesteś wewnętrznie rozdarta. Nie wiesz, czego chcesz. Wobec kogo masz być lojalna. To niebezpieczne. Nie pozwalam niebezpiecznym kobietom zbliżać się do Aleksa. Już dość wycierpiał.

— Daje sobie radę.

— Owszem. W normalnych warunkach. Chłop zamknął się w sobie, kiedy jego żona została zamordowana. Ale on też cię lubi. Nie wiadomo dlaczego.

— Nawet mnie nie zna.

— Ja też cię lubię. Kompletnie ci nie ufam, ale cię lubię.

— Kiedy mogę opuścić ten statek miłości?

— W każdej chwili. Ale najpierw coś mi wyjaśnij, Jet. Dlaczego twój

kumpel Schatzi zaprosił mojego szefa na to przyjęcie?

— Żeby lista gości lepiej wyglądała. Hawke jest znany. Pilnuje, żeby jego nazwisko nie pojawiało się w gazetach, ale pewni ludzie wiedzą o nim to i owo. Schatzi lubi się otaczać znanymi osobami.

— Zła odpowiedź. Hawke wnerwia takich ludzi jak Schatzi. Czasami nawet mnie, choć jestem jego najlepszym przyjacielem. Przynajmniej jednym z nich. Schatzi chyba lubi bić kobiety. Zdrowo ci dołożył! Czym mu podpadłaś? Chodziło o tego zielonookiego potwora? Ty i Alex Hawke za bardzo się zbliżyście do siebie? O to poszło?

Jet zaciągnęła się mocno papierosem i dopaliła go do filtra. Spojrzała na Stokely'ego, uśmiechnęła się i cisnęła niedopałek do wody. Symboliczny gest, jak to mówią.

179

— Być może — odrzekła.

— Żadnych „być może”. Powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi, Jet.

— Miałam się dowiedzieć, po co Hawke przyjechał do Cannes.

— I się dowiedziałaś?

— Tak.

— Zrobiłaś swoje. Więc dlaczego Schatzi tak się na ciebie wkurzył?

— Nie wykonałam rozkazu. Miałam zawiadomić mojego kolegę na pokładzie „Star of Shanghai”, jeśli ustale, że chodzi o odbicie zakładnika. Ale nie dałam mu znać. Hawke był zagrożeniem, a ja nie zrobiłam nic w tej sprawie.

— O jakim koledze mówisz?

— Więźnia na statku pilnował mój podwładny. Był odpowiedzialny za porwanie amerykańskiego agenta w Maroku i dostarczenie go z Francji do

Hongkongu. Ten oficer i ja pracujemy dla Te-Wu, chińskiej tajnej policji.

Mam stopień kapitana.

— Miałaś przeszkodzić Aleksowi?

— Miałam go zabić. I zawiodłam. Moja kariera jest skończona. Jeśli nawet przeżyję, zupełnie nie wiem, co dalej robić.

— Jak miałaś go zabić?

— Tym — odparła Jet i sięgnęła do głębokiego wycięcia z boku jedwabnej szaty. Wyjęła stamtąd mały pistolet, który musiał być przypasany do wewnętrznej strony jej uda.

— Mnie chyba też nie zabijesz? — zapytał Stoke.

Jet celowała w jego lewe oko. Potem wysunęła rękę poza reling, otworzyła dłoń i pistolet spadł do wody dziesięć metrów poniżej. Rozległ się cichy plusk. Następny symboliczny gest.

— Może to nie najlepszy pomysł — odezwał się Stoke — ale co byś powiedziała na podróż do Niemiec? Pokrywam wszystkie koszty.

— Ty też jedziesz?

— Jasna sprawa.

— Skąd wiesz, że cię nie zdradzę?

— Obserwowałem twoje zachowanie. Ludzie robią z miłości różne głupstwa. Po prostu przeszłaś na drugą stronę, choć nawet jeszcze o tym nie wiesz.

Jet milczała, więc Stoke uznał, że się zgadza.

180

- Najpierw musimy wstąpić na „Valkyrie” po twoje rzeczy. I może znów będę musiał pogadać z moim kumplem, admirałem Brunem. W jakich jesteście stosunkach?

- Bruno widział wszystkie moje filmy, oglądał je wiele razy.
- Lubi cię na tyle, że będzie trzymał język za zębami?
- Czci ziemię, po której chodzę.
- W porządku. Zadzwoń do niego. Bądź miła. Powiedz mu, że chcesz wrócić. Dziś wczesnym wieczorem. Złapie się na to?
- Na pewno.
- Uda ci się go czymś zająć przez dwadzieścia minut?
- Myślę, że tak.

- Dobra. Wyruszymy, jak tylko się ściemni. Lubię pływać w nocy. Pół godziny po zachodzie słońca Jet była na pokładzie „Valkyrie”. Wynajdywała nowe sposoby na zaprzątnięcie uwagi Bruna, ale nie pozwalała mu zbliżyć się do siebie. Stoke, w swoim starym oporządzeniu komandosa SEAL, płynął około dwustu metrów od dziobu jachtu. Spojrzał na zegarek do nurkowania. Jet jest już pewnie na dole w swojej kajucie, zbiera swoje rzeczy i robi słodkie oczy do małego, grubego Bruna. Obiecała Stoke'owi, że zajmie go czymś przez co najmniej dziesięć minut. Stoke uważał, że tyle czasu mu wystarczy.

Wysadził Jet na pływający pomost z prawej burty, pchnął przepustnice zodiaca i oddalił się zygzakiem między zakotwiczonymi jachtami, żeby zniknąć z widoku ewentualnym obserwatorom na pokładzie „Valkyrie”. Znalazł odpowiednie miejsce, wyrzucił za burtę małą kotwicę Danfortha i wypuścił tyle liny, żeby ponton był ukryty za dużym statkiem. Potem zsunął się do wody i przepłynął ostatnie pół mili morskiej trzy metry pod powierzchnią.

Kiedy dotarł do dziobu wielkiego niemieckiego jachtu, znurkował głębiej, płynąc wzdłuż kadłuba ku rufie, szukał kamer. Pierwsza była

zamontowana w przezroczystej obudowie pod kilem. Obiektyw zwracał się wolno w jego stronę. Nowy system podwodnego monitoringu wideo sprawiał, że staromodny sposób działania był trochę ryzykowny. Stoke naliczył sześć kamer — po dwie na dziobie, rufie i w śródkręciu.

Brakowało miecza. Dziwne. Może był wciągnięty do wnętrza kadłuba?

181

Stoke zatrzymał się na kilka sekund, zapamiętując cykle ruchu poszczególnych kamer. Potem przesunął palcami po dziwnych występach na kadłubie. Zauważył jakiś właz, w którym zmieściłaby się ciężarówka. Co za cholera? Popłynął szybko dalej, zygzakując między obracającymi się kamerami. Dotarł do rufy. Zostały jeszcze dwie kamery, po obu stronach masywnych śrub z brązu.

Nie pojawił się żaden nurek. Dobry znak. Stoke używał recyrkulacyjnego aparatu oddechowego Draegera, więc nie zostawiał na powierzchni pęcherzy powietrza. Zamachał mocniej płetwami i przepłynął między dwiema ostatnimi kamerami, gdy ich obiektywy zwrócone były w drugą stronę. Zawisnął w wodzie za jachtem, wyważając się tak, by wypłynąć powoli na powierzchnię. Wynurzył się tuż przy platformie rufowej, która biegła przez całą szerokość kadłuba.

Służyła do opuszczania na fale desek windsurfingowych, skuterów wodnych i innego sprzętu. Teraz była pusta. Nagle z małych drzwi w kadłubie wyłonił się łysy facet w białym dresie. Stał na krawędzi platformy i sięgnął do rozporoka.

Kiedy sikał do wody, Stoke podpłynął cicho do drugiego krańca platformy, zdjął rebreather i po wiszącej tam drabince, wyszedł cicho na pomost.

Łysy facet wciąż lał silnym strumieniem, gdy odwrócił się i zobaczył

potwora z Błękitnej Laguny. Stoke widział w Wietnamie partyzantów Wietkongu i żołnierzy armii północnowietnamskiej, którzy mdleli na jego widok, kiedy wyrastał nagle przed nimi ciemną nocą w oporządzeniu komandosa SEAL. Ten facet nie zemdleł, prawie nie zareagował.

Stoke wstał.

- Jak leci? Woda za rufą trochę się ogrzała.

- Co jest...

- Ciii... Nie powinno mnie tu być. To własność prywatna.

Stoke zauważył, że łysy ma przy wargach mikrofon i zamierza z niego skorzystać. W ciągu ułamka sekundy pokonał dzielącą ich odległość i zasłonił mu usta dłonią. Gdy poczuł zęby wgryzające się w gumową rękawicę, uderzył faceta dwoma palcami w tętnicę szyjną. Podtrzymał ręką nieprzytomnego mężczyznę i położył go szybko na platformie.

Normalnie nie pływał z bronią, ale dziś mogła się przydać.

182

Facet nie był uzbrojony. Miał przy sobie tylko szklaną buteleczkę jakichś pastylek i dziwny przyrząd w czarnej metalowej rurce, który przypominał bardzo nowoczesne pióro wieczne. Stoke widział już coś takiego, ale nie mógł sobie przypomnieć, co to jest. Schował jedno do swojej wodoszczelnej torby, drugie do kieszeni. Stoczył faceta z platformy do wody i spojrzał na wąskie drzwi w kadłubie. Obok nich znajdowała się mała klawiatura, ale teraz nie musiał znać kodu. Facet wyszedł tylko na chwilę i zostawił drzwi otwarte. Błąd.

Stoke wszedł do środka i zorientował się z zaskoczeniem, że jest w windzie. Wcisnął najniższy przycisk i kabina ruszyła - w dół i naprzód. Domyślił się, że zjeżdża po pochylni do zęzy. W porządku. Bardzo go

interesowała ta część jachtu, podobno tak nieciekawa, że nie warto było jej oglądać.

Kiedy wyszedł z windy, rozczarował się. No bo czego się spodziewał? Jakiegoś Doktora No w goglach na twarzy, wskaźników, dużych szklanych kul z błyskawicami wewnątrz? Nic z tego. W wielkiej ciemnej pustce zobaczył tylko jakieś urządzenie hydrauliczne. Było zamontowane powyżej skrzyni mieczowej, która wyrastała z lśniących stalowych płyt kadłuba.

Nie mając nic lepszego do roboty, podszedł bliżej, żeby się temu przyjrzeć. Będąc w wodzie pod dnem jachtu, nie zauważył miecza. Wyglądało na to, że jest podniesiony. Całkiem sensowne na takim płytkim akwenu.

Zapewne miecz opuszczano tylko podczas żeglugi. Kiedy indziej tkwił tutaj, wciągnięty do środka kadłuba.

Rzecz jednak w tym, że w ogóle go nie było. Została tylko skrzynia o wysokości ponad trzech i pół metra. W dole jej wnętrza pluskały fale. Stoke czuł, że patrzy na coś, czego nie powinien zobaczyć.

Wilgotne pomieszczenie kojarzyło mu się z czymś, co widział jako chłopiec, ale nie pamiętał, gdzie. Nagle sobie przypomniał. W samolocie. Komora bombowa B-52. Na pokładzie jachtu leżały metalowe wióry. Być może miecz o coś zawadzał, kiedy go wysuwano lub wsuwano. Stoke schylił się i podniósł garść. W tym momencie rurka w jego kieszeni zaczęła emitować wysokie dźwięki. Co za cholera?

Niech to szlag! To dozymetr! Mierzy natężenie promieniowania. Stoke wyjął z torby buteleczkę zabraną ochroniarzowi i przyjrzał się jej dokładnie. Jodyna w pastylkach. Przeciwno chorobie popromiennej. Ciekawe.

Będzie musiał wypytać barona o te wszystkie interesujące rzeczy, kiedy spotkają się następnym razem przy zimnym Liebfraumilch w jego bawarskim zamku.

Rozdział 27

Gloucestershire

Masz ukryte talenty, Ambrose — stwierdziła Diana Mars Inni goście już odjechali i wreszcie zostawili ich samych. Diana właśnie rozpakowała prezent od niego i wyszli na kamienny taras z widokiem na klomb kwiatowy. Za ogrodem ciągnął się ciemnozielony pagórkowaty teren.

Opadał ku srebrzystej wstędze Tamizy

- To tylko wstępny szkic - powiedział Congreve, określając w ten sposób swoją akwarelę, którą bez końca poprawiał

— To świetne dzieło. Co może być piękniejszego od kwitnącej jabłoni?

Zapadał zmierzch. Odległą rzekę i czarne drzewa na jej brzegach spowijała lekka mgiełka. Ambrose'a zaskoczyło zaproszenie Diany do Bnxden House na herbatę. Zadzwoiła nagle, gdy siedział samotnie przy oknie w swojej bibliotece, pogrążony w abstrakcyjnych rozmyślaniach.

Kiedy podniósł słuchawkę i usłyszał jej głos, uświadomił sobie, że myślał o niej.

Był to jeden z tych niespodziewanych uśmiechów losu, które się zdarzają od czasu do czasu.

Ambrose bez wahania przyjął zaproszenie. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo chciał zobaczyć Dianę przed odlotem do Nowego Jorku. Musiał jej przekazać, co Scotland Yard sądzi o zaginięciu tamtego lokaja Sutherland właśnie złożył mu raport. Ale Ambrose chciał jej

również wręczyć swój obraz jabłoni rosnącej za oknem kuchni. Poprosił panią Purvis, żeby zapakowała akwarelę w papier po prezentach gwiazdkowych, który przechowywał na takie okazje. Zrobiła to, ale nie wydawała się zachwycona Kobiety to dziwne stworzenia

Irytujące

Diana rozpakowała obraz w salonie. Stał przy oknie Powiodła białym delikatnym palcem po podpisie Congreve'a na dole akwareli

— Twoje nazwisko, Ambrose, przywodzi na myśl jakiegoś łagodnego poczciwca w miękkim kapeluszu, który pracuje przy swoich różach w deszczowy wiosenny poranek.

— Naprawdę?

— Tak

— Może wyjdziemy na dwór' — zaproponował Ambrose, bo rozpaczliwie potrzebował odetchnąć świeżym powietrzem. Niezbyt podobało mu się to, że Diana wyobraża go sobie jako faceta w miękkim kapeluszu Chciał, żeby widziała w nim energicznego mężczyznę Będzie musiał w następnym obrazie użyć więcej kolorów. I może namalować jakąś akcję. Wynurzającego się pstrąga lub skaczącego łososia.

Podeszli bliżej do ozdobnie rzeźbionej balustrady tarasu z widokiem na ciemniejący las w dole

— Ja też mam ogród, Diano. Oczywiście nie taki jak ten. Trochę dali, to wszystko. Będę w tym roku na wystawie kwiatów w Chelsea. Z hybrydą, z którą wiąże wielkie nadzieje. Tylko nie mogę wymyślić dla niej nazwy Niech to szlag. Coraz bardziej się pograża. Co się z nim dzieje?

— Słyszałam, że twój dom jest uroczy, Ambrose.

Wzięła go za rękę, a on poczuł, jak przez jego ciało przepływa prąd.

Szukał gorączkowo odpowiedzi, żeby zdążyć, zanim ładunek elektryczny spali mu mózg.

— Naprawdę? - zdołał wykrztusić. - Od kogo?

— Od przyjaciół moich przyjaciół, którzy cię znają

— Naprawdę'

Chciał się dowiedzieć, co to za przyjaciele, ale nie zapytał o to. Ogarnęła go dziwna, odurzająca fala dumy i zmieszania. Diana wypytywała o niego. Miała odwagę przyznać się do tego. Ruszył naprzód, żeby utrzymać się na nogach. Głupio by wyglądało, gdyby się zatoczył i spadł na łeb na szyję na bukszpany poniżej.

— Miałaś rację w sprawie tej Porcelanowej Lalki, Diano I teraz, kiedy Sutherland i ja lecimy na jakiś tydzień do Nowego Jorku .. Zastanawiam się... Na pewno nie chcesz, żeby moi ludzie zYardu zostali dłużej w twojej 185

posiadłości' Sutherland byłby zachwycony tym zadaniem Prawdę mówiąc, boję się o ciebie Jesteś tu zupełnie sama na wsi Diana poklepała go uspokajająco po ramieniu

— Zupełnie sama' Bez przesady Mój drogi mąż zostawił mi wierną służbę Poza tym sędzę, że tamtej nocy wystraszyłeś napastników Pewnie się nie spodziewali, że ktoś będzie do nich strzelał

— Wydarzyło się coś, o czym chciałbym ci opowiedzieć Czy ktoś z personelu widział twojego byłego głównego lokaja, Oakshotta?

— Nie Przynajmniej od czasu, kiedy ScotlandYard przesłuchiwał tu wszystkich Nie miałam nawet przyjemności wyrzucić Oakshotta z pracy Dlaczego pytasz?

— Ostatniej nocy ktoś próbował zabić mojego bliskiego przyjaciela,

Aleksa Hawke'a

— Lorda Hawke'a? Nie znam go, ale Jak to było?

— Pewna kobieta wprosiła się do jego domu pod pretekstem, że zepsuł jej się samochód Wyciągnęła pistolet i strzeliła do niego z bliskiej odległości Chybiła o włos Został ranny

— Orientujesz się, kto to był?

— Tak Chinka Być może siostra bliźniaczka kobiety, którą poznał na południu Francji Podejrzewam, że złożyła mu wizytę nasza przyjaciółka, Bianca Moon

— Naprawdę?

— To jedyne sensowne wytłumaczenie — odrzekł Congreve, nabijając fajkę świeżą porcją tytoniu Peterson's — Uważam, że nasza Bianca, jej siostra i pan Oakshott wspólnie dokonali zamachów na mnie i Hawke'a Działają razem

Znów był na swoim terenie, solidnej platformie śledztwa, i teraz o wiele mniej kręciło mu się w głowie Zapalił fajkę z pianki morskiej, starając się sprawiać wrażenie surowego i rzeczowego Żaden miękki kapelusz

— Co naprawdę myślisz o tym wszystkim, nadinspektorze' — zapytała Diana po długiej chwili milczenia

— Powiem ci Może przejdziemy się nad rzekę? Jest jeszcze na tyle jasno, że zdążymy wrócić przed zmrokiem Podniosła na niego wzrok

— Świetny pomysł — Jej oczy lśniły w słabym świetle jak wieczorna rosa

186
Wziął ją lekko za rękę i znów doznał porażenia prądem, jakby w jej żyłach płynęła energia elektryczna zamiast krwi Ruszyli w dół po śliskich kamiennych schodach Ambrose wciągnął głęboko powietrze, starając się

sprowadzić ją bezpiecznie po omszałych stopniach Co się z nim ostatnio dzieje' Kupił tego żółtego morgana i szaleje po okolicy jak nastolatek Nie mówiąc o tym uczuciu naelektryzowania, które wywołuje w nim Diana Mars

Bardzo dziwne, pomyślał, idąc obok niej

Kryzys wieku średniego? Ma już tyle lat, że to możliwe Kuchnia pani Purvis' Stara się go karmić ekologicznie Ostatnio podaje mu kurczaki „żyjące w środowisku naturalnym” „Pani Purvis - powiedział jej w końcu z całkowitą powagą — Myśli pani, że jeśli człowiek chce zjeść kurczaka, to wybierze takiego, który żyje w środowisku naturalnym, czyli włóczy się gdzieś po górach i dolinach bez żadnego nadzoru? Nie! Sądzę, że nie, pani Purvis' Jeśli Ambrose Congreve ma zjeść kurczaka, to chce wiedzieć, gdzie ten cholerny kurczak bywał W każdej minucie swego życia!

Więc jada skażone kurczaki A może po prostu stracił rozum' Może po przylocie do Nowego Jorku powinien pójść do jednego z tych słynnych psychiatrów' Tak To byłoby mądre posunięcie, zanim kompletnie zwariuje I jeszcze jedno Na czas swojej nieobecności musi zapewnić Dianie bezpieczeństwo Porozmawia o tym z Sutherlandem Powie mu, żeby zajął się jej ochroną

Ogród spełniał funkcję dekoracyjną Niskie, wiecznie zielone żywopłoty i bukszpany tworzyły różne wzory geometryczne Otaczały puste jeszcze rabaty, ale świeżo spulchniona ziemia wskazywała, że ogrodnicy przygotowują się do zasadzenia tam jednorocznych roślin Ambrose i Diana przeszli przez labirynt żywopłotów i znaleźli się na zboczu, które opadało ku Tamizie W purpurowej mgiełce nad horyzontem wisiała żółta tarcza słońca

Widok był piękny i Ambrose zerknął ukradkiem na Dianę Dostrzegła jego spojrzenie i uciekła wzrokiem w bok Ale nie wysunęła ręki z jego dłoni Schodzili nad rzekę Ambrose odkrył, że jakimś cudem jego struny głosowe jeszcze funkcjonują, więc zaczął mówić dalej, głośno i wyraźnie

187

— Wróćmy do sprawy, Diano Jak dobrze wiesz, prowadziłem szpiega ulokowanego w ambasadzie francuskiej Mojego kuzyna Okazał się podwójnym agentem Pracował dla Chińczyków Zniknął bez śladu Dowiedzieliśmy się, że jest za to odpowiedzialna twoja znajoma Chinka, zamieszana w szpiegostwo W tym samym czasie Alex Hawke uwolnił amerykańskiego agenta, który był uwięziony na chińskim statku zacumowanym na francuskich wodach terytorialnych A potem Boże, o co chodzi temu człowiekowi?

— Któremu człowiekowi?

— Tam, na ścieżce

W ich kierunku wspinał się szybko korpulentny mężczyzna Miał ręce złożone w trąbkę i "wołał coś do nich Jego krzyk porywał wiatr, ale Ambrose usłyszał wyraźnie słowo „topielec”

— To mój główny ogrodnik, Pordage Biedny staruszek dostanie ataku serca od tego biegu pod górę

Congreve chciał oszczędzić Dianie widoku i zapachu zwłok zanurzonych w wodzie Wiedział, że tego się nie zapomina

— Posłuchaj, Diano Na dole coś się stało Zbiegnę do Pordage'a Może wrócisz i zawiadomisz

Zrzuciła pantofle i pierwsza pomknęła ku rzece

— Mówi, że znaleźli ciało' — krzyknęła przez ramię

Rozdział 28

Paryż

Datę wybrano nieprzypadkowo Był czternasty lipca Kolejna rocznica zdobycia Bastylia Źródła historyczne podają, że właśnie tego dnia w 1789 roku lud Paryża opanował tę twierdzę -więzienie i zmusił króla Ludwika XVI do ustępstw W całym kraju zapanowała przemoc Nastąpił okres terroru Wielu francuskich arystokratów i ludzi od dawna korzystających z przywilejów uciekło za granicę w obawie o swoje życie i bezprawnie zdobyte majątki

188

Tych, którzy pozostali w Paryżu, prowadzono po zakrwawionych stopniach na gilotynę, zwykle tylko po pozornym procesie sądowym Przy każdym uderzeniu ciężkiego ostrza ancien regime uświadamiał sobie, że jego szyja staje się coraz bardziej zagrożona Stara gwardia szybko zrozumiała, że nie jest żadnym przeciwnikiem dla dwóch nowych narodowych pasji, Wolności i Równości, i wzięła nogi za pas To był XVIII wiek Dwudziesty pierwszy przyniósł starej Europie inne namiętności i to, co gazety codzienne zapowiadały jako Nową Francję

Znów mogło spaść mnóstwo głów

Ekran płaskiego telewizora na biurku z połączanego brązu w rogu gabinetu premiera Francji pokazywał na żywo gwałtowne zamieszki Na lotniskach Orly i Charles'a de Gaulle'a oraz na dworcach kolejowych i autobusowych w Paryżu panował chaos Na jednym z mostów na Sekwanie błyskały niebieskie i czerwone lampy wozów policyjnych i karet pogotowia Z wraka spalonego czołgu i wielu przewróconych samochodów unosił się dym

O świecie specjalne siły policyjne do tłumienia rozruchów, wciąż wierne prezydentowi, starły się na Pont Neuf z tłumem bonapartystów
Eksplodujące granaty z gazem łzawiącym i gumowe kule zabiły siedemnaście osób ze społeczności anglo-amerykańskiej, które szły z transparentem na wiec protestacyjny w pobliżu Pałacu Elizejskiego Ostrzał nie zatrzymał demonstrantów, więc ogień otworzył dymiący teraz czołg
Zginęło dwunastu studentów, ale trzech odważnych wdrapało się na pojazd i wrzuciło koktajle Mołotowa do otwartego włazu

Luca Bonaparte nie śledził w telewizji tych wypadków Patrzył na niespokojny tłum pod jego oknami Miał głowę pochyloną do przodu i ręce związane za plecami w dobrze znanej pozie swojego przodka

— „Ci, którzy nie pamiętają przeszłości, skazani są na jej powtarzanie” — zacytował cicho Santayanę, nie adresując tych słów do nikogo konkretnego

Cytat nie uszedł jednak uwadze jego towarzysza

Bonaparte i bardzo dobrze ubrany czarny dżentelmen stali przy wysokich oknach z widokiem na rozległy wewnętrzny dziedziniec pałacu Na twarz Luki padał wąski promień słońca, w jego oczach błyszczał ogień walki, okrutne usta pozostawały w cieniu Na brukowanym dziedzińcu i sąsiednich ulicach wciąż przybywało ludzi

189

Euforia tłumu narastała. Do gabinetu nowo mianowanego premiera co pół godziny docierały aktualne dane. Ostatnie mówiły o ponad stu tysiącach osób zgromadzonych tylko na tym terenie.

- Vive le France! — krzyknęły masy. — Vive k roi, vive Bonaparte!

- Chcą króla — zauważył elegancki czarny mężczyzna.

- Będą mieli cesarza - odrzekł Bonaparte.

Marzył o tym od dziecka. Uśmiechnął się krzywo i przeniósł wzrok z bezkształtnej ludzkiej masy na oświetlone słońcem skrzydło pałacu po drugiej stronie dziedzińca. Wydało mu się, że za oknami podobnymi do jego własnych dostrzega ciemną sylwetkę Bocąueta.

Obecny prezydent Francji bez wątpienia patrzył na tę samą scenę w dole z rosnącym przerażeniem. Luca uniósł do oka ozdobną mosiężną lunetę, którą pozostawił w tym gabinecie sam Napoleon.

Obrócił pierścień i ustawił ostrość.

- Monsieur le president i ja mamy podobne spojrzenie na tę sytuację -zwrócił się do niskiego czarnego mężczyzny. — Ale nasze reakcje mogą się różnić.

Jego towarzysz w złotych binoklach zachichotał. Błyszczwały mu oczy.

- Wszystko w życiu zależy od punktu widzenia, mój władco - odparł swoim nowym grubym głosem. Gardłowy chichot, podobnie jak siwa peruka, były ważną częścią jego nowej osobowości.

Bonaparte skwitował uśmiechem uwagę Chińczyka.

Po wykonaniu zadania w siedzibie Sotheby s Hu Su pozbył się na zawsze madame Li. Zastąpił ją elegancki afrykański biznesmen z Wybrzeża Kości Słoniowej handlujący diamentami. Ten siwowłosy dżentelmen o śnieżnobiałych zębach i czarnej jak węgiel twarzy miał nienaganne maniery i był nieskazitelnie ubrany. Nosił doskonale skrojony jasnoszary trzyczęściowy garnitur z wełny, czerwony wzorzysty krawat Hermesa, lśniące czarne półbuty i złoty zegarek z dewizką. Jego głos zmienił się jakimś cudem z sopranu w głęboki bas.

Wcześniej tego ranka prezydent Francji, Guy Bocąuet, pojawił się na

swoim balkonie. Odzwyczaił się już od pochlebstw Francuzów, ale był zaszokowany reakcją tłumu. Wyczuł wrogość ludzi i przezornie wycofał się do gabinetu. Odbył w pośpiechu konferencję ze swoimi najbliższymi doradcami politycznymi i wojskowymi. Trzeba coś zrobić. Czuł, że sytuacja w jego mieście, w jego kraju, wymyka się spod kontroli.

190

jeszcze nie ostygły zwłoki jego długoletniego przyjaciela Honfleura! W prezydenckim skrzydle Pałacu Elizejskiego zapanowało zrozumiałe napięcie. O szóstej rano Bocquet przestał odbierać telefony od Bonapartego. Kiedy nowy premier zadzwonił po raz ostatni, usiłował zapewnić prezydenta o swoim pełnym poparciu w tym wyjątkowo trudnym momencie historii. Czy ma wyjść na swój balkon i spróbować uspokoić tłum? W obliczu tej jawnej drwiny Bocquet bez słowa odłożył słuchawkę. Potem wezwał swoich generałów (niektórzy byli na miejscu, innych ściągnął telefonicznie) i kazał aresztować Bonapartego.

Jeden z generałów, Charles Lebouitillier, wymknął się dyskretnie z gabinetu prezydenta na długi korytarz. Poszedł szybko do zapomnianej garderoby, z której często potajemnie telefonował, i wyjął komórkę. Połączył się z premierem Bonapartem i poinformował go o rozkazie Bocqueta.

- Pod jakim zarzutem? — zapytał Luca lojalnego wobec niego dowódcę Korpusu Obrony Miasta Paryża.

- Działalności wywrotowej, panie premierze- odrzekł generał. -I zabójstwa.

- Kogo?

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Bonaparte zabił, lub kazał zabić, wielu

ludzi. W niektórych z tych zbrodni brał udział sam prezydent. Luca potrzebował konkretnej odpowiedzi, zanim zareaguje.

- Pańskiego poprzednika, panie premierze. Premiera Honfleura.

- Rozumiem. Czy Bocquet nadal zamierza wystąpić w południe przed kamerami?

- Tak, panie premierze.

- Za dwie godziny. Dobrze. Niech pan wraca do jego gabinetu i zapewni go, że trwają przygotowania do mojego aresztowania i uwięzienia. Niech pan mu powie, że wojska lądowe, siły powietrzne i media nadal są po jego stronie. Kiedy pańska dywizja może dotrzeć do pałacu?

- Moja 3. Dywizja Pancerna wyruszyła z kwatery głównej do pałacu dziesięć minut temu. Inna już zaczęła zajmować mosty. Wzmocni siły policyjne do tłumienia rozruchów, które są już na miejscu. Wzdłuż Boulevard St. Michel posuwa się duży tłum. Wyrywa kamienie z bruku i plądruje sklepy. Oceniam, że powinien dotrzeć do mostu za piętnaście minut, panie premierze.

191

— Niech pan mi opowie o tym tłumie.

— Prowadzi go ten cholerny idiota UEspalier. Demonstranci niosą transparenty i wielkie chińskie kukły z pańską twarzą. Krzyczą, że jest pan zdrajcą i mordercą, że to pan zabił ich ukochanego Honfleura. Żądają pańskiej głowy, panie premierze.

— Jeśli ten tłum użyje przemocy, pańscy ludzie mają otworzyć do niego ogień. Bez litości. Trzeba stłumić bunt za wszelką cenę. Dla dobra państwa. Rozumiemy się, generale?

— Oczywiście, panie premierze.

— Aczkolwiek muszę jasno powiedzieć, że rozkaz zaprowadzenia porządku przy użyciu sił zbrojnych wydał sam prezydent. Mam w ręku oryginał tego dokumentu z jego podpisem. Niech pan przekaze wszystkim, że to prezydent kazał panu strzelać do naszych rodaków. Nie ja. Chcę, żeby media wiedziały, że nie konsultowałem się ze mną w tej sprawie. I że wielokrotnie sprzeciwiałem się stanowczo zabijaniu obywateli francuskich. Jestem z narodem. Ma pan jakieś pytania?

— Nie, panie premierze. Niech pana Bóg błogosławi. Vive la France!

— Dobrze. Niech pan mnie informuje na bieżąco o sytuacji. Vive la France!

Luca odwrócił się do Chińczyka.

— Ocalę ten kraj, nawet gdybym musiał zabić wszystkich jego mieszkańców.

— Słowa prawdziwego wizjonera — odrzekł Hu Su bez cienia ironii. — Na pańskich rękach nie będzie krwi, ekscelencjo. Bocquet zrobi to za pana. Po salwach z jego armat ludzie przybiegną do pana po ratunek.

Luca się roześmiał. Polubił tego małego szaleńca.

— Jest pan gotowy do odegrania swojej następnej roli na światowej scenie, mój przyjacielu? Hu Su skłonił się lekko.

— Za chwilę, Wasza Wysokość.

Odwrócił się i otworzył walizkę ze skóry aligatora, którą przyniósł do gabinetu dziesięć minut wcześniej. Miał w niej wszystkie swoje aktualnie posiadane dobra doczesne, łącznie z czarną drucianą klatką. W środku siedział średniej wielkości brunatny szczur. Ogryzał ostrymi zębami kawałek kości. W siedzibie Sotheby's Hu Su odciął Hubertowi jeden palec

jako poczęstunek dla swojego zwierzątka. Teraz wyjął szczura z klatki i pogłaskał po grzbiecie. Potem podniósł wzrok na Lukę i się uśmiechnął.

— Zechciałby pan potrzymać przez chwilę mojego małego kamikaze, żebym mógł przygotować jego uprząż? A przy okazji — ma na imię Czou.

— Mam trzymać to odrażające stworzenie? — zapytał Luca. — Nigdy w życiu. Oszalał pan?

— Trudno, Czou, wracaj do siebie, mon petite.

Wsadził gryzonia z powrotem do klatki i wyjął z walizki małą drewnianą szpulkę, przymocowaną do miniaturowej skórzanej uprząży własnego pomysłu. Uprząż była zapinana na rzepy i miała regulowaną wielkość. Wyglądało na to, że jest w rozmiarze odpowiednim dla Czou. Na szpulkę był nawinięty trzydziestometrowej długości drut pokryty cienką warstwą żeluzynu, plastycznego materiału wybuchowego C-4. Wynalazek, nazwany „bombą drutową”, doprowadzono do perfekcji w laboratoriach na pokładzie pływającej kwatery głównej generała Muna w Hongkongu. Na pomysł wykorzystania szczura wpadł Hu Su.

Rozłożył starannie plan Pałacu Elizejskiego, który sporządzono w czasie ostatniego remontu. Interesująca go część budowli była zaznaczona na czerwono. Mieścił się tam mały przedpokój Salonu Napoleona, gdzie właśnie ustawiano kamery przed zapowiadzianym orędziem Boucheta do narodu. Prezydent od lat miał zwyczaj siadać samotnie przy prostym drewnianym stole w tym małym pomieszczeniu i czytać głośno swoje przemówienia po raz ostatni przed wejściem do wielkiego salonu.

Bonaparte spojrział na zegarek.

— Mamy dwie godziny.

— To nie powinno długo potrwać — odrzekł Hu Su. Zdjął marynarkę,

kamizelkę i krawat. Wyjął z walizki biały kombinezon i wciągnął go na siebie. Zapiął plastikowy suwak i włożył niebieską czapkę pałacowej ekipy technicznej. Luca otworzył zamkniętą na klucz szufladę i wziął identyfikator z zafoliowanym zdjęciem czarnej twarzy Hu Su i jego podpisem. Wręczył go Chińczykowi wraz ze specjalną przepustką wystawioną przez kancelarię prezydenta na wypadek, gdyby ktoś zatrzymał Hu Su podczas wykonywania zadania. 193

Chińczyk wsunął identyfikator do przezroczystej kieszonki z przodu kombinezonu. Wątpliwe, żeby ktoś go zatrzymał, ale przez godzinę ćwiczył przed lustrem gwałtowne gesty i francuskie słowa oburzenia, które miały zniechęcić każdego do wchodzenia mu w drogę. Włożył wygłodniałego szczura do skrzynki narzędziowej, potem "wręczył Bonapartemu walizkę ze skóry aligatora.

— Może ją pan zatrzymać — powiedział. — Jest dobrej jakości. Czas na mnie. Zostawiam pana pańskiemu przeznaczeniu.

— Au revoir et bonne chance, mistrzu Hu Su — odrzekł Luca i uściśnął wyciągniętą dłoń Chińczyka. - Będziemy jeszcze współpracowali. Ku chwale naszych dwóch narodów.

Dziesięć minut później Hu Su znalazł się w przedpokoju salonu. Na środku stał ciężki stół, wokół osiem krzeseł obitych skórą. Chińczyk zaryglował od wewnątrz obie pary drzwi. W pałacu panowało takie zamieszanie, że nikt nie zwrócił na niego uwagi, kiedy szedł korytarzami. Uklęknął w rogu za kanapą i przeciął małą piłą listwę przypodłogową. Potem młotkiem wybił w gipsie dziurę wielkości pięści. Wydostało się z niej cuchnące powietrze. Miał teraz dostęp do wnętrza ściany. Włożył do środka rękę. Plan budynku nie kłamał: przestrzeń między murami miała

około ośmiu centymetrów szerokości.

— Cierpliwości — szepnął do szczura. — Chwila twojej chwały już nadchodzi.

Słyszał, jak na dziedzińcu za oknami przedpokoju tłum skanduje nazwisko Bonapartego. Jedni go wychwalali, inni przeklinali. Jednoczyła ich tylko powszechna niechęć do Ameryki. W chóralnych okrzykach narastała nuta hysterii, której wcześniej nie było. Ale Hu Su nie miał już na to wpływu.

Zbliżał się do końca swojej misji. Reszta należała do Losu.

Jeśli dopisze im szczęście, ktoś wyciągnie broń i zastrzeli pałacowego wartownika. Wtedy oddziały wierne prezydentowi otworzą ogień do tłumu.

W tym momencie Luca Bonaparte stanie przed lufami. Uniesie rękę i zapadnie cisza. Popłynie na ramionach ludu do chwały. Zbawiciel i nadzieja Francji.

Nowy wspaniały początek.

Przynajmniej taki był plan. Hm... Hu Su okrążył na czworakach stół i zrobił w przeciwległej ścianie drugą dziurę takiej samej wielkości. Potem wyjął ze skrzynki narzędziowej kawałek rokfora, zawinięty w folię.

Rozpakował go, wciągnął nosem jego wonny aromat i położył ser na zakurzonych deskach wewnątrz ściany. Umocował listwę przypodłogową na swoim miejscu i zatarł ślady trocinami zmieszanyymi z brązową pastą do butów. Potem przysiadł na piętach, odchylił się do tyłu i przyjrzał swojemu dziełu. Doskonale.

— Głodny? — zapytał szczura. Znał odpowiedź. Nie karmił go od czterdziestu ośmiu godzin.

Wrócił do pierwszej dziury, gdzie Czou czekał niecierpliwie w swojej klatce. Wziął szpulkę, odwinął około pół metra C-4 i przymocował jeden

koniec do drewnianej podłogi tuż za otworem. Potem połączył drut z zapalnikiem i ustawił go na odbiór sygnału radiowego; urządzenie nie miało cyfrowego zegara sterującego.

Pozostało tylko założyć Czou jego miniaturową uprząż.

- Chodź, mały - powiedział uspokajająco i wyjął gryzonia z klatki.

-Wreszcie nadszedł czas, żebyś zabłysnął.

Hu Su wytresował w Chinach kilka szczurów do takich zadań jak to — umieszczania materiału wybuchowego w postaci drutu za ścianami, pod podłogami i nad sufitami. Zabójstwo prezydenta Francji miało być pierwszym testem nowej techniki Hu Su. Ufał we własne umiejętności. Generał Moon też oczywiście bardzo liczył na to, że ta operacja zakończy się sukcesem. Powodzenie długofalowych planów Chin i zaspokojenie ich potrzeb energetycznych zależało w dużym stopniu od tego, czy Bonaparte zostanie prezydentem Francji. Hu Su wybrał szczura, który wykazywał się największą odwagą i umiejętnością pokonywania niewidocznych przeszkód, kiedy znikał mu z oczu. Czou był prymusem w swojej klasie. Poprzedniej nocy dostarczył go z Hongkongu kurier dyplomatyczny. Czou poczuł zapach sera na palcach Hu Su i zaczął je łapczywie gryźć. Pojawiło się trochę krwi. Hu Su uspokoił szczura i zapiął rzepy upręży pod jego brzuchem.

Czou skrobał pazurami lśniąca podłogę z twardego drewna. Próbował rozpaczliwie znaleźć punkt oparcia. Czuł już woń rokfora po drugiej stronie przedpokojów. Nic nie mogło go teraz zatrzymać.

195

Przeszedłby dosłownie przez ścianę, żeby osiągnąć swój cel.

Hu Su włożył go do dziury. Gryzoń przysiadł na zadzie. Przebierał w

powietrzu przednimi łapami, marszczył uniesiony wysoko czarny mokry nos i wahał zapachy wewnątrz starych murów. Potem wystartował jak rakietka z szumem drutu odwijającego się szybko ze szpulki na jego grzbiecie. Pędził przez ciemność w poszukiwaniu swojej kolacji.

— Pauvre petite Czou — szepnął do siebie Hu Su. Biedne stworzenie. Czou miał wkrótce dostać skurczów i konwulsji. Hu Su nafaszerował ser wystarczającą ilością trutki na szczury, by uśmiercić małego psa. Nie można było dopuścić do tego, żeby Czou teraz zawrócił.

Pokryty sadzą, kurzem i śmieciami szczur dotarł w końcu do celu. Zerwał folię i zaczął łapczywie pożerać kolację o ostrym zapachu i smaku, dumę miasteczka Roquefort. Przedpokój otaczało teraz trzydzieści metrów wybuchowego drutu. Ilość C-4 w tych ścianach wystarczyłaby do zburzenia dużego budynku.

Czou zdechł na miejscu.

Zabójca starannie umocował ostatni kawałek listwy przypodłogowej i dokładnie usunął ślady. Dopiero wtedy spojrzął na swój nowy zegarek Tank. Przygotowanie „szczurzej pułapki”, jak nazywał swoją nową technikę, zajęło mu tylko dwanaście minut. Rozpiął i zdjął kombinezon, potem czapkę. Schował ubranie robocze do skrzynki narzędziowej, wyprostował się i poprawił krawat przed dużym lustrem w połączanej ramie.

Musiał nanieść trochę makijażu na czarną twarz, ale poza tym jego nowy wygląd powinien mu dobrze służyć przez dzień lub dwa w Londynie.

Zarezerwował apartament w luksusowym hotelu Dorchester, usytuowanym naprzeciwko Hyde Parku po drugiej stronie Park Lane. Ponieważ córka generała Moona znów nie wykonała zadania, miał

spotkanie z pewnym lordem. Był to Aleksander Hawke, brytyjski dżentelmen o kryptonimie „Pirat”.

A więc do Anglii!

Kiedy otworzył ozdobne drzwi przedpokoju i wyszedł na korytarz, poczuł się jak na pokładzie tonącego statku pełnego ludzkich szczurów.

Zmarszczył z niesmakiem nos. Wokół cuchnęło paniką. Po pałacu biegali
196

dyplomaci, urzędnicy, wojskowi. Wszyscy z narastającym strachem szeptali do telefonów komórkowych i mówili między sobą:

— Co prezydent zamierza powiedzieć przed kamerami?

— Czy Bocquet ustąpi? W Tulonie wybuchły zamieszki!

— A co na to Bonaparte? Mówi, że za kilka tygodni wyślemy naszych żołnierzy do Omanu? Nie jesteśmy lepsi od tych pieprzonych Amerykanów.

Hu Su skręcił za róg i skierował się szerokim korytarzem pod prąd rwącej rzeki biurokratów. Tu było więcej krzyków niż szeptów.

— Kto powstrzyma rzeź na ulicach?

— Mówię ci, że jesteśmy na krawędzi! To druga Wielka Rewolucja!

— Możesz mi załatwić miejsce w samolocie?

— W jakim samolocie?

— Wszystko jedno w jakim, idioto!

— Mon Dieu!

— Apres moi, k grand deluge - szepnął do siebie Hu Su. Po mnie choćby i potop.

Zdenerwowani tchórze przebiegali obok, nawet go nie zauważając.

Zszedł wąskimi schodami, które prowadziły do przedsionka i małych

bocznych drzwi. Zaledwie wczoraj wyszedł tędy na boczną ulicę nieopłakiwany przez nikogo Honfleur w towarzystwie sułtana Omanu. Widziany ostatnio około północy, potężny niegdyś arabski władca nadal żył. Ale związano go, zakneblowano, władowano na tylne siedzenie limuzyny i zawieziono na lotnisko. Mały wyczarterowany odrzutowiec zabrał go z powrotem do Omanu, gdzie sułtan miał być ukryty, uwięziony we własnym pałacu.

Kiedy pakowano go do samochodu, madame Li schyliła się i pocałowała go w usta. Biedaczek. Był taki przerażony.

Elegancki czarny dżentelmen w lśniących półbutach wyszedł lekkim krokiem na ulicę i skinął głową w kierunku dużego czarnego peugeota, który stał z pracującym silnikiem przy krawężniku po drugiej stronie jezdni. Kierowca w liberii, jeden z agentów generała Moona w Paryżu, uśmiechnął się na jego widok i otworzył tylne drzwi. Hu Su wszedł. Ruszyli, włączając się do gęstego ruchu. Dźwięki klaksonów wokół nich sygnalizowały rosnącą panikę.

— Vive le Nouvelle Napoleon! — rzucił przez ramię Chińczyk za kierownicą i postawił przy przedniej szybie niebieską migającą lampę.

— Pieprzyć Napoleona — odparł ze śmiechem Hu Su. — Vive les Chinois!

Zabójca rozparł się wygodnie na skórzanym siedzeniu i odprężył. Był zadowolony. Wykonał zadanie i dużo się nauczył podczas pobytu w Paryżu. Zbawiciel Francji go zainspirował. Przed tą podróżą Hu Su miał tylko jednego boga — generała Moona. Teraz w jego panteonie znajdowały się dwa wszechmocne bóstwa. Wkrótce zapanują nad światem. Dwie godziny później Hu Su stanął na płycie lotniska przy małym

samolocie Citation V, którym miał odlecieć do Anglii. Poczuł wibracje swojej komórki. Otworzył telefon.

—Tak?

— Czy w pułapce jest ser? — zapytał po chińsku czyjś głos. To był adiutant generała Moona, major Tony Tang. Mężczyzna w szarym flanelowym garniturze.

— Owszem.

— Czas zwolnić sprężynę.

— Jak pan sobie życzy, majorze.

— I jeszcze jedno. Sytuacja w Londynie nie wymaga już pańskiej obecności. Pańskie spotkanie z lordem zostało niestety odłożone. Jest problem w nowojorskim biurze. Niefortunna skaza w aktach monsieur Bonapartego, którą trzeba natychmiast usunąć. Będzie pan musiał wyeliminować jego dwóch dawnych pracowników. Niech pan się ich pozbędzie jak najszybciej. Bianca wszystko panu wyjaśni po pańskim przylocie do Nowego Jorku.

— Już jej nie ma w naszym londyńskim biurze?

— To ona odkryła, że CIA zainteresowała się nagle tymi dwoma dawnymi współpracownikami naszego przyjaciela. Skontaktuje się z panem w Nowym Jorku — zakończył Tang i się wyłączył.

Hu Su spojrział na swój telefon i wybrał numer. Napawał się tą chwilą. Po przypomnieniu tej liczby historia już nigdy jej nie zapomni.

Jeden... siedem... osiem... dziewięć...

Połącz.

198

Rozdział 29

Cotswolds

Kto go znalazł? — zapytał Congreve głównego ogrodnika, Jeremy'ego X\ - Pordage'a, tęgiego, zasapanego mężczyznę. Miał zaczerwienione policzki i pachniał lekko nawozem, co nie sprawiało nieprzyjemnego wrażenia.

Dyszał ciężko z dwutonowym poświstem. Położył spracowaną czerwoną rękę na sercu, jakby chciał je uspokoić. Congreve'a zaskoczyła wielkość jego dłoni. Ubrudzone gliną palce były zrogowaciałe, powykrzywiane i sękate niczym korzenie starego wiązu.

Diana stała tuż za nim i z za jego ramienia spoglądała na ciało w wodzie. Congreve dawno się przekonał, że śmierć jest czymś absolutnym, ale nie ma nic bardziej martwego niż topielec. Odwrócił wzrok od tego widoku. Na drugim brzegu rzeki pochylały się nieśmiało zgrabne wierzby. Jakby badały delikatnymi gałązkami brunatnożółtą wodę, nie mogąc się zdecydować, czy zapuścić w niej korzenie.

Ciało unosiło się pod powierzchnią wody twarzą w dół, blisko błotnistego brzegu rzeki. Głowa tkwiła w zagięciu częściowo zatopionego drzewa. Ręce i nogi zwisały bezwładnie poruszane rwącym nurtem. Sina dłoń wynurzyła się na chwilę, potem opadła w mrok. Drugi ogrodnik, dziesięcio- lub dwunastoletni chłopiec, stał na mocno spróchniałym pniu, starając się tak wydobyć zwłoki na brzeg, żeby się nie skąpać.

- Znaleźliśmy go razem z tym chłopcem - odrzekł stary Pordage. - Leżał tak jak teraz. Masz, Graham, spróbuj tym. — Podał młodemu ogrodnikowi grabie z długim trzonkiem. Po kilku próbach chłopcu udało się zahaczyć topielca pod pachą i odciągnąć od zwałonego drzewa. Uwolniona głowa wypłynęła na powierzchnię. Twarz była groteskowo nabrzmiała i sina, wargi spuchnięte.

- To Henry - szepnął do siebie Ambrose, choć nie miał całkowitej pewności.

Pordage i chłopiec stali obojętnie. Podniecenie minęło i wydawało się, że trup znaczy dla nich teraz tyle, co kłoda, którą trzeba usunąć z lasu.

- Och! — powiedziała Diana i zamilkła.

199

— Nazywam się Congreve - zwrócił się Ambrose do ogrodnika. - Jestem nadinspektorem ScotlandYardu.

Stary Pordage skinął z powagą siwą głową i zmierzył go wzrokiem.

Policjanci robili na nim większe wrażenie niż zwłoki.

— Wiem, kim pan jest - odrzekł i zdjął czapkę. - To dla mnie zaszczyt poznać pana. Ten chłopiec to mój wnuk, Graham. Pracuje ze mną.

— Cześć, Graham — powiedział Congreve do chłopca, który patrzył teraz na niego taksująco. Graham Pordage stał w gumiakach na starym pniu i ostrożnie przysuwał zwłoki do brzegu. Congreve przekonał się teraz, że topielec jest szczupły, średniego wzrostu, dobrze ubrany.

— Naprawdę jest pan policjantem? — zapytał chłopiec przez ramię.

Chwycił trupa od spodu i wciągnął prawie do połowy na stromy błotnisty brzeg. Nagle zwłoki wysliznęły mu się z rąk i zsunęły z powrotem na dół.

— Naprawdę - odparł Ambrose.

— Ze ScotlandYardu, Graham — dodał dziadek i schylił się, żeby pomóc wnukowi. Razem mocno chwycili topielca zanurzonego do połowy w wodzie.

— Panie Pordage, proszę się na chwilę cofnąć pamięcią do momentu, kiedy znaleźliście ciało. Czy zauważyliście jakieś oznaki walki, odciski stóp na brzegu, ślady opon w lesie?

— Nic takiego, panie inspektorze. Uważamy, że ten dżentelmen przyplął tu z prądem. Musiał utknąć w tamtym zwałonym drzewie późnym popołudniem, bo wcześniej przechodziliśmy tędy dwa razy, w południe i potem około czwartej, i jeszcze go nie było.

— Nie znaleźliście żadnych śladów krwi?

— Nie. Kiedy go zauważyliśmy, zapadał już zmierzch. Właśnie próbowaliśmy go wyciągnąć, gdy zobaczyliśmy pana i jej lordowską mość tam na wzgórzu.

— Nie kładźcie go na ziemi - odezwała się Diana. Wyglądało na to, że widok zwłok nie robi na niej -wrażenia. Zdjęła szybko pelerynę przeciwdeszczową i rozpostarła na błocie. Pordage i jego wnuk ostrożnie położyli ciało twarzą do góry. Ubranie topielca było mokre, z nogawek spodni i rękawów płaszcza wylewała się woda i inne, zapewne mniej przyjemne płyny. Martwy mężczyzna miał siną twarz, zamknięte oczy i mocno

opuchnięte powieki. W jego otwartych ustach, między nierównymi zębami, tkwiło mnóstwo liści i gałązek.

— To Henry — powiedział Ambrose bez żadnych emocji, jakby stwierdzając, że skoro wczoraj była niedziela, to dziś jest poniedziałek. Wyjął latarkę ołówkową i oświetlił głowę kuzyna. Do bladej czaszki kleiły się cienkie pasma rudych włosów. W blasku dnia byłyby jaśniejsze. Ambrose przyklęknął w błocie i delikatnie uniósł lewą powiekę nieboszczyka, potem prawą. Pochylił się do przodu i poświecił w martwe oczy. Wziął lewą rękę trupa. Skóra na palcach była pomarszczona od wody. Opuścił dłoń na ziemię.

— Hm — mruknął i wstał.

— Co znaczy to „hm”? — zapytała Diana Mars.

— Niewiele. Kończyny są sztywne. Steżenie pośmiertne. Lewe oko normalne, prawe maksymalnie rozszerzone.

— A to co znaczy?

— Uraz od uderzenia tępym narzędziem. Cios w głowę z zaskoczenia. Na rękach brak jakichkolwiek ran po walce. Nie bronił się. Zobaczymy, co powiedzą kryminolodzy. Powinniśmy natychmiast wrócić na górę i wezwać ekipę dochodzeniową. Panie Pordage, proszę zostać z wnukiem przy zwłokach, dopóki nie przyjedzie policja. To nie powinno długo potrwać. Na pewno będą mieli pytania. Przesłuchają was. Starajcie się tu niczego nie ruszać.

— Dobrze.

— To wszystko.

— To pański krewny, panie inspektorze?

— Mój kuzyn. Skąd pan wiedział?

— Powiedział pan: „To Henry ". Wszystkich tutaj pytano o Henry'ego Bullinga. Pokazywano nam jego zdjęcie. Nie rozpoznałem go. Moje kondolencje, panie inspektorze.

Ambrose podziękował, wziął Dianę pod rękę i odwrócił się, żeby odejść. Nagle coś mu przyszło do głowy i przystanął.

— Jeszcze jedno, panie Pordage.

— Słucham.

201

— Nie widział pan przypadkiem w okolicy byłego głównego lokaja jej lordowskiej mości, Oakshotta? Po waszym przypadkowym spotkaniu w pubie The Feathers.

— Nie widziałem go, panie inspektorze.

— Ja go widziałem — wtrącił się nagle Graham Pordage. — Dziś rano. Ambrose odwrócił się do chłopca.

— Naprawdę?

Dziadek Grahama poczerwieniał z gniewu.

— Co to ma znaczyć? Nic mi nie mówiłeś.

— Przepraszam, dziadku. Źle zrobiłem... A teraz... znaleźliśmy to ciało...

Diana Mars popatrzyła spokojnie na chłopca.

— Dlaczego nie powiedziałeś dziadkowi, że widziałeś Oakshotta, Graham? Przecież wiedziałeś, że policja szuka go w całym Gloucestershire, prawda?

— Nie byłem pewien, czy to on. Poza tym Oakshott zawsze był dla mnie miły. To znaczy, kiedy jeszcze tu pracował. Zanim stał się zabójcą.

— Skąd ten pomysł, że Oakshott jest zabójcą? — zapytał chłopca Ambrose.

— Myślę, że to on zabił tego mężczyznę.

— To bardzo poważny zarzut. Oskarżasz człowieka o zabójstwo, Graham. Nie ma się czego bać, ale musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć. Co konkretnie widziałeś dziś rano?

— Szczerze mówiąc, nie widziałem go.

— Nie widziałeś Oakshotta?

— Nie. I dlatego... bałem się powiedzieć, że... go widziałem. Słyszałem go tylko.

— Słyszałeś? Gdzie? Jak to było?

— Piłem herbatę, jak zwykle rano. Pod Cobble Bridge, starym mostkiem dla pieszych. Półtora kilometra stąd w górę rzeki. Niecały kilometr za

Spring Cottage. Pijam tam herbatę i jadam śniadania. Prawda, dziadku?

— Zgadza się.

— Mów dalej — zachęcił Congreve.

— Chyba trochę się zdrzemnąłem. Słońce dopiero wzeszło i nie byłem jeszcze całkiem rozbudzony. Wtedy coś usłyszałem. Kroki nad głową. I krzyki dwóch mężczyzn. Właściwie to jeden z nich krzyczał.

— O co im chodziło?

202

— Niewiele /rozumiałem. Wydało mi się, że rozpoznaję głos pana Oakshotta. Krzyczał do tego drugiego, że to wszystko jego wina. Że powinien go za to zabić. Nie rozpoznałem głosu tego drugiego. Potem...

— Tak?

— Zaczęli się bić tuż nad moją głową. To była straszna walka. Nic nie mówili, tylko stękali i zadawali ciosy. Tak się bałem, że zasłoniłem ręką usta, żeby nie usłyszeli mojego oddechu. Potem jeden z nich wrzucił coś do wody. Tam, gdzie prąd jest najsilniejszy. I uciekł. Słyszałem, jak przedziera się przez las. Ten drugi, pan Oakshott, pobiegł za nim. Ja uciekłem w przeciwną stronę.

— Co wrzucił do wody? Broń? — spytał Ambrose.

— Nie wiem.

— I cały dzień nic nie mówiłeś? - zapytał Congreve.

— Nie chciałem, żeby pan Oakshott miał przeze mnie kłopoty. I bałem się, że zobaczyłem coś złego.

— To prawda, Graham — odrzekł Ambrose. — I Yard będzie ci wdzięczny, jeśli...

— Och! - krzyknęła Diana.

Rozległ się przerażający odgłos, gdy coś przemieściło się wewnątrz zwłok i na wargach Henry'ego Bullinga pojawił się wielki bąbel szarej mazi, pękł i spłynął po jego ustach.

Diana przywarła do Ambrose'a. Objął ją. Drżała.

— Spokojnie — powiedział i poklepał ją po ramieniu.

Tym razem przy dotknięciu Diany Mars nie poraził go prąd.

Czuł tylko jej miękkość i ciepło.

Rozdział 30

Na pokładzie USS „Lincoln”

piękna maszyna - powiedział cudem ocalały agent CIA Harry Brock, mrużąc piwne oczy w popołudniowym słońcu. Północno-wschodni

203

wiatr porywał pianę z grzbietów wielkich fal na turkusowym oceanie.

Szeroki stalowy pokład pochylał się raz ku dziobowi, raz ku rufie. Brock i

Alex Hawke stali na pokładzie startowym lotniskowca USS „Lincoln”

razem z grupą marynarzy podziwiających myśliwiec przyszłości.

Eksperymentalny samolot przyciągał tłumy, odkąd Hawke wylądował tutaj sześć godzin wcześniej. F-35 miał wkrótce zastąpić wszystkie F/A-18

Super Hornet Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, będące teraz na wyposażeniu lotniskowca. Niedługo potem, po dopracowaniu i

dokładnym sprawdzeniu przez brytyjskich lotników wojskowych, takich

jak Hawke, F-35 miał wejść do służby w Królewskiej Marynarce Wojennej w miejsce maszyn Sea Harrier.

Jednomiejscowy odrzutowiec ponaddzwiękowy, którym Hawke przyleciał

rano na „Abrahama Lincolna”, był najnowocześniejszym samolotem na

świecie. Rozwijał prędkość prawie trzech machów i mógł dosłownie

zawisnąć w powietrzu. Hawke przekonał się o tym z zachwytem podczas lotu z bazy RAF-u w Uxbridge. Oznaczało to, że w czasie walki można tak wyhamować, by ścigający cię przeciwnik przemknął obok i w ciągu ułamka sekundy z myśliwego stał się zwierzyną.

Superlotniskowiec USS „Abraham Lincoln” (CYN 72) był okrętem flagowym grupy uderzeniowej, która zajmowała teraz pozycję na Oceanie Indyjskim. Amerykański sześćsetsześćdziesiątytysięcznik miał pokład startowy o powierzchni ponad jeden i osiem dziesiątych hektara. Załoga liczyła przeszło sześć tysięcy ludzi. Okręt napędzały dwa reaktory jądrowe o mocy pół miliona koni mechanicznych. Zapas paliwa jądrowego wystarczał na piętnaście do dwudziestu lat.

Na rozkaz dowództwa Siódmej Floty „Lincoln” płynął teraz po •wizycie w Hongkongu z maksymalną szybkością na zachód i był około dwustu mil morskich na południowy zachód od Sri Lanki. Ani Hawke, ani Brock nie znali punktu docelowego okrętu. Zaproszono ich tutaj tylko na odprawę alarmową, którą prowadził nowy kapitan lotniskowca, admirał George Blaine Howell, i dyrektor CIA, „Cegła” Kelly. Spotkanie było długie, pełne złych wiadomości i czarnych scenariuszy.

Pod koniec admirał Howell zwrócił się do Hawke'a:

— Komandorze Hawke, nie odzywał się pan w czasie odprawy. Widział pan wszystkie projekcje, gry wojenne i scenariusze. Koncentrację chiń-
204

skich sił w rejonie Zatoki. Chciałbym -wiedzieć, jaka powinna być pańskim zdaniem strategia marynarki, żeby rozwiązać ten cholerny problem z Chińczykami.

— Uważam, że wobec Komunistycznej Partii Chin może być tylko jedna

długofalowa strategia, panie admirale.

— To znaczy?

— My wygrywamy, oni przegrywają.

Howell patrzył na niego przez chwilę, potem uśmiechnął się szeroko.

— Myślę, że komandor Hawke całkiem trafnie podsumował również moją opinię, panowie. Jakież uwagi? Nie ma? Dziękuję wszystkim. Jesteście wolni.

Mieli z głowy kolejne cholerne spotkanie. Brock zbliżył się do Hawke'a i dyrektora Kelly'ego, którzy rozmawiali w rogu sali. Zaczekał w dyskretnej odległości, aż skończą. Potem zapytał Hawke'a, czy mógłby z nim pójść do centrum operacji lotniczych.

Brock chciał zobaczyć samolot i osobiście podziękować Hawke'owi za uwolnienie go z rąk Chińczyków. Poza tym dyrektor poinformował go poprzedniego wieczoru, że będzie współpracował z Brytyjczykiem podczas bardzo delikatnej misji w rejonie Zatoki. Najpierw jednak Hawke miał sprawdzić nową strefę zakazu lotów, którą Amerykanie wyznaczyli w przestrzeni powietrznej Omanu.

Operację „Czyste Niebo” zatwierdziła dawna kochanka Hawke'a, Conch. Consuela de los Reyes pełniła funkcję amerykańskiej sekretarz stanu. W przeszłości ją i Aleksa łączyły skomplikowane stosunki. Rozstawali się i wracali do siebie. Hawke popełnił poważny błąd. Po śmierci żony odnowił znajomość z Conch. Źle zrozumiała jego zamiary. Hawke szukał tylko spokojnego portu, żeby przeczekać sztorm. Conch myślała, że zacumował u niej na stałe.

Teraz, po długich miesiącach łez i kłótni, ich stosunki wróciły na płaszczyznę zawodową.

De los Reyes dostała informację od agenta w ambasadzie w Maskacie. Dowiedziała się, że sułtan został przemycony z powrotem do Omanu i prawdopodobnie wciąż żyje, choć jest zakładnikiem. Conch zdecydowała, że Hawke i Brock poprowadzą mały oddział specjalny, który przeniknie do Omanu i zbierze informacje o miejscu pobytu sułtana.

205

Zadanie było proste: znaleźć go, uwolnić i postawić przed kamerami, żeby ujawnił prawdę o podstępie Bonapartego. Zdyskredytowanie Francuza byłoby dużym krokiem w kierunku rozwiązania obecnego kryzysu bez wojny.

Oman ma opinię jednego z najbardziej niegościnnych miejsc na świecie. Hawke'a nie zaskoczyła wiadomość, że Conch zamierza go tam wysłać. Ale Brocka? Co ona ma przeciwko niemu? Brock najwyraźniej poleci prosto do Omanu na pokładzie jednego z citationów Agencji. Będzie koordynował działania agentów CIA, którzy przemieszczają się teraz z Arabii Saudyjskiej do Omanu. Zlokalizuje sułtana. Potem on i Hawke będą musieli go wydostać.

Hawke ledwo poznał Harry'ego Brocka. Minęły ponad dwa tygodnie, odkąd "widział go po raz ostatni. Amerykanin miał jasne spojrzenie. Ściął skołtunione włosy i brodę. Był opalony i w dobrej formie fizycznej. Część okresu rekonwalescencji spędził najwyraźniej w siłowni. Wykończony, naszprycowany narkotykami, zmaltretowany więzień, którego Hawke znalazł w schowku na pokładzie chińskiego statku, zniknął.

— Jezu Chryste — powiedział teraz Brock, patrząc na odrzutowiec. — Ta maszyna wygląda jak grot włóczni. To najpiękniejszy samolotjaki kiedykolwiek widziałem.

— Owszem — zgodził się Hawke. On też nie mógł oderwać oczu od myśliwca, arcydzieła sztuki inżynierskiej. Czekał niecierpliwie, aż technicy sprowadzeni na lotniskowiec z Pratt & Whitney Europę skończą swoją pracę. Chciał jak najszybciej znów usiąść w kokpicie i unieść się tym potworem w powietrze.

Kiedy uczestniczył w odprawie u admirała Howella, jeden z techników wykrył usterkę ruchomej dyszy gazów wylotowych. Była częścią nowego systemu napędowego F-35, umożliwiającą pionowy start i lądowanie. Gdy Hawke startował w Anglii, a potem lądował na lotniskowcu, wszystko działało doskonale. Ale nowe samoloty były pełne niespodzianek.

Przedstawiciel Pratt & Whitney powiedział mu, że technicy już naprawili usterkę, ale po raz drugi dokładnie sprawdzają cały samolot. Za dostrzegalną usterką często kryła się jakaś inna. Sumienność ekipy technicznej była zrozumiała. Myśliwiec kosztował przecież pięćdziesiąt milionów

dolarów. I choć pracowano nad nim od dziesięciu lat, system napędowy wciąż był w fazie badań.

Hawke już zakończył własną kontrolę przedstartową, ale przy samolocie krzątało się jeszcze co najmniej dziesięciu facetów. Miał być w powietrzu za trzydzieści minut. Na lotnisku we Włoszech czekali na niego amerykańscy i brytyjscy przedstawiciele zespołu, który realizował projekt myśliwca Połączonych Sił Uderzeniowych. Hawke właśnie się dowiedział na odprawie, że po przekazaniu im swoich uwag poleci dalej do Omanu.

— Jesteś kimś w rodzaju oblatywacza, Hawke? — zapytał Brock.

— Teraz chyba tak. Kiedyś byłem zwykłym pilotem myśliwskim.

— To awans czy degradacja?

— Nie wiem. Ale jest wesoło.

— Ten samolot musi być cholernie szybki. Wygląda na taki.

— Ma własny rozum. Praktycznie lata sam.

— To znaczy?

— Trudno to wytłumaczyć. Przyjmuje rady, nie polecenia. Zawsze wyprzedza pilota. Ledwo o czymś pomyślisz, on to robi. Chcesz podnieść dziób o piętnaście stopni, a on już to zrobił.

— To lepiej nie myśl o katastrofie — uśmiechnął się krzywo Brock.

— Nigdy o tym nie myślę.

— Doskonale, bo w najbliższych tygodniach czeka nas kupa roboty.

— Wiem. Jesteś moim nowym partnerem. Dyrektor właśnie mi powiedział. Czyj to był pomysł?

— Nie mój. Jestem tylko skromnym agentem.

— To, że uratowałem ci życie, nie oznacza, że muszę z tobą tańczyć.

Brock się roześmiał.

— Ktoś w Langley uważa, że stanowimy dobrą parę. Tylko tyle wiem, Hawke. Chcę cię o coś zapytać. Myślisz, że będzie wojna z Chinami? Na to się zanosi?

Hawke popatrzył uważnie na Amerykanina. Polubił go. Właśnie się dowiedział, że będzie z nim pracował; w pewnym momencie musi mu zaufać. Ale ledwo go znał. Kelly zapewnił go, że Brock jest czysty.

Lekarze CIA nie znaleźli w jego mózgu żadnego chińskiego implantu.

Całkowicie wyeliminowali scenariusz Mandzurskiego Kandydata.

207

Cegła powiedział, że agent Harry Brock wie więcej o tym, co się dzieje w Chinach, niż ktokolwiek w Langley Informacje, które zebrał w czasie

sześciomiesięcznego pobytu w tamtym kraju, były jednym z głównych powodów obecności tylu ważniaków na „Lincolnie” To, czego zdołał się dowiedzieć Brock, wywołało poruszenie w Waszyngtonie i Londynie W takiej sytuacji trzeba było uważać na każde swoje słowo

Hawke odrzekł więc

- Pewnie nas sprawdzają A co ty sądzisz, Brock'

Zobaczył ponad ramieniem Amerykanina, że obsługa odłącza kable zasilające, które biegły przez pokład do lśniącego F-35 Znak, że niedługo będzie w powietrzu

— Myślę, Hawke — odrzekł Brock — że znów wpadliśmy w nuklearne bagno

Hawke spojrzał na niego bez słowa

Brock potrząsnął głową jakby chciał się ocknąć ze złego snu Był spięty Jak każdy Z tego, co obaj usłyszeli w ciągu ostatnich trzech godzin, wynikało, że cały cholerny świat zmierza ku katastrofie Wyglądało to jak powrót do starych złych czasów, kiedy grożono sobie wzajemnie nuklearnym unicestwieniem Wczoraj wybuch potężnej bomby zabił prezydenta Francji, Guy Bocqueta Całe jedno skrzydło Pałacu Elizejskiego wyleciało w powietrze Francja balansowała na krawędzi rewolucji

Ostatnią rzeczą jaką widzieli na odprawie, było nagranie wideo z francuskiej telewizji Pokazywało wiwatujące tłumy powstrzymywane przez kordony policji, gdy Bonaparte jechał Polami Elizejskimi na białym koniu Takiego widoku się nie zapomina

Nowy rząd francuski z Bonapartem na czele właśnie oznajmił, że traktuje poważnie zaproszenie sułtana Omanu Wielu Francuzów uważało, że to będzie inwazja na suwerenny kraj nad Zatoką, ale nikt już nie miał odwagi

mówić takich rzeczy publicznie Oman był małym, trzymilionowym krajem, od dawna utrzymującym partnerskie stosunki z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi Ale francuscy przywódcy twierdzili, że zostali „zaproszeni” do Omanu przez wykształconego w Anglii sułtana Aji Abbasa

Telewizja France 2 powtarzała w kółko relację z konferencji prasowej zaginionego sułtana Aji Abbas oświadczył przed kamerami, że francuskie

208

wojska są natychmiast potrzebne do stłumienia powstania wspieranego przez Ludowo-Demokratyczną Republikę Jemenu

Kelly w to nie wierzył Prezydent Stanów Zjednoczonych też nie. Obaj uważali, że Francuzi sfingowali całą sprawę przy pomocy Chińczyków Sułtan zniknął wkrótce po swoim wystąpieniu Amerykanie dostali z Omanu informację, że rodzina sułtana znalazła się w areszcie domowym w dawnej nadmorskiej twierdzy na omańskim wybrzeżu Więźniów pilnowali francuscy żołnierze i agenci tajnych służb, którym towarzyszyła duża liczba chińskich „doradców” Hawke był pewien, że ani jego rodacy, ani Amerykanie nie będą stali bezczynnie z boku i nie pozwolą Francuzom zająć Omanu

W stolicy tego kraju, Maskacie, przebywała teraz francuska misja dyplomatyczna Tworzyła logistykę dla wojsk francuskich Zdjęcia satelitarne pokazywały eskadrę francuskich myśliwców mirage, stacjonującą na lotnisku w Maskacie

Tego ranka Oman nadal honorował porozumienie, umożliwiające Stanom Zjednoczonym korzystanie z jego portów morskich i baz lotniczych Pierwszym zadaniem Hawke'a było sprawdzenie, jak to działa w praktyce

Miał bez zapowiedzi wejść w omańską przestrzeń powietrzną i wylądować w międzynarodowym porcie lotniczym w Maskacie Przekonać się, czy ktoś spróbuje go zestrzelić Porozmawiać z władzami portu lotniczego, a potem wynieść się stamtąd w cholerę i zameldować, co widział Stany Zjednoczone i Wielka Brytania wciąż importowały omańską ropę i były żywo zainteresowane suwerennością tego małego kraju W aspekcie zarówno ekonomicznym, jak i politycznym

Nikogo nie powinno dziwić, że Grupa Uderzeniowa Lotniskowca „Lincoln” została teraz skierowana na Ocean Indyjski Mogła się stamtąd łatwo przemieścić na północ do Zatoki Omańskiej Ciekawe co będzie, gdy amerykańskie okręty spotkają chińską flotę, która płynęła teraz, żeby połączyć się z Francuzami

Do Hawke'a podszedł młody lotnik marynarki wojennej Zasalutował Miał dwadzieścia kilka lat W słońcu lśniły dystynkcje porucznika

— Panie komandorze

- Tak' 209

— Dowódca pionu technicznego Połączonych Sił Uderzeniowych polecił mi poinformować pana, że pański samolot został sprawdzony i jest gotowy do startu. Muszę powiedzieć, że zazdroszczę panu.

— Sam sobie zazdroszczę — odrzekł Hawke. Zasalutował i odwrócił się do Brocka.

— Do zobaczenia w Omanie, Harry. Wino, kobiety i śpiew.

— Mam nadzieję - roześmiał się Brock. - Zaczekaj, Hawke. Zapomniałem o czymś.

— O czym?

— Gdyby nie ty, nie byłoby mnie teraz tutaj. Ani nigdzie indziej. Hawke

uśmiechnął się do niego.

— Wykonałem tylko swoją robotę.

Uwolnienie zakładnika; dobry uczynek, który zawsze procentuje.

Odwrócił się i ruszył do samolotu. Kiedy wspiął się po drabince do kokpitu i postawił na fotelu pilota torbę z hełmem lotniczym, usłyszał komentarze członków załogi stojących wokół myśliwca:

— Wreszcie! Trzeba im dołożyć. — Zatrzymał się, zmarszczył brwi, potem wsiadł do kabiny.

Więc wiadomość już się rozeszła. Wiedzą, że leci do rejonu Zatoki, być może do Omanu. Kto to rozgłosił, do cholery? Schylił się i sprawdził, czy mocowania fotela katapultującego zostały prawidłowo zamontowane.

Niecałe pół godziny po ściśle tajnej odprawie wiadomość obiegła pewnie pół okrętu. A spotkanie nie było nawet rejestrowane. Zapiął pasy, wziął głęboki oddech i się uspokoił. Popatrzył uważnie na kolorowe wyświetlacze i dźwignie.

Podczas pierwszej wojny w Zatoce Hawke widział, jak plotki o akcjach bojowych w ciągu pięciu minut rozchodzą się od dziobu do rufy HMS „Ark Royal”. Oparł głowę w hełmie o zagłówek i na chwilę zamknął oczy. Kolejny kryzys w Zatoce. Tylko tym razem nie chodziło o usunięcie jakiegoś arabskiego dyktatora i jego nędznej armii.

Nie. Tym razem stawka była bardzo wysoka. Wszystko zaczęłoby się tutaj. Przypuśćmy, że Francuzi naruszają nową amerykańską strefę zakazu lotów nad Omanem. Zignorują operację „Czyste Niebo”. Poderwą w powietrze eskadrę mirage'ów, którą Hawke widział na zdjęciach satelitarnych.

Załóżmy, że on lub inny pilot myśliwski zestrzeli mirage'a.

Francuzi oczywiście użyją wówczas rakiet balistycznych. Świat wkroczyłby na bardzo niebezpieczną ścieżkę.

Bo Francja jest tylko czubkiem góry lodowej. Reszta to Chiny.

W tym rzecz. W tej chwili Francja trzyma w szachu Amerykę i Anglię.

Strefa zakazu lotów zwiększa ryzyko. Jak tylko Francja podniesie raban z powodu straty jakiegoś myśliwca nad Omanem, na scenę wkroczy jej nowy sojusznik — Chiny. Chiny zażądają, żeby Amerykanie i Brytyjczycy zrobili w tył zwrot. Żeby zostawili w spokoju Francję i jej interesy w Zatoce. Zachód znów stoi w obliczu globalnej konfrontacji nuklearnej. Po raz pierwszy od czasu, kiedy w roku 1962 JFK zmusił Nikitę Chruszczowa do wycofania rakiet z Kuby.

Jeśli nie liczyć krwawych konfliktów regionalnych, na świecie przez pół wieku panował pokój i względna stabilizacja. Teraz wszystko mogło się zawalić. Z Omanu zostałby tylko ślad na piasku. Gdyby Chiny rzeczywiście opowiedziały się po stronie Francji - a wszyscy obecni na odprawie przewidywali, że tak będzie — przed ludzkością otworzyłaby się głęboka czarna otchłań.

Jak się cofnąć znad krawędzi przepaści? Kelly twierdził, że ten cały cholerny bajzel to robota Bonapartego. Hawke i Kelly uważali, że mimo iluzji wielkości Francuz jest tylko pionkiem. Ale należało go usunąć, i to szybko. W tej chwili Ambrose szukał na to sposobu w Nowym Jorku.

Mając zeznanie naocznego świadka i nakaz, Interpol mógłby wtargnąć do Pałacu Elizejskiego i zaarrestować Bonapartego pod zarzutem zabójstwa własnego ojca.

Były jeszcze Niemcy, gdzie przebywał teraz Stoke. Miał ustalić, jaką rolę odgrywają w tej sprawie. Hawke wiedział, że Francja i Niemcy próbują

stworzyć „Stany Zjednoczone Europy”, żeby ekonomicznie, politycznie i militarnie dorównać Ameryce. Baron von Draxis miał w tym swój udział, ale jaki?

Mogła to wiedzieć piękna Jet. Stoke informował, że w tej chwili jest chętna do współpracy i można jej ufać. Przeczucie mówiło Hawke'owi, że Stoke się nie myli. Ale nie miał absolutnej pewności. Przecież jej siostra bliźniaczka, Bianca, próbowała go zabić. Ambrose kazał najlepszym ludziom zYardu szukać jej w całym kraju. Może w wypadku Jet i Bianki nadal bardziej liczyły się więzy rodzinne.

211

Kolejny problem, pomyślał Hawke i obrzucił wzrokiem tablicę przyrządów.

A to był dopiero wstęp do rozgrywki z Pekinem. Należało zrobić porządek z tym bałaganem, zanim osiągnie punkt krytyczny.

Czy Chińczycy wyślą do rejonu Zatoki następne oddziały wojskowe, żeby dołączyły do tych, które już są w Sudanie? Czy na Morzu Czerwonym pojawią się ich tankowce? Czy ich siły będą kontrolowały cieśninę Ormuz? Czy opanują światowe zasoby ropy? Nie, to się nie zdarzy. Przynajmniej za kadencji prezydenta Jacka McAtee. Dopóki będzie urzędował w Białym Domu, rejon Zatoki pozostanie niedostępny dla Chińczyków. Hawke słyszał to z jego ust na prywatnej kolacji w Waszyngtonie dwa miesiące temu.

No cóż, pomyślał Alex Hawke i poprawił się w ciasnym fotelu F-35. Jeśli świat ma pójść z dymem, będę miał przynajmniej najdroższe miejsce w pierwszym rządzie.

Sięgnął przed siebie i rozpoczął procedurę uruchamiania potężnego silnika

Rolls-Royce'a.

Rozdział 31

Alpy Bawarskie

Górska wspinaczka jest jak wódka Smirnoff- powiedział Stoke do Jet.

Przez cały ranek robił, co mógł, żeby się uśmiechnęła.

— To znaczy?!

— Zapiera dech.

Była zmęczona, dyszała ciężko i bolały ją nogi. A wszystko przez niego-

— Taaak, tutaj naprawdę zapiera dech - powiedział i wciągnął głęboko do płuc alpejskie powietrze. Właśnie wdrapali się między drzewami na kolejną stromą skałę. Stoke postanowił zrobić postój i pozwolić Jet odetchnąć. Stali na zboczu z widokiem na Obersalzburg.

Stoke czuł się wspaniale w tej pięknej okolicy. Ziemia nawet na tej wysokości była miękka. Gąbczasta. Przez gałęzie wysokich drzew sączyło się słońce. Oświetlało gruby dywan z sosnowych igieł. Powietrze było chłodne i czyste. Spojrzał w górę. Nad kołyszącymi się wierzchołkami drzew latały hałaśliwe kawki.

Podobało mu się w Niemczech.

Przynajmniej to, co w drodze z Berlina do Salzburga zdołał zobaczyć nocą przez okno pędzącego pociągu. Teraz, po godzinach wspinaczki, widział w dole białe wioski i zielone pola. Salzburg, gdzie przenocowali, znajdował się jakieś dwadzieścia kilometrów na północ stąd. Wciąż był widoczny w oddali. Piękny. Wokół, ponad gęstymi lasami, wznosiły się poszarpane szczyty zaśnieżonych pasm górskich. Wyjął z plecaka mapę i sprawdził ich nazwy. Góry Untersberg i Waltzmann. Na południowym zachodzie lśniło w słońcu niebieskie jezioro Kónigsee. Chciał je zobaczyć któregoś dnia.

— Czujesz ten zapach? — zwrócił się do Jet. — Boże Narodzenie.

— O czym ty mówisz, Stokely?

- O choinkach.

Jet wzruszyła ramionami i odeszła na bok. Pochyliła się, oparła ręce na kolanach i oddychała głęboko. Paliła o wiele za dużo i nie była w dobrej formie. Będzie musiał popracować z nią. Zwłaszcza teraz, kiedy mówią wszystkim dookoła, że jest jej osobistym trenerem. Dobra przykrywka. Jet to wymyśliła. Nauczyła go grać tę rolę. Umiała udawać.

Była cholernie dobrą aktorką. Musiał przyznać, że to go najbardziej niepokoiło w czasie tej podróży. Wspinaczka szła mu łatwo. Gorzej z odgadnięciem, po czyjej stronie naprawdę jest Jet. Ilekroć myślał, że przyparł ją do muru, wymykała się. Coś mu się nie podobało w jej oczach. Stoke, były komandos SEAL i nowojorski gliniarz, niewiele się dotąd wspinał po górach. Ale po dzisiejszym doświadczeniu uznał, że to nic trudnego. Przeczytał książkę o przebywaniu w rozrzedzonym powietrzu. Może na Mount Evereście, ale tutaj, w Obersalzburgu, powietrze wcale nie było takie rozrzedzone, a weszli bardzo wysoko.

Stoke przeniósł wzrok z mapy na wielką zaśnieżoną górę, która wyrastała w oddali ponad linią drzew.

- Spójrz.

213

— Na co' — zapytała Jet i zapaliła papierosa

— Tam To Zugspitze Ta góra ma przeszło trzy tysiące metrów wysokości
Jest najwyższa w Niemczech Mniej więcej w tamtym miejscu Alpy
Bawarskie łączą się z Tyrolskimi Uśmiechnij się, dziewczyno Już prawie
jesteśmy w Niemczech Teraz mamy z górki

— Mów o sobie

Była zmęczona Rozdrażniona Trochę wystraszona, choć nigdy by się do tego nie przyznała Wyglądało na to, że jej ojciec jest niebezpiecznym facetem A ona go wkurzyła Jet nie chciała o północy opuszczać swojego luksusowego apartamentu w berlińskim hotelu Adlon, żeby jechać do Salzburga

W holu ich berlińskiego hotelu Stoke zobaczył dwóch Arnoldów Stali tyłem do niego przy ladzie i rozmawiali z recepcjonistą Stoke wrócił właśnie cały spocony po wieczornym bieganiu Spozrzegł ich w drodze do windy Schylił głowę i szedł dalej Chyba go nie zauważyli Dwa blond przygłupy z „Valkyrie” Mięśniaki von Draxisa

Dziwne Meldowali się w najdroższym berlińskim hotelu Co jest grane? Stoke miał pewną teorię Stworzył ją w Wietnamie, żeby przeżyć Rzeczy, które na pierwszy rzut oka wydają się bez sensu, zawsze okazują się bardzo sensowne, jeśli przez chwilę zastanowić się nad nimi

Poszedł prosto do swojego pokoju i podniósł słuchawkę telefonu Najpierw zadzwonił do apartamentu Jet Obudził ją Powiedział jej, że rezerwuje dwa miejsca w nocnym pociągu do Salzburga Muszą natychmiast opuścić hotel Windą służbową Jet nie była zachwycona Mimo że to ona wpadła na pomysł, żeby zbadać tajną bawarską kryjówkę Schatziego

Stoke stopniowo poznawał Jet Górska wspinaczka nie bardzo jej odpowiadała Nie podobał jej się mały pensjonat, gdzie zamieszkali po przyjeździe do Salzburga Nie odpowiadał jej pokój Ani łóżko Ani materac Ani poduszka Nie smakowało jej śniadanie Wyglądało na to, że choinki też nie lubi W Chinach pewnie nawet nie świętowała Bożego Narodzenia, więc Stoke dał temu spokój

Wręczył Jet manierkę Była bardzo spragniona

Stoke ściągnął przez głowę czarny wełniany sweter i zawiązał rękawy wokół pasa Nad Alpami wzeszło słońce i zaczęło się robić gorąco Byli w górach już sześć godzin Wymknęli się z małego Gasthausu głęboko w lasach powyżej Salzburga godzinę przed wschodem słońca Stoke czuł się wspaniale Był zadowolony z łóżka i poduszki Spał jak dziecko pod puchową kołdrą Zapukał do Jet o czwartej rano, potem o czwartej trzydziści Pojawiła się o piątej

Niezbyt zadowolona, ale rozbudzona i ubrana

Niedobrze, że na „Valkyrie” utopił ochroniarza Ale nie powinno być z tym problemu Nikt nie widział Stoke'a na pokładzie Facet lał do wody i wypadł za burtę To się ciągle zdarza Taka jest najczęstsza przyczyna śmierci na statkach Stoke gdzieś to wyczytał Baron von Draxis zapewne się nie spodziewał, że jego była dziewczyna i czarny olbrzym będą go tropili w Niemczech Jednak widok dwóch Arnoldów w holu Adlona zaniepokoił Stoke'a na tyle, że postanowił się stamtąd wynieść

Wreszcie skontaktował się zAleksem na pokładzie USS „Lincoln” Hawke też był w kiepskim nastroju Przez dwanaście godzin trzymano go na jakiejś odprawie Nadal z rezerwą podchodził do pomysłu wspólnej podróży Stoke'a i jet do Niemiec Stoke zauważył, że dziewczyna zna niemiecki i może być bardzo pomocna przy grzebaniu w życiu Schatziego Dodał, że jego zdaniem jest zakochana w Hawke'u

Alex przypomniał przyjacielowi, że Jet jest kapitanem chińskiej tajnej policji i miała go zabić Stoke odrzekł, że będzie ją miał na oku Hawke wydawał się jednak zaprzątnięty czymś innym Musiał spróbować zapobiec III wojnie światowej

Polecił Stoke'owi ustalić kilka rzeczy Po pierwsze, co to jest „Tempelhof”? Chiński generał, który uwięził Brocka, wypowiedział to słowo tak, jakby było bardzo ważne Wiadomo, że to stary port lotniczy w Berlinie Ale co Tempelhof może mieć wspólnego z tym wszystkim? Trzeba się tego dowiedzieć Po drugie, czy ci cholerni Niemcy coś kombinują razem z Francuzami, Jeśli tak, to co? Po trzecie, jaką rolę odgrywa w tym von Draxis? Baron na pewno jest powiązany z zabojadami i Chińczykami, ale jak?

Stoke odpowiedział, że już przystąpił do działania i się wyłączył - Daleko jeszcze? - zapytała Jet i oddała mu manierkę Pustą Nie miała już sił, ale Stoke nie bardzo jej współczuł Wiedziała, czego się można spodziewać w czasie tej podróży

215

Powiedziała, że do celu ich wyprawy nie prowadzą żadne drogi. Nie dojedzie się tam samochodem. Trzeba mieć helikopter. Stoke odparł, że helikopter ściągnie tylko na nich uwagę. Muszą iść pieszo. Będą udawali turystów. Zgodziła się. Teraz najwyraźniej żałowała tego. Pocieszył ją, że według mapy zostało im do przejścia tylko półtora kilometra. Dodał, że głównie w dół, ale nie była to prawda.

Pół godziny później dotarł spocony do słonecznej polany na gęsto zalesionym zboczu. U podnóża malowniczej góry stał wielki dom jak z bajki o Jasiu i Małgosi. Tyrolski zamek, zbudowany pod stromą skalną ścianą. Obok domu wiła się wąska żwirowa ścieżka i znikwała wśród drzew na wschodzie. Po zachodniej stronie rozciągał się trawiasty teren, na którym zmieściłby się helikopter. Trawa wyglądała i pachniała tak, jakby niedawno ją skoszono. Może robiono to regularnie. A może spodziewano

się towarzystwa. Na przykład dużego helikoptera w kolorze nazistowskiej czerni.

Duże okna na parterze z białego stiuku miały czerwone okiennice. Trzy drewniane piętra. Balkony otoczone białymi skrzynkami z czerwonymi pelargoniami. Na dachu z szerokim okapem leżały kamienie. Pewnie dla ochrony przed silnym wiatrem.

— To tutaj? — zapytał Jet.

- Tak - odrzekła. Przytrzymała się jego ręki, schyliła i rozmasowała bolącą kostkę.

Miejsce to nie wyglądało na górską kryjówkę miliardera. Przypominało raczej dom z bajki, w którym mogłaby zamieszkać Królewna Śnieżka, gdyby wyszła za mąż i miała gromadkę dzieci. Może o to właśnie chodziło.

— Mówiłaś, że baron ma duży Schloss — zaśmiał się Stoke.

- Zamek jest ukryty wewnątrz góry za domem. Ten uroczy pensjonat to tylko fałszywa fasada. Maskuje tajne wejście.

— Wygląda cholernie realistycznie — powiedział Stoke. — Teraz rozumiem co znaczy Schloss. Dobrze to wymówiłem?

- Nie.

Jet powiedziała to po swojemu, ale Stoke nie zauważył wielkiej różnicy w wymowie. Mimo wszystko to cholerny język. Cokolwiek mówisz po niemiecku, brzmi tak, jakbyś chciał komuś przegryźć gardło. Ich liebe dich. Kocham cię. A brzmi: pożrę cię na kolację.

— Chodźmy się przywitać z Frau Wienerwald — powiedział. Tak nazywała się kobieta, która prowadziła fałszywy Gasthaus barona. Z opowieści Jet wynikało, że ten babsztyl zjada małe dzieci, kiedy zabłądzą

w lesie.

— Winterwald - poprawiła Jet. -Wierz mi, że jeśli przekreślisz jej nazwisko, nie uzna tego za zabawne. To oficjalna strażniczka Schatzi-Worldu.

— Cały ten cholerny kraj przypomina Disneyland — odrzekł Stoke.

— A wcale taki nie jest — zapewniła Jet.

Rozdział 32

Ocean Indyjski

Hawke połknął swoje śniadanie pilota myśliwskiego - dwie aspiryny, kubek kawy i ernetyk — i skierował się do samolotu. Silniki nabierały obrotów. Na szerokim pokładzie startowym roilo się od ludzi w zielonych, purpurowych i żółtych kurtkach. Każdy kolor oznaczał inną funkcję. Z „Nimitza" przyleciały właśnie F/A-18 super hornety. Groźne i zabójcze, ale w obecności smukłego jednomiejscowego F-35 wyglądały na przedwcześnie przestarzałe.

Młodzi lotnicy patrzyli z zazdrością na samolot Hawke'a. Chłopcy, którzy nie wyobrażali sobie życia bez latania. Wycisnąć ze swojej cholernej maszyny wszystko, co się da, przy przeciążeniu dziewięciu czy dziesięciu g, na granicy samobójstwa, gdy krew odpływa z mózgu do kończyn. Wejść na godzinę szóstą anonimowego przeciwnika, odpalić Sidewindera i zestrzelić go z nieba. Zrzucić na niewidocznych wrogów śmierć i zniszczenie, potem polecieć do domu, na ciepłą koję na wielkim okręcie z kilkoma tysiącami podobnych facetów. Upić się, powalczyć na pięści i odespać to. Stracić przyjaciół, żonę, rodzinę. Może uronić nawet kilka łez, kiedy będzie po wszystkim, kiedy wielkie podniebne zawody strzeleckie wreszcie się skończą.

I po co to wszystko? — pomyślał Hawke. Dla honoru? Dla igrania ze śmiercią? Dla sławy?

217

Głupie pytanie, powiedział sobie Hawke, próbując dostroić trzeszczące radio. Bo ci piloci, którzy poznali prawdziwą odpowiedź, są martwi.

— To naprawdę ty, Sokole Oko? — zabrzmiał w słuchawkach Aleksa znajomy głos.

— Zgadza się — odpowiedział Hawke i zapiął ciaśniej uprząż.

— A niech mnie, to naprawdę on! Patrzcie, chłopaki, tym razem kapitan Hawke pilotuje prawdziwy samolot!

To był nowy szef operacji lotniczych Joe Daly. Stary upierdliwy facet przeniesiony ostatnio na „Lincolna” z „Kennedy'ego”, gdzie amerykańscy piloci nazywali go Żelaznym Księciem. Hawke pamiętał śmieszny nosowy akcent Daly'ego ze swojego krótkiego pobytu na pokładzie amerykańskiego lotniskowca „Big John”. Trzy lata temu Alex wywołał na tym okręcie pewne zamieszanie, gdy wylądował tam swoim małym hydroplanem. Było to w krytycznym momencie jego kryzysu osobistego. Hawke i Daly działali sobie wzajemnie na nerwy. Z jakiegoś powodu nie mogli się dogadać. Gdy Hawke sprawdzał paliwo, usłyszał w słuchawkach trzaski i Księżę znów się odezwał.

— Kiedy ostatni raz cię widziałem, Sokole Oko, latałeś tą swoją małą zabawką. Chyba sam ją zrobiłeś z cynfolii i gumek recepturek. Usiadłeś na moim pokładzie dopiero za czwartym czy piątym podejściem. Jak się nazywał ten samolocik?

— „Kittyhawke”. Najlepsza maszyna pod słońcem.

— Pieprzysz głupoty, chłopie. Zabieraj się z mojego pokładu.

Hawke się roześmiał. Stosując się do ręcznych sygnałów szefa pokładu startowego, podkołował ostatnie kilka metrów na katapultę numer 1. Klapy miał już ustawione do startu, więc tylko siedział i obserwował. Człowiek w zielonej kurtce przyklęknął na pokładzie i umocował do przedniego koła samolotu zaczep katapulty. Gotowe.

— O ile pamiętam, wylądowałem za drugim podejściem — powiedział Hawke i wyciągnął szyję, żeby po raz ostatni spojrzeć dookoła na „Lincolna”. -Widzę, że dostał pan nowy okręt.

— W tej marynarce śmietanka zawsze wypływa na wierzch, Sokole Oko. Na pewno umiesz latać tą cholerną maszyną?

— Zaraz się przekonamy — odrzekł Hawke.

218

Zauważył, że drży mu trochę ręka na drążku sterowym. Adrenalina. Mówił sobie, że nie boi się tego potwora. Jest tylko podekscytowany startem z lotniskowca. Ciekawy, jak to będzie.

— Dobra, Sokole Oko, wystartujesz jako drugi — oznajmił przez radio Żelazny Książę. - Przepuścisz tego horneta przed tobą. Lepiej, żeby wzbił się w powietrze, zanim wciśniesz jakieś nieznane ci przyciski. W porządku?

— Tak jest - odpowiedział Hawke i uśmiechnął się od ucha do ucha. Jeden fotel. Jeden silnik. Szybkość ponaddźwiękowa.

Z hornetem przed nim były jakieś problemy. Hawke zmusił się do cierpliwości i czekał, aż ciągniki odholują niesprawny myśliwiec z katapulty i ustawią go na miejscu poprzednika. Operacja wydawała się trwać całą wieczność.

— Startujesz pierwszy, Sokole Oko — zawiadomił go Żelazny Książę po

kilku długich minutach.

— Przyjąłem — potwierdził Hawke.

Sięgnął do przepustnic. Ciśnienie oleju i hydraulika w porządku. Poruszył dźwignią i sprawdził działanie usterzenia poziomego. Poniżej, w małej kopule wystającej tuż nad pokład, widział „strzelca”, operatora katapulty. Przygotowywał urządzenie. Ze szczeliny pod samolotem Hawke'a unosiły się obłoki białej pary.

Strzelec monitorował wzrost ciśnienia w cylindrach katapulty. Siła uwięzionej pary i ogromny ciąg silnika Rolls-Royce miały za chwilę wyrzucić myśliwiec w powietrze. Czas wreszcie wystartować.

Hawke zasalutował i czekał.

Jedno uderzenie serca, drugie... Poczł szarpnięcie, gdy operator zwolnił tłok hydrauliczny, który ustawił katapultę w pozycji gotowości. Pchnął przepustnicę do przodu i potężny silnik nabrał mocy. Obroty, temperatura gazów wylotowych, dopływ paliwa — wszystko gra. Katapulta odpaliła. Wielki samolot zadrżał jak żywa istota i ruszył.

A potem... nic.

Sunął wzdłuż pokładu, ale nie przyspieszał. Chryste! Hawke zmniejszył moc i wdepnął hamulce. Musiał się jakoś zatrzymać. Co robi ten cholerny komputer, kiedy jest naprawdę potrzebny? Powinien wyprzedzać każdy ruch pilota. Przecież musiał -wiedzieć, że nadchodzi ten koszmar!

219

Dwie sekundy później Hawke balansował z walącym sercem na krawędzi czołowej pokładu startowego. W słuchawkach słyszał opanowany, uspokajający głos szefa operacji lotniczych, ale wielki myśliwiec zsuwał się coraz dalej przy każdym przyprawiającym o mdłości ruchu okrętu na

fali. Hawke postanowił odstrzelić osłonę kabiny. Musiał się wydostać na zewnątrz. Za późno na katapultowanie? Może nie, jeśli...

— Zostań w kokpicie, Sokole Oko - polecił szef operacji lotniczych, jakby czytał w jego myślach. - Przyczepimy cię do ciągnika i...

— Przyjąłem. Ale samolot mocno się kołysze i przechyla. Może trzeba będzie...

— Wiem, wiem... Niech to szlag... Ludzie już próbują opuścić ogon twojej maszyny. Musimy przemieścić do tyłu środek ciężkości samolotu i przytrzymać go, dopóki nie przyczepimy cię do ciągnika.

— Dobry pomysł, ale...

— Do jasnej cholery! Zostań w kokpicie!

— Przyjąłem. Nigdzie się nie wybieram.

— Już prawie cię przyczepiliśmy, Sokole Oko. Jeszcze moment i...

Okretem zakołysała wielka fala.

Samolot runął w dół.

Kiedy F-35 spadał, Hawke zobaczył masywny dziób okrętu, prujący fale.

Nie wiedział, co jest gorsze - widok zbliżającej się wody, czy ostrego i jak nóż dziobu lotniskowca, który sunął w jego kierunku.

Niech to szlag!. Powinien się w porę katapultować. Teraz będzie uwięziony w kabinie i ten cholerny okręt zmiażdży go. Poczul mdłości.

Uderzył w wodę. Mocno. I zobaczył z przerażeniem, jak ogromny dziób wali prosto na jego maleńki samolot.

Nie zdążył nawet zamknąć oczu.

Gdy usłyszał złowrogi trzask, wiedział, że już po nim. Dziób okrętu przeciął samolot na pół. Ale Hawke nie zginął. Koziółkował, objając się o dno lotniskowca. Czuł się tak, jakby jechał dziupem po tarce z szybkością

stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Ale nadal żył. Był szczelnie zamknięty w kapsule kokpitu, który wydawał się nienaruszony. Samolot musiał się przełamać tuż za nim, między kabiną i skrzydłami. Woda była taka przejrzysta! Widział całe dno okrętu, kiedy podskakiwał w oceanie i odbijał się od „Lincolna”. Czuł każdy

220

wstrząs. Przy każdym uderzeniu skorupiaki na kadłubie masywnego lotniskowca żłobiły pleksiglasową osłonę kokpitu.

Ale wytrzymała to.

Potem świat odwrócił się gwałtownie do góry nogami. Fotel wystrzelił do przodu. Hawke wpadł na pleksiglas i był pewien, że zostanie wyrzucony na zewnątrz. Zsunęła mu się maska tlenowa. Jakieś ostre odłamki pokaleczyły mu twarz. Stracił ostrość widzenia. Ale jakimś cudem osłona wytrzymała. Myślał gorączkowo, jak przeżyć. Próbował ogarnąć to, co się dzieje, i znaleźć wyjście z sytuacji. Każda sekunda stanowiła wieczność. Zawiódł bolec mocujący fotel do podłogi. Gdy dziób samolotu opadł w dół, fotel po prowadnicy przesunął się do przodu, a Hawke hełmem omal nie przebił osłony kokpitu. W tym momencie jakaś siła poderwała dziób do góry i fotel zsunął się po prowadnicy do tyłu. Tak było już dużo lepiej. Hawke mógł ruszać głową. Nie miał złamanego karku.

Pomyślał, że może wyjść z tego cało. Ale nadzieja trwała krótko. Znow ogarnął go strach, gdy usłyszał przerażający odgłos.

Głośny dźwięk narastał. Był ogłuszający.

O, cholera!

Śruby!

Zobaczył je niewyraźnie pod kadłubem na rufie. Szybko się zbliżały.

Wirujące łopaty były prawie niewidoczne w białej spienionej wodzie. Zdał sobie sprawę, że naprawdę się boi. Przerazał go ten cholerny dźwięk śrub. Wywoływał w umyśle obrazy tragicznego końca. Uwięziony w pędzącym kokpicie Alex Hawke przeżywał chwile prawdziwej grozy. Każda z czterech masywnych brązowych śrub miała średnicę ponad sześciu metrów i ważyła trzydzieści ton. Była zamontowana na długim wale, połączonym z turbiną parową, którą napędzał jeden z dwóch reaktorów jądrowych o łącznej mocy pół miliona koni mechanicznych. Wszystkie śruby wirowały teraz z szybkością ponad dwóch tysięcy obrotów na minutę. Wodę przecinało szesnaście ostrych jak noże łopat. Płynąc szybko w kierunku tych gigantycznych maszynek do mielenia mięsa, Alex Hawke odkrył w końcu, co to naprawdę jest strach. Nie skrada się on powoli i nie zaciska lodowatych palców na twojej szyi. Strach eksploduje w twoim mózgu, paraliżuje cię. Hawke trzął się gwałtownie. Zaciskał mocno usta, żeby nie szczekać zębami.

221

Poobijana kapsuła Aleksa Hawke'a uderzała w dno okrętu, odrywała ostre bryły skorupiaków i sunęła prosto na śruby. Hawke już wiedział, jak zginie. Widział to wyraźnie w wyobraźni. Zostanie posiekany na drobne kawałki. Czuł wzrost szybkości, który przybliżał go coraz bardziej do wirujących łopat.

Hałas był nie do zniesienia, widok wywoływał przerażenie. Woda pod śródkrećciem wciąż była zadziwiająco przejrzysta. Kiedy Hawke zbliżył się do rufy, zobaczył wielkie chmury pęcherzyków powietrza i cztery wiry, wytwarzane przez gigantyczne śruby. Cztery wielkie próżnie wsysały go ku rufie z ogromną szybkością.

I wciąż przyspieszał.

Mimo strachu miał otwarte oczy. Chciał wszystko widzieć w ostatnich sekundach życia, gdy pędził na pewną śmierć. Doskonale widział zakrzywione łopaty każdej śruby, kiedy wpływał prosto w wir.

Dostał się w zasięg zewnętrznej śruby. Sunął tunelem śmierci. Zaczął się obracać. W wibracjach i hałasie zniknęło wszystko z wyjątkiem ostrych krawędzi łopat. Miał wrażenie, że śruba minimalnie zwolniła, ale może tylko tak mu się zdawało. Wszystko działo się teraz w zwolnionym tempie.

Naprężył uprząż, żeby zobaczyć to, co nadchodzi. Widziane stąd przestrzenie między łopatami były dużo większe. Ale nie dość szerokie dla kapsuły odchylonej do góry pod kątem czterdziestu pięciu stopni. A gdyby przeniósł środek ciężkości kabiny do przodu? Znow wstąpiła w niego nadzieja. Może mógłby się prześliznąć między łopatami... Zaraz... Wypadł boleć... Ruch fotela w przód może by wystarczył... Złapał się uchwytów po obu stronach kokpitu i z całej siły szarpnął ciało do przodu.

Zrobił ostatni desperacki krok. Jeśli dziób będzie opuszczony w dół, może uda mu się przepłynąć między dwiema łopatami. Nie był fizykiem, ekspertem w dziedzinie mechaniki cieczy, ale przecież, do jasnej cholery...

Fotel wystrzelił do przodu i Hawke znow uderzył hełmem w osłonę kabiny. Usłyszał głośny trzask. Coś pękło. Hełm albo pleksiglas. Ale w środku nie pojawiła się woda. Poczul tylko na twarzy ciepłą krew. Przestał widzieć. Wydało mu się, że dziób minimalnie opadł. Potem otoczyła go ciemność.

Zdezorientowany, obracał się gwałtownie w kilwaterze. Odzyskał przytomność i nagle zobaczył pomarańczowe słońce na horyzoncie.

Jakimś cudem wciąż żył.

Otarł z oczu krew i zauważył, że podskakuje gwałtownie na powierzchni oceanu. Miotają nim wiry za czterema •wielkimi śrubami „Lincolna”.

Widział, jak rufa lotniskowca oddala się od niego. Serce waliło mu z taką siłą, jakby chciało się wyrwać z piersi. Wiedział, że musi się jakoś wydostać z kapsuły, ale nie mógł zapanować nad trzęsącymi się rękami.

Spróbował kilka razy odstrzelić osłonę kabiny, ale brakowało mu koordynacji ruchowej. W końcu się udało.

Odstrzelił osłonę kabiny.

I natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że popełnił fatalny błąd. Kokpit natychmiast zaczął się wypełniać wodą morską. Sięgnęła mu powyżej kolan i się podnosiła. Kabina przechyliła się na dziób i zaczęła tonać.

Hawke szarpał rozpaczliwie uprząż, ocierając sobie skórę na palcach.

Dziesięć czy dwanaście metrów pod powierzchnią udało mu się uwolnić.

Wydostał się z tego, co pozostało z jego zniszczonego samolotu i zaczął się wznosić ku powierzchni.

Kiedy się wynurzył, usłyszał nad sobą głośny hałas i zobaczył w górze wielki helikopter, który przesłaniał mu niebo. W jego kierunku płynął energicznie ratownik. Drugi stał w otwartym włazie. Podmuch rotora zwiększał fale, które przykryły Hawke'a. Opił się słonej wody i poczuł, jak człowiek ze śmigłowca szarpie go do góry za kombinezon lotniczy. Po kilku sekundach znów był na powierzchni i wypluwał wodę, gdy zalała go następna fala.

— Chryste! — krzyknął do niego ratownik przez hałas helikoptera. Włożył mu przez głowę pętlę z liny i ściągnął w dół przez ramiona. — Kiedy samolot wpadł do wody, myśleliśmy, że już po panu! Ale dlaczego

odstrzelił pan osłonę kabiny?

Hawke wypluł resztkę wody i się uśmiechnął. Jego wybawca był jeszcze bardzo młody, miał nie więcej niż dwadzieścia lat. Pętla na piersi Hawke'a zacisnęła się i poczuł szarpnięcie do góry. Zaczął się wznosić do wiszącego w powietrzu helikoptera.

— Niech pan nigdy nie odstrzeliwuje osłony kabiny! — zawołał chłopak.

— Następnym razem postaram się o tym pamiętać! — odkrzyknął w dół Hawke.

223

Rozdział 33

Nowy Jork

Ambrose Congreve przybył do budynku numer 21 przy Pięćdziesiątej Drugiej Zachodniej ulicy. Był w pogodnym nastroju — właśnie miał zjeść kolację w ulubionym nowojorskim klubie 21. Niespieszny spacer Piątą Aleją, w ciepłym powietrzu, przy zapadającym zmroku, był bardzo przyjemny. Ambrose dostał luksusowy, narożny apartament w hotelu Carlyle przy skrzyżowaniu Siedemdziesiątej Szóstej ulicy i alei Madisona. Pokój miał piękne obicia i bogato zdobione meble. Kiedy Congreve tego popołudnia wszedł do niego po raz pierwszy, zastał w środku olbrzymi bukiet hortensji.

Pachnąca niebieska koperta firmowa kwiaciarni z Park Avenue znalazła się w kieszeni kamizelki Ambrose'a. Będzie musiała poczekać. Wiedział, kto przysłał kwiaty, i to mu wystarczyło.

Zamówi martini z lodem i czekając przy barze na człowieka, z którym był umówiony na kolację, przeczyta wiadomość od Diany. Specjalnie przyszedł do klubu wcześniej, żeby zdążyć podelektować się liścikiem

oraz smakiem dżinu.

- Dobry wieczór, panie Ambrose. Miło nam znowu pana gościć - odezwał się wytworny mężczyzna, stojący przy drzwiach do sali restauracyjnej.

Congreve wszedł do swojego ulubionego lokalu, ozdobionego gęsto zawieszonymi pod sufitem modelami jachtów, samolotów oraz pamiątkami sportowymi. Uścisnął dłoń szefa sali. Bruce Snyder był duszą tego legendarnego lokalu. Wysoki, przystojny, zawsze nosił zaczesane do tyłu włosy i ubierał się w nieskazitelne garnitury. Łączył w sobie manieri eleganckiego nowojorczyka i bezpośredni, miły sposób bycia, wyniesiony z rodzinnej Oklahomy. Oceniał, komu jakie przysługuje tu miejsce. Bruce decydował, czy gość usiadzie na jednym z najlepszych miejsc przy frontowych oknach, czy też zostanie zesłany na Syberię, to znaczy za bar. Wbrew pozorom był dobrym człowiekiem, w przeciwieństwie do wielu ludzi z jego branży. Miał dystans do swojej roli i odgrywał ją ze szczerym uśmiechem. Dlatego Ambrose go lubił.

224

— Jestem umówiony, panie Bruce — oznajmił. — Przyszedłem trochę wcześniej i chętnie napiję się na początek przy barze czegoś zimnego.

— Świetny pomysł. Zarezerwowałem dla pana narożny stolik przy oknie.

Już jest wolny i zaczeka na pana - powiadomił Snyder. - Czy tym razem przyjechał pan do Nowego Jorku w sprawach zawodowych, czy dla przyjemności, panie inspektorze?

— Z obu powodów. Dzisiejszego wieczoru zamierzam zająć się dwiema rzeczami, panie Bruce. Waszym przepyszny homarem oraz tym starym twardzielem Mariuccim. Połączę przyjemność z obowiązkiem.

— Mariucci nie jest aż taki straszny — odparł ze śmiechem Snyder. — Był

u nas wczoraj. Przyszedł z wnuczką, miała urodziny.

— A nie gasił świec, strzelając z rewolweru?

Bruce roześmiał się ponownie i odprowadził gościa do baru.

— Każemy mu zostawić rewolwer w depozycie. Proszę mnie zawołać, kiedy będzie pan miał ochotę usiąść przy stoliku.

Ambrose zamówił wytrawne bombay sapphire i wyciągnął z kieszeni małą, niebieską kopertę. Miała ten sam odcień co hortensje. Congreve zauważył, że drżą mu ręce. Odłożył liścik od Diany na bar, gdy postawiono przed nim drinka. Najpierw się napiję, pomyślał. Chyba tracę panowanie nad sobą...

Nagle na jego ramieniu spoczęła czyjaś ciężka dłoń.

— Ahoj, żeglarzu, pierwszy raz w Nowym Jorku?

Kapitan John Mariucci, znany swoim kolegom jako Moochie, zaś przez przestępców, których posłał za kratki, nazywany mniej serdecznie, współpracował z powodzeniem z Ambrose'em już przy kilku sprawach. Od ostatniej zdążyło minąć wiele czasu. Moochie miał chyba z metr pięćdziesiąt pięć wzrostu i wydawał się szerszy niż wyższy. Śniady, nosił czarne wąsy i krótko przyszczyżone czarne włosy. Teraz były już szpakowate, ale wcale go to nie postarzało, wyglądał tylko trochę mniej groźnie.

Congreve schował niebieski liścik i uścisnął dłoń Mariucciego, starając się nie jęknąć z bólu. Moochie miał stalowy uścisk, jak nikt — nie licząc Stokely'ego Jonesa.

— Proszę jeszcze dwa takie same drinki — rzucił Ambrose barmanowi. -
Przenosimy się do stolika.

Mariucci zaczął od wypicia połowy drinka, po czym spytał: 225

— Z czym przyjeżdżasz do naszego miasta' Dawno się nie widzieliśmy, ale odnowieniem przyjaźni zajmijmy się później Czym mogę ci służyć' Kobiety, stolik w Rao' O co chodzi?

Ambrose z uśmiechem wypił łyk smakowitego dzinu

— Słyszałeś o niejakim Napoleonie Bonapartem? — zagadnął

— Obiło mi się o uszy Taki kurdupel, zdaje się Francuz Zawsze trzymał łapę pod klapą marynarki, jakby sięgał po spluwę

— Ten sam

— Daje ci się we znaki, inspektorze'

— Żebyś wiedział

— W takim razie damy mu kopa w dupę

— Po to właśnie przyjechałem

— Opowiedz mi szczegóły, ale najpierw zamówmy stek Ja stawiam, ostatnio w Londynie ty płaciłeś

Ambrose się nie sprzeciwiał Był na terytorium Moochiego, a on lepiej wiedział, co się je w Nowym Jorku i kto powinien postawić Mariucci skinał na kelnera

— Prosimy dwa krwiste nowojorskie steki, z frytkami i sałatką Sunset, sos Lorenzo — powiedział — Karty nie trzeba

— Czy na pewno chcą panowie jeść steki z kurczakiem' - spytał kelner, notując zamówienie Nie protestował, chciał się tylko upewnić, czy dobrze zrozumiał

— Jestem głodny - wyjaśnił John -Ale ma pan rację, to będzie za dużo jedzenia W takim razie niech pan przyniesie samą sałatę z kapustą

— Dobrze, proszę pana

Mariucci oparł się wygodnie i się rozejrzał Sala pełna była znanych twarzy

Ambrose był pewien, że kapitan zna nazwiska niemal wszystkich obecnych w restauracji ludzi

— Francuzom odbiło, prawda' — odezwał się John, zakończywszy inspekcję - O co im chodzi' Zapomnieli o Normandii' Ładna plaża A tak nawiasem, ciągle nosisz żółte skarpetki'

— Jasne

— Pokaz

Congreve wystawił nogę spod stołu i podciągnął nogawkę Miał na nogach czarne mokasyny z szerokim czubem, marki Peale, i nieodłączne żółte, grube skarpetki firmy Loro Piano Manucci pokręcił głową i się skrzywił Nigdy nie mogli się porozumieć w sprawie tego, jak powinien ubierać się mężczyzna

— Jesteś perfekcyjny w każdym calu, chłopie — skomentował —
Mówiłeś coś o Napoleonie

— Miał syna Mało kto o tym wie

— Należę do tych niewielu szczęśliwców

— Ważne jest to, że potomkowie cesarza Francuzów żyją aż do dzisiaj
Jednym z nich jest niejaki Luca Bonaparte i właśnie z jego powodu przyjechałem

— Słyszałem To nowy boss Francji, czy coś w tym rodzaju

— Sprawia nam duże problemy Stanom Zjednoczonym i Wielkiej Brytanii

— Skoro tak, już jest martwy. Napijesz się wina?

— Nie musisz pytać

— Zamówię dobre barolo Albo barbaresco Wszystkie wina na "b" są włoskie i dobre Już ci kiedyś mówiłem Opowiedz mi więcej o tym Bonapartem

— Zamordował własnego ojca W Paryżu, trzydzieści pięć lat temu Ludzie z Langley pogrzebali w jego przeszłości i natknęli się na starą kartotekę Deuxieme Zobaczysz później, sprawdziłem ją dokładnie Jestem tu z polecenia dyrektora CIA, Patricka Kelly'ego

— W takim razie wiesz, że awansowałem

— Nie wiedziałem Jakiż to wysoki stołek obecnie zajmujesz'

— Myślałem, że CIA wie wszystko Jestem głównym przedstawicielem nowojorskiej policji w Federalnej Radzie Antyterrorystycznej, nazywanej w skrócie ATAC Stałem się więc półdupkiem federalnym Ale dowodzę wszystkimi normalnymi glinami Gdzie dokładnie miało miejsce to morderstwo w Paryżu?

— Przy grobie Napoleona, w 1970 roku

— Są jacyś świadkowie'

— Co najmniej dwóch Niejaki Ben Sangster ijego kolega po fachu, Joe Bonnano Obaj są Amerykanami

— Chrzanisz!

— Zapewniam cię, Mooch, że to prawda

227

— Benny Sangster i Joey Bones. Znam tych koleśków, obydwu posłałem do pudła. Przypominam sobie, że na procesie wspomniano o tym, że wykonali robotę w Paryżu. Miało to związek z Union Corse. Dużo o nich wiesz?

— Trochę. Dowiesz się więcej z kartoteki.

— Powiedz mi, Ambrose, co wiesz o Union Corse.

— Mafia korsykańska. Brutalna, jeszcze starsza od sycylijskiej. Jak wiesz, z Korsyki wywodził się także Napoleon. W latach sześćdziesiątych i

siedemdziesiątych Korsykanie prowadzili ożywioną działalność na waszym Wschodnim Wybrzeżu; przede wszystkim przemysł i handel narkotykami. Czasem korzystały z ich usług europejskie korporacje, podobnie jak Jakuzza nieraz pracuje dla koncernów japońskich. Jednak Union Corse to jedyna mafia na świecie, która stawia sobie również cele polityczne.

— Polityczne?

— Owszem. Sponsorowali i organizowali zamachy terrorystyczne, skierowane przeciw korporacjom spoza Europy. W ten właśnie sposób wypłynął mój mały Bonaparte. W tamtych latach amerykańskie klany mafijne były w stanie wojny z Korsykanami o wpływy.

— Rozumiem.

— Moochie, czy Sangster i Bonnano ciągle są za kratkami?

— Raczej pod chmurkami. Z tego, co pamiętam, dostali po kilkanaście lat. Po odbytych wyroku wyfrunęli sobie na wakacje do Grecji. Nie słyszałem, żeby ktoś ich znowu posadził.

— Bardzo chciałbym porozmawiać z nimi.

— Na kiedy zaplanowałeś sobie te miłe pogawędki?

— Myślisz, że dasz radę ich znaleźć?

— Potrafię znaleźć każdego, Ambrose. Oprócz HofTy. Jego, na swoje nieszczęście, nie mogę znaleźć. Co nie znaczy, że nigdy to nie nastąpi. Pozwól, że na chwilę odejdę. Zatelefonuję i zaraz wracam. Kiedy najbardziej by ci pasowało porozmawiać z tymi dwoma zbrojnymi?

— Dziś wieczorem.

— To znaczy, że sytuacja naprawdę robi się coraz bardziej napięta?

— Zawsze jest napięta, panie kapitanie — odpowiedział Ambrose. —

Historia, jak powiedział kiedyś H.G. Wells, to •wieczny wyścig pomiędzy wiedzą a katastrofą. W tej chwili katastrofa prowadzi o kilka długości.

228

Mariucci uśmiechnął się w duchu.

— Idę zadzwonić — powiedział. — Powinienem wrócić za pięć minut.

Nie jedz beze mnie. Jak powiedziała kiedyś pani Mariucci z Brooklynu, „to niekurtularnie”.

Dom spokojnej starości Bide-a-Wee Rest Home stał przy ciemnej uliczce w pobliżu Queens Boulevard. Przysadzisty, dwupiętrowy budynek był w nie najlepszym stanie — odpadały tynki, a stromy dach kryty gontem wyraźnie potrzebował napraw. Congreve i Mariucci wysiedli z nowiutkiego chevroleta impala, pozostawiając za kierownicą umundurowanego policjanta, i przeszli ostatnie sto metrów pieszo. To Mochie wpadł na pomysł, aby zatrzymać radiowóz w pewnej odległości od budynku.

— Żyj przyzwoicie, Ambrose, a i ty możesz tu skończyć — odezwał się John, stąpając ostrożnie po popękanych chodniku o chwiejnych płytkach.

— Ta kupa gruzu robi smętne wrażenie... Powiedziałeś, że to mafijny dom starców?

— Owszem. Stetryczeli chłopcy z ferajny, z pieluchami w spodniach, grają w karty, wspominając dawne, dobre czasy. Wyobraź sobie, że te dwa dziewięćdziesięcioletnie typy, z którymi chcesz porozmawiać, siedzą sobie w bujanych fotelach na werandzie tej meliny i jeden mówi do drugiego: „Ziomal, ustalmy pewne fakty: czy to ty zginąłeś pod Anzio w czasie II wojny światowej, czy to był twój brat?”

— Nieźle — skwitował Ambrose, uśmiechając się pod nosem. Weszli z

Mariuccim po zniszczonych schodkach.

— Ale ruina... — mruknął John. — Kto odstawi gadkę przy drzwiach? Ty czy ja?

— Mam wrażenie, że to moje śledztwo - odpowiedział Congreve i zapukał. Drzwi wejściowe były popękane, obłaziła z nich farba. Na parterze świeciło się w kilku oknach, widać też było światło w kilku pokojach na pierwszym piętrze. Po chwili w drzwiach pojawił się potężny mężczyzna w zielonym fartuchu.

— Dobry wieczór panu — odezwał się uprzejmym tonem Ambrose, pokazując legitymację. - Starszy inspektor Ambrose Congreve ze Scotland
229

Yardu. A to kapitan Mariucci z nowojorskiej policji. Czy możemy wejść?

— O co chodzi? — spytał odźwierny, przymykając drzwi.

— Powiem panu, jak wejdziemy — odparł Congreve i energicznie pchnął drzwi, przestępując natychmiast próg; Moochie wszedł za nim. Stanęli w holu, oświetlonym żółtawym światłem zakurzonej lampy.

— Czego chcecie? — dopytywał się człowiek w fartuchu. — Ja nic nie zrobiłem. Jestem tu tylko sanitariuszem.

— A jak się pan nazywa? — spytał John.

— Lavon Greene.

— Czy jest kierownik? — zainteresował się Ambrose.

— Nie nocuje tutaj. Wychodzi o jedenastej. W nocy ja pilnuję domu.

— Oczywiście. Gdzie jest gabinet kierownika?

— Tam, na końcu korytarza. Ostatnie drzwi po lewej.

— Czy macie kartoteki wszystkich pensjonariuszy?

—Tak.

— Mieszka tu niejaki Ben Sangster?

— Owszem. Już od dawna śpi w swoim pokoju na górze.

— Doskonale. Pan kapitan weźmie jego kartotekę, a ja pójdę z panem do pokoju pana Sangstera.

— Oczywiście. Tędy, proszę. Pan Ben o szóstej bierze leki, a potem zasypia. Budzi się dopiero rano.

— Panie kapitanie, pójdę z tym miłym panem na górę, żeby spojrzeć na pana Sangstera — oznajmił Congreve. — Czy mógłby pan przyjść tam do nas, kiedy tylko znajdzie pan jego kartotekę?

— Oczywiście, panie inspektorze — odpowiedział Mariucci, z rozbawieniem skłaniając głowę. — Zaraz ją przyniosę. — Odszedł obokurnym korytarzem, mamrocząc coś pod nosem. Lavon wskazał wąskie schody. Ambrose ruszył po nich przodem, przeskakując po dwa stopnie.

— Czy to ten pokój? — upewnił się, kiedy znaleźli się na górze.

— Tak, panie inspektorze.

— Niech pan wejdzie pierwszy.

Rosły pielęgniarz otworzył drzwi i Ambrose natychmiast poczuł charakterystyczny, kwaskowy zapach. Wiedział, co zobaczy, zanim jeszcze zapalił światło. W pokoju musiało być pełno świeżej krwi.

230

— Matko Boska! — jęknął sanitariusz, kiedy detektyw nacisnął kontakt.

— Jak to się stało? Boże!

Congreve spojrział na Lavona Greena.

— Czy ten człowiek żył, kiedy widział go pan po raz ostatni? — zapytał.

- Tak, panie inspektorze! Jeszcze wieczorem....
- Ostatni raz widział go pan, kiedy dawał mu pan lekarstwa, prawda?
Która to była godzina?
- Szósta. Jak już mówiłem, zawsze brał lekarstwa o szóstej. Boże święty!
- Czy jest pan absolutnie pewien, że o tej godzinie Ben Sangster jeszcze żył?
- Oczywiście! Przysięgam panu!
- Czy nie słyszał pan potem niczego? Żadnych odgłosów? Krzyku? Jęku?
- Nie, panie inspektorze.
- Wierzę panu. Zduszono jego krzyki tą zakrwawioną poduszką. Czy mógł to zrobić inny pensjonariusz tego domu?
- Nie, to niemożliwe. Żaden z nich nie ma tyle siły, żeby do połowy odciąć człowiekowi głowę.
- Czy po szóstej był tu ktokolwiek poza pensjonariuszami, panem i kierownikiem?
- Był jeszcze facet od talerza.
- „Od talerza”? To znaczy kucharz?
- Nie, od talerza na dachu. Anteny satelitarnej.
- O której?
- To było chyba koło siódmej. Wszyscy, którzy jeszcze się nie położyli, oglądali telewizję w świetlicy i nagle obraz znikł. Jakieś dziesięć minut później przyszedł człowiek i powiedział, że ma naprawić antenę. Kazał się zaprowadzić do wejścia na dach.
- Jak wyglądał?
- Mały Chińczyk, uśmiechnięty od ucha do ucha.
- Chińczyk. To bardzo interesujące... Niech pan zbiegnie na dół i zawoła

kapitana Mariucciego.

— Jeszcze nigdy coś podobnego się tu nie zdarzyło, panie kapitanie.

Nigdy!

— Niech pan biegnie.

231

Sangster leżał twarzą do góry w przesiąkniętej krwią pościeli Przecięto mu szyję od gardła aż do kręgosłupa Krew była częściowo zakrzepła Ambrose zbliżył się do łóżka i nagle zauważył drugą ranę - ofiara miała także rozszarpaną klatkę piersiową, na samym środku Doświadczenie mówiło detektywowi, że oprawca wyciął zabitemu jakiś organ W tym miejscu Serce

Ktoś musiał wiedzieć, że Congreve przyjeżdża do Nowego Jorku, znał też powód jego podróży I wyprzedził go, dopadając Benny'ego Sangstera i mordując go

Ambrose usłyszał od strony schodów pospieszne kroki Mariucciego

- John, gdzie jest Coney Island? - zawołał przez ramię

- Co ty, bawisz się w turystę? Coney Island jest na Brooklynie To najbardziej wysunięty na południe O, cholera! - Stanąwszy w drzwiach, Mariucci zobaczył, co stało się z Bennym Sangsterem

- Joe Bones jest następny w kolejce - powiedział Congreve -Jedźmy

- Masz rację — zgodził się John — Morderca Sangstera też z pewnością spieszy się do Bonesa Spadajmy stąd'

Jak na piątkowy wieczór, ruch nie był zbyt duży Kierowca wprawnie prowadził chevroleta po obwodnicy Belt Parkway, zmieniając pasy przy prędkości co najmniej stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę

- To kanibal - odezwał się w pewnej chwili Ambrose, wyglądając przez

okno na przesuwające się światła Brooklynu

- Co? Jaki kanibal? - zdziwił się Mariucci

- Zabójca Sangstera

- Co ty, u licha, wygadujesz?

- Zjadł serce swojego wroga, czyli Sangstera To nie tylko akt fizycznej brutalności, świadczy też o specyficznej psychice mordercy Jeśli nawet nie pożarł serca swojej ofiary, to przynajmniej je wyciął Ale nie nosiłby się z nim, jeśli planuje na tę noc drugie zabójstwo Podejrzewam, że zjadł serce Sangstera jeszcze w jego pokoju

- O Jezu'

- Chińczycy nie są tak delikatni, jak my

- Chcesz powiedzieć, że to dla nich normalne zachowanie?

- Mam na myśli, że kanibalizm nie jest w ich kulturze takim tabu, jak na Zachodzie W czasie wojny wielu głodujących Chińczyków jadło

232

ludzkie ciała Krążą też opowieści o pracownikach kostnic i krematoriów, którzy odcinają z ciał pośladki, jak również kobiece piersi i zabierają je do domu na kolację Wykorzystują je jako nadzienie do pierogów

— Przestań' — krzyknął Mariucci — Błagam cię'

Śmigając łukiem po zjeździe numer 6, chevrolet stanął na dwóch kołach Opadłszy z powrotem na cztery, popędził dalej Cropsey Avenue, docierając aż do Surf Wreszcie, przy skrzyżowaniu Surf z Dziesiątą Zachodnią, zatrzymał się z piskiem opon Congreve i Mariucci wysiedli Kapitan dowiedział się tego wieczoru, że Joe Bones, po wycofaniu się z powodu wieku z działalności mafijnej, zatrudnił się w wesołym miasteczku Coney Island i od lat pracował wieczorami przy diabelskim

młynie Ponieważ był piątek, Mariucci przypuszczał, że znajdzie Joego w pracy Tego dnia diabelski młyn działał do północy

Zwłoki Sangstera dwaj detektywi pozostawili w domu starców Bide--a-Wee Zbiegając z jego schodów, John wezwał przez telefon komórkowy wydział zabójstw Nie obawiał się ucieczki Lavona Sanitariusz nie wychodził z pokoju zabitego, płacząc rzewnie

Rozdział 34

Bad Reichenbach

Frau Irma miała pod długą, czarną spódnicą błyszczące buty z cholewami, sięgające aż do pulchnych, różowych kolan Nie była najpiękniejszą dziewczyną w Bawarii Rzadkie, siwiejące blond włosy nosiła zwinięte w dwa przypominające małe pączki koki po bokach głowy Miała prostokątną, płaską twarz, z której wystawał haczykowaty nos Pudrowała się grubo jakimś białym pudrem, choć jak na gust Stoke a i tak była wystarczająco biała Niska i krzepko zbudowana sprawiała wrażenie bardzo silnej

- Nie wiedzieliśmy, że państwo przyjeżdżają - oznajmiła, zaglądając w księgę gości

233

- Jeździmy autostopem — powiadomiła ją Jet. Wcześniej mówiła to już dwa razy, kiedy stali ze Stokelym na dworze, w promieniach palącego słońca, spragnieni. Frau Irma była najwyraźniej bardzo zdziwiona, widząc Jet bez barona. Stokely'ego Jet przedstawiła jako swojego trenera. Frau Irma przyjrzała mu się takim wzrokiem, jak gdyby był olbrzymim okazem jakiegoś kosmity. Stoke uśmiechnął się i powiedział guten Tag, z bardzo złym niemieckim akcentem.

- Aha, autostopem... — powtórzyła Irma Winterwald takim tonem jak gdyby jeżdżenie autostopem było w tych okolicach surowo zabronione. Gasthaus, o nazwie Zum Wilden Hund, sprawiał wewnątrz upiorne wrażenie. W budynku panował półmrok z powodu grubych, aksamitnych zasłon. Meble były stare, ciemne, rzeźbione, ciężkie. Wysoko na ścianach wisiały pokryte futrem głowy upolowanych zwierząt. Zimne, szklane oczy martwych jeleni, saren i niedźwiedzi patrzyły na olbrzymiego mężczyznę w szortach takim wzrokiem, jak gdyby to on powinien zawisnąć na ścianie zamiast nich.

Mogliby tu mieszkać bawarscy kuzyni rodziny Addamsów, pomyślał Stoke.

Kolejną dziwną rzeczą w pensjonacie były donośne dźwięki fortepianu, stojącego w końcu holu. Grał na nim Herr Winterwald. Ze względu na swój wiek musiał chyba być ojcem Irmy. Był niewidomy, nosił ciemne okulary; miał na sobie ciemnozieloną filcową marynarkę o kościanych guzikach. Śnieżnobiałe włosy sterczały mu do góry na wszystkie strony, jak gdyby siedział na krześle elektrycznym. Gatunek granej przez niego muzyki Stokely ocenił jako skrzyżowanie marszów hitlerowskich z new wave.

- Prawdziwy geniusz, czyż nie? - odezwała się z dumą Irma, widząc reakcję Jonesa.

- Tak - odpowiedział Stoke. - To znaczy nie.

- A więc przyjechali państwo tylko na jedną noc, ja? - upewniła się pani Winterwald.

- Tak, na jedną - zgodziła się z aktorskim uśmiechem Jet.

- Und ein Zimmer? Czy potrzebują państwo tylko jeden pokój? — spytała

Frau Irma. Patrzyła na Stoke'a nadzwyczaj wymownie... Pożądliwie. Stokely uśmiechnął się od ucha do ucha i uniósł dwa palce.

234

— Ależ nie, Frau Winterwald. Prosimy o dwa pokoje — odpowiedziała spokojnym tonem Jet. Wyglądała jednak tak, jakby z trudem powstrzymywała się przed urwaniem głowy tej babie. Nie ulegało wątpliwości, że nie znoszą się wzajemnie.

— Zwei Zimmer. Jeden dla Fraulein Jet und jeden dla pana...

— Jones — przedstawił się Stoke. Ir ma Winterwald zapisała jego nazwisko wielkim wiecznym piórem.

— Jones — powtórzyła z naciskiem gospodyni. — To amerykańskie nazwisko, ^?

— O wszem, jestem Amerykaninem — zgodził się Jones, wzruszając ramionami. Jet mrugnęła do niego ukradkiem.

— Alles gut. — Irma zakończyła kwestię nazwiska. Następnie stanęła na palcach i wyjrzała za biurko, jak gdyby mocą czarodziejskiej różdżki miał się tam pojawić bagaż. - Żadnych bagaży? - spytała, spoglądając okropnymi, rybimi oczami.

— Żadnych - powtórzyła jak echo Jet.

— Und powiedz mi, kochana, jak się miewa baron von Draxis? — kontynuowała przesłuchanie Irma. — Nie widzieliśmy go od zakończenia sezonu narciarskiego. Prawda, Viktor?

Viktor pokiwał głową na znak zgody, nie przerywając gry na fortepianie. Jones uświadomił sobie nagle, do kogo podobny był ten mężczyzna. Do Einsteina.

— Och, bardzo dobrze — odpowiedziała Jet. — Pływaliśmy z panem

baronem na pokładzie „Valkyire” po Morzu Śródziemnym. Czy powiedziano już pani, że we wrześniu pan baron i ja bierzemy ślub?

— Nein, kochanie, nie miałam pojęcia! — odpowiedziała Irma, zaskoczona. Natychmiast zmieniła ton. — To cudownie! Tak się cieszę, moja kochana. Pan baron to najwspanialszy mężczyzna pod słońcem! I taki bogaty! Masz szczęście, dziewczyno, że złapałaś w sidła takiego człowieka! Może zjecie z panem trenerem obiad w ogrodzie?

Stoke i Jet zjedli w oświetlonym słońcem ogrodzie; Irma Winterwald, która nagle zamieniła się w usłużną i pełną uśmiechu osobę, przyniosła im do obiadu po kieliszku schłodzonego, białego wina. Jones zamówił sznycel wiedeński, jako jedyne znane mu danie w karcie. Sznycel był całkiem smaczny. Jet wybrała sałatę — można się było tego po niej spodziewać.

235

Przyniósłszy jedzenie, Frau Winterwald się wycofała, cała w ukłonach. Nawet w ogrodzie słychać było huk fortepianu, na którym Herr Viktor wybijał rytm swoich neofaszystowskich utworów.

— Półśłodka Irma — zażartował cicho Stoke, kiedy gospodyni znikła. Jet się uśmiechnęła.

— Ta stara ropucha zawsze mnie nienawidziła — odparła. — Ale chyba nic nam nie grozi. Dobrze się spisałeś.

— Świetnie mi idzie, dopóki nie muszę mówić po niemiecku. Zabawne, mają w menu jedną stronę z potrawami i długą na trzydzieści stron kartę win.

— Powinieneś zwiedzić tutejszą piwnicę na wino — szepnęła z wymownym spojrzeniem Jet. — Najlepiej w nocy, kiedy tamci dwoje

pójdą już spać.

— Wiedziałem, że nie sprowadziłaś mnie tu bez powodu — odpowiedział z uśmiechem Jones.

— Po kolacji Frau Irma czyta Viktorowi, a potem kładą się wcześnie, o dziesiątej. Mam ze sobą coś, co dodam im do herbaty. Dzięki temu będą spali jak susły. Zapukam do twojego pokoju po północy.

— Nie zamykają tej piwnicy? — upewnił się Stokely.

— Wiem, gdzie Irma chowa klucz.

Nieco po drugiej w nocy Stoke i Jet zeszli do ponurej, pachnącej stęchlizną piwnicy pensjonatu. Prowadziły do niej schody, na które wchodziło się przez kuchnię - kamienne, zniszczone i śliskie. Stokely trzymał Jet za rękę, żeby nie spadła; świecił jej pod nogi małą, wojskową latarką, którą przyniósł w plecaku.

Na dole, przy schodach, na żelaznym uchwycie, wisiała na ścianie świeca.

Na półce pod nią leżały zapalki. Jones zapalił świecę i się rozejrzył.

Całe pomieszczenie zajmowały sięgające od podłogi do sufitu półki wypełnione butelkami z winem. Na wszystkie strony rozchodziły się korytarze, których ściany także zasłaniały długie szeregi butelek wina.

— To duma Schatziego — oznajmiła Jet. — Źródło jego radości.

Największy w Niemczech zbiór przedwojennych roczników bordeaux.

Tędy, chodź.

— Skąd o tym wszystkim wiesz? — dziwił się Stoke.

236

— Przyjeżdżaliśmy tu często na narty. Za chwilę zobaczysz ulubioną, nie licząc jachtu, kryjówkę Shatziego. Tak jak mówiłam, pensjonat jest tylko od frontu. O istnieniu miejsca, w którym za chwilę się znajdziesz, wie

może z pięć osób.

Jones dał latarkę Jet i ruszył za nią w prawo długim, ciemnym korytarzem, który kończył się małym, okrągłym pomieszczeniem. Na środku kamiennej podłogi stał stary dębowy stół i dwa krzesła. Stoke zapalił świecę na stole i przyjrzał się leżącej oprawionej w skórę księdze. Jet otworzyła ją i zaczęła przewracać kartki o złoconych brzegach. Księga zawierała wpisy dokonane czerwonym długopisem.

— Co to jest? - spytał Stokely.

— Spis win. A te numery butelek na marginesie to kod. — Jet zapisała sobie na dłoni kolumnę cyfr - po ostatniej cyfrze z kolumny numerów. Zaczęła dodawać, odejmować.

— Do czego służy ten kod? — pytał Jones.

— Zaraz ci pokażę - odparła Jet, zamykając księgę. Wstała. - Pomóż mi odsunąć na bok stół.

Przesunęli stół pod ścianę. W miejscu, gdzie przedtem stał, jeden z kamieni podłogi był obluzowany. Jet przyklęknęła i uniosła go scyzorykiem. Stoke oświetlił latarką niewielki, czarny, metalowy panel z klawiaturą i wyświetlaczem. Jest wprowadziła siedem zapisanych na dłoni cyfr i wcisnęła przycisk. Cyferki na wyświetlaczu zamigały.

— Zmieniają kod co tydzień - oznajmiła Jet. - To dobry system.

— Znakomity — zgodził się Jones, podczas gdy ściana butelek zaczęła dygotać.

Cała ściana z półkami i butelkami zaczęła chować się w podłodze.

Odśloniła stalową ścianę z drzwiami z polerowanego brązu. Drzwiami do windy.

— Rozumiem. Najlepsze wino baron trzyma na innym piętrze... —

mruknął Stokely. - Nie mylę się?

— Jest rzeczywiście niezłe — odpowiedziała z uśmiechem Chinka.

Stoke zdawał sobie sprawę, że bez pomocy Jet nigdy nie zaszedłby tak daleko. Jego obawy jak i przestrogi Hawke'a, nie sprawdziły się dotąd.

Jet przyłożyła prawą dłoń do matowego, czarnego panelu po prawej stronie drzwi. Pod jej dłonią przesunęła się czerwona, świecąca kreska

237

czytnika linii papilarnych. Zapaliło się zielone światełko, a potem odezwał się odgłos windy. Długo jechała.

— Ten szyb prowadzi do obiektu wydrążonego w górze za pensjonatem. ..

— domyślił się Stoke. Jet pokiwała głową.

— Witamy w Schloss Reichenbach. — Drzwi windy otworzyły się bezgłośnie.—To jedna z najbezpieczniejszych i najbardziej luksusowych rezydencji w Alpach.

— Podoba mi się — mruknął Stokely.

Wykończona polerowanym mosiądzem kabina windy ruszyła w górę.

Stoke podniósł głowę i zobaczył ciekawie wyglądającą lampę — świecąca kulę trzymał w szponach brązowy orzeł z rozpostartymi skrzydłami.

Jazda na szczyt góry trwała całe dziesięć minut. Wreszcie kabina się zatrzymała. Znaleźli się w takim miejscu, jakiego Jones nigdy w życiu nie widział.

— Wspaniale, prawda? — spytała Jet, obserwując jego twarz.

— Zapało mi dech - przyznał.

Stokely stał bez ruchu i chłonał niezwykły widok. Sala musiała znajdować się na wysokości około dwóch tysięcy metrów. Cała przeciwległa ściana wykonana była z wygiętego w łuk szkła. Za nią widniały oświetlone

światłem księżycowym, pokryte śniegiem górskie szczyty pod rozgwieżdżonym niebem. Ze znajdującego się wysoko w górze sklepienia zwieszał się ogromny kandelabr. Jet -wcisnęła przycisk kontaktu i kandelabr zaiskrzył się światłem.

Sala była prawie pusta. Nie było dywanów ani wykładziny, tylko ogromna, piękna, wzorzysta mozaika z polerowanego drewna o różnych odcieniach. Po lewej stało kilka niskich, skórzanych foteli, za którymi był wielki, rzeźbiony kominek. Ponad nim wisiał duży obraz olejny, przedstawiający dwóch jeźdźców na tle śnieżnych gór. Nawet z tej odległości Stokely natychmiast rozpoznał w jednym z nich barona von Draxisa. Miał na sobie jakiś mundur nieco staroświeckiego kroju. Dwaj mężczyźni zostali przedstawieni w stylu, w jakim maluje się wielkich bohaterów.

— Kim jest ten drugi człowiek? - spytał Jones, podchodząc do kominka.

— To Luca Bonaparte — wyjaśniła Jet. — Najlepszy przyjaciel Schatziego.

— Bonaparte? A więc to on. Powinienem był zgadnąć. Trzyma rękę pod połą munduru w charakterystyczny sposób. A niech mnie... Coś takiego! Co to za piękny mundur ma na sobie nasz Schatzi?

— Mundur niemieckich Strzelców Alpejskich z czasów II wojny światowej. Schatzi ma dużą kolekcję mundurów wojskowych w Tempelhof.

— Znowu słyszę o Tempelhof. Gdzie to jest? Czy chodzi może o to lotnisko w Berlinie?

— Tak. Zbudowano je około 1937 roku, zaprojektował je Albert Speer. Jest tam olbrzymi, łukowaty budynek, długi na pięć kilometrów. Miało być to główne lotnisko kontynentu zwanego Germanią, po podbiciu przez

Hitlera świata. Kilka lat temu władze Berlina planowały zburzenie tego molocha, ale Schatzi kupił go w samą porę. Teraz mieszczą się tam biura koncernu von Draxisa, jak również wszystkie jego biura projektów, to tam rodzą się jego statki i samoloty.

— Germania? Tak Hitler zamierzał nazwać Europę, czy może cały świat? Nie wiedziałem.

Naprzeciw gigantycznego okna stał półokrągły stół, a obok niego fotel. Na stole były tylko dwa przedmioty — czarno-biała fotografia w srebrnej ramce oraz model starego, trójmasztowego żaglowca. Jego kadłub był wykonany z jakiegoś czarnego kamienia, zaś żagle z kości słoniowej, tak cienkiej, że przeświecało przez nią światło gwiazd.

— A więc jest to jego biurko? — upewnił się Stoke, podchodząc do orzechowego mebla o nogach w formie orłów. Naprzeciw, za biurkiem i szklaną ścianą, roztaczał się imponujący widok na góry.

— Usiądź w jego fotelu.

— Myślisz, że baron nie miałby nic przeciwko temu?

— Bez wątplenia wpadłby w szal. Siadaj.

Stokely usiadł. Spoglądając z tego miejsca, trudno było nie uważać się za pepek świata, za jego właściciela. Dziwne uczucie.

— Co to za jeden, ten w srebrnej ramce? — spytał. — Tatuś?

— Cesarz Wilhelm.

— Coś takiego! Schatzi zbudował sobie niezły gabinet. - Stoke oparł dłonie na biurku, rozpostarł palce i się zamyślił. - Powiedz mi jet. Z czego właściwie żyje twój chłopak?

239

— Buduje statki i okręty Jest największym producentem statków w

Niemczech Jego rodzina zajmuje się tym od czterystu lat Rodzina Kruppów budowała armaty, a rodzina von Draxisów okręty, które wozily te armaty po morzach i oceanach To w ich stoczni w Wilhelmshaven powstał „Graf Spee”

— Słyszałem o nim Słynny niemiecki krążownik Zdaje się, że Anglicy dopadli go w Urugwaju i żeby go zatopić, potrzebowali trzech swoich okrętów’

— Nie zatopili go Anglicy, Stole Hitler kazał pociąć okręt na kawałki w porcie w Montevideo Po to, aby Brytyjczycy nie poznali tajemnic jego konstrukcji, obmyślonej przez von Draxisa, i eksperymentalnych systemów broni Kruppa „Grafu Spee” zaprojektował dla Kriegsmarine dziadek Schatziego, Konrad Okręt zwodowano w 1937 roku

— Kriegsmarine Czy nasz kochany Schatzi wciąż buduje okręty dla Niemieckiej Marynarki Wojennej?

— Teraz już nie tak wiele

— Bo ta marynarka ma znacznie mniejszy budżet niż w dawnych czasach Jakie więc statki buduje obecny baron von Draxis?

— Chodź, pokażę ci

— Dokąd znowu idziemy?

— W rezydencji Schatziego znajduje się biuro projektów statków Na ich podstawie inżynierowie budują modele Następnie przeprowadzają z nimi symulacje pływania po morzu Zanim powstaną prawdziwe statki, ich projekty są pozbawione wad

— Co Schatzi buduje w tej chwili’

— Największy liniowiec pasażerski w historii świata

— Dla Niemiec’ Czy na tym liniowcu będą także armaty?

— Nie, statek powstaje dla Francji

— Dla Francji? Ciekawe. Francja i Niemcy Chyba naprawdę postanowili pogrzebać trudną przeszłość i się pobrać Pokaż mi ten statek

— Dobrze się czujesz? Zachowujesz się nieco dziwnie

— Czuję się dobrze, jestem tylko bardzo podekscytowany Stoke i Jet minęli kilka wspaniałych komnat Między innymi jadalnię o stole tak długim, że można by przy nim posadzić całe miasteczko Wreszcie dotarli do drzwi oznakowanych napisem KRIEGSMARINE Za nimi znajdowała się modelarnia - miejsce, w którym Stokely Jones

240

mógłby spędzić cały tydzień Pod kopułą sklepienia, pomalowaną na kolor wzburzonego oceanu, stało mnóstwo gablot, a w nich wykonane z zapierającą dech w piersiach precyzją modele okrętów, które ród von Draxisów zbudował dla Niemieckiej Marynarki Wojennej

Były pośród nich wielkie pancerniki „Tirpitz” i „Bismarck” I ulubiony okręt Jonesa - „Schnellboote”, uznawany za najszybszy i najlepiej zaprojektowany kuter torpedowy czasów II wojny światowej Może w ogóle najlepiej zaprojektowany kuter torpedowy w historii

Na końcu sali znajdowały się kolejne drzwi ze stali i brązu Zdobiące je płaskorzeźby przedstawiały najróżniejsze wielkie bitwy morskie, stoczone przez Kriegsmarine w ciągu kilku ostatnich wieków Stoke pomyślał, że coraz lepiej poznaje Schatziego A Hawke podjął słuszną decyzję, wysyłając go do Niemiec

Jet otworzyła drzwi chronione kolejną baterią elektroniki i oboje znaleźli się w pomieszczeniu do testowania modeli Również tu sklepienie stanowiła kopuła, tym razem przezroczysta Wysoko w górze migotały

gwiazdy Stoke złapał Jet za rękę, zanim zapaliła światło

- Zaczekaj - szepnął - Pozwól mi popatrzeć na tę scenerię Ruszył przed siebie, zbliżając się po posadzce z różnokolorowego marmuru do jedyne­go znajdującego się w tej sali modelu Zamknięty był w gablocie długiej przynajmniej na dziesięć i wysokiej na pięć metrów Był to model najpiękniejszego statku, jaki Jones w życiu widział Olbrzymiego liniowca pasażerskiego Na rufie miał wypisaną złotymi literami nazwę „Lewiatan”
- „Lewiatan” - odczytał ze zdziwieniem Stokely

— Tak, Biblijny potwór morski Według Schatziego i Luki jest to bardzo dowcipne

Stoke nie rozumiał, co jest śmiesznego w tej nazwie Ów nowy francuski potwór wydawał się o połowę większy od dotychczasowego największego liniowca pasażerskiego świata, „Queen Mary II”, zbudowanego przez Cunarda Rzeczywisty „Lewiatan” musiał mieć około pięciuset metrów długości i stu metrów wysokości W takim razie miał wyporność jakichś trzystu tysięcy ton. O Jezu!

— To działający model — powiedziała Jet, podając Stokely'emu panel zdalnego sterowania 241

- Co to znaczy?

- Wszystko w nim działa. Pokażę ci. - Z tymi słowami Jet nacisnęła jeden z przycisków i model rozblysnął tysiącami wewnętrznymi i zewnętrznymi światełek, od dziobu aż po rufę. Czerwone i zielone światła pozycyjne na burtach były wielkie jak piłki golfowe. Jet nacisnęła drugi przycisk i z boków dziobu zaczęły zsuwać się małe kotwice.

- Coś takiego! — szepnął z podziwem Stoke. Statek był naprawdę piękny.

- To jeszcze nic. Patrz teraz. — Jet nacisnęła jeszcze inny przycisk. Cała

wielka gablota zaczęła nagle wypełniać się czystą, błękitną, podświetloną od spodu wodą. Jej poziom szybko wzrósł i „Lewiatan” zaczął się na niej unosić. - Można tu symulować dowolny stan morza - informowała Jet. — W dnie zbiornika są płytki do wzbudzania fal. Zbiornik naszpikowany jest czujnikami, które śledzą parametry fal i ich oddziaływanie na kadłub. Chcesz zobaczyć huragan kategorii piątej ?Tsunami? Fale wysokości piętnastu metrów?

- Nie w tej chwili.

- To może chciałbyś uruchomić silniki?

- Owszem, czemu nie - zgodził się zafascynowany Stoke. Jet pchnęła joystick i podwieszane pod rufą śruby zaczęły się kręcić, pieniać wodę.

- Proszę bardzo. Cztery śruby napędowe, dwie zamocowane na stałe, dwie obracane w płaszczyźnie poziomej. Ten model to dokładna replika prawdziwego statku, identyczna w każdym szczególe.

- A to wielkie wybrzuszenie w stępce? Co to jest? Dziwnie wygląda.

- Obniża środek ciężkości.

- Znasz się na tym, Jet.

- Co nieco wiem.

- Dlaczego nie ma kominów?

- Odpowiedź jest prosta. Napęd atomowy.

- Kurka wodna! - Stoke nie posiadał się ze zdumienia. - Statek pasażerski o napędzie atomowym?

- Owszem.

- Czy ten olbrzym naprawdę ma zostać zbudowany?

242

— Już istnieje. Niedługo ma odbyć swój dziewiczy rejs. Z Hawru do

Nowego Jorku.

— Hawr to francuski port, nie mylę się? — upewnił się Jones. — Chciałbym zobaczyć, jak wypływa. Ale myślę, że najpierw powinniśmy wrócić do Berlina i rozejrzeć się po Tempelhofie. W nocy, tak samo jak teraz, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

— Dobrze. — Jet popatrzyła na zegarek. — Wiesz co, czas płynie. Lepiej zjedźmy na dół i wróćmy do łóżek, zanim zauważą, że nas nie ma.

Rozdział 35

Coney Island

Nie chce zjechać? - upewnił się Mariucci. Zacisnął zęby ze złości.

Wyglądało na to, że mafijny emeryt Joseph Bones, który dorabiał jako pracownik wesołego miasteczka, wciąż żył, a mimo to nie można go było przesłuchać. Znajdował się na samym wierzchołku największego na świecie diabelskiego młyna, w jednym z jego szesnastu wagoników.

- Nie chce - powtórzył Samuel Gumpertz, przesuwając dłonią po łysej głowie. — Nie wiem dlaczego. — Spoglądał na niezadowolonych klientów, którzy zebrali się wokół starego, pięknego diabelskiego młyna. On i jego przodkowie już od trzydziestu lat opiekowali się główną atrakcją wesołego miasteczka Coney Island. Diabelski młyn był dumą Samuela. A tymczasem zdarzyło się coś takiego!

Joey Bones pracował przy młynie wieczorami. Samuel "wiedział, że to dawny mafioso. Joey był jednak dobrym pracownikiem, oddanym swojemu zajęciu. Ale godzinę temu nagle bardzo się zdenerwował, po czym wjechał wagonikiem na samą górę i w żaden sposób nie można go było namówić, żeby wrócił.

A teraz Samuel miał przed sobą kapitana policji i angielskiego detektywa

ze Scotland Yardu, przypominającego filmowego Sherlocka

243

Holmesa — w pelerynie i dziwacznej czapce z daszkami z przodu i z tyłu.

W dodatku palącego fajkę!

— Czy mógłbym pożyczyć pańską lornetkę? - spytał teatralnie wyglądający Anglik.

— Oczywiście — odpowiedział Sam.

— Jestem panu niezmiernie wdzięczny.

— Ależ nie ma za co.

— Przykro mi, że przerywam panom tę miłą pogawędkę — wtrącił kapitan Mariucci. — Mówię panu po raz ostatni, panie Gumpertz: proszę natychmiast uruchomić ten cholerny młyn i sprowadzić tego typa na dół. Dobrze? Capiście?

— Panie kapitanie, Joey jest stary, ma osiemdziesiąt pięć lat. Jest uparty, nie znosi, kiedy mówi mu się, co ma robić. Poza tym to mój szwagier, brat mojej żony, Marie. Jeżeli stanie mu się coś złego, już po mnie. Zresztą Joey zmajstrował coś przy przekładni; nie jestem w stanie ruszyć mechanizmu.

— Jeśli Joe zepsuł przekładnię, to niech pan ją naprawi — odparł Moochie.

— Naprawi, naprawi... — mruknął Gumpertz.

— Tak, naprawi!

— Gdybym tylko umiał, panie kapitanie. Widzi pan tego grubego faceta w maszynowni? To nasz mechanik Manny. Właśnie próbuje naprawić przekładnię, ale mu nie idzie, bo Joey coś zepsuł. Chyba wyjął jakąś część i zabrał ze sobą na górę.

— Włożył klucz między tryby, cholera jasna! - odezwał się głośno mechanik, ubrudzony chyba stuletnim smarem. Miał niewesołą minę.

— O właśnie, włożył klucz między tryby — powtórzył Sam.

— Wsadził duży klucz francuski w przekładnię główną - wyjaśnił Manny.

— Tak sprytnie, żeby młyn mógł wykonać tylko pół obrotu, a potem się zablokował.

— Skoro tak, wyjmij ten klucz, dobra? - powiedział Gumpertz. - Jest piątkowy wieczór, zbiera się coraz więcej klientów, a ty tu przychodzisz i gadasz takie rzeczy. Wracaj do szopy i wyciągnij klucz z przekładni. Zrobisz to dla mnie, Manny?

— Dobrze, dobrze już wracam — zagderał mechanik, ruszając z powrotem ku szopie. — Spróbuję jeszcze raz.

244

— Spróbujesz? Nie próbuj, tylko zrób to! Boże! Musimy wyjąć ten klucz, prawda, panie kapitanie?

Znad Atlantyku nadleciał nagle silny powiew wiatru. W górze kłębiły się czarnopurpurowe chmury, podświetlone na czerwono i żółto światłami wesołego miasteczka. Ambrose obserwował przez pożyczoną lornetkę wagonik z Joeyem Bonesem.

Wagonik kołysał się teraz mocno na porywistym, wschodnim wietrze. Od strony oceanu niebo rozjaśniła błyskawica, po czym rozległ się grzmot.

Wahadłowe ruchy wagonika zniechęciłyby nawet silnego mężczyznę do dalszego przebywania na szczycie diabelskiego młyna. A przecież prawdziwa wichura dopiero się zbliżała.

— Panie Samuelu, proszę powiedzieć mi jeszcze raz, dokładnie, co skłoniło pana Bonesa do postąpienia w taki sposób?

— Wiem tylko tyle, panie inspektorze, że czegoś się przestraszył. Około wpół do dziesiątej, jeśli się nie mylę, ktoś zadzwonił do niego, do kasy. Wyskoczył z budki, powysadzał klientów, pozapinał łańcuchy, żeby nie wchodzili nowi, zamknął młyn. Zawołałem: „Joey co ty wyprawiasz?!” A on na to: „Sammy, musisz mi pomóc, jestem w ciężkich opałach!”

— Nie powiedział, w jakich?

— Nie. Nie musiał. Jakby pan inspektor spędził całe życie na ulicach Brooklynu, wiedziałby pan, co oznacza takie spojrzenie, jak jego. Ktoś ostrzegł go przez telefon, że ktoś inny zamierza go kropnąć.

— Czy pan Joey nie zdradził czasem, kto do niego zadzwonił? — dopytywał się angielski detektyw.

— Podobno niejaki Lavon, z domu starców Bide-a-Wee. Joey jeździł tam często oglądać mecze w telewizji razem ze swoim starym kumplem z mafii, Bennym Sangsterem.

W tym momencie z tłumu rozległ się czyjś krzyk. Congreve odwrócił się i zobaczył tęgą kobietę w czarnej chustce, zawiązanej na rosyjską modłę. Pokazywała palcem w górę, na stalową konstrukcję naprzeciw diabelskiego młyna, po drugiej stronie alejki. Szerniała i pogięta, przywodząca na myśl wieżę Eiffla po pożarze, stała nieużywana od wielu lat. Była bardzo wysoka, musiała mieć chyba ze sto metrów. Ambrose przyłożył do oczu lornetkę i zobaczył wspinającego się po niej mężczyznę w białym kombinezonie. Człowiek ów znajdował się w tej chwili na wysokości jakichś trzydziestu metrów i szybko posuwał się w górę.

— Moochie, chyba mamy problem — odezwał się Congreve.

— Co tam widzisz?

— Sam popatrz. — Ambrose podał koledze lornetkę.

— O, cholera! Nie do wiary!

— Co się dzieje, panie kapitanie? — niepokoił się Gumpertz, wyęzając wzrok.

— Robią nas w bambuko — odpowiedział John. — Widzi pan tego małego typka, tam, na wieży? Za chwilę wejdzie jeszcze wyżej, aż będzie miał dogodną pozycję do oddania strzału. Chce zabić pańskiego pracownika, pana Bonesa.

— Ale dlaczego?

— Jest ostatnim żyjącym świadkiem morderstwa sprzed trzydziestu lat. Pan inspektor Congreve i ja prowadzimy w tej sprawie dochodzenie. Niewiele jednak możemy teraz zrobić.

— Coś takiego! - zdziwił się Samuel. - Joey nigdy mi nie wspominał o takim morderstwie.

Mariucci wydawał już przez telefon rozkazy antyterrorystom z ATAC. Potrzebny był natychmiast strzelec wyborowy, śmigłowiec.

— Proszę mi powiedzieć — odezwał się Ambrose do Gumpertza, ciągnąc go za ramię w stronę tłumu — co to za wieża?

— Stara wieża spadochronowa. W dawnych dobrych czasach nazywaliśmy ją brooklyńską wieżą Eiffla. Zbudowano ją w 1939 roku na Wystawę Światową. Nie jest już używana od trzydziestu lat. Teraz to tylko zardzewiała zawalidroga, która może runąć w każdej chwili. Ale żeby ją pan widział w czasach świetności!

— Nie ma tam windy?

— Windy? Chyba pan żartuje. Jediną drogą na szczyt wieży są schodki, po których wspina się ten bandyta. Dlaczego go panowie po prostu nie

zastrzelicie?

— Pan kapitan właśnie to organizuje. Potrzebny jest śmigłowiec ze strzelcem wyborowym. Pytanie tylko, czy zdąży.

— Nie ma pan pistoletu?

— Przy sobie nie mam.

— Ale ten mały typek szybko lezie, jak małpa.

— Trzeba przyznać, że przysłali dobrze przygotowanego człowieka.

— Za to panowie chyba nie są dobrze przygotowani — zauważył Gumpertz.

— Rzeczywiście, nie spodziewaliśmy się tego. Boże, niechże ten śmigłowiec wreszcie przyleci!

Tłum gapiów zgromadził się teraz wokół wieży spadochronowej. Nieco z boku stała kobieta w czarnym płaszczu, zajadając różową watę cukrową. Z wrażenia otworzyła usta. Na koślawych płotach wokół wieży wisiały spłowiałe tablice z wymalowanymi czaszkami, skrzyżowanymi piszczelami i napisami NIEBEZPIECZEŃSTWO. Niekonserwowana od dziesięcioleci wieża, wystawiona na działanie słonych, oceanicznych wiatrów, była rzeczywiście niebezpieczna. Nieopodal czterech strażników wesołego miasteczka kłóciło się o to, który z nich powinien wspiąć się na wieżę i zneutralizować intruza. Nikt jednak nie kwapił się do tego.

W tłumie zaczął rozlegać się pomruk podziwu dla odwagi i sprawności nieznanego mężczyzny. Trzeba było przyznać, że wspinał się z niezwykle zręcznością, w niesamowitym tempie. Mijał belkę za belką, śmigając po stalowej konstrukcji jak małpa. Wyglądało na to, że wkrótce dotrze na sam szczyt - chyba żeby się pośliznął, albo żeby któryś z przerdzewiałych szczebli urwał się pod jego ciężarem.

W wieżę uderzył podmuch pachnącego ozonem wiatru. Zaczęło padać, najpierw spadły pojedyncze krople, a potem lunęły strugi wody. Czarne niebo nad wieżą rozświetliła błyskawica. Kobieta jedząca watę wstrzymała oddech, wpatrzona w sylwetkę Chińczyka na tle czarnego nieba.

Wydawało się, że stracił równowagę, puścił szczebel drabinki. Zamachał rękami, zachwiał się, ale potem, jakimś cudem, ruszył dalej w górę.

Po śmierci Joego Bonesa Bianca zamierzała, z pomocą Hu Xu, usunąć angielskiego detektywa, Congreve'a. Wiedziała, że Ambrose Congreve jest gdzieś tu, w Nowym Jorku. Kiedy zginie on i dwaj starzy amerykańscy mafiosi, ojciec nie będzie musiał o nic się już niepokoić. Dlaczego zawsze bardziej kochał Jet, jej siostrę? Dlaczego to Jet była córeczką tatusia?

Teraz Bianca dostrzegła szansę dla siebie i zamierzała ją wykorzystać: Jet zdradziła ojca. Major Tang zameldował, że Jet sypia z jednym z ich

247

wrogów. Bianca miała więc możliwość poprawienia swojej pozycji.

Zamierzała zerwać z tymi pieprzonymi narkotykami, wykopać z łóżka wszystkich tych głupich mężczyzn, którzy tylko ją wykorzystywali. I któregoś dnia, całkiem już niedługo, zająć miejsce Jet w sercu ojca.

Odchyliła głowę, pozwalając, by deszcz siekł ją po twarzy. Być może wreszcie uzyska to, czego pragnęła od dwudziestu siedmiu lat.

Odkupi swoje winy w oczach ojca. Godna będzie jego miłości.

Rozdział 36

Zatoka Omańska

Johnnie Black, zbliża się do ciebie obcy, odległość pięćdziesiąt kilometrów. Alex Hawke przeżył w ciągu minionych kilku dni wystarczająco dużo ekscytujących chwil związanych z lataniem.

Nieprędko zapomni o „incydencie” —jak nazywano to, co stało się na lotniskowcu „Lincoln”. Od dwóch dni dziwił się, budząc się rano w izbie chorych lotniskowca, że jeszcze żyje.

Był posiniaczony i poobijany, ale żył. Jego szyja i prawe ramię miały malowniczy odcień fioletu, którego nabyły po uderzeniu w osłonę kabiny pilota, kiedy fotel zerwał się z zamocowania. A teraz Alex siedział w nowiutkim myśliwcu F-16, pochodzącym z bazy Aviano we Włoszech. Archanioł, czyli amerykański AWACS, kierujący z wysoka operacją „Powstrzymać Loty”, ostrzegał go przed zbliżaniem się potencjalnego wroga— francuskiego mirage'a F-1. Strefa zakazu lotów nad północnym Omanem została świeżo ustanowiona i Francuzi chcieli wypróbować Amerykanów.

Hawke rozejrzał się na wszystkie strony, szukając zbliżającego się Francuza, i odezwał się przez radio do swojego skrzydłowego:

— Jim Beam, Jim Beam, tu Johnnie Black. Widzisz tego mirage'a? — „Jim Beam”, czyli amerykański pilot Jim Hedges, sunął w powietrzu swoim F-16 tuż obok prawego skrzydła maszyny Hawke'a.

— Potwierdzam, Johnnie Black — odpowiedział Hedges. — Mam go na kierunku dwa-siedem-zero, zachowuje wysokość ośmiu tysięcy metrów, prędkość siedemset pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Manewr nisko—wysoko, prawda?

— Potwierdzam. Robimy manewr nisko—wysoko, Beam — poleciał Hawke.

„Manewr nisko—wysoko” polegał na tym, że skrzydłowy zniżał lot i szukał ewentualnych następnych wrogów, zaś dowódca klucza wznosił się, aby stawić czoło zauważonemu nieprzyjacielowi. Alex miał swoje

powody, żeby odstraszyć Francuza. Nie wątpił jednak, że Hedges uważa cały ten pomysł zakazu lotów za bzdurny. Trudno.

Alex wystartował tego dnia o szóstej rano z Aviano. Zatrzymał się w Arabii Saudyjskiej na odprawę, gdzie zatankowano też jego samolot. Wreszcie poleciał nad Oman. Jego zadaniem było sprawdzenie, jak funkcjonuje nowo wprowadzona strefa zakazu lotów. Miał zdać z tego raport Kelly'emu. A potem spotkać się z Harrym Brockiem w nadbrzeżnej wiosce Ras al Hadd. Mieli tam omówić drugi powód przybycia Aleksa do Omanu - kwestię uwolnienia sułtana i jego rodziny z rąk Francuzów. To było najważniejsze zadanie do wykonania.

W torbie przy fotelu miał dane i instrukcje potrzebne do misji omańskiej. Podniebna akrobatyka i uwalnianie zakładników — właśnie te dwie rzeczy uwielbiał najbardziej.

Uwolnienie sułtana i jego rodziny na papierze wydawało się dość proste. Hawke i Brock mieli określić, czy da się ich wykraść. Jeśli tak — zrobić to jak najszybciej. Rodzinę sułtana prawdopodobnie przetrzymywano w fortecy na wysepce Masira. Znajdowała się półtora kilometra od brzegu. Ostatni raport agenta CIA głosił, że sułtana także przewieziono do Masiry. F-16 Hawke'a był jednym z czterech myśliwców, które wysłano do amerykańskiej bazy Taif w Arabii Saudyjskiej. Baza Taif, położona na wysokości tysiąca czterystu pięćdziesięciu metrów, znajdowała się w odległości dwóch godzin jazdy samochodem od Jeddah, gdzie z kolei była siedziba Amerykańskiej Misji Szkolenia Wojskowego w Arabii Saudyjskiej. Dbano o to, aby nie mówiono o niej w środkach masowego przekazu.

Misja, zwana w skrócie USMTM, prowadzona przez różne rodzaje

amerykańskich sił zbrojnych, podlegała Dowództwu Regionu Centralnego

—
249

USCENTCOM, w Bazie Sił Powietrznych McDill na Florydzie. Hawke nieraz współpracował ściśle z amerykańskimi departamentami Obrony oraz Stanu i znał wiele tajemnic tego kraju. Wiedział, że maleńka baza sił powietrznych Taif stała się centrum przygotowań CIA i amerykańskiego wojska na wypadek ewentualnej inwazji Francji na Oman. To właśnie w Taif sporządzano plany obrony Omanu, a stacjonujący tam piloci latali skrzydło w skrzydło z kupionymi przez Saudyjczyków F-15. Te ostatnie stacjonowały w bazie w Rijadzie.

W niemiłosiernie rozgrzanym przez słońce baraku w Taif poinstruowano Aleksa na temat operacji „Powstrzymać Loty”. Dwa myśliwce, z którymi przyleciał, pozostały w Taif, zaś Hawke i Hedges polecili nad sąsiadujący z Arabią Saudyjską Oman.

F-16 fighting falcon, którego pilotował Alex, był samolotem niechętnie pożyczonym przez gderliwego generała armii, dowódcę 16. Armii Powietrznej- w tym także 31. Skrzydła Myśliwskiego, stacjonującego w Aviano. Hawke dobrze rozumiał generała, który ostatnio miał naprawdę mnóstwo spraw na głowie.

Szesnasta Armia Powietrzna patrolowała cieśniny, przez które przepływa połowa światowego tonażu statków. Był to rejon na styku cywilizacji islamskiej i chrześcijańskiej, obejmujący kraje należące do największych na kuli ziemskiej producentów ropy naftowej. Na owym olbrzymim, niezwykle ważnym strategicznie obszarze rodzą się stale liczne konflikty; a ostatnio napięcia na tle politycznym, etnicznym, religijnym i

ekonomicznym w tej części świata jeszcze bardziej wzrosły. Szesnasta Armia Powietrzna miała więc pełne ręce roboty. Amerykańscy lotnicy z Aviano zwracali szczególną uwagę na cieśninę Ormuz przy północnych granicach Omanu, stanowiącą wrota do Zatoki Perskiej.

Panowanie nad cieśniną dzielącą Oman od jego pobrzękującego szabelką sąsiada - Iranu miało znaczenie strategiczne, gdyż przewożono tędy większą część wydobywanej na świecie ropy. Ustanowienie strefy zakazu lotów miało na celu powstrzymanie każdego, kto kręcił się tu bez powodu. Dlatego też Alex rozumiał niechęć generała, gdy rozkazano mu pożyczyć samolot brytyjskiemu lotnikowi, który właśnie zatopił nowiutkiego F-35 pod stępką „Lincolna”. Hawke wiedział, że ten wypadek, którego jedyną przyczyną była awaria katapulty, wszyscy połączą z jego nazwiskiem.

Alex zdawał też sobie sprawę, że niestety przez pewien czas będzie podawana w wątpliwość jakość projektu F-35. Hawke zapewniał w Aviano wypytyjących go amerykańskich inżynierów, że samolot zachowywał się bez zarzutu. Kiedy zwiększył moc silników, aby wystartować, przyrządy pokazywały, iż wszystko jest w najlepszym porządku. Trudno żądać tego, by komputer pokładowy myśliwca wykrył awarię okrętowej katapulty. Inżynierowie spytali go jeszcze, czy wsiadłby po raz drugi do F-35, gdyby miał taką możliwość. Odpowiedział, że zrobiłby to bez wahania.

— Johnnie Black, obcy jest trzydzieści siedem kilometrów od ciebie i manewruje tak, aby znaleźć się naprzeciwko twojej maszyny — informował oficer z pokładu krążącego wysoko w górze AWACS-a.

— Jakie ma znaki rozpoznawcze? — spytał Alex.

- Francuskie. Uważaj, żeby się z nim nie zderzyć.

No proszę. Ten pieprzony Francuz nie zamierzał ustępować. Rozkazując swojemu pilotowi wtargnąć w strefę zakazu lotów i rzucić wyzwanie Stanom Zjednoczonym, udowodnił swoje szaleństwo. Bonaparte był naprawdę nienormalny. „Sprawdź, czy będą strzelać” — powiedział Aleksowi Brick. Hawke właśnie zamierzał to zrobić.

- Potwierdzam, Archaniol - odpowiedział Alex. - Minę go w odstępie pionowym tysiąca pięciuset metrów.

— Zgoda.

- Tu Johnnie Black, zachowuję odstęp tysiąca pięciuset metrów w pionie — powtórzył Hawke.

Z nieznanym mu powodów Amerykanie przydzielili biorącym udział w operacji samolotom kody wywoławcze, pochodzące od różnych gatunków whisky. Jego maszyna reprezentowała brytyjską johnnie walker black label. To znakomita whisky. Alex pijał wprawdzie tylko rum, ale gdyby musiał...

- Johnnie Black, wejdz na jeden-zero-pięć, odbiór.

— Johnnie Black, wchodzi najeden-zero-pięć.

Hawke był tak zajęty wskazaniem radaru, systemów kontroli uzbrojenia, radiem oraz żywymi wspomnieniami swojej przerwanej niedawno kariery pilota oblatywacza, że niemal zapomniał o ostrzeżeniu z AWACS-a.

251

— Potwierdzam — odpowiedział, wypatrując za szybą kabiny sylwetki obcej maszyny, która mogła nagle urosnąć gwałtownie w oczach, ponieważ samoloty leciały naprzeciw siebie. Wiedział, że najpierw dostrzeże niemal nieruchomy punkt, a potem ów punkt zacznie szybko zmieniać wysokość, F-16 był wyposażony w najnowocześniejsze systemy

uzbrojenia, awioniki, nawigacji i elektronicznych środków walki. A jednak każdy dobry pilot myśliwski najbardziej polega na własnym wzroku.

Malutki cel rósł albo malał, przesuwał się w jedną lub drugą stronę.

Jeśli stawał się coraz większy i większy, nie zmieniając pozycji, znaczyło to, że pilot po raz pierwszy i ostatni w życiu będzie miał okazję zderzyć się w powietrzu z drugim samolotem.

Jeśli natomiast cel rósł, ale przemieszczał się w bok — tak jak działo się w tej chwili — znaczyło to, że nieprzyjacielski pilot wykonuje zwrot.

— Skręcaj w prawo Johnnie Black — rozległo się w słuchawkach. Hawke już wykonywał zwrot. Lewą dłonią uruchomił dopalacz. Doprowadził maszynę do przeciążenia dziewięciu g. Krew szybko odpływała Aleksowi z głowy, ale napiął mięśnie pod ciśnieniowym kombinezonem, żeby nie przestać widzieć. Dwa myśliwce skręcały w przeciwnie strony, aby się nie zderzyć. I każdy po wykonaniu manewru chciał znaleźć się za ogonem przeciwnika, „na jego szóstej godzinie”, jak mówią piloci. Czasami określają też miejsce za nieprzyjacielem „pozycją A”.

— Dobra robota, Johnnie Black — pochwalił oficer z AWACS-a. — Obniż dziób.

— Potwierdzam. — Hawke opuścił dziób maszyny. Przyspieszyło to lot, gdyż do siły ciągu silnika doszła teraz siła grawitacji. Alex skręcał ku nieprzyjacielskiej maszynie, chcąc znaleźć się wewnątrz wykonywanego przez nią kręgu. Wówczas miałby okazję strzelić do niej z tyłu. Próba wiązała się z ryzykiem - jeśli źle wymierzy, może znaleźć się nie za, ale przed przeciwnikiem, i samemu stać się ofiarą. Jeżeli zbyt szybko zwolni, będzie miał czas na oddanie tylko jednego niepewnego strzału, później trzeba zwiewać.

Dwa samoloty krążyły w powietrzu. Podczas walki myśliwiec może być tylko atakującym lub celem. Johnnie Black i pilot francuskiego mirage'a starali się właśnie ustalić, kto z nich jest kim.

— Johnnie Black, co chcesz zrobić? — spytał Archanioł.

— Wyjść z zakrętu i przyspieszyć na dopalaczu, żeby szybciej wejść w następny zakręt.

— Jaką masz prędkość?

— Siedemset pięćdziesiąt.

— Dobrze, potwierdzam. Tylko nie przekraczaj dziewięćuset. To nie jest prawdziwa walka. Sprawdzamy strefę zakazu lotów.

Hawke uśmiechnął się pod nosem. To nie jest prawdziwa walka? W takim razie, co? Uruchomił radar powietrze—powietrze i namierzył mirage'a.

Usłyszawszy pisk radaru, Francuz zaczął gwałtownie manewrować. Alex zanurkował za nim. Weszli teraz obaj w korkociąg, zbliżając się do ziemi.

Każdy z pilotów miał nadzieję wykorzystać jakiś błąd przeciwnika, ułamek sekundy jego nieuwagi. Z wysokości sześciu tysięcy metrów Hawke widział pod sobą całą Zatokę Omańską, zobaczył też cieśninę Ormuz.

Tak, z tej wysokości widać było jak na dłoni jej strategiczne znaczenie.

Namierzywszy francuski myśliwiec, Alex uzbroił kierowane radarem rakiety AMRAAM i w kabinie rozległ się ostrzegawczy dźwięk. F-16 wyposażony był w najnowsze rakiety AMRAAM Aim-120, wyposażone w aktywny radarowy system śledzenia celu. Rozwijały prędkość czterech machów i potrafiły śledzić jednocześnie kilka celów. Pędzący spiralą ku ziemi Francuz już był martwy, tylko jeszcze o tym nie wiedział.

— Johnnie Black, daj mu spokój, wyjdź z korkociągu! — krzyknął w

słuchawkach głos Archanioła.

— Możesz powtórzyć? - spytał ze zdziwieniem Hawke. - Namierzyłem obcego! Mam mu odpuścić?

— Potwierdzam, potwierdzam! Nie strzelaj, wyjdź z korkociągu!

— O co tu chodzi?! - zawołał ze złością Alex.

— To nie jest prawdziwa wojna, Johnnie Black.

— Nie? To w jaką wojnę się bawicie, chłopaki?

— W tej chwili chodzi o przepychanki.

— Przepychanki?

— Potwierdzam. Do czasu zmiany rozkazów.

— Potwierdzam, Archanioł. — Hawke wyprowadził maszynę z korkociągu. - Chyba nie powiedziano mi bardzo ważnej rzeczy.

253

— Potwierdzam, Johnnie Black. Przepraszamy. Nie wiedzieliśmy, że przylecisz. Myśleliśmy... Cholera jasna!

W dole rozległ się stłumiony wybuch. Hawke przechylił samolot na skrzydło i spojrzał w stronę ziemi. Okazało się, że francuski samolot uderzył w zbocze góry. Nad miejscem wybuchu unosiły się pomarańczowe strugi ognia i gęsty, czarny dym. Francuz wykonał właściwy manewr ucieczki, jednak zszedł zbyt nisko. A raczej, został zepchnięty zbyt nisko. Jeszcze jednemu pilotowi w tym samym momencie zabrakło szczęścia i doświadczenia...

— Wygląda na to, że obcy się rozwalił — odezwał się Hawke. — Kiepska sprawa.

— Potwierdzam, Johnnie Black. Mamy z twojego powodu bardzo ciekawy dzień. Przepraszamy za nieporozumienie. Nie wątpię, że będą o nas mówić

w wieczornych wiadomościach. Miłego popołudnia.

— Johnnie Black kieruje się ku Seeb International w Omanie.

Alex skręcił w prawo i poleciał w stronę Maskatu — stolicy Omanu, którą widział przed sobą gołym okiem. Dołączył do niego Jim Beam. Hedges spojrzął na Hawke'a i pokręcił głową. Oficer AWACS-a bez wątpienia uznał Aleksa za szaleńca. Zachował się nadzwyczaj agresywnie wobec francuskiego pilota. Kelly polecił jednak Hawke'owi zachowywać się tak stanowczo, jak tylko będzie to możliwe. Jeśli w Langley czekano na ocenę sytuacji, Alex właśnie to zrobił.

CIA chciało wiedzieć, jak zachowają się piloci francuscy, jeśli spotkają się ze zdecydowaną postawą Amerykanów. Teraz już wiadomo. Być może to nie była prawdziwa wojna. Ale w każdej chwili mogło się to zmienić.

Bardzo wiele zależało od tego, czego Johnnie Black dowie się na ziemi, w Omanie.

Dotąd, jeśli nie liczyć drobnego incydentu w Cannes, sprzed paru tygodni, w tej wojnie nie oddano ani jednego strzału. Każda ze stron straciła po jednym samolocie. A tylko jedna pilota.

Na razie.

254

Rozdział 37

Bad Reichenbach

Kiedy Stoke i Jet wychodzili po śliskich schodach z piwnicy, do ich uszu dobiegły dźwięki fortepianu. Viktor grał jakąś poruszającą melodię w molowej tonacji. Grał znakomicie, ale była wszak czwarta nad ranem. Dlaczego nie spał? Jet mówiła, że dosypała Niemcom do herbaty tyle środka usypiającego, że nie powinni się budzić przez cały tydzień.

— Czy Irma też tu jest? - szepnęła Jet. Viktor grał tak głośno, że zagłuszało to jej słowa. Jet stanęła za Stokelym w ciemnych drzwiach kuchni. Zajrzeli ostrożnie do salonu. Po suficie i ścianach tańczyły cienie. Z góry spoglądały nieme, szklane oczy wypchanych zwierząt. Świece? Tak, na fortepianie paliło się całe mnóstwo świec, umilając Viktorowi granie jakiejś sonaty księżycowej, czy czegoś tam. W każdym razie nie była to żadna z melodii Raya Charlesa. Viktor wyglądał jak pianista na estradzie, w świetle świec uderzając z wysoka w pokryte kością słoniową klawisze.

— Nie widzę jej — mruknął Stoke.—Viktor jest chyba sam.

— Byłoby dobrze, gdybyśmy zdołali przemknąć koło niego i wrócić na górę do naszych pokoiów. Ale trzeba zachować ciszę. Viktor ma niewiarygodnie czuły słuch.

— Naprawdę? To dlaczego cały czas gra takie okropne, ponure melodie?

— Też chciałabym wiedzieć.

— Po co mu te świece? Przecież jest niewidomy.

— Uwielbia ich zapach.

— Aromaterapia dociera pod strzechy. Gotowa?

Potężne, niskie akordy. Viktor zbliżał się do finału swojego utworu. Jet ścisnęła Stokely'ego za ramię.

— Szybko. Musimy zdążyć do schodów, zanim skończy grać. Teraz!

Stoke i Jet byli w połowie salonu, kiedy muzyka umilkła raptownie. Viktor zatrzymał dłonie w powietrzu, odwrócił głowę w stronę Jonesa i powiedział:

— Guten Morgen, Herrjones! Wie gehts?

- Świetnie, panie Viktorze A co u pana, przyjacielu? - Stoke nie mógł pojąć, jakim sposobem ten człowiek zdołał usłyszeć pośród łośkotu fortepianu jego ciche kroki

— A więc jest pan somnambulikiem, nicht war!

- Kim?

— Lunatykiem.

— Tak, leczę się, ale lekarze nie potrafią mi pomóc To prawdziwy kłopot Czy nie zna pan czasem którejs z piosenek Raya Charlesa?

- Was?

Jones patrzył na siedzącego przy fortepianie mężczyznę. Światło odbijało się w szklach jego ciemnych okularów, jego śnieżnobiałe włosy połyskiwały. Wyglądał jak jakiś osiemdziesięcioletni gwiazdor rocka, pogrążony w starczej demencji. Czy usłyszał także Jet? Być może nie Chinka poruszała się jak tygrys polujący w buszu Zamarła i przyglądała się Viktorowi przymrużonymi oczami. Stoke spojrział na nią i przyłożył palec do ust. Następnie pokazał jej ruchem dłoni, aby posuwała się dalej ku schodom, podczas gdy sam starał się zająć gospodarza rozmową. Stokely uznał, że trzeba opuścić Bad Reichenbach wczesnym rankiem, zanim Winterwaldowie się obudzą. W piwnicy przesunęli z Jet stół z powrotem na miejsce, ułożyli na nim księgę tak samo, jak leżała. Lepiej nie wzbudzić podejrzeń Winterwaldów Mogliby jeszcze zatelefonować do von Draxisa. A Jones był pewien, że udało mu się zmylić dwóch Arnoldów w berlińskim hotelu Adlon.

Jet zaczęła sunąć na palcach w stronę schodów. Ta dziewczyna naprawdę poruszała się jak wielki kot, który...

Myśli Stoke'a przerwał nagły huk tak głośny, że aż zadzwoniło mu w

uszach. Zobaczył, że Jet pada na ziemię i zwija się w kłębek. Nie wiedział, czy została trafiona. Spojrzał na Viktora i zobaczył, że trzyma on wielki pistolet, którego lufa jeszcze dymiała; mierzył w miejsce, gdzie poprzednio stała Jet Broń była stara, wyglądała trochę śmiesznie, ale niewątpliwie nie należało jej lekceważyć Viktor poruszył się, mierząc teraz w Stokely'ego Oparł lufę na fortepianie .

Jones skoczył ku ciężkiemu biurku po lewej stronie, podczas gdy huk rozległ się po raz drugi, a kula śmignęła mu koło ucha Uderzyła w ścianę, tuż ponad błyszczącymi oczami kudłatego niedźwiedzia

256

— Nie ruszaj się! — warknął Viktor — Ostrzegam! — Okazuje się, że znał angielski. Jak na jedną noc, przygotował zbyt dużo niespodzianek — Spokojnie, panie Viktorze, nigdzie się nie wybieram — odpowiedział Stokely, posuwając się powolutku w stronę biurka. Zastanawiał się, czy nie skoczyć na fortepian i nie wyrwać staremu Niemcowi pistoletu z ręki Zobaczył kątem oka, że Jet bezgłośnie czołga się w stronę fortepianu Nigdzie nie było widać na niej krwi Chyba nie została więc ranna.

— Nie ruszaj się! - zawołał Viktor

— Dobrze, zachowajmy spokój. Co to za broń'

— Das ist ein Schmeisser! - wyjaśnił pianista. Pistolet maszynowy firmy Schmeisser. Najlepsza broń strzelecka Trzeciej Rzeszy

— Fajny! Podoba mi się.

— I jak się pan czuje, panie Amerykaner! Podobała się panu wycieczka po Schloss Reichenbach, mein Her? — zapytał Viktor z ironicznym uśmiechem. Chrypiał jak hitlerowiec ze zużytej kroniki filmowej z czasów II wojny światowej.

— Cóż, nie widziałem zbyt wiele.

— Das ist verboten! - krzyknął Viktor - To surowo zabronione!

-Wycelował lufę prosto w serce Jonesa, które zakołatało gwałtownie. —
Szybko bije panu serce, Herr Jones Boi się pan, prawda?

— Nie tak bardzo

— Pan baron rozkazał mi zastrzelić każdego, kto będzie próbował
przedostać się do der Schloss.

— Rozumiem. Już tam byłem, więc może mnie pan skreślić z listy ludzi
do zastrzelenia Ależ piękny stamtąd widok! Powinien pan pobierać opłaty
za wstęp, panie Viktorze — ciągnął Stoke. — Zbiłby pan fortunę.

— Goście nie mają wstępu do zamku. Już powiedziałem. Surowo ver-
boten

— Verboten? Ale przecież nikt mi o tym nie powiedział. Pozwoli pan, że
zadam panu jeszcze jedno pytanie. Czy w tym czasie, gdy zwiedzałem
Schloss barona von Draxisa, odzyskał pan wzrok?

— Ja widzę uszami, proszę pana Powinien był pan włożyć buty na
miękkiej podeszwie

— Widzi pan uszami? To niewiarygodne. Skoro tak, niech pan mi powie,
ile palców trzymam teraz w górze?

257

— Was? Nicht verstehen.

Viktor Winterwald nie wydawał się zbyt rozbawiony dowcipem
Stoke'a. Jet dotarła tymczasem do fortepianu, czaiła się, przykucnięta,
opierając dłonie na podłodze. Obmyśliła plan, dobry plan. Stoke wiedział
nawet, jak jej pomóc.

Zwrócił uwagę, że na biurku za jego plecami stoi ciężki, szklany przycisk

do papieru, zawierający w sobie miniaturę alpejskiej wioski przysypanej śniegiem. Jones ostrożnie sięgnął po przycisk i go wymacał. Podniósł przycisk — tak, był wystarczająco ciężki. Zamierzał cisnąć nim w Viktora, ale potem 'wpadł na lepszy pomysł.

— Kto to? - zapytał.

— Kto?! — powtórzył instynktownie Viktor.

— Tam, jakaś lunatyczka!

Po tych słowach rzucił przyciskiem w lustro nad kominkiem. Posypało się szkło, Viktor zerwał się z miejsca i wystrzelił ze schmeissera krótką serię w stronę lustra.

Jet zerwała się z podłogi, wykonała salto, opadając obiema nogami na uniesioną klapę instrumentu. Ciężka pokrywa zatrzasnęła się z hukiem, uderzając Viktora w głowę i ramiona, dociskając jego twarz do mocno napiętych strun.

Jet uniosła się na równe nogi, stojąc na klapie.

— Przyczajony tygrys - odezwała się z uśmiechem do Stoke'a. - Nigdy nie zawodzi.

— Cholera jasna, to było naprawdę niezłe! Jak Bruce'a Lee! Grałaś może w którymś z filmów kung-fu?

Z głębi fortepianu dobiegł cichy jęk. Winterwald jeszcze dyszał. Stoke jakoś nie miał ochoty udzielać mu w tym momencie pierwszej pomocy.

Najpierw wyrwał z jego zaciśniętych palców schmeissera. Ładna pamiątka. No i lepiej uniknąć zakończenia klasycznego thrillera, w którym pozornie martwy bohater podnosi się i strzela drugiemu w plecy gdy ten już wychodzi z pokoju w towarzystwie kobiety.

— Wiesz — odezwał się do Jet — chyba czas się wymeldować. Czy w

tym pensjonacie recepcja jest czynna całą dobę?

— Możemy się wymeldować. Ale co dalej?

— Mówiłaś, że „Lewiatan” został zaprojektowany w Tempelhofie, w Berlinie, prawda?

258

— Tak.

— Byłaś tam?

— Wiele razy.

— Jak zabezpieczony jest obiekt?

— Jakoś wejdziemy do środka. Ale to, czy wyjdziemy stamtąd, będzie zależało od ciebie.

— Dobra. Sprawdźmy, co tam jest, i spadamy.

Na piętrze Jet i Stoke się rozdzielili. Jet poszła się pakować - Stoke wiedział, że jej zajmie to więcej czasu — a on ruszył po schodach dalej, na górne piętro. Pomyślał, że dobrze będzie sprawdzić, co dzieje się z Frau Irmą. Trudno sobie wyobrazić, żeby nie obudziły jej strzały, krzyki i huk fortepianowej klapy.

Wszedł do pogrążonej w mroku sypialni i przystanął, nasłuchując odgłosów chrapania. Nie usłyszał niczego. Wyczuł za to nietypowy zapach, którego nie był w stanie określić. Przez znajdujące się od strony wschodniej okno wpadało słabe światło poranka. Na środku wielkiego łóżka zobaczył obły kształt. Irma Winterwald spała. Nawet nie drgnęła. Jet musiała podać jej naprawdę dużo środka usypiającego. Stoke podszedł do łóżka, zapalił lampę i popatrzył na Frau Irmę. Klosz owinięty był jedwabnym szalem, który nadawał światłu miękkiej, czerwonej odcień. Pani Winterwald spała jak niemowlę. Bardzo brzydkie niemowlę. Jej

grube, żółte powieki były zamknięte, na szczęście zasłaniając lubieżne, rybie oczy. Pasma siwych, długich tłustych włosów leżały na poduszce. Jednak lepiej wyglądały zwinięte w dwa koki. Usta Irmy były otwarte w czymś na kształt półuśmiechu, na jej brodzie widniała zaschnięta ślina. Frau Winterwald leżała wyjątkowo nieruchomo. Stoke nachylił się nad nią, aby sprawdzić, czy oddycha.

Jej twarz wydawała się żółta w świetle lampy jak gdyby odpłynęła z niej krew. Jones przyłożył dłoń do policzka gospodyni. Policzek był zimny. Przycisnął dwa palce w miejscu, gdzie przechodziła tętnica szyjna... Nie wyczuł pulsu. Dziś na niemieckim niebie zapłonęła nowa gwiazda.

Rozkoszna Irma Winterwald umarła. Może Jet omyłkowo wsypała jej do herbaty zbyt silną dawkę środka usypiającego? Trzeba ją o to spytać. Ta dziewczyna zaczynała przesadzać.

259

Wyłączył światło. Miał nadzieję, że trumnę z ciałem pani Winterwald zamkną przed pogrzebem. Żywa nie wyglądała zbyt dobrze, ale martwa... Była w stanie odstraszyć potencjalnych klientów zakładu pogrzebowego. Nagle w drzwiach pokoju stanęła Jet, ubrana w wojskową kurtkę z kapturem, z plecaczkiem na ramieniu.

— Zabiłaś ją? - spytał Jones.

— Tak.

— Czy mogę spytać, dlaczego?

— Po pierwsze, dla naszego bezpieczeństwa, a po drugie, dlatego że nienawidziłam tej jędzy. Już prawie skończyliśmy z moimi znajomymi Niemcami.

— Skończyliśmy? Co to ma znaczyć?

— Wy tłumaczę ci w drodze do Berlina. Chodźmy już. Wyglądałeś przez okno?

— Coś takiego! — zdziwił się głośno Stoke, podchodząc do okna. — Latem!

— Właśnie. Prawdziwa śnieżycą.

— Musimy wydostać się z tego pensjonatu. Natychmiast, Jet. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby nas tu zasypało.

— Dlaczego?

— Dlatego że czas ucieka, chociaż ty być może nie wiesz o tym. Mamy go coraz mniej.

Rozdział 38

Ras al-Hadd

Harry Brock czekał na Hawke'a koło małej, zapiaszczonej knajpki dla turystów. Kanciasty, niepomalowany lokal miał piętro, z którego przez dwa duże okna można było patrzeć na morze. Jazda nadbrzeżną drogą z Maskatu do wioski Ras al-Hadd zajęła Aleksowi prawie trzy godziny i była męcząca. Według palmtopa sprzężonego z GPS droga ciągnęła się w podobnie monotony sposób jeszcze przez mniej więcej tysiąc kilometrów, aż do leżącego na południu miasta Salalah.

Oczywiście nie dało się tego potwierdzić na żadnej drukowanej mapie, ponieważ mapy były w Omanie zakazane. W zamierzeniu miało to utrudniać życie wrogom sułtana, jednak jego przyjaciółom także nie służyło.

Hawke zaparkował nowiutką toyotę land cruiser pod żółtym od pyłu drzewem granatu. Było to jedyne drzewo, jakie widział w ciągu ostatniej godziny. Wypił resztę wody, jaką dostarczono mu razem z samochodem, i

wystawił twarz na podmuch zimnego powietrza z nawiewu klimatyzacji. Wyłączył silnik i bez entuzjazmu otworzył drzwi. Oman w lecie był gorący jak wnętrze pieca. Od strony budynku nadbiegł Harry.

Pomimo niemiłosiernego upału i unoszącego się wszędzie pyłu Brock wyglądał świeżo i wydawał się wesoły. Zapuszczał brodę. Miał na sobie czystą białą koszulkę, zniszczone spodnie khaki oraz jeszcze bardziej zniszczony brązowy, filcowy kapelusz.

— Witamy w Omanie — powiedział, wyciągając rękę, gdy Alex wysiadał z toyoty.

— To twój? — zagadnął Hawke, wskazując ruchem głowy na zaparkowany przy ścianie knajpki motocykl marki Royal Enfield, model Bullet 350. Legendarna maszyna, oczywiście dla znawców przedmiotu.

— Owszem — odparł Brock. — Wypatrzyłem go wczoraj w Maskacie. Pomyślałem sobie, że po tych tak zwanych drogach chyba łatwiej będzie poruszać się motocyklem.

Harry Brock niewątpliwie miał dobry gust, jeśli chodzi o motocykle.

— Piękna miejscowość - powiedział Alex, rozglądając się po wypalanej słońcem wiosce. Knajpka, która nie wiedzieć czemu nazywała się Al Kous Whisper, była otoczona niskim murkiem z ostro ciosanych kamieni. W murek wstawiono drewnianą, rzeźbioną furtkę. Istny klejnot na środku pustyni.

— Prawda? Ras al-Hadd jest w Omanie uważana za miasto ogród.

— Ponieważ rośnie tu jedno drzewo — dodał Hawke.

— Zgadłeś!

Jadąc po pogrążonej w nocnych ciemnościach drodze, Alex uznał, że kraj ten przypomina raczej Marsa po sezonie turystycznym. Czerwonawa,

kamienista ziemia, sucha i spieczona. Spękane, wyschnięte koryta rzeczek. Opuszczone wioski na górskich tarasach. Martwa kraina.

Niezbyt zachęcająca wyglądem knajpka była zdecydowanie zarezerwowana dla turystów. Omańczykom nie pozwalano pić alkoholu. Nie mieli bimbru ani map. W rządzonej przez sułtana kraju panowało bardzo surowe prawo. Al Kous była zbudowana z pustaków i miała płaski dach. Nieopodal stało kilka domów, które wyglądały na opuszczone. Były wyraźnie starsze, zbudowane z drewna i liści palmowych.

Mieszkańcy Omanu najwyraźniej nie mieli zwyczaju niczego odnawiać ani przebudowywać. Kiedy jakaś miejscowość się postarzała, pakowali manatki i wyprowadzali się stamtąd. Szli głębiej w góry czy na pustynię i tam się osiedlali.

Przez drewnianą furtkę przeszli do nędznego ogrodu. Tuż koło restauracyjki była stara studnia, przy której ktoś uwiązał głośno meczącą kozę. Harry pogłaskał po głowie wychudzone zwierzę.

— Czterogwiazdkowy obiekt - powiedział, oganiając się od bzyczących much i omijając psie odchody. — Mają tu świetnie wyposażoną piwnicę z winami i specjalność lokalu, przepyszne danie, podawane z sosem z pinioli. Nazywają je „świeżą kozą”. Prawda, malutka? - Harry zwrócił się do kozy.

— Czy tu zawsze jest tak cholernie gorąco? - spytał Hawke, ignorując słowa Brocka. Wszedł na ganek, na szczęście osłonięty daszkiem. Czuł się zmęczony i spragniony. Nienawidził upału, czuł się, jak gdyby prażono go na słońcu. Biała lniana koszula kleiła mu się do ciała. Gdyby nie to, że był głodny, spotkanie z Harrym odbyłoby w samochodzie, przy pracującej z

pełną mocą klimatyzacji.

— Oman to najgorętszy kraj na ziemi — odpowiedział Brock. — Nie bujam. W tej chwili temperatura jest całkiem umiarkowana. Dziś o ósmej rano było pięćdziesiąt stopni w cieniu.

— Przecież tu nigdzie nie ma cienia.

— Zgadłeś!

Weszli do restauracji. Wewnątrz było ciemno i chłodno — w porównaniu z temperaturą panującą na dworze. Było też pusto, co ucieszyło Aleksa. Nie wątpił, że przed zaproponowaniem tego lokalu jako miejsca spotkania, Brock sprawdził go starannie. Weszli obaj po wąskich schodach

262

na piętro i zajęli stolik przy jednym z otwartych okien. Harry zamówił dwa zimne piwa. Było to piwo miejscowej marki Gulf, bezalkoholowe.

Nadeszła nieśmiała dziewczyna w czarnym czadorze i postawiła piwo na stole. W knajpce było tylko dwoje pracowników — zasłonięta czadorem kelnerka i starszy mężczyzna za barem. Barman, podobnie jak większość mężczyzn w jego kraju, miał na sobie luźne białe spodnie, koszulę, oraz turban. Tak jak większość Omańczyków, ciągle rozmawiał przez telefon komórkowy.

Brockowi wcale to nie przeszkadzało, co prawdopodobnie znaczyło, że właściciel restauracyjki figuruje na jego liście płac. CIA twardo stąpała po ziemi.

Harry uśmiechnął się do Hawke'a i zagadnął:

— Wyglądasz jak wyciągnięty psu z gardła.

- Dzięki - odparł Alex, studiując ubogie, odbite na powielaczu menu.

Otworzył butelkę i wypił łyk piwa. — Założę się, że wszystkim mówisz

takie komplementy.

- Gdybym nie widział tego na własne oczy, nie uwierzyłbym.

-W co?

— Nie udawaj, że nie "wiesz.

- O czym ty mówisz, Harry?

Alex się zirytował. Wiedział, że kiedy tylko się spotkają, Brock poruszy temat jego wypadku. Hawke zamierzał mu o nim opowiedzieć w którymś momencie, ale nie teraz. Cały dzień spędził w ciasnej kabinie myśliwca i teraz bolały go wszystkie kości. Gdyby sadysta, który zaprojektował fotel F-16, był również autorem więziennych mebli w Guantanamo, środki masowego przekazu trąbiłyby o tym na wszystkie strony.

Brock nie zamierzał jednak ustępować.

— O twoim pechowym starcie z pokładu „Lincolna”...

- Masz na myśli ten incydent!... - mruknął Hawke, wyglądając ze złością przez okno.

— Owszem.

- Mogło być gorzej.

— Niemożliwe!

— Starzy piloci mawiają, że lepiej zginąć niż źle się popisać, ale wierz mi, że człowiekowi może się przytrafić jedno i drugie naraz.

263

Brock, widząc ponure spojrzenie Hawke'a, postanowił porzucić ten temat. Milczeli przez jakiś czas. Sączyli w ciszy udawane piwo i zerkali na morze. Alex przypuszczał, że Brock ma takie same wątpliwości w kwestii tej misji, jak on. Dotyczyły współdziałania poszczególnych osób. Zebrano drużynę bez wiedzy i zgody jej członków. Rozkazano im przeprowadzić

tajną operację o kluczowym znaczeniu. Jak większość operacji uwalniania zakładników, zapowiadała się bardzo niebezpiecznie. W dodatku miano ją przeprowadzić na ślepo. Żaden z ludzi nie wiedział, co myśleć o drugim. Dlaczego, u licha, Kelly wybrał Harry'ego Brocka?

Alex pił piwo i ponuro spoglądał przez okno, próbując przystosować się do nowego środowiska. Co za cholerne pustkowie! W pewnej chwili przejechał szkolny autobus, podskakując na kamienistej drodze i ciągnąc za sobą chmurę pyłu. Wszystkie okna autobusu były szczelnie zasłonięte, aby chłopcy z ulicy nie mogli zobaczyć przewożonych dziewczynek. I na odwrót. Ten niecodzienny zwyczaj musiał mieć jakieś uzasadnienie, jednak zdaniem Aleksa był po prostu nieludzki.

Czuł się tu zdecydowanie obco. Rzucił podejrzliwe spojrzenie na kozę przy studni. Jeszcze nigdy w życiu nie jadł koziego mięsa. I nie miał na to ochoty. Kozy źle mu się kojarzyły. Tymczasem nieśmiała kelnerka wróciła, aby przyjąć zamówienie. Harry zamówił kebab jagnięcy, Alex — rybę z ryżem. Na stole leżała książka z instrukcjami CIA dotyczącymi misji.

— Za mniej więcej dwadzieścia minut ktoś do nas dołączy - powiedział w końcu Brock. Otworzył instrukcję i zaczął ją przeglądać.

— Tak? Któż to taki? - spytał Alex.

— Przyjaciel rodziny. Ma na imię Ahmed. Świetny facet. Polubisz go.

— Przyjaciel czyjej rodziny? Twojej?

— Sułtana.

— Jeden żołnierz więcej.

— Zgadłeś.

— Przyda się nam - stwierdził Hawke. - Skąd go wytrzasnąłeś?

— Powiedzmy, że już z nim współpracowałem. To on znalazł mi motor.

Nazywa się Ahmed Badur. Umie się poruszać po tym kraju, zapewniam cię.

— Czy to właśnie on ma nam pomóc zlokalizować sultana i jego rodzinę?

— Zgadłeś.

— Jeśli jeszcze raz powtórzysz to słowo, zabiję cię — ostrzegł Hawke.

Był w tej chwili tak wyczerpany drogą i gorącem, czuł się tak źle, że naprawdę miał ochotę spełnić swoją groźbę. Rozbił bardzo drogi samolot. Zanim ostatecznie okaże się, że nie popełnił żadnego błędu, będzie się za nim ciągnęła zła sława. Ale przecież to nie jego wina! I nie miał zamiaru ciągle słuchać komentarzy na ten temat. - I wiesz co? - dodał. -Ponieważ jesteś tak tajnym agentem, że nikt się do ciebie nie przyzna, ujdzie mi to na sucho.

— Posłuchaj, stary — odparł Brock — w waszej wspaniałej Anglii jesteś być może uważany za niepokonanego, ale...

Przerwał mu donośny odgłos dochodzący z ulicy. Wyjrzeni przez okno.

Alex ze zdziwieniem zobaczył zbliżającego się w chmurze pyłu rolls-royce'a silver ghost, model z 1927 roku. Na masce pojazdu, obok zwieńczającego wysoką, prążkowaną osłonę chłodnicy słynnego posążka Flying Lady, trzepotała mała trójkątna flaga w kolorach pomarańczowym, białym i zielonym — narodowych barwach Omanu.

Kiedy kurz opadł, za kierownicą pozbawionego dachu samochodu dało się dostrzec elegancko ubranego mężczyznę z dużymi czarnymi wąsami, w ciemnych okularach ze złotą oprawką. Odwrócił głowę i uśmiechnął się do patrzącego na niego z okna Aleksa. Kierowca rolls-royce'a miał na sobie biały lniany garnitur europejskiego kroju. Przywodził Hawke'owi na myśl nauczyciela tańca.

— Rozumiem, że to jest ten twój znajomy — odezwał się Alex.

— Owszem.

— Dlaczego wszyscy mieszkańcy tego cholernego kraju mają na imię Ahmed?

— Nie wszyscy. Zaledwie jakieś osiemdziesiąt procent.

— Ładny wóz.

— Dostał go w prezencie od sułtana, a ten, wcześniej od księcia Karola i księżnej Diany, kiedy przylecieli tu z wizytą państwową. Sułtan i książę Karol przyjaźnią się od długiego czasu.

— Twój kumpel świetnie się nadaje do pracy szpiega: cichy, skromny, niezwracający uwagi... — zadrwił Hawke. — Dokładnie tego potrzeba podczas tajnej operacji, takiej jak nasza.

265

— I tak zna go każdy Omańczyk Przez dwadzieścia lat był prawą ręką sułtana, to do Badura chodziło się załatwiać sprawy w pałacu Ahmed Badur jest żywą legendą Zwróciłby na siebie uwagę właśnie wtedy, gdyby przyjechał na wielbłądzie albo skradałby się do tylnego wejścia w pustynnym kamuflażu

— Postaram się to zapamiętać — mruknął Alex Badur wchodził już tymczasem do salki, w której siedzieli

— Ahmed, poznaj Aleksa Hawke'a - odezwał się Brock

— Bardzo mi miło — powiedział uprzejmie Ahmed, uśmiechając się szeroko Miał piękne, równiutkie, białe zęby Ukłonił się grzecznie —

Słyszałem o panu, milordzie Książę Walii wyraża się o panu w samych

— Słucham' — przerwał Harry, unosząc głowę — Jak on się do ciebie zwrócił' „Milordzie”

— Nieważne — uciał Hawke — Nie używam swojego tytułu

— Nie wiedziałem, że

— Miło mi pana poznać - odezwał się Alex do Badura, ignorując zmieszanie Brocka Uprzejmym gestem pokazał Ahmedowi krzesło —
Dziękuję, że pan przyjechał Jak mniemam, pan Brock powiedział już panu, po co znaleźliśmy się tutaj

— Oczywiście Wielka Brytania i Stany Zjednoczone to starzy przyjaciele Omanu i sułtana Adzi Abbasa Przybyliście tu panowie w bardzo ważnej misji Jej powodzenie ma kluczowe znaczenie dla naszego kraju

Hawke popatrzył na Badura i uznał, że pomimo jego wyglądu oraz środka lokomocji, jakim się poruszał, jest on człowiekiem godnym zaufania

— Przyleciałem tu jako zwykły obywatel — odezwał się —Ale zrobimy z Harrym wszystko, co w naszej mocy, aby zakończyć obecny kryzys
Naszym głównym zadaniem jest wyzwolenie sułtana i jego rodziny

— Tak, trzeba to zrobić natychmiast

— Kto ich pilnuje' Żołnierze'

— Szumowiny Francuscy najemnicy, nielegalnie przebywający w naszym kraju Wylądowali nocą na Masirze, od strony morza Tego samego ranka zauważono niedaleko naszego wybrzeża francuski okręt podwodny Mam na wyspie informatorów Mówią, że to wszystko dawni żołnie-

266

rze Legii Cudzoziemskiej Psy wojny, które teraz żyją z robienia takich rzeczy jak ta

— Ilu ich jest?

— Trzydziestu kilku Ale dowodzi nimi chiński oficer, który przyleciał do Omanu przed dwoma tygodniami w ramach misji dyplomatycznej On i

jego adiutanci

— Jak nazywa się ten oficer'

— Major Toiiy Tang

— Czy zakładników przenosi się też w jakieś inne miejsca?

— Nie przenoszono ich nigdzie od czasu, kiedy fortecy na Masirze zaczęli pilnować Francuzi Cały czas wiem, gdzie przebywają Ich kucharz to mój człowiek

— Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o Masirze

— To średniowieczna forteca zbudowana w XIII wieku Strzeże od południa wejścia do cieśniny Ormuz Została zbudowana na górującym nad morzem urwisku Forteca nazywa się Mahoud W 1940 roku feldmarszałek Rommel wybrał ją na swoją tymczasową kwaterę, kiedy szykował się do pomocy Włochom w Afryce Północnej

— Rommel? Nie wiedziałem o tym — powiedział Hawke Uczył się o Rommlu w akademii wojskowej Postać owego błyskotliwego marszałka fascynowała go

— Tak — potwierdził Badur — Odbudował fortecę i unowocześnił ją W 1941 roku, kiedy Lis Pustyni opuścił Masirę i dołączył do walczącego w Libii Afrika Korps, pozostawił w trudnej do zdobycia twierdzy mały garnizon Wehrmahtu Alianci przegonili ich stamtąd dopiero pod koniec wojny

— Jakim sposobem to osiągnęli' - zainteresował się Hawke

— Wypłoszyli ich masowym bombardowaniem Z powietrza i morza

— Możemy pójść w ich ślady — mruknął Brock

— Mamy rzucić bombę na sultana i jego rodzinę? - upewnił się Alex

— Wkrótce przekonacie się na własne oczy, że jest to twierdza nie do

zdobycia — powiedział Ahmed

— Co działo się z Masirą później? - zapytał Hawke

— Twierdza została poważnie uszkodzona Po wojnie niemal o niej zapomniano Dwadzieścia lat temu Jego Wysokość postanowił urządzić tam

267

muzeum narodowe. Dla przyszłych pokoleń, żeby były świadkami dawnej chwały Omanu. Jestem z wykształcenia architektem, dlatego właśnie mnie Jego Wysokość wybrał na projektanta i kuratora muzeum. Mam plany fortecy. Nawet te, które pozostawił po sobie Rommel. Nie zmieniło się tam wiele od czasu, kiedy otwieraliśmy muzeum.

— Świetnie — stwierdził Hawke. — W takim razie porwanie sułtana może nie będzie aż takie trudne. Znajdźmy jakiegoś rybaka, który zgodzi się nas tam przewieźć i przyjrzymy się fortecy z bliska.

— Nie łudź się — odpowiedział Ahmed, rozkładając na stole plany. — To wcale nie będzie proste.

— Dlaczego? Wystarczy, że porwiemy sułtana, jego żonę i pewnie kilkoro dzieci.

— Dotknąłeś właśnie poważnego problemu — odparł Badur.

— Jakiego?

— Nasz sułtan ma więcej niż jedną żonę.

— A ile ich ma? Dwie? Trzy?

— Ponad dwadzieścia. Tyle mi wyszło, kiedy liczyłem ostatnim razem.

Hawke spojrział w zdumieniu na Brocka.

— Dwadzieścia?

— Wygląda na to — odezwał się z uśmiechem Harry — że nie będzie to

łatwe porwanie, milordzie.

Rozdział 39

Coney Island

Potężna błyskawica rozświetliła cały obszar wesołego miasteczka. Teraz już co kilka sekund w ostrym świetle błyskawic na tle chmur ukazywały się dziwaczne wieże i kolejki górskie Coney Island. Ambrose stał w siekącym go z góry deszczu, w niebieskawych, przypominających stroboskop rozbłyskach. Otarł z wody oczy i kolejny raz podniósł lornetkę. Miał nadzieję, że jeden z zygzakowatych piorunów uderzy w wieżę spadochronową, na której szczycie wisiał Chińczyk, starając się w tej chwili ujść z życiem z opresji.

Większość obecnych na miejscu policjantów była zdania, że kiedy tylko gęsto padający deszcz i porywisty wiatr ustaną, Chińczyk zdejmie z pleców karabin i zacznie strzelać. Ze swojej pozycji — dotarł na sam szczyt wieży — nie będzie miał żadnych kłopotów z trafieniem. Nieco niżej kołysał się na wietrze wagonik, gdzie tkwił Joe Bones.

Wysoko w górze do odgłosów gromów dołączył terkot śmigłowców jednostki ATAC oraz policji. Krążyły nad parkiem, oświetlając reflektorami przede wszystkim wagonik na wierzchołku diabelskiego młyna. Bezpośrednio nad wieżą wisiał śmigłowiec sikorsky, należący do ATAC, dowodzony z ziemi przez Mariucciego. Załoga oświetlała szperaczem malutką z tej odległości sylwetkę człowieka w bieli.

Na pokładzie maszyny znajdowali się także sanitariusze oraz snajper, który czekał w otwartych drzwiach. Mierzył Chińczykowi prosto w serce, ale nie strzelał, ponieważ nie miał jeszcze takiego rozkazu.

Człowiek na wieży tylko dlatego jeszcze żył, chociaż wymierzonych w

niego było mnóstwo luf, ponieważ doszło do impasu w sporze o kompetencje pomiędzy stróżami prawa, podlegającymi władzom miejskim, stanowym oraz federalnym. Tłum nadal stał u stóp wieży spadochronowej, spoglądając na trzymającego się jej wierzchołka Chińczyka, oświetlonego szperaczem.

John Mariucci chodził tam i z powrotem, rozbryzgując z wściekłością wodę kałuż i pytając przez telefon, kto tu dowodzi.

Póki nie rozwiązano tej kwestii, wszyscy strzelcy wyborowi dostali rozkaz powstrzymania się od strzelania. Congreve nie był w stanie tego zrozumieć. Kłócono się o to, że wprawdzie mężczyzna na wieży wszedł na nią bez zezwolenia oraz był podejrzany o dokonanie tego samego dnia morderstwa w nowojorskiej dzielnicy Queens, ale przecież do nikogo nie strzelał ani nawet nikomu nie groził. Owszem, był uzbrojony, jednak nie dało się tego udowodnić. Kto wie, -w jakim celu wszedł na wieżę? Dowódca obecnych na miejscu sił policyjnych powiedział właśnie Mariucciemu, że według informacji, którymi w tej chwili dysponował, Chińczyk miał wystawione przez FBI pozwolenie na noszenie broni.

269

Choć nie było to jeszcze pewne. A może to, co znajdowało się w zawieszonym na jego plecach futerale, wcale nie było karabinem? Może nosił tam na przykład parasol? Albo zwykły metalowy pręt?

— Co pan wygaduje?! — zawołał Mariucci. Zasłonił telefon dłonią, popatrzył na Congreve'a spojrzeniem, w którym niedowierzenie mieszało się z wściekłością, i rzucił: — Nie uwierzysz, co ten wariat właśnie mi powiedział!

- Co takiego? - zainteresował się Ambrose.

— Cytuję: „Zalóżmy, że zastrzelimy tego typka, a kiedy zdrapiemy go z chodnika, okaże się, że to był jakiś rąbnięty chiński himalaista na wakacjach, który wdrapał się na wieżę, żeby sobie trochę poćwiczyć”.
Koniec cytatu.

Doprawdy, któż mógł to wiedzieć?

Congreve i Mariucci byli jednak przekonani o tym, że patrzą na Chińczyka, który zaledwie przed paroma godzinami stał nad ciałem Benny'ego Sangstera, konsumując jego serce, podczas gdy z ciała starego mafiosa powoli wypływała krew. Jaki miał motyw? Motyw zbrodni mógł być tylko jeden — ten, że pewni ludzie z kręgu władz Francji usłyszeli, iż podjęto śledztwo w sprawie morderstwa sprzed trzydziestu lat. Wysłali więc do Nowego Jorku chińskiego zabójcę, aby wyeliminował ostatnich dwóch żyjących świadków, którzy widzieli mordercę.

Mariucci usiłował wytłumaczyć to dowództwu policji, dodając, że sprawa ma kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego.

Nie był jednak w stanie udowodnić tego, co mówił, stojąc pod wieżą w ulewnym deszczu.

Pojawił się wóz strażacki z wysoką drabiną. Potężna ciężarówka podjechała powoli alejką pod diabelski młyn. Strażacy natychmiast zaczęli rozsuwać drabinę umieszczoną na obrotowej podstawie.

Sięgała coraz wyżej w siekące deszczem niebo. Congreve wpadł tymczasem na kolejny ze swoich błyskotliwych pomysłów. Po kilku minutach starań udało mu się wreszcie przekonać Mariucciego, żeby przestał wrzeszczeć do telefonu i zachowywał się rozsądnie.

- I co mam niby robić?! - burknął wciąż siny z wściekłości Mariucci, zamykając z trzaskiem składany telefon. — Chyba namówię jednego z

chłopców, żeby na ochotnika wlaź po drabinie i ściągnął Joeya z tego
270

pieprzonego wagonika. Tak zrobię! Bo przecież ja tu dowodzę, do jasnej cholery.

— Kiedy tylko policjant zacznie wchodzić po drabinie, Chińczyk strzeli — zauważył spokojnym tonem Congreve.

— Otóż to, panie inspektorze, nareszcie zaczął pan myśleć! Kiedy tylko ten typek sięgnie po karabin, strzelec wyborowy zlikwiduje go w mgnieniu oka. Capisce?

— Być może jest to sprytne wyjście z sytuacji.

— Dziękuję.

— Ale narazisz w ten sposób życie jednego z policjantów.

— Nie pomyślałem o tym. Celną uwaga. Ale, u licha, tak załatwiamy sprawy w Nowym Jorku. Wybacz, stary, muszę...

— Wymyśliłem mniej ryzykowny sposób.

— Ciekawe jaki?

Congreve zrobił krok w tył, spojrzął na szczyt wieży, potem na koniec drabiny, zmarszczył brwi:

— Niech wysuną drabinę na całą długość. I obróć ją gwałtownie.

Przecież szykując drabinę, można niechcący uderzyć nią w szczyt wieży spadochronowej.

— Słucham? - Mariucci przyjrzał się uważnie Ambrose'owi, zerknął na drabinę i zmrużył oczy. — Taak, rozumiem, o co ci chodzi —

odpowiedział. — Rzeczywiście, nakierowując drabinę, trzeba bardzo uważać, bo inaczej można przywalić nią w wieżę.

— Właśnie, a wtedy Chińczyk mógłby niestety spaść.

- Całkiem przypadkowo.
- Oczywiście.
- Mógłby zostać ciężko ranny. A nawet zginąć.
- Bez wątpienia by zginął.
- Wybacz, ale muszę szepnąć coś na ucho dowódcy sekcji straży pożarnej. Znamy się nie od dziś; ten człowiek, Bellew, to mój stary kumpel. W całym zamieszaniu nikt nie poinformował go, jak wielkim zagrożeniem dla naszego bezpieczeństwa narodowego jest ten facet na wieży. Więc chyba powinienem powiadomić pana Bellewa, nie sądzisz?
- Ależ oczywiście.

Dziesięć minut później Mariucci wrócił i oznajmił:

271

- Zrobi to.
- Dobrze.
- Opowiedziałem mu wszystko. To prawdziwy patriota. Patrz. W tym momencie strażak zaczął obracać drabiną. Jej koniec ruszył nagle z dużą prędkością w stronę wieży.
- Poskutkuje? — szepnął John.
- Tak myślę — uspokoił go Ambrose. — Inaczej bym tego nie proponował.
- To czemu masz tak niespokojną minę?
- Przyznam, że nie pomyślałem, iż będziesz musiał wprowadzić we wszystko twojego znajomego Bellewa.
- Czy to dla ciebie problem?
- Konsekwencje tego będą trudne do przewidzenia. Najpewniej w sprawie wypadku, który za chwilę się wydarzy, zostanie zarządzone

śledztwo. Dowódca sekcji straży może znaleźć się w ogniu pytań.

Kłopotliwych dla niego...

— W ogniu kłopotliwych pytań? Bellow znajdował się już w znacznie trudniejszych sytuacjach. Na tej wieży siedzi terrorysta. Wieża i tak jest skazana na zagładę, więc terrorysta również. Taki mały akt sprawiedliwości.

— Jeśli tak chcesz to nazwać...

— Posłuchaj, pewnego feralnego wrześniowego dnia zginęło trzystu czterdziestu trzech nowojorskich strażaków, najdzielniejszych ludzi na świecie. Wszyscy chcielibyśmy o tym zapomnieć, ale nie da się tego uczynić. Od tamtego czasu wszystkie nowojorskie służby są w stanie wojny z terrorystami. Każdy z nas jest gotów walczyć z nimi do ostatniej kropli krwi.

— Uważam, że Bellew i ty postępujecie w tej chwili właściwie. Nie chciałbym tylko, żeby wylali cię z pracy.

— Jeśli stracę przez to pracę, uważaj, drabina jest już blisko, jeśli stracę pracę...

— Tak?

— Będę bardzo zadowolony z tego, co zdziałalem.

— Boże, patrzcie! — krzyknął ktoś. W zamieszaniu kilku gapiów zdołało ominąć rozglądających się policjantów i przejść pod zagrządzającą alejkę plastikową taśmą. Nastolatki, dzieci oraz ze dwóch dorosłych.

272

Jeden z nich zorientował się, co się dzieje. Ciężka aluminiowa, wzmocniona stalą drabina szybko zbliżała się do wierzchołka wieży. Przez moment Congreve obawiał się, czy drabina nie przesunie się ponad wieżę,

ale nie — uderzyła z donośnym, wibrującym brzękiem. Stalowa wieża zatrzymała drabinę w miejscu. A Chińczyk — wisiał dalej.

Niezdający sobie sprawę z charakteru wydarzeń gapie zaczęli wiwatować na jego cześć.

Drabina zaczęła odsuwać się od wieży, gapie odetchnęli z ulgą. A potem znowu zaczęli krzyczeć, ponieważ ruszyła z powrotem. Bardzo szybko.

- Widzisz? - mruknął Mariucci. - Nowy Jork nie zapomina i nie przebacza.

Ambrose nie był w stanie wydobyć z siebie słowa. Stał jak wmurowany i wpatrywał się w walczącego o życie Chińczyka na wieży. Wyżej już nie mógł się wspiąć. I wiedział, co go czeka na dole.

Rozdział 40

Bawaria

Zapomniałem czegoś - odezwał się zdyszany Stoke. Od ponad godziny wspinali się z Jet pod górę, brnąc w głębokim śniegu. Słońce ledwie unosiło się nad horyzontem. Kosodrzewina dźwigała na sobie śnieżne czapy. Śnieg zaczął się już topić. Szalejąca w nocy burza zelżała, ale jeszcze od czasu do czasu zrywał się silniejszy wiatr i sypał śnieg. Zza chmur zaczęło przeświecać błękitne niebo; zapowiadał się piękny dzień. Mimo to Stoke był w nie najlepszym nastroju — dokuczało mu zimno, a posuwanie się naprzód było bardzo utrudnione. Spojrzał na Jet.

— Przepraszam cię, ale musimy wracać do tego cholernego pensjonatu.

— Co ty mówisz?

— Musimy wracać.

— Nie mogę w to uwierzyć! — odpowiedziała Chinka, ściągając gogle i ze złością ciskając je w śnieg. 273

— To ja nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje— odparł Stoke.—

Uratowałem cię, a ty...

— Uratowałeś mnie? — przerwała Jet. — To ja załatwiłam Viktora, kiedy...

— Mam na myśli to, co zaszło na jachcie Schatziego. Klatkę.

— Daj spokój, Stoke.

Jet nie była zadowolona z sytuacji. Przedzieranie się pod górę przez głęboki śnieg, w ciemności, przy bardzo niskiej temperaturze, nie jest ulubionym zajęciem większości kobiet. Wiedziała jednak, że musi iść na przód. W pośpiechu opuścili z Jonesem pensjonat — obawiali się, że Viktor bądź Irma mogli przed śmiercią zadzwonić do von Draxisa. Wtedy, kiedy Jet oprowadzała Stoke'a po zamku Reichenbach. Nie mieli sposobu na sprawdzenie tego, ale musieli brać tę możliwość pod uwagę. Dlatego opuścili szybko Gasthaus, aby burza śnieżna nie zatrzymała ich w nim na dłużej.

Taka pogoda miała i swoje dobre strony - uniemożliwiała wszelki ruch lotniczy. Von Draxis nie mógł posłać tutaj śmigłowca. Jet uważała jednak, że baron mógł już umieścić swoich ludzi na miejscowych dworcach — kolejowym i autobusowym. Nie zapomnieliby oczywiście o rysopisach tych, których mieliby wypatrywać. A zatem jedyną drogą powrotu była ponowna przeprawa przez góry. Na piechotę, do Salzburga. Tam Stoke i Jet zamierzali odpocząć, a później odjechać pierwszym pociągiem do Berlina. O tej porze roku śnieg rzadko padał, jednak zdarzał się na tej wysokości. Dlatego przed pożegnaniem z Viktorem i Irmą Stoke i Jet przetrząsnęły pensjonat w poszukiwaniu odpowiednich ubrań, w których mogliby cało i zdrowo dotrzeć do Salzburga. Znaleźli. W ostatniej chwili Jet wręczyła Jonesowi kijki. Otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Okazało się, że nie umie poruszać się na nartach biegowych. Trzeba więc

było użyć rakiet śnieżnych.

— Żartujesz! - odezwała się, ocierając śnieg z oczu.- Naprawdę czegoś zapomniałeś?

— Wolałbym, żeby to był żart... Nienawidzę tych pieprzonych rakiet śnieżnych! Jak w tym można chodzić? Czuję się, jakbym miał przypięte do nóg rakietki tenisowe.

— Nie zmieniaj tematu, Stokely. Czego zapomniałeś?

— Zapomniałem o księdze gości.

274

— Cholera! Jak można było o tym zapomnieć? Nie do wiary.

— Wiem, to głupie. To jak pozostawić na miejscu zbrodni list z przyznaniem się do winy. Przepraszam.

— Przede wszystkim mam pretensję do siebie — wyjaśniła Jet. — Jak mogłam o tym zapomnieć?

— Naprawdę nie masz mi za złe, że o tym zapomnieliśmy?

— Naprawdę. To moja wina. Postąpiłam jak amatorka. Tak się niepokoiłam burzą śnieżną, że... W każdym razie musimy wrócić.

Chodźmy już.

— Chodźmy. — Jones uśmiechnął się i ruszył za Jet, zadowolony, że się na niego nie gniewa. Teraz, kiedy szła przodem, było mu o wiele łatwiej posuwać się naprzód, a poza tym miał o wiele ciekawsze widoki. Zaczynał rozumieć, dlaczego Alex Hawke, pomimo swoich obaw, polecił mu opiekować się Jet.

Po półgodzinie schodzenia stromym zboczem góry Stoke i Jet dotarli do skalistego urwiska. W dole rozciągała się nieckowata dolina, pełna oślepiającego białego śniegu. Po lewej stronie widać było przypominające

błękitny klejnot jezioro. Dalej zaczynał się las — przysypane śniegiem sosny, wysokie na dwadzieścia parę metrów. Widok piękny, jak z bajki. Błękit nieba i wody, zieleń drzew, biel śniegu. Stoke przystanął, przepełniony zachwytem.

— Zatrzymajmy się na chwilę, żeby odetchnąć — powiedział, rozglądając się. Wydawało mu się, że chwilę wcześniej usłyszał jakiś odgłos, jakby odległe bzyczenie. Wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać. Nie, teraz nic nie słyszał.

— Dobry pomysł — odpowiedziała Jet.

— Ej, co to jest?

— Gdzie?

— Tam, z tyłu. Unosi się nad górami. Mała ciemna kropka na niebie. Widzisz?

— Nie.

— Aleja widzę. Przejdźmy jak najszybciej przez tę dolinę. Kiedy dotrzemy do lasu, będziemy bezpieczni. Naprzód!

Stoke ruszył biegiem, na tyle szybko, na ile pozwalały rakiety śnieżne.

Umiał biegać — kiedyś grał w zawodowej drużynie futbolu amerykańskiego. Mimo to Jet dotrzymywała mu kroku.

275

— Co to? — spytała, posuwając się tuż za Jonesem.

— Śmigłowiec. Może pojawił się tu przypadkowo, ale nie możemy ryzykować.

— Masz rację.

— Czy nie idę za wolno? — zapytał Stoke, słysząc kroki Jet tuż za swymi plecami.

— Trochę.

— To biegnij przodem. Spotkamy się w pensjonacie. Jeżeli naprawdę leci tu śmigłowiec von Draxisa, trzeba natychmiast ukryć ciała i usunąć nasze nazwiska z księgi gości. Wystarczy, że powiadomią barona przez radio i nie dotrzemy już do Berlina.

Jet pognała przodem. Stoke co chwila oglądał się do tyłu, zerkając na rosnący punkt na niebie. Słyszał teraz wyraźnie dźwięk wirnika śmigłowca. Wysoki, terkoczący ton. Próbował pocieszać się, że może to tylko patrol górskiego pogotowia ratunkowego. Uważał jednak, że tylko nieudacznicy liczą na szczęście.

Ściągnął rakiety, przypiął je rzepami do plecaka i zaczął brnąć przez śnieg w samych butach. Tak chyba szło mu trochę szybciej, ale Jet znacznie go już wyprzedziła. Zdażyła właśnie wbiec do lasu. Śmigąła jak łania, nawet w rakietach śnieżnych. Stoke również wierzył w to, że zdoła zniknąć między drzewami, zanim spostrzegą go ze śmigłowca. Biegł ile sił w nogach.

Wpadł do lasu, położył się na śniegu i leżał, ciężko dysząc. Terkot narastał. Jones ukląkł między dwoma krzakami, aby obserwować śmigłowiec. Słyszać było, że się zniżył. Może zmieni kurs? To ocaliłoby Stoke'owi i Jet życie. Nie. Maszyna kierowała się prosto w stronę pensjonatu. Zeszła nad białą dolinę, sunąc prosto na Jonesa. Nadlatywała od strony słońca. Pilot znał się na rzeczy.

Nagle skreślił ostro w lewo, zawrócił i zszedł jeszcze niżej. Załoga spostrzegła świeże ślady na śniegu. Śmigłowiec obrócił się wokół własnej osi i powrócił na kurs. Znow leciał "wprost na Stoke'a. Wkrótce znajdzie się na lądowisku ZumWilden Hund.

Jones popatrzył na przelatującą nad nim, tuż ponad -wierzchołkami drzew, maszynę. Była czarna jak ta, którą widział na południu Francji. Na jej smukłych burtach i brzuchu były wymalowane jaskrawym, szkarłat-
276

nym kolorem te same litery -VDI. Teraz Stoke wiedział już, że to skrót od Von Draxis Industries. Wstał i znów ruszył biegiem przez las. Chciał dogonić Jet, zanim wpadnie w ręce załogi śmigłowca.

Kiedy dotarł do skraju lasu, w stojącym w pobliżu pensjonatu śmigłowcu nie zobaczył nikogo, ale do budynku prowadziły stamtąd świeże ślady. Chyba dwóch osób — pilota i pasażera. I jeszcze ślady jakiegoś zwierzęcia. Lisa albo wilka.

W pensjonacie panowała cisza. Z długich sopli pod dachem kapiała woda. Jet nie było widać. Stoke podbiegł do śmigłowca, od tyłu, tak aby nie było go widać z pensjonatu. Oparł się o kadłub i dyszał długo — musiał złapać oddech. Postanowił po zakończeniu całej tej historii polecieć w jakieś ciepłe miejsce i zadbać o kondycję, która okazała się wcale nie taka dobra. Zadyszka przydarza się nowicjuszm. Tak, najlepiej będzie polecieć do Miami i Key Biscane, nad morze, odwiedzić piękną Fanchę —jego prawdziwą miłość.

Tymczasem czuł się potwornie przemarznięty. Zaczął zabijać ręce, aby przywrócić w nich krążenie. Położył plecak na śniegu, z trudem odpiął klapę i wyciągnął zabranego Viktorowi schmeissera. Z Gasthausu wciąż nie dolatywały żadne dźwięki. Stoke przeczuwał, że stary Bawarczyk posługiwał się tym schmeisserem jeszcze na wojnie. Mógł być przystojnym oficerem strzelców alpejskich. A Irma była wówczas niezbyt piękną Fraulein, której kształty ledwie mieściły się w sukience.

Stoke pobiegł do budynku i nagle usłyszał krzyk Jet. Ostrzegala go? Nie, to krzyk bólu. W środku musiało być naprawdę niewesoło.

Wbiegł na ganek, nie martwiąc się już o to, że jego buty chrzęszczą na lodzie. Drzwi były lekko uchylone. Pchnął je lewą ręką i wpadł bokiem do budynku, aby trudniej go było trafić. Przykucnął z groźnie wyglądającym schmeisserem w rękę. Żył.

Najpierw rozejrzał się po salonie, omiatając go lufą. Był pusty, tylko ciało Viktora wciąż spoczywało na milczącym fortepianie; palce starego Bawarczyka opierały się znowu na klawiszach. Kłapa fortepianu zmiażdżyła mu skroń. Z nosa zwisał sopelek zamarznętej krwi. W pensjonacie zrobiło się zimno jak w igloo.

Stoke i Jet, odchodząc, wyłączyli ogrzewanie, aby ciała właściciela i jego córki się nie rozkładały. Jones skoczył do biurka, gdzie ciągle leżała

277

czerwona, oprawiona w skórę książeczka — księga gości. Obawiając się, żeby nie zapomnieć o niej po raz drugi, schował ją do jednej z obszernych kieszeni kurtki.

Usłyszał dolatujące z głębi domu dźwięki. Chyba z kuchni. To dlatego nikt go dotąd nie usłyszał ani nie zobaczył.

Ruszył szybko przez pusty hol. Na jego końcu widać było światło — drzwi kuchenne musiały być otwarte. Teraz słyszał wyraźnie dwóch mężczyzn krzyczących ze złością po niemiecku. A potem zawarczało groźnie basem jakieś zwierzę. Co to mogło być? Jones zerknął do kuchni.

Była duża, miała na oknach ładne zasłony w biało-czerwoną kratkę.

Początkowo nie zobaczył nikogo. Obszedł duży piec i... Jezus Maria! To byli dwaj Arnoldowie. Mieli na sobie czarne mundury ochroniarzy firmy

VDI. Niepokojąco podobne do mundurów SS, znanych Jonesowi z filmów. Nie usłyszeli go. Stali do niego plecami i wrzeszczeli równocześnie po niemiecku.

Stoke znał po niemiecku tyle słów, żeby zrozumieć, iż Arnoldowie odkryli ciała gospodarzy i to z tego powodu są wściekli. Arnold po lewej stronie trzymał mały, pękaty pistolet maszynowy. Ten po prawej ścisnął w dłoni koniec łańcucha. Widać było przez mundur, jak napinają się mięśnie potężnych pleców — Arnold z wysiłkiem przytrzymał wściekłe, warczące zwierzę, ogromnego czarnego dobermana. Doberman miał wielką ochotę zatopić zęby w leżącej w kącie na podłodze Jet. Krew spływała jej z ust po brodzie. Doberman unosił się na tylnych łapach, napinając łańcuch i machając przednimi łapami w powietrzu; szarpał łbem i trząsał zębami, rozrzucając na boki płaty śliny. Stoke pomyślał, że najwyższy czas zakończyć tę scenę.

— Ah-nold 's in the kitchen wiith Dinah... — zaśpiewał początek swojej ulubionej, starej piosenki. Arnold po lewej szarpnął się, natychmiast kierując lufę w stronę Jonesa i krzycząc:

— Was ist los?

W tym momencie pod jego blond włosami wykwitła czerwona kropka i runął na podłogę, strącając wystrzeloną serią gliniane trolle ustawione na półce.

278

- Pamiętasz mnie? - spytał Stoke drugiego Arnolda, który patrzył na niego z szeroko otwartymi ustami. — Przyjęcie na „Valkyrie”. Jestem tym wielkim Murzynem — dodał, na wypadek gdyby Niemiec tego nie zauważył.

— Was gibt hier? — wybąkał nieszczęśnik. Jones uniósł schmeissera. Oczy Arnolda się rozszerzyły, nie chciał dołączyć do swojego partnera, wykrwawiającego się na podłodze. A pistolet miał w zapiętej skórzanej kaburze. Wiedział, że nie zdąży go wyciągnąć.

— Mam problem, Arnoldzie — odezwał się Jones. — Jeśli cię zastrzelę, pies zje Jet. Rozumiesz? Więc może najpierw zastrzelę psa, a ciebie chwilę później, dobrze?

Arnold zaklął po niemiecku. Stoke przyłożył lufę schmeissera do ucha Niemca i rozkazał:

- Uspokój psa, bo inaczej zginiesz razem z nim.

- Nie zabijaj psa, Stoke - odezwała się Jet.

- Słucham?

- Każ mu puścić psa.

— Zwariowałaś?

— Zrób, jak mówię.

— Może masz ochotę na samobójstwo; ale on nie puści psa, skoro przykładam mu do ucha schmeissera.

- To drugą ręką wyjmij mu z dłoni łańcuch - poradziła Jet. - W ten sposób będziesz panował równocześnie nad nim i nad psem.

— Dobra, to brzmi trochę sensowniej. Słyszałeś, Arnold? Przejmę teraz psa. Zachowaj spokój, a wszyscy będziemy mieli całe głowy.

Na wszelki wypadek Stoke docisnął mocniej lufę do ucha Arnolda, a następnie odwinął łańcuch z jego dłoni, owijając go wokół własnej.

Rozszczekana, warcząca bestia szarpała tak, jakby postanowiła wyrwać Jonesowi rękę ze stawów. Trudno było przytrzymać tego psa, jednocześnie przykładając schmeissera do głowy Arnolda. Wkrótce

Niemiec zorientuje się, że warto spróbować wykorzystać szansę...

- Mam psa i co dalej? - spytał Stokely.

— Puść go. Nic się nie stanie.

- Jet, czy ty na pewno dobrze się czujesz?

— To mój pies, Stoke.

279

— Twój?

— Tak. Wabi się Blondi. Po prostu cieszy się, że mnie zobaczyła. Prawda, malutka?

— Ciebie będą chować — mruknął Stoke, puszczając łańcuch. Nie był w stanie sprzeczać się z tą kobietą. Olbrzymi pies skoczył ku Jet i zamiast przegryźć jej szyję, zaczął lizać swoją panią po policzkach i czole.

— Dobry piesek — powiedziała Jet, głaszcząc dobermana po łbie i ocierając się o niego policzkiem. Następnie objęła psa za szyję i przytuliła.

— Wierzysz w to, co •widzisz? — zagadnął Stoke Arnolda. Obaj spoglądali teraz na Jet.

— Nie za bardzo — odpowiedział Niemiec zaskakująco dobrą angielszczyzną.

— Schatzi dał mi ją, kiedy była jeszcze szczeniakiem - wyjaśniła Jet.

-Prawda, maleńka?

Stoke i Arnold popatrzyli po sobie.

— Hej, Arnold, jak myślisz, czy zmieszczę się w twój mundur? — spytał Jones. - Chyba będzie trochę za ciasny w ramionach...

Rozdział 41

Zatoka Omańska

Cacique płynął przez dwumetrowej wysokości fale, przechylając się

mocno na burty. Dawno minęły już czasy świetności tego dziewiętnastometrowego trawlera, dowodzonego przez kapitana Alego al Houriego. Stary dieslowski silnik miał swoje humory. Temperament, można powiedzieć. Ale nowy znajomy Brocka, Ahmed, zapewnił Hawke'a, że stateczek nadaje się do opłynięcia w celach zwiadowczych wyspy Masiry. Agenci chcieli przyrzeć się z bliska twierdzy Mahoud.

Badur znalazł dla nich i wyczarterował stary, mały statek. Wyjaśnił, że „Cacique” łowi zwykle wzdłuż wybrzeża, od Ras al-Hadd aż do Salalah. Od lat widywano go w okolicach Masiry, więc chyba nikt na wyspie 280

ani na lądzie w jej pobliżu nie zwróci uwagi na jego obecność. Ahmed zadbał też, aby statek miał w ładowni odpowiedni towar, przygotowany według listy sporządzonej przez Brocka.

Składały się nań: broń, materiały wybuchowe, eksperymentalne przyrządy optyczne, wysokiej rozdzielczości kamery i aparaty cyfrowe z teleobiektywami, tuzin akwalungów i specjalnie wyposażonych ubiorów do nurkowania, jakich używała jednostka SEAL, butelka gosling's black seal dla Hawke'a oraz skrzynka budweisera dla Harry'ego.

Badur był bardzo sprytnym człowiekiem, Brock miał odpowiednie powiązania i wyglądało na to, że obaj wspólnie są w stanie wszystko zorganizować. Przyglądając się wnoszonym na pokład przedmiotom, Alex doszedł do wniosku, że gdyby powiedział Ahmedowi, iż nie może rozpocząć wyzwania zakładników, dopóki nie będzie miał pod pachą oryginału Słoneczników van Gogha, kilka godzin później już by mu go dostarczono.

Pod spłowiałą brezentową płachtą na rufie został umieszczony

miniaturowy okręt podwodny — nowiutki amerykański SDV — Swimmer Delivery Vehicle, czyli pojazd do przerzutu nurków. Zaprojektowała go marynarka na potrzeby jednostki SEAL. Okręcik przyleciał poprzedniej nocy do Maskatu na pokładzie transportowca C-130 hercules wraz z innym potrzebnym sprzętem.

„Cacique” płynął w tej chwili na północny wschód wzdłuż położonego mniej więcej milę morską na wschód od Masiry szelfu, który był dobrym łowiskiem. Trawler posuwał się przez wzburzone morze z niewielką prędkością ośmiu węzłów. Alex przez godzinę stał przy relingu z silnie powiększającą lornetką firmy Zeiss. W końcu zmęczył się oglądaniem po kawałku niekończących się połaci jednolitych szarych skał, w które od dołu uderzały fale. Schował lornetkę, a także kamerę wideo.

Słońce schodziło już poniżej topu pękatego masztu przed sterówką. Jedynymi ciekawymi obiektami, jakie Hawke zaobserwował przez całe popołudnie, były stado zielonych żółwi oraz mały, niebieski kuter, który z gulgotem przepłynął w pobliżu, ciągnąc za sobą szereg białych pontonów. Alex naliczył ich dziesięć, podskakiwały za kutrem, jak kaczuski za matką. Nigdzie indziej na świecie nie widział czegoś takiego.

Usiedli z Brockiem w sterówce, przy stoliku, na którym rozłożyli mapy, zdjęcia satelitarne i termowizyjne wyspy oraz samej twierdzy. Fotografie,

281

na które Hawke w tej chwili patrzył, wykonał specjalnie wystrzelony przed sześcioma godzinami satelita szpiegowski. W sterówce panował ponury nastrój. Obaj agenci szybko zrozumieli, że ich pierwotny plan ewakuacji zakładników drogą powietrzną jest niemożliwy do zrealizowania.

Ahmed poszedł na pokład rufowy, gdzie usiadł w cieniu na jednym z umocowanych przy relingu staroświeckich foteli, pamiętających jeszcze czasy parostatków. Wybrał fotel na osi symetrii pokładu, aby przechyły były najmniej dokuczliwe. Siedział twarzą w stronę rufy i z ciekawością przeglądał egzemplarz „Architectural Digest” sprzed dziesięciu lat.

Doszedł do wniosku, iż skoro ma spędzić na tej zardzewiałej łajbie najbliższe kilka dni, warto zorganizować sobie życie jak najwygodniej.

Wyspa Masira znajdowała się po lewej burcie. Wyglądała na niezamieszkaną. Była w istocie wielką, poszarpaną skałą, wystającą z morza kilka mil od wybrzeży Omanu. Jedynymi jej mieszkańcami, jakich Alex do tej pory zaobserwował, były całe stada białych flamingów. Oman leżał na głównej trasie wędrówek egzotycznych ptaków, które tysiącami migrowały z Azji do Afryki i z powrotem.

Hawke powiedział jednak Badurowi, że chwilowo bardziej interesują go ptaki metalowe. Szukał jakiegoś niewidocznego z twierdzy miejsca, gdzie można by wylądować śmigłowcem. Wystarczyłaby nawet mała piaszczysta plaża, pojawiająca się podczas odpływu. Jakikolwiek płaski fragment terenu.

Jak dotąd jednak niczego takiego nie zobaczył. Żadnych dróg, ani płaskowizy. Nigdzie nie zmieściłby się nawet najmniejszy śmigłowiec. Na zdjęciach satelitarnych także nie było widać żadnego miejsca na lądowisko, nawet na dachu twierdzy.

Twierdza nie miała również dziedzińców. Po prostu na Masirze nie można było wylądować żadnym statkiem powietrznym. „Łatwe porwanie”-jak zaczął nazywać misję Brock - musiało wiązać się z przeprawą przez wodę. Wyglądało na to, że zadanie jest pod każdym względem bardzo trudne do

wykonania.

Alex i Harry musieli znaleźć jakiś sposób na wdarcie się do twierdzy, pokonanie kilkudziesięciu francuskich najemników, uwolnienie sułtana i jego haremu, a wreszcie wywiezienie ich z wyspy. Na zaplanowanie

282

akcji pozostawało zaledwie czterdzieści osiem godzin. Wczesnym popołudniem zadzwonił do Aleksa „Cegła” Kelly, przez telefon satelitarny. Powiadomił, że prezydent Stanów Zjednoczonych oraz premier Wielkiej Brytanii wydali wspólne oświadczenie, w którym zagrozili, że jakakolwiek inwazja na Oman spowoduje poważne konsekwencje.

— Nie pozwól, żeby do tego doszło, Alex - zakończył rozmowę Brick. -I nie dajcie się złapać. W razie czego nie znamy was. Stany Zjednoczone nikogo nie wysłały do Omanu. Zrozumiałeś?

Hawke spoglądał na stojącego przy staromodnym kole sterowym kapitana. Al Houri stał na szeroko rozstawionych nogach i wypatrywał mielizn.

— Kapitanie, jak dostarczane są na Masirę zapasy? — spytał Alex. — Żywność i napoje dla pracowników muzeum?

— Mam na imię Ali — powiedział z uśmiechem al Houri.

— Miło mi, Ali.

— W skałach, bezpośrednio pod fortem, jest długie stalowe moło. Cumują tam codziennie promy z turystami. A statek z zapasami przyływa raz w tygodniu.

— Czy zawsze pojawia się tego samego dnia?

— Tak, w soboty. Około dziewiątej wieczorem. Pojutrze na pewno przyplynie.

— Dziękuję, to bardzo interesująca wiadomość.

— Za kwadrans będziemy opływać przylądek Mała. Zobaczycie, jak wygląda forteca.

Hawke natychmiast polubił szypra „Cacique”. Wiedział już, że można mu zaufać. Kapitan miał wysuszoną słońcem i solą, smagłą skórę, był przystojny. Miał około czterdziestu pięciu lat, jego czarne gęste włosy zaczynały siwieć. Kiedy się uśmiechał, widać było białe zęby. Wyglądał na opanowanego, zdecydowanego mężczyznę, który nie zdradzi swoich towarzyszy w czasie walki i weźmie w niej czynny udział. Alex cieszył się, że al Houri dołączył do drużyny.

— To jest nasz największy problem — odezwał się Hawke do Brocka, stukając palcem w wyblakły rysunek elewacji fortu.

— Bliźniacze wieże — mruknął Harry.

— Strzegą jedyne go wejścia do twierdzy. Spójrz. Od morza do bramy idzie się po schodach. Brama znajduje się na wysokości mniej więcej 283

piętnastu metrów nad poziomem morza. Nie ma innej drogi. Gdybym był Rommlem, umieściłbym w tych wieżach cekaemy. Są jak zawieszony wysoko bunkry. Jestem przekonany, że dowodzący najemnikami Chińczyk także pomyślał o cekaemach.

— Czy na pewno nie uda się przedostać do środka od tyłu? — spytał Brock.

— Nie. Forteca została wbudowana w stromą skalną ścianę. Projektant dobrze wykorzystał warunki naturalne wyspy.

— Nie da się wkraść od tyłu ani wylądować na dachu. Skoro tak, trzeba będzie wejść po schodach i zapukać do frontowych drzwi.

— Znajdując się w polu rażenia stanowisk ogniowych na wieżach.

— Zrobiam z nas hamburgery — ocenił Brock.

— A z naszego statku kupę złomu. Przynajmniej misja nie będzie nudna.

— Proszę bardzo — odezwał się szyper, zwracając się do nich — oto i twierdza Mahoud, po lewej stronie od dziobu. Niestety, nie mogę podpłynąć bliżej ani zwolnić, bo zorientują się, że ich obserwujemy.

— Przyjrzyjmy się — rzekł Hawke.

Wstali z Brockiem od stołu i szybko wyszli na pokład rufowy. Badur odłożył czasopismo, zadowolony, że wreszcie coś się dzieje.

— Przepraszam, że przeszkadzam ci w studiach architektonicznych, stary — odezwał się Alex. — Wygląda na to, że wreszcie możemy się przyjrzeć twierdzy.

Poszli razem na dziób stateczku i stanęli przy relingu. Hawke i Brock wycelowali lornetki w przylądek Mała. Ponad bijącymi w poszarpane skały potężnymi falami krążyły mewy i rybitwy. Rozbryzgiwana woda tworzyła w tym miejscu lekką mgiełkę, przez którą trudno było zobaczyć szczegóły fortecy.

W końcu, w miarę jak „Cacique” przebijał się przez wysokie fale, wyłaniała się coraz bardziej. Hawke przyglądał jej się uważnie. Właśnie mijali przylądek i Alex zobaczył twierdzę Mahoud w całej okazałości. Przeraził się. Z bliska wyglądała na jeszcze trudniejszą do zdobycia niż na papierze. Olbrzymie fale sięgały jej ścian, pieniały się i cofały. Twierdza stała niepo-ruszona od wieków, oparta o nagą, stromą ścianę skalną, przez którą nie można było się przebić.

284

Hawke chyba nigdy w życiu nie widział tak wspaniałego dzieła architektury wojskowej. Fortecę zbudowano z białawego kamienia, który

połyskiwał lekko w świetle chylącego się ku zachodowi słońca. Twierdza Mahoud była wyposażona w rozmieszczone gęsto wzdłuż dachu strzelnice, blanki, wieże. Potężne, okrągłe, zawieszane wysoko nad morzem wieże wywierały najsilniejsze wrażenie na patrzących. Alex zobaczył też szerokie schody, wznoszące się ku okazałej bramie — masywnej, wzmocnionej żelaznymi belkami, którą otwierano od wewnątrz poprzez podnoszenie.

- Widziałeś bramę? - spytał Brocka.

— Właśnie się jej przyglądałem. Nasuwa mi się jedno słowo: semtex.

- Zgadzam się z tobą, Harry. Pod warunkiem że ktoś zdoła dotrzeć do szczytu schodów, żeby założyć ładunki.

— Myślę, że nawet nie ma co marzyć o spuszczeniu się na linach z góry, po tej skale.

— Obawiam się, że masz rację.

Czerwona skała wznosiła się pionowo nad fortecą, nie miała szczelin ani pęknięć. Jej szczyt znajdował się przynajmniej sto pięćdziesiąt metrów ponad twierdzą. Nocny zjazd na linach po takiej ścianie był po prostu niemożliwy. A zatem pozostawało tylko wejść po schodach. Istne samobójstwo.

- Czy na pewno nie możemy podpłynąć bliżej? - spytał Harry.

— To nic nie da — odparł Alex. — Wystarczająco dobrze widać stąd, jakie mamy szansę. A jak tyje oceniasz, człowieku ze stali?

- Jak ty mnie nazwałeś? - upewnił się Brock, przyglądając się podejrzliwie koledze.

— Dyrektor tak o tobie mówi. Powiedział, że kule odbijają ci się od dupy. No to jak ci się podoba twierdza?

- Nasza sytuacja jednoznacznie przywodzi mi na myśl lądowanie w Normandii. Jest źle — przyznał z kwaśnym uśmiechem Harry. — Musimy jakimś cudem dotrzeć żywi na plażę, a potem, wystawieni na grad kul, wejść po pięćdziesięciu schodkach, unieszkodliwić dwie dwudziestometrowe wieże, pokonać wartowników, zlikwidować dwa gniazda karabinów maszynowych, wysadzić żelazną bramę, zabić kilkudziesięciu uzbrojonych po zęby weteranów Legii Cudzoziemskiej i paru Chińczyków, uwolnić dwadzieścia kobiet i Bóg wie jaką liczbę dzieci oraz wywieźć ich bezpiecznie z tej wyspy.

— Przepraszam, nie słuchałem — odpowiedział Hawke. — Co powiedziałaś?

— Powiedziałem, że wystarczy...

— Cicho — przerwał mu Hawke. Poprzednio przyglądał się przez lornetkę stalowemu molu, wbudowanemu w skałę po obu stronach schodów. Teraz skierował lornetkę kilka stopni w lewo i zamarł. Zobaczył coś, co zaraz potem zasłoniły fale. Chyba jakiś wyłom w skałę, na granicy linii wodnej. Zaczął powolutku przesuwając lornetkę dalej w lewo.

— Co tam widzisz? — spytał Brock, unosząc własną lornetkę. — Zauważyłeś coś ciekawego?

— Ahmed, spójrz na to, dobrze? - odezwał się Hawke do Badura, podając mu lornetkę. — Jakieś cztery, pięć metrów na lewo od schodów. Pod mołem.

— Widzę... — mruknął po chwili Badur.

— Co to jest? Wygląda jak mały, łukowaty wyłom w skałę.

— To droga do prochowni.

Po raz pierwszy tego dnia Alex Hawke stwierdził, że nie wszystko jeszcze

stracone.

— Droga do prochowni? — upewnił się.

— Tak. W razie oblężenia można było tędy dostarczać załodze twierdzy żywność, broń i amunicję. Nocą, ukradkiem.

— Ciekawe, nie zauważyłem tego szczegółu na planach.

— Bo go na nich nie ma.

— Dlaczego? — Brock podniósł lornetkę i ponownie odnalazł prawie niewidoczny wylot tunelu.

— Tajemnica wojskowa. Gdyby plany dostały się w ręce wroga... Zdajecie sobie sprawę, co mogłoby się stać, gdyby nieprzyjaciel odkrył tunel prowadzący do wnętrza twierdzy, bezpośrednio do magazynu amunicji. W 1941 roku Rommel na wszelki wypadek zamurował tunel. Ale otworzyłem go znowu, kiedy przywracałem twierdzę Mahoud do dawnego stanu. Sam zapomniałem o tym tunelu. Nie pokazuje się go wycieczkom.

— Nareszcie dobra wiadomość - ocenił Hawke. - Czy myślisz, że nasi chińscy przyjaciele wiedzą o jego istnieniu?

— Bardzo wątpię. Widać go tylko z morza i to jedynie wtedy, kiedy patrzy się pod określonym kątem. A nawet wówczas szansę zobaczenia go są minimalne.

286

— Dlaczego?

— Przez większą część doby wylot tunelu jest całkowicie zalany. Tunel jest dostępny jedynie przez krótki czas podczas odpływu, przy minimalnym poziomie wody.

— Masz ochotę popływać? — spytał Brocka Alex, uśmiechając się szeroko.

— Popływać? — Harry zdecydowanie czuł się szczurem lądowym. W przeciwieństwie do Aleksa tęsknił do stałego lądu pod nogami. Wolał nawet pustynię od morza.

— Zaczekamy, aż się ściemni — zdecydował Hawke. — Potem podpłyniemy tam i zbadamy z bliska tę piętę achillesową twierdzy.

— Dobrze — mruknął ponuro Brock. — Dzięki Bogu za miłe niespodzianki.

— Słyszałeś może o jednostce Grom i Błyskawica? — spytał Alex.

— Jasne. Wszyscy chłopcy ją znają. To legendarny oddział: Fitz McCoy i Charlie Rainwater. Bardzo groźni faceci. Paczka doskonale wyszkolonych najemników, stacjonują chyba na Martynice.

— Parę lat temu przeżyliśmy wspólnie niezapomniane chwile na Kubie. To było wtedy, kiedy Fidel pojechał na wakacje, a jego generałowie postanowili przejąć interes. Sprawa zrobiła się głośna. Świetnie nam się współpracowało z Gromem i Błyskawicą.

— Masz ich numer telefonu? — upewnił się Harry, uśmiechając się szeroko.

— Nie mam, ale ma go mój kumpel Stokely Jones. Przekrećę do niego.

— Niezły pomysł, biorąc pod uwagę to, co widzimy przed sobą.

Rozdział 42

Coney Island

Co on zamierza zrobić? - odezwał się Mariucci. - Skoczy na główkę, czy co?

287

Congreve pomyślał, że być może Chińczyk rzeczywiście szykuje się do

popelnienia samobójstwa. Znajdował się w beznadziejnej sytuacji. Drugie uderzenie drabiny zmiotło całą wierzchołek wieży. Czerwona lampa ostrzegająca samoloty, zwieńczająca do niedawna wieżę spadochronową, zwisała teraz na przewodach tuż nad głową intruza, syjąc groźnie iskrami. Przerdzewiała, czarna belka, na której stał Chińczyk, wygięła się mocno i wyglądało na to, że w każdej chwili może pęknąć. Gapie mdleli z wrażenia. Widok był makabryczny, ale Ambrose nie odwracał spojrzenia od mordercy.

— Zaraz wracam — odezwał się znowu Mariucci. — Zdaje się, że uruchamiają diabelski młyn.

Obawiał się, czy Joe Bones także nie postanowi skoczyć. Feralnego jedenastego września kapitan wystarczająco napatrzył się na spadających z wysoka ludzi...

Ścisnął lekko ramię Ambrose'a i zniknął w tłumie policjantów, strażaków i reporterów telewizyjnych, kręcących się wokół swoich zaparkowanych w przypadkowych miejscach samochodów. Alejka była teraz pełna najrozmaitszego niepotrzebnego sprzętu i ludzi, którzy nie mogli się na nic przydać. Wszyscy stali z zadartymi głowami pomiędzy wysokim diabelskim młynem a jeszcze wyższą wieżą.

Jak zahipnotyzowani oglądali rozgrywający się w górze dramat. Wciąż padał słaby deszcz. Reflektory śmigłowców ustawione na ziemi i szperacze celowały prosto w małego człowieczka w białym kombinezonie. Był obrócony plecami do tłumu. Wyciągniętymi ponad głowę rękami trzymał się belki; nie poruszył się od dziesięciu minut. Gapie stali jak wmurowani.

Ci, którzy mieli lornetki, żalowali, że nie mogli zobaczyć miny człowieka

na wieży, kiedy zrzucił zawieszoną na ramieniu torbę. Odbiła się od jednej belki, od drugiej, aż wreszcie znikła w ciemności.

— Skacz! — krzyknął jakiś cywil. Zdaje się, że niektórzy gapie nie życzyli intruzowi dobrze.

— Obróć się, żebyśmy mogli ci się przyjrzeć! — zawołała jedna z kobiet. Wydawało się, że Chińczyk zamierza posłuchać dochodzącego z dołu wołania. Puścił belkę i zręcznie obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni.

288

Congreve musiał przyznać, że morderca porusza się z gracją mistrza gimnastyki.

Teraz stał na wąskiej belce, nie trzymając się niczego. Miał godny podziwu zmysł równowagi. Niektórzy spośród gapiów chyba uznali, że jest to artysta cyrkowy. W końcu znajdowali się w słynnym wesołym miasteczku.

Wówczas Chińczyk zaczął robić drobniutkie kroczki, ostrożnie obracając się przodem do alejki.

— Nie mogę na to patrzeć! — zawołała jakaś kobieta. A jednak patrzyła dalej.

Zabójca uniósł ręce, wyciągnął je przed siebie. Po długiej chwili skrzyżował je na piersi i opuścił głowę. Gapie umilkli. Czekali. Wielu z nich przecierało zmęczone i mokre od deszczu oczy. Zapomnieli o mruganiu, nie mogąc oderwać wzroku od człowieka, który bez wątpienia szykował się do śmiertelnego skoku.

Za ich plecami zapłonęły nagle z powrotem kolorowe światełka diabelskiego młyna, a sam młyn zaczął obracać się powoli. Nikt nie zarejestrował tego faktu, nawet Ambrose Congreve. Tymczasem Joe Bones

zjeżdżał na ziemię.

Chińczyk nie skakał. Znów opuścił ręce, układając je wzdłuż tułowia. Pochylił głowę. Stał tak może sekundę. A potem wychylił się naprzód, w pustą przestrzeń, i poleciał w dół. Spadał głową ku ziemi, przyciskając dłonie do boków, wyciągając złączone nogi. W ten sposób maksymalnie zwiększył prędkość lotu. Congreve szacował, że morderca uderzy w ziemię z prędkością przekraczającą trzysta kilometrów na godzinę. Nie miał najmniejszych szans na przeżycie.

Żadnych.

W ostatnim ułamku sekundy Chińczyk zwinął się w kłębek.

Gapie wydali zbiorowy okrzyk przerażenia. Właśnie stali się świadkami ludzkiej śmierci. Tajemniczy człowiek spadał z wieży całe dwie sekundy. Morderca zginął. Ambrose musiał jednak przyznać, że rozstał się on z życiem w wyjątkowym stylu. Odwrócił głowę i zobaczył, że wagonik zjoeyem właśnie zjechał na sam dół. Łatwo było to stwierdzić, bo w tej chwili świeciły w niego wszystkie reflektory i celowały obiektywy wszystkich kamer. 289

W obrębie otaczającego wieżę spadochronową wysokiego płotu stało tylko kilku ludzi, policjantów i antyterrorystów z ATAC. I tylko oni widzieli, jak ciało Chińczyka uderza w beton. Ale uderzyło weń tak mocno, że usłyszeli to wszyscy, i nikt z zebranych do końca życia nie miał zapomnieć tego dźwięku.

Jak też widoku siedzącego na popękany betonie ciała, którego zmiażdżone nogi wystawały naprzód spod zmiażdżonego korpusu. Od tyłu wyglądał prawie normalnie. Tylko że miał o wiele za wąskie jak na ludzką istotę ramiona. A jego głowa spoczywała na nich bez pośrednictwa szyi.

Ci, którzy odważyli się spojrzeć na ciało zabitego z przodu, zobaczyli twarz widma z horrorów. Części twarzy Chińczyka poprzestawiały się, jak na surrealistycznym obrazie.

— Panie inspektorze — odezwał się do Ambrose'a jeden z mundurowych policjantów — prosi pana kapitan Mariucci. Siedzi w wagoniku diabelskiego młyna, przy ofierze.

— Ofierze? — spytał Congreve. Serce stanęło mu na moment. Nie mógł uwierzyć, że po wszystkim, co się stało, Joe Bones jednak stracił życie, zabierając ze sobą do grobu tajemnicę morderstwa przy grobie Napoleona.

— Tak, panie inspektorze. Musi się pan pospieszyć. Proszę za mną.

-Młody policjant zaczął torować Ambrose'owi drogę. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie alejki, Congreve zobaczył, że pod drewnianą rampę prowadzącą do wagoników diabelskiego młyna podjechała tyłem karetka reanimacyjna. Otwarto jej tylne drzwi, ale nie wyłączano silnika, a kolorowe światła na dachu wciąż migwały. Niedobrze.

Ambrose zobaczył w wagoniku Johna i dwóch sanitariuszy, którzy uwijali się jak w ukropie. Usiłowali uratować leżącego na metalowej podłodze wagonika człowieka, który bardziej przypominał ludzki szkielet niż żywego mężczyznę. Ledwie oddychał. Jeden z sanitariuszy trzymał w pogotowiu butlę i maskę tlenową. Twarz Joego Bonesa była wykrzywiona od bólu.

— Co się stało? — spytał Congreve.

Mariucci przyklęknął przy Bonesie i uniósł delikatnie dłonią jego głowę.

— Kiepska sprawa - odpowiedział John. -Joe Bones ma złamany kark.

Dusi się, a nie można go ruszyć.

— W jaki sposób do tego doszło?

— Chyba przewrócił się, kiedy wagonik ruszył w dół, i uderzył plecami w kant siedzenia. A może upadł, kiedy podmuch wiatru zakołysał wagonikiem?

— Czy jest w stanie mówić? — spytał Congreve.

— Z trudem. Sanitariusze mówią, że prawdopodobnie nie dowiozą go do szpitala. Właśnie się szykują, żeby zrobić mu zastrzyk z morfiny. Jeśli chcesz z nim porozmawiać, to masz teraz ostatnią okazję.

Ambrose skinął głową i nachylił się nad uchem starego człowieka.

— Joe? — odezwał się. — Jak się czujesz? Nazywam się Ambrose Congreve. Jestem znajomym kapitana Mariucciego.

— Moochie — wychrypiał Joe Bones. — To on posłał mnie za kratki.

— Joe, chciałbym porozmawiać z tobą o Paryżu. Rozumiesz?

— Tak całkiem prywatnie?

— Całkiem prywatnie.

Bones kilka razy odetchnął z trudem.

— Dobrze — odparł. — Ale co z Bennym? Czyjego też dopadli?

— Nie, Benny czuje się świetnie - odpowiedział Mariucci. - Odwiedzi cię jutro w szpitalu. Przyniesie ci ładne kwiaty.

— To dobrze — sapnął Joe. — Dobrze. Nie dopadli go, skurwysyny.

— Joe, to ważne - mówił dalej Ambrose. - Jeśli mi pomożesz, być może ocalisz życie bardzo wielu ludzi.

— Człowieku, rozmawiasz z Joe Bonesem — odparł Bones. — We własnej osobie. Wal śmiało.

— Trzydzieści pięć lat temu byłeś we Francji, Joey. W Paryżu. Co tam robiłeś?

— To były czasy wojny z Union Corse. Francuską mafią. Próbowali wtedy

wkroczyć na nasz teren, do Stanów. Więc postanowiliśmy wykończyć jednego z ich ważniaków, na ich własnym terenie.

— Gdzie konkretnie?

— Przy grobie Napoleona. Pamiętam dobrze.

Ambrose podniósł wzrok na Mariucciego i pokiwali zgodnie głowami.

— Byłeś tam? — upewnił się Ambrose.

— Tak, byłem. Benny też był. Ale muszę panu powiedzieć, panie inspektorze...

291

— Słucham?

— Nie pociągałem za sznurki. Byłem tylko żołnierzem. Zwykłym koniem roboczym. Nigdy w życiu nikogo nie kropnąłem.

— Nie wątpię w to.

— Tamtej nocy miałem kogoś zabić. Paczka Benny'ego zawarła kontrakt na załatwienie tego gościa. Korsykanie rośli w siłę na naszym Wschodnim Wybrzeżu, więc postanowiliśmy ich w ten sposób ostrzec. W ostatniej chwili Benny zabrał mnie do Paryża, mówiąc, że może wreszcie kogoś załatwię.

Congreve zwilżył usta Bonesa wodą z podanego mu kubka.

— Kogo mieliście wykończyć, Joe? — spytał Mariucci, notując jego słowa.

— Niejakiego Bonaparte. Zdaje się, że na imię miał Emile. To była wielka figura u Korsykanów. Ale wkurwił kogoś, chyba jakąś Brygadę Komunistów. Dowiedzieliśmy się potem, że chyba spieprzył jakąś robotę we Francji. W każdym razie te komuchy też chciały go kropnąć.

Najdziwniejsza rzecz, że był z nimi jego własny syn.

— Jego syn? Jak miał na imię?

— To ten francuski polityk, o którym teraz ciągle mówią w wiadomościach. To on chce rozwalić mnie i Benny'ego. Luca Bonaparte. Najważniejszy człowiek we Francji. On to dopiero wie, co się wtedy stało. No i pewnie nie chce, żebym wam o tym opowiadał, ja ani Benny. Jesteśmy teraz dla niego niewygodni.

— W jaki sposób dowiedziałeś się, że chcą cię załatwić? — wypytywał Mariucci.

— Zadzwoił do mnie stary kumpel, Vinnie. Powiedział, że szuka mnie jakaś baba. Chinka czy Japonka. Że chyba ma zamiar urwać mijaja. A potem zadzwonił Lavon...

— Przepraszam, panie kapitanie — odezwał się jeden z sanitariuszy. — Musimy podać temu człowiekowi tlen. Nie powinien tak długo mówić.

— Jeszcze chwilkę.

— Dobrze, panie kapitanie. Oczywiście rozumiem...

— Joe, trzymasz się? - spytał umierającego Congreve.

— Pewnie, nigdzie nie odchodzę. Jestem prawdziwym twardzielem. Zrobiłem balona z tego małego chińskiego skurwysyna z wieży, co? Czy on zginął?

292

— Owszem, jest martwy jak głaz. Możesz mi wierzyć — zapewnił Mariucci.

— To dobrze.

— Joe, co stało się przy grobie? — powrócił do tematu Ambrose. — Opowiedz mi o tamtej nocy w Paryżu.

— Tak jak mówiłem, maczał w tym palce dzieciak faceta, którego

mieliśmy zabić. Nie wiem, kto z Union Corse wydał rozkaz wykończenia starego Bonapartego, ale chcieli, żeby był przy tym młody. Więc spotkaliśmy się z tymi komunistami. Uznaliśmy, że żabojadom odbiło.

— Co było dalej?

— Przygwoździliśmy ofiarę przy grobie Napoleona. Facet opierał się o barierkę; Benny dał mi spluwę i powiedział, żebym go rozwalił.

Pierwszego człowieka w życiu. I wtedy... wtedy...

— Co się wtedy stało, Joe? - wypytywał Congreve, patrząc mu prosto w oczy.

— Nie czuję się dobrze — wyszeptał Joe. Jego powieki zadrżały.

— Panie kapitanie, chyba starczy tego — odezwał się sanitariusz. — Musimy podać mu...

— Jeszcze chwilę - odpowiedział Mariucci. Uniósł rękę i dodał: - To bardzo ważne. Jeszcze sekunda.

— Joe, czy tamtej nocy w Paryżu zabiłeś Emile'a Bonapartego? — ponaglił Ambrose.

— Nie, nie zabiłem, Bóg mi świadkiem. Byliśmy w kościele, w domu bożym. Nie mogłem zabić tam człowieka. Jestem katolikiem, panie inspektorze. Nie mogłem. Nie jestem z tego dumny, ale nigdy w życiu nikogo nie zabiłem.

— Kto zabił Emile'a Bonapartego? - wypytywał Congreve. - Czy zrobił to Benny?

Joey Bones zamknął oczy i przez sekundę Ambrose z przerażeniem myślał, że stary mafioso umarł.

— Ten dzieciak — szepnął Bones.

— To znaczy syn ofiary?

— Tak.

— Joey, powiedz wszystko — zachęcił Mariucci. — Przecież dasz radę.
293

— To zrobił ten dzieciak — powtórzył Joey spierzchniętymi ustami. — Zadrżała mi ręka, młody Luca zobaczył, że nie strzelę i wyrwał mi z ręki pistolet, a potem wypalił prosto w serce ojca. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem. On zabił własnego ojca!

— Luca Bonaparte zamordował własnego ojca? — upewnił się John, patrząc Bonesowi prosto w oczy. — W Paryżu, w 1970 roku?

— Widziałem to na własne oczy — potwierdził Joey. — Ja już nie mam powodu, żeby kłamać.

— Dziękujemy ci, Joey — zakończył Ambrose. Podniósł wzrok. Na jego twarzy malowała się ulga.

— Tak, Joey. Świetnie się spisałeś, paisano — pochwalił Mariucci. Zamknął notes i schował go do kieszeni. Ambrose dostał to, po co przyleciał do Nowego Jorku. Teraz obaj z Johnem mogli pójść na drinka. Joey podniósł kościstą rękę i oparł dłoń na ramieniu kapitana.

— Chcesz powiedzieć nam coś jeszcze? — zainteresował się John.

— Kiedy... wróciliśmy z... z Paryża - kontynuował słabnącym głosem Bones — Benny rozpuścił plotkę, że to ja sprzątnąłem tamtego gościa. Czemu nie? Nikt nie mógł tego sprawdzić. I potem chłopaki z sąsiedztwa już mnie nie ruszali. Stałem się prawdziwym twardzielem. Joeyem Bonesem!

W wagoniku zapanowała cisza. Słyszeć było tylko bębnienie drobnych kropeł o blaszany daszek.

— Dobrze się spisałeś, Joey — powtórzył Mariucci. Ale Joey Bones

właśnie umarł.

John i Ambrose wysiedli z wagonika, mrużąc oczy od światła telewizyjnych reflektorów. Mariucci przystanął i spytał Congreve'a:

— Kto to jest?

— O kim mówisz?

— Tam, stoi z boku. Kobieta w czarnym płaszczu, gapi się prosto na ciebie. Widzisz ją?

— Gdzie?

— Nieważne. Już poszła.

294

Rozdział 43

Berlin

Zaczekali, aż zapadła ciemność, a ponad wierzchołki gór zaczął się wznosić księżyc. A potem polecieli. Jet, owinięta kocem, spała smacznie na ławeczce za fotelem pilota. Drugi koc położyła na podłodze śmigłowca dla Blondi. Maszynę prowadził Arnold. Stoke siedział obok, w fotelu drugiego pilota. Miał na sobie jego czarny mundur ochroniarza VDI. Pasował całkiem nieźle, choć w ramionach był odrobinę za wąski. Śmigłowiec leciał prosto na północ, do Berlina. Okrągła tarcza księżyca unosiła się teraz nad poszarpanym szczytem WeiBsspitze, widocznym z wysokości tysiąca ośmiuset metrów.

- Potrafisz pilotować ten śmigłowiec? - spytał Arnolda Stoke, kiedy brnęli przez sięgający im do kolan śnieg do stojącej na lądowisku czarnej maszyny. Był to specjalnie zmodyfikowany śmigłowiec typu Super Lynx, •wcześniej należący do niemieckiej marynarki wojennej. Jones zauważył pomiędzy płozami śmigłowca zaczepy do podwieszania rakiet AIM.

Okazało się, że ta maszyna brała dawniej udział w NATO-wskich operacjach przeciwko okrętom podwodnym,

— Tak, potrafię — odpowiedział Arnold.

- To dobrze. W takim razie zabraliśmy ze sobą właściwego Arnolda.

Po dwudziestu minutach lotu Stoke przycisnął twarz do chłodnej osłony kabiny, wyglądając na zewnątrz. Na tej wysokości doskonale wyczuwało się prędkość. Maszyna sunęła tuż nad przysypanymi śniegiem polami, ocierała się niemal o wierzchołki wysokich sosen, omijała niewielkie wzniesienia, które wyrastały na jej drodze. Lot przez Europę na takiej wysokości, aby żadne radary nie mogły wykryć śmigłowca, to była prawdziwie ekscytująca rozrywka.

— Co jest przed nami? — spytał Stokely.

- Czechy.

— Postaraj się w nie nie przywalić.

Czasami Arnold sprowadzał maszynę tak nisko, że niemal stykała się ze swoim cieniem. Wystarczy, że trafi się dziura w powietrzu, i już koniec

295

podróży. Stokely spojrział na zegarek. Przy zachowaniu tej prędkości powinni wylądować na Tempelhofie jeszcze przed północą. W kabinie śmigłowca było przyjemnie ciepło. Stoke czuł się zmęczony po ciężkim dniu. Oparł wygodnie głowę i zamknął oczy.

— Ląduj tutaj — odezwała się Jet do Arnolda, budząc Jonesa, który śnił właśnie o kołyszących się na wietrze palmach, samochodach ze zdejmowanym dachem i swojej pięknej Fanchy, wychodzącej z turkusowego basenu - nagiej, ociekającej wodą. Zaraz po zakończeniu misji zamierza polecieć pierwszą klasą do Miami, bez przesiadki.

Czarny śmigłowiec bez świateł zbliżał się na małej wysokości do miejsca lądowania. W kabinie jarzyły się czerwona w poświata przyrządy pokładowe. Stoke miał nadzieję, że nikt nie zauważy helikoptera, Gdyby napotkali uzbrojonych ludzi, mieliby poważne kłopoty. Jones dysponował tylko schmeisserem i kilkoma magazynkami amunicji, które znalazł w jednej z szuflad w pensjonacie. Jet miała przy sobie pistolet maszynowy zabitego Arnolda i dwa zapasowe magazynki.

Nadlecieli nad Tempelhof na minimalnej wysokości. Po tej stronie płyty lotniska stały pudełkowate bloki i magazyny. Powinny zasłonić nadlatującą maszynę przed strażnikami pilnującymi odległej bramy.

Arnold sprowadził śmigłowiec poniżej wysokości dachów. Lecieli pomiędzy budynkami, wzdłuż niewielkiej, pustej ulicy, która kończyła się przy murze lotniska. Omal o niego nie zawadzili. Arnold uruchomił systemy wyciszające wirniki.

Kiedy szykowali się do lądowania, Stoke czuł się tak, jakby z własnej woli wszedł do brzucha potwora.

Śmigłowiec wylądował w odległej części lotniska, w cieniu zardzewiałego hangaru, który wyglądał na nieużywany od czasów operacji „Vittles” — amerykańskiego mostu powietrznego, jaki uruchomiono w 1945 roku.

Całe lotnisko było otoczone wysokim murem, zwieńczonym drutem kolczastym. Prawdopodobnie umieszczono tu też czujnik ruchu. W oddali widniał olbrzymi, dobrze oświetlony budynek o łukowatym kształcie — siedziba firmy Von Draxis Industries.

Stoke otworzył drzwi śmigłowca i poczuł przyjemnie orzeźwiający^ chłodny powiew. Nie mniej ożywczo podziałał na niego wielki, warczący doberman, który wyskoczył nagle z ciemności za jego plecami i wypadł

na dwór. Zastanawiając się nad posiadany m uzbrojeniem, Stokely zapomniał o Blondi. Pies mógł mu bardzo pomóc.

— Blondi musiała wyjść — Jet usprawiedliwiła swoją pieszczoszkę.

— Arnold, wyłącz silniki i nie ruszaj się z fotela - polecił Stoke, przygotowując schmeissera. — My wysiadzimy, rozprostujemy kości i zastanowimy się, co robić dalej.

— Wiemy, co robić dalej - poprawiła Jet. - Ruszajmy.

— Słyszałeś, co powiedziała dama — zakomunikował Arnoldowi z uśmiechem Stokely. — Wiemy, co robić dalej. Ruszajmy.

Nad drzwiami hangaru wisiała stara drewniana tablica z wyblakłym napisem STEINHOFFER. Nazwa historycznej jednostki asów Luftwaffe. Budynek był zamknięty. Stoke celował ze schmeissera w Arnolda, drugą ręką trzymając na łańcuchu wyrywającą się Blondi. Jet otworzyła w tym czasie kłódkę wiszącą na zardzewiałych wrotach hangaru, wykonanych z blachy falistej. Jones był nieco zaskoczony, że Jet miała klucz do kłódki, ale nie komentował tego faktu. Najwyraźniej znajdowała się na swoim terenie. Stokely nauczył się, że kiedy kobieta ma plan, trzeba iść za nią bez słowa. Zrozumienie tego zajęło mu prawie pół wieku.

Jet rozsunęła wrota. Hangar był niemal pusty — stał w nim jedynie lśniący, czarny samochód.

— Stokely - odezwała się Jet - na tyłach hangaru jest warsztat. Przynies taśmę klejącą i skrępuj Arnolda. To konieczne, bo możemy spędzić tu parę godzin. Przejmę od ciebie Blondi.

— Słyszałeś, co powiedziała dama? — Zwrócił się Stoke do Arnolda, przekazując Jet łańcuch i psa.

Wrócił po dziesięciu minutach. Przykleił Arnolda taśmą do ciężkiego, drewnianego, przyśrubowanego do ściany warsztatu. Jet przyklękła przy samochodzie, mówiąc coś do Blondi po niemiecku. Pewnie wyluszczała jej szczegóły planu. Stoke miał nadzieję, że i on wkrótce je pozna.

— Niezły wóz — odezwał się. Samochód był rzeczywiście wspaniały. Chyba nie widział czegoś takiego nigdy w życiu. Czarny lakier połyskiwał we wpadającej przez świetlik poświacie księżyca. Pojazd robił w tych warunkach wrażenie statku kosmicznego. — Co to jest?

— Mercedes SLR — wyjaśniła Jet. — Montuje go firma McLaren w Wielkiej Brytanii. To coś w rodzaju bolidu Formuły 1, którym można
297

jeździć po zwykłych drogach. Moc sześćset osiemnaście koni, prędkość maksymalna ponad trzysta dwadzieścia kilometrów na godzinę.

— To twój samochód? — upewnił się Stoke.

— Schatzi dał mi go, kiedy się nim znudził.

— I trzymasz go tutaj?

— Gdybym trzymała taką brykę pod swoim apartamentowcem, dawno by mi ją ukradli. Mało nią jeżdżę. A ten hangar to chyba najbezpieczniejsze miejsce w Berlinie.

Stoke przyglądał się tablicy rejestracyjnej. Była brytyjska i składała się z czterech liter: SPQR.

— „SPQR” - odczytał. - Co to za skrót?

— Senatus Populusque Romanus - wyjaśniła Jet - czyli Senat i Luc Rzymski. Schatzi jest -wielbicielem Juliusza Cezara. Mówię ci, żebyś się lepiej zorientował, z kim mamy do czynienia.

— Z góry dziękuję za wszelką pomoc - mruknął Stoke.

— Właż. Blondi usiądzie z tyłu. Jet wcisnęła guzik pilota.

— Uważaj na głowę — rzuciła — drzwi otwierają się do góry, nie na boki
Jak w starym 300SL. Wskakuj, Blondi!

Jones wsiadł do samochodu i zapiął pas. Maszyna była niska i smukła, ale
Stokely swobodnie zmieścił się wewnątrz. Zerknął na Jet. Wkładała
właśnie okulary noktowizyjne, jakimi posługują się siły specjalne.

— Czasem wyjeżdżam nim w nocy na autostradę — powiedziała. -Kiedy
nie ma ruchu. Śmigam trzysta kilometrów na godzinę, bez świateł| Policji
też wtedy nie ma.

— Gdybyś kogoś spotkała, pomyślałby, że to UFO.

Ośmiocylindrowy widlasty silnik z turbodoładowaniem odezwał się
pięknym gulgotem, dobywającym się z dwóch umieszczonych po bokach
rur wydechowych. Jet pozwoliła silnikowi popracować kilka sekund na
jałowych obrotach, a potem wcisnęła pedał przyspieszenia. odgłos silnika
wewnątrz hangaru wgniółł Stoke'a w fotel. Jet wrzuciła pierwszy bieg i
ruszyła z piskiem opon. Samochód przyspieszył jak rakietka, wypadł na
płytę lotniska, stanął na dwóch kołach i skręcił, poruszając się bez świateł.
W ciemności nie było widać dymu dobywającego się z rozgrzanych
tarciami o beton tylnych opon.

298

Mercedes szybko znalazł się po drugiej stronie lotniska. Trudno o bardziej
odpowiednią drogę dla takiego samochodu niż betonowy pas startowy.

Jones nawet nie zerknął na prędkościomierz. Zobaczył duży prostokątny
budynek w sąsiedztwie głównego gmazyska. Jet jechała chyba właśnie
tam, chociaż pędziła tak, że nie można było być niczego pewnym.

— Nie ma tu chyba wielu strażników — odezwał się Stoke.

— Wszyscy czuwają przy głównej bramie. Bo to jedyny wjazd i wyjazd z terenu lotniska. Nie spodziewają się też dzisiejszej nocy nikogo. VDI ciągle czeka na meldunek o nas z Zum Wilden Hund. A poza tym nikt do końca nie wie, co się tu dzieje.

— A co się tu dzieje?

— Zobaczysz.

Główny budynek lotniska Tempelhof przywodził na myśl budowie starożytnego Rzymu, był tylko znacznie, znacznie większy.

— Ten kolos robi wrażenie... — przyznał Stoke.

— Architektura neoklasyczna. Albert Speer był osobistym architektem Hitlera - informowała Jet. -Wszystko planowali na skalę światową.

Zwolniła do jakichś stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i pilotem otworzyła wrota zbliżającego się szybko prostokątnego budynku.

Wyglądało na to, że wjadą do środka, mając na liczniku ze sto trzydzieści.

— Co to za budynek? — spytał Jones, odruchowo chwytając się drzwi.

— Podziemny parking. -Jet wcisnęła lekko hamulce i skrzyła kierownicę. Minęli wrota. Jet docisnęła hamulec do podłogi, a potem gwałtownie szarpnęła kierownicę. Mercedes zrobił ciasne koło na gładkiej, cementowej podłodze. Wtedy Jet znowu włączyła pierwszy bieg i ruszyła do tunelu oznaczonego EINGANG.

— Parking ma cztery poziomy — powiadomiła, podnosząc na czoło okulary noktowizyjne. — Zjedziemy na sam dół. Zakręty są ciasne, więc się trzymaj.

— Zaczynam rozumieć, co widzi w tobie Alex Hawke — mruknął Jones.

— Alex Hawke jeszcze niczego nie widział - uśmiechnęła się Jet.

Kiedy wysiedli i zamknęli samochód, poprowadziła Stokely'ego do

nieoznakowanych szarych drzwi, schowanych we wnęce. Takich, których nigdy się nie zauważa, jeśli się nie wie o ich istnieniu.

299

— Willkommen w Unterwelt — powiedziała, otwierając zardzewiałe i

— Witamy gdzie? — upewnił się Stoke.

— W podziemnym świecie.

Rozdział 44

Zatoka Omańska

Wyglądasz na niezadowolonego — odezwał się Hawke do Harry'ego Brocka. Stali na pogrążonej w nocnych ciemnościach rufie „Cacique”. Szyper nie zapalił ani jednego światła. Pomagał Aleksowi i Harry'emu ubrać się w kombinezony do nurkowania i założyć najwyższej klasy wyposażenie, jakiego używała jednostka SEAL. Należało do niego urządzenie do oddychania niemieckiej firmy Draeger, które oczyszczało wydychane powietrze i zapewniało jego recyrkulację. Dzięki temu na powierzchnię wody nie wypływały bąble, zdradzające zwykle pozycje nurków. Hawke był pewien, że pod osłoną nocy uda się bezpiecznie przeprowadzić rozpoznanie.

Harry był jednak niezadowolony z tego, że nie skorzystają z miniaturowego okrętu podwodnego, który uzyskał od marynarki.

— Nie sądzisz, że to strzelanie z armaty do much, człowieku ze stali? - spytał w odpowiedzi na jego propozycję Alex. - To tylko zwykłe rozpoznanie. Możemy popłynąć o własnych siłach.

Po zachodzie słońca i wzejściu księżyca pogrążony w ciemności trawler kręcił się w pobliżu północnego krańca wyspy w poszukiwaniu miejsca do

zarzucenia kotwicy przy skalistym wybrzeżu.

„Cacique” musiał stanąć dostatecznie blisko Masiry, aby obaj agenci zdołali dopłynąć do twierdzy i wrócić. Jednocześnie trzeba było rzucić kotwice w takim miejscu, aby nie było widać trawlera z fortecy. Po ostatnich doświadczeniach Hawke stał się wyznawcą zasady: kiedy składasz nieoczekiwaną wizytę nowym znajomym, zawsze bierz pod uwagę, że jednak się ciebie spodziewają.

300

Agenci wypatrzyli odpowiednie miejsce na kotwiczowisko - głęboką zatoczkę na zachód od przylądka Arras na północno-zachodnim krańcu wyspy. Hawke oszacował, że należy przepłynąć około ośmiuset metrów wokół skalistego przylądka, a następnie jeszcze dwa kilometry na południe, pod bramę fortecy. Schowanego w zatoczce trawlera nie sposób było wypatrzeć nawet z wież twierdzy Mahoud. Ahmed przyniósł spod pokładu świeżo dostarczony ze Stanów sprzęt.

- Dobrze się czujesz? — spytał Hawke.

- Tak - mruknął Brock, zmagając się z regulatorem systemu recyrkulacji powietrza. — Po prostu nie lubię wody, milordzie. Jak myślisz, po co włożyłem tyle wysiłku w zdobycie miniaturowego okrętu podwodnego? Alex uśmiechnął się do Harry'ego, który właśnie smarował twarz nocnym kamuflażem.

- Trzymaj się, dziecko, blisko taty, a nic ci się nie stanie.

- Chłopaki! — zawołał nagle szyper zza relingu nad głowami agentów.

- Co się stało?

- Właśnie odebrałem pilną wiadomość. Za kilka minut nadadzą przemówienie przez radio. Nastawiłem już odbiornik na BBC.

- Idziemy - odparł Hawke, ściągnając butlę tlenową i płetwy. Brock pozbył się swoich z radością, choć wiedział, że będzie musiał założyć je z powrotem.

Na malutkim, starym trawlerze nie było osobnego pomieszczenia radiooperatora. Urządzenia łączności znajdowały się w sterówce, na pełnej książek półce ponad stołem nawigacyjnym. Hawke wszedł do pogrążonej w mroku sterówki; dostrzegł Alego, który siedział przy zabytkowym odbiorniku marki Grundig, szukając gałką najsilniejszego sygnału. Zabrali krzesła spod okrągłego stołu jadalnego i usiedli przy radiu w niemal domowej atmosferze.

- Czy to ktoś z Langley przysłał faks? - spytał Brock, widząc, że Hawke trzyma dwie kartki i po ciemku odczytuje wiadomość. Harry nie był przyzwyczajony do tego, żeby zakodowane 'wiadomości od wykorzystujących najnowsze osiągnięcia techniki agencji wywiadowczych przekazywano archaicznym faksem.

- Tak, twój szef- odpowiedział Alex. - Oczywiście się nie podpisał, ale to od niego.

301

— I co pisze?

— Zdaje się, że nowy prezydent Francji wygłosi za chwilę przemówienie do narodu. Pałac Elizejski ogłosił to zaledwie godzinę temu. Kelly jest zdania, że monsieur Bonaparte ma poważne kłopoty. Mówiąc najkrócej, próbuje powstrzymać bunt. Ma za sobą armię i marynarkę wojenną, ale ludność jest wściekła z powodu zamachów politycznych oraz szykowanej inwazji na Oman. Resztki dotychczasowego rządu Honfleura także atakują nowego przywódcę Francji.

— A co z ich Liberie, Egalite, Fraternite!

— Według Bricka całe zamieszanie wywołali wściekli francuscy internauci. Oskarżają Bonapartego i jego ludzi o zaprzędanie Francji krajowi, który najwięcej zapłacił. To znaczy dobrze ci znanym Chinom.

— Niech Bóg błogosławi tych, co wynaleźli Internet.

— Słusznie. Ale cicho... już się zaczyna.

— ...na żywo, z Paryża, BBC One. Mówi Robert Markham z programu World Radio Tonight. Prezydent Bonaparte wszedł właśnie do sali konferencji prasowych w Pałacu Elizejskim, bardzo niespokojnej sali, muszę dodać. To dawny salon Napoleona III, ze złożonymi kolumnami i orłami symbolizującymi imperium. Panuje w nim dzisiaj gorączkowa atmosfera. W tej chwili Bonaparte, w olśniewającym mundurze wojskowym, podaje właśnie ręce generałom dowodzącym francuskimi siłami zbrojnymi. Uśmiecha się. Muszę przyznać, że zachowuje dzisiejszego wieczoru wyjątkowy spokój. Wszystkim ciśnie się na usta pytanie, czy Luca Bonaparte zdoła utrzymać pełnię władzy, po którą sięgnął. Podchodzi do mikrofonu... BBC One zapewni Państwu tłumaczenie na żywo wystąpienia nowego prezydenta Francji. Oto i jego słowa.

Rozległy się krótkie trzaski, a potem przemówił Bonaparte:

— Dobry wieczór. Zaledwie kilka tygodni temu, podczas mojej krótkiej służby na stanowisku premiera Francji, wygłosiłem swój pierwszy apel do narodu. Poprosiłem o wytrwałość w tych niespokojnych czasach, i odwagę, abyśmy z podniesionym czołem przebyli czekającą nas drogę. Dziś, jako nowy prezydent, przemawiam mocniejszym głosem. Tragiczna śmierć premiera Honfleura, a także naszego umiło-

wanego prezydenta Boucheta, z rąk wrogów Francji, zostanie pomszczona. Francja podniesie się na nogi. Rozejrzyjcie się wokół! Dzięki mojej nowej polityce w dziedzinie handlu zagranicznego fabryki w całym kraju już pracują pełną parą. Wzrosły zarobki, wzrosła produkcja, spadło bezrobocie. Lecz wielu Francuzów nie chce w to uwierzyć. Mają krótką pamięć.

Wierzcie mi, nie mam czasu rozpamiętywać tragicznych wydarzeń, szukać odwetu, poddawać się rozpacz. Nie zostaliście sprzedani. Ani Niemcom, ani Chinom, ani żadnemu innemu państwu. Ci, którzy tak utrzymują, to kłamcy... Kłamcy, którzy rzucają was w ramiona amerykańskich i brytyjskich faszystów, kapitalistycznych podżegaczy wojennych. To oni najbardziej lękają się gospodarczej i wojskowej potęgi odrodzonej Francji. W nadchodzących tygodniach możemy ponieść ofiary. Nasi żołnierze idą w bój. Uwolnimy dzielny naród omański od tyranii i terroru. Nie będzie to łatwe. Dlatego w tej godzinie próby potrzebne mi jest zaufanie społeczne. Muszę zaapelować do waszych serc i umysłów. Potrzebuję waszej mądrości i cierpliwości. Ci, którzy próbują nas zniszczyć, nie pamiętają naszej historii bądź do tego stopnia nie akceptują nowych sojuszy Francji, że stali się jej wrogami.

Pamiętajcie, jesteście obywatelami kraju, którego ponad-tysiącletnia historia była pełna chwały. Mówię do was dzisiaj jako dumny potomek Napoleona, cesarza, który przywrócił Francji godność i honor. I w jego imieniu, w imieniu Napoleona Bonapartego, wzywam was do złożenia broni!

Zapomnijcie o gniewie, porzućcie łyżę. Obdarzcie mnie zaufaniem.

Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich. Będę was chronił przed siłami zła. I już niedługo nadejdzie dzień, kiedy wyrwiemy się z ciemności minionego stulecia, mając przed sobą świetlaną przyszłość. Dziękuję bardzo. Vive la France!

— Facet potrafi przemawiać — ocenił Brock. Szyper wyłączył radio.

— To megaloman, chce zostać cesarzem Europy — stwierdził Hawke, wstając. — Trzeba mu w tym przeszkodzić. Chodźmy popływać.

303

Dwadzieścia minut później, jakieś pięćset metrów od brzegu, z morza wyłoniła się głowa. W opływowym hełmie, czarnym, matowym, wyposażonym w słuchawki, mikrofon, nadajnik oraz okulary noktowizyjne. Wystająca spod nich twarz była posmarowana czarną, tłustą farbą. W górze widniał księżyc, który mijały postrzępione chmury. Powierzchnia morza była lekko wzburzona. Hawke opuścił okulary i zatrzymał się, aby przyjrzeć się celowi. Wiedział, że z tej odległości z wież nie można dostrzec na wodzie ludzi w kamuflażu.

— Przeżyłeś — powiedział do mikrofonu, kiedy obok wychynęła druga głowa.

— Staram się dotrzymać ci tempa, wodzu — usłyszał w słuchawkach.

— Nie przejmuj się. Nasze zadanie jest proste. Rozpoznanie, identyfikacja celu, infiltracja, zaznaczenie miejsca i spadamy. Jasne?

— Brzmi to całkiem nieźle.

— Mamy jednak mały kłopot — ciągnął Alex. — Widzę, że nie jesteśmy tej nocy pierwsi. Przyjrzyj się uważnie.

Harry popatrzył i spostrzegł kuter przycumowany do stalowego mola z prawej strony schodów. Był to duży kuter patrolowy. Na jego rufie wisiała

trójkolorowa bandera Francji. Na pokładach dziobowym i rufowym kuter miał zamontowane po dwa działka. Widać było wybierających cumy marynarzy; z mostka świecił silny szperacz. Kuter wypływał.

— Możemy mieć problemy — ocenił Hawke. — Jeśli kuter skręci w lewo i opłynie przylądek, będzie źle. Francuzi znajdą „Cacique” i prawdopodobnie wejdą na pokład. Nawet gdybyśmy natychmiast popłynęli z powrotem, nie zdążymy ostrzec Alego i Ahmeda.

— Miejmy więc nadzieję, że kuter skręci w prawo.

— Tak. Ale nawet jeśli tak zrobi i opłynie wyspę z drugiej strony, musimy się spieszyć. Załóżmy, że prędkość patrolowa kutra wynosi około pięciu węzłów. W takim wypadku zdąży okrążyć Masirę w ciągu niecałej godziny. Musimy dokończyć rozpoznanie, wrócić na pokład „Cacique” i odpłynąć, zanim kuter do niego dotrze.

— Ruszajmy - zakończył Brock, zanurzając się. Hawke natychmiast poszedł w jego ślady; zobaczył małe fosforyzujące żyjątka, kłębiące się wokół płetw Harry'ego. Łatwo dogonił Amerykanina i pokazał mu uniesione kciuki. Wcześniej niepokoił się o niego, ale jego obawy się rozwiały. Brock radził sobie bardzo dobrze. Nic dziwnego, był przecież bardzo

304

odważnym, znakomicie wyszkolonym agentem, przeżył aresztowanie i tortury przeprowadzane przez najokrutniejszą tajną policję świata.

Przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów zdecydował osobiście, aby Brock został w pojedynkę przerzucony do Chin.

Kto wie, czego jeszcze dokonał w życiu Harry? Kelly zapewnił Aleksa, że to jeden z najlepszych szpiegów świata. Przeszedł, co trzeba, wiedział, co

trzeba. Chyba tylko za mało pływał.

Pięć minut później Alex uniósł rękę, dając sygnał zatrzymania się. Obaj agenci znajdowali się sześć metrów pod powierzchnią wody, w odległości kilkuset metrów od wyspy. Odgłos śrub kutra patrolowego stawał się coraz donośniejszy — kuter kierował się prosto na nich.

Ów podwodny odgłos przypomniawszy Aleksowi bardzo nieprzyjemne zdarzenie — wypadek na pokładzie „Lincolna”. Agenci czekali bez ruchu, aż kuter przepłynie nad ich głowami. Zobaczyli długie na piętnaście metrów dno jednostki. Przyglądali mu się uważnie, instynktownie wstrzymując oddechy, pomimo urządzeń recyrkulacji powietrza. Jeśli kuter skreśli w lewo, ku przylądkowi Arras, Ahmed i Ali znajdą się w poważnym niebezpieczeństwie.

Dwaj pozostający na pokładzie trawlera mężczyźni zostaną przyłapani przez francuski patrol. Byli inteligentnymi ludźmi i nie brakowało im pomysłów, jednak jak wytłumaczą obecność „Cacique” w bezpośredniej bliskości twierdzy? A jeśli na pokład wkroczą nagle uzbrojeni francuscy marynarze, trudno oczekiwać, by zdążyli ukryć leżące na wierzchu dokumenty i sprzęt.

Alex i Harry odetchnęli jednak z ulgą. Kuter skreślił w prawo i zaczął oddalać się od „Cacique”. Płynął wzdłuż wybrzeża na południe. W takim razie agentom pozostała niecała godzina na zakończenie rozpoznania i powrót na trawlera. Popłynęli ku twierdzy.

— Cholera — szepnął Harry, kiedy wynurzyli się ponownie.

— Co jest?

Wyłynęli tak, jak zaplanowali — pod stalowym mołem. Nikt ich nie zobaczył ani do nich nie strzelał. Ale woda była aż gęsta od meduz. Teraz

Hawke także poczuł piekący ból w kilku miejscach na policzku i szyi. Porażenie przez większą liczbę meduz może spowodować u człowieka szok. Alex postanowił nie mówić o tym Harry'emu.

— Oparzyła cię meduza? — upewnił się Hawke. 305

— Tak. Cholera!

— Kiedy wrócimy na statek, natrzyj miejsca oparzeń własnym moczem.

Przestanie cię piec.

- Słucham?

- Mówię poważnie. Zdaje się, że wylot tunelu jest bezpośrednio pode mną.

Wyczuwam płetwą krawędź.

— Faktycznie, ja też wyczuwam.

- Wpłyn do tunelu, ja zaznaczę to miejsce nożem i dołączę do ciebie.

— Włamiemy się do środka.

- Co ty mówisz? Harry, nie będziemy dzisiaj...

Brock zniknął jednak pod wodą. Alex wyciągnął nóż i naciął trzy poziome kreski w jednym z podtrzymujących moło drewnianych pali. Teraz łatwo było znaleźć wylot znajdującego się poniżej tunelu. Przy czym kreski zostały nacięte na wewnętrznej stronie pala, więc nie można było ich zobaczyć z morza. Hawke spojrzał na wodoszczelny zegarek. Był przyływ. Za kilka godzin, w czasie odpływu, wylot tunelu będzie odsłonięty na tyle, żeby zmieścić łódź z żołnierzami i amunicją. Lub wypływającą z uwolnionymi zakładnikami.

Podczas następnego przyływu tunel znów zniknie pod wodą.

Rozplanowanie czasu przebiegu operacji będzie bardzo ciekawym zajęciem.

Hawke zanurkował i znowu zrobił trzy kreski nożem, tym razem nad

samym wylotem tunelu. Wpłynął do środka.

Nie byli z Brockiem uzbrojeni. Oprócz noża Alex miał tylko kompas, sondę i głębokościomierz. Nie zamierzali zdobywać fortu. Mimo to płynęli w głąb tunelu. A przecież mieli jak najszybciej wracać na statek!

Nazajutrz miał przylecieć Stokely razem ze swoimi groźnymi znajomymi z Martyniki - jednostką antyterrorystyczną Grom i Błyskawica. Zadaniem na dzisiejszy dzień było jedynie rozpoznanie prochowni i znalezienie bezpiecznej drogi do wnętrza twierdzy.

Harry powiedział jednak wyraźnie: „Włamiemy się do środka”.

Hawke przyspieszył.

Żołnierz działający na własną rękę to kłopot. Ale nieuzbrojony żołnierz, działający na własną rękę, to kłopot szczególny. Alex postanowił odtąd uważać na Brocka.

306

Rozdział 45

Die Unterwelt

Tunel był wilgotny i ciasny, można było dostać klaustrofobii. Ściany zimne i mokre w dotyku, pod nogami żwir i kałuże. Jet szła przodem, oświetlając drogę małą halogenową latarką ze skrzynki z narzędziami mercedesa. Na czoło wysforowała się Blondi, węsząc przy podłodze. Mniej więcej co piętnaście metrów znajdowały się wnęki z drzwiami ewakuacyjnymi. Wszystkie były pomalowane na ten sam, luminescencyjny, choć wyblakły zielony kolor. Tajemnicze wyjścia donikąd wciąż jarzyły się słabo w ciemności, mimo że zainstalowano je przed stu laty. Ponad głowami idących przebiegały rury i przewody wentylacyjne. Na zardzewiałych, stalowych uchwytych wisiały co kilka metrów dziwne,

jajowatego kształtu lampy. Pod niektórymi z nich były ręcznie napędzane wentylatory. Stoke przystanął przy jednym i zakręcił korbą. Wentylator zaskrzypiał, ale zaczął się obracać; dało się wyczuć, że zasysa powietrze zza kratki.

- Ciągłe działają- powiedziała Jet. Wentylatory zamontowano w latach I wojny światowej, aby usuwały trujące gazy, które wróg mógłby wpuścić do tuneli.

Jones dowiedział się, że pod lotniskiem Tempelhof znajduje się rozległa sieć bunkrów i opuszczonych tuneli. Wzdłuż wszystkich szły wąskie tory kolejowe. Węższe tunele, podobne do tego, którym szli Stoke i Jet, prowadziły do ogromnego systemu bunkrów, rozmieszczonych pod całym Berlinem. Były i szerokie tunele, po których z łatwością mogłyby poruszać się samochody.

— W czasie wojny — opowiadała Jet, której słowa odbijały się echem od mokrych ścian - Goering przyjeżdżał tu potajemnie wielkim sztabowym mercedesem. Wożono go codziennie z dowództwa Luftwaffe przy Wilhelmstrasse. Ten tunel ma siedem kilometrów długości.

- Poważnie? A te węższe tunele? - zainteresował się Stoke.

— Otaczają całe lotnisko. Podczas wojny kursowały w nich elektryczne tramwaje, które dowoziły wojsku amunicję i aprowizację. Załogi junkersów

307

i messerschmittów także dojeżdżały do swoich maszyn podziemnymi tramwajami. Chodziło o to, aby jak najwięcej działa się nie na, ale pod ziemią, z dala od oczu pilotów alianckich bombowców.

— Te szyny wyglądają na nowe.

— Są nowe. Pół kilometra dalej znajduje się stacja tramwajów.

Współczesnych, bardzo szybkich. W taki właśnie sposób dojeżdżam zwykle do samochodu.

— A gdzie trzecia szyna, zasilająca?

— Tramwaje mają napęd anty grawitacyjny.

— Żartujesz.

— Sam się przyjrzyjżeśli starczy nam czasu. Kiedy nadlatywały alianckie bombowce, tunele i bunkry służyły milionom berlińczyków za schrony. Sądę, że kiedy wybuchały bomby, tu wstrząsy były ledwie odczuwalne. Szli wzdłuż torów przez jakieś pięć minut. W końcu Jet zatrzymała się przy jednych z podobnych do siebie zielonych drzwi.

— To tu — zakomunikowała.

— Skąd wiesz?

— Zaufaj mi. Gdzie jest Blondi? Kommen się hier! Schnell!

Jet pchnęła zielone drzwi. Otworzyły się. Jet, Stoke i Blondi weszli przez nie do dużego pomieszczenia.

Wzdłuż jego ścian stały trzypiętrowe prycze. Na środku był... chyba stół operacyjny. W kącie - stara toaleta. Wokół sporo takich samych jak poprzednio ręcznie napędzanych wentylatorów. Nad drzwiami widniał obłąający napis WEHENZIMMER. Stoke przyjrzał mu się uważnie.

— To była jedna z sal porodowych — wyjaśniła Jet. — Tu, w Unterwelt, było wszystko, czego potrzeba: sklepy, szpitale, piwiarnie. Chodź, już prawie doszliśmy.

— Dokąd?

— Trasa, którą idziemy, to droga ewakuacyjna Schatziego. Raz mi ją pokazał. Prowadzi do jego prywatnego gabinetu. Jeśli będzie musiał, może

bardzo szybko wydostać się z niego tędy.

— Ale po co?

— Gdybym była twoją dziewczyną, nie chciałbyś mieć możliwości ucieczki? — spytała przekornie Jet.

— Sprytnie powiedziane.

308

Na końcu wąskiego holu była kolejna sala, WEINSTUBE. Zawierała ciemny, dębowy bar oraz całkiem współczesną piwnicę z winami w oszklonych gablotach. Najwyraźniej Schatzi lubił zaglądać tu po pracy. Za barem znajdowały się niezwracające uwagi drewniane drzwi, za którymi ukryta była nowoczesna winda. Jet przyłożyła dłoń do wprawionego w ścianę czytnika danych biometrycznych i drzwi rozsunęły się, znikając w ścianie. Stoke i Jet wjechali w milczeniu na samą górę.

Winda się zatrzymała, Jet wpisała kod za pomocą klawiatury numerycznej. Drzwi kabiny otworzyły się, ukazując inny świat. Białe ściany, błyszczące marmurowe podłogi, wysokie sufity, mnóstwo szkła. Nawet teraz było tu mnóstwo światła.

— Uberwelt - zażartował Stokely.

— Dobrze — odpowiedziała ze śmiechem Jet. — Znasz niemiecki lepiej, niż sądziłam. Chodź. Biuro Schatziego jest tam.

Ruszyli wygiętym w łuk białym korytarzem. Na obu ścianach znajdowały się "wspaniałe dzieła sztuki — ogromne obrazy, rzeźby. Stoke nie marnował jednak czasu na ich podziwianie. Wiedział, że wkrótce zobaczy coś ważnego. Z nieznanym mu powodów — a wciąż nie pozbył się podejrzeń — Jet pokazywała mu to "wszystko. Alex Hawke wpadł na pomysł, aby zabrać Jet do Niemiec, i jak dotąd wszystko świadczyło o

tym, że była to słuszna decyzja. Bez Jet Stoke na pewno by tu nie trafił. Biały korytarz kończył się atrium o szklanych ścianach, wysokim na jakieś pięć czy sześć pięter. Było to coś w rodzaju recepcji z owalnym biurkiem i kilkoma skórzanymi kanapami oraz fotelami. W przeciwległej ścianie znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi ze stali nierdzewnej, ozdobione po bokach złotymi orłami, wysokimi na prawie dziesięć metrów.

— Schatzi ma bzika na punkcie orłów — mruknął Stokely, podchodząc do potężnych drzwi. Po lewej stronie, przez sięgające od podłogi do sufitu szyby, widoczne było oświetlone księżycowym światłem lotnisko. Zarysy przecinających się pasów startowych wyznaczały słabo świecące, niebieskie światła, umieszczone nisko na ziemi. Piękny widok. I na szczęście nigdzie nie było czarnych samochodów z ubranymi w czarne mundury ludźmi.

— Cezar uwielbiał orły. I Napoleon. Podobnie jak Schatzi — wyjaśniła Jet, zaglądając w coś, co wyglądało jak wielka wypukła soczewka w ścianie, osłonięta ciemną szybą.

— Co to?

— Skaner. Rozpoznaje termiczny obraz twarzy. Temperaturę każdego z ponad sześćdziesięciu pięciu tysięcy punktów.

— W tej chwili uwierzę już chyba we wszystko — przyznał Stoke.

— To znacznie dokładniejsze niż skanowanie linii papilarnych. Nie można oszukać systemu, zapuszczając brodę ani nawet przechodząc chirurgię plastyczną. Można natomiast zmylić termograf alkoholem.

— Piłaś? Wygląda na to, że udało ci się go zmylić. Kolejne drzwi rozsunęły się, chowając się w ścianie.

— Nie, po prostu Schatzi zapomniał usunąć z jego pamięci moją twarz —

odpowiedziała Jet. - Pewnie myślał, że już i tak nigdy się tu nie pokażę. Weszli do kolejnego białego pomieszczenia, mniejszego, ale także przeszklonego, dzięki czemu można było podziwiać lotnisko. Na podłodze z białego marmuru leżał okazały wschodni kobierzec. Przyjemnie się po nim stapało. Cała ściana za biurkiem niemieckiego barona pokryta była namalowaną na szkle mapą świata, sporządzoną według odwzorowania Mercatora. Na biurku stał lśniący model latającego talerza.

— Jak widzę, baron nie zmienił zamków - mruknął Jones, podchodząc do pięknie rzeźbionego biurka. Podniósł model latającego talerza i odwrócił go.

— Nie, aż taki głupi nie jest — powiedziała Jet. — Zmienił zamki, tylko że ta klawiatura w windzie umożliwia wpisanie kodu, który otwiera wszystkie zamki w tej części budynku. Ten kod Schatzi zapomniał zmienić. Jak i wykasować skan mojej dłoni.

— Najwyraźniej zapomniał, że pokazał swojej dziewczynie tajną drogę ucieczki. Jet, czy Schatzi buduje tu latające talerze?

— To najnowszy prototyp. Messerschmitt ME-1. Niemcy pracowali w 1944 roku nad napędzanymi anty grawitacją latającymi talerzami, więc technologia nie jest zupełnie nowa. Zasada ich działania jest taka, że szybko wirujący dysk wykonany z nadprzewodnika może wytworzyć pole elektroważkościowe. Schatzi zaczął kontynuować badania hitlerowców. Boeing zresztą też się tym zajął, tylko że Amerykanie o tym nie mówią.

— Nie bujasz? A co to za grubas na portrecie?

— Hermann Goering, dowódca Luftwaffe. To jego dawny gabinet. -Jet wcisnęła przycisk i mapa przykrywająca ścianę się podświetliła.

Cała Europa, Azja i Afryka przybrały ten sam niebieski kolor. Odcinał się

od niego jaskrawoczerwony napis, którego litery miały ze trzydzieści centymetrów wysokości: GERMANIA. Stara wizja nowego świata... Wizja, która umarła, pociągając za sobą do grobu dziesiątki milionów ludzi. Stojąc w tym pomieszczeniu, Jones doznał bardzo nieprzyjemnego poczucia deja vu.

— Deutschland tiber altes — mruknął.

— Taka idea im przyświecała.

— Jet, chyba nie sprowadziłaś mnie tu po to, żeby pokazać mi hitlerowskie mapy i latające talerze.

— Nie. Posłuchaj: prawie wszystko, co ty i Hawke musicie teraz poznać, znajduje się w tym gabinecie. Trzyletnia korespondencja na temat „Lewiatana”, szczegółowe projekty, sprawozdania finansowe, wszystko. Ta karta otwiera biurko. I szafki na dokumenty, które widzisz na ścianie.

— „Lewiatana”? — powtórzył Stoke. — Harry Brock użył tego słowa. Co to jest?

— Potwór morski. — Jet otworzyła środkową szufladę biurka i wyjęła czarną skórzaną teczkę ozdobioną złotą koroną.- Zaczynij od tego.

Powodzenia.

— Jak to: „powodzenia”? — spytał Jones, otwierając teczkę. — Dokąd idziesz?

— Do domu, Stoke. Zrobiłam, co mogłam, żeby pomóc tobie i twojemu przyjacielowi Aleksowi. Dalej musisz sobie radzić sam. Wychodzę. — Jet zawołała na psa i ruszyła ku drzwiom. - Przez parę najbliższych dni będę spała. Nie zapomnij pozamykać wszystkiego.

— Zaczekaj chwilę. Skąd mam wiedzieć, co zabrać? Połowa tych dokumentów jest po chińsku. Nie możesz tak po prostu wyjść, rzucając mi

na odchodnym: „powodzenia”.

— Nie mogę? Stoke dogonił Jet.

— Zatrzymaj się, proszę cię. Powiedziałaś, że jest tu prawie wszystko, czego potrzebuję. Co tu jeszcze jest?

— Nie mam pojęcia. Ale mogę cię zapewnić, że jeśli mój ojciec, Luca Bonaparte i von Draxis wymyślili coś wspólnie, jest to coś bardzo, bardzo złego. Dojdiesz do tego, Stoke. Jesteś inteligentnym facetem. Gdybyś

311

w którymś momencie chciał porozmawiać, zadzwoń pod ten numer, do Hongkongu. Może wtedy będę miała ochotę pomóc ci jeszcze więcej.

Jet chciała powiedzieć coś jeszcze, ale się zmitygowała. Podała wizytówkę ze swoim imieniem i napisanym ręcznie numerem telefonu.

— Odbierze moja przyjaciółka — powiadomiła Jet. — Powie ci jak mnie znaleźć. Do zobaczenia, Stoke.

Uniosła się na palcach i pocałowała Stokely'ego w policzek.

— Dzięki, Stoke. Za ocalenie mi życia.

Jones popatrzył za nią, jak znikwała z Blondi za wygiętą w łuk ścianą.

Podszedł do wychodzącego na płytę lotniska okna. Na horyzoncie pojawiła się od wschodu słabo widoczna czerwona linia. Oceniał, że przeszukanie biura zajmie mu godzinę. Zabierze wszystko, co będzie wydawało się interesujące. Marzył o zobaczeniu planów „Valkyrie”.

Dlaczego nie miała miecza? Jeśli wszystko się uda, zdążą z Arnoldem wystartować przed świtem. Potem polecą do Omanu, odnaleźć Aleksa Hawke'a.

Kilka minut później Stoke wciąż stał przy oknie. Czy pocałunek Jet oznaczał „do zobaczenia”, czy też „żegnaj, głupolu”? Może wprowadziła

go w pułapkę? Mógł zostać zastrzelony podczas kradzieży tajnych dokumentów z prywatnego terenu.

Chwilę później usłyszał stłumiony warkot od strony pasa startowego. To odjeżdżał czarny mercedes SLR. Jet musiała założyć okulary noktowizyjne. Pędziła bez świateł, prawie niewidzialna, po wyznaczonym przez niebieskie światelka pasie. Gnała trzysta dwadzieścia kilometrów na godzinę. Ku bramie lotniska. Strażnicy firmy powinni ją przepuścić. W tej chwili wiedział o Jet przynajmniej jedno. Ta kobieta nie lubiła się zatrzymywać.

Z powodu niczego ani nikogo.

Musiał szybko zabrać się do przeszukiwania gabinetu. Właśnie odczytał na palmtopie pilną wiadomość od Aleksa. Hawke był w Omanie i natychmiast potrzebował pomocy. Stokely odwrócił się do okna.

Czas wziąć te dokumenty, choć być może zakończy się to strzelaniną...

Rozdział 46

Nowy Jork

Ambrose Congreve miał lekki sen. Odgłosy syren i sunących po nowojorskich ulicach śmieciarek obudziły go już o piątej rano. Drzemał z przerwami jeszcze przez godzinę czy dwie. Wstał potem z ciepłego łóżka i włożył skórzane kapcie i szlafrok. Przeciągnął się, ziewnął... krótką chwilę zastanawiał się, czy nie położyć się z powrotem. Nie. Był głodny. Głodny jak wilk. Nic dziwnego — w Londynie zbliżała się już pora popołudniowej herbaty.

Poszukał po ciemku stojącego przy łóżku telefonu i zadzwonił do obsługi hotelu. Zamówił dwa jajka na bekonie, tosta, dzbanek czarnej kawy i świeżo wyciśnięty sok z grejpfruta. Przyniosą za pół godziny? Dobrze.

Ostrożnie odłożył słuchawkę i zapalił lampę, która także była na stoliku. Świeciła tak jasno, że poczuł ból w oczach. Co się z nim działo? Przecież był przyzwyczajony do wstawania punktualnie o dziewiątej. Zmiana czasu. Po dwóch dniach spędzonych w Nowym Jorku jeszcze się nie przyzwyczał. Poza tym wstąpili z Johnem na drinka... Auuu! Ależ łupie go w głowie!

Do zmiany czasu dołączył się kac. Lekki przypadek irlandzkiej grypy, jak mawiano. Szczerze mówiąc, Ambrose ledwie pamiętał, jak kładł się spać. Po pełnym emocji pobycie w wesołym miasteczku Coney Island Ambrose i John weszli do Bemelman's Bar, lokalu sąsiadującego z recepcją hotelu Carlyle. Wypili mnóstwo drinków i stali się ich ofiarami...

— Wstąpimy na jednego — zapowiedział Mariucci, kiedy radiowóz zatrzymał się przy alei Madisona, na wprost baru. Lecz ani Mariucci, ani Congreve nie potrafili poprzestać na jednym. Zmarznięci, przemoczeni i podekscytowani odniesionym w sercu mrocznego Brooklynu sukcesem dwaj starzy kompani dali się uwieść syreniemu śpiewowi baru pana Bemelmana.

Bar był kolorowy, dobrze zaopatrzony. O tej porze, w lokalu niemal nie było gości. John i Ambrose wybrali ciemnobrązową skórzaną kanapę pod ulubionym obrazem Congreve'a, przedstawiającym króliki na trawie. Pili

313

i omawiali makabryczne wydarzenia wieczoru. Doszli wreszcie do sceny śmierci starego Joeya Bonesa na podłodze wagonika diabelskiego młyna. — Skończył w tak okropny sposób — westchnął John, dopijając trzeciego drinka o nazwie Gin-Gin Mule.

- Nie znałem go - odpowiedział Congreve, sącząc pyszny macal-lan — ale był to dla mnie bardzo smutny widok. W ciągu tych paru minut zdążyłem polubić starego Joeya.

— Masz jednak jego zeznania, złożone w obliczu śmierci. Co teraz zrobimy? Ponownie dokonamy desantu na francuskie plaże? Zdobędziemy Paryż? Jak myślisz?

— W zasadzie nie ma wątpliwości, że obecny prezydent Francji to pozbawiony skrupułów i ludzkich uczuć morderca. Dysponujemy obecnie zeznaniem naocznego świadka jego zbrodni. Interpol i ScotlantYard wydadzą nakazy aresztowania; wybierzemy się do Paryża i zatrzymamy Bonapartego.

- Tak po prostu? Myślisz, że to będzie łatwe?

- Tego nie powiedziałem. Luca nie podda się bez straszliwej w skutkach walki.

— Ja nie polecę do Paryża. Mam pełne ręce roboty w moim mieście.

- Skoro tak, cała chwała za aresztowanie stulecia będzie musiała przypaść mnie, panie kapitanie - skwitował Ambrose. Spojrzał na zegarek i podniósł się na chwiejne nogi. Wylewnie podziękował Johnowi za pomoc, a potem życzył mu naprawdę bardzo dobrej nocy. Przynajmniej tak to sobie przypominał.

Nie odważył się spojrzeć na zegarek, kiedy gasił światło i kładł się spać. Wolał nie wiedzieć, która godzina. Przypuszczał, że ma przed sobą zaledwie dwie, trzy godziny spania. Zdążył jednak w tym czasie doświadczyć niezwykłego snu. Główną rolę grała w nim piękna Diana Mars.

Znajdowała się w jakimś nieokreślonym do końca niebezpieczeństwie.

Skradał się do niej jego kuzyn, Bulling, śledził ją. Nie, zaraz, to był ten lokaj, Oakshott. Congreve pokręcił głową. Nie pamiętał więcej. Miał nadzieję, że podczas jego nieobecności Sutherland dobrze pilnuje Diany. Ambrose martwił się o nią. A właściwie tęsknił za nią.

Czując się tak, jak gdyby szedł po dnie basenu, skierował się do jednego z narożnych okien. Słyszał przypominający klaskanie odgłos kapci uderzających o jego pięty. Przez szparę między zasłonami przedostawało się słabe, szarawe światło. Odsłonił ciężką draperię i wyjrzał na rozciągające się w dole miasto. Niebo było rzeczywiście szare, choć nocna burza już przeszła. Teraz o szyby uderzał słaby deszcz.

Nowojorska misja zakończyła się sukcesem. Ambrose mógł zatelefonować do Kelly'ego i Hawke'a i opowiedzieć im szczegółowo o zeznaniach Bonesa. Potem kupi bilet na wieczorny lot British Airways na Heathrow. Będzie miał przed sobą wolny dzień w Nowym Jorku. Mógł spędzić czas, jak tylko chciał. Może przejdzie się do Metropolitan Museum of Art. Na wystawę dzieł Rubensa, które bardzo chciał zobaczyć?

W tym momencie zadzwieczał telefon. Congreve podszedł i podniósł słuchawkę.

- Słucham?

- To ty, Ambrose?

- Diana?

- Tak.

- Słyszać cię tak dobrze, jakbyś była w sąsiednim pokoju.

- Bo niemal jestem. Siedzę w Golony Club na Park Avenue - poinformowała Diana.

- Jesteś w Nowym Jorku?

- Przyleciałam tu późnym wieczorem.
- Cos takiego! A więc jesteś tutaj! Wszystko w porządku?
- Oczywiście. Po prostu...
- Co „po prostu”?
- Po prostu detektyw Sutherland pomyślał, że dobrze mi zrobi mały urlop. Poradził, żebym na jakiś czas wyjechała z Wielkiej Brytanii.
- Dlaczego? Czy coś się stało?
- Nic wielkiego. Ktoś włamał się do mojego domu. Poprzedniej nocy. Usłyszałam hałas, więc zadzwoniłam pod numer, który mi zostawiłeś.
- Tak? I co dalej?
- Jak wiesz, na terenie mojej posiadłości jest policja. Natychmiast się pojawili. Przez ten czas włamywacz zdążył dotrzeć do drzwi mojej sypialni. Oczywiście były zamknięte na klucz, ale widziałam, jak porusza się klamka i...
- Boże!
- Właśnie. Czasem trzeba pokładać nadzieję w Bogu. W każdym razie wyciągnęłam spod łóżka swój stary pistolet i podeszłam do drzwi. Powiedziałam: „Całe życie czekałam, żeby to zrobić”. I otworzyłam ogień. Było to niezwykle doświadczenie.
- I co, trafiłaś?
- Oczywiście, że trafiłam w drzwi.
- Ale czy postrzeliłaś włamywacza?
- Niestety nie. Uciekł, zanim na miejsce dotarła policja. Nie było śladów krwi, więc pewnie chybiłam. Muszę przyznać, że żałuję tego. Żeby ktoś do tego stopnia mnie...
- Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało.

— Mam nadzieję, że tu jestem bezpieczna. Co dziś porabiasz?

— Ja? Muszę zatelefonować w kilka miejsc. Moja wyprawa zakończyła się pełnym sukcesem. Nie mogę się doczekać, żeby ci o tym opowiedzieć. A potem chciałem zajrzeć do Metropolitan Museum. Od wielu lat tam nie byłem. Jest akurat ciekawa wystawa Rubensa. Może miałabyś ochotę wybrać się tam ze mną?

— Niestety nie mogę.

— Rozumiem. Może innym razem...

— Ambrose, muszę ci powiedzieć, dlaczego zadzwoniłam. Zostałam zaproszona na kilka dni do Hamptons. Do moich przyjaciół Barkerów. To małżeństwo: Jock i Susan, pochodzą z Cleveland. Jock był za czasów Reagana ambasadorem amerykańskim w Kanadzie. Powiedziałam Su-Su, że przylecę do Nowego Jorku i...

— Tak?

— Zastanawiałam się, czy nie zechciałbyś przypadkiem pobyć tam razem ze mną.

— Pobyć?

— Tak. Barkerowie mają przepiękną, starą willę przy Gin Lane. Nad samym oceanem. Na pewno ogromnie się ucieszą z twojego przyjazdu. Ludzie o twojej inteligencji i kulturze są mile widziani na przyjęciach w Southampton. Obiecuję ci, że nie będziesz musiał grać w krykieta, pływać ani robić niczego, co mogłoby zmęczyć cię fizycznie.

— Nie przeszkadza mi wysiłek fizyczny. Grywam w golfa. Ale nie pływam zbyt dobrze.

— Wszystko jedno. Susan i Jock mają w domu mnóstwo miejsca.

— Mnóstwo...

— Zgódź się, proszę. Jock posłał już po mnie samochód. Powiem kierowcy, żeby zatrzymał się pod Carlyle i zabrał cię.

— O której?

— Może być jedenasta?

— Świetnie! Cudowny pomysł!

— To do zobaczenia. Ale będzie miło!

— Diano, zanim się rozłączymy, chciałbym bardzo podziękować ci za przepiękne kwiaty.

— Pomyślałam sobie, że cię ucieszą.

— Bardzo mnie ucieszyły. A więc do zobaczenia.

— Pa!

Congreve odłożył słuchawkę i przez chwilę siedział na skraju łóżka, uśmiechając się szeroko. Oprzytomniał już całkiem, zapomniał o whisky i dzinie; jego mózg funkcjonował teraz dobrze i myślał o przyjemnych rzeczach. Życie znów było piękne. Zrzucił kapcie, postawił stopy na miękkim dywanie. Czas spakować się, aby być gotowym na jedenastą. Co tu najlepiej na siebie włożyć?

Nagle zwrócił uwagę na brudną, małą, niebieską kopertę, leżącą na dywanie. Kartka od Diany! Zamierzał ją przeczytać jeszcze w barze 21.

Schylił się, podniósł kopertę i przeczytał słowa Diany:

Najdroższy Ambrose!

Nigdy, aż do tej pory, nie miałam przyjaciela, którego obecność napawałaby mnie spokojem. Wszyscy budzili we mnie jedynie niepokój, niezależnie od tego, czy w ich towarzystwie bawiłam się, czy też cierpiałam.

Przy Tobie czuję spokój, płynący z serca do serca.

Diana

Rozdział 47

Berlin

Stoke wyczuł woń dymu papierosowego. Ktoś oprócz niego był na korytarzu. Zamarł, wstrzymując oddech. Palacz musiał znajdować się 317

jakieś dziesięć, piętnaście metrów przed nim. Stokely niósł dużą skórzaną torbę, pełną wykradzionych dokumentów. W drugiej ręce ścisnął schmeissera. Uniósł broń i nasłuchiwał. Za zakrętem korytarza rozmawiało dwóch mężczyzn — pewnie strażników. Strażnicy musieli wysiąść z jednej z wind, które Jones mijał po drodze do gabinetu barona.

Nie wątpił, że nie uruchomił żadnego alarmu. Niemcy śmiali się, byli i rozluźnieni. I szli we właściwym kierunku - to znaczy oddalali się od Stoke'a. Cicho odłożył torbę i szybko, bezgłośnie podszedł w ich stronę. Tak, było ich dwóch. — zminiaturyzowane wersje Arnoldów. Czarne mundury, takie same jak ten, który miał na sobie Stokely. Przez plecy przewieszane mieli pistolety maszynowe.

— Halt! — zawołał donośnie Jones, znalazłszy się trzy metry za Niemcami. - Nicht rauchen! Mężczyźni stanęli jak wryci.

— Nicht rauchen? - powtórzył jeden z nich, najwyraźniej uznając słowa nieznajomego za zabawne. Chciał się odwrócić, ale w tym momencie Stoke oparł lufę schmeissera pomiędzy łopatkami strażnika.

— Tak, dobrze słyszałeś — potwierdził po angielsku Jones. — Nie wolno palić. Nowy zakaz.

Podczas gdy obaj mężczyźni zastanawiali się nad jego słowami, Stoke zarzucił pistolet na plecy, złapał strażników za kołnierze i zderzył ich ze

sobą. Uderzyli się nawzajem głowami tak mocno, że stracili przytomność.)
Kiedy ich puścił, padli bezwładnie na podłogę.

— Widzicie? — skomentował to Jones.— Palenie bardzo wam zaszkodziło.

Zabrał im broń - pistolety maszynowe H&K MP5; zarzucił je na ramię obok schmeissera. Wrócił po torbę. Po drodze dostrzegł windę, którą wyjechali z Jet z Unterwelt. Trzeba było opuścić Tempelhof, póki czas.]
Lotnisko budziło się do życia.

Zjechał windą na sam dół i szybkim krokiem przeszedł przez ponure bunkry. Po kilku minutach był już z powrotem w tunelu. Po lewej stronie był podziemny parking, więc stacja tramwajów musiała być po prawej. Stoke skręcił w prawo. Po krótkim czasie zobaczył światło, a ściany tunelu zmieniły się w suche, pomalowane na biało. Tak, to była stacja tramwajów. Podkraść się do niej ostrożnie i się przyjrzał.

318

Na stacji stał tramwaj, czy właściwie mały pociąg, złożony z trzech wagoników. Otwartych, białych, opływowych. Wyglądało na to, że tramwaj unosi się jakieś trzydzieści centymetrów nad ziemią. Ściany stacji były wyłożone lśniącymi, chyba niedawno położonymi białymi kafelkami. Na peronie stali dwaj strażnicy, w hełmach i kamizelkach z kevlaru. Za nimi widoczne były znikające w suficie ruchome schody. Zupełnie jak metro, tylko znacznie czystsze.

- Cześć, chłopcy. Jak leci? - odezwał się Stoke, wchodząc na peron.
Trzymał w pogotowiu schmeissera.

- Was ist das? - spytał bliższy ze strażników, unosząc swojego MP5.
Zobaczywszy mundur Stoke'a, się zawahał. Tylko na moment, ale na to

właśnie liczył Stokely.

- Das ist nowy strażnik — odpowiedział Jones, naciskając spust.

Seria była celna - mężczyzna został dosłownie zmieciony z peronu. Drugi ze strażników musiał zdążyć powiadomić przez mikrofon o obecności Stoke'a, ponieważ nagle rozległy się syreny alarmowe, a wokoło zaczęły błyskać światła ostrzegawcze. Najbardziej złowieszczo brzmiała syrena przypominająca filmowy alarm na U-Boocie.

Strażnicy firmy zaczęli działać błyskawicznie. Najpierw zawrócili ruchome schody, tak że teraz jedne i drugie jechały w dół. Pojawili się na nich uzbrojeni mężczyźni, inni zjeżdżali po rozdzielającej schody poręczy, jak niesforne dzieci. Od razu strzelali na oślep w stronę Jonesa. Dobrze, że zdążył zeskoczyć z peronu. Nie czekał na śmierć - skulił się i ruszył pędem w stronę tramwaju. Przystawał jednak parokrotnie, za każdym razem wypuszczając serię w stronę strażników.

Pasek torby przełożył przez głowę, dzięki czemu mógł trzymać w prawym ręku schmeissera, zaś w lewym MP5. Druga seria z hitlerowskiego pistoletu powaliła strażnika, który wszczął alarm. Leżał teraz na peronie w kałuży jaskrawoczerwonej krwi. Długą serią z MP5 Stoke ostrzelał mężczyzn wypadających z ruchomych schodów. Chyba przestało im się tak bardzo spieszyć. Nagle poprzez huk wystrzałów, wycie syren i krzyki usłyszał szczekanie dobermanów. W przeciwieństwie do ludzi barona psy ani trochę się nie przestraszyły tego, że tak celnie strzelał.

Dobermany zbiegały po schodach, przewracając po drodze paru strażników — tak śpieszyły się, żeby rozerwać Stokely'ego na strzępy.

Schował

się więc całkowicie za peronem i pognął jak najszybciej do pierwszego wagonika śmiesznego, małego pociągu. Miał nadzieję, że zdoła go uruchomić...

Jezu!

Jeden z psów wyprzedził pozostałe i ugryzł go w pośladek. Jones odwrócił się błyskawicznie i uderzył śliniace się zwierzę kolbą w łeb. Miał szczęście. Oszłomił dobermana na tyle, że zdążył wskoczyć do wagonika. - Jeśli znowu ugryziesz mnie w dupę, potraktuję cię drugim końcem MP 5, verstehen Sie? — zawołał.

Znał niemiecki na tyle, żeby się zorientować, który przycisk uruchamia tramwaj. Wcisnął duży, zielony guzik na desce rozdzielczej; rozległ się dziwny szum, wagonik wpadł w wibrację. Zapewne tuż pod podłogą zaczął kręcić się z niewiarygodną szybkością jeden z napędzających tramwaj dysków. Psy dopadły już do wagonika. Jones kopnął jednego dobermana prawą nogą, drugiego lewą, aż odleciały w tył, skamłając żałośnie.

Nagle jedna z gorących kul gwizdnęła mu tuż koło ucha.

Odpierając atak psów, dopuścił do siebie zbyt blisko strażników. Teraz wszędzie wokół niego śmigwały kule. Chyba ponad dziesięciu ubranych na czarno mężczyzn zeskoczyło z peronu i biegiem ruszyło wzdłuż torów w stronę Jonesa. Nie oszczędzali amunicji. Co ciekawe, lśniące białe wagoniki wydawały się kuloodporne. Tak, kule odbijały się od nich. Z czego, u licha, zrobiony jest ten tramwaj?

Pierwszy ze strażników zbliżył się już na jakieś piętnaście metrów. Jones ściął go serią ze schmeissera i usłyszał najbardziej niepokojący odgłos, jaki można usłyszeć podczas walki - milczenie własnej broni. Zużył cały

magazynek. Uniósł więc oba MP5 i zaczął strzelać do swoich prześladowców, opierając się butem o ławkę tramwaju, a pośladkami o jego deskę rozdzielczą. Musiał niechętnie uruchomić wsteczny bieg, ponieważ tramwaj ruszył nagle ku nadbiegającym strażnikom.

Cholera! Odwrócił się, żeby zorientować się, czego dotknął. Była to mała dźwigienka, którą przesunął do oporu w dół. Tramwaj przyspieszył z niezwykłą szybkością, ale Jones w ogóle nie odczuł siły bezwładności. Dziwne. Odziani na czarno mężczyźni wpadli w panikę, zaczęli rozpierzchać się na boki. Tramwaj przejechał ze dwóch. Wystarczyło. Pozostali uciekali w stronę stacji albo przyłgnęli do ścian.

320

Jones uniósł dźwigienkę i tramwaj natychmiast zmienił kierunek ruchu. Stoke przesunął dźwignię do oporu. Wagoniki śmignęły po raz drugi koło przyciśniętych do ścian mężczyzn i z niewiarygodną szybkością poleciały naprzód, unosząc się w powietrzu. Hiperprędkość! Jak w Gwiezdnym wojnach! tak jak na filmie w ogóle nie odczuwało się przyspieszenia. Widocznie tramwaj wytwarzał własne pole grawitacyjne, które całkowicie eliminowało wpływ otoczenia. Coś takiego!

Ci cholerni Niemcy wymyślili bardzo ciekawą rzecz. Wyjące psy i przerażeni strażnicy pozostali w tyle. Człowiek, który zdoła zbudować takie metro pod Nowym Jorkiem, będzie mógł do końca życia leżeć na pieniądzach.

Po prawej stronie co kilka sekund pojawiały się perony białych stacji. W końcu tunel zaczął skręcać w lewo. Biorąc pod uwagę prędkość tramwaju i wymiary lotniska, zapewne dojeżdżał już do jego krańca. Zbliżał się do hangaru, gdzie czekał śmigłowiec. Stoke opuścił nieco dźwignię,

zwalniając tramwaj. Teraz mógł odczytywać nazwy przystanków. Udet, Voss, Richtofen... Lowenhardt... jest: Steinhoffer. Zatrzymał tramwaj. Znów w domu!

Perony przystanków były znacznie krótsze niż stacji początkowej. Miały może po trzy metry długości każdy. Dlatego przy zatrzymaniu tramwaju tylko jeden wagonik znajdował się naprzeciw peronu. W każdym razie przystanek był jasno oświetlony i świeżo wyłożony białymi kafelkami. Nie było ruchomych schodów, tylko zwykłe, stalowe. Prowadziły do zamkniętych drzwi. Stoke podniósł wypchaną torbę i wysiadł z tramwaju. Poczul na policzku powiew niezbyt świeżego powietrza. Pchał je z tunelu zbliżający się tramwaj.

Jones po raz ostatni spojrział na wagoniki napędzane wirującymi talerzami. Niezły pojazd. Ale trzeba się stąd wynosić. Wbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie. Wiedział, że nadjeżdża cała chmara uzbrojonych strażników.

- Jak się czujesz, Arnoldzie? - spytał skrepowanego taśmą klejącą jeńca w warsztacie hangaru. Znalazł małą piłkę i zaczął przecinać taśmę. Najpierw przy nogach.

— Mmm... — mruknął Arnold.

321

— Zajęło mi to więcej czasu, niż sądziłem. Odbyłem małą naradę na stacji metra Unterwelt. Rozmawiałem za pomocą broni maszynowej. Na pewno ucieszy cię wiadomość, że zwyciężyłem. Ile zostało nam paliwa?

— Mmm?

— Aż tyle? Myślisz, że starczy na lot do Zurychu? Czy nie?

— Mmm, mmm!

— Uspokój się, Arnoldzie. Co ci się stało? Coś ci nie pasuje? Przecież •wiesz, że uwijam się, jak tylko mogę. Cholerni neonaziści, wy to naprawdę lubicie się rządzić.

Rozdział 48

Zatoka Omańska

Za godzinę miał nastąpić świt. Minęły dwa dni od czasu, kiedy Hawke i Brock wybrali się na podwodny rekonesans. Pokłady połyskiwały od deszczu. Ponad lekko pofałdowaną powierzchnią morza, które w tej chwili przybrało kolor perłowy, co jakiś czas pojawiała się i znikwała mgiełka. Zardzewiały frachtowiec „Obaidalah” stał na kotwicy koło jednej z omańskich wiosek, mając pod sobą mniej niż piętnaście metrów wody. Na północny zachód od niego znajdowało się stare portowe miasto Ghalat. Zaś na wschód - Masira, przycupnięta na horyzoncie niczym drzemiący kot. Wysłużony „Obaidalah” wyładowany był aż po nadburcia. Tego wieczoru, jak co tydzień, miał popłynąć na Masirę z zapasami. Przed dwoma dniami wrócił z Berlina Stokely. Spotkał się na lotnisku w Maskacie z Fitzem McCoyem i Charliem Rainwaterem oraz dowodzonymi przez nimi najemnikami, którzy właśnie przylecieli z Martyniki. Tego dnia na frachtowiec załadowano wyłącznie niejadalne zapasy. Wypić tym bardziej się ich nie dało. Ładownie pełne były materiałów wybuchowych, min magnetycznych, moździerzy, granatników raketowych i amunicji. W ciemności przeładowano potajemnie to wszystko z innej jednostki pływającej.

322

O północy do burty „Obaidallaha” przybił „Cacique” i wyładował broń, amunicję i najrozmaitszy sprzęt, jakie Brock i Badur zgromadzili w ciągu

minionego tygodnia w Maskacie. Najcenniejszym przedmiotem był miniaturowy okręt podwodny „Bruce”.

Ów zaprojektowany na potrzeby jednostki SEAL okręcik przypominał nieco kanciastą torpedę, której wymalowano na dziobie uśmiechniętego rekina. Miał dziewięć metrów długości. Ustawiono go na pokładzie rufowym i umocowano, przykrywając grubym brezentem. Niedawno skonstruowany „Bruce” miał elektryczny napęd i czerpał energię z akumulatorów. Mimo swoich skromnych rozmiarów był wyposażony w systemy nawigacyjny, łączności oraz podtrzymywania życia.

Był w stanie przewieźć drużynę w pełni wyposażonych nurków wojskowych oraz niezbędny im ładunek. Przez cały czas mógł pozostawać w pełni zanurzony.

Stary „Obaidalah”, który stał się kolejnym pływającym domem Hawke'a i Brocka, miał świeżo zmienioną załogę i kapitana. Dotychczasowej załodze zapłacono równowartość ich miesięcznych zarobków za to, aby rozjechali się do domów. Kapitanem „Obaidalaha” stał się Ali al Houri. Poprzedni kapitan, przystojny młody człowiek o imieniu Abu, zgodził się wziąć udział w misji i pozostać na statku w randze pierwszego oficera. Mógł się przydać, ponieważ stacjonujący na Masirze Francuzi dobrze go znali.

Al Houri i Abu zeszli pod pokład, żeby uruchomić silnik. Ostatnio były pewne kłopoty z pompą paliwa; Ali i Abu zapewnili Fitzę, że zdołają ją naprawić. Czas biegł jednak nieubłaganie. Trzeba było popłynąć na Masirę tej nocy.

Wzeszło słońce, a wraz z nim przyszedł upał. Ponad horyzontem piętrzyły się niskie, purpurowe chmury. Hawke obserwował świt przez otwarty iluminator, mrugając załzawionymi ze zmęczenia oczami. Kolejny przykry

dzień w tym raj.

Alex wiedział coś, czego nie byli świadomi jego ludzie.

Agenci CIA w Chinach przechwycili rozmowę z telefonu komórkowego. Wynikało z niej, że przed dwunastoma godzinami wysłano z Hongkongu kuriera, który miał osobiście dostarczyć tajne rozkazy zabicia sułtana Abbasa i wymordowania jego rodziny.

323

Jakiś analityk w centrali chińskiej partii komunistycznej doszedł do wniosku, że sułtan już na nic się Chinom nie przyda. Podczas przygotowań do operacji Hawke i Kelly najbardziej bali się właśnie tego. Stało się. Sułtan Adzi Abbas publicznie zaprosił do Omanu francuskie wojska i jego dalsza obecność była dla Chińczyków zbędna, a potencjalnie nawet niebezpieczna. Musieli się domyślić, że Amerykanie szukają sułtana. Jeśli uda im się go znaleźć, konsekwencje mogą być fatalne. Adzi Abbas obwieści światu, że Francja jest agresorem, zdradzi też opinii publicznej, jaką rolę odegrały w przebiegu wydarzeń Chiny. Uniemożliwi to dalsze prowadzenie jakichkolwiek tajnych działań.

Do niebezpieczeństw, jakie czyhały na ludzi Hawke'a w związku z operacją uwolnienia sułtana, doszło teraz jeszcze i to, że misja mogła okazać się spóźniona. Uwolnienie Adzi Abbasa, zanim zostanie zamordowany przez Chińczyków, było sprawą o kluczowym znaczeniu.

Pod pokładem pięciu brodaczy o surowych rysach twarzy siedziało w półmroku wokół zniszczonego drewnianego stołu, w ciasnej kabinie, która służyła za salon „Obaidallaha”. Nawet o tej godzinie, pomimo mielącego powietrze starego wentylatora, w kabinie było duszno. Pot pachnie równie nieprzyjemnie jak papierosy Gauloise. Dwaj spośród mężczyzn palili

jednego papierosa za drugim, wszyscy zaś pili z metalowych kubków zimną kawę, aby nie zasnąć Stół był pełen map, wykresów, diagramów i zdjęć satelitarnych

Cała piątka patrzyła zmęczonymi oczami na ręcznie narysowany przez Brocka plan tuneli prowadzących od nabrzeża do znajdującej się wewnątrz twierdzy prochowni

Już ponad dobę obmyślali plan, odrzucając kolejne jego wersje i rozważając nowe Od czasu do czasu pozwalali sobie na godzinę upragnionego snu Minęło już całe czterdzieści osiem godzin odkąd Hawke i Brock wrócili z udanej misji rozpoznawczej W ciągu tego krótkiego, ale bardzo gorącego okresu sytuacja na świecie zdążyła dramatycznie się zmienić

Marynarka francuska przeprowadzała operację zaczepną Grupy bojowe lotniskowców „Charles de Gaulle” oraz „Foch” przemieszczono na Morze Arabskie W drodze były także okręty desantowe, które wiozły siły inwazyjne — czterdzieści tysięcy francuskich żołnierzy Spodziewano się

324

również, że przed zbliżającą się nieuchronnie inwazją na Oman myśliwce Dassault Mirage oraz Rafale, którymi Francja się chełpiła, ponownie wtargną w ustanowioną przez Amerykanów i Anglików strefę zakazu lotów nad północną częścią Omanu i cieśniną Ormuz

Od kraksy Mirage'a w rezultacie starcia z nieznanym brytyjskim pilotem w pierwszych dniach kryzysu byłby to pierwszy taki przypadek

Wprowadzenie strefy zakazu lotów odbiło się echem w środkach masowego przekazu jeszcze przed wypadkiem francuskiego samolotu

Teraz amerykańskie stacje telewizyjne co godzinę podawały najświeższe

doniesienia z „drugiego frontu”, jak zaczęli mawiać dziennikarze Nie toczyły się akurat żadne głośne procesy o morderstwa czy pedalskie czyny gwiazd estrady, więc bestię o miliardzie par oczu, jaką jest światowa opinia publiczna, karmiono relacjami z rozwijającego się dramatu w okolicy kraju, o którym niewielki procent ludzi w ogóle słyszał Rozbicie się mirage'a o omańską górę wywołało głośne protesty francuskiej prasy i korpusu dyplomatycznego Szukano winnego, żądano, aby nieznany Brytyjczyk został wydany francuskim władzom Tymczasem nieznany Brytyjczyk, nieświadom tego, że Francuzi mają ochotę go zlinczować, popijał sobie spokojnie zimną kawę na „Obaidałlaha” Nawet gdyby o wszystkim wiedział, był zbyt zajęty, aby zaprzętać sobie tym głowę

Alex był jednym z pięciu mężczyzn siedzących w zadymionej, dusznej kabinie Z półki ponad stołem dobiegały stłumione odgłosy radia nastawionego na program BBC Wciąż podawano same złe wiadomości Nikt jednak już tego nie słuchał Zebranych czekało bardzo trudne, niezwykle ważne zadanie.

Najnowsze wieści były w skrócie mniej więcej takie, że chiński minister spraw zagranicznych. Nien Chang, ogłosił właśnie rozpoczęcie ćwiczeń połączonych sił marynarek wojennych Chin i Francji Miały być one prowadzone tuż koło wód terytorialnych Tajwanu Waszyngton i Londyn wyrazili dyplomatycznymi kanałami stanowczą dezaprobatę wobec prowokacyjnych działań, podjętych w czasie, gdy pokój w regionie i tak był już zagrożony

Inwazja Chin na Tajwan musi spotkać się z odpowiedzią Stanów Zjednoczonych, gdyż w innym razie oznaczałoby to po prostu koniec

międzynarodowego zaufania do Ameryki. Sytuacja przywodziła na myśl błędne koło — reakcja taka mogła oznaczać wybuch kolejnej wojny światowej.

Amerykański ambasador w Chinach, Barron Collier, poinformował chińskiego ministra spraw zagranicznych o tego rodzaju obawach. Jak dotąd nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

— Wyłączcie to cholerne radio! — zawołał Harry.

Bez przesady można było powiedzieć, że wielu ludzi z Waszyngtonu i Londynu pokładało nadzieje właśnie w tych pięciu mężczyznach. Na ich barkach spoczywała więc wielka odpowiedzialność. Uważano, że nawet teraz pojawienie się przed kamerami sułtana Omanu i potępienie przez niego francuskiej inwazji na jego suwerenny kraj mogło powstrzymać nieobliczalną w skutkach wojnę. Nie chodziło tylko o mały Oman ani nawet o niepodległość innych państw rejonu Zatoki Perskiej. W grę wchodziła kwestia pokoju i stabilności na całej kuli ziemskiej.

Jeśli Francuzi raz wkroczą i opanują pola naftowe, porty, rafinerie, platformy wiertnicze i rurociągi, bardzo trudno będzie ich usunąć. Kiedy zaś Chiny posmakują czystej omańskiej ropy, której złoża staną się ich prywatnym rezerwuarem, nie da się już nic zmienić. Stratedzy Pentagonu i Rady Bezpieczeństwa Narodowego kręcili głowami, analizując tę kwestię. Francuska inwazja na Oman? I jednocześnie rzucenie przez Chiny wyzwania Tajwanowi? Nawet najwięksi wizjonerzy Waszyngtonu nie przewidzieli takiej sytuacji. Alianci nie zasypiali gruszek w popiele. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania pospiesznie przerzucały siły powietrzne i morskie w rejon spodziewanych konfliktów. W bazie marynarki na

Hawajach odwołano •wszelkie urlopy. Postawiono w stan alarmu całą Flotę Pacyfiku.

Zaś najdalej wysuniętą flanką szykujących się do wojny sił był stary frachtowiec „Obaidallah”, który jakimś cudem ciągle unosił się na wodzie, choć w zasadzie powinien był już zatonać przed paroma dziesiątkami lat.

Po prawej stronie Hawke'a siedział Stokely Jones, który wrócił z niezwykle udanej wyprawy do Niemiec. W tej chwili analizowano właśnie w centrali CIA oraz biurach Rady Bezpieczeństwa Narodowego wykradzione przez Stoke'a dokumenty. Analitycy wywiadu szczególnie inte-

resowali się powiązaniem wielkiej niemieckiej korporacji von Draxisa z Chińczykami. Obok Jonesa siedział inny Amerykanin — Harry Brock.

Byli tu też dwaj mężczyźni, którzy przybyli najpóźniej: Fitz Hugh McCoy - Irlandczyk o szerokich barach, oraz Charlie Rainwater - czystej krwi Indianin z plemienia Komanczów. McCoy i Rainwater, nazywani przez światowe jednostki antyterrorystyczne Gromem i Błyskawicą, dowodzili luźno zorganizowaną grupą najrozmaitszej maści najemników. Należeli do nich dawni żołnierze Legii Cudzoziemskiej, Gurkhowie, rangersi i inne zaprawione w bojach psy wojny.

Nikt nie miał wątpliwości, że Rainwater i McCoy oraz ich ośmiu barwnie wyglądających żołnierzy, którzy w tej chwili spali smacznie w pomieszczeniu załogi „Cacique”, stanowią najlepszą na świecie drużynę specjalistów od uwalniania zakładników.

Brock i McCoy nie przypadli sobie do gustu, co nie uszło uwadze Hawke'a. Harry widział, jak Alex zasalutował kępemu Irlandczykowi, co zapewne musiało znaczyć, że McCoy był odznaczony Medal of Honor.

Kawalerowie tego odznaczenia mieli ten przywilej, że salutowali im wszyscy wojskowi, niezależnie od stopnia. Brock postanowił jednak nie salutować. Dziwne. W ogóle Harry zachowywał się jakoś dziwnie. Nocą, analizując potencjalne niebezpieczeństwa, Hawke ciągle wracał do tego, co na temat Harry'ego powiedział Cegła.

- Słuchajcie — odezwał się z irlandzkim akcentem Fitz. Miał głos ochrypy od papierosów. —Wiem, że wszyscy jesteśmy zmęczeni i że każdemu jest piekielnie gorąco. Jednak im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi w walce. Omówmy wszystko jeszcze raz. A potem prześpimy się trochę. Stokely? Zaczynaj.

Stoke podniósł się z krzesła, omal go nie wywracając. Spojrzał na McCoya, nazywanego „szerszym niż wyższym”, i się uśmiechnął. Fitz odpowiedział mu uśmiechem. Przyjaźnili się od dawna, gdy poznali się na bagnach delty Mekongu.

- Na pewno chcesz, żebym opowiedział wszystko od samego początku, Fitz?

-Tak.

McCoy zdobywał żołnierskie szlify w południowo-wschodniej Azji. Miał metr pięćdziesiąt wzrostu i tyle samo w obwodzie klatki piersiowej.

327

Wykazywał wielką odwagę i był gotów do poświęceń. Odznaczono go Medal of Honor za to, że w pojedynkę zlikwidował dobrze okopane gniazdo mózdzierza, ocalając w ten sposób cały pluton. Pod zmasowanym ogniem wojsk Wietkongu przeniósł w bezpieczne miejsce dwóch rannych. Nie zważając na to, że sam został ranny w brzuch.

W tej zamierzchłej przeszłości Stoke był dowódcą drużyny Fitz'a -Drużyny

3. jednostki specjalnej SEAL. W owej legendarnej jednostce służył także Charlie Rainwater, który wciąż miał na sobie spłowiałą granatową koszulkę ze złotym napisem SEAL. Nosił długie do ramion włosy na indiańską modłę spięte w koński ogon. Miał też kamizelkę z kozłej skóry. Nazywano go Wodzem, był ekspertem od materiałów wybuchowych. Najlepszym w tej dziedzinie, obok siedzącego teraz koło niego drobnego człowieka zwanego Żabą. Obaj mogli bardzo się przydać podczas nadchodzącej nocy.

Stokely widział już z bliska twierdzę Mahoud i był zadowolony, że Hawke zdecydował się wezwać z Martyniki jego starych kumpli.

— Oto plan — powiedział. — Alex i ja wypływamy miniaturowym okrętem podwodnym. Punktualnie o drugiej zanurzamy się nim w zatoczce koło przylądka Arras. Schodzimy na głębokość pięciu metrów i płyniemy na północ wokół przylądka, a następnie na południowy zachód do wylotu tunelu prochowni. Przybywamy tam o drugiej piętnaście, ustawiamy się rufą do tunelu i wpływamy do niego tyłem. Docieramy powoli aż do punktu oznaczonego na schemacie tunelu jako R-2. Wsiadamy i wyciągamy pięć nadmuchiwanym pontonów RIBS. Napęlamy je powietrzem i umieszczamy za „Bruce'em”. Zabezpieczamy go, uzbrajamy przywiezione ładunki wybuchowe w detonatory i zapalniki i uczeplamy je do drzwi prowadzących do tunelu. Drzwiami po prawej wchodzimy do prochowni. Punktualnie o drugiej trzydzieści.

Rozległ się szmer niedowierzania. Stoke uniósł dłoń, aby uciszyć kolegów.

— Dobrze - rzekł Fitz. Spojrzał na Wodza, który nakładał właśnie prezerwatywy na zapalniki. Był to stary sposób na to, żeby zapalniki nie zamokły. Stosowany w Wietnamie.

— Teraz ty, Wodzu. Masz zapas gumek, który wystarczyłby całej dywizji. Czy dziś w nocy wybierasz się walczyć, czy może na panienki?

Smagły Rainwater ukazał w uśmiechu białe zęby.

— Zasada numer jeden: najpierw obowiązek, potem przyjemność. McCoy się uśmiechnął.

— Wiesz, co robić? — spytał.

— Moja drużyna, Strzała, wysiada i opanowuje wejście do twierdzy. Bez zbędnego hałasu. O drugiej piętnaście cumujemy i wyładujemy sprzęt. Zakładamy ładunki u podstaw obu wież, a potem wkraczamy do twierdzy. O drugiej trzydzieści spotykamy się z drużyną Luk, czyli Hawkiem i Brockiem, w prochowni. W miejscu oznaczonym jako punkt Q.

Wchodzimy po schodach na piętro, gdzie zdaniem Ahmeda prawdopodobnie przetrzymywani są zakładnicy. W tym momencie rozpocznie się wielka strzelanina, w wyniku której Łuk i Strzała zabiją bandytów i ocalą wszystkie kobiety i dzieci.

Fitz stwierdził, że nie da się kontynuować narady. Wszyscy musieli się przespać. Nawet Rainwater, który miał zwyczaj żucia jakiegoś korzenia, aby pozostawać przytomnym, wyglądał na wykończonego. Podczas lotu starym C-130 z Martyniki do Omanu cały czas planowali operację. Sen był po prostu koniecznością. McCoy postanowił, że ostatnia narada odbędzie się w południe. Mieli dwanaście godzin na powrót do pełnej sprawności bojowej.

Rainwater powiedział Żabie, że czas iść spać. Żaba wciąż siedział jednak bez ruchu, patrząc szeroko otwartymi oczami. Już spał. Tak bardzo byli wyczerpani.

Operacja przebiegała bardzo sprawnie — do czasu, kiedy wszystko się

posypało. Stary silnik frachtowca działał na tyle, że „Obaidallah” znalazł się na przewidzianej pozycji, rzucając kotwicę jedną milę morską na północny zachód od wyspy. Nie zapalono świateł pozycyjnych. Al Hourī posadził Abu przy nadajniku i kazał mu powiedzieć francuskiemu oficerowi zaopatrzeniowemu na Masirze, że niestety, statek spóźni się z powodu awarii silnika.

Abu zapewnił zaspanego Francuza, że przystąpiono już do naprawy i „Obaidallah” przybije do mola krótko po północy. Francuz niczego nie podejrzewał. Ten statek ciągle się psuł. Obiecano, że na nabrzeżu będzie czekało dwóch dokerów.

329

Przylądek Arras majaczył na tle nieba na kształt sfinksa. Na dziobie pogrążonego w mroku statku stali Hawke, Jones i Al Hourī. Al Hourī uniósł lornetkę i przyjrzał się znikającym za przylądkiem światłom kutra patrolowego. Abu powiedział, że opływa on wyspę w ciągu godziny i dwudziestu minut.

— Zaczynamy polowanie, Stoke — odezwał się Hawke. Spojrzał na zegarek. Już mieli trzy minuty opóźnienia w stosunku do planu, którego czas realizacji odmierzał atomowy zegar w głowie Aleksa. We trzech poszli szybko na rufę, z której zwisał „Bruce”. Mijając sterówkę, usłyszeli dobiegające z niej głosy zakładających po ciemku sprzęt i sprawdzających broń żołnierzy. Część z nich, niezależnie od tego, że pokryli twarze ciemną farbą, założyło na panterki luźne białe szaty. Zamiast tradycyjnie noszonych przez francuskich legionistów kepi włożyli białe turbany. O tej porze przy nabrzeżu Masiry powinni napotkać tylko kilku zaspanych Omańczyków, którzy pomogą im zacumować i rozładować statek.

Zakładano, że czuwający przy bramie twierdzy wartownicy nie będą przyglądać się zbyt uważnie rozładowującym frachtowiec ludziom. Strzelcy na wieżach także nie powinni zobaczyć niczego niezwykłego, kiedy „Obaidallah” przybije do nabrzeża. Inaczej będzie źle.

Fitz miał nadzieję, że kiedy Abu czy Ahmed wysiądzie i zacznie rozmawiać z ludźmi z wyspy, a przebrani za Arabów antyterrorysty ograniczą się do gestów, uda się nie tylko rozładować statek, ale i bez wystrzału wnieść cały sprzęt do twierdzy i wprowadzić do niej wszystkich żołnierzy. Tak przewidywał plan.

Hawke przystanął przy jednym z otwartych iluminatorów. Fitz chodził pomiędzy swoimi ludźmi, zagrzewał ich do boju, wydawał ostatnie zalecenia, upewniał się, że każdy jest przygotowany psychicznie i fizycznie do akcji. Hawke widział jednak po oczach McCoya, że coś go niepokoi. Nie starczyło czasu, aby bezbłędnie przygotować operację. Ale czy było kiedyś inaczej?

Biorący udział w akcji spędzili dwie doby na pokładzie starej, zardzewiałej łajby; nie mogli się przebiec, dobrze wypocząć ani pobyć w samotności. Ponieważ nie starczało koi, spali na zmianę. Byli wojownikami z dżungli i pustyni, nie piratami morskimi jak Stoke i Hawke. Fitz prosił Aleksa o jeszcze jeden dzień. Hawke odmówił jednak, nie podając powodów.

Kelly zabronił mu wyjawiania prawdy. Uważał bowiem — i Alex się z nim zgadzał — że źle wpłynie na morale żołnierzy, jeśli dowiedzą się, iż mają ryzykować życie dla uwolnienia zakładnika, którego być może już zamordowano.

Hawke w podwodnym rynsztunku wyglądał jak kosmita. Przez większą

część operacji to Jones miał prowadzić „Bruce'a”. Przyświecając sobie czerwoną latarką, po raz ostatni prześledził trasę.

- Doprowadźmy tę sprawę do końca - odpowiedział Hawke, zakładając hełm i poprawiając mikrofon.

Stoke miał przeczucie, że operacja przebiegnie źle.

Nie wiedział tylko, jak bardzo źle.

Rozdział 49

Southampton, stan Nowy Jork

Piękny dzień, panie inspektorze — powitał wychodzącego na ulicę Ambrose'a główny odźwierny hotelu, Michael O'Connell. Zasalutował. Był wesołym człowiekiem o różowych policzkach, pracował przy drzwiach Carlyle'a od wielu lat. Wziął podniszczoną skórzaną torbę podróżną Congreve'a, zaś drugą ręką uniósł do ust srebrny gwizdek, rozglądając się w poszukiwaniu taksówki. Aleją Madisona jechał na północ nieprzerwany sznur samochodów. Po deszczu pojawiło się słońce. Wilgotne jeszcze chodniki i ulice parowały. W powietrzu unosił się szczególny zapach - to schły hektary mokrej zieleni w Central Parku.

— Leci pan British Airways? — zagadnął odźwierny.

— Nie, nie jadę na lotnisko i nie potrzebuję taksówki - powiedział Ambrose. — Dziękuję. Tym razem ktoś mnie stąd zabierze.

— Jak podobał się panu pobyt w naszym hotelu?

— Był przemiły, jak zwykle. Czuję się tu jak w domu.

— I dokąd się pan udaje, panie inspektorze?

331

— Na Long Island, spędzić weekend z dala od wielkomiejskiego zgiełku

— odpowiadał detektyw— U przyjaciół znajomej, w Southampton. Chyba

urządzają jakieś przyjęcie. Niejaki Jock Barker i jego żona Słyszał pan o nich?

— Owszem, Jock Barker to dość znany człowiek. Od razu przechodzi z wszystkimi na „ty”. Bez wątpienia będzie się pan świetnie bawił w Stonefield.

— Stonefield

— Tak nazywa się stara posiadłość Barkerów Jeden z najpiękniejszych domów na całej Long Island. Pan Barker urządza wielkie przyjęcie każdego lata. Zdaje się, że nadjeżdża właśnie jego samochód.

Zbliżał się rolls-royce wznowionej serii phantom. Statecznie skręcił w Siedemdziesiątą Szóstą. Wyglądał, jakby wyrzeźbiono go z jednego bloku czarnej stali Charakteryzowało go dostojeństwo, królewska duma, której przez minione dziesięć czy dwadzieścia lat brakowało rolls-royce'om. Zdawał się mówić innym samochodom: „Powróciłem Przesuńcie się” Ubrany w błękitną liberię i rękawiczki szofer wyskoczył z rollsa i otworzył bagażnik. Kierowca był krępy, piegowatym chłopcem w wieku około dwudziestu lat; miał pogodne spojrzenie człowieka, który uwielbia swoją pracę Ambrose wręczył Michaelowi dwudziestodolarówkę i podziękował mu. Czarna szyba tylnych drzwi rollsa zjechała w dół Na drzwiach widniał pięknie wyrysowany błękitny monogram — galopujący koń, a pod nim napis Spe labor lems. „Nadzieja czyni pracę lekką”.

Sentencja warta zapamiętania

W oknie pojawiła się piękna twarz o jasnej cerze i jasnoniebieskich oczach, obramowana kasztanowymi, lekko kręconymi włosami. Drobne, czerwone usta uniosły się w uśmiechu. Ambrose potknął się z wrażenia, ale szybko udał, że się pochyla i niedbale opiera dłoń na dachu pojazdu.

Najpiękniejsza kobieta na świecie powiedziała:

— Witaj, nieznajomy. Może cię podwieźć?

Congreve wsiadł. Znalazł się na wielkiej, miękkiej, skórzanej kanapie z tyłu limuzyny, tuż obok lady Diany Mars. Cmoknęła go niewinnie w policzek i podała mu rękę. Jej dłoń była drobna, chłodna i krucha. Diana popatrzyła chwilę na niego błyszczącymi oczami, po czym pochyliła się naprzód i rzuciła kierowcy:

— Gin Lane, Buster. Prędko.

Ambrose zdumiał się, ale szofer był najwyraźniej przyzwyczajony do takiego traktowania. Obejrzał się i odpowiedział z uśmiechem:

— Dobrze, proszę pani. Jeśli uda nam się w miarę szybko wyjechać z miasta, powinniśmy być na miejscu w ciągu dwóch godzin. Jeżeli Route 27 będzie zakorkowana, jazda potrwa trochę dłużej.

— No to gazu — podsumowała Diana. Szepnęła do ucha Ambrose'owi — To ochroniarz Jocka. I naprawdę ma na imię Buster.

Buster poprowadził ten niezwykły pojazd po Northern State Parkway, aby w miarę możliwości uniknąć korków. Później skręcił w słynną Long Island Expressway, ośmiopasmową trasę, biegnącą na wschód przez całą długość wyspy, prawie do samego przylądka Montauk. Samochody jechały zderzak w zderzak aż do Manorville. Pasażerowie rolls-royce'a mogli jednak pozwolić sobie na luksus niezwracania na to uwagi. Zajęli się opowiadaniem sobie wydarzeń, jakie zaszły po obu stronach Atlantyku. Diana chyba przestała już myśleć o włamywaczu, gdyż naciskała na Congreve'a, aby opowiadał jej wszystkie szczegóły mroźnej krew w żyłach eskapady na Coney Island.

— Ależ to musiało być okropne, Ambrose! Udało ci się jednak uzyskać

zeznanie Co teraz?

— Ja tylko dostarczyłem CIA, FBI i Interpolowi amunicji Od nich zależy, czy i kiedy ją wykorzystają

— Zamordować własnego ojca! Powinni rozstrzelać tego bandytę'

— Nie martw się Mam przecucie, że zginie od kuli.

Kiedy minęli Pine Barrens i Manomille, otoczenie stało się znacznie miłsze dla oka. Wokół widać było łagodne, zielone wzgórza, upstrzone białymi płotami z palików. W oddali brązowiały pola ziemniaków. Dotarłszy do Route 27, Buster mógł nareszcie przyspieszyć potężnego rolls-royce'a Teraz jechali chyba z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, chociaż we wnętrzu limuzyny miało się wrażenie, że jest to zaledwie osiemdziesiąt. Ambrose i Diana umilkli. Każde z nich rozkoszowało się słonecznym letnim dniem i przesuwanym się za oknami krajobrazem

— Proszę pana — odezwał się w pewnej chwili Buster, spoglądając na Congreve'a w lusterku wstecznym — Przepraszam, że panu przeszkadzam

333

— Słucham?

— Zdaje się, że jesteśmy śledzeni.

— Naprawdę? Kiedy to zauważyłeś?

— Na moście Triboro. Biała furgonetka.

— Jest mnóstwo białych furgonetek — zauważył Ambrose.

— Tak, ale ta ma pękniętą przednią szybę. Słońce załamuje się na niej z daleka.

— Czy sądzisz, że kierowca furgonetki wie, że ją zauważyłeś? - zapytał Congreve, oglądając się.

— Nie sędzę. Trzymają się cztery, pięć samochodów za nami. Są za czerwonym porsche.

— Czy do Southampton można dojechać jakąś inną drogą?

— Tak, przez Hampton Bays. Skręt będzie mniej więcej za trzy kilometry.

— Ile wyciąga ten rolls?

— Jeśli wdepnie się do oporu, pójdzie dwieście czterdzieści.

— To wdepnij. Potem skręć tam, gdzie mówisz. Zaczekajmy w ukryciu. Zobaczymy, co się stanie.

— Ktoś za nami jedzie? — upewniła się Diana. Przyspieszenie wgniotło ją w miękką skórzaną kanapę.

— Być może. Wkrótce się dowiemy. Trzymaj się, będziemy zaraz skręcać z bardzo dużą prędkością... Dobrze, Buster. Przycupnijmy na tym parkingu i zobaczmy, co będzie dalej.

Buster skręcił na parking i schował rolls-royce'a za innymi pojazdami, ale tak, żeby można było obserwować autostradę. Minęło półtorej minuty.

— Nie widać ich - zauważył Buster.

— Czy oni także przyspieszyli?

— Chyba nie. Już by nas minęli. Myślę, że zjechali wcześniej.

— W takim razie się wyjaśniło. Nie mamy się czym martwić.

— Przepraszam, że pana zaniepokoiłem. Wydawało mi się, że...

— Nie musisz mnie przeproszać — przerwał detektyw. — Ostrożność nigdy nie zawadzi. Ruszajmy dalej.

Wkrótce rolls-royce przystanął na światłach, a potem zaczął w żółtym tempie przedzierać się przez pełne ludzi i samochodów miasteczko.

Southampton wyglądało na piękną, senną wioskę, która nagle zmieniła się w miejscowość zamieszkaną przez zamożnych ludzi. Wzdłuż głównej

ulicy rosły drzewa, chodniki wciąż były ceglane. Stojące przy ulicy dawne domy mieszkalne zostały pozamieniane w sklepy i restauracje. Pozostał nawet stary sklep z artykułami metalowymi, sąsiadujący z nowoczesnym domem towarowym, oferującym deski surfingowe i okulary od słońca. W sobotnie popołudnie w środku lata w miasteczku panował wzmożony ruch. Chodniki były pełne spacerowiczów, ludzi niosących zakupy, kobiet w białych strojach do tenisa pchających dziecięce wózki, mężczyzn w kolorowych koszulkach polo firmy Lacoste, z postawionymi kołnierzami. Jezdnia była zapchana pięknymi kabrioletami i dużymi czarnymi range roverami o ciemnych szybach. Przechodzący co chwila przed maską rolls-royce'a ludzie wydawali się opaleni, wyglądali na wysportowanych i bardzo zadowolonych z tego, że przebywają w Sout-hampton. W większości byli też bogaci.

— Co to będzie za przyjęcie? — spytał Ambrose, kiedy limuzyna przystanęła na końcu głównej ulicy, która urywała się nagle, napotykając pełną zielonych drzew cichą przecznicę o czarującej nazwie Gin Lane — Aleja Dżinu. Buster skręcił w prawo i Congreve zobaczył przeświecający pomiędzy liśćmi błękitny ocean. Był bardzo ciekaw położonych nad samym oceanem rezydencji amerykańskich bogaczy, wszystkie jednak zostały ukryte za równiutko przyszczyżonymi żywopłotami sześciometrowej wysokości. - Jeszcze nigdy tu nie byłem. Nie wiem, czego się spodziewać.

Diana ścisnęła go za rękę.

- Zobaczysz, kochany. Przyjęcia Jocka są owiane legendą. O, już wjeżdżamy!

Rolls-royce minął wysoką, bardzo ozdobną bramę. Kiedy była zamknięta, umieszczona na niej wykuta ze stali winorośl układała się w literę B. Żwirowy podjazd, ocieniony rozrośniętymi wiązami, prowadził w stronę oceanu. Bujne kępy liści tworzyły nad pasem żwiru zielony dach. Ambrose opuścił szybę. Poczłł rozkoszną woń świeżo skoszonej trawy i słony zapach oceanu.

Podjazd się rozszerzył. Na niewielkim wzgórku, pośród jaskrawo kwitnących rododendronów, stał dom zwany Stonefield. Przypominał francuski hotel, w którym Ambrose niegdyś dochodził do siebie po postrzale w pośladek. To było w Normandii. Po jednej stronie Stonefield miał

335

wieżyczkę. Starą, ceglana, pokrytą ciemnozielonym bluszczem. Trawnik przed domem podlewały zraszacze. Kropelki wody opadały na zegary słoneczne, ceglane chodniki i czerwieniejące jaskrawymi kwiatami ogrody. Zbudowany z kamienia dom miał cały szereg dwuskrzydłowych drzwi, połyskujących lustrzanymi taflami i złotem. Były pootwierane, żeby do wnętrza docierało świeże powietrze i przyjemne zapachy lata. Przy drzwiach stał na rozstawionych nogach mężczyzna w stroju jeździeckim. Ambrose domyślił się, że to Jock Barker. Kiedy rolls-royce się zatrzymał, mężczyzna zbiegł ze schodków i otworzył drzwiczki od strony Diany, zanim jeszcze Buster zdążył wyłączyć silnik.

— Diana, jak dobrze, że przyjechałaś — odezwał się wysoki, zadbany gospodarz. Był bardzo spocony, pewnie właśnie wrócił ze stajni. Mówił pospiesznie, wysokim głosem, ukazując w miłym uśmiechu piękne zęby, odcinające się bielą od jego opalenizny. -Wyglądasz cudownie -

powiedział, kiedy Diana wysiadła.

— Jak miło z twojej strony, że mnie zaprosiłeś — odpowiedziała Diana, obejmując Jocka za szyję i całując go w policzek. — Poznaj mojego przyjaciela Ambrose'a Congreve'a.

Ambrose wysiadł z samochodu i uścisnął dłoń Barkera.

— Jack Barker - przedstawił się gospodarz. - Mów mi Jock. - Uśmiechnął się miło. - Witam w Stonefield.

— Ambrose Congreve. To prawdziwa przyjemność znaleźć się tutaj. Masz wspaniały samochód, Jock.

— Dzięki. Jest nowiułki. Susan, moja żona, nie cierpi go.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Uważa, że jeżdżąc takim samochodem, afiszujesz się swoją zamożnością.

— A czym powinieneś według niej jeździć'?

— Uważa, że wszyscy naprawdę bogaci ludzie jeżdżą podniszczonymi volvami kombi.

— W takim razie na naprawdę bogatego wyglądałbyś, jeżdżąc podniszczonym volvem kombi. Barker się roześmiał.

— Chyba będziemy się z Ambrose'em rozumieć — powiedział do Diany. Chodźcie do środka i przywitajcie się ze wszystkimi. Właśnie podają lunch, na plaży. Potem będziemy pływać.

336

— Pływać? — upewnił się Congreve nieco niepewnym głosem. — W oceanie?

— Nie jest to obowiązkowe — uspokoiła go Diana.

— O co chodzi? — zainteresował się Jock.

— Och, o nic. Po prostu pływanie nie jest ulubionym zajęciem Ambrose'a
— wyjaśniła Diana. — Ma uczulenie na wodę.

Z ciepłej nawet po zachodzie słońca plaży dom wyglądał tak, jakby stał w ogniu. Był cały skąpany w świetle, białe reflektory oświetlały jego okna i liczne ukośne daszki. Ponad kompleksem basenów tańczyły różnokolorowe światła, zaś miliony malutkich, białych, mrugały wesoło na wszystkich dochodzących niemal do samej wody drzewach.

W czterech rogach trawnika były umieszczone potężne reflektory, takie jak te, które oświetlają z zewnątrz centra handlowe. Świeciły prosto w górę, tworząc słupy białego światła. Ponad trawnikiem unosił się chór głosów. Słowa ginęły w górze, pod mrugającymi z wysoka gwiazdami. Upojny gwar, letnia opera komiczna zdawkowych rozmów, nie mógł obyć się bez szampana. Przedstawiano sobie ludzi, którzy natychmiast zapominali imiona rozmówców. Grała orkiestra Boba Hardwicka, specjalnie sprowadzona na to przyjęcie.

Jedynym, co mogło odwrócić uwagę gości od wspaniałego przyjęcia, był różowozłoty księżyc, wokół którego srebrzyło się halo.

— Widzę go — odezwał się jeden z kelnerów, poprawiając na nosie ciemne okulary. — A ona weszła do domu.

Wysoki kelner w białej marynarce, który przed przyjęciem ufarbował na czarno swoje kręcone blond włosy, przystanął obok piaszczystej wydmy i zapalił papierosa. Uśmiechnął się lekko. Długo czekał na tę noc.

Nadzwyczaj długo.

— W każdym razie myślę, że nadejdą - powiedział do stojącej w cieniu kobiety.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — obruszył się. — Usłyszałem, jak mówił jej, żeby zabrała szal. Wybierają się na mały spacer po plaży. śledzę ich bez przerwy. I jak dotąd nie dałem się zdemaskować.

— Nie mogę stać tu przez całą noc, do kurwy nędzy — zakłęła kobieta, ubrana w letni, czarny płaszcz przeciwdeszczowy. Zaciskała zęby, aby nie

337

szczękały z zimna. Nawet latem ocean chłodził powietrze, które napływało nad ląd wraz z wieczorną bryzą.

— Chcesz? — mruknął kelner, unosząc dłoń i omal nie uderzając swojej towarzyszki.

— Nie. Już z tym skończyłam.

— Nie okłamuj mnie. Zobacz, idą. - Kelner rzucił niedopałek i wdeptał go w piasek.

— To na pewno oni?

— Tak. Udanego polowania.

Kelner podbiegł między wydrami, kierując się z powrotem w stronę gości. Uważał, żeby nie zobaczyła go szczęśliwa para, trzymająca się za ręce, idąca przez plażę ku nisko zawieszonemu księżycowi.

Rozdział 50

Masira, Oman

Los sprzyjał Hawke'owi - przynajmniej na razie. Niebo było całkowicie czarne, bez księżyca i gwiazd. Wiatr ustał, więc morze było spokojne.

Jednym słowem, panowały idealne warunki do przeprowadzenia operacji specjalnej. Alex bał się powiedzieć to na głos, żeby nie zapeszyć. „Bruce” sunął cichutko naprzód pięć metrów pod powierzchnią wody. Hawke miał nadzieję, że w tych warunkach jego okręcik jest niewidoczny dla

celowniczych karabinów maszynowych na wieżach.

— Maszyna stop — rzucił Alex, zerkając na nawigatora.

— Maszyna stop — powtórzył Stoke.

Siedzieli obok siebie w osobnych, ciasnych, zalanych wodą przedziałach na dziobie. Rozmawiali za pośrednictwem systemu łączności wewnętrznej, byli też podłączeni przewodami do zbiorników ze sprężonym powietrzem okręciku. Bez trudu oddychali i byli w stanie rozmawiać. Jones przesunął dźwignie przepustnic w pozycję neutralną i okręciak zwolnił, a potem się zatrzymał. Nie było słycać żadnego dźwięku.

System balastowania utrzymywał „Bruce'a” -w wodzie na żądanej głębokości. Widoczność była bliska zeru. Hawke widział tylko czterokolorowy wyświetlacz GPS, dzięki któremu mógł ustalić, gdzie się znajdują. Płynęli w dobrym tempie — osiągnęli przylądek Arras zgodnie z planem.

Elektryczne silniki okręciku były zasilane z akumulatorów srebrowo-cynkowych. Napęd został specjalnie wytłumiony. „Bruce'a” były w stanie usłyszeć tylko najnowocześniejsze, najczulsze systemy nasłuchu podwodnego. Wykrycie znajdującego się trzysta metrów od brzegu okręciku, którego silniki pracowały na biegu jałowym, było chyba niemożliwe.

— Przejmij ster — powiedział Alex, puszczając dżojstik, którym sterowało się okręcikiem.

— Przejąłem ster — zakomunikował Stokely.

Hawke przygotował się do opuszczenia stanowiska sternika. Według ustaleń miał teraz samotnie opuścić okręciak i przepłynąć ostatnie trzysta metrów dzielące go od nabrzeży u stóp twierdzy. Odłączył się od

pokładowego systemu zasilania powietrzem i uruchomił akwalung firmy Draeger, model LAR-Y

Otworzył mały właz, wydostał się na zewnątrz okręciku i energicznie odepchnął się odeń nogami. Zaczął powoli poruszać płetwami. Przed zniknięciem z oczu Stoke'a dał mu znak — pokazał kciuk i palec wskazujący, zataczając nimi koło. Stokely odpowiedział mu uniesionymi kciukami. Alex odpłynął. Miał sprawdzić, czy przy nabrzeżu nie czekają na „Bruce'a” żadne przykre niespodzianki.

Po otrzymaniu sygnału, że wszystko w porządku, Stokely podprowadzi okręcik bezpośrednio do wylotu tunelu. Na pulpicie przed sobą miał cały zestaw skomplikowanych przyrządów, w tym dopplerowski sonar nawigacyjny, którego ekran pokazywał prędkość, odległość do celu, kurs i inne potrzebne dane. System zbiorników balastowych kontrolował położenie i stateczność pojazdu. Był też dżojstik sprzężony ze sterami kierunku i głębokości. Żadnych zbędnych rzeczy - tak właśnie powinny być projektowane wszelkie pojazdy wojskowe.

Nieduża, podwodna bestia miała jednak i ostre rekinie zęby, namalowane na dziobie przez chłopców z bazy marynarki w Little Greek, w stanie Wirginia. Zdaniem Jonesa wyraźnie mieli oni za dużo wolnego

339

czasu. Musiał jednak przyznać, że uśmiech rekina przydawał „Bruce'owi” groźnego wyglądu.

Jak gdyby okręcik wołał: „Nie zaczynajcie ze mną, bo gryzę”.

Hawke szybko przepłynął trzysta metrów. Nic się nie wydarzyło. Wynurzył się pod mołem, wyciągając berettę kaliber 9 i omiatając przestrzeń. Pistolet był gotów do strzału.

Cisza Żadnego alarmu, żadnych rozkazów ani odgłosów ludzi biegnących w górze po stalowym pomoście. Słysząc było tylko cichy chlupot wody omywającej drewniane pale. Alex opuścił umocowane do hełmu okulary noktowizyjne i szybko odnalazł trzy kreski, które naciął nożem na oblepionym pąklami palu.

Przyjrzał się śladom wody na palach Już dawno zaczął się odpływ. Jeśli uda się trzymać zaplanowanego rozkładu operacji, wylot tunelu będzie w pełni odsłonięty, kiedy „Bruce” z dużą prędkością wypłynie zeń z powrotem w morze

Będzie holował za sobą pontony z uwolnionymi zakładnikami. Hawke wpadł na ten pomysł pierwszego dnia, obserwując szereg białych pontonów, ciągniętych przez kuter rybacki Widok ten przypomniał mu ulubioną książeczkę z czasów dzieciństwa, zatytułowaną Ustąpcie drogi kacuszkom Matka przywiozła mu ją jako prezent z Ameryki Jednak płynące w szeregu małe kacuszki są o tyle kłopotliwe z wojskowego punktu widzenia, że stanowią bardzo łatwy cel.

Lecz jeśli wszystko pójdzie dobrze, czekaemy z wież nawet się nie odezwą, a same wieże zostaną zamienione w stosy gruzów, dzięki ładunkom, które miał założyć Wódz, czyli Charlie Ramwater Wyjście z twierdzy przez bramę będzie zablokowane — jedyną drogą na zewnątrz stanie się tunel. Mogło się udać.

Molo, pod którym unosił się na wodzie Alex, także przestanie istnieć. Wyciągnął rękę i przyczepił od spodu pomostu zestaw MK-V Limpet, zawierający pięćdziesiąt kilogramów materiałów wybuchowych Nastawił mechanizm zegarowy na trzecią trzydzieści Przeprowadzający operację mieli już wówczas znajdować się daleko na morzu

Tak przewidywał plan

Hawke zanurzył się ponownie i odnalazł wzrokiem fioletowy wskaźnik laserowy na dziobie „Bruce'a”. Sam dysponował podobnym, w formie małej, osłoniętej gumą latarki. Przesłał trzy krótkie sygnały, co oznaczało, że wszystko w porządku. Z okręciku także odpowiedziano mu trzema krótkimi sygnałami. Znaczyło to, że Stokely odebrał wiadomość i ruszył w stronę Aleksa

Najbliższym trudnym zadaniem będzie manewrowanie w tunelu okręcikiem, płynącym z prędkością jednego węzła rufą do przodu. Trzeba będzie płynąć tak aż do prochowni. Ustalono, że od tej pory pojazdem będzie sterował Jones, który w Little Greek uczył się obsługi sprzętu podwodnego, w tym też prowadzenia prototypu okręciku, oznaczonego jako MarkYII, oraz nowszych, większych wersji. Pojazdem można było sterować także z umieszczonego po lewej burcie miejsca nawigatora.

Jones będzie prowadził „Bruce'a” z minimalną prędkością, a Hawke złapie się relingu przy rufie pojazdu i pozostając na zewnątrz, będzie odpychał się od ścian tunelu, pomagając Jonesowi. Odgłos metalu trącego o beton mógłby okazać się dla nich brzemienne w skutkach. Podobnie jak uszkodzenie śrub albo sterów.

— Czy jest tam coś ekscytującego? — odezwał się w słuchawkach Aleksa głos Jonesa. „Bruce” znieruchomiał właśnie trzy metry pod powierzchnią wody i pięć od wciąż zanurzonego wylotu tunelu. Hawke podpłynął do okręciku i złapał się biegnącego wzdłuż całej jego długości relingu.

— Nie — odpowiedział. — Obróćmy tę bestię.

— Uwaga na jej szczęki — odparł podekscytowany Stoke.

Przełączył lewą śrubę na bieg wsteczny i przesunął dźwignię prawej

przepustnicy na pół naprzód. Dziób z namalowanymi zębami skręcił w lewo. Hawke zaczął energicznie pracować płetwami, pomagając obrócić pojazd. Po pięciu minutach ciężkiej pracy udało im się prawidłowo ustawić „Bruce'a” tuż przy wylocie tunelu, rufą do niego. Nieoczekiwani goście twierdzy pukali do bram

Alex spojrział na zegarek. Za niecałe dwadzieścia minut mieli się spotkać z resztą drużyny

Na powierzchni wody także wszystko przebiegało mniej więcej według planu Hawke'a i McCoya. Nikt nie wypadł za burtę, wróg na razie nie strzelał. Fitz McCoy, jako doświadczony antyterrorysta, uważał, że to nadzwyczaj niebezpieczna sytuacja. Przeczował, że wkrótce zdarzy się

341

coś, co będzie oznaczało pożegnanie się z planem i jedną wielką katastrofę.

Hawke i Jones pewnie wprowadzili już okręcik do tunelu. Za dwadzieścia dwie minuty wszyscy mieli spotkać się w dużym magazynie amunicyjnym tuż za bramą fortecy. Kamienne schody prowadziły z magazynu w dół do starej prochowni i podmorskiego tunelu. Kiedy Alex przycumuje „Bruce'a”, musi wejść nimi na górę. Jeśli wplynięcie miniaturowego okrętu podwodnego tunelem do twierdzy uruchomi alarm, napotka tam opór. Był to najsłabszy punkt planu, ale nie dało się go uniknąć.

Fitz stał na dziobie jak na razie dobrze spisującego się „Obaidallaha”, przyodziany w arabskie szaty. Oparł ręce na biodrach i rozglądał się uważnie wokoło. Zardzewiały statek powoli zbliżał się do nabrzeża u stóp twierdzy Mahoud. McCoy czuł na sobie spojrzenia wielu par oczu, wyobrażał sobie, jak celują w niego z cekaemów na wieżach.

Stary frachtowiec płynął z minimalną prędkością, sącząc smrodliwy dym z komina. Zapalono jedynie światła pozycyjne i nawigacyjne. Czerwonawa poświata pozwalała dostrzec stojącego za sterem Abu, którego dokerzy z Masiry dobrze znali. Fitz był przekonany, że dla postronnego obserwatora statek zaopatrzeniowy wyglądał tej nocy tak samo jak każdego innego tygodnia.

Na nabrzeżu widać było dwóch dokerów. Jeden z nich oparł się swobodnie o pacholek, paląc papierosa. Wyglądali tak, jak powinni - rozluźnieni, źli, że muszą pracować w nocy. Obaj przygotowali cumy. W ich postawie, ruchach ani spojrzeniach nie było nic, co mogłoby zaniepokoić McCoy'a. Dochodziła druga trzydzieści.

Przystań była pogrążona w ciemności, jeśli nie liczyć słabych, żółtawych latarni na obu końcach nabrzeża. Przy mostku nie cumowała żadna jednostka pływająca. Francuski kuter patrolowy zgodnie z przewidywaniami wypłynął przed piętnastoma minutami. McCoy znowu spojrzął na zegarek. Kuter pojawi się znowu za mniej więcej czterdzieści pięć minut. Być może starczy czasu na uwolnienie zakładników.

Fitz obserwował wszystko uważnie. Ludzie z cumami zostali zapewne niedawno wyciągnięci z łóżek. Mogą być zaspani i rozdrażnieni, to wszystko. Taką przynajmniej McCoy miał nadzieję.

Stojący na rufie Ahmed Badur uniósł prawą rękę w geście powitania.

Zawołał coś po arabsku do jednego z dokerów, podczas gdy „Obaidallah”

342

dobił do brzegu. Arab z dołu rzucił mu linę i Ahmed umocował ją do knagi na rufie.

Drugą linę rzucono na wysokości śródkręcia. Zajął się nią Abu, który

wyszedł ze sterówki. Wyłączono maszynę.

Ahmed zeskoczył zwinnie na nabrzeże i po krótkiej wymianie zdań posłał jednego z arabskich dokerów po ręczne wózki. Zajął rozmową drugiego. Zadaniem Ahmeda było nawiązywanie kontaktów ze wszelkimi napotkanymi Omańczykami. Bez jego pomocy operacja nie mogłaby się powieść.

McCoy pozostawał na dziobie, kontrolując czas. Ukradkowo sprawdził schowaną pod arabskimi szatami broń. Miał w pogotowiu pistolet maszynowy heckler & koch MP5 oraz schowany w skórzanej pochwie nóż firmy Fairbairn-Sykes, zaprojektowany przez dwóch brytyjskich oficerów, doświadczonych w walce wręcz z szanghajską policją. Miał ułatwić przebijanie najważniejszych organów przeciwnika. Używali go powszechnie komandosi w czasie II wojny światowej. McCoy dotknął rękojeści zabezpieczonej miękką od wielokrotnego odpinania i zapinania skórka.

Popatrzył w stronę rufy. Abu i Harry otworzyli ciężką pokrywę rufowej ładowni i zaczęli wyciągać podawane przez znajdujących się w niej mężczyzn jutowe worki. Było na nich napisane CUKIER albo RYZ. W niektórych naprawdę był cukier. Inne zawierały jednak ładunki wybuchowe i taśmy z dziewięćmilimetrową amunicją. Dokerzy pod nadzorem Ahmeda ładowali to na wózki.

Nagle z cienia sterówki wyszedł Rainwater. Podeszedł do Fitz'a. Ciemnooki, smagły Wódz wyglądał na pirata z ilustrowanej książeczki dla dzieci. Brakowało mu tylko mosiężnych kolczyków i błyszczącej, zakrzywionej szabli.

— Chyba wszystko w porządku — szepnął.

— Tak sądzisz? - upewnił się McCoy.

— Widzisz tych facetów na wieżach?

— Czy widzę? Czuję na szyi ich oddechy. Nie podnoś wzroku.

— Mam dobrą wiadomość. Zauważyłeś, że na szczytach wież są platformy obserwacyjne? Zaslaniają podstawy wież, więc strażnicy nie będą mogli zobaczyć, jak zakładam pod nimi ładunki. Chyba że któremuś przyszłoby do głowy wychylić się za barierkę.

343

- Pomyślałem o tym. Miałem nadzieję, że się ucieszysz. Nie ma to jak odrobina prywatności podczas pracy.

- Jestem gotów, Fitz. Nadeszła już chyba odpowiednia pora. Zarzucę sobie na ramię worek słodkiego semteksu i obojętnym krokiem podejść do wież. W ciągu niecałych pięciu minut powinienem zaminować obie.

- Zgadza się w całej rozciągłości, Wodzu. Ruszaj do akcji.

Nagła zmiana planów nie była czymś niezwykłym w świecie, w jakim działał McCoy. Żołnierze Gromu i Błyskawicy właśnie dlatego jeszcze żyli i unieszkodliwiali terrorystów na całym globie, że nie bali się w jednej chwili porzucać choćby najlepiej opracowanych planów. Rainwater skierował się na rufę, uważając, żeby przejść koło sterówki niespiesznym krokiem zaspanego człowieka. Wprawdzie zaplanowano wysadzenie wież dopiero przed samym opuszczeniem twierdzy, jednak warto było podłożyć ładunki teraz, kiedy panował spokój.

Fitz także poszedł na rufę, aby sprawdzić, co z Żabą. Żaba i jego ludzie byli zajęci rozładowywaniem przywiezionego sprzętu. Teraz wyciągali drewniane skrzynie z bronią maszynową. Żaba — przysadzisty, waleczny weteran Legii Cudzoziemskiej, współpracował z McCoyem od początku

istnienia jego jednostki. Był jednym z jej założycieli. Żaba, jego kolega zwany Wielkim Bandinim, Abu i Ali wynosili skrzynie na nabrzeże, skąd zabierano je do twierdzy.

- Żabko? — odezwał się cicho Fitz.

- To już ostatnie skrzynie, szefie. Wyprowadzić chłopców spod pokładu?

- Jeszcze nie.

McCoy ukradkiem zerknął na wieże i rozejrzał się po nabrzeżu. Ośmiu komandosów w arabskich szatach czekało na sygnał wyjścia z dusznej ładowni. Każdy skinął nieznacznie głową Fitzowi, gdy przyglądał się im bacznie. Chłopcy byli gotowi, jak zawsze. Coś jednak zaniepokoiło McCoya. Brakowało jednego człowieka.

- Gdzie jest Ahmed? - spytał Fitz. - Jeszcze przed chwilą stał tam, na nabrzeżu.

- Poszli z Harrym i jednym z dokerów do twierdzy, żeby otwarto bramę i magazyn — wyjaśnił Żaba..

- A niech go! - przeraził się McCoy. - Przecież mieli tu zostać.

Nadzorować wyładunek. Czuwać na wszelki wypadek przy statku.

344

— Ahmed i Harry rozmawiali o czymś z dokerami po arabsku — powiadomił Żaba. - Może mają jakiś problem.

— Brock nie zna arabskiego.

— Przed chwilą znał.

— Strzała? — odezwał się Fitz do mikrofonu. — Gdzie jesteś, Wodzu?

— Pod północną wieżą. Właśnie ją zaminowałem, tak jak wcześniej południową. Brama twierdzy jest szeroko otwarta. Francuzów nie widać.

Wracam na statek po Żabę i resztę towarzystwa.

— Zaczekaj, zostań tam, gdzie jesteś. Przyjdziemy do ciebie. Czy jest z tobą Ahmed?

— Nie. Ahmed wszedł do twierdzy. Powiedział, że idą z Brockiem do magazynu, a potem spotkać się z Hawkiem.

— Kurwa mać! Dobra. Za minutę jesteśmy koło ciebie. Miej oczy szeroko otwarte. Nie podoba mi się to.

— Tak jest, szefie. Chwileczkę, chyba słyszę...

W tym momencie z wnętrza twierdzy doleciał terkot broni maszynowej .

Nagle zapaliły się wszystkie latarnie i zaczęły wyć alarmy.

Zacząła się prawdziwa jatka. Przemysłnie zaplanowana operacja zmieniała się w rzeź.

Fitz McCoy zbyt późno zorientował się, że miał na pokładzie swojego statku zdrajcę. Ale kto nim był? W tej chwili jednak, gdyby przyszło mu się zakładać, postawiłby duże pieniądze na Harry'ego Brocka. Hawke mówił, że Brock spędził trzy miesiące w chińskim więzieniu. A tam przez trzy miesiące potrafią przeprogramować mózg człowieka.

Rozdział 51

Southampton, stan Nowy Jork

To było bardzo niegrzeczne! - powiedziała Diana, biorąc Ambrose'a za rękę, a drugą podnosząc do ust kolejny kieliszek szampana. Trzeci albo czwarty. Tego rodzaju wielkie imprezy są pełne hałasu i blichtru,

345

ale też stwarzają okazję do intymności — ponieważ Ambrose nie znał tu nikogo, mógł cały czas przebywać sam na sam z Dianą. Dwie bestroskie dusze, oddzielone niewidzialną barierą od zmieniających rozmówców gości, zamknięte w prywatnej przestrzeni, którą same dla siebie nawzajem

stworzyły.

- Co było bardzo niegrzeczne? — zainteresował się Congreve, prowadząc Dianę ku wydmom. — Uważaj, sporo tu połamanych desek.

Zeszli z drewnianego mola i znaleźli się na schodkach prowadzących na samą plażę. Mijali wydmy upstrzone kępami traw. W dole szumiało łagodnie morze. Jego odgłos przynosił ulgę uszom, w których dźwięczała jeszcze zbyt głośna muzyka.

- Ten kelner, który podawał nam szampana - odpowiedziała Diana.

-Zachował się bezczelnie. Musiałeś go zauważyć. Jest podobny do tego wspaniałego brytyjskiego aktora... Jak on się nazywa...

- Jak on się nazywa? - powtórzył Ambrose. W świetle księżyca Diana wyglądała tak cudownie, miała tak bielutką skórę... W szmaragdowej, satynowej sukience z głęboko wciętych dekoltem, w diamentowym naszyjniku, wyglądała nadzwyczaj ponętnie.

- Nie żartuj sobie — obruszyła się. — Dobrze wiesz, o kim mówię. Michael Caine. Ten kelner jest podobny do Michaela Caine'a.

-Tak?

- Widziałeś go? Mówię o kelnerze. Ma czarne okulary.

- Nie.

- Mrugnął do mnie. Widocznie musiałeś w tym czasie patrzeć na jakąś inną kobietę. Mrugnął do mnie i powiedział coś ordynarnego. Chyba „bzyk”, czy coś w tym rodzaju. To ordynarne, prawda?

- „Bzyk”?

- Nie jestem pewna. Nie słyszałam dobrze z powodu tego hałasu. „Bzyk” czy „bzyk-bzyk”.

- To rzeczywiście ordynarne, Diano. I denerwujące, biorąc pod uwagę

sytuację, w jakiej się znajdujemy. Gdzie jest ten kelner? Muszę zamienić z nim słowo.

- Och, nie warto. Nie chcę wywoływać zamieszania. Chciałam pospacerować z tobą po plaży i powpatrywać się w gwiazdy. Popatrzeć na księżyc. Jest taka piękna noc! Magiczna. Zapomnijmy o niegrzecznym kelnerze.

346

- Jak wolisz, Diano. Ale pokaż mi go, proszę, kiedy wrócimy. Wspomnę o tym incydencie Jockowi. Z pewnością nie uzna zachowania kelnera za zabawne. Ani trochę.

- Nie dąsaj się już. Chodź. Kto pierwszy dobiegnie do wody? Założę się, że cię przegonię. Na dole jest coś, co chciałabym ci pokazać. No ruszaj, już!

- Diano, nie...

Diana zrzuciła jednak buty, uniosła suknię i pobiegła naprzód, znikając po chwili za wydmami. Ambrose nie był miłośnikiem chodzenia po piasku, a tym bardziej biegania po nim. Mimo to usiadł, zaczął rozwiązywać sznurowadła i podwijać nogawki.

- No chodź! - zawołała Diana. - Musisz zobaczyć, jak pięknie wygląda stąd księżyc!

- Idę tak szybko, jak mogę - odpowiedział Ambrose, otrzepując spodnie. Cóż to za atrakcja? Że też ludzie tłoczą się tak na plażach jak zwierzęta stadne.

- Ambrose, co ty tam robisz?

Kiedy Congreve dotarł do Diany, szła bosą przez wodę, zwrócona twarzą ku księżycowi. Jej włosy opadały błyszczącymi wstęgami na białe

ramiona. Ambrose położył rękę na ramieniu Diany.

- Och! Wystraszyłeś mnie. Nie usłyszałam, jak szedłeś.

- Potrafię się skradać - zażartował Congreve.

- Ambrose, spójrz, czyż to nie piękne? Fale, księżyc odbijający się w wodzie. Tak się cieszę, że tu ze mną przyjechałeś.

- Ja również.

- Czy mógłbyś mnie objąć? Od tak dawna nikt nie obejmował mnie w świetle księżycy!

- Hm, muszę powiedzieć... —Ambrose umilkł.

- Czujesz się onieśmielony, kochanie?

- Nie, nie. Chciałem tylko powiedzieć, że... Szczerze mówiąc, ja także od bardzo dawna nikogo nie obejmowałem.

- W takim razie zrobimy to ostrożnie. Krok po kroku. Oprzyj dłonie na moich plecach.

- Tak? - upewnił się Ambrose.

- Właśnie tak. Doskonale. Może tylko zbliż się do mnie bardziej.

347

— Mówiłaś, że chcesz mi coś pokazać...

— Cśś. Patrz. Teraz podnoszę głowę...

— Muszę ci powiedzieć, Diany, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem. Po prostu...

— Bądź cicho.

— Przepraszam.

— Ambrose?

— Słucham.

— Już czas.

— Och...

— Odważ się.

— Dobrze.

— Zrób to.

Ambrose odważył się i pocałował Dianę. Zamierzał pocałować ją krótko, jednak jego usta zaczęły chyba żyć własnym życiem. Ambrose nie czuł już nic innego, o niczym innym nie myślał, jak tylko o jej gorących ustach. Opuścił powoli dłoń i dotknął jej krągłego biodra. Całował coraz mocniej, a ona rozchyliła usta i dotknęła jego ust językiem. Wtedy i on rozchylił swoje...

Później nie był w stanie powiedzieć, ile czasu trwał ów pierwszy pocałunek. Zapamiętał natomiast doskonale, co wtedy czuł, i to, że pocałunek napełnił go nadzieją. Oraz to, że bardzo niewiele brakowało, aby był to ostatni pocałunek w jego życiu.

— Czuję się po prostu niezwykle...

— Ja również.

— Tak?

— A więc o to tak naprawdę chodzi?

— Uważam, że powinniśmy to robić znacznie częściej.

Tulili się do siebie, szepcząc z podniecenia, czując nawzajem swój dotyk, a potem ruszyli przez mokry piasek, spoglądając na srebrzyste odbicie księżyca w nadbiegających i uciekających spienionych falach.

— Co to było? — spytała nagle Diana, ściskając Ambrose'a za rękę.

— Co takiego?

— Widziałam jakichś ludzi. Tam. Schowali się w tej kępie traw na wydmie.

Congreve popatrzył we wskazanym kierunku. Zobaczył samotną postać — kobietę w czarnym płaszczu. Pojawiła się na czubku wydmy i ruszyła w ich stronę. Szła szybkim krokiem, zachowując dziwne milczenie.

— Hej! — zawołał Ambrose, ale kobieta nie odpowiedziała.

Wtedy zobaczył, że nieznajoma podnosi rękę i już wiedział to, co powinien był przewidzieć wcześniej. Kobieta trzymała broń. Bez wątplenia zamierzała ich zabić. Tu, na plaży, w romantycznym świetle księżyca.

Najpierw strzeliła do Diany. Diana krzyknęła i upadła na piasek. Ambrose był przekonany, że teraz morderczyni strzeli do niego, ale nie — podbiegła do Diany, wzbijając tuman piasku; cały czas trzymała w wyciągniętej ręce niewielki pistolet. Zamierzała drugi raz strzelić do Diany z bezpośredniej odległości! Dobić nieruchomą, całkowicie bezbronną Dianę!

Ambrose skoczył. Pomyślał, że nie uda mu się złapać pistoletu, więc runął ciężko na Dianę, osłaniając ją. Napiął się, czekając na uderzenia kul, na straszliwy ból w plecach, ramieniu czy nodze. Już był kiedyś ranny i wiedział, jakie to uczucie.

Pierwsza kula trafiła go w ramię, odbiła się od kości i przeszła klatkę piersiową. Morderczyni musiała zachwiać się na piasku, ponieważ drugi strzał był niecelny. Kula gwizdnęła koło ucha Congreve'a i utknęła w piachu. Ambrose nie miał wątpliwości, że następna trafi go w głowę.

Napastniczka stała tak blisko, że mogła zabić ich oboje tą samą kulą. Tak blisko, że...

Ambrose kopnął na oślep. Nie wierzył, że to wiele pomoże, ale wiedział, że inaczej zginie. Okazało się, że trafił morderczynię w kolano,

uszkadzając jej staw. Krzyknęła i padła na piasek.

Pamiętał, że później stoczył się z Dianą i sięgnął po broń napastniczki, gdy próbowała wstać. Nie wypuściła z ręki pistoletu, który zagrzebał się częściowo w piasek. Ambrose, mimo że czarno robiło mu się w oczach, zdołał wyszarpać kobiecie pistolet. Zawarczała jak zwierzę i wtedy zobaczył jej twarz. Rozpoznał ją. Widział ją na zdjęciach w mieszkaniu Henry'ego. Oczywiście! To była Bianca Moon, Chińska Lalka.

— Nie ruszaj się! — wychrypiał, mierząc niepewnie w Chinę.

— Strzeli pan do nieuzbrojonej kobiety? Nie wierzę, panie inspektorze.

349

1

Z tymi słowami Bianca podniosła się, trzymając się za uszkodzone kolano. Ambrose widział, że morderczyni zastanawia się nad następnym ruchem. Próbowwała ocenić, czy ranny detektyw poradzi sobie z pistoletem. Diana jęknęła. Congreve postanowił nie opuszczać pistoletu, choćby miał przez to umrzeć.

W tym momencie niebo rozbłysło kolorami.

Race z gwizdem wlatywały na sto metrów w górę, opadając po łukowatych torach i eksplodując. Nad oceanem wykwitły wielkie niebieskie i złote świetliste kule, które zmieniały się w srebrzysty deszcz. Na wydmie pojawiły się sylwetki Jocka i Susan, i jeszcze chyba ze stu gości, którzy nadeszli właśnie, wydając chóralne okrzyki podziwu. Bianca Moon zniknęła.

— Pomocy! — zawołał Ambrose słabym głosem. — Tutaj!

Opadł z sił i runął na piasek koło Diany. Objął jej głowę. Patrzyli teraz oboje na niebo. Pierwszy dobiegł do nich Jock, zobaczywszy w świetle

jednego z rozbłysków dwie leżące bezwładnie postaci i trzecią, uciekającą. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na Dianę i Ambrose'a. Natychmiast zaczął energicznie wydawać rozkazy najbliższym stojącym gościom.

- Patrz, kochanie - szepnął Ambrose do Diany. - Chińskie sztuczne ognie.
—A potem stracił przytomność.

Rozdział 52

Masira, Oman

Wokół Fitz'a, który wciąż stał na pokładzie „Obaidallaha”, świszczwały kule. Uderzyły w statek, kiedy pierwszy z żołnierzy wybiegł na pokład. Dwa ciężkie karabiny maszynowe sypały z wieży śmiertelnościami. Z ludzi obecnych na pokładzie zdołał przeżyć Bandini, Włoch, ukrył się w sterówce. Waleczny, drobny Gurkha o imieniu Sim, który wybiegł za Bandinim z ładowni, został trafiony w głowę i runął z powrotem pod pokład. Powstrzymało to pozostałych przed wybiegnięciem na górę. McCoy odwrócił się na pięcie. Dlaczego, do cholery, Wódz nie wysadza wież?! Przecież strzelają do nas z cekaemów! Nie udało się zaskoczyć załogi twierdzy.

- Strzała, słyszysz mnie?! - krzyknął do mikrofonu. -Wysadzaj wieżę! Co się tam dzieje?

Nie usłyszał odpowiedzi.

McCoy tkwił na rufie, kryjąc się za stalową pokrywą ładowni. Zostali zaskoczeni i nie ulegało wątpliwości, że właśnie dostawali baty. Od dzwoniącej głucho jak pęknięty dzwon pokrywy odbijały się głośno kule. Z wieży musiały strzelać przynajmniej dwa cekaemy, a może nawet trzy. Z tej bliższej dzięki Bogu nie strzelano, ponieważ nie widziano z niej dobrze statku.

W połowie wysokości południowej wieży były zamontowane trzy potężne reflektory, które oświetlały jasno trawler.

- Żaba, gdzie jesteś? - huknął do mikrofonu McCoy.

— W sterówce, szefie. Jest tu ze mną Bandini. Postanowiliśmy przeczekać burzę pod osłoną dachu.

- Słuchaj, Żaba. Po pierwsze, nie jestem w stanie wywołać Strzały. Coś mu się stało, bo inaczej wysadziłby już wieże. Być może został zabity. Po drugie, zostaliśmy przygwożdżeni do statku i obrywamy. Czy jesteś w stanie rozwalić te pieprzone reflektory? Widać nas tu jak za dnia!

— Mais oui... Mogę to zrobić, jeśli tylko zdołam przedostać się na dziób.

— To ruszaj na dziób! Kryj się za nadbudówką.

- Idę!

— Widzę cię. Bandini, wyjdź na dach sterówki z granatnikiem. Słyszysz? Rozpieprz te przekłete cekaemy, kiedy tylko Żaba pogasi im reflektory. Słyszałeś?

- Va bene, va bene! - odpowiedział Bandini.

— Dam radę, mon capitain! — zawołał Żaba.

Nie tracił czasu. Zrzucił arabską szatę, która nie mogła mu się już przydać, i skoczył, skulony, na dziób, ściągając na siebie ogień. Wokół niego opadały na pokład przestrzelone liny, tak gęsto śmigały kule. Bandini, przykucnięty w cieniu za kołem sterowym, składał tymczasem granatnik. Fitz wyskoczył na moment zza pokrywy ładowni i wypuścił długą serię z MP5 prosto w wierzchołek wieży. Trafił w nią. Wystarczyło to, aby dezorientować na chwilę strzelających z cekaemów. Żaba wykorzystał ten moment, wstał, wycelował starannie i trzema strzałami zgasił kolejno wszystkie reflektory oświetlające „Obaidallaha”.

Brzęk! Brzęk! Brzęk!

Z reflektorów posypało się szkło. Nie na darmo wymierzył w nie jeden z najlepszych strzelców wyborowych na kuli ziemskiej. Teraz przyszła kolej na Bandiniego. Wielki Bandini wyznawał bardzo prostą teorię, która jego zdaniem mogłaby przynieść rozwiązanie wszelkich bolączek świata, począwszy od wystygłych posiłków, poprzez nieznośne rządy, aż po pozbawionych dobrych manier partyzantów. „Atomem w nich!” — mawiał.

— Bandini! — zawołał Fitz, wychodząc z za pokrywy ładowni, z bronią przełączoną na ogień ciągły. — Do roboty!

Włoch wspiał się po pustych skrzyniach na dach sterówki. Oparł na ramieniu granatnik, napiął się. Stanowił teraz łatwy cel, ale Żaba, strzelający z dziobu, i McCoy — z rufy, osłaniali go. Smugowe pociski mknęły ku wierzchołkowi wieży. Nagła utrata oświetlenia i silny ostrzał przedłużyły dezorientację obsługi cekaemów.

Od strony sterówki rozległ się syk i ze stalowej rury wyleciał jęzor ognia. Smuga białego dymu pomknęła w stronę południowej wieży. Jej załoga musiała zobaczyć nadlatujący pocisk, gdyż rozległy się krzyki, a potem wierzchołek wieży rozbłysnął kulą ognia. Chwilę później zaczęła wybuchać amunicja do cekaemów - iskrzące się płomienie wzlatywały wysoko w górę.

— Do ataku! — zawołał donośnie McCoy i jego ludzie wypadli z ładowni na pokład statku. Kiedy tylko rozpoczęła się strzelanina, pozbyli się białych szat. Teraz, gdy było widać ich keklarowe kamizelki, hełmy i różną broń, nikt nie mógł mieć wątpliwości, kim są — a byli najgroźniejszą na świecie jednostką do uwalniania zakładników.

Nadszedł czas wybrać się do twierdzy i narobić tam bigosu.

Chwilę wcześniej Hawke i Jones byli jeszcze w tunelu.

— Jak jest po arabsku „o cholera”? - spytał Stokely, stojąc u szczytu schodów. „Bruce” unosił się na powierzchni wody, szczerząc rekinie zęby w stronę drogi na zewnątrz. Udało się go wprowadzić aż tutaj bez większych kolizji. Alex nadmuchał pięć pontonów, które pływały teraz za okręcikiem, umocowane za nim w szeregu. Każdy ponton miał pomieścić siedem dorosłych osób. Trzeba było jakimś sposobem sprowadzić tu bezpiecznie kobiety i dzieci. Hawke miał nadzieję, że wszystkie zmieszczą się w pontonach.

Kiedy zakładnicy znajdą się w nich, Alex i Stoke podpłyną do „Bruce'a” i ruszą jak najszybciej ku wylotowi tunelu. Wypłyną na morze, a potem... Stokely wbiegł po schodach, żeby rozejrzeć się po magazynie. Wrócił z kwaśną miną.

— Jara - odezwał się Hawke, przełączając swój MP5 z ognia pojedynczego na ciągły.

— Co to znaczy?

— Jara: - „O cholera” po arabsku. Co tam zobaczyłeś, Stoke?

— Nieprzyjaciel. Chińczycy. Na podłodze leży jakiś człowiek, nie widać ze schodów, kto.

— Ilu jest nieprzyjaciół?

— Czterech.

— Zobaczyli cię?

— A jak myślisz?

— Ruszajmy po sułtana i jego harem, a potem spadajmy stąd.

Weszli po schodach i wpadli do znajdującego się za nimi pomieszczenia.

Jeden z nich strzelał wysoko, drugi nisko, kucając. Jones wrzucił wcześniej do magazynu granat błyskowo-hukowy, który ogłuszył Chińczyków na parę chwil. Następnie zaczął szybko ich likwidować za pomocą swojego sig sauera kaliber 9 z tłumikiem. Wystarczyły cztery przypominające plucie odgłosy — i cztery ciała z przestrzelonymi głowami osunęły się na ziemię. Hawke podbiegł do leżącego w pobliżu drzwi mężczyzny, o którym Jones mówił wcześniej.

— Boże! — szepnął.

To był Charlie Rainwater.

— Cholera! - zaklął Stoke. - Czy on nie żyje?

Wódz żył, ale został wielokrotnie dźgnięty nożem. Szczególnie groźnie wyglądającą ranę miał pod prawym uchem. Oddychał szybko i płytko. Alex wsunął ręce pod Indianina, przyklęknął i z wysiłkiem uniósł go z podłogi. Zrzucił go sobie na ramię.

353

— Zrób szybkie rozpoznanie — polecił Stoke'owi. — Potem spotkaj się z Fitzem. Ja muszę zanieść Wodza na statek. Może Ali zdoła go pozszywać. A jeśli nie, przynajmniej zrobi mu zastrzyk z morfiny, żeby miał lżejszą śmierć.

Niosąc na ramionach potężnego Indianina, Hawke był łatwym celem. Dlatego wcale się nie ucieszył, kiedy zaczęto do niego strzelać. Stało się to zaraz po tym, jak wyszedł z bramy twierdzy i skierował się ku nabrzeżu. Sądząc z odgłosów, strzelano z dwóch cekaemów, z południowej wieży. Po chwili Alex zorientował się, że ogień skierowany jest na „Obaidallaha”. Ze statku nikt nie odpowiadał. Niedobrze. Wyglądało na to, że trafi z deszczu pod rynnę. To przez te cholerne reflektory. Gdyby ktoś zdołał je...

Jego życzenie spełniło się w mgnieniu oka. Usłyszał trzy głucho eksplozje i nabrzeże znów pograżyło się w ciemnościach. Na dachu sterówki majaczyła sylwetka mężczyzny z granatnikiem na ramieniu. Wypuścił zeń strugę dymu, która poleciała ku wieży. Cekaemy umilkły, a zaraz potem zniszczył je wybuch granatu. Już nie było cekaemów. A te z północnej wieży nie były na razie groźne, ponieważ „Obaidallah” stał poza ich polem ostrzału.

Trzeba je jednak będzie unieszkodliwić, zanim z tunelu wypłynie „Bruce”, ciągnąc za sobą szereg pontonów z bezbronnymi kobietami i dziećmi. Cekaemy z północnej wieży wystrzelałyby biednych zakładników jak kaczki. Hawke zobaczył, że Wodzowi udało się założyć ładunki. Uwięził też załogę północnej wieży, blokując drzwi stalowym prętem.

Alex schylił się, uważając, aby Rainwater nie spadł z jego ramion, i odnalazł jeden z zabezpieczonych prezerwatywami zapalników.

Hawke docierał do trawlera, kiedy ładunek u stóp północnej wieży eksplodował, zamieniając ją w stos gruzu. Niebo rozjaśniło się na chwilę, dzięki czemu Aleksowi łatwiej było odnaleźć drogę. Niemal wpadł na nadbiegających ludzi z McCoyem na czele.

— O Jezu! — jęknął Fitz, widząc stan swojego przyjaciela. Dwaj żołnierze zdjęli go z pleców Hawke'a i ponieśli na statek. Ali przygotował zawczasu stół w głównym pomieszczeniu, aby mogło służyć za szpitalik polowy. Na „Obaidallahu” była jodyna, opatrunki, strzykawki, morfina. Jako kapitan trawlera al Houri umiał zszywać ludzi, przynajmniej tych, którzy zbytnio nie przejmowali się bliznami.

354

- Ktoś dźgnął go nożem w plecy — poinformował Fitz'a Alex.

McCoy spojrział na rannego towarzysza wielu wspólnie toczonych walk. Na twarzy Fitz'a malował się smutek zmieszany z gniewem. Można to było odczytać dzięki czerwonożółtym błyskom ognia. Płonęła zniszczona wieża.

- Skoro tak, zrobił to ktoś, od kogo Wódz nie spodziewał się ataku — ocenił McCoy. — Charlie nigdy nie dopuściłby do siebie nieprzyjaciela na taką odległość. Gdzie go znalazłeś?

- W magazynie. Zostało tam czterech martwych nieprzyjaciół, ale to nie oni zrobili. Nie mieli przy sobie noży.

- Widziałeś Ahmeda? Albo Brocka?

- Nie.

- To musiał zrobić jeden z nich. A może obaj są zdrajcami.

- Chodźmy to sprawdzić — zakończył Alex.

Na wewnętrznym dziedzińcu twierdzy, po panującym przed paroma chwilami straszliwym hałasem, zapanowała nieoczekiwana cisza. Fitz dał ręką sygnał zatrzymania się. Żołnierze stanęli tuż za bramą. Po prawej stronie był budynek o ciemnych oknach, przypominający meczet. A po lewej stary magazyn, gdzie Hawke znalazł Wodza i rozstał się zjonesem. Na wprost, w odległości pięciuset metrów, znajdował się główny budynek twierdzy. Dawna kwatera Rommła była masywna, przysadzista, zbudowana z kamienia. Miała trzy piętra. Musiała chyba powstać w XIX wieku. Wzdłuż dachu biegł gzyms z rozmieszczonymi w równych odstępach strzelnicami. Blanki. Budynek robił wrażenie niemożliwego do zdobycia.

- Matko Boska - mruknął Żaba, przyglądając się budowli. - Kiedy się pakowałem, zapomniałem bomb do burzenia bunkrów.

- Żeby to rozwalić, trzeba chyba bomby atomowej — stwierdził Fitz.

- Bomby atomowej też zapomniałem.

W ciemności rozległ się szcęk odbezpieczanej broni. Od strony meczetu nadbiegała pod ścianą jakaś olbrzymia, czarna postać.

- Spokojnie, to Stoke - odezwał się Alex.

- Co z Wodzem? — spytał Stokely.

- Niedobrze - odparł Hawke. - Ali próbuje ratować go na statku. Widziałeś coś ciekawego?

355

— Zdaje się, że chcą, żebyśmy weszli do środka. Boczne drzwi tego budynku są szeroko otwarte. Nie widać w środku strażników. Za tym wałem też nikogo nie ma; w każdym razie nie udało mi się nikogo zobaczyć. Ale na tamtym dachu są snajperzy.

— Co jest w meczecie? - pytał Alex.

— To już nie meczet, został zamieniony na budynek mieszkalny. Słychać stamtąd płacz i lament kobiet, krzyki dzieci. Jest ich o wiele więcej niż może zmieścić się w pontonach.

— Coś wymyślimy. Nie ma tam strażników?

— Na zewnątrz nie widać. Siedzą pewnie w środku, z zakładnikami.

— W takim razie najpierw atakujemy główny budynek — zdecydował McCoy. - Tam powinniśmy znaleźć sułtana.

— Zgadza się — potwierdził Hawke. — Pójdę z Żabą i jego ludźmi w prawo. Ty, Stoke i reszta idźcie w lewo. Spotkamy się przy wale, wbiegniemy po schodach i wpadniemy do środka, nie szczędząc ognia. Do dzieła!

— Do tańca, mon ami! — zawtórował Żaba, ciesząc się, że operacja

stopniowo postępuje naprzód.

Dwie drużyny ruszyły biegiem pod murami, omijając z przeciwnych stron dziedziniec. Panował półmrok, księżyc wyłonił się zza chmur. Napastnicy zebrali się z powrotem pod osłoną wału, usypanego przed szerokimi, kamiennymi schodami. Wszyscy przełączyli broń na ogień ciągły. Mieli już właśnie ruszyć ku schodom, kiedy Hawke uniósł nagle dłoń.

— Stój! - rzucił szeptem. - Niech nikt się nie rusza!

Ciężkie, drewniane drzwi się uchyliły. Na tle padającego z wnętrza budynku światła zarysowała się postać mężczyzny. Wyszedł na zewnątrz i zatrzymał się u szczytu schodów. Był to wysoki, elegancki Chińczyk, w białym lnianym garniturze z muchą. Palił papierosa w długiej, hebanowej cygarniczce. Ubrany był jak Anglik, ale niewątpliwie był Chińczykiem i miał postawę żołnierza. Wydawał się wcale niezaskoczony tym, że w jednej chwili wycelowano w jego serce dziesięć pistoletów maszynowych.

— Dobry wieczór panom — odezwał się świetną angielszczyzną. — Czekałem na was. Czy jest między wami Alex Hawke? Przepraszam, ale w tym rynsztunku wszyscy wyglądacie tak samo.

356

— Kim jesteś, do jasnej cholery? — odpowiedział Hawke.

— Zapomniałem się przedstawić. Jestem major Tony Tang z chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Przebywam tu obecnie jako doradca francuskiego dowódcy załogi twierdzy.

— To ja jestem Hawke, panie doradco — powiedział Alex, robiąc krok naprzód i ściągając hełm oraz kominiarkę.

— Witam pana, milordzie — odpowiedział major, skłaniając się uprzejmie. - Słynny pirat Hawke. Jakże się cieszę, że dotarł pan aż tutaj.

Miałem nadzieję, że będziemy mieli sposobność porozmawiać, zanim zostanie pan zabity. Zechce pan wejść? Uprzedziłem sułtana o pańskim przybyciu.

— Czy sułtan żyje? — upewnił się Alex i natychmiast tego pożałował. Nie należało okazywać obawy o to, czy kluczowy zakładnik nie został zamordowany.

— Bez wątpienia doceniłby pańską troskę. Jednak nie czuje się dobrze. Hawke szepnął Fitzowi na ucho:

— Idę tam. Sam. Daj mi dwadzieścia minut, chyba żebyś usłyszał jakieś niepokojące dźwięki. Potem wbiegnijcie bocznymi drzwiami, o których mówił Stoke. I nie żałujcie kul.

— Zwariowałaś? - szepnął McCoy. - Nie możesz wejść tam sam, na litość boską! Dlaczego...

— Cicho, Fitz. Posłuchajmy, co ten człowiek ma do powiedzenia.

— Jak widzicie — kontynuował major Tang — zamknąłem za wami bramę twierdzy. To jedyna droga na zewnątrz. Na dachu leżą strzelcy wyborowi, a w budynkach jest wielu żołnierzy.

— Wchodzę — zakomunikował Alex.

— Nie — próbował go powstrzymać Stoke. — Zgadzam się z Fitzem. Nie możesz wejść tam w pojedynkę, szefie.

Hawke spojrzał Stokely'emu w oczy. Nie raz znajdowali się w podobnie niebezpiecznych sytuacjach. Stoke miał zadziwiający dar przekonywania. Poza tym rozumieli się z Hawkiem tak dobrze, że czasem nie trzeba było słów. A więc dobrze, pójdą razem.

— To jest kapitan Jones - przedstawił Stoke'a Alex. - Wejdzie razem ze mną. Reszta naszych ludzi pozostanie tutaj pod dowództwem Fitz'a

McCoya. Lepiej, żeby nikt ich nie niepokoił. Muszę pana ostrzec, panie majorze, że ponad nami, na wysokości trzech tysięcy metrów, krąży

357

dywizjon F/A-18 super hornet, należący do amerykańskiej marynarki. Jeśli któremukolwiek z moich żołnierzy stanie się krzywda, twierdza w ciągu kilku minut zostanie zamieniona w stos gruzów. Rozumiemy się?

— Owszem. To prawdziwa przyjemność poznać pana, panie kapitanie — odpowiedział spokojnie Tang, zwracając się do Stoke'a. — Zechcą panowie pozostawić swoją broń tutaj i pójść za mną?

Hawke i Jones pozostawili broń.

— Kapitan? - spytał szeptem Stokely. - Dlaczego zrobiłeś ze mnie kapitana?

— A kim chciałbyś być?

— Co najmniej admirałem. Nie wiedziałem, że nad twierdzą krążą nasze samoloty.

— Nie krążą.

Rozdział 53

Southampton, stan Nowy Jork

Piękna stara rezydencja, zamieniona na szpital miejski w Southampton, rozrosła się z biegiem lat. W minionym stuleciu dobudowano do niej nowoczesne budynki, aby placówka lepiej służyła czterem tysiącom mieszkańców miasteczka. Latem w Southampton przebywało zresztą trzykrotnie więcej ludzi — nowojorczyki odwiedzali tłumnie plaże South Fork i Hamptons. Lipiec był dla pracowników szpitala miesiącem szczególnie wyteżonej pracy. Wszyscy byli zajęci - od lekarzy z ostrego dyżuru aż po właścicielkę bardzo drogiej kwiaciarni, znajdującej się w

głównym budynku.

Ambrose Congreve miał szczęście. Pomimo ran postrzałowych żył jeszcze, kiedy wwieziono go na noszach na ostry dyżur. Wkrótce przeniesiono Ambrose'a z oddziału intensywnej terapii do osobnego pokoju, na miejsce po pewnej zacnej matronie, która zmarła na marskość wątroby. Jock Barker, będący członkiem rady nadzorczej szpitala, kazał natychmiast

358

powiadomić go, gdy tylko zwolni się któryś z jednoosobowych pokoi dla zamożnych pacjentów.

Wciąż znajdujący się w stanie krytycznym detektyw został w ten sposób bezpiecznie ukryty na najwyższym piętrze starego budynku. Miał piękny widok z okien, ale niestety, nie był w stanie go podziwiać. Dwa okna sali wychodziły na wschód, na ziemniaczane pola, śnieżnobiałe rezydencje oraz baseny ze słodką wodą. Dalej rozciągał się Atlantyk, połyskujący w słońcu południa.

Congreve leżał na szpitalnym łóżku w pozycji półsiedzącej. Był blady, spał, oszołomiony środkami uspokajającymi. Przy łóżku siedziała w wygodnym fotelu kobieta. Została postrzelona w ramię, ale rana nie była groźna.

Lady Diana Mars czytała Ambrose'owi poezję, mimo że doskonale zdawała sobie sprawę, iż ciągle traci on przytomność. Pielęgniarki zgodnie twierdziły, że tego rodzaju poezja ma dobry wpływ na stan pacjenta. Diana czytała właśnie dźwięcznym głosem swój ulubiony wiersz:

Wiem, że do kresu zbliżę się przeznaczeń
W chmurach przeszytych na nieboskłonie;

Nie nienawidzę tych, z którymi walczę, *

Nie umiem kochać tych, których bronię.

W Kiltartan Cross ojczyznę mam na ziemi, Moją siostrą tamtejsza jest
bieda; Ani jej losu klęska nie odmieni, Ani zwycięstwo szczęścia jej nie
da.

Nie obowiązek wzywał mnie...

- Piękne - odezwał się wchodzący do słonecznej sali mężczyzna. Zdjął
szary, filcowy kapelusz. — Proszę sobie nie przeszkadzać.

Diana odłożyła na kolana niewielki tomik i powoli podniosła wzrok.

Mężczyzna był niewysoki, ale przystojny, miał zdecydowanie męskie rysy,
ciemne włosy, na skroniach przyprószone siwizną. Był zbudowany jak
zawodowy futbolista.

- Przepraszam, ale kim pan jest? - spytała Diana.

359

— Kapitan John Mariucci, detektyw. — John wyciągnął rękę. — Policja
nowojorska.

— Diana Mars — przedstawiła się Diana, ściskając dłoń Mariucciego. —
Proszę usiąść. Ambrose bez wątplenia bardzo by się ucieszył, gdyby pana
rozpoznał.

— Pewnie tak, jesteśmy kolegami— odpowiedział John.— Niewiele
brakowało... Czy on śpi?

— Hm...

— Wie pani co?

— Słucham?

— Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chętnie posłuchałbym tego
wiersza.

— Kiedy Ambrose jest przytomny, też ciągle mnie o to prosi. Diana kontynuowała:

Nie obowiązek wzywał mnie do bitew, Patos orędzia czy poklask tłumu,
Własne pragnienia porwały mnie skryte W nieba wrzawę i obłoków
tumult.

Wszystko zważyłem i przywiodłem na myśl, Wielka otchłań przyszłość
moją wchłania. I przeszłość w wielkiej waży się otchłani Na szalach życia
i umierania.*

Zamknęła tomik i się uśmiechnęła.

— Muszę przyznać — odezwał się znowu Mariucci, któremu chyba jakiś pyłek wpadł do oka - że nie znam się na poezji, ale to chyba dobry wiersz. Kto go napisał?

— William Butler Yeats. Irlandczyk.

— Ci cholerni Irlandczycy potrafią pisać... przepraszam panią za język.

— Proszę się nie przejmować, panie kapitanie. Słyszałam ludzi, którzy gorzej przeklinają.

* Przełożył Artur Międzyrzecki.

360

— Jak się nazywa ten wiersz?

— Lotnik z Irlandii przeczuwa swą śmierć.

— Wie, że umrze, ale godzi się z tym. Mocne.

— Tak.

— Lekarz mówi, że rokowania są dobre — zmienił temat Mariucci.

— Dobrze?

— To znaczy, że prawdopodobnie Ambrose przeżyje. Jeśli tylko zdołają utrzymać go w stabilnym stanie do czasu operacji. Zostanie przewieziony

do New York Hospital. Ma być tam operowany. Trzeba wyjąć mu kulę z kręgosłupa.

— Słyszałam. Powiedziano mi dziś rano.

— Coś okropnego! Cholera jasna... Okropne.

— Ambrose uratował mi życie - rzekła Diana.

— Tak. Czytałem pani zeznania. Dobrze przyjrzała się pani zabójczyni.

Znają pani, prawda?

— Owszem. Nazywa się Bianca Moon. Najwyraźniej od pewnego czasu współdziałała z moim byłym lokajem, mordercą o nazwisku Simon Oakshott. Ambrose twierdzi, że to ona płaci Oakshottowi. Simon zabił kuzyna Ambrose'a, Henry'ego Bullinga. Wydaje mi się, że widziałam wczoraj Oakshotta na przyjęciu u Barkerów. Skrócił i przefarbował włosy. Miał czarne okulary. Przebrał się za kelnera. Niestety, wypiliśmy wczoraj sporo szampana. Nie zwracałam uwagi na otoczenie i... nie rozpoznałam Oakshotta w porę. Nie zapobiegłam...

— Proszę sobie tego nie wypominać, nie trzeba. Detektyw z Southampton spisał starannie pani zeznania. Nie ma sensu wracać do tych okropnych wydarzeń. Przyjechałem tu tylko po to, żeby odwiedzić Ambrose'a. Czy mogłaby mu pani to dać, kiedy się obudzi?

— Co to jest?

— Laurka z życzeniami powrotu do zdrowia. Narysowała ją dla niego moja wnuczka.

— Ambrose z pewnością się ucieszy.

John poczuł, że chyba znów coś przeszkadza mu w oku. Wstał i podszedł do okna.

— Czy sądzi pan, że uda się złapać Biancę Moon? — spytała Diana.

— Jestem tego pewien. W tej chwili pięć metrów od niej siedzi dwóch agentów Interpolu.

361

— Mówi pan poważnie?

— Moon leci właśnie do Hongkongu samolotem British Airways. Dwie godziny temu wystartował z lotniska Kennedy'ego. Znaleźliśmy Oakshotta, woda wyrzuciła jego zwłoki na plażę. Dostał kulę w mózg. Okazał się zbędny. Postanowiliśmy przez kilka dni obserwować morderczynię. Zobaczyć, dokąd pojedzie, z kim się spotka.

— Wiem, że Bianca Moon jest w jakiś sposób powiązana ze śledztwem, które przeprowadzał pan razem z Ambrose'em. Z tymi koszmarnymi wydarzeniami w Coney Island.

— Ma z tym bezpośredni związek, proszę pani.

— Proszę mówić mi po imieniu. Jestem Diana.

Mariucci usiadł z powrotem. Pochylił się naprzód, oparł dłonie na kolanach.

— Bianca Moon to agentka chińskiej tajnej policji. Przyleciała do Stanów Zjednoczonych, żeby zamordować dwóch pozostających przy życiu świadków dawnego zabójstwa, które rozpracowywał Ambrose.

Ambrose'owi udało się pokrzyżować jej plany. Być może chciała więc się zemścić.

— Ambrose opowiedział mi o tym, co wyznał stary gangster. W wagoniku diabelskiego młyna.

— Taak. Nietypowy przypadek. Mamy oskarżyć prezydenta Francji o morderstwo.

— To delikatna sprawa ze względów politycznych.

— Bardzo. Bonaparte doszedł do władzy we Francji dzięki Chińczykom. Chiny będą robić wszystko, żeby pozostał na stanowisku. Obiecał im milion baryłek omańskiej ropy dziennie. Na początek. A my mamy całkiem inną propozycję dla pana Luki Bonapartego. Chciałbym go przysmażyć.

— Słucham?

— Mam na myśli krzesło elektryczne.

— Ach tak.

— Czy oglądałaś wiadomości dzisiaj rano? — spytał John.

— Nie.

— Francuskie siły inwazyjne szykują się do lądowania w Omanie. Francja twierdzi, że to sułtan zaprosił ich wojska, żeby pomogły stłumić jakieś powstanie, czy coś w tym rodzaju. To kompletna bzdura. Za Francuzami stoją jednak Chińczycy.

362

— I co teraz będzie?

— To właśnie wielka niewiadoma. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania dały Francji czterdzieści osiem godzin na wycofanie wojsk. Francja odmawia.

— Co może stać się dalej?

— Chiny potrzebują ropy. Są gotowe przystąpić do wojny o nią.

— Boże drogi!

— Halo... - odezwał się słabiutki głos Ambrose'a. Drżały mu powieki. Congreve starał się unieść głowę, ale nie miał siły.

— Kochanie - powiedziała Diana, ujmując jego dłoń - zobacz, kto przyszedł cię odwiedzić.

— Alex? Alex Hawke? - Ambrose próbował usiąść.

— Leż spokojnie, kochanie. Wszystko w porządku. To nie Alex. Przyszedł do ciebie John Mariucci! Jak miło, prawda?

— Miałem... sen — powiedział urywanym głosem Ambrose. — Straszny sen. Stało się coś... bardzo złego Aleksowi. Muszę mu pomóc... Diana zadzwoniła po pielęgniarkę.

— Dam mu laurkę twojej wnuczki — powiedziała do Johna. — Bardzo dziękuję, że przyszedłeś. Mariucci włożył kapelusz i ruszył do drzwi.

— Opiekuj się nim, Diano — rzucił na odchodnym.

— Być może po to właśnie go poznałam.

Rozdział 54

Masira, Oman

Podziemia twierdzy Mahoud nie były w ogóle modernizowane. Nie zainstalowano elektryczności. Słabe światło pochodziło od rozmieszczonych co dwa metry dużych, kapiących świec, pozatykanych w kute, żelazne uchwyty. W ciemności rozlegał się trzepot skrzydełek nietoperzy. Po obu stronach kamiennych schodów biegły rynny z cuchnącymi ściekami.

363

Alex i Stokely zeszli ramię w ramię po wytartych stopniach, podążając za chińskim majorem. Z tyłu słychać było ciężkie kroki sześciu uzbrojonych po zęby francuskich najemników w kepi na głowach.

— Przepraszam za ten smród — odezwał się Tang. — Nie przeprowadzaliśmy tu jednak żadnych zmian. - Cały czas mówił tak uprzejmym tonem, że aż było to denerwujące.

— Właśnie podziwialiśmy z kapitanem Jonesem ścieki — odpowiedział

Alex, nie mogąc się powstrzymać przed komentarzem. — Chińczycy mają dobrze zasłużoną reputację zwolenników higieny alternatywnej.

— Los wreszcie pozwolił nam się spotkać, milordzie — odpowiedział Tang, ignorując cierpką uwagę Hawke'a. - Przybyliście w odpowiednim czasie. Sułtan zamierza wygłosić przemówienie do narodu. Przyszło mi na myśl, że pan oraz pan kapitan Jones także powinniście przemówić do obywateli waszych krajów. Bez wątpienia świetnie zdajecie sobie sprawę, że widok rodaka klęczącego i błagającego o darowanie mu życia ma olbrzymią wartość propagandową. Tymczasowa siedziba sułtana znajduje się na końcu tego korytarza. Proszę patrzeć pod nogi.

— Czy możemy niechcący wpaść na ścierwo zdrajcy? — spytał Jones. Chiński major przystanął i odwrócił się gwałtownie, opierając dłoń na pochwie pistoletu.

— To ja decyduję o tym, co będziecie mieć za chwilę pod nogami — odpowiedział. - Przekonamy się, czy potraficie chodzić po wodzie.

— Założę się, że pan major jest raczej miłośnikiem moczu — mruknął Stoke do Hawke'a.

Po obu stronach ciężkich, dębowych drzwi stali dwaj uzbrojeni chińscy żołnierze. Zasalutowali, kiedy tylko Tang pojawił się w pełgającym świetle. Jeden z wartowników odryglował drzwi i otworzył je na całą szerokość. Hawke wszedł do celi i ze zdziwieniem poczuł powiew chłodnego, morskiego powietrza. Znalazł się w dużym pomieszczeniu, przypominającym hangar. Wyżłobiona w skale wnęka była otwarta na morze.

Tang zamienił kilka zdań z jednym z umundurowanych oficerów francuskiej Legii Cudzoziemskiej oraz z cywilami, którzy stali przy

wejściu. Wszyscy mówili po francusku. Sprzeczekali się o coś ściszonými głosami. Hawke podszedł do krańca pomieszczenia. Zobaczył odbicie księżycy

w wodzie, daleko w dole. Oszacował, że znajduje się mniej więcej trzydzieści metrów ponad powierzchnią morza.

Niebo było jeszcze całkowicie ciemne. Wnętrze groty połyskiwało w świetle pochodni, żelaznych kinkietów i ciężkiego kandelabru ze świecami. Sklepienie nikło w ciemności. Świece rzucały na kamienne podłogi i ściany długie cienie, przywodzące na myśl filmy o średniowieczu.

Od miejsca, gdzie stał Hawke, aż do krańca groty, prowadził długi, wąski tor. Alex zrozumiał, do czego służyła wcześniej ta nietypowa, wydrążona ludzką ręką jaskinia. Musiało stać w niej niegdyś ogromne działo, strzegące wejścia do cieśniny Ormuz. Sądząc z rozmiarów stalowych szyn, grotą mogła zostać wydrążona w celu pomieszczenia hitlerowskiego superdziała V-3.

Hawke oglądał plany tego gigantycznego działa w brytyjskim Imperial War Museum. W 1945 roku brytyjski agent odkrył te plany w zbombardowanej fabryce amunicji i przekazał je MI-5. Działo miało mieć kaliber około jednego metra i ponadstumetrowej długości lufę.

Unowocześnione działo tego rodzaju mogło z łatwością posłużyć do wystrzeliwania ładunków nuklearnych na odległość setek kilometrów.

Przed I wojną w Zatoce Perskiej krążyły plotki, że Saddam Husajn próbował zbudować replikę hitlerowskiego V-3, działo nazwane „Małym Babilonem”.

Miało lufę długości stu pięćdziesięciu sześciu metrów i zostało

zainstalowane na górze Jabal Hamrayn, sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od Bagdadu. Było w stanie wystrzeliwać ważące sześćset kilogramów pociski na odległość tysiąca kilometrów. Jednak po zdobyciu Iraku alianci nie znaleźli owego działa.

Nagle Aleksowi przypomniało się zupełnie co innego. Potężne tuleje, które ładowano na „Star of Shanghai” pamiętnej nocy w Cannes. Hawke zajrzał wtedy do jednej z tulei, nie domyślając się, do czego mogła służyć. A była przecież gwintowana! Każdy z olbrzymich pierścieni miał stać się częścią składową długiej na sto pięćdziesiąt metrów lufy. Bez wątplenia po drodze do Szanghaju statek miał zatrzymać się w Omanie, aby dostarczyć Chińczykom zaginione babilońskie superdziało. Miało zostać zainstalowane tu, na Masirze. Zapewniłoby Chinom coś, o czym wojskowi różnych krajów marzyli od wieków — całkowitą kontrolę nad cieśniną Ormuz.

365

Wszystko układało się w logiczną całość. Być może stacjonujący obecnie w twierdzy Mahoud Chińczycy mieli za zadanie kontynuować plany i Hitlera i Saddama.

Niespodzianek było więcej.

Po lewej stronie Aleksa, za niepozornym biurkiem siedział mężczyzna, którego głowa i ramiona były zakryte płóciennym kapturem. Na płótnie widniały złowieszcze ciemne plamy. Hawke pomyślał, że jest to sułtan. Przed biurkiem klęczał na kamiennej podłodze inny mężczyzna w kapturze; miał związane za plecami ręce. A na krawędzi biurka siedział w niedbałej pozie trzeci człowiek, paląc papierosa. Choć też miał kaptur na głowie, Alex bez trudu go rozpoznał.

Ahmed Badur, nadworny architekt sułtanów i ulubiony przyjaciel książąt, stary znajomy Harry'ego Brocka, wielki zdrajca.

— Jestem pod wrażeniem twojej lojalności, Ahmedzie — odezwał się Hawke. — Co za ulga.

— Myślałeś, że to Brock jest zdrajcą? - spytał z uśmiechem Badur.

— Tak podejrzewałem.

— Próbowaliśmy kupić Harry'ego, ale bez skutku. Spójrz, jaki jest dzielny. Gotów na spotkanie swojego losu. Nawet nie jęknie.

Z tymi słowami Ahmed brutalnie kopnął klęczącego Harry'ego w zębra, omal go nie przewracając. Stokely zrobił ruch w stronę biurka, ale widząc ostrzegawcze spojrzenie Aleksa, zatrzymał się.

— Zrób to mojemu przyjacielowi jeszcze raz, a zginiesz — ostrzegł Hawke, wpatrując się zimno w Badura. Ahmed uśmiechnął się, ukazując białe zęby.

— On i tak jest już martwy. Podobnie jak ty, mój jakże szacowny towarzyszu.

— Ahmedzie - odezwał się major Tang, podchodząc do biurka - widzę, że odnowił pan znajomość ze swoimi niedawnymi towarzyszami podróży. Milordzie, chciałbym napomknąć, że pan Badur wolałby, aby zwracano się do niego z szacunkiem należnym nowo mianowanemu generałowi. Pan generał Badur jest oficerem Omańskiej Armii Wyzwolenia. Podczas przemówienia telewizyjnego sułtan mianuje generała Badura tymczasowym prezydentem oraz szefem rządu. Zdaje się, że operator kamery jest gotowy.

366

— Operator kamery? — powtórzył ze zdziwieniem Stoke. Zbliżyli się

francuscy cywile w dżinsach i koszulkach. Faktycznie, trzymali w rękach sprzęt telewizyjny. - Co wy tu robicie, u diaska?

Uśmiechnięty od ucha do ucha Ahmed zeskoczył z biurka i wyciągnął spomiędzy fałd czarnej szaty z kapturem długi, zakrzywiony miecz.

— Kręcimy nowy reality show — oznajmił.

— Ciekawy pomysł - mruknął Alex, zbliżając się odrobinę do sułtana.

— Prawda? Nazwaliśmy go Zaproszenie do ściecia. — Ahmed śmignął klingą przed oczami Hawke'a. Spoważniał, kiedy nie zobaczył żadnej reakcji w zimnych oczach superagenta. Odwrócił się na pięcie i ściągnął kaptur z głowy klęczącego na podłodze człowieka. Rzeczywiście był to Harry Brock. Ahmed przyłożył ostrze miecza do jego szyi.

— Nie krępuj się — beznamiętnym tonem powiedział Harry. Badur uniósł miecz.

— Nie zrobisz tego, Ahmed! - zawołał Stoke; skoczył i złapał zdrajcę za opadającą już rękę z mieczem. Miecz upadł z brzękiem na kamienną podłogę. Czterech Arabów złapało natychmiast Stokely'ego od tyłu i rzuciło go na podłogę, twarzą w dół. Strząsnął z siebie dwóch. Trzeci usiadł mu jednak na nogach, a czwarty dociskał jego plecy ręką.

Jones odwrócił głowę i uśmiechnął się do siedzącego mu na plecach goryla.

— No, załatw mnie, mały — rzucił. — Jestem taki słabiutki.

Po tych słowach złapał mężczyznę prawą ręką za gardło i ścisnął. Arabski wartownik spurpurowiał. Wtedy Badur przystawił Stoke'owi miecz do pleców.

— Jeśli mnie tkniesz — odezwał się spokojnym tonem Jones — zatłukę cię na śmierć.

— Stoke - odezwał się ostrzegawczo Hawke. - Uspokój się. Puść go.

Zachowujmy się jak dżentelmeni.

— Puszczę go, jak oni puszczą Harry'ego. Ahmed pomógł Brockowi wstać i powiedział:

— Posłuchajcie, dżentelmeni. Wkrótce wszyscy znajdziecie się w raju, zaraz po tym, jak sfilmujemy wasze błagania o miłosierdzie, które bez wątpienia popłyną z głębi waszych serc.

Stoke wstał i z wściekłością wpatrywał się w zdrajcę.

367

— Ahmed, znasz takie stare amerykańskie powiedzenie? - spytał. - „Pierdol się”.

Francuzi i Chińczycy mierzyli w niego i Hawke'a z wielu luf. Stokely wiedział, że w tej chwili niewiele może zrobić. Mógł co najwyżej czekać na rozwój wydarzeń. Nie tracił nadziei, że Hawke ma jakiś plan. Spojrzał teraz na zegarek, chyba grał na czas.

Francuscy cywile ustawili na trójnogu naprzeciw biurka cyfrową kamerę. Ustawiono także i zapalono dwa reflektory. W ich silnym, białym świetle widać było, jak drży siedzący za biurkiem człowiek — cień człowieka, który trzy tygodnie wcześniej przemawiał przed kamerami w Paryżu. Na biurku przed nim leżały jakieś dokumenty. Badur podszedł od tyłu do sułtana i ściągnął z jego głowy kaptur.

— Proszę podać swoje imię i nazwisko — odezwał się zza kamery major Tang. Oczy sułtana były zaczerwienione ze strachu i wyczerpania. Po obu stronach sułtana, poza kadrem, stali teraz mężczyźni, którzy celowali w jego głowę z nieprzyjemnie wyglądających czarnych pistoletów maszynowych.

— Jestem Adzi Abbas, sułtan Omanu - odpowiedział sułtan.

— Pierwszy punkt planu — kontynuował Tang. — Wasza Wysokość zechce podpisać pakt.

Sułtan podniósł drżącymi palcami złote pióro i umoczył je w kałamarzu. Z wyraźną trudnością podpisał się we wskazanym miejscu.

— Co on podpisuje, Harry? — spytał Hawke. Tang uśmiechnął się i gestem zachęcił Brocka do udzielenia odpowiedzi.

— To umowa z Maskatu - wyjaśnił Harry, potrząsając głową, aby oprzytomnieć. — Wielka tajemnica. Okropna rzecz. Rząd Francji zgadza się dostarczyć tankowce o łącznym tonażu pięciuset tysięcy ton, wnosząc je jako swój wkład w przedsiębiorstwo Omani Maritime Company w skrócie OMCO. Będzie ono zarejestrowane w Omanie i zwolnione od płacenia podatków. Statki mają pływać pod banderą omańską, zaś ich oficerowie będą pochodzić z miejscowej akademii morskiej, ufundowanej osobiście przez Bonapartego. OMCO uzyskuje prawo pierwszeństwa w dostarczaniu ropy naftowej Chinom. Bonaparte ma wstępnie zagwarantowane dziesięć procent ropy, jaka zostanie wydobyta w danym roku w Omanie.

— Opłacalny pomysł — skwitował Hawke.

368

— Owszem. Francja uzyskuje tym samym monopol na mniej więcej pięćdziesiąt tysięcy ton ropy, która będzie trafiała do Chin. Luca Bonaparte zdawał sobie sprawę, że nie może zyskać tego wszystkiego bez sułtańskiego dekretu. Wraz z podpisem sułtana pomysły Bonapartego staną się prawem.

— Z pewnością uszczęśliwi to wszystkich — zakończył Alex.

— Bez wątpienia — ciągnął Brock. — Jeśli ów misterny plan powiedzie się, Chiny powtórzą ten scenariusz w innych państwach Zatoki Perskiej. — Rzeczywiście tak zostało zaplanowane — zgodził się Tang, uśmiechając się do Hawke'a. — A teraz zaczniemy nagrywać przemówienie Waszej Wysokości. Zechce je Wasza Wysokość wygłosić. Sułtan zebrał się w sobie i mocnym głosem zaczął mówić prosto w obiektyw kamery:

— Chciałbym dziś przemówić do dzielnego narodu omańskiego. Jak wiemy, nad naszym krajem zawisło wielkie niebezpieczeństwo. U naszych drzwi stoją rebelianci. W tę godzinę próby zwróciłem się do mojego przyjaciela Luki Bonapartego, prezydenta Francji. Człowieka, którego miłość do naszego kraju nie zna granic. W chwili, kiedy mówię te słowa, płyną ku naszym brzegom francuskie okręty desantowe. Francuskie wojska pomogą nam odeprzeć barbarzyńców i ocalić nas przed...

Nagle rozległa się eksplozja - ciężkie drzwi wyleciały z zawiasów, wypchnięte przez umieszczone na ich zewnętrznej stronie ładunki. Słysząc było terkot broni maszynowej i krzyki. Do środka wpadły granaty błyskowo-hukowe oraz dymne. Wybuchły z ogłuszającym hukiem. Biały dym przysłonił wszystko.

Hawke uśmiechnął się pod nosem, widząc wpadających do groty żołnierzy Gromu i Błyskawicy.

— Fitz! - zawołał. - Tu jestem! Mam sułtana!

Hawke próbował położyć starego sułtana na podłodze, żeby nie zginął od przypadkowych kul. Zobaczył przez dym żółty płomień z lufy pistoletu.

To major Tang strzelał na oślep, w nadziei że uda mu się trafić sułtana. Tuż obok stał Ahmed, który widząc, co się dzieje, zawołał:

— Śmierć tyranom! Śmierć Ameryce! — Zamachnął się mieczem i w tym samym momencie padł na podłogę trafiony kulą. W twarz Aleksowi trysnęła gorąca krew, Adži Abbasa, który zwiotczał mu w rękach. Miecz Badura

369

utkwiał w udzie sułtana. Gdy zostanie przecięta tętnica udowa, trudnobędzie zapobiec wykrwawieniu się rannego na śmierć.

- Żaba, chodź tu! - zawołał Alex. Przycisnął do rany sułtana kominiarkę.

— Wasza Wysokość, proszę dociskać to jak najmocniej do rany. Biegnę po pomoc.

Potrzebował broni. Zobaczył tuż obok siebie wojskowy but. Pociągnął Chińczyka za nogę, przewracając go. Na podłogę upadł z brzękiem kałasznikow. Hawke złapał karabin, uderzył kolbą jego niedawnego właściciela. Zobaczył pełznącego na czworakach Ahmeda. Chyba kierował się do wylotu grotty. Czyżby zamierzał skoczyć z wysokości trzydziestu metrów? W niczym mu to nie pomoże. Gdzie jest Stoke? Czy został trafiony?

Hawke wstał. Musiał odnaleźć pośród kłębow dymu Żabę. Ten strzelec wyborowy był jednocześnie sanitariuszem. Tylko on mógł zatamować buchającą z nogi sułtana krew. Alex myślał teraz tylko o jednym: o sfilmowaniu sułtana Omanu mówiącego, jaka jest prawda. Dym sprawiał, że trudno było kogokolwiek w panującym zamieszaniu rozpoznać. Jeśli Hawke nie zdoła odnaleźć Żaby, być może Żaba odnajdzie jego.

Alex wycelował kałasznikowa w sufit, przełączył go na ogień ciągły i wypuścił długą serię.

- Żaba, chodź do mnie! - zawołał.

Ktoś postukał go w kolano. Alex opuścił wzrok i zobaczył uśmiechniętego Żabę.

- Czym mogę służyć, mon ami?

Dziesięć minut później było już prawie po wszystkim. Grom i Błyskawica poniosła straty. Stoke zaginął. Bandini został zabity kulą, która trafiła go w głowę, przeleciawszy przez otwór drzwi. Ranni zostali także dwaj Gurkhowie -jeden w szyję, drugi w pierś. Żaba opatrywał ich rany. Nie był pewien, czy przeżyją. Major Tang zginął, podobnie jak większość jego ludzi. Alex zobaczył w pewnej chwili ciało Tanga z niemal całkowicie odciętą głową. Stał nad nim Harry Brock z zakrwawionym arabskim mieczem Ahmeda.

Kilku Francuzów i Chińczyków, którzy ocaleli, skuto kajdankami. Grom i Błyskawica, jeszcze niedawno tak zaskoczone, uderzyły ze zdwojoną siłą. Alex był pewien, że wpadając do groty, żołnierze mieli w myślach obraz okrutnie poranionego nożem Charliego Rainwatera.

McCoy postawił czterech komandosów za drzwiami, aby zajęli się ewentualnymi przybyszami, których mogły zwabić odgłosy walki.

Następnie Fitz razem z Harrym pomogli Aleksowi podnieść sułtana.

Posadzili śmiertelnie rannego sułtana z powrotem na krzesło i ściągnęli mocniej opaskę uciskową, którą założył mu Żaba. Stary sułtan oddychał płytko, jego puls słabł.

— Fitz, ustawcie kamerę — rzucił Alex, przykładając sułtanowi do ust manierkę. — Zobaczcie, czy reflektory są sprawne. Zostało niewiele czasu.

— Niepokoję się o Stoke'a — odezwał się Żaba, stawiając z powrotem przewróconą kamerę. - Nigdzie nie możemy go znaleźć.

— W tej chwili nie mamy czasu martwić się o kogokolwiek poza sułtanem - skwitował Alex. - Musimy nagrać przemówienie tego człowieka.

Cholera, ma krew w oczach. Przynieście mi trochę wody i jakiś kawałek materiału.

— Nie wiem, kim jesteście — odezwał się słabym, schrypniętym głosem sułtan — ale przybyliście tu, żeby ocalić nas i nasz kraj.

— Bien sur - zgodził się Żaba. - Kamera nagrywa.

Hawke zobaczył, że pod obiektywem kamery miga czerwone światełko. Ostrożnie poprawił umierającego sułtana na krześle. Sułtan rozumiał chyba, co się dzieje. Oparł dłonie na biurku, wyprostował się, jak tylko mógł, i skupił spojrzenie na obiektywie. Spojrzenie sułtana Omanu nabrało stanowczości. Alex wiedział, że przemówienie będzie dobre.

— Wasza Wysokość - powiedział - proszę dokończyć swoje wystąpienie. Niech świat dowie się prawdy o tym, co dzieje się teraz w Omanie.

— Tak — zgodził się Adži Abbas. — Zamierzam to teraz powiedzieć. I powiedział, w swoim ostatnim w życiu przemówieniu.

Powiadomił swoich rodaków o zdradzie i kłamstwach nowych władz Francji. O tym, jak postąpił wobec Omanu prezydent Luca Bonaparte. O cierpieniach, których sułtańska rodzina doznała z rąk licznych chińskich „doradców” oraz żołnierzy francuskich, nielegalnie przebywających w Omanie. Poprosił światowych przywódców, szczególnie rządu Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, o zapewnienie poszanowania granic Omanu i tego, aby żadne obce wojska już nigdy nie zostały wpuszczone

371

do jego kraju. Na zakończenie oznajmił, że Oman to kraj miłujący pokój i przestrzegający prawa i że on, sułtan, ma nadzieję, iż z pomocą Allaha,

jedyne go i prawdziwego Boga, tak pozostanie na zawsze. Skończywszy, opadł na oparcie krzesła i zamknął oczy.

— Dziękuję, Wasza Wysokość - odezwał się Alex, uśmiechając się do starego, umierającego człowieka, który w ostatnich chwilach swojego życia okazał wielką odwagę.

— Hej, szefie, zobacz, co się dzieje - rozległ się nagle głos Stokely'ego. Pojawił się nie wiadomo skąd i stał na końcu groty, nad przepaścią. Niebo za jego plecami różowiło.

— Co takiego? — spytał Hawke. Nie chciał porzucić odchodzącego w zaświaty człowieka.

— Kutry rybackie — wyjaśnił z uśmiechem Stoke. — I inne statki. Trawlery, szkunery, zwykłe łódki. Nadpływają od strony lądu, jest ich chyba setka. Wygląda na to, że zwabiły ich eksplozje i pożary. Przyplływają, żeby wyzwolić rodzinę sułtana i wyrzucić z tej wyspy pieprzonych żabojadów.

Hawke i Brock podeszli do Jonesa. Nie dowierzali własnym oczom. Widok był wspaniały. Ku Masirze płynęło w pierwszych, czerwonozłoty promieniach słońca ze sto stateczków najróżniejszych kształtów, kolorów i rozmiarów.

— Gdzie jest Ahmed? — spytał nagle Hawke.

— Tam, gdzie go zostawiłem, na skałach w dole — wyjaśnił Stokely. — Mieliliśmy małą sprzeczkę na temat przyszłości świata. Moje argumenty okazały się bardziej przekonujące.

— Fitz — powiedział Alex — czy moglibyście z Żabą przynieść tutaj sułtana na krzesło? Myślę, że powinien to zobaczyć.

— Już go niesiemy - rzucił Fitz. Po chwili dwaj komandosi postawili

ostrożnie u wylotu groty krzesło z umierającym.

— Wasza Wysokość, dzieje się wielka rzecz - powiadomił Hawke. -Proszę tylko spojrzeć.

— Tak... — szepnął Adżi Abbas, ogarniając słabnącym wzrokiem armadę, która przybywała na ratunek jego rodzinie. — To cud. Jak pod Dunkierką, prawda?

A potem zamknął oczy i umarł.

372

Łodzie zaczęły przybijać do wyspy godzinę później. Wyglądało na to, że wszyscy omańscy rybacy przepłynęli niebezpieczną cieśninę pomiędzy stałym lądem a Masirą. Dwa czy trzy stateczki zostały zatopione przez francuski kuter patrolowy, zanim Fitz zdążył powiedzieć jego kapitanowi, że wszystko skończone: francusko-chiński garnizon twierdzy Mahoud się poddał.

Dowódca francuskiego kutra przyjął wiadomość z ulgą, chcąc jak najszybciej opuścić rejon wydarzeń. Powiedział przez radio, że też się poddaje, a pół godziny później przybił do nabrzeża. Cała znajdująca się na kutrze broń ręczna została zawczasu rzucona na stos na pokładzie rufowym.

Hawke, Jones i Brock zeszli na molo. Razem z kapitanem „Obaidallaha” i załogą francuskiego kutra pomogli wsiąść na czekające stateczki rybackie pozostałym przy życiu zakładnikom, głównie kobietom i dzieciom. Potem wrócili na „Obaidallaha”, aby przekonać się, jaki jest stan zdrowia Rainwatera. Napotkali Żabę, wychodzącego z kajuty kapitana. Spędził tam ostatnią godzinę, robiąc, co tylko mógł, aby uratować Charliego.

- Co z nim? - spytał Stoke.

— Bóg ciągle się namyśla — odpowiedział Żaba, wzruszając szerokimi ramionami - ale zdaje mi się, że pozwoli Wodzowi żyć dalej.

Rozdział 55

Biały Dom

Panie prezydencie... Jack McAtee podniósł wzrok zza swojego biurka w Gabinetcie Ovalnym. W drzwiach stała jego długoletnia sekretarka Betsey Hali. Patrzyła znaczącym spojrzeniem - coś się stało. Zbliżała się godzina dwudziesta druga, a McAtee dopiero teraz miał czas przeczytać dzienny raport. Dokument tak tajny, że ma do niego dostęp jedynie dwanaście osób. Prezydent czuł się okropnie zmęczony. Doktor Ken Beer, nowo mianowany lekarz Białego Domu, polecił mu więcej spać i uprawiać

373

ćwiczenia fizyczne. A także przestać palić cygara. Jak również pić drinki. Mówił też, że gra w golfa nie liczy się jako ćwiczenia i...

— Panie prezydencie... — powtórzyła Betsey.

— Słucham?

— Przepraszam, ale to bardzo pilne.

— Kto przyszedł?

— Pan Gooch i generał Moore. Jeśli potrzebuje pan pomocy, w Gabinetcie Roosevelta jest zastępca sekretarza stanu, pan Baker.

— Wpuść ich, Betsey.

Do Gabinetu Ovalnego weszli doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego John Gooch oraz przewodniczący Komitetu Szefów Połączonych Sztabów generał Charlie Moore. Prezydent zamknął raport dzienny. Być może zdoła go przeczytać do godziny szóstej czterdzieści pięć, kiedy to| przyniosą mu następny. Przesiadł się na kanapę obok

kominka. Goście zajęli fotele naprzeciw niego.

— Czyżby działo się coś niepokojącego? — Prezydent uśmiechnął się do obu przybyłych.

Pierwszy zabrał głos Gooch, wysoki, szczupły potomek jednej z rodzin anglosaskich założycieli Bostonu; ukończył słynną szkołę St. Paul's, a następnie Uniwersytet Harvarda. Moore zawsze wolał najpierw wysłuchać, co ma do powiedzenia Rada Bezpieczeństwa Narodowego.

— Panie prezydencie - zaczął Gooch, przekładając stos raportów - sytuacja mi się nie podoba. Nasze dane wskazują, że...

— Znowu wróżysz z fusów John? — przerwał McAtee, zapalając wbrew zaleceniom doktora cygaro marki Partagas Black Label.

— Tym razem nie. Francuskie okręty wojenne znajdują się tutaj, proszę spojrzeć. Kolejne zdjęcia satelitarne pokazują, jak francuskie jednostki przemieszczają się szybko z Oceanu Indyjskiego do Zatoki Omańskiej...

— Co to jest? — spytał prezydent.

— Lotniskowiec atomowy „Charles de Gaulle”, ich flagowy okręt, wraz...

— W zeszłym miesiącu mówiliście mi, że „Charles de Gaulle” stoi w suchym doku. Mieli go naprawiać, bo z reaktorów przedostawało się na zewnątrz zbyt duże promieniowanie. Podobno marynarze zaczęli chorować i skarżyć francuski rząd.

374

— Najwyraźniej już naprawili okręt — odpowiedział Gooch. —

Przynajmniej tymczasowo. Tu widzi pan tankowce, niszczyciele, fregaty, okręty podwodne...

— Cholera jasna, a więc chcą dokonać inwazji. — McAtee zbliżył fotografię do oczu, żeby się lepiej przyjrzeć. — Te mniejsze okręty to

jednostki desantowe, prawda?

— Tak jest, panie prezydencie.

— Czy oni powariowali?

— Dobrze wiadomo, kto stoi za tym wszystkim. Bonaparte. Trzeba się nim natychmiast zająć. Przygotowujemy właśnie kartotekę Interpolu. Za parę dni sprawa tego ojcobójstwa zostanie rozgłoszona publicznie.

— Podobno Bonaparte w wieku piętnastu lat zamordował własnego ojca, żeby awansować w szeregach Union Corse. Wierzysz w to, Charlie?

— Tak — odparł generał Moore. — Z tego co słyszałem o tym człowieku, jest to prawdopodobne.

— Prezydent Francji jest winny zabójstwa i możemy to udowodnić, panie prezydencie. Mamy naocznego świadka morderstwa. "Właśnie telefonował do mnie kapitan John Mariucci z policji nowojorskiej. Mariucci i detektyw ze Scotland Yardu, Congreve, zlokalizowali świadka w Nowym Jorku.

— Poznałem Congreve'a poprzez Aleksa Hawke'a. Czy macie jakieś wiadomości o Hawke'u?

— Jak pan wie, panie prezydencie, bierze on w tej chwili udział w operacji specjalnej wyzwolenia sułtana Omanu.

— Racja. Trzeba posadzić sułtana przed kamerą. Niech powie prawdę o tym zaproszeniu wojsk francuskich do najechania jego kraju. Francja zbyt długo mydli oczy światowej opinii publicznej. Co za bzdura, inwazja w celu stłumienia nieistniejącego powstania. Chcą zagarnąć ropę i sprzedawać ją Chinom.

— Nasi ludzie znajdują się w twierdzy na wyspie Masira, panie prezydencie — informował Gooch. — O godzinie jedenastej czterdzieści czasu waszyngtońskiego wkroczyli tam, aby uwolnić sułtana. Mniej więcej

dwadzieścia minut temu. Śledzimy operację na bieżąco.

— Znam Hawke'a od lat. On nigdy nie zawodzi. Jednak im szybciej wydostaniemy sułtana z tego piekła, tym lepiej. Róbcie, co tylko będzie trzeba, John.

375

— Pracujemy nad tym, sir.

- Charlie, co myślisz o tej francuskiej armadzie na Morzu Arabskim? Czy tylko prężą muskuły?

— To nie jest wykluczone, panie prezydencie — odpowiedział generał. — Dowódca Operacji Morskich rozmawiał właśnie z Frankiem Blairem, który dowodzi Szóstą Flotą. Starają się prawidłowo odczytać sytuację.

— Czy nasza marynarka posuwa się naprzód?

- Tak jest. Pentagon potwierdził, że czołowe jednostki admirała Starke'a o godzinie siedemnastej wpłynęły do cieśniny. Ustawiają się w szyk, aby powstrzymać Francuzów. W tej chwili kontrolujemy cieśninę, nikt nie przeplynie ani w jedną, ani w drugą stronę bez naszej zgody.

- Dobrze! Zawsze należy myśleć z wyprzedzeniem.

— Tak — zgodził się Gooch — ale nie wiemy jeszcze, co myślą o tym Egipt, Chiny i wszystkie niezdecydowane co do sojuszy państwa.

— Mówiąc najkrócej, panie prezydencie — wtrącił generał — Francuzi rozproszyli swoje jednostki na zbyt wielkim obszarze. Zdają sobie z tego sprawę. Wiedzą, że jesteśmy w stanie rozwalić te okręty w ciągu czterech godzin.

— Jesteśmy w stanie to zrobić, ale nie zrobimy. Ponieważ Francja to tylko naganiacz Chińczyków. Działa w ich imieniu. Gdyby Chiny nie były zamieszane w całą sprawę... Na jakim etapie znajdują się sprawy chińskie?

John?

- Już mówię, panie prezydencie. Otóż jeśli chodzi o Chiny, to rzeczy mają się tak, że...

- Już wiem - przerwał mu McAtee. - Jak zwykle, są dwie szkoły.

- Właśnie. Z jednej strony Departament Stanu uważa, że nie należy zwiększać napięcia, a przeciwnie, postarać się porozumieć z Chinami.

- Zaś z drugiej strony ja jestem zdania, że należy dać Francji i Chinom wyraźny znak, że nie będziemy tolerować odbierania nam dostępu do złóż ropy w rejonie Zatoki Perskiej — dokończył Moore.

Prezydent uśmiechnął się i czekał na reakcję Goocha.

— Panie prezydencie, chyba będziemy musieli omówić to rano przy okrągłym stole — stwierdził doradca do spraw bezpieczeństwa. — Niech Departament Stanu, Pentagon i Rada przedstawią swoje aktualne stanowisko. Muszę przy tym powiedzieć, że jestem głęboko przekonany, iż
376

uda nam się ułożyć stosunki z Chinami, jeśli tylko rozwiążemy problem Omanu. Musimy, panie prezydencie. Spójrzmy prawdzie w oczy, nasze relacje z Pekinem i tak są zbyt napięte.

— Chodzi panu o to, że jeśli nie poprawimy stosunków z Chinami, zadamy cios własnej gospodarce?

— Tak, panie prezydencie.

— Podaj mi najważniejsze szczegóły, John.

— Chodzi tu o gospodarkę i o Tajwan. W tej chwili najbardziej niepokoi mnie kwestia Tajwanu.

— Dlaczego?

— Dlatego, że jeśli wywrzemy na Chiny presję, aby odstąpiły od planu

uderzenia na Tajwan pod pretekstem manewrów i od pomysłu na zdobycie omańskiej ropy, możemy doprowadzić do kryzysu gospodarczego...

— Mają plan uderzenia na Tajwan? - przerwał prezydent.

— Tak, panie prezydencie — potwierdził generał Moore. — To supertajny chiński plan, który przewiduje wykorzystanie manewrów w Cieśninie Tajwańskiej do uderzenia na wyspę. Inwazja do pewnego momentu może wyglądać na rutynowe ćwiczenia... a potem nagle nastąpi atak. Chiny mają wycelowanych w Tajwan ponad sześćset rakiet balistycznych, wyspa jest też w zasięgu kilkuset chińskich samolotów. Wystarczy uderzyć przed świtem i... sytuacja Tajwanu może w jednej chwili stać się fatalna.

Większość jego wojsk zostałaby zaskoczona w bazach, okręty, czołgi i samoloty stojące w szeregach można by zniszczyć bez trudu.

— Chwileczkę — przerwał ponownie McAtee, gasząc niedopałek cygara.

- Czy dobrze mi się zdaje, że trzy dni temu Kelly powiedział podczas porannej narady, że chińska flota wpłynęła do Cieśniny Tajwańskiej?

— Tak się właśnie stało — potwierdził Gooch. — Chińczycy prowadzą manewry w cieśninie.

— Razem z Francuzami, jeśli dobrze pamiętam. Z okazji próbowania tego nowego rosyjskiego lotniskowca, który ostatnio kupili.

— Tak jest. Chociaż Francja większą część swoich okrętów przemieściła na Morze Arabskie.

— A wy martwicie się o gospodarkę?

— On się martwi. Ja nie — uściślił generał Moore.

— Nie graj mi tu pod publiczność, Charlie - skarcił go prezydent.

377

— Obaj z Johnem martwimy się o gospodarkę, ale nie w jednakowym

stopniu.

— To już rozumiem.

— A ja bardzo martwię się o gospodarkę - przyznał Gooch. - Panie prezydencie, jeśli jest prawdą to, co mówi zastępca sekretarza Baker...

— Kto?

— Anthony Baker, członek Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

Specjalista od spraw Azji Wschodniej. Jeśli chciałby go pan wysłuchać, siedzi po drugiej stronie korytarza, w Gabinetcie Roosevelta. — Gooch odchrząknął i poprawił bladoniebieski krawat marki Hermes. - Baker twierdzi, że jeśli będziemy zdecydowanie naciskać na Francję w kwestii Omanu, Chiny dadzą nam nauczkę, rujnując naszą gospodarkę. Jak pan doskonale zdaje sobie sprawę, panie prezydencie, Chińczycy wykupili większość naszych obligacji skarbowych. Umożliwia to utrzymywanie naszych stóp procentowych na niskim poziomie. Jeśli jednak Chiny przestaną kupować amerykańskie obligacje, cóż, nie muszę panu mówić, co się stanie.

— Powiedz.

— Aby pozyskać nowych chętnych na obligacje, Departament Skarbu będzie musiał podwyższyć ich oprocentowanie. Ponieważ gospodarka to naczynia połączone, wskutek takiego ruchu wzrosną wszystkie stopy procentowe. Następnie Chiny przestaną sprzedawać tanie towary. Koszty życia przeciętnego Amerykanina gwałtownie wzrosną, a w Chinach raptownie wzrośnie bezrobocie i spadnie eksport. U nas poziom inflacji przekroczy najgorsze prognozy, podobnie jak oprocentowanie kredytów hipotecznych i konsumpcyjnych.

— W takim razie w tej wojnie nie będzie wygranych. Chinom też się to nie

opłaci. Co ty na to powiesz, Charlie?

— Ja o wiele bardziej martwię się o Tajwan — odpowiedział generał. — To, co John powiedział na temat ekonomicznych skutków konfrontacji z Chinami, jest bezdyskusyjnie prawdą. Najważniejszą sprawą w polityce zagranicznej jest jej wpływ na stan waluty; a Chiny są w stanie obniżyć wartość dolara. Jednak to nie wszystko. Kluczową kwestią, w której Chiny absolutnie nie ustąpią, jest to, że muszą mieć dostęp do ropy. Ropa naftowa jest im niezbędna, to podstawa gospodarki. W porównaniu z nią

378

wszystko inne jest nieważne. Jeśli wywrzemy na nich nacisk, położą na stół kartę Tajwanu, jestem tego pewien.

— Ale świetnie im idzie bez Tajwanu — zauważył prezydent. — Osiągnęli dwucyfrowy wzrost gospodarczy. Czemu mają taką obsesję na punkcie tej wyspy?

— Dlatego, że nie podoba im się tajwański wzór demokracji tuż pod ich nosem. Ani to, że wykorzystujemy Tajwan jako bazę naszego lotnictwa morskiego. Jeżeli postawimy Francję pod ścianą i nakażemy jej wycofać się z Omanu, Chiny przyprą do muru nas, używając Tajwanu jako argumentu. Nie mam w tym wypadku na myśli możliwości gwałtownego wzrostu inflacji czy oprocentowania kredytów. Obawiam się wojny atomowej, która naprawdę zmieniłaby jakość życia Amerykanów. Chińczycy zagrają kartą Tajwanu, ponieważ nie mają wyboru. Wykonają ten ruch.

— To wszystko?

— Z mojej strony tak, panie prezydencie.

— Czy masz coś do dodania, John?

— Powiem to, co powtarzam od czterech lat. Jesteśmy zależni od Chin. Jednak nasze relacje z tym krajem to symbioza, stan idealnej równowagi. Chiny potrzebują Stanów Zjednoczonych tak samo jak my Chin. Chodzi o gospodarkę. Nie tkną Tajwanu, ponieważ oznaczałoby to zniszczenie wszystkiego, co z takim trudem zbudowali. W jednej chwili zniweczyłoby ich osiągnięcia. Nie zdecydują się na to.

— Dzięki, że wpadliście, chłopcy — zakończył prezydent. — Charlie, czy mógłbyś zostać jeszcze parę minut? Mam do ciebie pewną sprawę. Gooch wyszedł, a McAtee zaprowadził Moore'a do barku. Nalał po sporej porcji burbona generałowi i sobie.

— Jeżeli jesteś zdania, że Chiny uderzą na Tajwan, to mi wystarczy, Charlie - zakomunikował McAtee.

— Tak jest. Dziękuję, sir.

— Musimy być na to gotowi. Uruchomimy operację „Dzika Karta”. Moore spojrzał prezydentowi w oczy. Tego właśnie najbardziej bał się usłyszeć.

— Będziemy gotowi, panie prezydencie - zapewnił.

— W tej sprawie współpracuje z tobą bezpośrednio Harry Brock, prawda? Nie CIA?

379

— Wysłałem Brocka do Chin. A teraz do Omanu.

— Czy masz jakieś wieści pochodzące bezpośrednio od Brocka albo Aleksa Hawke'a? Cały kryzys w Zatoce Perskiej byłby dla nas o wiele łatwiejszy do rozwiązania, gdybyśmy byli w stanie udowodnić światu, że to Francja jest wszystkiemu winna. I pieprzony Bonaparte.

— Nie otrzymaliśmy żadnych wiadomości, odkąd oddział wkroczył do

twierdzy. Powinniśmy wszystko wiedzieć w ciągu najbliższej godziny.

— Zawiadomisz mnie natychmiast?

— Tak jest.

— No to zdrowie!

— Zdrowie!

— Panie prezydencie! — zawołała od drzwi Betsey Hali.

— Tak?

— Przepraszam. Pan Gooch chciałby...

Gooch ominął ją i wpadł do Gabinetu Owального. Na twarzy doradcy do spraw bezpieczeństwa malował się niepokój.

— Panie prezydencie, francuskie jednostki lądują właśnie na wybrzeżu Omanu. Piechota, transportery opancerzone. Maskat, stolica Omanu, jest w tej chwili ostrzeliwany z morza. Podobnie jak inne ważne miasta na wybrzeżu. Na lotnisku w Maskacie wylądowali francuscy spadochroniarze.

— Jezus Maria! - jęknął prezydent. - Czy wiadomo coś o operacji Hawke'a?

— Tak. Właśnie powiadomił, że udało im się bezpiecznie opuścić twierdzę.

— Czy uwolnili sułtana Abbasa?

— Sułtan zginął. Został zabity podczas akcji.

— Cholera jasna!

— Mam jednak i dobrą wiadomość. Hawke'owi się udało. Nagrał na wideo przemówienie sułtana, w którym Abbas oskarżył Francję i Bona-partego. Jednoznacznie zaprzeczył temu, jakoby to on zaprosił francuskie wojska.

— Dziękuję ci, John. Dzwon do stacji telewizyjnych i niech natychmiast

puszczą nagranie w eter. CNN, FOK, al-Dżazira.

— Już się robi!

— I niech połączą mnie z Bonapartem. Czas na moje małe tete-a-tete z tym gnojkiem.

Rozdział 56

Hongkong

Że też ze wszystkich portowych spelun w Makau musiała wybrać akurat tę!

Stokely zatelefonował do Jet rano, natychmiast po przybyciu. Dwanaście godzin po tym, jak pożegnał się z Alekssem na lotnisku w Maskacie, zameldował się w hotelu w Hongkongu. Hawke polecił Stoke'owi dowiedzieć się •więcej o rzeczach, o których mówiły dokumenty wykradzione przez niego w Berlinie. Trzeba było natychmiast poznać plany generała Moona. Jones się przeciągnął. Z jego łóżka rozciągał się piękny widok na port. Wystukał numer zapisany na zostawionej mu przez Jet w Berlinie kartce. Rozmawiała z nim ożywionym, radosnym tonem. Podobno ukrywała się w domu przyjaciółki w Makau.

Zanim Stoke zdążył przejść do powodu swojej wizyty, Jet spytała o Aleksa. Jak się czuje, co porabia. Powiedział, że u Aleksa wszystko w porządku. Zdaje się, że Jet zakochała się bez wzajemności w Hawke'u. Należało przejść nad tym do porządku dziennego. Jeśli się zakochała, można było im życzyć powodzenia. Hawke kochał w życiu tylko dwie kobiety — nie licząc matki. Consuełę de los Reyes, która obecnie nie chciała z nim rozmawiać. IVictorię Sweet, która już nie żyła.

Stoke powiedział też Jet, że przyjaciel Aleksa, Ambrose Congreve, został postrzelony na jakimś eleganckim przyjęciu na Long Island i przewieziony

karetką reanimacyjną do szpitala. Na razie nie było wiadomo nic więcej. W każdym razie Alex poleciał do Nowego Jorku, żeby pobyć u boku rannego przyjaciela. On także się tam wybierał, kiedy tylko załatwi sprawy w Hongkongu.

Jet powiedziała, że przykro jej z powodu przyjaciela Aleksa i że chciałaby zrobić, co tylko w jej mocy, żeby pomóc Aleksowi. A potrzebuje on jej pomocy bardziej, niż mu się zdaje. Stoke zastanawiał się nad znaczeniem tych słów. Jet dodała tymczasem:

— Czegokolwiek dowiedziałeś się o von Draxisie i „Lewiatanie”, przypuszczam, że nie wiesz wszystkiego.

381

— Nie możesz powiedzieć mi całej prawdy?

— Nie mogę, ponieważ jej nie znam, mówię szczerze, i nie chcę jej poznać. Moje relacje z ojcem i tak są bardzo skomplikowane.

W odpowiedzi Jones wyjawiał jej, o czym między innymi rozmawiali z Alekssem i „Cegłą” Kellym z CIA. Jet potwierdziła, że zmierzają we właściwym kierunku. Bez wątpienia chodziło o jakieś wspólne francusko-niemiecko-chińskie przedsięwzięcie i na pewno miało ono związek z ropą. Jednak wciąż brakowało wielu elementów układanki. Pozostały liczne, bardzo niepokojące tajemnice.

Na koniec Jet oznajmiła, że powinni się spotkać tego wieczoru.

Pracując jako nowojorski detektyw, Stoke nauczył się wielu rzeczy.

Między innymi tego, że umówione spotkania z ludźmi, którym nie do końca się ufa, zawsze są bardzo interesujące. Jet niewątpliwie pójdzie na całość. Albo wprowadzi go we -wszystkie znane sobie tajemnice, albo — w bardzo niebezpieczną pułapkę.

Wyobraził sobie, jak naszpikowany narkotykami zostaje przewieziony na jakiś statek, płynący donikąd, lub do jakiegoś odległego domu, gdzie poddadzą go reedukacji. Albo że go po prostu zamęczą.

Nie miał innego wyjścia, jak sprawdzić, co się stanie. Jet zaproponowała spotkanie w lokalu o wiele mówiącej nazwie Krąży Kat Klub (pisownia oryginalna). Stoke musiał przyznać, że klub miał swoją atmosferę. Było to skrzyżowanie meliny alkoholowej z palarnią opium. Wypełniona dymem speluna roiła się od portowych typów spod ciemnej gwiazdy i ludzi, którzy wyglądali jak żywe trupy. Najwyraźniej napalili się w życiu za dużo opium, czy może raczej zażywali heroinę. Jet zapowiedziała, że przyjdzie najpóźniej o godzinie dwudziestej. Dochodziła już jednak dwudziesta pierwsza. Stoke siedział przy barze, sącząc ciepłą colę i wpatrując się w drzwi wejściowe.

Jet mówiła też, że potrzebna będzie łódź. Niekoniecznie wygodna, ale szybka. Taka, którą będą mogli przepłynąć do portu w Hongkongu, nawet przy złej pogodzie. Pogoda była zła — na Morzu Południowochińskim tworzył się tajfun. Jego skraj przed dwoma godzinami nadciągnął nad Makau. Wicher był potężny. Jeszcze nie padało, ale ulewa także miała nadejść.

Jones próbował wystarać się o porządną motorówkę, lecz nie było to takie łatwe. W Makau nie ma wypożyczalni Hetza, w której można by wynająć luksusowy, biały ścigacz.

Ostatecznie Stoke zdecydował się kupić za gotówkę łódź od pewnego napotkanego przy nabrzeżu człowieka, który nazywał się bardzo zabawnie — He Long. Jones wybrał go głównie dlatego, że był to jedyny człowiek w okolicy, który znał parę słów po angielsku. Motorówka, o nazwie „Foo

Fighter", nie była zła. Miała tylko około siedmiu metrów długości, ale była wyposażona w zamkniętą sterówkę o płaskim dachu, pod którym Jet mogła się schować przed deszczem. Silnik marki Chevrolet, typ 327. Wyglądał czysto, przewody były w dobrym stanie. Właściciel powiedział, że „Foo Fighter” osiąga trzydzieści węzłów i Stoke mu uwierzył. Poza tym łódź była świeżo odmalowana - na jaskrawoczerwony kolor.

- Ma pan fajne nazwisko — powiedział Stokely. — Mógłby pan daleko na nim zająć, zrobić interes na sprzedaży hormonów, viagry, tego typu rzeczy. Hę Long śmiał się do rozpuku. Z pewnością nie zrozumiał, dlaczego jego nazwisko jest śmieszne, ale śmiał się z typowej dla Chińczyków grzeczności. A może pan Long chichotał po prostu dlatego, że Jones zapłacił mu dwa razy więcej, niż jego motorówka była warta?

Stokely zamierzał właśnie kolejny raz spojrzeć na zegarek, kiedy do lokalu weszła Jet Moon. Wyglądała wspaniale. Jej kruczoczarne włosy były upięte za pomocą perłowego grzebienia. Ubrała się w dopasowaną białą sukienkę. Facet siedzący obok Jonesa nawet nie zwrócił na nią uwagi. Bar dla gejów, czy co? Nie, po prostu temu człowiekowi najwyraźniej wszystko już było obojętne. Stoke spojrział Chińczykowi w oczy. W oczach półprzytomnego mężczyzny czaiło się szaleństwo.

Jet natychmiast podeszła do Jonesa. Nie było trudno go zauważyć w tłumie dwukrotnie mniejszych od niego chińskich narkomanów.

- Przepraszam za spóźnienie — powiedziała. Jones uśmiechnął się i wstał ze stołka.

- Cześć - odpowiedział. - Siadaj. Napijesz się czegoś?

- Może kieliszek białego wina?

- Mówisz poważnie? Mają tu coś takiego?

- Żartowałam, Stoke. Napiję się brandy.

Stoke zamówił u barmana ze śmieszną bródką szklaneczkę brandy i jeszcze jedną colę. Amerykańskie bary są w sobotnią noc bardzo głośnie, a w tym panowała cisza. Może wszyscy odlecieli w kosmos na chińskim białym proszku? W każdym razie dało się przynajmniej prowadzić rozmowę bez uciekania się do krzyku.

— No i jak, masz łódź? - spytała Jet.

— Tak. To ta jaskrawoczerwona, stoi przy nabrzeżu.

— Dobrze.

— Czy mogę spytać, dokąd się wybieramy?

— Do dzielnicy portowej Hongkongu, do restauracji Złoty Smok.

— Muszą podawać tam naprawdę dobre jedzenie, skoro chce ci się płynąć przy tej pogodzie.

— Zjemy obiad z moim ojcem. To jego restauracja.

— Poważnie? Czyżby chciał poznać twojego osobistego trenera?

— W tej chwili jesteś moim narzeczoną. Powiedziałam mu o tym godzinę temu.

— Widzę, że awansowałam. Nawet jeżeli wykorzystujesz mnie tylko po to, żeby zbliżyć się do Aleksa. Mogę być narzeczoną.

— To nie jest zabawne, Stoke.

— Jest. Miałaś go zabić, ale serce ci nie pozwoliło. Prawda? Powiedz mi, że się mylę. Jet zamachała niecierpliwie ręką.

— Posłuchaj, robię ci ogromną przysługę - powiedziała.- Mój ojciec jest w chińskiej hierarchii bardzo wysoko postawionym człowiekiem. A w Hongkongu są całe światy wewnątrz światów. Oszczędzam ci mnóstwo czasu, który zużyłbyś na poznawanie wszystkich po kolei.

— Powiedz mi, Jet, czego tutaj szukam.

— Minionej nocy dowiedziałam się, że mój ojciec sprzedaje materiały rozszczepialne. Na własną rękę, nie pozostawiając żadnych śladów w dokumentach.

— Materiały rozszczepialne... To znaczy broń jądrową?

— Nie wiem.

— Co to znaczy: na własną rękę? Robi to bez wiedzy i zgody władz?

— Nie umiem powiedzieć. Mówiłam ci, że jestem tylko agentką.

— Komu sprzedaje te materiały? Francji?

— Niemcom.

— I co Niemcy z nimi robią?

— Właśnie po to tu przyjechałeś, Stoke, żeby się tego dowiedzieć. W domu mojego ojca jest "wiele pokojów, i jestem pewna, że każdy kryje jakąś straszną tajemnicę. Powiedziałam ci już wszystko, co wiem.

- Zdaję sobie sprawę jakim człowiekiem jest twój ojciec, jet. I wiem, kim ty jesteś. Muszę jednak przyznać, że jestem nieco zdumiony twoim postępowaniem.

- Nie ufasz mi? Nawet po Berlinie?

- Ufam ci, Jet. Tak. Ufam, głęboko.

— Dziękuję. Szczerze ci dziękuję.

— Jet, chciałbym ci coś powiedzieć. Jestem ci bardzo wdzięczny za wszystko, co robisz. Tylko nie wiem jakim sposobem możesz wyjść z tego cało. Stałeś na drodze swojemu ojcu. Takiemu człowiekowi. Być może przeżyjemy dzisiejszą noc. Ale oni cię znajdą, Jet. Ojciec cię znajdzie. I po tym, co robisz dzisiaj, już nie wypuści cię z rąk.

— To mój problem. Jesteś gotowy?

- Płyńmy.

- Przepraszam za wyboje - odezwał się Stoke. Jet stała obok niego przy kole sterowym łodzi. Tajfun wzmagął się, rzucając pasażerów „Foo Fighter” na ściany sterówki. Deszcz tłukł o szybę, ale wycieraczki pracowały bardzo sprawnie. W kabinie było ciepło i sucho. - Chcesz, żebym zwolnił?

- Prawdę mówiąc, właśnie podziwiałam, jak zręcznie omijasz sam-pany. Widzisz te światła na horyzoncie? To jest właśnie Złoty Smok. Przycumujemy do niego, kiedy przepłyniemy kanał.

— Dobra.

Jet spojrzała Stoke'owi w oczy.

— Czego dowiedziałeś się z dokumentów, które zabrałeś z biura Schatziego?

- Niewiele. Inaczej bym tu nie przylatywał. Pracuję dla Aleksa, a Alex jest na służbie rządu amerykańskiego, przynajmniej chwilowo. Przyleciałem do Hongkongu, ponieważ Alex Hawke polecił mi to zrobić. Mówię ci to, żeby było jasne, kto dla kogo pracuje.

— Jestem po waszej stronie.

— To dobrze. Jeśli chodzi o dokumenty, które ukradłem z biura Schatziego, Waszyngton ciągle je analizuje. Wiemy, że von Draxis buduje dla Francji flotyllę supertankowców. Ogromnych, o nośności pół miliona ton każdy. Natomiast francuski koncern Elf, który jest firmą państwową,

385

stawia ogromne terminale dla tankowców, rafinerie, wszystko, co trzeba, żeby przewozić ropę z Zatoki Perskiej do Chin.

— Co jeszcze wiecie?

— Chiny będą miały ropę, a Francja pieniądze.

— A „Lewiatan”?

— Twój dobry znajomy, Schatzi, zbudował ten liniowiec dla Francuzów, podobnie jak tankowce. Myślę, że nieźle na tym zarobił.

— Mój ojciec ma głowę pełną pomysłów, Stoke — ostrzegła Jet. — Jedne z nich są dobre, inne po prostu okropne. Dlatego właśnie zjemy dziś z nim kolację w Złotym Smoku.

— Tylko we troje? Miła, przytulna atmosfera...

— Będzie nas czworo. Ojciec nie chciał powiedzieć, kim będzie czwarta osoba, ale przypuszczam, że chodzi o majora Tanga, prawą rękę ojca.

— Major Tony Tang? Czarujący facet.

— Znasz go?

— Niedawno się poznaliśmy. Ale Tang nie żyje.

— Lepiej nie wspominać o tym mojemu ojcu. Major Tang był jego najlepszym przyjacielem.

— Będę milczał jak grób. Jet zerknęła na Stoke'a.

— Dobrze, zwolnij — poleciła. — Przycumujemy tutaj, do nabrzeża restauracji. Tam, koło taksówek wodnych. Pójdziemy do prywatnej jadalni ojca, na najwyższym pokładzie. W trakcie kolacji wymyślę coś, co odwróci uwagę ojca. Wtedy ty przeprosisz i powiesz, że musisz iść do toalety. W rzeczywistości pójdiesz natomiast do kuchni, gdzie przygotowują posiłki dla ojca i jego ludzi. Nie obawiaj się niczego. Kucharze są zbyt zajęci, żeby zwrócić na ciebie uwagę. Zachowuj się, jakbyś się zgubił.

— To nie będzie trudne.

— W kuchni pracuje między innymi młody zastępca naczelnego kucharza,

nazywa się Wan Li. To mój człowiek. Spyta cię, czy może ci w czymś pomóc. Odpowiedz mu, że szukasz toalety.

— I co dalej?

— Narysowałam plan górnego pokładu Złotego Smoka. Znajdują się tam biura ojca. Zobacz, tu jest jadalnia, gdzie będziemy siedzieć. Kuchnia jest tutaj. Wan Li zabierze cię tam, gdzie powinieneś trafić.

— To znaczy gdzie?

— Zobaczysz. Z tego, co wiem, odpowiedź na wszystkie twoje pytania znajduje się głęboko we wnętrzu Złotego Smoka. Wan Li pokaże ci, gdzie.

— Co stanie się potem?

— Dam ci dwadzieścia minut. Tyle powinno wystarczyć. Później wybiegnę z jadalni i wrócę na łódź. Zostaw kluczyki. Odcumuję i podpłynę do drzwi towarowych na rufie restauracji, o tutaj. Wan Li zaprowadzi cię do nich. Ładują przez nie produkty dla kuchni.

— Masz broń? — spytał Stokely.

— W torebce. Nie będę jej potrzebować.

— Nie wiadomo.

— Stoke, to mój ojciec.

— Wiem.

Rozdział 57

Złoty Smok

Zgadnij, kto przyjdzie na obiad. — Słucham? — odezwała się Jet, wyraźnie zirytowana. Rodzinny obiad nie przebiegał dobrze. Łatwo było odgadnąć, że generał Moon nie jest zadowolony z wyboru swojej córki. Bez wątpienia wolałby innego zięcia.

— To tytuł filmu — wyjaśnił Stoke.

— Jakiego filmu, Stokely? — spytała Jet, patrząc na niego wściekle.

Wyglądała, jakby chciała go zabić, choć w rzeczywistości miała ochotę zamordować osobę, która siedziała koło niej. Ubraną w wydekoltowaną, szmaragdową sukienkę. Tajemniczym gościem okazała się siostra Jet, Bianca Moon.

Bianca wyglądała identycznie jak Jet. Bliźniaczki jednojajowe. Miały takie same piękne, kruczoczarne włosy, identyczne zielone oczy. Było jednak oczywiste, że siostry nie są w bliskich stosunkach. W jadalni generała panowała napięta atmosfera. Stoke próbował ją rozluźnić, starał się podtrzymać rozmowę. Grał na czas. W końcu Jet dała mu sygnał, że pora, aby wyszedł.

Siostry patrzyły na siebie takim wzrokiem, jakby tylko jedna miała opuścić salę żywa. Na początku rozmawiały o czymś z ojcem po chińsku. Widać było, że generał próbuje je uspokoić. Jones pomyślał, że lepiej się nie wtrącać. Widocznie omawiali jakieś sprawy rodzinne.

Nie mógł się doczekać, kiedy Jet odwróci uwagę ojca i Bianki. Nie mógł uczestniczyć w rozmowie po chińsku, a generał był coraz bliższy wybuchu. Jet patrzyła na Stoke'a pytająco. Zaraz, miał jej coś odpowiedzieć. Aha, wspomniał o filmie z Sidneyem Poitier. Jet była aktorką, więc pomyślał, że filmy to właściwy temat.

- Filmu, którego tytuł próbowałem sobie przypomnieć. Grał w nim Sidney Poitier. Pamiętasz? Przyszedł na kolację do domu Spencera Tracy'ego i Katherine Hepburn, w San Francisco. Poprosił ich o rękę córki. Pamięta pan ten film, panie generale?

- Nie.

- Był bardzo dobry — ciągnął Jones. — O Murzynie, który przychodzi do

domu białej dziewczyny, na obiad z jej rodzicami. Zapanowała napięta atmosfera, nikt nie wiedział, co mówić. Więc Sidney, to znaczy ten czarny bohater, zaczął opowiadać o...

- Przestań! - przerwała Jet, wracając do zupy z homara. Generał Moon nie był duszą towarzystwa. Ani miłośnikiem kina. Bez słowa wpatrywał się w Stoke'a. Pewnie obmyślał, jakim poddać go torturom.

- Może lubi pan futbol amerykański? - odezwał się Jones. - Grałem kiedyś w Jetsach.

W ten sposób skłonił Jet do tego, by natychmiast odwrócić uwagę ojca.

- Ty mała dziwko! — syknęła nagle do siostry. — Nie mogę znieść twoich kłamstw!

- Nie zarzucaj mi kłamstw, suko! — odparła Bianca. — To ty...

Jet rzuciła w nią miską z zupą, która poląła się jej za dekolt. Bianca zrzuciła ze stołu całą zastawę i sięgnęła po nóż. Na ten widok Stoke wstał, odłożył serwetkę i powiedział:

- Przepraszam, muszę iść do łazienki.

Uśmiechnął się do dwóch krzepkich typów w ciemnych garniturach, którzy czuwali przy drzwiach, i ruszył naprzód korytarzem. Doszedł do jego końca i skręcił -w prawo, do kuchni. Trzeba było zejść po trapie, pokład niżej — dokładnie tak, jak narysowała na planie Jet.

W kuchni panowało nieznośne gorąco, wokół kłębiła się para. Do wchodzącego Stoke'a natychmiast podszedł młody człowiek, który zapytał:

— Czy mogę panu w czymś pomóc?

— Szukam toalety — odpowiedział Jones, schylając się. Czuł się bowiem, jakby miał głowę w chmurach.

— Aha. — Wan Li uśmiechnął się, jak Chińczycy na wszystkich filmach. Skinął na Jonesa i poprowadził go przez kuchnię pełną uwijających się jak w ukropie ludzi.

Minęli stalowe drzwi i ruszyli pomostem przechodzącym nad czymś, co wyglądało na olbrzymie akwarium. Stoke zobaczył rozcinające wodę płetwy grzbietowe. Chyba była to jedyna na świecie restauracja z rekinami pływającymi wewnątrz. Nic dziwnego, że zupa z rekina miała tak świeży smak.

— Tam znajdzie pan to, czego pan szuka — oznajmił Wan Li, pokazując nieoznakowane, pomalowane na niebiesko metalowe drzwi, do których prowadziła z pomostu krótka rampa. - Drzwi są otwarte. O tej porze nikt tu nie pracuje.

— Dzięki - rzucił Stoke za odbiegającym kucharzem. Nacisnął klamkę i wszedł do długiego, wąskiego, niskiego pomieszczenia. Było w nim ciemno, tylko przez okna po lewej stronie widać było światła portu. Stokely, który spędził niegdyś trochę czasu w Newport News, pomagając kreślarzom marynarki projektować szybką rzeczną łódź patrolową, natychmiast stwierdził, dlaczego Jet sprowadziła go tutaj.

To właśnie na pokładzie Złotego Smoka zaprojektowano olbrzymi liniowiec pasażerski „Lewiatan”, a także supertankowce, które budował dla Francji von Draxis.

Spojrzał na zegarek. Jet dała mu dwadzieścia minut. Zostało szesnaście — niewiele.

Wyciągnął z kieszeni małą latarkę i ruszył z nią pomiędzy rzędami staromodnych stołów kreślarskich oraz monitorów o większych niż przeciętne ekranach. Wzdłuż prawej ściany stały makiety kadłubów

tankowców o wyporności stu tysięcy ton. Takie statki mają zanurzenie około dwudziestu siedmiu metrów, wymagają więc głębokich portów. Pomieszczenie kończyło się szklaną ścianą z drzwiami. Za nimi było mniejsze biuro projektów. Tam przy ścianie stały modele bardzo dużych i tak zwanych ultradużych tankowców - w angielskich skrótach określanych jako VLCC i ULCC. Każdy z tych ostatnich musiał mieć ponad czterysta tysięcy ton wyporności. Światowe zużycie ropy wzrastało ostatnio o osiem procent rocznie, jasne -więc było, dlaczego Francja i Chiny interesowały się tym surowcem bardziej niż dotąd. Supertankowiec podczas rejsu z Kuwejtu do Europy może przynieść dochód rzędu czterech milionów dolarów. A ile dałby rejs takiej jednostki z Zatoki Perskiej do Szanghaju? Popatrzył na wyłączony monitor. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Chiny koniecznie potrzebowały ropy naftowej i zrobiłyby wszystko, aby uzyskać do niej dostęp. Jakież to ponure tajemnice skrywał w swoim wnętrzu Złoty Smok?

Stoke usiadł przy komputerze i zaczął go przeszukiwać. Odnalazł plany olbrzymiego tankowca o nazwie „Szczęśliwy Smok”. Zaczął oglądać przekroje poprzeczne i podłużne statku, jego rufę i przekrój w linii wodnej, szukając czegoś niezwykłego. Tankowiec jak tankowiec. Obejrzał rysunek statku od zewnątrz, projekty jego gigantycznych zbiorników i przegród wodoszczelnych. Nie było tu nic ciekawego. Przeszedł więc do projektów napędu.

Po dziesięciu sekundach stwierdził, że tankowiec ma napęd atomowy. Wiedział już, na czym polega wkład generała Moona i Chińczyków w powstawanie tych statków. Dostarczali reaktorów i paliwa, podczas gdy Niemcy budowali kadłuby.

„Szczęśliwy Smok" został wyposażony w morskie reaktory czwartej generacji, podobne do rosyjskich reaktorów KN-3, w jakie wyposażone są lodolamacze klasy Arktika. Stoke przez miesiąc był pasażerem jednego z nich — należy dodać, że pasażerem na gapę. Tankowiec miał dwa bliźniacze reaktory. Jones przyjrzał się projektom reaktorów i ich rdzeni, a potem, tknięty impulsem, zaczął szukać czegoś innego. Przypomniała mu się noc na pokładzie „Valkyrie" i dozymetr, który znalazł w kieszeni strażnika, a także pusta skrzynka mieczowa. Jedno i drugie zwróciło uwagę Stokely'ego i odtąd tkwiło stale w jego podświadomości. Były też pastylki z jodem przeciwko chorobie popromiennej. Kile tankowców

390

były wykonane z ołowiu, który jest najlepszą zaporą przeciwko promieniowaniu radioaktywnemu. To musiało coś znaczyć.

Stoke otworzył kolejny dokument i zwrócił uwagę na pewien szczegół. Przekrój poprzeczny kila „Szczęśliwego Smoka", widoczny w prawym dolnym rogu ekranu. Wyglądał dziwnie.

Przecież kile powinny być pełne, całe z ołowiu. A ten nie był pełen, tylko...

Tylko skrywał coś głęboko we wnętrzu.

A niech to!!!

W jednej chwili wszystkie fragmenty układanki znalazły się na swoim miejscu. Baryłkowaty kształt, kawałki plutonu ułożone idealnie jak kawałki tortu wokół rdzenia z berylu i polonu. Nie ulegało wątpliwości, że to bomba atomowa z zapalnikiem implozyjnym. Ukryta głęboko wewnątrz ołowianego kilu supertankowca, długiego na czterysta pięćdziesiąt metrów. Statku, któremu wolno bez żadnych zezwoleń pływać po morzach

i oceanach całego świata. Statku, który będzie przepływał przez najważniejsze drogi wodne, gdzie...

Zaraz. Przecież ołów zapobiega przedostawaniu się promieniowania w obie strony. Nie chodziło o reaktor, tylko o to, że uśpiona wewnątrz ołowianego kilu bomba mogła pozostawać niewykryta przez całe dziesięciolecia. Jediną metodą jej wykrycia było... doświadczenie jej eksplozji. Jezu! Kil statku to idealne miejsce do ukrycia bomby atomowej. Pod wodą, z dala od ludzkich oczu, w ołowianej osłonie, zapobiegającej promieniowaniu na zewnątrz.

Ile takich jednostek już powstało?

Sprawdźmy... Jones odnalazł dokument, gdzie były porównywane kadłuby różnych zbudowanych przez von Draxisa statków. Wyglądało na to, że w ciągu ostatnich czterech lat w jego stoczni powstały cztery supertankowce. z których trzy miały ukryte w kilach bomby atomowe. Trzy z czterech.

Nieźle!

Wystarczy odpalić, a choćby tylko zagrozić odpaleniem jednej z nich w którejś z najważniejszych dla światowych przewozów morskich cieśnin i trzyma się w ryzach cały świat. Cieśnina Ormuz, Kanał Panamski — w jednej chwili można pozbawić Stany Zjednoczone paliwa. Trzy supertankowce z bombami już znajdowały się gdzieś na morzach i powstawał jeszcze co najmniej jeden!

391

Jones złapał ołówek i jak najszybciej zapisał nazwy supertankowców kryjących w kilach bomby atomowe. Same „smoki”: „Szczęśliwy Smok”, „Super Smok” i „JADEITOWY Smok”. W chwili, kiedy Stokely zapisywał ich nazwy, smoki pływały po wodach globu. Wyrwał kartkę z notatnika i

schował ją do kieszeni.

Dzięki Jet wiedział już wszystko. Zdradziła mu to, co wiedziała. A rzeczywistość była o wiele gorsza, niż sądziła. Jones miał teraz przed oczami pełny obraz sytuacji. Niemieckie stocznie von Draxisa budowały tankowce. Francja kupowała je, aby przewozić ropę naftową do Chin. Chiny sprzedawały Francji reaktory i paliwo nuklearne do tankowców. Każda ze stron zarabiała.

Zaś w trzewiach każdej z krążących po świecie bestii tykała niewidzialna bomba, która umożliwiała Chinom i Francji szantażowanie całego świata. Stoke szukał kolejnych danych, spoglądając na zegarek. Minęło już dwadzieścia minut, ale przestał się o to martwić. Musiał jeszcze odnaleźć mechanizm odpalania bomb. Przewijał kolejne strony niekończących się dokumentów. Szukał mechanizmu zegarowego czy też odbiornika sygnałów radiowych. Nie wystarczyło wiedzieć, gdzie jest bomba, trzeba było jeszcze poznać mechanizm jej odpalania. Bo inaczej nie można było zapobiec wybuchowi.

Po kilku minutach Stoke musiał jednak przestać. Najwyraźniej nie było żadnego mechanizmu zegarowego, a bomba była odpalana na odległość, przez radio czy też za pośrednictwem satelity. Musiał wydostać się ze Złotego Smoka, zanim znajdą go ochroniarze generała Moona. Na koniec należało sprawdzić jeszcze jedną, bardzo ważną rzecz.

Jones wybrał funkcję „wyszukaj pliki lub foldery”, a następnie wpisał słowo „lewiatan”.

Bo skoro te pieprzone tankowce woziły w kilach bomby atomowe, to dlaczego nie miałyby takiej bomby wozić... Cholera. Nie pojawił się ani jeden dokument zawierający słowo „lewiatan”. Jones uderzył pięścią w

stół i spróbował jeszcze raz.

Nic z tego.

Wypadł z biura projektów, przebiegł pomostem ponad zbiornikiem z rekinami, w kuchni zwolnił kroku. Wan Li posłał mu pełne niepoko-

192

ju spojrzenie i pokazał wyjście na rufę statku restauracji. Najwyraźniej Stokely zbyt długo był nieobecny. Może Jet już odpłynęła? Tak czy owak sam będzie musiał sobie poradzić. W tej chwili myślał tylko o „Lewiatanie”. Był nadzwyczaj ciekaw, czy w kilu tego wielkiego statku także znajdowała się bomba atomowa. Liniowce pasażerskie pływają po całym świecie, podobnie jak tankowce.

Ciekawe, gdzie w tej chwili znajdował się „Lewiatan”. Był tylko jeden sposób na dowiedzenie się tego.

Kiedy Stoke wbiegł na rufę, czerwona motorówka właśnie odbijała. Jones stał jakieś sześć metrów nad wodą. Wiedział, że jego wołanie na nic się nie zda -Jet nie mogła go usłyszeć. Miał szansę wylądować na płaskim dachu sterówki „Foo Fighter”, gdyby skoczył. Lepsze to niż starać się dotrzeć wpław do brzegu, w tych warunkach pogodowych, po ciemku, w samym środku portu w Hongkongu.

Skoczył więc i zamachał rękami w powietrzu, ponieważ Jet właśnie w tym momencie postanowiła dodać gazu.

Jakimś cudem wylądował na dachu motorówki.

Powiadają, że strach dodaje skrzydeł.

Zsunął się na tylny pokład. Jet stała nieruchomo przy kole sterowym, wpatrując się w dal. Jej piękna biała sukienka była rozdarta, poplamiona krwią. Jet była bosa, miała zmierzwione włosy, także na nich widać było

kw. Gdy Stokely oparł dłoń na jej ramieniu, odwróciła się. Płakała.
— Hej, dobrze się czujesz? — spytał, świetnie znając odpowiedź. Jet odwróciła wzrok. — Jet, powiedz coś do mnie.

— Mam nadzieję, że znalazłeś to, czego szukałeś — powiedziała pozbawionym życia głosem.

— Znalazłem. Ale muszę dowiedzieć się jeszcze jednej rzeczy.

Natychmiast. Tego...

— Będzie nas ścigał — przerwała Jet. — Zwłaszcza mnie.

— Co się stało?

— Kiedy nie było cię zbyt długo, ojciec i siostra domyślili się, co się dzieje. Ojciec złapał mnie i przytrzymał. Wpadli strażnicy, ale kazał im odejść. Zamknął drzwi na klucz. To była sprawa rodzinna. A potem dał Biance nóż i kazał jej podciąć gardło zdrajczyni. To znaczy mnie. Bianca była gotowa to zrobić. Uśmiechnęła się nawet. Dlatego mam nadzieję, że zdobyłeś potrzebne ci informacje.

393

— Tak mi przykro, Jet! Jeśli to dla ciebie pocieszenie, powiem ci, że zrobiłaś to, co powinnaś była zrobić.

— To, co powinnam? Zabiłam własną siostrę. I omal nie zabiłam ojca.

— Zrobiłaś to w samoobronie, Jet. Spróbuj się trochę uspokoić.

— Jak mam się uspokoić? Mój własny ojciec chce mnie zabić. Kiedy generał Moon chce kogoś zabić, nie ma miejsca, do którego można by uciec. To już koniec, Stoke. Nie wydestaniemy się żywi z Chin.

— W jakim stanie jest twój ojciec?

— Jest nieprzytomny, zrobiłam mu zastrzyk z ketaminy. To środek znieczulający. Jeśli dobrze trafiłam w żyłę, powinien pozostać

nieprzytomny przez parę godzin. Potem...

— Słuchaj, Jet. Wiedziałem, że będę musiał opuszczać to miejsce w pośpiechu. Nie wiedziałem tylko, czy ty także. Czeka na nas hydroplan.

— Gdzie?

— Przycumował w porcie w Kowloonie. Sześć minut drogi stąd. Polecimy nim na Tajwan. Tam, na lotnisku Czang Kai-szeka, czeka odrzutowiec Departamentu Stanu, cały czas grzeje silniki. Wywiozę cię z Chin.

Dobrze?

Jet ledwie zauważalnie skinęła głową.

— To słuszna decyzja — kontynuował Stokely. — Dziękuję ci za to, co zrobiłaś w restauracji. Muszę jeszcze zadać ci jedno pytanie. Gdzie w tej chwili są tankowce? Te wszystkie wielkie niespodzianki, które kryją w sobie statki?

— Nie wiem.

— Oczywiście, że wiesz. Powiedz.

— Nie wiem, Stoke! Skąd miałabym wiedzieć? Wiem, że „Lewiatan” przed pięcioma dniami wypłynął z Hawru. Pewnie stoi już przy nabrzeżu.

— Przy którym nabrzeżu? Czy Schatzi nie powiedział ci tego czasem?

— W Nowym Jorku; jeśli dobrze pamiętam, przy nabrzeżu93.

— O Jezu! Czy „Lewiatan” ma w sobie bombę atomową?

— Słucham?

— Myślę, że w kilu „Lewiatana” jest bomba. Pamiętasz model tego liniowca, który oglądaliśmy w Niemczech? Miał dziwny, wybrzuszony kil. W środku jest bomba atomowa, Jet.

394

- Mój ojciec nie zrobiłby czegoś takiego. Nie jest aż tak złym

człowiekiem, masowym mordercą. Wątpię, żeby... Och, mam nadzieję, że się mylisz.

- Przypuszczam, że tak potężna bomba zniszczyłaby całą nowojorską West Side. A pozostała po eksplozji część miasta zostałaby zalana skażoną wodą. Poziom promieniowania byłby tak wysoki, że Nowy Jork nie nadawałby się do zamieszkania co najmniej przez najbliższe dziesięć lat.

Jet podniosła spojrzenie. Łzy płynęły jej po policzkach.

- Nie wierzę, że ojciec mógłby to zrobić. Wysadzić świat w powietrze.

- Dobrze, powiedz mi coś innego. Czy Francuzi wiedzą o tych bombach? Czy współdziałają w tej sprawie z twoim ojcem?

- Wątpię. Tu nie chodzi o Francję. Francuzi nie mają pojęcia, co robią. Chodzi o panowanie nad światem, Stoke. O Chiny i Stany Zjednoczone, o podział łupów, o podniesienie stawki. Następna wojna światowa będzie wojną o ropę, mówię ci na wypadek, gdybyś jeszcze tego nie wiedział. Chiny mają jej za mało.

- Jet, czy mogłabyś się położyć na koi? - spytał nagle Jones. - Przejmę ster, dobrze? Zawołam, jeżeli będę cię potrzebował.

- O co ci chodzi?

- Mamy towarzystwo. Dwa stateczki z niebieskimi kogutami. Pełno tu różnych jednostek pływających, więc może uda mi się ich zgubić. Ukryłem pod koją trochę broni. Dwa pistolety heckler & koch i granatnik. Stoke przejął ster i skręcił ostro, żeby nie zderzyć się z nadpływającym promem. Jet kucnęła, podniosła koję i podała Jonesowi jeden z pistoletów maszynowych. Widać było, że jest w szoku. Nie mogłaby teraz wiele pomóc.

Kątem oka Stokely zobaczył migające szybko niebieskie światło. Po

chwili znikło pośród pływającego miasta barek, płaskodennych łodzi i wiosłowych sampanów. Miał nadzieję, że zgubił policyjną motorówkę, ale minutę później niebieskie światła zamigały ze wszystkich stron. Ściagały ich dwa czy trzy szybkie kutry patrolowe, a może było ich jeszcze więcej. Migające światła zbliżały się zarówno z przodu, jak i z tyłu, sternicy z nieprawdopodobną wprawą omijali powolne łodzie, płynąc z wielką prędkością.

395

„Foo Fighter” była jednak mniejsza od nadpływających kutrów i Stoke miał nadzieję, że jeszcze szybsza niż one.

Niewątpliwie za chwilę pojawi się więcej policji. Kiedy generał Moon oprzytomnieje, skieruje tu całą chińską marynarkę wojenną. Stoke otworzył maksymalnie przepustnicę. Silnik zaryczał i mała motorówka wykonała wielki skok naprzód. Ucieszyło to Jonesa. Od początku spodobały mu się chromowane głowice dużego, widlastego ośmiocylindrowego silnika i okazały, sportowy gaźnik Holleya o czterech gardzielach. Wiedział, że silnik dużej mocy może mu się przydać.

Teraz „Foo Fighter” pędziła przez akwen, na którym było znacznie więcej wolnego miejsca. Za oknami śmigały neony miasta, daleko przed dziobem majaczyły stapiające się ze sobą ciemne sylwetki sampanów. Jones gnał prawie osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, prosto ku gromadzie szczepionych ze sobą łodzi. Oddzielały one motorówkę od portu w Kowloonie. Jones nie mógł zwolnić. Nachylił się więc nad kołem sterowym, ignorując szybko zbliżające się kutry patrolowe. Wyteżył wszystkie zmysły.

Kilkanaście centymetrów przed jego twarzą przednia szyba sterówki

rozprysnęła się nagle; usłyszał bzyk kuli koło lewego ucha. Po chwili poczuł uderzenia kul w burtę i pokład. Celnie w nich mierzyli... Cholera! Zakręcił kołem sterowym w prawo i rozminął się o kilkadziesiąt centymetrów z dużym sampanem. Nagle zobaczył przed sobą jaśniejszy prześwit w ciemnej masie łodzi tworzących pływające miasto. Dwie potężne barki wyznaczały kanał niewiele szerszy od „Foo Fightera”. Stoke nie zwalniał. Nie miał czasu na wymianę ognia z chińskimi kutrami patrolowymi. Spieszył się na samolot. Musiał też zatelefonować. AlexHawke przebywał w tej chwili w Nowym Jorku. Prawdopodobnie w szpitalu, w sali, gdzie leżał Ambrose Congreve. Trzymając lewą dłonią koło sterowe, Stoke wyjął telefon satelitarny. Musiał porozmawiać z Alekssem o bardzo ważnych sprawach.

Natychmiast.

Skręcił ostro w lewo i „Foo Fighter” wpłynął z wielką prędkością w kolejny ślepo kończący się kanał.

Rozdział 58

Nowy Jork

Dzień dobry — odezwał się Ambrose, nie panując do końca nad drżeniem powiek. Niespodziewanie pojawiła się przy jego łóżku niewyraźna sylwetka. Congreve pamiętał, że poprzedniego dnia przewieziono go karetką z Southampton do Nowego Jorku, aby wyjąć mu kulę z kręgosłupa w New York Hospital. Operacja zakończyła się przed sześcioma godzinami. Głos Ambrose'a był bardzo słaby, zaś jego twarz miała kolor szarobiałej poduszki pod głową.

— Czy to ty, Alex? — upewnił się.

— Tak, to ja.

- Jesteś w Nowym Jorku...
- Owszem. Przyleciałem specjalnie, żeby cię odwiedzić.
- Co ze mną?
- Właśnie chciałem się tego dowiedzieć. Jak się czujesz?
- Cóż, niestety, jestem w szpitalu. Miałem operację.
- Wiem. Lekarz mówi, że udała się znakomicie. Jak się czujesz?
- Chyba dobrze. Chociaż drżą mi powieki. Jestem trochę zaspany.
- Jeszcze nie wywietrzała ci do końca z głowy morfina. Rano będziesz spuchnięty. Doktor zapewnił mnie jednak, że całkiem wyzdrowiejesz, jeśli tylko trochę poleżysz. Niedługo wrócisz do pełni sił i będziesz mógł znowu walczyć z przestępcami, bohaterze.
- Jakie piękne kwiaty. Dalie. Od kogo?
- Zdaje się, że od pani Purvis. A róże od Rossa Sutherlanda.
- A kto tam siedzi w fotelu?
- John Mariucci. Poznaliśmy się, czekając, aż się obudzisz.
- Z kim rozmawia? Nie widzę nikogo obok niego.
- Rozmawia przez telefon komórkowy z kimś z Waszyngtonu. Coś się święci, jak powiedziałaby twój idol, Sherlock Holmes.
- Watson. Co się święci?
- Wyjaśnię ci później.
- Czy jest tu może Diana?

397

- Była. Długi czas siedziała w tamtym fotelu. Powiedziałem jej, żeby się przeszła i odetchnęła trochę świeżym powietrzem. Zaraz powinna wrócić.
- Poznałeś ją?
- Tak. Naprawdę jest taka, jak mówisz. To wspaniała kobieta. Masz

szczyćście.

— Ona jest dla mnie za dobra, Alex.

— Bez wątplenia, ale myślę, że w swoim czasie zaczniesz cię ponaglać, żebyś wrócił do pełnej sprawności.

Ambrose zamknął oczy i zaczął szeptać tak cicho, że Hawke musiał się nachylić, aby go słyszeć.

— To, co inni widzą w kobietach, kiedy są pijani, ja widzę w niej na trzeźwo — wyznał Congreve. A potem nagle zasnął.

— Alex? Czy mogę cię na chwilę prosić? — spytał półgłosem Mariuccci.

— Słucham?

— To był telefon z Waszyngtonu, dzwonili z dowództwa ATAC. Żabojady wylądowały w Omanie. Bonaparte kontynuuje swój plan.

— A co z naszym nagraniem sułtana?

— Bonaparte twierdzi, że zachodni agenci, a konkretnie ty, zmusili sułtana do wypowiedzenia takich, a nie innych słów. Francuska telewizja powtarza początek nagrania, na którym wycierasz sułtanowi twarz z krwi, zanim zaczyna mówić. Boże! Dam ci telefon, ktoś łączy pilną rozmowę. To StokeLy jones dzwoni do ciebie z Hongkongu. Jeszcze dziesięć sekund. Hawke podniósł telefon do ucha i słuchał, mrużąc oczy. Rozmawiał ze Stokiem może dwie minuty, pożegnał się, rozłączył i wstukał inny numer.

— Przełączam na głośnomówiący — oznajmił, opadając na fotel. Położył telefon na stoliku pomiędzy sobą a Mariuccim i wypił resztę dawno wystygłej kawy. Rzeczywiście otarł krew z twarzy sułtana. Sułtan podziękował mu za to... A teraz Bonaparte polecił puszczać ten fragment nagrania bez dźwięku.

— Mówi Jack McAtee — odezwał się z głośnika telefonu grobowy głos

prezydenta Stanów Zjednoczonych.

— Dzień dobry, panie prezydencie. Tu Alex Hawke. Przepraszam, że przeszkadzam panu o tak późnej porze.

— Alex! Miło cię słyszeć, chłopie. Wykonałeś dobrą robotę. Siedzę z Kellym, Goochem i Charliem Moore'em. Już nadajemy twoje nagranie wideo. Al Dżazira puszcza je co dziesięć minut. Świat arabski wrze, zwracając się przeciwko Francji.

— Cieszę się, że mogłem pomóc, panie prezydencie — odpowiedział Hawke. — Podobno francuska telewizja z rozkazu władz puszcza początek nagrania bez dźwięku. Musimy pokazywać całość, całe trzydzieści sekund poprzedzających wypowiedź sułtana.

— Zrobi się. Co tam u ciebie?

— Panie prezydencie, przełączyłem telefon na tryb głośnomówiący; koło mnie siedzi delegat policji nowojorskiej do rady antyterrorystycznej ATAC, kapitan John Mariucci. Niestety mam złą wiadomość.

— Niecałe trzy godziny temu rozmawiałem przez telefon z Bonapartem. Powiedziałem temu skurwielowi, że jeśli nie chce, żebyśmy po raz drugi wylądowali w Normandii, ma trzymać się z dala od Omanu. Zapewnił mnie, że nie ma zamiaru najeżdżać tego kraju. A teraz dowiedziałem się, że francuskie wojska jednak najechały na Oman.

— Dowiedziałem się o tym przed chwilą.

— Czy nigdy nie wyciągniemy lekcji z przeszłości?

— Panie prezydencie, dzwonię w innej sprawie.

— Mów śmiało, Alex.

— Dosłownie przed momentem zadzwonił do mnie mój człowiek z Hongkongu. Jak wie pan dyrektor Kelly, posłałem tam rano agenta, żeby

dokończył zbieranie informacji o działaniach generała Sun-yat Moona.

—Tak.

— Wydaje mi się, że teraz już wszystko wiemy. Nie jest dobrze, panie prezydencie. W ciągu minionych czterech lat stocznie niemieckiego potentata przemysłowego von Draxisa zbudowały cztery super tankowce. Wszystkie kupiła francuska firma Elf. Trzy z tych czterech statków mają ukryte w ołowianych kielach wyjątkowo potężne bomby atomowe. Kile podwieszono w stoczni Shanghai Shipyard, tam też wyposażono okręty w reaktory atomowe i paliwo do nich, chińskiej produkcji.

— Mówisz o jakichś bombach atomowych?

— Tak, o potężnych bombach, panie prezydencie.

— Jezu! Zaczekaj chwilę. Przełączyłem cię na głośnomówiący. Kelly pyta, czy to bomby plutonowe czy uranowe.

— Plutonowe, tak powiedział Stoke.

Przez chwilę było słycać stłumioną rozmowę, po czym prezydent odezwał się znowu:

— Mów dalej, Alex. Powiem ci tylko teraz, że musimy podzielić nasze działania na osobne operacje. Ta będzie miała nazwę Dzika Karta. W tej chwili uruchamiamy Langley. Nie wpuścimy żadnego z tych tankowców.

— Tak jest. Bomby atomowe są osłonięte grubą warstwą ołowiu, z którego wykonano kile statków. Ciekawy pomysł. Straż portowa nie wykryje bomb, bo nie ma żadnych śladów promieniowania. Żadna straż portowa na świecie nie potrafi przeświecić takich kilów.

— Gdzie w tej chwili znajdują się te tankowce?

— Nie wiemy, sir.

— Jak się nazywają?

— „Szczęśliwy Smok”, „Super Smok” i „Jadeitowy Smok”. Wszystkie pływają pod banderą francuską.

Prezydent zaczął wydawać rozkazy swoim ludziom.

— Alex, już szukamy tankowców — powiedział po chwili do telefonu. — Znajdziemy je. Ale ty chyba jeszcze nie skończyłeś.

— Taka sama bomba atomowa znajduje się w kilu liniowca pasażerskiego „Lewiatan”.

— Matko Boska! - zawołał Mariucci, łapiąc Hawke'a za ramię. -

„Lewiatan” stoi w Nowym Jorku! Przyplłynął w zeszły wtorek. Bomba jest tutaj! Byłem na jednym z holowników klasy Moran...

— Alex — odezwał się spokojnym głosem prezydent — czy mówicie o tym olbrzymim statku pasażerskim, który na początku tygodnia przyplłynął do Nowego Jorku?

— Tak jest. O tym nowym francuskim olbrzymie. „Lewiatanie”.

— Mówisz, że w jego kilu znajduje się ogromna bomba atomowa?

— Tak. Powinienem to potwierdzić, ale wierzę, że tak jest.

— Wierzysz także, że to chińska bomba? Że zamontowali ją Chińczycy? To flagowy okręt Francji. Zbudowany w Niemczech.

— Reaktory „Lewiatana” zainstalowano w stoczni w Szanghaju, panie prezydencie. I tam podwieszono kil.

400

- Rozumiem. Słuchaj uważnie, Alex — mówił McAtee. — Nikomu nie wolno pisać słowa na ten temat, dopóki nie wydam takiego rozkazu. Czy pan także mnie słyszy, kapitanie Mariucci?

- Tak jest, panie prezydencie.

- Nie wolno wspomnieć na temat bomby „Lewiatana” ani słowa, dopóki

sami nie dotrzecie do tego statku i nie potwierdzicie jej istnienia. Mówię także do pana, kapitanie Mariucci. Tylko panu wolno zajmować się tą sprawą. Nie chcę żadnych śmigłowców na niebie, łodzi policji portowej, niczego. Nie wolno puścić nawet pary z ust, dopóki nie będziemy absolutnie pewni, z czym mamy do czynienia. Czy zostałem dobrze zrozumiany?

- Tak jest - potwierdził Mariucci. - Prawdopodobieństwo wybuchu paniki jest znacznie większe niż to, że w najbliższym czasie bomba zostanie zdetonowana. Jeżeli w ogóle jest pod pokładem tego potwora.

- Właśnie. W takim razie ruszajcie do portu. Alex, masz numer mojej bezpiecznej linii. Jest teraz dwudziesta druga piętnaście. Zadzwoń do mnie za pół godziny, niezależnie od rozwoju sytuacji. Nie mogę prowadzić skutecznych negocjacji z Chinami w sprawie Omanu, dopóki nie będę miał od ciebie pewnych informacji na temat bomby.

- Tak jest...

- Jeżeli ta bomba nie opuści Nowego Jorku, jest bardzo prawdopodobne, że przystąpimy do wojny z Chinami.

Rozdział 59

Nowy Jork

Hawke i Mariucci w milczeniu zjechali windą na parter. Wyszędłszy z budynku szpitala, ominęli czekający radiowóz i wsiedli do taksówki na rogu York i Siedemdziesiątej. W niedzielny wieczór nie było korków. Krótco po dwudziestej pierwszej trzydzieści dojechali do terminalu pasażerskiego przy nabrzeżu 93. — Masz jakieś pomysły? — spytał Mariucci, kiedy wysiedli z taksówki. 401

— Jeszcze nie — odparł Hawke. — Sądziłem, że do tej pory coś

wymyślisz.

Nad terminalem górowały oświetlone pokłady olbrzymiego statku, przysłaniając niebo. Alex wiedział, że „Lewiatan” jest dwukrotnie dłuższy niż wynosi wysokość wieży Eiffla i cztery razy większy od „Titanica”. Na pięknym, czarnym dziobie wypisano złotymi literami nazwę statku. Trzeba przyznać, że monumentalny liniowiec robił ogromne wrażenie.

— Chodźmy znaleźć kapitana — zaproponował Hawke.

Pobiegli z Mariuccim przez terminal, docierając do opustoszałego punktu odpraw. Na podłodze leżały jeszcze serpentyny i konfetti. Linia Francuska przystroiła wnętrze obrazami, wstęgami i fotografiami wielkich liniowców pasażerskich z dawnych lat — „Ile de France” oraz „Normandie”.

Centralne miejsce zajmował ogromny obraz olejny, przedstawiający największy statek świata — „Lewiatana”. W tle namalowano ledwie widoczną Statuę Wolności, przysłoniętą strumieniami wody wytryskiwanej z działek stateczków pożarniczych.

Przy bramce prowadzącej na „Lewiatana” czuwało dwóch znudzonych strażników. Ledwie podnieśli oczy znad gazet, kiedy Mariucci pokazał im odznakę policyjną. John i Alex wypadli na nabrzeże. Ich pierwszym wrażeniem było to, że nie widać żadnego statku. Z tej odległości wydawał się czarną ścianą.

Był w niej otwór, ku któremu wznosił się trap o poręczach ozdobionych nieco podniszczonymi girlandami czerwonych, białych i niebieskich serpentyn. Hawke i Mariucci pobiegli po trapie na statek. Przy drzwiach czekał ubrany na biało oficer z notatnikiem. Na widok dwóch biegnących mężczyzn uśmiechnął się niepewnie. Pasażerowie dawno po-wysiadali, a tych dwóch nie wyglądało na członków załogi.

— Dobry wieczór panom — odezwał się.

— Jestem kapitan John Mariucci z nowojorskiej policji, a to mój kolega Alex Hawke z Królewskiej Marynarki. Czy możemy się trochę rozejrzeć?

— Przykro mi, proszę pana, jednak nie przewidujemy wycieczek ani niezaproszonych gości. Statek jest...

— Przepraszam, ale pan chyba się nie przedstawił — zauważył John, zbliżając twarz do twarzy oficera. - Kim pan jest?

— Jestem głównym intendentem statku, monsieur. Będę musiał prosić panów o...

402

— Słuchaj, Alain, przeczytałem twoje imię na identyfikatorze, przypląnąłeś tu niedawno, więc wytłumaczę ci, jak u nas wszystko funkcjonuje. Widzisz, to jest Nowy Jork. Mamy własne zwyczaje. Ja jestem tutejszym policjantem. Nie muszę być zapraszany.

— Chcielibyśmy zamienić kilka słów z waszym kapitanem - wyjaśnił Alex. - Czy zechciałby pan być tak miły i zaprowadzić nas na mostek?

— Cóż, w istocie...

— Prowadź, Alain.

— Jak sobie panowie życzą.

Kapitan „Lewiatana”, Francois Dechevreux, wcale nie znajdował się na mostku, tylko na otwartym pokładzie obserwacyjnym. Stał samotnie ponad pięknie ukształtowanym dziobem statku, spoglądając na rysujące się na tle nieba nowojorskie wieżowce. Dechevreux był wysokim, kościstym mężczyzną; biały mundur wisiał na nim jak na wieszaku. Hawke zwrócił uwagę na poźółkłe od nikotyny palce kapitana. W kąciku ust trzymał papierosa bez filtra.

— Piękny statek, panie kapitanie - pochwalił na początek Alex, kiedy intendent przedstawił jego i Johna. - Ma wspaniałą linię.

— Całkiem niezły — przytaknął Mariucci. — Wielki, ale przyjemny.

Kapitan szepnął coś na ucho intendentowi, który pobiegł wykonać rozkaz.

Następnie Dechevreux odezwał się do Hawke'a, wydając papierosa z ust.

Wyglądał na niezadowolonego z przybycia nieproszonych gości.

— „Lewiatan” to prawdziwy cud świata, monsieur — powiedział —

symbol nowego francuskiego renesansu. Nasz wielki przywódca, prezydent Bonaparte, podarował Francji ten statek jako symbol odrodzonej chwały naszego kraju. La Gloire. Cieszę się, że docenicie panowie piękno tego symbolu. Nie chcę być niegrzeczny, ale pozwolę sobie zapytać, po co panowie chcieli się ze mną widzieć. Czy coś się stało? Czyżbyśmy mieli coś nie w porządku w papierach?

— Jest problem, i to poważny, panie kapitanie - oznajmił John. - Ale przyszedłem tu po to, żebyśmy się go pozbyli.

— Czym mogę służyć?

— Widzi pan, panie kapitanie, burmistrz Nowego Jorku, Hizzoner, to jeden z tych ekologów, świrów, którzy przytulają się do drzew. Od
403

początku nie podobał mu się pomysł, żeby statek o napędzie atomowym, pływający pod obcą banderą, zawijał do naszego portu.

- Ten polityk ma antyfrancuskie poglądy - odpowiedział z pogardą Dechevreux, ciskając papierosa za reling i natychmiast zapalając nowego.

— Czytałem o nim.

- Ależ skąd. Burmistrz Nowego Jorku uwielbia Francję. Chodzi o co innego. On...

Hawke spojrzał z ukosa na Mariucciego, po czym rzekł:

- Panie kapitanie, słyszałem, że „Lewiatan” osiąga prędkość maksymalną grubo przekraczającą trzydzieści węzłów. To niezwykle. Czy mógłby nam pan zdradzić tajemnicę jego napędu?

- To najnowocześniejszy napęd na świecie, monsieur. Mamy pod rufą dwie obracane o trzysta sześćdziesiąt stopni gondole z dyszami wodno--odrzutowymi, każda ma moc cztery i dwie dziesiąte megawata. Wszystko sterowane niewielkim dźwojstikiem.

- Niesamowite. Ile macie reaktorów? Cztery? - wypytywał Alex.

- Mais certainement. Cztery reaktory jądrowe, z których każdy wytwarza moc napędową stu tysięcy koni mechanicznych, mierzoną na wale.

Prędkość maksymalna to nasza tajemnica. W folderach reklamowych podajemy: „wystarczająca”.

- Coś wspaniałego — przejął pałeczkę John. — Ale proszę się rozejrzeć.

Manhattan jest niesłychanie gęsto zaludniony. Ludzie zaczynają się niepokoić na sam dźwięk słowa „atomowy”. Chyba pan rozumie.

- Przy bramce, na nabrzeżu, widziałem plakat przedstawiający Alaskę — wtrącił Hawke. — Czy zamierzacie pływać także po wodach objętych szczególną ochroną ze względu na unikatowe środowisko naturalne?

- Mais oui - potwierdził kapitan. - Jesteśmy niezwykle wyczuleni na sprawy ekologii. Prezydent Bonaparte nalegał, aby statek przewyższał wymagania każdej z norm ekologicznych. Został zaprojektowany tak, aby mógł pływać...

- Jesteśmy tu właśnie w sprawie bezpośrednio związanej z ekologią, panie kapitanie - przerwał Alex. - Musimy dokonać starannej inspekcji pomieszczeń reaktorów. Natychmiast. Z tego, co wiem, jutro wieczorem

wyływacie z powrotem do Hawru?

- Nie.

— Nie? Przecież na rozkładzie jest napisane, że „Lewiatan” wypływa jutro o osiemnastej.

— Niestety rejs się opóźni. Mamy awarię; jeden z komputerów monitorujących napęd wyłączył reaktory. Statek pozostanie tu przez nieokreślony czas. To nie moja decyzja.

— Naprawdę? Ale przecież to pan jest kapitanem „Lewiatana”. Myślałem, że... Kto podjął taką decyzję?

— Budowniczy statku. Przyplłynął z nami jako pasażer. Ciągłe chodził po całym statku i coś notował. A teraz powiedział, że nie możemy wypłynąć. Ma sprowadzić chińskich inżynierów, żeby usunęli awarię. Kto wie, ile czasu im to zajmie. Sam dopiero przed chwilą dowiedziałem się o tym wszystkim. Szczerze mówiąc, jestem wściekły. To dla nas wielki wstyd!

— Czy budowniczy statku jest tu teraz? - upewnił się John, rozglądając się.

— Mais ouil Wiecie panowie, co mi powiedział? Że w wieszakach na drzwiach luksusowych kabin jest za dużo śrubek. Rozumieją panowie? Za dużo śrubek! - Widać było, że kapitan się denerwuje. Cokolwiek działo się na pokładzie stalowej bestii, jej kapitan o tym nie wiedział.— Bonaparte zlecił budowę „Lewiatana” niemieckiemu przemysłowcowi, baronowi von Draxisowi. Nowa „Queen Mary” powstała we Francji, a jej budowa zapewniła pracę wielu Francuzom. A nasz ukochany prezydent postanowił, że ten wspaniały liniowiec zbudują Niemcy! Jaki sens miało takie posunięcie? Nie wiem. Idźcie, panowie, znajdźcie barona. Poszedł do baru Normandie, zdrzemnąć się, zanim znowu będzie się tu rządził.

— Chcielibyśmy jeszcze zadać panu jedno pytanie — odezwał się Alex.

— Czy mógłby pan powiedzieć nam coś o konstrukcji kila? Jest w nim coś niezwykłego?

— Nie. Jest ołowiany.

— Czy nie zawiera czegoś w sobie? Na przykład elektroniki? Czy bocznych dysz sterujących?

— To jest kil, monsieur! Normalny kil. Balast. Dajcie mi już spokój, panowie, jestem w tej chwili naprawdę bardzo zdenerwowany.

— Dziękujemy panu, panie kapitanie — zakończył Mariucci. —

Znajdziemy ten bar.— Odchodząc, szepnął Johnowi na ucho:—Von

405

Draxis upozorował awarię, żeby statek mógł stać w Nowym Jorku przez nieokreślony czas. Jak koń trojański.

— Dokładnie tak — zgodził się Hawke. — Mam pomysł.

— Podzielisz się nim ze mną? — spytał Mariucci. Wchodzili akurat do ogromnego salonu ozdobionego w stylu art deco.

— Powiemy temu von Draxisowi, że przyszliśmy, żeby uchronić jego i Francję przed wielką kompromitacją, oznajmimy, że straż portowa wykryła wyciek promieniowania.

— Dobry pomysł. Zobacz, to musi być on, idzie w naszą stronę. Wygląda jak wściekły byk.

—W sklepie z chińską porcelaną.- Hawke zniżył głos.- Pamiętaj, jeśli nie pozwoli na inspekcję, statek musi natychmiast opuścić port. Rozumiesz?

— Jasne.

— Dzień dobry panom! Czy coś się stało? To ja jestem budowniczym tego statku. Augustus von Draxis. Czym mogę służyć? John błysnął odznaką.

— Mariucci, wydział antyterrorystyczny policji nowojorskiej. To mój kierowca, George.

— Dobry wieczór — odezwał się z uśmiechem Hawke. Baron przyjrzał mu się podejrzliwie, po czym spytał:

— Co się stało?

— Skażenie - rzucił Mariucci.

— Skażenie? To najczystszy statek, jaki pływa po morzach, panie kapitanie. Nie wypuszczamy za burtę żadnych odpadów.

— Mam na myśli skażenie radioaktywne. Dziś po południu jedna z łodzi straży portowej na East River wykryła podwyższony poziom promieniowania. Musimy dokonać natychmiastowej inspekcji.

— Inspekcji? To niemożliwe. Jeśli faktycznie jest jakiś wyciek promieniowania, w co wątpię, usuniemy go sami.

— Wiedziałem, że pan tak powie, ale nie mogę zaakceptować takiego rozwiązania. Ma pan do wyboru: pozwolić moim nurkom i inspektorom z czujnikami promieniowania na kontrolę statku od zewnątrz i od wewnątrz albo natychmiast odpłynąć. Co pan woli?

— To śmieszne. I tak zresztą mamy zgodnie z rozkładem wypłynąć jutro do Hawru.

— Macie, ale nie wypłyniecie. Chce się pan skonsultować z chińskimi inżynierami. Prawda?

— Kto panu to powiedział?

— Kapitan pańskiego statku. Nazywa się Dechevreux. Dobrze zapamiętałem, George? Hawke skinął głową.

— To szaleństwo — oznajmił von Draxis, purpurowiejąc. — Moja rodzina od czterech pokoleń buduje najlepsze statki, jakie płyną po morzach i

oceanach. Powtarzam panom, że nie ma żadnego wycieku promieniowania. Znam każdą śrubkę tego statku! Są ludzie, którzy potrafią rozmawiać z końmi. A ja rozmawiam ze statkami! Nie ma żadnego skażenia. Nie będę tolerował takich pomysłów!

— Proszę posłuchać - mruknął John. - Wiem, że to dla pana obraza godności, ale co będzie, jeśli dowiedzą się o tym dziennikarze? Inspekcja zajmie nam najwyżej dwie godziny. Chyba nie chce pan zobaczyć jutro swojego pięknego statku w porannych wiadomościach, ogrodzonego policyjnymi barierkami.

Baron wyglądał tak, jakby miał pęknąć ze złości.

— Co konkretnie chcecie zobaczyć?

— Chciałbym zobaczyć, jak wynosi się pan z naszego portu i odpływa na wschód. Ale ograniczę się do gruntownej inspekcji pomieszczeń reaktorów, kadłuba, kilu i wszystkich innych miejsc tego statku.

Zrozumiano?

Niemiec zacisnął pięści i uniósł się na palce. Jego gruba szyja napięła się, widać było, jak przesuwiają mu się pod marynarką łopatki. Opanował się jednak z wysiłkiem i nie spróbował uderzyć Mariucciego.

— Gubernator Nowego Jorku dowie się o tej zniewadze! - warknął. - To osobisty przyjaciel Gerhardta, kanclerza Niemiec. Zmiażdżę pana jak robaka.

— Dobrze, skoro tak wolisz, zrobimy to bez twojej zgody, koleś. Chodź, George. Spadamy.

407

Rozdział 60

Waszyngton

Lubię, żeby złe wiadomości podawano prosto i konkretnie - odezwał się prezydent McAtee. — Jak celne uderzenie piłką do dołka. Albo jak szybką, dobrze trafioną piłkę w baseballu. Strzelajcie, chłopcy.

W Białym Domu zebrali się ludzie związani z supertajną operacją „Dzika Karta”. Chiński kryzys został podzielony na poszczególne aspekty, którymi zajmowały się różne osoby. W tej chwili znajdowało się tu kilkanaście osób — szefowie sztabów, przedstawiciele CIA, Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Wystarczyło spojrzeć na ich twarze, aby dowiedzieć się, że przyszły złe wiadomości.

W długim, wąskim pomieszczeniu panowała duchota po całodobowej naradzie, podczas której pocono się nad każdym omawianym szczegółem. Przy długim, ciężkim stole były miejsca dla osiemnastu osób — wszystkie zajęte. Podobnie jak fotele pod ścianami. Tylne ściana pomieszczenia była jednocześnie wielkim ekranem, na którym można było wyświetlać obrazy nadawane z całego świata. W tej chwili pokazano na ekranie czterokolorową mapę Chin oraz Tajwanu, który stał się kością niezgody w sporze. Zebrani byli podenerwowani, choć prowadzili zdawkowe rozmowy.

Kiedy tylko prezydent usiadł, wystąpił doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

— Panie prezydencie — powiedział Gooch — mamy do czynienia z trzema różnymi zagrożeniami. - Skinął na żołnierza marines, który obsługiwał komputer. — Zagrożenie numer jeden...

— Tylko trzema? - przerwał z uśmiechem McAtee. - To nie najgorzej. Chyba nie starczy na ogólnoswiatowy kryzys.

— Panie prezydencie — odparł Gooch, gdy cichły nerwowe śmiechy —

obawiam się, że od czasu, kiedy odbierał pan ostatni raport, sytuacja gwałtownie się pogorszyła.

— Przepraszam. Kontynuuj, John. Czy mogę prosić o niskokaloryczną colę?

408

— Zatem, po pierwsze, mamy potwierdzenie tego, że w Nowym Jorku znajduje się bomba atomowa.

— Doprawdy? — upewnił się McAtee.

— Tak. Zrzuciliśmy drużynę sił specjalnych na dach restauracji Złoty Smok w porcie w Hongkongu. Złożyli tam niespodziewaną wizytę. Pokonali stawiających opór, zginęło kilka osób. W każdym razie nie było śladu generała Moona. Nasi chłopcy zajrzeli do komputerów, na których projektowane były statki.

— I co?

— W kilu „Lewiatana” znajduje się bomba atomowa o dwukrotnie większej sile rażenia niż bomby w tankowcach.

Prezydent pobladł. Odechciało mu się żartów. Wszyscy, którzy dobrze go znali, wiedzieli, że McAtee uruchamia swój przenikliwy intelekt. Z jego chłodnych oczu biła ta sama siła, która wyniosła go na czoło partii, do prezydentury.

— Jak wielkie skutki miałyby wybuch tej bomby? — zapytał, pocierając brodę.

— Zdmuchnęłaby połowę Manhattanu. Pozostałą po eksplozji część miasta zalałaby skażona woda. Nowy Jork nie nadawałby się do zamieszkania przez minimum siedem lat.

— Chcę, aby oddano do dyspozycji Hawke'a i Mariucciego wszelkie siły i

środki, jakich będą potrzebować: federalne, stanowe czy miejskie. Daję im godzinę na wyprowadzenie tej pływającej francuskiej noclegowni z portu nowojorskiego. Jasne? Ale zrobmy to tak, żeby nie powodować alarmu.

Dobrze, to było zagrożenie numer jeden. Jakie jest drugie?

— Ostatnie posunięcia Pekinu są bardzo niepokojące. Stosunki z tym krajem nagle pogorszyły się radykalnie. Jak pan wie, Chiny uchwały prawo zezwalające na użycie siły wobec Tajwanu. Zainspirowano w Chinach antyjapońskie demonstracje, aby podgrzać nastroje społeczne. Wspomina się w tym celu traktat nankiński. A teraz Chiny zagroziły doprowadzeniem do kryzysu naszej waluty, jeżeli nie przestaniemy powstrzymywać Francji przed kontynuowaniem inwazji na Oman. Czy Chińczycy naprawdę to zrobią? Muszę szczerze przyznać, że nie wiem.

— To wszystko?

409

— Chiński smok pokazuje nam nową, całkiem inną niż poprzednio głowę, panie prezydencie. W tej chwili trudno powiedzieć cokolwiek więcej.

— To mi wystarczy. Co o tym sądzisz, Charlie? — spytał prezydent przewodniczącego Komitetu Szefów Połączonych Sztabów.

— Do diabła z walutą — odpowiedział generał Moore. — W tej chwili Chiny grożą zatopieniem naszych okrętów i inwazją na Tajwan.

— Właśnie do tego dochodziłem, panie prezydencie - ciągnął Gooch. - Po trzecie, w Cieśninie Tajwańskiej skoncentrowane zostały znaczne siły chińskie, morskie i powietrzne. Jest to flotylla uformowana wokół nowego chińskiego lotniskowca „Wariag”, kupionego od Ukrainy. Na jego pokładzie stacjonuje czterdzieści zakupionych niedawno w Rosji

myśliwców SU-30. Czy są pytania?

Ktoś podniósł rękę.

— A okręty podwodne? — spytał.

— Racja. Wyłynęły także trzy zbudowane niedawno w chińskiej stoczni koło Zatoki Bohai okręty podwodne przenoszące głowice jądrowe, dwa klasy Hań i jeden klasy Xia. Na każdym z nich znajduje się po dwanaście rakiet na paliwo stałe Wielka FaLa-1. Mają zasięg dwóch tysięcy czterystu kilometrów.

— To znaczy, że gdzie mogłyby ewentualnie spaść? — spytał McAtee.

— Ich pole rażenia obejmuje Japonię, Tajwan, obie Koree i Alaskę.

Niedaleko Kaochungu znajduje się też okręt podwodny klasy Song, o napędzie spalinowym. Ten okręt ma nowy sonar, za pomocą którego może bez udziału człowieka śledzić pięć celów jednocześnie.

— Co z raketami model 2?

— Nie wiemy. Ale ich najbardziej się boję. Rakiety model 2 mają zasięg ośmiu tysięcy kilometrów. Jeśli w tej chwili na zachodnim Pacyfiku czy w rejonie Filipin znajduje się choć jeden chiński okręt podwodny przenoszący rakiety model 2, może nimi razić dowolny cel na terenie Rosji czy Stanów Zjednoczonych.

— Kto w tym momencie przejmowałby się Rosją? — zdziwił się generał Moore.

— Ja — odpowiedział Gooch. — Wkroczyliśmy w takie stadium gry, w którym lepiej, żeby każdy przejmował się wszystkimi innymi. Bo

410

mieszkamy na tej samej planecie. Pan prezydent właśnie rozmawiał przez telefon z Putinem. To Putin zadzwonił, powiadomił nas, że ma w rejonie

działań dwa okręty podwodne klasy Victor III, które skierował do Cieśniny Tajwańskiej. Tak jak powiedziałem, każdy musi wiedzieć wszystko. Albo prawie wszystko.

— Co może dziać się dalej? — spytał McAtee. — Charlie?

— Jak pan wie, dowódca operacji morskich ogłosił cztery dni temu trzeci poziom alarmu: odwołał wszystkie urlopy i wysłał w morze wszystkie okręty stacjonujące w San Diego i Norfolk. Naczelny Dowódca Sił Pacyfiku powiadomił mnie za jego pośrednictwem, że grupa bojowa lotniskowca „Theodore Roosevelt” dotarła do Cieśniny Tajwańskiej i czeka na dalsze rozkazy. Grupy bojowe „Kennedy'ego” i „Nimitza” będą tam za dwadzieścia cztery godziny. Płyną z maksymalną prędkością przez dwunastometrowe fale. Czołowe jednostki obu grup bojowych znajdują się już w odległości trzech godzin drogi od cieśniny.

— To dobra wiadomość — ocenił prezydent, spoglądając na coś, co zapisał sobie w notesie.

— Tak. Ale jest też zła wiadomość: tankowce z trudem dotrzymują tempa pozostałym okrętom. Jeśli zrobi się naprawdę gorąco, może im zabraknąć paliwa.

— Będziemy musieli poradzić sobie z tym problemem — skwitował McAtee. — Co z działaniami psychologicznymi? Panie dyrektorze? Kelly, dyrektor CIA, odłożył kawałek wystygłej pizzy, którą właśnie zamierzał zacząć jeść, i podniósł się z miejsca. Miał wygnieciony garnitur, zaczerwienione i spuchnięte ze zmęczenia oczy. Podobnie jak wielu jego kolegów od półtorej doby nie spał. Poprawił krawat i odpowiedział prezydentowi:

— Na froncie działań psychologicznych uruchomiliśmy, zgodnie z

pańskim rozkazem... Przepraszam, czy mogę najpierw upewnić się, że wszyscy obecni na sali mają prawo dostępu do informacji o „Dzkiej Karcie”? Proszę o potwierdzenie przez podniesienie ręki oraz podanie swojego nazwiska i agendy rządowej, którą państwo reprezentują. Muszę to odnotować... Dobrze, dziękuję i przepraszam. „Dzika Karta” została uruchomiona dziś o ósmej wieczorem czasu waszyngtońskiego.

— Świetnie. Powiedz wszystkim, co to jest „Dzika Karta”.

411

— Ile mogę powiedzieć?

- — Tylko tyle, żeby wiedzieli.
- - Dobrze. Operacja „Dzika Karta” to środki, którymi dysponujemy na wszelki wypadek. Zostały jakiś czas temu rozmieszczone na terenie Chin.

|| Chodzi o szereg powiązanych ze sobą ładunków jądrowych najpotężniejszego typu. Znajdują się na terenie jednego z największych chińskich miast. Chińczycy o tym wiedzą, znają nawet nazwę operacji. Nie wiedzą tylko, gdzie są te bomby, w którym mieście. Ani też kiedy mogą wybuchnąć. — O Boże! — jęknął John Gooch — Co wy chcecie zrobić? Wysadzić

w powietrze Szanghaj czy Pekin? Zginie parę milionów ludzi! - Nie dojdzie do tego - uspokoił go Kelly.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — odparł Gooch.

— Dziś wieczorem położyliśmy „Dziką Kartę” na stół — kontynuował Brick. - Pewien radiooperator z Bazy Sił Powietrznych Hickham na Hawajach celowo posłużył się kodem, o którym wiemy, że został złamany przez Chińczyków. Nadał następujący komunikat: „Rozgrywamy »Dziką Kartę«”. Monitorujemy rozmowy Chińczyków. Przechwycili nasz

komunikat. Według moich danych w tej chwili toczą się gorące spory w biurze politycznym ich partii.

— Zatem „Dzika Karta” okazuje się skuteczna? — spytał z nadzieją w głosie McAtee. Początkowo sprzeciwiał się tej koncepcji. Rozmieszczenie ładunków jądrowych w wielkiej chińskiej metropolii było naprawdę pomysłem na czarną godzinę, w której wszelkie inne środki zawiodą. Później wyjaśniono prezydentowi, że usunięcie ukrytego w głębi Chin systemu ładunków jądrowych równałoby się ostatecznemu zniszczeniu poprawnych od pewnego czasu relacji pomiędzy Waszyngtonem i Pekinem.

— Mamy podstawy do przypuszczeń, iż mandarynowie Zakazanego Miasta raptownie tracą spokój ducha. Ich przypominająca piramidę struktura władzy jest bardzo nieefektywna podczas poważnego kryzysu, trudno im podejmować zgodne decyzje.

— Jakoś wcale mnie to nie uspokaja — odezwała się sekretarz stanu, Consuela de los Reyes.

— Rozumiem pani odczucia, pani sekretarz — skomentował Kelly. — Jednak „Dzika Karta” to najlepszy sposób na zapobieżenie przez nas wojnie atomowej na wielką skalę.

Urodzona na Kubie, a wykształcona na Harvardzie Consuela de los Reyes była najbliższą prezydentowi osobą spośród jego współpracowników. Prezydent uśmiechnął się do niej.

— Conch, powiedz nam, co w tej chwili robi Departament Stanu -powiedział.

— Już mówię, panie prezydencie. Dwie godziny temu Barron Collier, nasz ambasador w Pekinie, zażądał spotkania z chińskim ministrem spraw

zagranicznych. Spotkanie zakończyło się przed dwudziestoma minutami. Collier wręczył ministrowi naszą notę dyplomatyczną, skierowaną do chińskich władz. Postawiliśmy w niej trzy żądania: zabrania bomby atomowej z Nowego Jorku, wycofania wszystkich sił francuskich i chińskich z Omanu oraz zaprzestania niepokożenia Tajwanu.

— Jaka była wstępna odpowiedź Chińczyków? - zapytał prezydent.

— Znając Colliera, sędzę, że zapewne znalazł grunt do konstruktywnej dyskusji — ocenił Moore.

— Niestety nie, panie generale. Chińczycy prowadzą z nami grę. Myślę, iż oznacza to, że i oni dysponują wystarczającymi środkami odstraszającymi. Albo przynajmniej tak im się wydaje.

— Co powiedzieli o tej cholernej bombie, Conch? — zapytał McAtee, spoglądając znad notatnika.

— Ich wstępną odpowiedzią było całkowite zaprzeczenie faktom. Podobno nie wiedzą o żadnej bombie.

— Akurat! - zdenerwował się Moore. - Przecież sami ją zamontowali w kilu „Lewiatana”!

— Co mówią na temat Zatoki Perskiej? - spytał prezydent.

— Mówią, że w tym rejonie są wyłącznie siły francuskie. Zasugerowali, żebyśmy porozmawiali o Omanie z Monsieur le President Bonaparte. To on wydał swoim wojskom rozkaz przeprowadzenia inwazji.

— A na temat Tajwanu?

— Prezentują pogląd, że Tajwan to część Chin. Zacytowali swoją ustawę o stosunkach z Tajwanem. Jak gdyby pośrednio radzili nam, żebyśmy postępowali roztropnie.

— Roztropnie?

— Że powinniśmy bardzo uważać.

413

— Rozumiem. Ale to zawołane ostrzeżenie miało miejsce jeszcze zanim chiński minister dowiedział się o uruchomieniu przez nas „Dzkiej Karty”, prawda?

— Tak jest.

— Panie prezydencie, coś mi przyszło do głowy - odezwał się Gooch.

— Słucham.

— „Lewiatan” to element chińskiego planu, którego celem jest zweryfikowanie zagrożenia, jakim jest dla nich „Dzika Karta”. Na sali zapanowało milczenie.

— Co chcesz przez to powiedzieć, John? - spytał McAtee.

— Szach i mat.

— To znaczy?

— Jeśli jedna strona wysadzi swoją bombę, to wszystko wyleci w powietrze. Jeżeli uruchomimy zapalniki naszych bomb, oni uruchomią odpalenie własnej.

— Myślę, że John ma rację - ocenił dyrektor CIA. -Tylko że my wiemy, gdzie znajduje się ich bomba.

— Otóż to, Brick — zgodził się prezydent. —Wiemy, gdzie jest ich bomba. Modlę się tylko, żebyśmy zdążyli wywieźć ją z Nowego Jorku, zanim ją odpalą.

— Dopóki jej nie wywieziemy, znajdujemy się w stanie niewypowiedzianej wojny z Chinami Ludowymi, panie prezydencie - zakończył John Gooch.

Rozdział 61

Nowy Jork, godzina 2.01 czasu lokalnego

Starszy bosman sztabowy Ken Tynan pomyślał, że trudno przestraszyć nowojorczyków. W ciągu czterech czy pięciu ostatnich lat mieszkańcy Nowego Jorku widzieli już chyba •wszystko. Dlatego kiedy kierowcy samochodów jadących West Side Highway zobaczyli sięgający od przecz-
414

nicy do przecznicy szereg radiowozów, zaparkowanych zderzak w zderzak przed terminalem statków pasażerskich, nie zwrócili na to większej uwagi. Takie policyjne wozy, migające całym rzędem kogutów, to jak scena z filmu z Bruce'em Willisem albo Arnoldem Schwarzeneggerem. Poza tym tyle sił porządkowych dodaje otuchy.

Nowojorczycy nie przejęli się także zbytnio widokiem sześciu holowników klasy Moran, które z dużą prędkością płynęły po East River w stronę nabrzeża 93. Każdy mieszkaniec śródmieścia czy Jersey Island, który, nie mogąc zasnąć, wyglądał akurat przez okno, zobaczywszy holowniki, kładł się spać z powrotem.

Przy bramce Linii Francuskiej nie było nikogo, jeśli nie liczyć chmary kręcących się wokół ludzi w mundurach. Na samym nabrzeżu, przed trapem, przy którym stał Tynan, czuwali chłopcy z jednostek wodnych policji nowojorskiej. Wszyscy zastanawiali się, o co może chodzić.

Wiedzieli tylko, że kapitan Mariucci ze swoimi antyterrorystami przeprowadza jakąś operację. Pojawiły się właśnie plotki, że podobno na olbrzymim francuskim liniowcu nastąpił wyciek z reaktora. Pod wodą byli nurkowie, badali kadłub i wybrzuszony kil „Lewiatana”. Widać było pod wodą ich poruszające się latarki — niewyraźne białe kulki otoczone zielonkawą poświatą.

Na stołach przy bramce rozłożyli sprzęt jacyś naukowcy, powyciągali laptopy i zaczęli coś obliczać. Scena przywodziła na myśl zaplecze sali podczas konwencji wyborczej — wokół pełno było trójkolorowych serpentyn. Przed godziną ewakuowano ze statku całą załogę. Tynan, który był specjalistą od turbin gazowych, zdziwił się liczbą schodzących ze statku chińskich techników. Podobno na pokładzie pozostał tylko kapitan i jeszcze dosłownie kilku ludzi.

Ekscytujące wydarzenia, jak na czerwcową, niedzielną noc. Nigdy nie wiadomo, co może się stać.

Ken Tynan był pewien tylko jednego — tego, że rozkazano mu nie wpuszczać na „Lewiatana” nikogo ani też nikogo zeń nie wypuszczać. Jak dotąd nie było to trudne. Kenowi nikt nigdy się nie przeciwstawił. Zanim schudł, żeby przyjęto go do Straży Przybrzeżnej, ważył około stu piętnastu kilogramów i jako zapaśnik startował na olimpiadzie w Atenach. Podczas jednej walki doznał kontuzji nadgarstka, ale i tak zwyciężył.

415

Powiedział wtedy legendarnemu, niepokonanemu od trzynastu lat rosyjskiemu zapaśnikowi zwanemu King Kongiem, Aleksandrowi Karelinowi: „Jeśli jeszcze raz wyrwiesz mi nadgarstek, urwę ci głowę”.

- Tynan! - krzyknął ktoś. Ken odwrócił się i zobaczył kapitana Mariucciego w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

- Słucham, panie kapitanie - odpowiedział bosman, salutując.

- Wchodzimy na pokład - oznajmił John. - Czy wszyscy zeszli ze statku? — Tak jest, cała załoga. Mniej więcej godzinę temu.

— Czy od tego czasu ktokolwiek próbował opuścić statek albo na niego wejść?

- Nie, panie kapitanie.

— To dobrze. Gdyby ktoś próbował, macie go aresztować. Gdyby stawiał opór, zastrzelić.

- Tak jest.

— Tę jednostkę policji wodnej oddaję pod komendę Straży Przybrzeżnej, a konkretnie pańską, bosmanie - kontynuował Mariucci. - To są zapieczętowane instrukcje do otwarcia na mój osobisty rozkaz. Niech pan nie wyłącza słuchawek.

— Tak jest.

- Jeżeli usłyszysz pan słowo „Moran”, razem z kapitanem policji otwórzcie tę kopertę. We dwóch. Zrozumiano?

— Tak jest!

- Gdzie jest kapitan „Lewiatana”?

— W kabinie armatora, rozmawia z konstruktorem statku. To duża dwupiętrowa przybudówka, na prawo od mostka. Postawiłem przed drzwiami dwóch ludzi, trzeciego przy prywatnej windzie tego konstruktora. On ani kapitan nigdzie nie uciekną.

Godzina 2.06 czasu lokalnego

Hawke i Mariucci odnaleźli kapitana Dechevreux i von Draxisa w salonie barona, który wyglądał jak z filmu o czasach art deco. Wszystko było czarne albo białe. Jedną ze ścian tworzyły wysokie na dwa piętra okna,

416
z których roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na Manhattan. Dwaj mężczyźni siedzieli na kanapie pod modelem „Lewiatana” — sam model miał pięć metrów długości. W fotelu naprzeciw nich siedział trzeci mężczyzna — olbrzymi, ogolony na łyso. Miał na sobie szerokie, białe

spodnie i czarną koszulkę straży firmy VDI. Na podłodze koło ochroniarza leżał duży pies, doberman.

- Macie stąd piękny widok, panowie — odezwał się na powitanie John. — Jaka szkoda, że musicie odpłynąć.

- Ach, pan kapitan Mariucci — odpowiedział baron, wstając. — Zechce pan usiąść. Pan również, panie... George. Siadajcie, proszę. Napijcie się. Właśnie opowiadałem kapitanowi, jak Onasisowi polecono usunąć olimpijskie logo, wymalowane na jego samolotach. Słyszeliście panowie o tym?

- Nie - mruknął John, zerkając na Hawke'a.

- Olympic Airways miały takie same logo jak ruch olimpijski, pięć przecinających się kręgów —kontynuował vonDraxis. —Międzynarodowy Komitet Olimpijski uznał, że używanie tego samego logo przez linie lotnicze Onasisa jest niezgodne z prawem. Całkowita zmiana logo kosztowałaby go fortunę. Wiecie co zrobił Onasis, uparty grecki spryciarz?

- Domalował szósty krąg — odpowiedział Alex.

- Co? Zgadza się! Punkt dla ciebie, George.

- Danke vielmals— odpowiedział Hawke, lekko skłaniając głowę. Von Draxis przyjrzał mu się kolejny raz i pokręcił głową.

- Może powiem, z czym do pana przychodzimy - zmienił temat Mariucci. - Niniejszym jest pan...

- Jestem baronem — przerwał von Draxis. — Proszę zwracać się do mnie w odpowiedni sposób.

- Dobra, panie baronie. Na podstawie udzielonych mi przez rząd Stanów Zjednoczonych pełnomocnictw niniejszym cofam wam prawo do przebywania w amerykańskim porcie. Jeśli nie usunie pan natychmiast

swojego statku, złamie pan amerykańskie prawo federalne, czego skutkiem będzie skonfiskowanie przez nas jednostki.

- Niech się pan sam skonfiskuje, kapitanie! - huknął von Draxis. - Nie ruszymy się stąd. Mówiłem panu, że nastąpiła awaria systemu monitoringu napędu statku. Poza tym wyłączyliśmy reaktory.

417

— Czy on mówi prawdę, panie kapitanie? — spytał John kapitana Dechevreux.

— Reaktory rzeczywiście nie pracują. Ich uruchomienie zajmuje kilka godzin.

— Widzi pan? — triumfował baron. — A teraz może zechcecie łaskawie opuścić mój statek, przeszkadzacie nam w rozmowie.

— Pan chce, żebyśmy my opuścili statek? — upewnił się Mariucci.

— Ja. Arnold? Bądź tak dobry i sprowadź tych panów na nabrzeże.

Łysy olbrzym uśmiechnął się i wstał, a wraz z nim podniósł się pies.

Ochroniarz trzymał w ręku nietypową broń. Wyglądała na niemiecki pistolet maszynowy z czasów II wojny światowej.

— Piękna broń — odezwał się Hawke do Arnolda. — Jeśli się nie mylę, to schmeisser.

Stoke opowiedział Aleksowi o schmeisserze, kiedy zdawał raport po wylądowaniu w Omanie. Mówił także o dwóch Arnoldach i ulubionym dobermanie von Draxisa.

— To na pewno pański kierowca? — spytał baron, zaskoczony kolejnym raz. Mariucci z uśmiechem skinął głową.

— Niech no pan tu na chwilę podejdzie, panie baronie — rzucił.

— Słucham?

— Proszę podejść do okna. Chciałbym, żeby pan coś zobaczył. Piękny widok.

— Jeśli pan nalega — mruknął von Draxis. — O co chodzi?

— Proszę spojrzeć na ulicę. Co pan na niej widzi?

Baron zbliżył się do okna i spojrział w dół. Zobaczył szereg błyskających światłami radiowozów. W tej chwili zajmowały nie tylko odcinek pomiędzy dwiema przecznicami, stały także na rogu ulic i dalej, aż do Jedenastej Alei. Von Draxis smutno pokręcił głową i mlasnął językiem.

— Polizei — skwitował.

— Właśnie. Chce pan oszczędzić sobie mnóstwa kłopotów? To proszę mi pokazać, co znajduje się w kulu tego statku. I jak się do tego dostać.

Von Draxis zamarł. Jego małe oczka patrzyły teraz tak, jakby chciał przewiercić Mariucciego na wylot.

— Arnold — odezwał się cicho — spytaj George'a, czy ma przy sobie broń. Jeśli tak, odbierz mu ją. Jeżeli odmówi, zabij go.

418

— Trochę za późno na tego rodzaju kroki, panie baronie — powiedział Hawke.

— Zrób to, Arnoldzie!

Alex wyciągnął z pochwy swojego walthera i podał go ochroniarzowi kolbą naprzód.

— Czy jest pan uzbrojony, kapitanie? — spytał von Draxis Mariucciego.

— Nie.

— Sehr gut. Podejdźcie tu obaj i siadajcie. Pański czarujący kierowca również. Usiądźcie koło siebie, na tej kanapie, żeby Arnold mógł mieć na was oko. Dobrze?

— Jak pan sobie życzy — odpowiedział John. Zerknął na Aleksa, po czym powiedział: — Hej, Moran, siadaj.

— Moran? — zdziwił się von Draxis.

— George ma na nazwisko Moran — wyjaśnił Mariucci.

— Ach tak.

Przy oknach stało ozdobne francuskie biurko z laptopem apple G5 oraz dwoma telefonami, białym i czarnym. Von Draxis usiadł za biurkiem w złoconym fotelu i uruchomił komputer. Wpisał serię komend, wpatrując się uważnie w ekran. Hawke nachylił się, próbując zobaczyć, co baron pisze. Doberman zawarczał, spoglądając na Aleksa dużymi, czarnymi oczami.

— Miły pies, panie baronie - stwierdził Hawke, wyciągając rękę w stronę zwierzęcia. - Chodź, Blondi. Kommen Sie hier.

Von Draxis obrócił się w fotelu i zaczął wpatrywać się w Aleksa, nie dowierzając własnym uszom.

— Czy on powiedział „Blondi”? — upewnił się.

— Tak powiedział - zgodził się Mariucci.

— Ale ten pies naprawdę wabi się Blondi! — Von Draxis był nieco wytrącony z równowagi. — Skąd George...

— Zna się na psiej psychice - przerwał John. - Niewiemjak to robi. - Wstał i wrócił do okien. Dobrze, pomyślał, bosman Tynan usłyszał magiczne słowo. Ku nabrzeżu nadpływało sześć holowników klasy Moran. Po „Lewiatanie” biegali policjanci z jednostki wodnej, przygotowując cumy, które miały połączyć statek z holownikami.

Zadzwoił biały telefon.

Von Draxis odebrał go, mówiąc:

— Dzień dobry, panie generale Moon. Dziękuję, że tak szybko odpowiedział pan na mój e-mail. Jestem w Nowym Jorku, na pokładzie „Lewiatana”. Koło mnie siedzi niejaki kapitan Mariucci z miejscowej policji. Tak, tak, stoimy przy nabrzeżu. Wszystko w porządku, proszę się nie martwić. Pański statek donikąd nie popłynie. Może pan generał w każdej chwili uruchomić sekwencję. Do widzenia, panie generale. Jeśli wolno mi tak powiedzieć, to wielki zaszczyt... Słucham? Tak. Proszę chwilę poczekać.

— „Uruchomić sekwencję”? - powtórzył Mariucci. - Co to znaczy, do cholery?

— Generał Moon chce z panem rozmawiać — powiedział von Draxis. John wstał i wziął od niego słuchawkę.

— Mówi kapitan Mariucci. Z kim rozmawiam?

Słuchał w napięciu przez dłuższy czas. Zrobił się biały jak papier.

— Niech pan chwilę poczeka, panie generale - rzucił, sięgając po długopis. — Lepiej zapiszę to, co powiedział pan na końcu. Czy mógłby pan powtórzyć jeszcze raz? Tak. Dobrze, zapisałem. Do widzenia, panie generale. Przekażę pańską wiadomość. - Wydarł kartkę z notesu i wpatrywał się w nią przez chwilę.

Drżącą ręką odłożył słuchawkę. Wreszcie wziął się w garść i popatrzył na Hawke'a.

— To był generał Sun-yat Moon z Chin Ludowych — powiedział bezbarwnym głosem. — Chce, żebyśmy zatelefonowali do prezydenta i przekazali mu wiadomość.

— Wiadomość?

— Tak, myślę, że ty powinienesz to zrobić, Alex. Prezydent cię zna.

— Czy mógłbym skorzystać z pańskiego telefonu, panie baronie? — spytał Hawke.

— Proszę — odpowiedział von Draxis z wyrazem wielkiego zadowolenia na twarzy.

— Co to za wiadomość? — spytał Alex, wystukując bezpośredni numer prezydenta.

— Proszę. Zapisalem ją na tej kartce.

— Jack McAtee - odebrał prezydent.

420

— Panie prezydencie, tu Alex Hawke.

— Alex. Gdzie jesteś?

— Na pokładzie „Lewiatana”, przy nabrzeżu 93 w Nowym Jorku. Mam dla pana pilną wiadomość. Właśnie otrzymaliśmy ją bezpośrednio od generała Sun-yat Moona. Zapewne chciałby pan, żeby usłyszeli to także inni.

— Przełączam cię na głośniki — powiadomił prezydent. — Mów, Alex.

— Panie prezydencie, generał wystosował następujące żądanie, cytuję: „Stany Zjednoczone muszą natychmiast odwołać rozkaz uruchomienia operacji »Dzika Karta«. W przeciwnym razie spotkają je straszliwe konsekwencje”.

— Dobrze, odebraliśmy. Czy podał jakieś ramy czasowe?

— Tak. Właśnie uruchomił sekwencję odpalania. Bomba wybuchnie o godzinie 4.00 czasu nowojorskiego. Sekwencja jest nie do zatrzymania, chyba że generał wyśle sobie tylko znany kod. Nie jesteśmy w stanie tego zmienić.

— Która jest teraz godzina? Cholera! Druga dziewięć.

— Tak jest. Mamy niecałe dwie godziny.

— Jezu Chryste! Musicie natychmiast wyprowadzić ten statek na ocean. Dacie radę, Alex?

— Chyba będziemy musieli, panie prezydencie.

— Czy to wszystko?

— Generał Moon powiedział, że jeżeli nie otrzyma wiarygodnej informacji o zatrzymaniu „Dzikiej Karty”, może pan pożegnać się z Nowym Jorkiem.

Rozdział 62

Nowy Jork, port, godzina 2.16 czasu lokalnego

Alex Hawke stał na górnym pokładzie „Lewiatana”, przy rufowym relingu. Z narastającym lękiem obserwował z góry, jak przebiega operacja cumowania holowników. Jeszcze nigdy przeprowadzenie operacji w ściśle określonym czasie nie miało tak wielkiego znaczenia jak tym razem. Do rufy olbrzymiego liniowca podpłynął holownik „Karen Moran”, jeden z sześciu przysłanych przez Straż Przybrzeżną. Z pachołka na rufie „Lewiatana” zwieszała się już gruba lina. W pewnej chwili naprężyła się — to holownik zaczął z wielką siłą ciągnąć statek.

„Lewiatan” wbrew własnej woli zaczął wycofywać się ze swojego miejsca przy nabrzeżu. Był to nadzwyczaj powolny proces.

Każda mijająca minuta sprawiała, że Alex stawał się coraz bardziej ponury.

Nowy Jork spał. Dziesięć milionów ludzi śniło coś w błogiej nieświadomości rozgrywającego się w porcie dramatu, od przebiegu którego zależało ich życie. Nagle serce Hawke'a ścisnęło się boleśnie.

Również Ambrose Congreve spał w swoim szpitalnym łóżku. Być może na stoliku paliła się lampa, a w fotelu siedziała Diana Mars, półgłosem czytając ukochanemu poezję Yeatsa.

A co z nim samym? Od niepamiętnych czasów Alex Hawke miał poczucie, że urodził się z jedną nogą w grobie. Jego żona zginęła od przeznaczonej mu kuli snajpera. Stałe poczucie, że żyje tylko z łaski Stwórcy, przytępiało strach. Kiedy teraz Hawke myślał o śmierci, chodziło mu raczej o innych ludzi. Co się stanie z Ambrose'em i Dianą, którzy po tylu latach -wreszcie odnaleźli miłość? Co będzie z Mariuccim, prawdziwym bohaterem Nowego Jorku? Co z tym chłopakiem, Tynanem, który w Atenach zdobył złoty medal dla Stanów Zjednoczonych? Żadna z tych osób nie zasłużyła na śmierć, i to taką...

Alex spojrzał na trzymany w ręku radiotelefon.

Mógł w każdej chwili zadzwonić do prezydenta, ale co to da? Zebrani w Białym Domu ludzie próbowali zapobiec dwóm potencjalnym katastrofom jednocześnie. Okręty amerykańskiej Floty Pacyfiku oraz Marynarki Wojennej Chin stały teraz naprzeciw siebie w Cieśninie Tajwańskiej. Na pokładzie „Lewiatana” nieubłaganie tykał zegar. Alex musiał w ciągu najbliższych kilku minut przekazać w starannie dobranych słowach informację, której był coraz bardziej pewny. Nie mógł pozwolić na to, aby prezydent miał złudne nadzieje.

Szczerze mówiąc, po prostu bał się powiedzieć prezydentowi i jego współpracownikom to, co miał im do powiedzenia.

Po prawej burcie „Lewiatana”, na wysokości śródkręcia, znajdował się inny holownik, „Dianę Moran”. Szybki prąd utrudniał mu zadanie. Kapitan holownika miał pilnować, aby liniowiec wycofywał się prosto. Później,

kiedy rufa znajdzie się na otwartym akwenu, nabrzeże zostanie wykorzystane jako punkt obrotu. „Dianę Moran” skieruje rufę statku w górę rzeki. Wówczas i dziób wypłynie na otwarte wody; wreszcie „Lewiatan” ruszy na południe, w stronę Statuy Wolności i kanału Ambrose.

Wówczas, zgodnie z pośpiesznie przygotowanym przez Hawke'a planem, liniowiec będzie ciągnąć na pełne morze już sześć jaskrawoczerwonych holowników. Dwa popłyną przed dziobem „Lewiatana”, dwa wzdłuż burt, pomagając utrzymać kierunek. A dwa, usytuowane za rufą, będą pchać wielki statek. Aleksowi przypomniała się nagle książeczka, którą czytał jako dziecko. Nazywała się Mały Tuut. Opowiadała o małym holowniku, który miał wielkie serce.

Z „Karen Moran” przesiadło się na „Lewiatana” dwóch pilotów. Bob Stuart był pilotem portowym, jego zadaniem było pokierowanie statkiem do wysokości boi 20-Alfa. Następnie miał przekazać ster pilotowi stanowemu. Pochodzący z Sandy Hook pilot miał przeprowadzić liniowiec przez kanał Ambrose. Kiedy już latarnia Ambrose znajdzie się za rufą, „Lewiatan” będzie na otwartym oceanie. Istniała jednak niewielka szansa na to, żeby odpłynąć dostatecznie daleko.

Olbrzym mijał właśnie Statuę Wolności. Alex spojrzął na zegarek dziesiąty raz w ciągu dziesięciu minut. Oceniał, że przemieszczają się z prędkością najwyżej sześciu węzłów. A może tylko pięciu.

— Nie podoba mi się to — odezwał się obok niego John. — Ani trochę.

— Nie uda się — zgodził się z nim Hawke, który dotąd nie chciał zaakceptować tej prawdy nawet w myślach. — Musimy zarządzić ewakuację. Podaj mi nadajnik.

— Nie da się ewakuować piętnastu milionów ludzi, Alex! Czy ty masz pojęcie, ile osób zginie z powodu paniki, jaką wywołamy? Nawet nie próbuj sugerować ewakuacji.

— Gdzie jest von Draxis? — spytał Hawke.

— Zamknięty na klucz w swojej kabinie. Odcieśliśmy mu telefony, zabraliśmy komórkę. Nie bój się, nie dzwoni do nikogo, żeby powiadomić o tym, co robimy. A jeśli zatelefonują jego chińscy przyjaciele, zadbamy o to, żeby nie nabrali żadnych podejrzeń.

- Czy nurkom udało się uzyskać dostęp do kilu?

- Nie. Ta pieprzona bomba została zalana ołowiem. Nie ma sposobu na dostanie się do niej. Nie daje się nawet przeświecić tego kilu! Zrobiliśmy za to nawierty. Owszem, jest tam bomba atomowa i są w niej kable. To nie żarty, Alex. Prawdziwa bomba atomowa.

- A czy mój pomysł odcięcia dolnej części kilu i wywiezienia jak najdalej jest niemożliwy do zrealizowania? — upewnił się Hawke. — Myślę, że dałby radę ją podnieść nawet duży śmigłowiec firmy Sikorsky. Rzuci bombę do jakiegoś rowu i po krzyku.

- Podwodni spawacze próbowali, ale nic z tego. Ten kil jest za gruby. Nie ma mowy, żeby zdążyć go odciąć. Jedyne szansa, jaką mamy, to odholować „Lewiatana” poza szelf kontynentalny i tam go zatopić. Co mówi Biały Dom?

- Mówią, żebyśmy się pośpieszyli.

- Właśnie. Ile wyciągamy, z sześć węzłów? Ten francuski kapitan jest w porządku. Naprawdę nie wiedział o tej upiornej bombie. Ma ochotę rozszarpać von Draxisa i Bonapartego. W tej chwili jest na mostku, razem z pilotami portowymi, stara się im pomagać. Kiedy stamtąd wychodziłem,

Dechevreux rozmawiał przez radio, ustalali miejsce spotkania z okrętem podwodnym.

- Z jakim okrętem podwodnym?

- Z atomowym myśliwskim okrętem podwodnym, który ma na nas czekać w rejonie, gdzie kończy się szelf i dno raptownie opada. To USS „Seawolf”.

- Gdzie jest „Seawolf” w tej chwili?

- Przeprowadzał właśnie ćwiczebne awaryjne wynurzenie koło wyspy Block. Teraz płynie z maksymalną prędkością ku szelfowi. Hej, dokąd...

- Alaska! - rzucił Hawke.

- Co? Jaka Alaska?

- Chodźmy do kapitana. Mam pomysł.

Godzina 2.37 czasu lokalnego

Hawke i Mariucci wpadli na mostek. Zastali tam kapitana Dechevreux i dwóch pilotów.

— Dziękuję wam, panowie, za pomoc — odezwał się do pilotów Alex. — I za odwagę. Wiem, że zgłosiliście się na ochotnika. Kiedy tylko dotrzemy do kanału Ambrose, wezwijcie jeden z holowników, żeby zbliżył się do burty, i zejźcie na niego, dobrze? Wracajcie do domu, do najbliższych. Zasłużyliście na to. Spełniliście bardzo ryzykowny obowiązek.

— Tak jest - odpowiedzieli jednocześnie obaj piloci. - Bardzo dziękujemy.

— Panie kapitanie - Alex zwrócił się do Dechevreux. - Pozwolę sobie zapytać z ciekawości, czy pański bohater, Luca Bonaparte, zlecił panu w ramach dowodzenia „Lewiatanem” nuklearny terroryzm?

— Ten człowiek już nie jest moim bohaterem, monsieur. Jeżeli wiedział o

tej bombie, powinien zostać rozstrzelany.

— Wiedział, i to bardzo dobrze, zapewniam pana. Pytanie tylko, czy pan także wiedział?

— Jestem człowiekiem morza — odpowiedział kapitan. — Moi przodkowie od wieków pływali na statkach. Pańskie pytanie jest dla mnie obraźliwe.

— W takim razie przepraszam. Detektyw Mariucci jest przekonany o pańskiej niewinności, panie kapitanie. Musiałem jednak sam zapytać pana o to. Proszę wytłumaczyć mi jeszcze raz, jak poważnych uszkodzeń dokonali w maszynowni chińscy technicy?

— Nie uszkodzili reaktorów. Nie było takiej potrzeby. Po prostu zrobili krótkie spięcie w komputerach monitorujących napęd, co uruchomiło procedurę wyłączenia reaktorów. Zespół inżynierów napędu atomowego musiałby je teraz uruchamiać przez kilka godzin. To beznadziejne.

— A nie można po prostu wpisać do komputerów odpowiednich poleceń?

— Chińczycy zniszczyli komputery, główne i zapasowe.

— Panie kapitanie, mówił pan, że zamierzaliście pływać po obszarach objętych szczególną ochroną ze względu na unikatowe środowisko naturalne. Na przykład na Alaskę.

— Zgadza się.

— Musielibyście wówczas wykorzystywać silniki zapasowe...

— Owszem. Mamy turbiny gazowe. To coś w rodzaju silników odrzutowych przystosowanych do statku.

425

— Jaką prędkość osiąga „Lewiatan” na tych silnikach?

— Nawet do trzydziestu węzłów. Ale turbiny także zostały uszkodzone,

przed chwilą byłem w maszynowni i sprawdziłem. Te skurwysyny usunęły zapłon i zniszczyły pompy paliwa.

Alex uśmiechnął się do Mariucciego.

— Czy jest na pokładzie ten rosyjski chłopak ze Straży Przybrzeżnej, którego postawiłeś przy trapie? — spytał Hawke.

— Tynan? Jest. Kierował przeczesaniem statku. Znalazł paru ukrywających się Chińczyków. To byli inżynierowie napędu atomowego, zabrali się z nami na gapę. Postawiłem przy nich Tynana, żeby ich pilnował. Jest na wysokości śródokręcia.

— Widziałem na jego bluzie odznakę mechanika, nie mylę się?

— Tak. Postawiłem go na warcie tylko dlatego, że jest taki wielki.

— Trzeba sprowadzić go do maszynowni. To nasza jedyna szansa — oznajmił Hawke. — Chodźmy.

— Alex! - Mariucci złapał Hawke'a za ramię. -Trzy minuty temu mieliśmy zadzwonić do prezydenta. Musisz...

— Ty do niego zadzwoń — przerwał Alex, oddając Johnowi nadajnik. — Powiedz mu, żeby życzył nam szczęścia.

Godzina 2.44 czasu lokalnego

Prezydent odwrócił się i popatrzył po twarzach swoich zebranych przy długim stole współpracowników. Poziom panującego napięcia można było odczytać nawet na twarzach filipińskiej obsługi, która zbierała talerze i pudełka po pizzy. Na ścianie znowu odsłonięto ekran. Ukazał się na nim zarys nowojorskiego portu. Niebieski obiekt, otoczony sześcioma małymi, przesuwający się powoli na południe w stronę Sandy Hook, oznaczał „Lewiatana” i ciągnące go holowniki.

- Sześć węzłów? Nie dotrą nawet na pełne morze - odezwał się McAtee,

podnosząc laserowy wskaźnik. - Właśnie dostałem wiadomość z „Lewiatana”, są jeszcze dziewięć mil od Sandy Hook. Następnym siedem dzieli ich od latarni morskiej Ambrose. I jeszcze dwanaście od końca

426
szelfu. To razem dwadzieścia osiem mil do przepłynięcia z prędkością sześciu węzłów. Nic z tego.

— Przy tej prędkości dotarliby do końca szelfu mniej więcej za pięć godzin — skonstatował generał Moore.

— Właśnie. Tymczasem mamy mniej niż dwie godziny.

—< Panie prezydencie — odezwał się jeden z asystentów — gubernatorzy stanów Nowy Jork, New Jersey i Connecticut czekają przy telefonach.

Wszystkie stanowe, lokalne i federalne służby medyczne są w gotowości. Chyba czas na ewakuację.

— Nie, John. Dajmy im jeszcze dziesięć minut — zdecydował McAtee. — Powiedźcie mi, co z Carterem i Tajwanem.

— Tak jest. Były prezydent Carter przybywa z grzecznościową wizytą do Tajpeju. Spędzał akurat wakacje na Bali, skąd go przewozimy.

Zaprosiliśmy wszystkie światowe telewizje. Wizyta ma być symbolem amerykańskiego zdecydowania w kwestii niepodległości Tajwanu.

Chcemy w ten sposób zwiększyć presję na chińskich komunistów.

— To im odrobinę pokrzyżuje plany. Dobry pomysł. Co jeszcze?

— Panie prezydencie — odezwał się Kevin O'Dea z Rady Bezpieczeństwa Narodowego - skierowaliśmy jeden z naszych satelitów nad obszar zbliżającej się bitwy w Cieśninie Tajwańskiej. Będziemy mogli dowodzić bitwą na bieżąco.

— Ale jeszcze nie padły strzały? - upewnił się McAtee.

— Nasze okręty celują w chińskie, a Chińczycy w nasze. Obok chińskich jednostek są tam także dwa francuskie niszczyciele i dwa krążowniki. Tylko czekamy, aż się zaczną.

— Panowie i panie — odpowiedział McAtee — do czasu, aż jakiś chiński laser nie przerwie nam seansu, macie miejsca w pierwszym rzędzie na premierze III wojny światowej. Twoja kolej, Charlie.

— Sir - odpowiedział generał Moore, wstając - admirał dowodzący naszą flotyllą z lotniskowca USS „Kennedy” melduje, że uruchamiane są chińskie wyrzutnie rakietowe, rozmieszczone wzdłuż wybrzeża.

— Jaka jest nasza odpowiedź?

— Zmasowane loty rozpoznawcze nad nimi. Na minimalnej wysokości. Omal nie zaczepiamy im o hełmy.

— Tak trzymać. Powinni mieć pochylone głowy. Dobrze.

427

Otworzyły się drzwi i wartownicy z marines wpuścili młodego oficera z Pentagonu, kapitana Tony'ego Guernseya. Wyglądał na bardzo niespokojnego.

— Panie prezydencie — zameldował — właśnie mi przekazano, że chińskie rakiety woda—woda namierzają nasze okręty. Za chwilę możemy stracić...

— Niczego nie stracimy, Tony — zapewnił prezydent. — Charlie, niech myśliwce nadlatujące nad chińskie wybrzeże zejść na wysokość trzydziestu metrów. Pokażmy tym skurwysynom, że nie żartujemy.

— Tak jest!

— Co oni, do cholery, teraz myślą, John?

— Boją się „Dzikiej Karty”. Ale mają nadzieję, że trzymają nas w szachu,

dzięki „Lewiatanowi”.

— Jeszcze nas nie trzymają. A co właściwie z ich cholernymi tankowcami? Kto się tym zajmuje?

— Ja, panie prezydencie — odpowiedziała Pam Howar, atrakcyjna blondynka z Rady Bezpieczeństwa Narodowego. - Załoga jednego z kutrów naszej Straży Przybrzeżnej dokonała abordażu, wkroczyli na pokład „Szczęśliwego Smoka”, który płynął koło Fort Jefferson w rejonie Floryda Keys, był w drodze do Miami. Kapitan i jego załoga stawili zaciekły opór. Pozostałych przy życiu członków załogi natychmiast zabrano z tankowca, po czym został odholowany na głębiny i zatopiony. „Jadeitowego Smoka” spotkał bardzo podobny los, niedaleko Port Arthur w Teksasie. Trzeba było trzech kutrów i dwóch śmigłowców, żebyśmy dopięli swego. Ale statek spoczywa już w podmorskim grobie, na dnie Zatoki Meksykańskiej.

— To dobre wieści, Pamela — ucieszył się McAtee. — A co z „Super-smokiem”?

— Przestał istnieć, panie prezydencie. Statki rybackie, łowiące na północnym Atlantyku, donoszą o olbrzymiej eksplozji w tym regionie. Nastąpiła godzinę temu, sto mil na wschód od grenlandzkiego przylądka Farewell. Tankowiec po prostu zniknął nam z ekranów.

— Czy to był wypadek?

— Wątpię, żebyśmy się tego kiedykolwiek dowiedzieli.

— Czy eksplozja tego tankowca była wybuchem jądrowym?

— Obawiam się, że tak.

- Rozumiem. Mamy dowód, że nikt nie żartuje. Generał Sun-yat Moon i jego towarzysze mandarynowie wysłali nam jasny sygnał. Czy ktoś

jeszcze ma jakieś ważne wiadomości?

- Telefonuje kapitan Mariucci z „Lewiatana”. Mówi, że właśnie uruchomili na statku dwie turbiny gazowe. „Lewiatan” płynie w stronę latarni Ambrose z prędkością prawie trzydziestu jeden węzłów.

Prezydent podniósł wzrok i się uśmiechnął.

- Niech Bóg błogosławi Amerykę! - powiedział. Na sali rozległy się oklaski.

- Panie prezydencie - odezwał się John Gooch, kiedy znowu zrobiła się cisza.

- Słucham?

- Kapitan „Seawolfa” melduje, że płynie na maksymalnej prędkości do punktu spotkania z „Lewiatanem” przy granicy szelfu kontynentalnego. W tej chwili już wiadomo, że nie ma mowy, żeby zdążył tam przed czwartą. Chyba że rozwinie moc reaktorów daleko przekraczającą dopuszczalną.

- Powiedz Pokeyowi Fraserowi, żeby zapomniał o ograniczeniach.

Podatnicy ufundowali mu podwodne ferrari za dwa miliardy dolarów.

Przekaż mu, że nadszedł czas, żeby użył go we właściwy sposób.

- Tak jest. Sugeruję, żeby powiedzieć mu już o bombie atomowej w kilu „Lewiatana”.

- A czy Pokey ma dostęp do informacji klasy „Dzikiem Karty”?

- Nie.

- To od tej chwili ma. Powiedz mu, żeby ruszył się wreszcie.

Rozdział 63

Północny Atlantyk, godzina 3.34 czasu nowojorskiego

Horyzont czarnego świata rozjaśniał cienki, czerwony pasek światła.

Persifor Fraser stał na mostku sunącego po powierzchni wody

SSN-21 — atomowego myśliwskiego okrętu podwodnego USS „Seawolf”, którym dowodził. Persifor nie czuł się w tym momencie szczęśliwy. Jego okręt nie był zwykłą jednostką, jakie patrolowały okolice wybrzeży New London. „Seawolf” był najcichszym i najszybszym okrętem podwodnym świata. Żaden inny nie mógł przemieszczać się z miejsca na miejsce tak szybko; zresztą znaczna większość okrętów nawodnych także była powolniejsza od „Seawolfa”. Płynąc ku cieśninie Block Island, okręt Frasera w ciągu czterdziestu ośmiu godzin przebył połowę Atlantyku! Między innymi dlatego Pokey Fraser nigdy nie spóźniał się na umówione spotkania. A prezydent jeszcze bardziej go poganiał i miał co do tego uzasadnione powody. Chiny umieściły w kilu pasażerskiego liniowca wielką bombę atomową i groziły wysadzeniem w powietrze Nowego Jorku!

Ukochany okręt Pokeya mógł przybyć na miejsce trzy minuty za późno, żeby temu zapobiec.

Potężna fala dziobowa sięgała do połowy długości okrętu. Ostre kropelki słonej wody piekły Frasera w oczy, kiedy tylko opuszczał ciężką lornetkę i spoglądał na zegarek. A niech to! Rozkazał wycisnąć z reaktora „Seawolfa” i jego maszyn maksymalną moc, i mimo to było bardzo prawdopodobne, że nie zdąży.

A przecież musiał zdążyć. Po pierwsze, spoczywała na nim trudna do wyobrażenia odpowiedzialność; po drugie, był to winny swoim chłopcom. Czternastu oficerów i stu dwudziestu czterech marynarzy „Seawolfa” było w morzu także pamiętnego jedenastego września. Charakter działań okrętów podwodnych wiąże się z bardzo małym dostępem załogi do

informacji o tym, co dzieje się na świecie podczas trwania rejsu. Po jedenastym wrześniu emocje marynarzy „Seawolfa” sięgały zenitu. Wielu z nich miało przyjaciół albo rodziny w Nowym Jorku lub Pentagonie. Zaatakowano ich ojczyznę, a oni posiadali środki odwetowe. Okręt odpłynął wówczas od wybrzeży Szkocji, przepłynął pół Atlantyku w drodze powrotnej na Wschodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych, wreszcie otrzymał rozkazy pilnego przemieszczenia się na Morze Śródziemne, aby zwiększyć liczbę amerykańskich tomahawków i wyrzutni rakietowych w tamtym rejonie działań.

Okręt spisał się wówczas znakomicie.

Teraz zaś Fraser dostał rozkaz jak najszybszego znalezienia się przy tak zwanej Ścianie, na siedemdziesiątym pierwszym stopniu długości geograficznej zachodniej i czterdziestym stopniu szerokości geograficznej północnej. Znajdowała się tam podmorska krawędź kontynentu północnoamerykańskiego. Dno opadało gwałtownie, zbocze schodziło na głębokość trzech i pół kilometra, tworząc rów oceaniczny.

Jeśli ktoś chciał błyskawicznie pozbyć się wielkiej bomby atomowej, trudno było o lepsze miejsce.

Fraser zerknął na dwóch młodych marynarzy stojących obok. Ponad nimi znajdował się cały zagajnik peryskopów do wyszukiwania nieprzyjaciela i kierowania atakiem, maszty łączności radiowej, antena wykrywacza fal elektromagnetycznych, radar. Świeżo ogolone, pełne zapału oblicza pełniących wachtę na mostku chłopców wyrażały uczucia wspólne dla całej załogi. Podobnie jak ich towarzysze broni w Cieśninie Tajwańskiej, po drugiej stronie kuli ziemskiej, marynarze „Seawolfa” pragnęli jak najszybciej dać nauczkę komunistycznym Chinom, które ośmieliły się

terroryzować Stany Zjednoczone.

Pokey zacisnął dłonie na relingu, aż zbieleły mu palce. Sześć mil morskich — taki był maksymalny zasięg jego torped Mark 48. Musiał zbliżyć się do celu na odległość sześciu mil. Normalnie nie jest to trudne. Sześć cholernych mil! Wychylił się naprzód, pozwalając, by siekł go słony deszcz, jak gdyby w ten sposób chciał przyspieszyć swój okręt.

Godzina 3.39 czasu nowojorskiego

Prezydent stał wyprostowany, patrząc bezradnie, jak upływają sekundy wyświetlane przez cyfrowy zegar odmierzający czas operacji. Dopóki zagrożenie ze strony „Lewiatana” nie przestanie istnieć, McAtee miał związane ręce. To była walka na noże. Amerykańska Flota Pacyfiku i Marynarka Wojenna Chin ustawiły swoje okręty naprzeciw siebie, jak gdyby chciały skoczyć sobie nawzajem do gardeł. Wszyscy czekali na następny ruch prezydenta Stanów Zjednoczonych. To fascynujące poczucie - wiedzieć, że przejdzie się do historii. I zdawać sobie sprawę, że

431

jedno niewłaściwe słowo, jeden nieprzemyślany gest, może mieć konsekwencje, które zaważą na dalszym rozwoju wypadków na świecie. Jack McAtee musiał wyteńczyć wszystkie siły, aby w jego głosie nie było słychać uczuć, które nim owładnęły.

— John — odezwał się.

— Tak jest, sir.

— Jeszcze dwadzieścia minut. Coś trzeba zrobić.

— Możemy wygrać wszystko, panie prezydencie.

— Jasne. Czego chcą Chińczycy?

— Żądają, żebyśmy wycofali się z Iraku.

— Zażądaj w naszym imieniu, żeby oni wycofali się z Omanu. Co jeszcze?

— Komandor Fraser melduje, że znajduje się w odległości dwudziestu jeden mil od miejsca spotkania z celem.

— A gdzie jest cel?

— Leci w jego stronę śmigłowiec SH-60 seahawk. Wkrótce jego załoga powinna zobaczyć „Lewiatana”. Jeśli statek zachowa obecną prędkość, dopłynie do krawędzi szelfu za osiem minut, czyli o trzeciej czterdzieści siedem.

— Jaki jest zasięg torped „Seawolfa”?

— Sześć mil. To duże torpedy, Mark 48ADCAP.

— Niech Fraser odpali dwie torpedy natychmiast, kiedy znajdzie się w odległości dziesięciu mil od celu. Powinny trafić dokładnie w chwili, kiedy „Lewiatan” znajdzie się nad rowem oceanicznym.

— Ale dziesięć mil to...

— Wydałem rozkaz — przerwał McAtee.

— Z całym szacunkiem, panie prezydencie, na „Lewiatanie” jest trzech naszych ludzi. Myślę, że...

— Sądzisz, że nie przyszło mi to do głowy?! Cholera jasna! Zróbcie, co tylko w waszej mocy, żeby ostrzec Hawke'a. Próbuje się z nim skontaktować. Ale nie mogę ryzykować życia setek tysięcy obywateli, żeby uratować... Po prostu zróbcie tak, jak powiedziałem.

— Tak jest, sir!

Gooch popatrzył za podwładnym, który pobiegł wykonać rozkazy, a potem powiedział do prezydenta:

— „Lewiatan” ledwie zdąży dotrzeć ponad krawędź rowu, kiedy trafią go torpedy. Jeżeli przeliczymy się choćby odrobinę i wrak opadnie jeszcze na końcówkę szelfu, eksplozja bomby wzbudzi falę skażonej wody, wysoką na piętnaście metrów. Piątą Aleją popłyną tonący ludzie. Tonący i napromieniowani.

— Musimy podjąć to ryzyko, John — odpowiedział prezydent. — Trzeba zatopić „Lewiatana”.

Godzina 3.47 czasu nowojorskiego

— O co mu, do cholery, chodzi? - spytał Mariucciego Alex. O godzinie trzeciej trzydzieści uruchomił alarm, nakazujący opuszczenie statku; alarm rozbrzmiewał cały czas. Wśród znajdujących się na pokładzie ludzi szybko rozeszła się wiadomość o mającym wkrótce nastąpić wybuchu bomby atomowej. Chińscy technicy nuklearni stali się kamikaze mimo woli — zwierzchnicy z Pekinu rozkazali im ukryć się na „Lewiatanie”. Teraz wypęłzali z rozmaitych miejsc i ruszali biegiem w stronę pokładu spacerowego. Zwisły tam, piętnaście metrów nad powierzchnią oceanu, jaskrawopomarańczowe szalupy wyposażone w silniki spalinowe. Po trzydzieści szalup wzdłuż każdej burty statku.

Spuszczono już dwie pełne ludzi szalupy, zdążyły zniknąć za horyzontem. Teraz miała zostać opuszczona trzecia i ostatnia. Kapitan Dechevreux, który początkowo mówił, że nie porzuci swojego statku, wykazał jednak zdrowy rozsądek i zmienił zdanie. Siedział teraz na dziobie szalupy, paląc z wściekłością papierosa i przeklinając Bonapartego. Von Draxis zaginął. Może baron uznał, iż najlepiej dla niego będzie skoczyć za burtę.

Hawke trzymał palec na przycisku opuszczającym szalupę. Jednak ostatni człowiek, który miał na nią wsiąść, bardzo zdenerwowany chiński

inżynier, podskakiwał na pokładzie i coś krzyczał.

Zajmując miejsce w łodzi, Mariucci wyjaśnił:

— On woła, że nie -wsiądzie bez reszty swoich kolegów. Hawke spojrział na Chińczyka i oznajmił:

— Masz jedną sekundę. Wsiadasz czy zostajesz?

433

Chińczyk odwrócił się na pięcie i odbiegł w stronę rufy. Alex spojrział na zegarek.

— Dwanaście minut — powiedział.

— Starczy tego - ocenił Mariucci. - Wsiadaj i uciekajmy, zanim zginiemy. Alex nie ruszał się jednak z miejsca, tylko patrzył na Johna jakoś dziwnie. Coś musiało się stać.

— Gdzie jest Tynan? — spytał.

— Cholera, nie wiem - przyznał Mariucci. - Myślałem, że tu przyjdzie.

— Gdzie był, kiedy widziałeś go po raz ostatni?

— W tamtym barze, prowadził Chińczyków do szalup.

— W tamtym, to znaczy w którym? Na „Lewiatanie” jest ze trzydzieści barów.

— W tym, w którym pierwszy raz zobaczyliśmy von Draxisa.

— Normandie.

— Alex, musimy natychmiast odpłynąć!

Hawke wcisnął przycisk i szalupa szybko ruszyła w dół.

— Wskakuj! - zawołał Mariucci.

— Nie mogę zostawić naszego człowieka, John! — odpowiedział Alex. — Wsiądziemy do innej szalupy. - Najbliższym trapem pobiegł w górę, przeskakując po trzy stopnie. Pamiętał, że bar Normandie znajduje się

pokład wyżej, nad dziobem. Pozostało niecałe dziesięć minut na odnalezienie młodego bosmana ze Straży Przybrzeżnej i ucieczkę ze skazanego na zagładę statku.

Rozdział 64

Północny Atlantyk, godzina 3.48 czasu nowojorskiego

Panie prezydencie — odezwał się John Gooch — „Seawolf” znajduje się dziesięć mil od miejsca spotkania i płynie dalej naprzód. A „Lewiatan” jest jedną milę od Ściany, prowadzi go teraz automatyczny sternik, posuwa się z prędkością trzydziestu węzłów. Minie krawędź mniej więcej za dwie minuty.

— Czy wszyscy opuścili statek?

— Nie jesteśmy w stanie skontaktować się z nikim na pokładzie. W stronę „Lewiatana” leci śmigłowiec ratunkowy Straży Przybrzeżnej. Jego załoga zobaczyła w wodzie dwie pełne ludzi szalupy.

— Pełne?

— Tak powiedział pilot śmigłowca Vankee Victor.

— W takim razie chyba wszyscy wsiedli do tych szalup. Powiadomić „Seawolfa” i niech odpalają torpedy.

— Tak jest, sir.

— Czy chiński premier czeka przy telefonie?

— Właśnie się z nim łączymy, panie prezydencie.

— Dobrze. Wywołajcie przez radio Hawke'a. Upewnijcie się, czy opuścił „Lewiatana”.

— Wywołujemy go co dwadzieścia sekund, ale nie odpowiada.

— Pewnie jest zajęty. Próbujcie dalej.

Godzina 3.50 czasu nowojorskiego

Alex wpadł do baru Normandie i rozejrzał się po rozległym pomieszczeniu. Nie było w nim nikogo. Zostało niecałe dziewięć minut. Telefon komórkowy Hawke'a znowu się odezwał; wywoływano go bez przerwy. Czego mogli w tej chwili chcieć? Nie miał nic do zameldowania, poza tym że wkrótce umrze. Nagle usłyszał cichy jęk, dobiegający spod ławy. Skoczył w jej kierunku, omijając puste stoliki. Zobaczył, że Tynan leży na pokładzie, na plecach. Ręce i nogi rozrzucone, wzrok wbity w sufit, nieme spojrzenie. Oddychał spazmatycznie... Przód bluzy młodego bosmana był poszarpany, przesiąknięty krwią.

Hawke przyklęknął koło Tynana:

— Bosmanie, jeśli mnie pan słyszy, proszę zacisnąć pięść.

Prawa dłoń chłopaka otworzyła się powoli, a potem zacisnęła mocno.

— Von Draxis — wydobył z siebie schrypniętym głosem Tynan. — Miał... nóż. Nie widziałem go. A on...

- Trzymaj się, chłopie. Wydostanę cię stąd. - Alex wsunął ręce pod plecy potężnego marynarza. — Gotów? Ruszamy.

Hawke musiał wyteńczyć wszystkie siły, aby podnieść z pokładu umierającego Tynana. Ruszył z nim ku drzwiom, przewracając stoliki i krzesła. Potykał się, dwukrotnie omal się nie przewrócił. Udawało mu się jednak utrzymać na nogach. Jeszcze dziesięć metrów i znów znajdzie się na pokładzie spacerowym. Tymczasem w otworze drzwi pojawiła się jakaś postać. Skoczyła ku Aleksowi.

Von Draxis! Jakim sposobem wydostał się z kabiny? Wyglądał jak wściekły byk, jego biała marynarka była zbryzgana krwią Tynana. Hawke posuwał się dalej naprzód, przełożywszy rosłego bosmana na prawe ramię, aby uwolnić lewe. Niemiec wciąż ścisnął w dłoni nóż. Duży nóż.

Rozpoznał Aleksa - ręka z nożem się uniosła.

— Witam, milordzie! — prychnął ironicznie, zerkając rozbieganymi oczami. - Nareszcie dowiedziałem się, kim pan jest. Generał mi powiedział. Nie nazywa się pan George Moran. To pan jest tym sukinsynem Hawkiem, prawda? To przez pana...

- Z drogi! - rzucił Alex, idąc dalej.

- Zdaje ci się, że opuścicie ten statek? Zdezerterujecie, jak te chińskie szczury? Mówiłem Luce, że na Chińczyków nie można liczyć. Chodź no tu, człowieku. Donikąd nie...

Lewa ręka Aleksa wykonała błyskawiczny ruch - na nos von Draxisa spadła twarda pięść. Rozległ się trzask jak gdyby pękającej suchej gałązki. Baron upuścił nóż. Złapał się za nos, spomiędzy dłoni ściekała mu krew. Nogi ugięły się pod nim i upadł na pokład. Próbował wstać, ale nie był w stanie. Spojrzał na Hawke'a; krew leciała mu z nosa strumieniem.

— Myślisz, że to koniec? — spytał, prychnając krwią.

- A ty nie?

— Bonaparte i ja jesteśmy niezwyciężeni. I niezatopialni, jak ten piękny statek, który zbudowałem. Razem...

— Już po Bonapartem, tak samo jak po tobie i po waszym statku. Auf wiedersehen, Baron. Schlafen Sie gut.

Hawke zatrzymał się przy stromym trapie prowadzącym na pokład z szalupami. Nie mógł zejść ze schodów z Tynanem na ramieniu.

Pozostało pięć minut. Nie zdąży nawet spuścić na wodę szalupy. Będzie musiał... Znowu zadzwonił telefon komórkowy. Hawke wyjął go i odebrał, jednocześnie zastanawiając się, jak ratować siebie i Tynana.

— Alex, tu Jack McAtee — odezwał się prezydent. — Jesteś w szalupie?

Odplynales od „Lewiatana”?

— Nie, sir. Niestety, nie jestem w szalupie. Czy... czy jesteŃmy juŹ nad rowem oceanicznym?

— Alex, plyną na was torpedy! Tak, mineliŃcie juŹ Ścianę. Natychmiast opuść statek!

— Dobry pomysł. Tylko Źe jeŹli zaraz nie pójdzie na dno...

— To mój problem — przerwał McAtee. — Słuchaj, do cholery! Zabieraj się stamtąd.

— Panie prezydencie, mam tu cięŹko rannego. Umrze, jeŹli nie otrzyma pomocy lekarskiej. Chyba Źe...

— Widzisz śmigłowiec, Alex? Nad wami jest śmigłowiec StraŹy PrzybrzeŹnej. NiechŹe ten pilot wreszcie zrzuca uprząŹ ratunkową! Hawke ciagle jest na „Lewiatanie”... Alex, słuchaj. IdŹ na...

Alex zachwiał się pod cięŹarem Tynana, ale rozejrzał się i ruszył w stronę otwartego pokładu. Zobaczył zbliŹający się na małej wysokości śmigłowiec. W otwartych drzwiach maszyny stali ubrani na pomarańczowo ludzie, którzy opuścili linę.

— JesteŹ tam jeszcze, Alex? Masz tylko jedną próbę!

— Tak jest... — Nagle Hawke poczuł ostre uderzenie w plecy, jak gdyby trafiono go młotkiem. I straszliwy ból. To ten cholerny Niemiec z noŹem! Upadł na lewe ramię, starając się podtrzymywać cięŹko rannego Tynana.

Godzina 3.52 czasu nowojorskiego

— Śmigłowiec StraŹy PrzybrzeŹnej Vankee Victor, mówi prezydent. Słyszysz mnie?

— Tak jest, panie prezydencie, tu Vankee Victor, StraŹ PrzybrzeŹna. Widzę pańskiego człowieka, sir. Jest na górnym pokładzie dziobowym, na

forpiku. Tam toczy się walka... och, padł na pokład...

437

— Słuchaj, synu. Macie trzy minuty. Potem statek eksploduje, tak że zginiecie w mgnieniu oka.

- Jest jeszcze gorzej, panie prezydencie, parę mil stąd widziałem dwie szybko zbliżające się torpedy. Wykonam jedno podejście do „Lewiatana”. Agent... chyba wstał. On... Czy ktoś może mi powiedzieć, co się tam dzieje?

- Nie ma czasu, Vankee Victor. Zabieraj go z pokładu. I niech sanitariusz zajmie się zaraz rannym.

— Tak jest, sir. Zrzuciliśmy uprząż ratunkową dla dwóch osób.

Nadlatujemy...

Godzina 3.54 czasu nowojorskiego

Hawke się podniósł. Sięgnął za plecy, żeby zorientować się, czy tkwi w nich nóż i stanął oko w oko z uśmiechającym się Niemcem. Nos von Draxisa spuchł tak, że zrobił się dwa razy większy, krzepnąca krew pokrywała usta, zęby i brodę barona.

— Ja mam pierwszeństwo — oznajmił von Draxis. — Muszę wydostać się z tego...

— Oczywiście— zgodził się Hawke, doskakując do barona i jednym ruchem wypychając go za reling. Von Draxis spadł w spienione fale.

Hawke spojrzał w kierunku, z którego dobiegał łoskot śmigłowca.

Maszyna leciała prosto na niego. Alex schylił się i podniósł

nieprzytomnego Tynana. Zdziwił się, jak łatwo było mu teraz zarzucić go na ramię. Śmigłowiec zawisł w górze i wypuścił flarę. Na linie zwisała z otwartych drzwi jaskrawoczerwona uprząż ratunkowa, kręciła się po

eliptycznym torze. Desperacko próbując utrzymać Tynana, Hawke zaparł się stopą o reling i wyciągnął prawą rękę. Kusiło go, żeby skoczyć w stronę upręży... Nie, nie mógł tego zrobić. Chryste, nie złapał jej! Nie wykorzystał swojej szansy!

Pilot zawahał się jednak, szarpnął śmigłowcem w lewo i uprząż zbliżyła się ponownie.

Co to? Alex zobaczył tuż pod powierzchnią wody sunące ku „Lewiatanowi” białe smugi dwóch torped. Jedna skręciła gwałtownie ku rufie statku, druga mknęła dalej prosto, ku dziobowi. Jeszcze sto pięć-438

dziesiąt metrów... Boże! Za kilka sekund uderzą! Tymczasem do Aleksa znów zbliżała się uprząż ratunkowa. Wyciągnął rękę i tym razem złapał ją. Docisnął jej prostokątny spód do pokładu, jak najdelikatniej przelożył pomiędzy linami upręży Tynana i sam tam wszedł.

— Bosmanie! — zawołał, kiedy Tynan zaczął się szarpać, przestraszony łoskotem śmigłowca. — Udało nam się! Wyzdrowiejesz! Trzymaj się tylko mocno!

A potem, dokładnie w chwili kiedy dwie pierwsze, potężne torpedy uderzyły w „Lewiatana” i eksplodowały, uprząż szarpnęła ich w górę.

Godzina 3.57 czasu nowojorskiego

Po eksplozjach pierwszych dwóch torped Mark48 nadpłynęły kolejne. Jedna rozminęła się z dziobem liniowca, zawróciła więc raptownie i uderzyła w lewą burtę statku — tym razem trafiła. Trzy pierwsze z wystrzelonych przez „Seawolfa” torped dokonały ogromnych zniszczeń, choć „Lewiatan” nie tonął jeszcze. Jednak pojawił się kolejny biały ślad, po którym nastąpiła kolejna eksplozja. A potem jeszcze dwie, i trzecia, i

czwarta. Potężne wybuchy wyrwały w śródkręciu liniowca wielkie, osmalone dziury. Środkowa część „Lewiatana” się wygięła. Po chwili osobno utrzymywała się na wodzie rufa oderwana przez pierwszą torpedę, jaką wystrzelił Fraser, aby unieruchomić dysze napędowe liniowca, osobno zaś tonęła większa część statku. Rufa oddalała się coraz bardziej od reszty.

Hawke patrzył z wysoka na agonię morskiej bestii. Wciąż zwiślał na linie sześć metrów pod śmigłowcem, którego wyciągarka nawijała linę na bęben. Dwie trzecie przełamane statku przechyliło się na prawą burzę, jednak ciężki kil nie pozwalał mu łatwo się przewrócić. Woda z szumem przepływała wodoszczelnymi przedziałami z prawej burty na lewą i z powrotem.

Boże, tego się właśnie obawiałem! - myślał Alex. Nawet najpotężniejsze torpedy, których cała seria trafiła w cielsko „Lewiatana”, nie są w stanie go zatopić! Statek ma wodoszczelne przegrody, od dziobu aż po rufę! Trzeba by...

Nie było potrzeby dzwonić - prezydent nie zawiódł Aleksa.

439

Dziesięć metrów nad grzbietami fal sunęły z rykiem należące do marynarki tomcaty F/A18 super hornety, cały dywizjon. Ku „Lewiatanowi” śmignęły dwie białe smugi - rakiety Onyx. Następnie wystrzeliły swoje rakiety dwa samoloty lecące po bokach dowódcy. Sześć niemożliwych do zatrzymania, zabójczych rakiet samosterujących klasy powietrze— woda uderzyło w wielki wrak z prędkością dwa i dziewięć dziesiątych macha. Sama siła uderzenia rakiet była ogromna — każda ważyła dwie i pół tony i rozpędziła się do prędkości siedmiuset

pięćdziesięciu metrów na sekundę. Kiedy eksplodowały, cała środkowa część kadłuba potężnego liniowca znikła.

Dziób i rufa pochyliły się i zaczęły powoli zanurzać się w oceanie.

Odlany z ołowiu kil opadał szybko w głąbinę. Bomba atomowa, zmiażdżona olbrzymim ciśnieniem, nie wybuchła, tylko spadła prawie cztery kilometry w dół, na dno sąsiadującego z prawie pionową ścianą rowu oceanicznego, tuż za skrajem kontynentalnej płyty.

Rozdział 65

Waszyngton

Wszyscy wpatrywali się w ekran, na którym były zdjęcia ze śmigłowca Straży Przybrzeżnej. Jaskrawopomarańczowa maszyna wisiała teraz zaledwie trzydzieści metrów ponad miejscem, gdzie chwilę wcześniej znajdował się „Lewiatan”. Nareszcie zatonął. Nie pojawiał się żaden wodny grzyb, nie było śladu atomowej eksplozji. Zebrani wstrzymywali oddechy.

— Panie prezydencie — odezwał się w końcu John Gooch — premier Chin ciągle czeka przy telefonie.

— W jakim jest nastroju?

— Jeśli celem „Dzikiej Karty” było sparaliżowanie chińskiego kierownictwa, to melduję, że ów cel został osiągnięty w stopniu przekraczającym nasze oczekiwania. Premier Su Ning z trudem oddycha.

— To dobrze. Niech jeszcze zaczeka. Przełączcie na głośniki Hawke'a.

Niech ktoś poda mu nadajnik.

— Przełączyliśmy go, sir.

— Alex? — odezwał się McAtee.

— Słucham, panie prezydencie.

— Czy widziałeś albo słyszałeś cokolwiek, co wskazywałoby na eksplozję kilu, gdy opadał na dno?

— Nie, panie prezydencie. Rakieta eksplodowała z taką siłą, że jeśli coś zostało z kilu, poszło na dno.

— Na dno rowu oceanicznego.

— Tak jest. Jeżeli bomba nie została rozerwana na kawałki, leży prawie cztery kilometry pod powierzchnią oceanu, unieszkodliwiona z powodu zniszczenia jej mechanizmu.

Na sali rozległ się spontaniczny aplauz. Ludzie krzyczeli głośno z radości.

— To dobrze — pochwalił prezydent. — Bardzo dobra wiadomość. Czy mógłbyś się nie rozłączać, Alex? Poinformuję Chińczyków o najnowszych wydarzeniach.

— Tak jest, sir. Nie wybieram się teraz donikąd.

— Co z „Seawolfem”? - spytał McAtee generała Moore'a.

— Sonary okrętu nie odebrały żadnego śladu eksplozji, panie prezydencie

— zameldował generał. — Żadnej fali uderzeniowej ani drgań. Załoga potwierdziła, że kil „Lewiatana” znalazł się na dnie rowu. Rozpadł się, jego zdeformowane kawałki rozproszyły się po dnie. Żaden nie jest na tyle duży, żeby mógł zawierać w sobie nieuszkodzoną bombę atomową. Nie wykryto promieniowania.

— Co pan z tego wszystkiego wnioskuje?

— Że Nowemu Jorkowi już nic nie grozi.

Prezydent głęboko odetchnął i wziął słuchawkę telefonu, którą podał mu żołnierz marines.

— Mówi prezydent Stanów Zjednoczonych — powiedział.

— Tu premier Chin — odezwał się Su Ning. — Długo na pana czekałem.

Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

— Chciałbym pana poinformować, że chińska bomba atomowa w Nowym Jorku została zneutralizowana. Mam nową listę żądań w stosunku do was. Czy pańscy ludzie są gotowi? Proszę notować.

441

Nastąpiła chwila ciszy.

- Zneutralizowana? - powtórzył chiński premier. - Jak to?

- Już nie macie czym nam grozić — potwierdził McAtee. — Rozumie pan?

- Chwileczkę, muszę to potwierdzić...

W tle rozległy się głośne krzyki, potem nastąpiła stłumiona, ale bardzo ożywiona rozmowa, wreszcie Ning odezwał się ponownie:

- Proszę mówić. Posłuchamy, co ma pan do powiedzenia.

- Świetnie. Przedstawię teraz listę amerykańskich żądań. Kiedy zostaną spełnione, co potwierdzą jednoznacznie nasze służby, rozważę przerwanie operacji „Dzika Karta”. Czy zrozumieliście?

- Jakie są wasze żądania?

- Niech pan tak nie krzyczy, panie premierze.

- Przepraszam. Jakie ma pan żądania, panie prezydencie?

- Tak lepiej. Po pierwsze, chcę, żeby natychmiast rozkazał pan wszystkim chińskim siłom morskim i powietrznym w rejonie Cieśniny Tajwańskiej złożenie broni. Także rozmieszczone wzdłuż wybrzeża wyrzutnie raketowe mają zostać wyłączone. Rozumiemy się, panie premierze? Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

Rozległy się pospieszne rozmowy po chińsku.

- Tak, panie prezydencie - odezwał się znowu Su Ning. - Baterie rakiet są

wyłączane. Proszę kontynuować.

- Muszę mieć potwierdzenie, że rzeczywiście wyłączacie baterie.

Natychmiastowe.

- Wyłączamy, panie prezydencie. W tej chwili rozkazy są przekazywane dowódcom liniowym.

- Dobrze. Moje drugie żądanie jest długie, więc proszę słuchać bardzo uważnie. Chcę, abyście zagwarantowali natychmiastowe wycofanie z Omanu całego chińskiego personelu cywilnego i wojskowego. Chcę, aby chińscy imigranci przestali infiltrować Sudan. Ponadto poinformuje pan prezydenta Bonapartego, że już nie popieracie francuskiej obecności w Omanie. Proszę ponad wszelką wątpliwość utwierdzić Bonapartego w przekonaniu, że stanowiska Stanów Zjednoczonych i Chin są w tej sprawie całkowicie zgodne. Oba nasze państwa stanowczo nalegają, aby wszystkie francuskie siły, zarówno morskie, jak i lądowe, natychmiast wycofały się z rejonu Zatoki Perskiej. Rodzina sułtana, która obecnie jest przewożona drogą morską z wyspy Masira do Maskatu, ma bezpiecznie dotrzeć do domu.

— Tak. Chwileczkę... zapisaliśmy.

— Świetnie. Moim ostatnim żądaniem jest to, aby Chiny zaprzestały wiecznego nękania Tajwanu. Tajwan nie jest własnością Chin. Jeśli choć odrobinę zależy wam na kontynuowaniu korzystnego dla obu naszych krajów odprężenia we wzajemnych stosunkach gospodarczych, uznacie to żądanie za przejaw naszej mądrości.

— Tak, panie prezydencie.

— Mam jeszcze jedno żądanie, osobiste. W wydarzeniach, jakie miały ostatnio miejsce, poważną rolę odegrali nasi czterej agenci. Jeśli wskutek

tego stanie im się jakakolwiek krzywda, nie gwarantuję Chinom niczego. Oto nazwiska agentów: Brock, Congreve, Jones i Hawke. Zapisaliście? Tak, tak. Hawke, z „e” na końcu.

Prezydent słuchał przez kilka minut, mówiąc od niechcienia, że się zgadza albo że się nie zgadza. Wreszcie pożegnał się z chińskim premierem i oddał telefon czuwającemu żołnierzowi. McAtee popatrzył na twarze zebranych - dzielnych ludzi, którzy go nie odstępili, którzy pomogli mu przezwyciężyć tak bardzo niebezpieczny kryzys.

— Ning wydał swoim siłom rozkaz natychmiastowego złożenia broni - powiadomił prezydent.

— Dzięki Bogu! — odezwał się ktoś.

— Proszę zweryfikować wszystko, o czym była mowa. Charlie, potrzebne mi jest potwierdzenie, że Chińczycy się wycofują.

— Tak jest, sir — odpowiedział generał Moore, uśmiechając się szeroko. Widać było uczucie ulgi na zmęczonych twarzach. Gooch oparł dłoń na ramieniu prezydenta.

— Sir, jaka jest ich odpowiedź na nasze żądania dotyczące Omanu?

— Ning powiedział, że rozkazał Bonapartemu natychmiast wycofać się z tego kraju. Dodał, nader dyplomatycznie, że francuski prezydent się rozkleja. Zamknął się w Pałacu Elizejskim, otoczony Gwardią Imperialną i uzbrojonymi po zęby lojalistami.

- Musimy coś z tym zrobić — ocenił Gooch. — Interpol przygotował nakaz aresztowania Luki Bonapartego pod zarzutem morderstwa pierwszego stopnia. Dysponujemy niezbitymi dowodami. Mamy zeznanie naocznego świadka. Trudno będzie jedynie doprowadzić tego sukinsyna przed oblicze sądu.

- Czy podoba ci się taki obrazek, John: amerykańska dywizja piechoty maszeruje Polami Elizejskimi?

- Mnie tak - odpowiedział z uśmiechem generał Moore.

- A mnie ani odrobinę — oznajmił Gooch, poprawiając okulary.

- Czy Hawke ciągle jest na linii? - spytał McAtee. - Alex, jesteś tam? |

- Jestem, sir.

- Czy twoim chłopcom z Omanu nic się nie stało?

- Nie, mogą zebrać się w ciągu dwunastu godzin, panie prezydencie.

- To dobrze. Muszę pilnie posprzątać jeszcze w jednym miejscu.

- W Paryżu?

- W Paryżu.

Rufa była najdłużej utrzymującą się na powierzchni wody częścią olbrzymiego liniowca. Różowe światło nad wschodnim horyzontem stało się już na tyle mocne, że Alex mógł odczytać wymalowaną złotymi literami na wysokiej rufie nazwę statku.

LEWIATAN. Potwór morski.

Przez pokład potwora przeszła wielka fala, zmyła grupkę Chińczyków, którzy zignorowali alarm i do tej pory trzymali się relingu. Ich głowy nie pojawiły się już na powierzchni.

Uprząż ratunkową podciągnięto pod sam śmigłowiec. Głęboka rana w dole pleców Hawke'a była bardzo bolesna, ale nie mógł nic na to poradzić.

Znosił więc ból, czekając cierpliwie, aż Tynan zostanie wyjęty z upręży i wciągnięty do wnętrza maszyny. Oddychał jeszcze, ale pozostało po nim w koszu dużo krwi. Więcej Alex nie mógł dla tego chłopaka zrobić.

Ze swojego szczególnego miejsca pod niebem obserwował tragiczny koniec wydarzeń.

Pośmiertne drgawki morskiej bestii napawały go jednocześnie przerażeniem i ponurą satysfakcją. W widocznym jeszcze ponad wodą fragmencie czarnego kadłuba wciąż migotały rzędy świateł, które kolejno gasły, w miarę zanurzania się statku.

Rufa unosiła się coraz bardziej, aż wreszcie stanęła w pionie, niczym olbrzymia, czarna kolumna. Jeżeli kogoś jeszcze nie zmyło, nie czuł się teraz dobrze. Musiał trzymać się desperacko czegoś, co było przyśrubowane do pokładu, aby pozostać przy życiu chwilę dłużej.

Rufa „Lewiatana” wystawała teraz z wody na pięćdziesiąt metrów w górę. Rysowała się wyraźnie na tle wciąż upstrzonego gwiazdami nieba. Stała tak kilka minut, a potem ruszyła powoli w dół, aż wreszcie szybko zanurzyła się w wodzie, opadając pionowo.

Nie wywołało to wielkiego hałasu. Zniknięciu resztek olbrzyma towarzyszył odgłos podobny do przełknięcia. Wirująca woda zasłoniła złoty napis.

W przeciwieństwie do innych katastrof statków pasażerskich, po tej nie pozostały na powierzchni oceanu setki błagających Boga o miłosierdzie, tonących, przerażonych ludzi. Nie rozlegały się krzyki umierających niemal równocześnie tysięcy ludzkich istot. Po zniknięciu „Lewiatana” pozostała na powierzchni jedynie słabo widoczna, białoszara mgiełka. Wisiała metr nad wodą jak żałobny całun rozciągnięty nad obszarem oceanu, gdzie przed chwilą był jeszcze ogromny statek. Na chwilę pojawił się też potężny bąbel, pełen rozmaitych szczątków, który uniósł się ku powierzchni gdzieś z głębin.

Następnego dnia ów obszar będzie tak samo czysty jak dawniej. Ponad nim wznosił się Vankee Victor. Śmigłowiec oddalał się, unosząc Aleksa

Hawke'a ku błyszczącym w oddali światłom wielkiego miasta. Nowego Jorku. Z góry sięgnęły do upręży czyjeś silne dłonie. Uniosły Aleksa, który po raz ostatni spojrział na wodny grób wielkiego liniowca.

Gra o życie była skończona.

Nazajutrz nie będzie już żadnego śladu po tym, co się tu działo.

Nad falującym Atlantykiem będą krążyły mewy.

A słońce będzie świeciło na fale jak na wielką, niebieską szybę.

Epilog

Paryż odtańczył swoje ostatnie tango. Czyżby ktoś wcisnął niewłaściwy przycisk, zapomniał włączyć na noc światło? Nie, zaciemnienie nie wynikało z żadnej pomyłki, było ostatnim posunięciem Luki Bonapartego. Przed tygodniem Chińczycy rzucili go na pożarcie wilkom, a teraz wilki otoczyły jego siedzibę. W najczarniejszym dniu swojego życia Bonaparte rozkazał o godzinie dwudziestej pierwszej pogasić wszystkie światła w Paryżu. Nagle w mieście zrobiło się tak, jak w 1944 roku. Od dwudziestej pierwszej obowiązywała także godzina policyjna. Każdy, kto znalazł się na ulicy bez wydanej przez władze przepustki, mógł być aresztowany.

Jet miała jednak poważny powód, aby o tej porze przebywać na ulicy, Uciekała przed śmiercią.

Po tym, co stało się w Hongkongu, poleciała do Paryża. Wydawało jej się, że to świetne miejsce do ukrycia się. Miała tam mieszkanie, przytulne gniazdko, w którym kochała się niegdyś z Schatzim. Przed dziesięciu laty, po kłótni, kazał jej się wyprowadzić. Przestał płacić za nią czynsz, odcięto światło i ogrzewanie. Jet pozostała jednak w mieszkaniu, a potem kupiła je, podając fałszywe nazwisko. Odtąd paryskie mieszkanie stało się jej

kryjówką. Nikt tu nie wiedział, kim Jet jest naprawdę.

Wybiegła z pogrążonej w mroku kamienicy numer 88 przy alei Focha.

Wskoczyła do mercedesa, wzięła głęboki oddech i zmusiła się do tego, aby ruszyć powoli. Na ulicach było niewiele samochodów, wszystkie

446

miały przysłonięte reflektory. Jej mercedes także. Jazda w takich warunkach była bardzo niebezpieczna.

Jet skierowała się na południe, a potem wschód, w stronę Tuileries. W oddali majaczyła wieża Eifla, niczym smukły czarny palec wycelowany w niebo. Jej jedynym oświetleniem było małe, czerwone, migające światełko na samym czubku, które ostrzegało pilotów samolotów i śmigłowców. W oknach wszystkich domów zawieszono grube zasłony. Stare kasztany, rosnące wzdłuż ulicy, przy której mieszkała Jet, odcinały się czarnymi sylwetami na tle rozgwieżdżonego nieba.

Jet spojrzała z niepokojem w lusterko wsteczne. Przez chwilę jechał za nią radiowóz, jednak nie wiadomo dlaczego skręcił w George Avennu. Jet ścisnęła mocniej kierownicę lewą dłonią, a prawą sięgnęła po papierosa. Ręka jej drżała, kiedy zbliżyła papieros do zapalniczki. Nic dziwnego, że Jet znajdowała się na skraju wytrzymałości nerwowej. Tego ranka przyszli do jej mieszkania agenci Te-Wu.

Uciekła schodami od tyłu kamienicy, zabierając ze sobą tylko ubranie, które miała na sobie. Wróciła sześć godzin później. Obserwowała bramę kamienicy z ławki w parku. Po czterech długich godzinach postanowiła zaryzykować. Przebiegła przez ulicę i wpadła do budynku. Weszła na drugie piętro. Przetrząsnięte mieszkanie było w opłakanym stanie, ale nie zwracała na to uwagi. W ciągu dziesięciu minut zebrała potrzebne rzeczy

— pieniądze, broń i najcenniejszą biżuterię — trzymane w ukrytym w podłodze pod stosem butów sejfie.

Wychodząc, wzięła jeszcze szczeniaka shar pei. W tej chwili pies znajdował się w spoczywającej na fotelu czarnej torebce marki Hermes. Na kolanach Jet leżała odznaka chińskiej tajnej policji Te-Wu i mały pistolet. Jeśli ktokolwiek ją zatrzyma, będzie strzelała.

Cały ranek chodziła ulicami, bojąc się wrócić do domu, wreszcie wynajęła pokój w hotelu Ritz, posługując się kolejnym fałszywym nazwiskiem. Zadzwoiła też pod numer podany jej przez Stokely'ego. Miała użyć owego numeru właśnie w takiej sytuacji, jak ta. Ku zdziwieniu Jet okazało się, że Stoke jest w Paryżu. Nie chciał powiedzieć dlaczego, ale łatwo było odgadnąć. Bonaparte zabarykadował się w Pałacu Elizejskim. Na dachu pałacu leżeli strzelcy wyborowi, na dziedzińcu stały czołgi.

447

Wystosowana przez ONZ rezolucja nie skłoniła prezydenta Francji do wyjścia z budynku.

Stoke powiedział, że to brudna robota, ale ktoś musiał ją wykonać.

Jet zakomunikowała z kolei, że musi jeszcze tej nocy opuścić Paryż.

Natychmiast. Stokely odparł, że rozumie i że coś wymyśli. Obiecał zadzwonić na jej telefon komórkowy po dziewiątej wieczorem i powiedzieć jej, co ma robić.

Jechała teraz z umiarkowaną prędkością we wskazane przez niego miejsce. Przypomniały jej się stare kroniki filmowe, pokazujące Paryż w czasach okupacji hitlerowskiej. Ludzie przemykający w cieniu pogrążonymi w mroku ulicami, spieszący się do domów. Na rogu ulicy stała ekipa CNN, reporter opowiadał o zaciemnieniu w mieście. Nagle horyzont rozjaśniła

błyskawica i rozległ się stłumiony grzmot.

Kamera obróciła się gwałtownie, aby sfilmować gasnące niebo.

Deja vu, pomyślała Jet.

Wiedziała, co mówią w radiu amerykańscy reporterzy.

Obecny impas oceniano na różne sposoby, krążyły rozmaite sprzeczne plotki. Lojaliści wierzyli, że obleżony prezydent jest ostatnią nadzieją narodu. Jednak pętla wokół szyi Bonapartego się zaciskała. Antybonapartyści twierdzili, że prezydent zapłacił swoim ludziom za to, żeby krążyli po mieście i strzelali do wszystkich, którzy odpowiadali na ich pytania w niewłaściwy sposób. Mówiono też, że prezydent zrzuca całą winę na brytyjskie i amerykańskie bombowce, których jednakże nikt nie widział. A jednak bomby wybuchały naprawdę.

Plotkowano więc, że to sam Bonaparte zaczął wysadzać budynki, żeby żandarmeria miała usprawiedliwienie swoich działań i mogła przeprowadzać jeszcze bardziej brutalne kontrole, a także aby więcej lojalistów chwyciło za broń w obronie prezydenta. Jednocześnie Bonaparte łatwiej mógł panować nad pogrążonym w mroku miastem, spiskując przy tym z generałami i zastanawiając się, co robić dalej. Całe dowództwo sił zbrojnych zebrało się w Pałacu Elizejskim, jak gdyby w ten desperacki sposób chciało utrzymać się przy władzy.

Ludzie, którzy rozgłaszali plotki wymierzone przeciwko Bonapartemu, znikali.

Jet skrzyła kierownicę i opływowa, czarna maszyna wjechała na most Ludwika Filipa. Przejechała przez Sekwanę na wysepkę św. Ludwika, położoną na południe od wyspy de la Cite. Jet zatrzymała mercedesa na znajdującym się tuż za mostem parkingu. Wsiadła i zamknęła samochód

pilotem. Szła szybko, rozglądając się na wszystkie strony. Na ulicach nie było nikogo; przynajmniej nikogo nie widziała. Odkąd radiowóz skręcił, miała wrażenie, że nikt jej nie śledzi.

Stokely dał jej bardzo dokładne instrukcje. Zbiegła po schodkach prowadzących na nadbrzeżną alejkę. Ruszyła nią, osłonięta liśćmi drzew, ku zachodniemu krańcowi wysepki.

Dotarła do wyznaczonego miejsca. Stokely kazał jej tam czekać; nie wiedziała, co ma nastąpić dalej. Zapaliła papierosa. Bliźniacze wieże Notre Dame pozbawione oświetlenia wydawały się nieprzyjemne, czarne, ponure. Przeszedł ją dreszcz, odwróciła się i spojrzała na most. Był pusty. Nagle odezwał się dzwon w południowej wieży katedry. Quasimodo nie spał. Zegar wybił kwadrans przed północą. Jet patrzyła na Sekwanę. Nie wiedziała, czego ma szukać ani kto po nią przyjdzie. Ciemna rzeka szklila się w świetle księżyca, na jej powierzchni nie było ani jednej zmarszczki. O tej godzinie po Sekwanie nic nie płynęło. Nie było bateaux mouche ani niczego innego. Jet poczuła się zupełnie samotna.

Wreszcie ponad wodą odezwało się cichutkie bzyczenie, na zachód od wyspy Cite. Jednak brzmiało trochę inaczej niż odgłos silnika łodzi. Chyba nadlatywał jakiś mały samolot. Musiał lecieć bardzo nisko, zasłaniały go drzewa i budynki stojące po drugiej stronie rzeki, przy Quai aux Fleurs. Jet po raz drugi zerknęła nerwowo na most i znów spojrzała na Sekwanę. Tak, samolot. Zobaczyła go, nie wiedziała tylko, czy zbliża się przyjaciel, czy wróg, więc serce skoczyło jej do gardła.

Od wschodu nadlatywał nad rzekę niewielki hydroplan. Kierował się prosto na Jet. Przeleciał może ze dwa metry nad mostem Arcole, a potem nagle się zniżył. Zdawało się, że zwalnia niemal do zera, jego dziób uniósł

się odrobinę, wreszcie pływaki dotknęły wody. Rozbryznęły ją energicznie, pilot przełączył ciąg śmigła na wsteczny i wyhamował.

449

Jet zamarła. Wiedziała, że jeśli załoga tego samolotu zamierza zrobić jej krzywdę, nie miała dokąd uciekać ani nawet gdzie się skryć.

Srebrzysty, smukły samolot zbliżył się ku nabrzeżu, gdzie stała Jet, obrócił się dziobem ku zachodowi, ku mostowi Arcole.

Otworzyło się okienko. Jet zaczęła nerwowo szukać w torebce pistoletu, ale głowa pilota wydała jej się znajoma. Czarne kręcone włosy... To Alex Hawke. Uśmiechał się do niej i machał ręką, pokazując, aby wsiadała.

— Wskakuj! — zawołał, przekrzykując łoskot silnika.— Szybko, mamy towarzystwo!

— Jakie towarzystwo? — spytała, instynktownie oglądając się na most za jej plecami. Teraz zatrzymał się na nim z piskiem opon czarny samochód.

Wszystkie jego drzwi otworzyły się jednocześnie. Jet nie musiała przyglądać się twarzom wysiadających, żeby wiedzieć, że to agenci Te--Wu.

Alex wyskoczył na jeden z pływaków i wyciągnął rękę ku Jet. Mały samolot dryfował ku nabrzeżu. Był metr od niego.

- Skacz! - ponaglał Hawke. -Już!

- Bierz psa! - odpowiedziała, podając torebkę.

Obejrzała się przez ramię i skoczyła na pływak. Widziała teraz na moście Ludwika Filipa czterech mężczyzn, którzy pochylili się nad balustradą.

Jeden z nich wyciągnął rękę w stronę samolotu.

Wskazywał go?

Nie, strzelał. Obok pływaków zaczęły rozbryzgiwać się małe gejzery.

Jet wsiadła do ciasnej kabiny. Hawke natychmiast zajął miejsce koło niej i pchnął prawą ręką dźwignie przepustnic, lewą zamykając drzwiczki.

- Miło znowu cię widzieć! - rzucił. Jet zdziwiła się, że taki mały samolocik robi tyle hałasu. Maszyna odpływała szybko od nabrzeża. Od strony skrzydła, tuż obok Jet, rozległo się kilka niezbyt głośnych, ale bardzo niepokojących dźwięków. A w cienkiej aluminiowej blasze pojawiły się czarne dziury. Samolot przyspieszał szybko, zygzakując. Hawke starał się zmylić strzelających.

— Ja również się cieszę! — odpowiedziała donośnie Jet, podczas gdy samolot z rykiem nabierał prędkości, sunąc po gładkiej jak lustro wodzie. Jet obejrzała się i zobaczyła, że wszyscy czterej agenci strzelają. Alex uśmiechał się ponuro.

— Zapnij pas — poradził. — Nie ma zbyt wiele miejsca na start.

— Podziwiam cię, że tu wylądowałeś.

— Trzymaj się.

Zbliżał się bardzo szybko most Arcole. Także i na środku tego mostu zatrzymał się czarny samochód. Wskoczyli z niego mężczyźni, wyciągnęli ręce w stronę pędzącego ku nim samolotu. Jet skuliła się, miała wrażenie, że samolocik zaraz się rozpadnie. Drgania i hałas były po prostu okropne, spawy i śrubki zdawały się pracować na granicy wytrzymałości. Jet zacisnęła zęby, żeby przestały szczekać.

Przez chwilę myślała, że Hawke zamierza przepłynąć samolotem pod mostem. Było to jednak niemożliwe - most był zbyt niski i miał za wąskie przesła. Nagle dziób maszyny uniósł się i Jet poczuła, że pływaki odrywają się od wody. Wstrzymała oddech, bojąc się spojrzeć na Hawke'a,

Wydawało jej się, że czas się na moment zatrzymał, a potem wiedziała już, że im się udało. Pływaki przeszły jakieś dwadzieścia pięć centymetrów nad dachem samochodu. Samolot przemknął tak nisko nad mostem, że chińscy agenci rzucili się w popłochu na jezdnię.

Jet pomachała im ręką na pożegnanie. Teraz wokół widać było nocne niebo, a w dole - uśpione miasto. Z góry Paryż wydawał się jeszcze czarniejszy niż z poziomu ulicy. Jet włożyła słuchawki.

— Co tu robisz? - spytała, spoglądając na Aleksa. - Zdobywasz Bastylię?

— Coś w tym rodzaju — odpowiedział wymijająco Hawke.

— Zrobiłeś sobie małą przerwę, żeby mnie uratować?

— Stokely powiedział, że jesteś w niebezpieczeństwie. Z tego, co spotkało nas na dole, wnioskuję, że nie przesadzał.

— Dziękuję ci, Alex. Nie wiem, co powiedzieć.

— Nic nie mów. Potem wszystko omówimy. Zaraz będą nadawać przez radio coś, czego powinniśmy posłuchać.

— Co takiego?

— To mój pomysł. Jeśli okaże się skuteczny, być może uda się ocalić życie mnóstwu niewinnych ludzi. Prezydent zgodził się wygłosić to

451

przemówienie, a wszystkie sieci telewizyjne i radiowe zgodziły się nadać. Posłuchajmy...

Wyciągnął rękę i włączył radio.

Rozległy się trzaski, a potem spiker BBC zapowiedział:

A teraz, prosto z Białego Domu, prezydent Stanów Zjednoczonych.

- Dobry wieczór - odezwał się głos prezydenta. - Dziś przemawiam do najdawniejszego sojusznika Stanów Zjednoczonych, do odważnego

narodu francuskiego. Francuzi przelewali krew podczas naszej, amerykańskiej rewolucji. Zaś Amerykanie umierali za wolność Francji w roku 1917 i 1944.

W pewnym ogrodzie w Normandii stoi amerykański pomnik pokoju.

Widnieje na nim kilka słów, które teraz chciałbym wam odczytać:

Z serca naszej ziemi

Płynie krew naszej młodzieży

Ofiarowana wam w imię Wolności.

Dziś w Paryżu jest ciemno, a na ulicach waszej metropolii czai się strach.

Ale oznajmiam wam: Francja nie ma się czego bać. Nie grozi wam nic ze strony Stanów Zjednoczonych ani naszych sojuszników. Waszym obecnym niepokojom winien jest jeden człowiek. Zdrajca szlachetnych francuskich ideałów, oskarżony o popełnione z zimną krwią morderstwo, tyran, który w tej chwili kuli się ze strachu za zaciemnionymi oknami pałacu.

Nie popełnijcie błędu. Nikogo nie proszę o to, aby występował przeciwko temu złoczyńcy z bronią w ręku. Proszę was jedynie o znak nadziei. O widoczny znak tego, że obywatelom Paryża wciąż drogie jest prawo.

Dzisiejszego wieczoru modlimy się, aby uwolniona od tyranii Francja szybko odzyskała należne jej miejsce pośród wolnych i przestrzegających prawa państw.

Jeśli cenicie wolność i demokrację, pokażcie to. Oczy całego świata zwrócone są na was. Wzywam was teraz, wzywam każdego mężczyznę, kobietę i dziecko, żebyście pozapalali światła we wszystkich oknach.

Wyjdźcie na ulice i na dachy, nie z bronią w ręku, lecz ze świecami. Niech wasze miasto zapłonie lasem świec. Rozpalcie niebo płomieniem waszej nadziei.

Zobaczycie, cały świat zobaczy, że tyrani nie są w stanie zgasić światła waszej wolności. Tyrania nie jest w stanie przetrwać, podczas gdy wolny naród w tak wyrazisty sposób występuje przeciwko niej, okazując swoją wolę.

Wzywam was zatem dziś, was wszystkich, od najstarszego do najmłodszego, abyście teraz wyszli z domów i pokazali światu, że Paryż wciąż jest tym, czym był zawsze - przyświecającą światu latarnią demokracji i nadziei, pięknym Miastem Światła, waszym domem. Dziękuję. Bon soir et bonne chance.

Chwilę później Jet ścisnęła spoczywającą na przepustnicy dłoń Aleksa. - Spójrz - odezwała się. - Popatrz w dół. I tam, za rzekę. To niezwykle... Hawke pochylił samolot w lewo. Zobaczył w dole, że się zaczyna. Tu i tam zapłonęło kilka świateł, a potem pośród ciemności były już widoczne całe świetlne pola. Najpierw w centrum miasta, później dalej, aż światła pozapalały się we wszystkich dzielnicach. Rozbłyskiwały całe ulice — w ten sposób powstawała świetlna sieć. Wkrótce świecił się już cały Montparnasse i Dzielnica Łacińska aż do Jardin des Plantes, i Pola Marsowe, i dzielnice za rzeką, i Marais.

Wkrótce cały Paryż stanowił morze świateł.

Alex latał nad pełnymi ludzi dachami, zobaczył, jak lud Paryża wiwatuje, unosząc wysoko zapalone świece. Także na ulice wyległo mnóstwo ludzi, szli ze świecami, tworząc żywe rzeki światła. Wystarczyło kilka minut, aby Paryż dał światu świetlny spektakl. Hawke zanurkował i poprowadził samolot tuż nad wierzchołkami drzew. Kierował się ku samotnemu, czerwonemu światelku na szczycie wielkiej wieży, która wciąż

pozostawała ciemna, majacząc w ciemności jak wymierzony w niebo palec.

Zaczął krążyć wokół niej. I wtedy na wieży Eiffla zaczęły się zapalać światełka, od dołu aż do samej góry. Wkrótce wieża świeciła, migała, ukazywała swoją radość miastu. Niezliczone światełka gasły i zapalały się na nowo, tańcząc po wszystkich płaszczyznach wieży, od góry do dołu.

- Chyba się udało - odezwał się Alex, wykonując zakręt nad roziskrzonym miastem. Obrął kurs na północny zachód, ku kanałowi La Manche. Leciał do domu.

Oddalający się Paryż rozpoczynał powolny, bolesny powrót do normalności. Ani Hawke, ani jego pasażerka nie zobaczyli pomarańczowych jęzorów ognia, wystrzelających w niebo ponad Pałacem Elizejskim. Wiedział jednak, że drużyna dzielnych ludzi pod dowództwem Stokely'ego Jonesa, Fitzo McCoya i Żaby pokieruje dalszym biegiem wydarzeń.

Przecież Miasto Światła było po ich stronie.

Podziękowania

Do powstania tej książki przyczyniło się wiele osób, którym pragnę wyrazić wdzięczność. Nigdy nie zapomnę, jaki byłem szczęśliwy, kiedy zaczynałem pisać tę powieść, i muszę za to podziękować Emily Bestler. To jej zasługa. Dziękuję również Judith Curr i Louise Burke, które zawsze są bardzo pomocne, a także Carolyn Reidy i Jackowi Romanosowi z wydawnictwa Simon Schuster.

Podziękowania należą się również wszystkim nauczycielom języka angielskiego. Dźwigacie teraz o wiele większy ciężar niż w moim pokoleniu — doceniam wasze poświęcenie i żarliwą wiarę w istotę słowa. Przy tej książce pomogło mi szczególnie kilka osób. Dzięki mojemu przyjacielowi Stefanowi Halperowi, byłemu wysokiemu urzędnikowi Białego Domu i Departamentu Stanu, a obecnie wykładowcy w Magdalenę College w Cambridge, zrozumiałem wyzwania rzucone nam przez Chiny w tym stuleciu. M. Boicos pomógł mi odtworzyć działania Napoleona w Paryżu i Malmaison. Szef policji Mikę Reiter i jednostka straży przybrzeżnej w Palm Beach byli mi bardzo pomocni w sprawach ochrony granic. Mój bliski przyjaciel i agent Peter Lampach jak zwykle wniósł ogromny wkład w powstanie rękopisu tej powieści.

Jestem głęboko wdzięczny mojej żonie, Page Lee Hufty, za jej niezachwianą miłość i mocne wsparcie dla mnie i tej książki.

